



**SUSAN MADISON**



**CZEKAM NA PRAWDZIWĄ  
MIŁOŚĆ**

*Stara to prawda, że nie wiemy, jak głęboka jest nasza miłość.  
Przekonujemy się o tym dopiero wtedy, gdy następuje rozstanie.*

Khalil Gibran *Prorok*

RS

# Prolog

*Czekam na prawdziwą miłość* - zapisała Melissa Hart w swoim dzienniku pod datą pierwszego stycznia tego roku, w którym skończyła piętnaście lat. Dziennik był oprawiony w skórę i miał grube kremowe kartki o złoconych brzegach. Melissa dostała go na gwiazdkę od babci i mimo młodego wieku poznała się na jego wartości. Wiedziała, że to rzecz wyjątkowa. Chociaż wtedy nie zdawała sobie sprawy, że kartki dziennika zostały wykonane z czerpanego papieru, a marmurkowy deseń na stronicach wyściełających okładki jest ręcznie malowany, wyczuwała jednak, że dziennik zasługuje na coś bardzo szczególnego. Ale na co?

Wiecznie zatopiona w książkach, samotna, długo się nad tym pytaniem zastanawiała. Właściwie zamierzała napisać w pamiętniku: *Chcę być kochana*, ale się bała, że ojciec mógłby znaleźć dziennik i to przeczytać. Ostatecznie podeszła do swego zapisu z powagą, ale i z pewną egzaltacją, bo w gruncie rzeczy czuła, że ma niewiele do powiedzenia.

Odrzuciła do tyłu gęste jasne włosy, kosmyki zwisające z przodu włożyła za ucho, i usiadłszy nad czystą kartką dziennika, napisała starannym, pochyłym pismem, które sobie przedtem przećwiczyła: *Czekam na prawdziwą miłość*.

Melissa nie marzyła o tym, by pewnego dnia zjawił się w drzwiach jej domu książę ze szklanym pantofelkiem w ręce, ani o tym, by piękny królewicz przedarł się przez żywopłot z ciernistych krzewów i zbudził ją pocałunkiem. Gdy jednak słuchała gniewnych słów ojca, dochodzących z jadalni na dole, i łagodnych odpowiedzi matki, nabierała pewności, że kiedyś będzie mogła podejmować decyzje według własnego wyboru, że spełnią się jej marzenia i otworzą przed nią różne cudowne możliwości. To wszystko miało się zdarzyć gdzieś daleko, nie wiadomo gdzie...

Melissa od najwcześniejszych lat zdawała sobie sprawę, że stosunki w jej rodzinie nie były najlepsze.

- Czy ty mnie kochasz, tatusiu? - spytała kiedyś ojca, nie tając niepokoju. Miała wtedy cztery lata i pojednawczym gestem położyła rękę na jego kolanie.

- Obawiam się, że nie - odparł.

Matka aż sapnęła ze złości i rumieniec gniewu pojawił się na jej policzkach.

- Dawidzie... Jak możesz tak okrutnie...? - i pieszczotliwie zmierzwiła czuprynę złocistych, prawie białych loków Melissy.

- Ja cię kocham, malutka - zapewniła córeczkę. Ale dziewczynka pragnęła miłości ojca.

Wiele lat później, po ukończeniu wyższych studiów, Melissa udała się w podróż po Europie. Wylegiwała się na plaży w Portugalii, podziwiała starożytne kamienie na Forum Romanum, zwiedzała Londyn. Nieraz jej się wydawało, że dostrzega oznaki czegoś, co może być prawdziwą miłością. Chodziło o krótkie spojrzenia, jakieś oczywiste przekroczenia ram normalności, które zachowała w pamięci, tak jak zapamiętuje się łyk szampana wypity z cudzego kieliszka.

Jako absolwentka Akademii Sztuk Pięknych bez trudu znalazła pracę w pewnej galerii w Nowym Jorku. W tym czasie odkryła, że woli patrzeć na dzieła sztuki, niż je tworzyć. Zrozumiała, że sztuka, jeśli nie wchodzimy z nią w zbyt bliski kontakt, może nas zaniepokoić, ale nas nie zniszczy; stanowi wyzwanie, ale nie może zranić. Zajmowała się więc sprzedawaniem obrazów, a nie ich malowaniem, i czekała, aż się pojawi prawdziwa miłość. Miała nadzieję, że gdy się ten ukochany wreszcie zjawi, niemal automatycznie nastąpią takie wydarzenia, jak założenie domu, przyjście na świat dzieci, a potem starzenie się we dwoje. Oczekiwała, że jej udziałem będzie życie proste, nieskomplikowane, znaczone łatwo rozpoznawalnymi kamieniami miłowymi.

Ale tak się nie stało. Od pierwszego momentu, gdy jej przyszły kochanek wszedł do galerii, w której wystawiano jego rzeźby, zauroczył ją swoją elektryzującą mocą; wyładowywała się wokół niego trzaskami i strzelała iskrami. Dopiero kiedy było już za późno, stwierdziła, że się totalnie i beznadziejnie zakochała w mężczyźnie, który nie wierzył w kamienie miłowe, znaczące ważne etapy w życiu człowieka.

Gwałtowne zmiany nastroju, nocne zmyły i burzliwe sceny, często powtarzające się w ich wspólnym życiu - wszystko to przekraczało granice jej wytrzymałości.

Powoli, krok po kroku, Melissa poskładała w całość rozproszone fragmenty smutnej i gorzkiej historii życia ukochanego mężczyzny. Dowiedziała się, że jego rodzice ponieśli śmierć w piecach Oświęcimia i że w dzieciństwie chłopiec krążył między ośrodkami Czerwonego Krzyża i niekochającymi go krewnymi. Odkrycie tych faktów bynajmniej nie sprawiło, że łatwiej jej było z nim postępować. Mimo że kochała go głęboko i namiętnie, nieraz czuła, że się dusi, pogrąża w bólu, który nie jest jej bólem.

Rozpamiętywała to, gdy późną nocą wracali do domu z przyjęcia u przyjaciół. Znużona, zastanawiała się, dlaczego nikt jej nigdy nie uprzedził, że najtrudniejsze chwile przeżywać będzie dopiero wtedy, gdy już napotka swoją prawdziwą miłość.

- Dobrze się bawiłeś na przyjęciu? - spytała.

- Wcale nie.

- Zawsze tak mówisz.

- Bo to zawsze jest prawda. Ostatnie cztery godziny były absolutną stratą czasu. Uważam, że niepotrzebnie spędziliśmy wieczór w towarzystwie płytkich, sztucznie się zachowujących ludzi, zwykłych pozerów... - mówił z wściekłą miną. - To egocentrycy, z których każdy próbuje cię olśnić swoim sukcesem: świeżo napisaną powieścią, ostatnio namalowanym obrazem, dopiero co kupionym samochodem czy nową żoną. Mnie ich towarzystwo przytłacza.

- A wyglądałeś, jakbyś się dobrze bawił - zauważyła ze śmiechem.

Zbył ją milczeniem.

- Miło mi było usłyszeć - odezwała się po chwili, biorąc go za rękę - że Rachel Friedkin nareszcie spodziewa się dziecka.

- Nie rozumiem, co w tym miłego.

- Bo oni od tak dawna próbują.

- Głupi ludzie. Beztroszy i bezmyślni... - Odsunął się od niej i ruszył w dół ulicy w takim tempie, że prawie biegła, by dotrzymać mu kroku.

- Na czym ta ich beztroska polega?

- Na świecie jest mnóstwo głodujących, chorych i torturowanych dzieci. - Potrząsnął głową. - To jest straszne, doprawdy. Dzieci umierają z braku wody, maluchy tracą wzrok lub giną rozrywane przez miny. Nastolatków siłą biorą do wojska, aby zabijali innych małych. Dlaczego ludzie pragną mieć więcej dzieci, skoro jest ich już teraz za dużo?

- Wydaje się mało prawdopodobne, by dzieci Friedkinów miały głodować albo chorować.

- Twoja uwaga nie ma sensu. Jest idiotyczna i egocentryczna. - Odwrócił się tak gwałtownie, że Melissa wdepnęła w kałużę. - Skąd możesz wiedzieć, co czeka dziecko Rachel? Jak możesz mówić o tym z takim przekonaniem? Czy jesteś w stanie zapewnić, że będzie szczęśliwe?

- Oczywiście, że nie, ale...

- Nie byłąbyś w stanie zagwarantować szczęścia nawet swoim własnym dzieciom, gdybyś kiedykolwiek zgłupiała na tyle, by je mieć.

- Nikt nie jest w stanie niczego zagwarantować. - Melissa nagle zlekła się odpowiedzialności za słowo. - Ale moim zdaniem dzieci Friedkinów mają sporą szansę na szczęśliwe dzieciństwo.

- A co będzie, jeśli Rachel i Zeke zginą w katastrofie samochodowej? - spytał. - A co się stanie, jeśli Zeke porzuci Rachel albo ona zakocha się w innym mężczyźnie i odejdzie od męża? A może dziecko urodzi się niepełnosprawne? Mogłoby też zostać inwalidą na skutek nieszczęśliwego wypadku lub być porwane przez jakiegoś szaleńca.

- Dlaczego miałyby się coś takiego wydarzyć?

- Rozejrzyj się dokoła! Czytaj gazety! Takie rzeczy ciągle się zdarzają.

- A ty, jak zwykle, ze wszystkiego robisz dramat.

- Masz rację! - powiedział i nieoczekiwanie się uśmiechnął. Objął ją w pól i ucałował w koniuszek nosa. - Ty zawsze masz rację, kochanie - powtórzył.

Nachyliła się do niego. Jego skóra pachniała cytryną i fajką. „Kochać i być kochaną - pomyślała. - Nie ma większego szczęścia”.

- Uwielbiam cię - szepnęła, patrząc mu w oczy. Zapalona uliczna latarnia rozświetlała błyskami jego gęste, kręcone włosy.

Przytrzymał ją w pewnej odległości od siebie i z poważną miną oświadczył:

- Melisso, ty moja mała pszczołko! Nie byłbym szczęśliwy, gdybyś mi powiedziała, że jesteś w ciąży.

- Dlaczego?

- Bo nie byłbym w stanie podjąć takiego ryzyka. Bałbym się, że życie mojego dziecka mogłoby być podobne do mojego.

- Ale przecież zrobilibyśmy wszystko, by nasze dziecko było szczęśliwe i by mu niczego nie brakowało. - A w myśli dodała: „Zatroszczylibyśmy się o to, by ono wiedziało, jak bardzo jest chciane, i co najważniejsze - by czuło, że je kochamy”.

- Zapewniam cię, że moi rodzice myśleli dokładnie tak samo jak ty, ale, niestety, nic nie poszło po ich myśli. - Zostawił ją w tyle i ruszył naprzód.

- Czy ty zawsze musisz być taki cyniczny? - spytała. Miała w oczach łzy, gdy przyspieszyła kroku, by z się z nim zrównać.

- Kiedy ja naprawdę tak myślę, Melisso - odparł. - Gdybyś zaszła w ciążę, musiałabyś sama zaopiekować się dzieckiem, bo ja nie chciałbym mieć z tym nic wspólnego. I nie oczekuj, że zmienię zdanie.

- Nie wierzę, że mógłbyś się tak zachować w stosunku do własnego dziecka.

Zatrzymał się.

- Zastanów się nad tą sprawą, Melisso. Pomyśl o konsekwencjach. Gdybyśmy mieli

dziecko, musielibyśmy znaleźć większe mieszkanie i dla mnie pracownię, gdzie mógłbym rzeźbić. Wyobrażam sobie, jaki by w mieszkaniu panował hałas, krzyk, płacz; wszędzie walałyby się pieluszki i obrzydliwe plastikowe zabawki. Łączyłyby się z tym także dodatkowe wydatki i mniejsze dochody. Brakowałyby nam nie tylko snu, ale w ogóle spokoju.

- Rozumiem - odparła chłodno. - W tej twojej uczonej i wymyślnej teorii, że nie należy wydawać dzieci na wrogi im świat, chodziło tylko o to, by ukryć fakt, że jesteś po prostu samolubnym draniem.

- Dlaczego nazywasz mnie samolubem? Przecież nie muszę mieć dziecka, jeśli go nie pragnę? Gdzie jest napisane, że mam być ojcem? - Położył sobie dłonie na piersi i uśmiechnął się nieszczerze, a wokół jego dużych jasnych oczu utworzyły się zmarszczki. - Nawiasem mówiąc, czy ja wyglądam na faceta, który mógłby być czyimś ojcem?

Jak to już nieraz bywało, Melissa została pokonana przez nieodpartą logikę jego argumentów.

- A gdybym ja chciała zostać matką?

- Musiałabyś sobie znaleźć innego mężczyznę.

Sądząc po wyrazie twarzy, przyjaciel dokonał już wyboru i zrobił to nie tylko we własnym, ale i Melissy imieniu. Ona zaś przez kilka ostatnich tygodni usilnie się starała o to, by uniknąć podejmowania decyzji.

- A co byś powiedział, gdybym już była w ciąży? - zadała mu prowokujące pytanie.

- Powiedziałbym, że musisz się pozbyć dziecka albo odejść i zamieszkać gdzie indziej. Nie mów mi o tym ani nie próbuj mnie przekonywać, żebym zmienił zdanie. Nie chcę o niczym wiedzieć. - Odwrócił się, wziął ją w ramiona i gładząc jej gęste jasne włosy, szczytywał je z czoła. - Ach, Melisso! - szeptał. - Masz takie piękne włosy. Mienia się jak księżycowa poświata, jak perły, jak srebrzysta woda. - Jego głos stał się nagle niepewny. - Nie męcz mnie takimi rozmowami. Zbyt wiele cierpiących dzieci widziałem w swoim życiu, zbyt wiele oczu pełnych bólu.

- Tak, ale...

Ujął jej dłoń i mocno trzymał.

- Nie zniósłbym dziecięcego płaczu. Nawet jeśli by płakało tylko dlatego, że się skaleczyło w palec albo zgubiło zabawkę. Po prostu nie mógłbym ścierpieć tego dźwięku ani teraz, ani nigdy.

Wiedziała, że on naprawdę tak myśli, że każde słowo, które powiedział, jest zgodne z

prawdą, i zrobiło jej się ciężko na duszy.

Dwa tygodnie później, gdy załatwiła wszystko, co do niej należało, wybrała popołudnie, kiedy go nie było w domu, i wyszła z mieszkania na zawsze. Żadnego zawracania głowy, żadnych scen. Nie zostawiła nawet listu, bo i po co? Z bólem w sercu spakowała do niewielkiej torby podróżnej kilka sztuk odzieży, parę książek i fotografii oraz trzy lub cztery cenne pamiątki: ikonę, którą jej podarował, małą drewnianą rzeźbę i haftowaną serwetę.

Po raz ostatni obrzuciła wzrokiem miejsce, w którym przez trzy lata była taka szczęśliwa. Teraz czuła tylko smutek, nic więcej. Skończyła dwadzieścia dwa lata; jedną część życia miała już za sobą.

Wyszła na korytarz i zamknęła za sobą drzwi.

## — 1 —

Mel Sherman wjechała na krótki podjazd, zatrzymała się przed domem i otworzyła drzwi samochodu. Nie wyszła od razu, lecz jeszcze chwilę siedziała, słuchając odgłosów wczesnego lata: dziecięcych krzyków dochodzących z boiska szkolnego położonego o trzy domy dalej, świstu deszczownicy zraszającej murawę, gruchania dzikich gołębi na drzewach rosnących na podwórku z tyłu budynku i szumu elektrycznej kosiarki pracującej na trawniku.

Po drugiej stronie ulicy Brian Stiller, wdowiec i emerytowany pułkownik, stał na drabini i naprawiał ochronną siatkę w oknie.

Ściany jej domu, lśniące w późnym porannym słońcu, były pomalowane na kolor poziomkoworóżowy; odcinały się od nich białe, nieco tandetne elementy dekoracyjne wokół okien i na narożnikach oraz czarne okiennice. Na ganku dwa stare bujaki zapraszały, by usiąść i odpocząć jakiś czas. Czerwone kwiaty ozdobnej pigwy, tworzącej żywopłot, roztaczały ciepły blask, a róże, bzy i lawenda napełniały powietrze upajającymi zapachami.

Zawsze, gdy wracała do domu, przypominała sobie tę chwilę, kiedy ujrzała go po raz pierwszy. Zatrzymała się wtedy w Butterfield bez żadnego specjalnego powodu. Właściwie wstąpiła tu tylko po to, by się napić kawy i coś przekąsić. A potem, ulegając impulsowi, nie zawróciła na autostradę, ale zaczęła bez celu łązić po ulicach, które brały swój początek na błoniach pod miastem. Mel często się później zastanawiała, co takiego było w tym niewielkim historycznym miasteczku, że zdecydowała się przerwać podróż i tu się zatrzymać na dłużej. Dlaczego w Butterfield, a nie w jakimś innym malowniczym miasteczku, przez które ostatnio prze-



jeździła?

Jakakolwiek była tego przyczyna, podróż Melissy donikąd zakończyła się właśnie w Butterfield. Zaparkowała za budynkiem federalnym, wyszła z samochodu i od razu znalazła się w specyficznej, swojskiej atmosferze, gdzie panuje poszanowanie tradycji, a do upływu czasu ma się stosunek nie obojętny, ale wyraźnie pozytywny. Idąc główną ulicą miasta, minęła budynek magistratu pełen podcieni i krużganków, cmentarz z pięknie rzeźbionymi nagrobkami, stary budynek szkolny, księgarnię i kościół Metodystów. Potem, spacerując po błoniach, dokładnie obejrzała dzielnicę willową i doszła do wniosku, że tu znajdzie przystań i schronienie. Zachwyliły ją liczne w tym miasteczku zabytki architektury: stare eleganckie kamienice, niektóre zamienione na biura lub pensjonaty, i drewniane domy z okresu kolonialnego, a więc już niemal dwustuletnie.

Gdy doszła do Maple Street, zobaczyła dom, właśnie ten, który teraz jest jej własnością. Wtedy stała przed nim tablica z napisem „Do sprzedania”; częściowo zakrywał ją przerośnięty żywopłot, oddzielający frontowy ogródek od chodnika, ale Mel napis dostrzegła. Nie upłynęła godzina, a już ją po domu oprowadzano.

- Czy pani kupowała już kiedyś jakąś nieruchomość? - spytała właścicielka firmy zajmującej się sprzedażą, zaniepokojona młodym wiekiem Mel i jej widocznym brakiem doświadczenia.

- Nie - wyznała szczerze. Była oszołomiona. Ogromne wrażenie zrobiły na niej sufity z ozdobnymi gzymsami, okna złożone z małych witrażowych szybek, z których wiele było popękanych, kominek z cegły i trochę podniszczone drewniane boazerie.

- Budynek wymaga oczywiście renowacji. Zdaje sobie pani z tego sprawę, prawda? Nie może w nim pani zamieszkać bez przeprowadzenia generalnego remontu. Trzeba wymienić urządzenia hydrauliczne oraz instalację elektryczną, ponieważ liczą dobrze ponad sto lat. Musiałaby pani również naprawić dach, bo od dawna w czasie deszczu przecieka. Także połowę okiennic powinno się wymienić.

- Widzę to.

- I jeszcze ściany zewnętrzne - dodała kobieta. - Wiele desek przegniło, trzeba je zastąpić nowymi.

- Nie szkodzi - odparła Mel. - Dom bardzo mi się podoba i chcę go kupić. - Postanowiła przeznaczyć na ten cel pieniądze, które zostawiła jej babcia; od dwóch lat leżały nietknięte w banku. Cieszyła ją myśl, że to wszystko stanie się jej własnością: półkolisty ganek, okrągłe

wieczyczki na każdym rogu domu i różowe owoce na krzewie derenia, pasujące kolorem do tego, co pozostało po dawnym malowaniu.

Tak wyglądało tu dwadzieścia pięć lat temu. Teraz dom przyzwoicie odnowiony i tchnący spokojem bardzo dobrze się prezentował za starannie przystrzyżonym żywopłotem z azalii i rododendronu. Kosztowało ją to niemal pięć lat pracy, którą w dużej części wykonała sama. Dzięki ogromnemu wysiłkowi i zastosowaniu specjalnej terapii „uzdrawiającej” udało jej się w końcu doprowadzić budynek, który był wrakiem, do stanu nadającego się do zamieszkania. Mel nie tylko przywróciła domowi pierwotną urodę, ale również stworzyła w nim prawdziwie własny kąt.

Opuściła samochód i szła, chrzęszcząc po żwirze, w stronę ganku z tyłu domu. Jeszcze tylko kilka schodków i dotarła do drzwi kuchennych. Rozłożysta jabłoń na krawędzi trawnika cała już była obwieszona dojrzewającymi owocami, które napełniały powietrze słodkim zapachem cydru. Mel położyła torby z zakupami na stole i włączyła maszynkę do kawy.

Zauważyła małą plamkę na nieskazitelnie czystej suszarce z nierdzewnej stali: wyjęła ajax i zmywak i szorowała plamę, aż zniknęła. Na parapecie okiennym leżała martwa osa. Mel z wyraźnym niezadowoleniem oderwała arkusz papierowego ręcznika i ostrożnie pozbyła się owada, wyrzucając go do śmieci. Zanim kawa się zgotowała, zdążyła odłożyć na miejsce zakupy: gruboziarnisty chleb trafił do glinianego pojemnika stojącego obok lodówki, puszki z konserwami rybnymi i mięsnymi powędrowały do kredensu na lewo od kuchenki, jarzyny znalazły się na półkach w spiżarni. Na koniec wysłuchiwała telefonów na automatycznej sekretarce. Okazało się, że dzwoniła do niej Sarah Mahoney z Komitetu Bibliotecznego, prosił o wiadomość mechanik z warsztatu samochodowego i dobijała się Lisa.

Mel nalała sobie filiżankę kawy i poszła na górę do sypialni. Zdjęła spódnicę i bluzkę, zawiesiła je w szafie, potem ściągnęła kołdrę, starannie ją złożyła i umieściła w głowach łóżka. Wygodnie się na nim rozciągnęła i zamknęła oczy, czekając, aż kofeina poprawi jej nastrój. Gdyby miała choćby najmniejsze przecucie, jak wyczerpujące okażą się przygotowania do wystawy rzeźb Kosłowskiego, nigdy nie zajęłaby się tą sprawą. Z drugiej strony było to najbardziej podniecające przedsięwzięcie, na jakie się kiedykolwiek zdobyła. Galen Kosłowski, jeden z czołowych współczesnych rzeźbiarzy, zgodził się wystawić swoje prace w małej galerii sztuki w Vermoncie: w galerii, która była jej własnością. Wciąż trudno jej było w to uwierzyć.

Historia zaczęła się przed półtora rokiem, gdy Mel powoli wertowała czasopismo „Art Today”\* i nagle rzuciła jej się w oczy jego twarz. Fotografia rzeźbiarza umieszczona była w środku artykułu omawiającego retrospektywną wystawę jego prac, jaką miano wkrótce zorganizować w San Francisco. Kosłowski wyglądał na zdjęciu starszy niż wtedy, gdy go ostatni raz widziała. Sprawiał niemal szacowne wrażenie, jak jakaś ważna figura. Miał na sobie jasną lnianą marynarkę nałożoną na ciemny podkoszulek, a jego kręcone włosy zostały widać ujarzmione, bo gładko przylegały do głowy.

\* „Art Today” - „Współczesna Sztuka” (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Mel przybyła przed laty do Butterfield w poszukiwaniu spokojnej przystani. Zdążyła się już pogodzić z tym, co tu znalazła, i była raczej zadowolona z życia. Ale czytając artykuł o rzeźbiarzu, pomyślała, że spokój jest pojęciem względnym i zawsze jest jakaś cena, którą trzeba za niego zapłacić. Jeszcze sobie w pełni nie uświadamiała, jak bardzo brakuje jej tutaj podniecającego, bezpośredniego kontaktu ze sztuką i jej twórcami i przebywania w samym centrum kulturalnych wydarzeń. Patrząc na fotografię Galena, poczuła nagle nostalgię i pomyślała: „dlaczego nie?”

Ta myśl wydała jej się jednocześnie absurdalna i ogromnie pociągająca. Ostro wciągnęła do płuc powietrze i jeszcze raz zadała sobie w duchu pytanie: „dlaczego nie? Dlaczego nie urządzić mu wystawy w Vermoncie, w mojej galerii?”

Zadzwoiła do agenta Kosłowskiego i powiedziała o swoim pomysle.

Agent zareagował śmiechem.

- Przykro mi, pani... Sherman, ale w żadnym wypadku nie mogę się na pani propozycję zgodzić. To w ogóle nie wchodzi w grę.

- Dlaczego?

- W Vermoncie? - Niemal widziała drwiącą minę, z jaką mówił te słowa. - Pani chyba żartuje?

- Przecież nie zamierzam urządzić retrospektywnej wystawy wszystkich dzieł artysty - odparła chłodno - lecz jedynie pokazać pewne wybrane rzeźby.

- Czyżby? - spytał z ironią w głosie. - A jaką ewentualną korzyść miałby odnieść powszechnie znany artysta, wystawiając swoje rzeźby - proszę się nie gniewać za to słowo - w „jednokonnej” prowincjonalnej galerii, jak ta, o której pani wspomina?

- Nie podoba mi się, że użył pan takiego określenia - oznajmiła. - Żaden współczesny artysta nie może sobie pozwolić na odrzucenie szansy pokazania swoich prac. A każda wystawa, bez względu na wielkość galerii, w której ją zorganizowano, nadaje rozgłos artyście.

- Nawet w Vermoncie? Choć właściwie... kto wie...

- Może się nawet okazać, i to się dość często zdarza, że mniejsza galeria, taka jak moja, jest na dłuższą metę bardziej efektywna niż większa. Może pan sobie tego nie uświadamia, ponieważ stale przebywa w Nowym Jorku, gdzie na rynku sztuki niewiele się działo przez ostatnie dwadzieścia lat...

- O co pani chodzi? Z czego nie zdaję sobie sprawy?

- ...ale „odręczna”, że się tak wyrażę, sprzedaż prac artysty potencjalnym nabywcom okazała się jednym z najbardziej wydajnych sposobów handlowania dziełami sztuki. Muszę się pochwalić, że stosując tę właśnie metodę, osiągam doskonałe wyniki.

- Jeśli chciałaby pani wiedzieć, czy mnie to przekonuje - agent udawał, że poważnie rozważa tę propozycję - odpowiem, że jeszcze nie jestem przekonany.

- Dobrze! Dam panu więcej przykładów. - W miarę jak Mel mówiła, nabierała pewności siebie. - Wystawiałam ostatnio miniatury Arthura Herberta i akwarele Kena Wasakiego. W obu wypadkach wszystkie eksponowane obrazy świetnie się sprzedały.

Agent coś mruknął w odpowiedzi.

- A potem była Mirja Kopler.

- Tak? Słucham. - Zainteresował się.

- Mirja, jak pan zapewne wie, pochodzi z Augusty w Maine i aż do ubiegłego roku była zupełnie nieznana. Ale jej pierwsza wystawa do tego stopnia zachwyciła krytyków, że z miejsca znalazł się agent, który porwał ją do Nowego Jorku. Muszę jednak zaznaczyć, że to nie pan był tym agentem, który się na niej poznał. Dodam tylko, że malarka sprzedaje teraz swoje obrazy po zawrotnych cenach.

- I co z tego? - niezbyt grzecznie odparował agent.

- A to, że Mirja jest moim odkryciem - powiedziała Mel. - Właśnie ja byłem tą marszandką, która urządziła jej pierwszą wystawę. Gdy zobaczyłam jej prace w miejscowym salonie sztuki, od razu wyczułam, że należy na nią postawić, i nie pomyliłam się. Jestem pewna, że się pan ze mną zgodzi, bo trzeba być idiotą, żeby tego nie widzieć.

- No, dobrze! Już mnie pani prawie przekonała - oświadczył agent. - Ale sedno sprawy tkwi w tym, że Galena Kosłowskiego odkryto już dawno temu.

- To prawda. - Mel głęboko wciągnęła powietrze. - Szkoda tylko, że ten artysta uchodzi za nieco postrzelonego.

- Niemniej cieszy się największą sławą w kraju. Czy pani ma pojęcie, jakiego rzędu ceny osiągają ostatnio jego rzeźby?

- Zgadzam się, że Kosłowski jest ogromnie popularny, a jego dzieła bardzo poszukiwane. Ale słyszałam też, że wiele poważnych galerii nie ma już ochoty wystawiać jego prac.

- Tak. - Nastąpiła cisza i Mel miała wrażenie, że słyszy, jak agent rusza swoją mózgowicą. - Wie pani - przyznał w końcu - Kosłowski jest wspaniałym facetem. To człowiek o gołęmbim sercu: oddałby ostatnią koszulę, gdyby ktoś był w potrzebie, ale jeśli chodzi o rzeźby, zachowuje się jak chomik: wszystkie by chował i gromadził. Bardzo nie lubi rozstawać się ze swoimi pracami.

- Może czuje, że mógłby w nich jeszcze coś zmienić lub poprawić?

- Kto wie? Może o to mu chodzi... ale czasem trzeba sobie po prostu odpuścić. Tymczasem on utrudnia marszandom życie. Aż trudno w to uwierzyć, ale on usiłuje narzucić im swoje warunki. Nie tylko żąda, by jego rzeźby pokazywane były w odpowiednim świetle, ale nie pozwala, by cokolwiek znalazło się w ich sąsiedztwie, w odległości mniejszej niż trzy metry. Rzeźby muszą stać na ustalonej przez niego wysokości i na zaaprobowanym przez niego tle. A przecież ma do czynienia z właścicielami renomowanych galerii i bogatymi kolekcjonerami dzieł sztuki, a nie jakimiś przedszkolakami z Nebraski. Niektórzy tak już mają tego dosyć, że unieważniają dane mu czeki i każą iść do diabła.

- Może to jest tylko chwyt handlowy, a jeśli tak, trzeba powiedzieć, że pionierski.

- Słyszałem opinię, że Kosłowski w ten sposób prowokuje, bo chce, żeby bardziej szanowano jego pracę, ale nie można też wykluczyć, że ma głęboko w nosie, czy ludzie szanują i cenią jego prace, czy nie. - Agent ciężko westchnął. - Nie możemy jednak zapominać o jego przeszłości: przeżył holocaust, stracił całą rodzinę. Temu nieszczęsnemu facetowi wciąż jeszcze śnią się po nocach wojenne koszmary.

Mel dobrze pamiętała parne nowojorskie noce, gdy budziły ją jego krzyki i łkania, a on trząsał się jak w febrze. Ona zaś była za młoda, nie dość doświadczona, za bardzo chowana pod kloszem i nie wiedziała, jak ma się zachować.

- Jestem pewna - powiedziała - że pan Kosłowski poważnie rozważy propozycję wystawienia swoich prac w mojej galerii. Mamy coraz lepsze notowania. A nawiasem mówiąc, Vermont ma tę zaletę, że jest daleko od Nowego Jorku. Dzięki temu możemy mieć pewność, że

Galen nie będzie się łądował do mieszkań nabywców swoich rzeźb, by im je odebrać. Słyszałam, że robił to w ubiegłym roku: nachodził właścicieli swoich rzeźb i chciał je odbierać, ponieważ uważał, że są niewłaściwie traktowane.

- Niezły z niego wariat - zauważył agent. - Ale proszę mnie źle nie zrozumieć, ja bardzo tego faceta lubię. Pan Kosłowski nieraz przychodzi do nas na kolację, siada na ziemi i bawi się z moimi dzieciakami. Nie wyobraża sobie pani, jak on kocha dzieci! Wymyśla im różne historie, rysuje obrazki; nie mogą się nim dość nacieszyć. A inna sprawa, że on nie ma zielonego pojęcia, jak się zdobywa klientów.

Mel próbowała sobie wyobrazić, jak ten rzeźbiarz w zmechaciałym, włochatym swetrze i splamionych spodniach obejmuje dzieci i zadziwia swoją fantazją, aż im oczy robią się okrągłe... Po chwili odchrząknęła i czystym, pewnym siebie głosem zaproponowała:

- Niech pan spróbuje przedstawić panu Kosłowskiemu moją propozycję. Zobaczymy, co na to powie. Dobrze?

- Spróbuje, ale radzę nie oczekiwać cudów.

„Nie chcę cudów - pomyślała, odkładając słuchawkę - tylko tego jednego cudu”.

Wbrew wszelkim przewidywaniom Kosłowski, któremu - zdawałoby się - tak trudno jest dogodzić, przyjął jej propozycję. W trosce o swój autorytet agent obwarował wysłanie rzeźb na wystawę żadaniami różnego rodzaju asekuracji i gwarancji, ale Mel, osiągnąwszy to, czego pragnęła, z ochotą się na wszystko zgadzała.

Od tej chwili dla Mel i Carli Payne, jej asystentki, zaczęły się bardzo pracowite dni. Do stałych obowiązków związanych z prowadzeniem galerii doszły teraz przygotowania do wystawy, tak że obie miały pełne ręce roboty. Aby załatwić przewóz rzeźb Kosłowskiego do Vermontu, musiały prowadzić długie negocjacje, co już było wystarczająco uciążliwe. A w miarę zbliżania się terminu wernisażu coraz więcej godzin trzeba było poświęcać promocji tego wydarzenia. Odbywały więc dziesiątki rozmów telefonicznych, zabiegały o względy prasy i starając się zaskarbić sobie przychylność mediów, szukały sznurków, za które trzeba było pociągać. Zawiadomiły o wystawie wszystkich zainteresowanych, a zwłaszcza tych, o których wiedziały, że na pewno zechcą kupić rzeźby.

Gdy wreszcie wszystko było zapięte na ostatni guzik, obie panie mogły sobie pozwolić na chwilę oddechu. Otwarcie wystawy zaplanowano na początek października, a że do tego czasu niewiele już mogły zrobić, Mel wzięła wolne, pozostawiając Carli załatwianie bieżących spraw.

Skończyła pić ostygłą już nieco kawę i położyła się na łóżku z rękami pod głową. Chciała chwilę odpocząć, a potem wyjść do ogrodu, by nazrywać trochę ziół, usunąć przekwitłe róże, skosić trawę i może przystrzyc żywopłot. Na razie jednak cieszyła się, że może spokojnie poleżeć w tym jasnym, miłym pokoju, pierwszym, który odnowiła, gdy dom stary i wymagający gruntownego remontu stał się jej własnością. Teraz na lśniącej, sosnowej podłodze leżały chińskie dywany w kremowym kolorze. Na oknach, wychodzących na tył domu, wisiały wybielone lniane zasłony. Wiklinowe meble też pomalowała na biało, nie wyłączając skrzypiącego starego bujaka odziedziczonego po babci. Kolorowe akcenty stanowiły tylko dwa duże wazony pełne świeżych kwiatów, ustawione w rogach pokoju, i pogodna, ładna ikona wisząca na ścianie między oknami.

Mel zdrzemnęła się i przespalała pół godziny, a potem wstała, wciągnęła na siebie dzinsy i wyblakły niebieski podkoszulek, a na nogi włożyła parę starych trampków, po czym zeszła na dół. Kiedy znalazła się w gabinecie, przeciągnęła dłonią po zaokrąglonych konturach rzeźby stojącej na biurku. Była to smukła, półmetrowej wysokości kolumna, wyrzeźbiona w wypolerowanym różanym drewnie. Gdy się w nią dłużej wpatrywało, stopniowo ujawniały się dziewicze kształty kobiecej figury, przypominające piersi, pośladki i brzuch. Mimo że ledwo zaznaczone, dawały się łatwo odczytać. Mel poczuła kojący spokój i jednocześnie dziwne napięcie. Ta rzeźba, a raczej wspomnienia z nią związane zawsze ją w taki nastrój wprawiały.

Wyszła na drewniany ganek biegnący przez cały front domu i zamasyście zatrzasnęła za sobą siatkowe, ochronne drzwi. Sójka, która siedziała na konarze wielkiego drzewa i jaśniała na nim jak kolorowy klejnot, odleciała w tym samym momencie, gdy Mel zeszła schodami do ogrodu.

Mel uklękła na trawie i wbiła małe widły w ziemię. Po chwili usłyszała w popołudniowej ciszy skrzypienie wejściowych drzwi w domu Briana Stillera. To stało się niemal rutyną: ilekroć Brian zauważył, że ona jest już u siebie, natychmiast wybierał się do niej w odwiedzinę. Doszedł do jej uszu odgłos otwieranych ochronnych siatkowych drzwi, trzask, gdy je za sobą zamykał, potem krótki nerwowy kaszelek, zdecydowane kroki przez ulicę i szuranie furki. Pragnęła dać mu jakoś do zrozumienia, że jest jej dobrze samej, że nie potrzebuje towarzystwa, ale nigdy się na to nie zdobyła.

Jeszcze jedno kasznięcie.

- Co u ciebie słychać, Mel? - zapytał.

- Wszystko dobrze, Brian! Dziękuję! - Zrezygnowana, przysiadła na piętach i przytrzy-

mywała widły ręką odzianą w rękawiczkę.

- Zastanawiam się - powiedział - czy nie chciałabyś, żebym przekopał ziemię na końcu ogrodu. Mogłabyś mieć wspaniałą grządkę na jarzyny.

- Nie miałabym czasu ich doglądać.

- Z przyjemnością mogę cię w tym zastąpić.

- Nie, Brian! Dajmy temu spokój! Ale w każdym razie bardzo ci dziękuję.

W tym czasie, kiedy zmarł Eric, Brian stracił żonę. Chorowała na raka piersi. To stało się przed trzema laty i od tamtej pory pułkownik otaczał Mel szczególną opieką. Przypominał jej, że trzeba założyć zimowe opony, oferował się, że oczyści jej ściek, że będzie pracował w ogródku, a nawet robił jej codzienne zakupy.

- Na pewno nie chcesz tej grządki? - pytał strapiiony.

- Całkiem na pewno.

- A jak ci leci w galerii?

- Mam wielki ruch. - Zdając sobie sprawę, że Brian czuje się bardzo samotny, Mel serdecznie się do niego uśmiechnęła. - Tkwimy po uszy w robocie, bo przygotowujemy ogromną wystawę.

- To bardzo dobrze. - Niechętnie od niej odchodził. - Nie zapominaj, że gdybyś czegośkolwiek potrzebowała, ja jestem blisko: wystarczy przejść przez jezdnię.

- Dziękuję ci, Brian! - Gdy wyszedł i zamknął za sobą furtkę, spojrzała na zegarek. Jeszcze parę godzin mogła popracować w ogródku. Przycinając, strzygąc, grzebiąc palcami w ziemi, oporządzając róże, Mel czuła się prawie szczęśliwa.

Wróciwszy do domu, poszła na górę, żeby wziąć prysznic i zmienić ubranie. W łazience badawczo przyglądała się swemu odbiciu w lustrze. Patrzyła na pełne piersi, zaokrąglone uda, wąską talię, silne i zgrabne nogi. Dotknęła blizny, która zaczynała się pod lewą pierś i sięgała niemal do biodra. Miała opalone i krągłe ramiona. Skóra na nich była napięta i błyszcząca. Pomyślała, że z taką smukłą figurą i gęstymi srebrnoblond włosami wygląda całkiem nieźle.

Wcale się nie przejęła, gdy zauważyła, że żołądek zaczyna się uwypuklać i nie pomaga najmocniejsze nawet jego wciąganie. Młodość przeminęła i nie powróci. „Nigdy już nie będę znowu młoda” - uświadomiła sobie. Co się stało z tą młodą kobietą, jaką kiedyś była? Skąd się wzięła nowa wersja jej osoby?

- Mam czterdzieści siedem lat - powiedziała do siebie, gładząc się dłońmi po biodrach i szczypiąc fałdy niezbyt już jędrnej skóry pod żebrami. Nie mogę oczekiwać, że będę wyglądała



jak dziewczyna i, co ważniejsze: wcale bym tego nie chciała.

Kiedyś, gdy podróżowała z Erikiem po Europie, znalazła się w Budapeszcie, w kąpielisku słynnym z gorących źródeł. Kobiety, które ją tam otaczały, były przeważnie od niej starsze, choć zdarzały się i młodsze, wszystkie jednak miały bujne kształty: opasłe brzuchy, uda, piersi i pośladki. Mel poczuła się wtedy mało kobieca. „Prawdziwe kobiety” - pomyślała. - Kobiety, które żyły, borykały się z przeciwnościami losu, rodziły i wychowywały dzieci, powinny właśnie tak wyglądać. Nadmiar ciała świadczy o ich kobiecości. Nie powinny z tą obfitością walczyć, ale się nią cieszyć.

Niemniej nadal uważała na to, co je, i regularnie chodziła na zajęcia gimnastyczne, mimo że nienawidziła zapachu tego miejsca i obce jej były skryte pragnienia innych gimnastykujących się pań w średnim wieku, które koniecznie chciały pozbyć się cech znamionujących ich kobiecość. Chyba najbardziej jednak nie lubiła poczucia, że jedynie umartwiając swoje ciało, może odsunąć od siebie wyrok skazujący... nie na śmierć, bo to byłoby do przyjęcia, ale na coś gorszego: na samotność.

## — 2 —

Mel po raz pierwszy spotkała Lisę Andersen na przyjęciu u Mahoneyów przed trzema miesiącami. Sara wzięła ją wtedy pod ramię i poprowadziła na drugi koniec pokoju.

- Chodź ze mną - powiedziała. - Musisz przywitać się z naszym nowym gościem.

Mel bez entuzjazmu odniosła się do propozycji.

- Niby dlaczego muszę?

- Przestań, Mel! Nie bądź nietowarzyska! A poza tym na pewno polubisz Lisę, bo to też artystyczna dusza.

„O Boże! - pomyślała Mel. - Chyba nie jest jedną z tych niewiast, które malują kwiaty na aksamicie, układają obrazy z muszelek albo robią makramowe abażury”. Usiłowała wyrwać ramię z uścisku, ale Sara, przejęta rolą pani domu, była nieubłagana.

- Męża Lisy na pewno znasz - rzuciła mimochodem. - To Ben Andersen. Jego rodzina od lat zamieszkuje dom nad jeziorem.

- Ach, tak? Andersenowie są naszymi sąsiadami. - Wbrew sobie samej, Mel nagle się zainteresowała.

- Lisa i Ben jeszcze do niedawna mieszkali w Nowym Jorku - wyjaśniała Sara. - Prze-

proceedzili się w nasze strony dopiero przed trzema czy czterema miesiącami. Wynajęli dom starego Adamsa. Liso, kochanie... - jej głos przybrał aksamitne brzmienie. - Chciałabym, żebyś poznała Melissę Sherman.

- Lisa Tan. - Drobna i barwna jak koliber młoda kobieta wyciągnęła rękę do Mel. W salonie Sary, wypucowanym na wysoki połysk, wydawała się stworzeniem z innego świata.

- Moim zdaniem doskonale do siebie pasujecie - szczebiotała Sara. - Na pewno się okaże, że macie wiele ze sobą wspólnego, bo przecież obie zajmujecie się sztuką. - Odwróciła się. - Zobaczcie, kto przyszedł: pan sędzia. Muszę do niego podejść... - i znikła, pozostawiając Mel i Lisę.

- Co pani o tym sądzi? - spytała Lisa. Miała na sobie szal w kolorze pawim i żółtą lnianą suknię, lśniąca niczym słońce.

- O czym?

- O tym, że my doskonale do siebie pasujemy.

- Skoro obie jesteśmy artystycznymi duszami - żartowała Mel - raczej niewielka jest na to szansa. - Upiła wina z kieliszka, który trzymała w dłoni. - Czy pani robi abażury z makramów?

- Nie! Raczej staram się tego unikać.

- A może maluje pani na aksamicie lub robi ozdobne koronkowe ornamenty? Niech zgadnę! Szyje pani poduszki z różnokolorowych łąt.

- Nic z tych rzeczy - zaśmiała się Lisa. - Jestem ceramikiem.

- Lisa Tan - przesyłabizowała Mel powoli. - Czy czasem Rita Bernham nie ma u siebie jakiejś pani pracy?

- Ależ tak!

- A ja jestem właścicielką galerii sztuki.

- Czy to ta stodoła zaadaptowana na galerię, którą się mija w drodze do Middlebury?

- Tak, właśnie ta.

- Od ulicy budynek wygląda naprawdę interesująco. I te dziwaczne rzeźby w kamieniu, które stoją przed domem...

- Są dłuta Teda Zimmermana, miejscowego rzeźbiarza.

- Zawsze mam ochotę zatrzymać się i spojrzeć na nie z bliska.

- Są tego warte. Proszę je obejrzeć, a potem wpaść do mnie na kawę.

- A więc jesteśmy umówione. - Lisa podniosła szklaneczkę ponczu i ponad jej brzegiem

obserwowała Mel. - Nie uwierzy pani, jak wielu osobom powiedziano, od kiedy tu przyjechałam, że świetnie do nich pasuję.

- No i jak? Pasuje pani?

- Do tej pory nie udało mi się tego stwierdzić.

- To śmieszne. Nie wygląda pani na kogoś społecznie nieprzystosowanego.

- Może po prostu nie nabrałam jeszcze małomiasteczkowego sposobu myślenia. - Lisa szeroko otworzyła oczy. Były tak ciemne, że trudno w nich było dostrzec źrenicę. - Chyba nie powinnam była tego powiedzieć. Prawda?

- Czy dlatego, że ja już w taki sposób myślę? Lisa przechyliła głowę i przecząco nią potrząsała.

- Małomiasteczkowy? Pani? Nie sądzę. Ma pani na sobie kostium od Nicole'a Fahri. Buciki od Manola Blahnika. Strzyżenie musiało panią kosztować co najmniej sto pięćdziesiąt dolarów. Nie! Nie widzę w pani niczego, co można by nazwać małomiasteczkowym.

- To dobrze - skwitowała oschle Mel.

- Jestem z natury zbyt bezpośrednia. Niczego nie owijam w bawełnę. Ben zawsze mi powtarza, żebym uważała na to, co mówię, bo mogę kogoś obrazić.

- Który z panów to Ben?

- Ten muskularny przystojniak, który stoi przy półce z książkami.

Mężczyzna, którego wskazała, znajdował się na drugim końcu pokoju. Stał, opierając się o ścianę, i przeglądał książkę, którą najwidoczniej wyjął ze stojącej za nim półki. Jedno ramię zgiął i zasłonił się nim, jakby chciał się odciąć od widoku i głosów gości Sary Mahoney.

Mel uświadomiła sobie, że już przedtem wiele razy widziała tego mężczyznę. Kiedyś obserwowała go nad jeziorem: płynąc w łodzi, energicznie wiosłował. Potem spotkała go, gdy robił zakupy w małym supermarkecie w Hallams Cove. A niedawno miała okazję zobaczyć, jak łowi ryby z pomostu przed domem Andersenów. Teraz sprawiał wrażenie, że nie tylko wolałby znajdować się gdzie indziej, ale duchem już tam się znajduje.

- Chyba niezbyt dobrze się tutaj bawi - zauważyła.

- Mój mąż, biedaczek, właśnie wrócił z Peru i pewnie za wielki to dla niego kontrast... A w ogóle Ben nienawidzi przyjąć. Dziś wieczór niemal siłą musiałam go wyciągać na to spotkanie.

Jakby wyczuł, że o nim rozmawiają, spojrzął w ich stronę. Choć Lisa nazwała go przystojniakiem, Mel nie wydał się specjalnie urodziwy. Mocno opaloną twarz wieńczyły rozwi-

chrzone kędziory nieokreślonego koloru; tylko na końcach się złociły, jakby rozjaśnione słońcem. Brwi miał gęste i tak jasne, że prawie białe. Kiedy jednak spojrział na żonę, twarz mu opromienił niezwykle piękny uśmiech.

- Ojej! - zawołała Mel.

- Wiem, jak to działa - zaśmiała się Lisa. - Gdy się do mnie pierwszy raz uśmiechnął, już było po mnie... - Spojrzała pytająco na Mel. - A który z tych facetów, którzy się tak na nas gapią, jest pani mężem?

- Jestem... Mój mąż nie żyje. - Mimo że od śmierci Erica minęły już trzy lata, nie mogła się zdobyć na wypowiedzenie słowa „wdowa”.

- Tylu jest chętnych mężczyzn, że nie sędzę, by miała pani trudności ze znalezieniem... - nie dokończyła zdania. Na jej policzki wystąpił rumieniec. - O, mój Boże! Co też ja wygaduję? To, co powiedziałam, było bardzo niegrzeczne. Przecież nie wiem, jak długo jest pani sama... Przepraszam.

- Nie szkodzi. - Wolą jednak zmienić temat. - Sara mówiła, że w naszym mieście jest już pani od trzech czy czterech miesięcy. Jak to się stało, że dotąd pani nie spotkałam?

- Ben często wyjeżdża, a ja czuję się wtedy niezbyt pewnie. Najbardziej się boję natknąć na osoby, do których rzekomo dobrze pasuję. W rezultacie przeważnie siedzę w domu. - Lisa zatkała dłonią usta. - Ojej! Znowu powiedziałam coś, czego nie powinnam powiedzieć, tym bardziej że spotkałam w tym miasteczku naprawdę wspaniałych ludzi. - Głośno się roześmiała. - Większość z nich zresztą poznałam w szkole rodzenia.

Spojrzenie Mel spoczęło na wąskiej talii Lisy.

- Nigdy bym się nie domyśliła - wyznała.

- Pewnie nie należało ogłaszać tej nowiny już teraz, ale taka jestem tym faktem przejęta, że trudno mi utrzymać go w tajemnicy.

- Kiedy dziecko ma się urodzić?

- W październiku.

- A teraz mamy marzec. - Mel szybko policzyła miesiące w pamięci.

- No tak... - potwierdziła Lisa. - Jestem w ciąży niewiele ponad dwa miesiące, ale oboje z mężem bardzo jesteśmy tym zaaferowani.

- Ma być syn czy córka?

- Wszystko mi jedno, byle było zdrowe.

- Czym się zajmuje pani mąż?

- Jest alpinistą - odparła Lisa.

Mel jeszcze raz rzuciła na niego okiem. Teraz rozmawiał z Joanną Mayfield, która bezczelnie z nim flirtowała, podczas gdy on stał grzecznie, potakując, i wciąż trzymał w ręce książkę wziętą z półki.

- A co robi poza tym? - nalegała Mel.

- Uprawia wysokogórską wspinaczkę i atakuje wciąż nowe szczyty. To jego główne zajęcie.

- A w międzyczasie?

- Robi, co może, aby zdobyć fundusze na wspinaczkę. Przeważnie chwyta się różnych dorywczych robót. Zajmuje się stolarstwem, budownictwem, takielunkiem... wszystkim, co może zapewnić mu zgromadzenie dostatecznej sumy pieniędzy, by mógł znowu wyjechać. Czasem oprowadza turystów, organizuje dalekie piesze wycieczki krajoznawcze i kieruje wyprawami początkujących alpinistów. - Uśmiechnęła się blado. - Góry to jego żywioł.

Kiedy później Mel znalazła się w pobliżu Bena, sama mu się przedstawiła. W jego głęboko osadzonych oczach dostrzegła przejmujące chłodem wyobcowanie, jakby przywykł do innych krajobrazów i szerszych horyzontów.

- Jestem Melissa Sherman - powiedziała. - Kupiliśmy od pańskiej matki letni domek nad jeziorem.

Nie uśmiechnął się, co ją trochę speszyło.

- Widziałem tam panią.

- Czy jest pan zadowolony, że przenieśli się państwo do Butterfield?

Potaknął.

- Nie lubię mieszkać w Nowym Jorku.

- Ja też nie - wyznała i nagle się zastanowiła, czy to wciąż jeszcze jest prawda.

- Czyżby? - Podniósł brwi z niedowierzaniem. - Nie wygląda pani na kogoś, kto...

- Nie wyglądam? - Odwróciła się od niego i odeszła.

Przez trzy pokolenia rodzina Adamsów z powodzeniem prowadziła sadowniczą farmę, zamieniając ją w kwitnące przedsiębiorstwo. Ale po śmierci ojca rodu, a potem ostatniego z braci, siostry nie były w stanie same zajmować się farmą. Stopniowo zbywały parcele różnym agencjom trudniącym się sprzedażą nieruchomości i w końcu z dawnych włości pozostał jedynie dom, obok niego stodoła i kilka zdziczałych jabłoni. W zamian za to, że trochę go podreperowali, Ben i Lisa Andersenowie mogli ten dom wynająć za nominalny czynsz.

Kiedy Mel z rozmachem wjechała na wyźwirowany podjazd, Lisa, stojąc przy drzwiach stodoły, machała jej na powitanie ręką. Mimo że była już prawie w piątym miesiącu ciąży, wciąż wyglądała jak mała dziewczynka: czesała swoje czarne, błyszczące włosy w dwa krótkie warkoczyki i nosiła się bardzo kolorowo.

Gdy Mel wyszła z samochodu, Lisa, wskazując ręką na jej bluzę w odcieniu morskiej zieleni i szorty w kolorze melona, dała wyraz swemu uznaniu:

- Jak to robisz, że zawsze wyglądasz tak cholernie szykownie? Nawet w drelichu i podkoszulku prezentujesz się doskonale!

- A ty jeszcze lepiej... Dziś rano byłam w Burlington i po prostu nie mogłam się oprzeć, żeby tego nie kupić. - Po czym wręczyła Lisie niewielką paczuszkę.

- Jeszcze jeden prezent? Wciąż mi coś przynosisz.

Idąc za Lisą, Mel przeszła przez ciemną, frontową część stodoły, w której wciąż jeszcze znajdowały się rzeczy pozostawione przez siostry Adams: stary drewniany wóz, sprzęt rolniczy, pudło asfaltobetonowych płyt i zardzewiałe ochronne siatki na okna. W kątach pełnych pajęczyn zalegały narzędzia ogrodnicze, para zakurzonych górskich rowerów, zwinięty wąż do polewania, doniczki na kwiaty, worki z kompostem i drzewnymi wiórami. Natomiast z tyłu domu, w jasno oświetlonym pomieszczeniu, słońce wlewało się przez ścianę, w której drewniane płytki zostały zastąpione szkłem. Z głośników zawieszonych na gładkich gipsowych ścianach rozbrzmiewały ciche tony koncertu fortepianowego Mozarta. Lisa pomalowała ściany na wspaniałe przytłumione kolory, wyczarowując piękne odcienie: staroróżowe, bladoniebieskie i szarolawendowe.

Większą część pracowni Lisy zajmowały garncarskie koła, skrzynie pełne gliny, wiadra z kaolinową gliną, miski z ręcznie mieszanym szklivem i narzędzia, jakich używała, aby nadać swoim wyrobom odpowiedni kształt i pokryć je glazurą.

Stoły i półki na ścianach wykonane były z klonu. Sufit też był z drewna. Osadzone w nim duże kwadratowe okna zapewniały górne światło. Porozrzucane po pracowni gliniane donice, pomalowane na żywe kolory: niebieski, zielony, turkusowy, służyły jako pojemniki na różne przedmioty. W jednej stały bambusowe pędy, w innej rolki papieru milimetrowego, w jeszcze innej miotełka z piór do kurzu. Dwa piece do wypalania porcelany przylegały do przeciwległej od wejścia ściany. Resztę pomieszczenia zajmowały półki, na których poustawiano naczynia z farbami i słoiki na pędzle. Jedną ścianę Lisa wyłożyła płytami korkowymi, w które powpinała kolorowe wykresy, a także szkice i rysunki nowych projektów. W dużej, otwartej szafie trzy-

mała pudła z drogą białą porcelaną.

- Zapraszam na poczęstunek - powiedziała, wskazując Mel długą ladę, na której, cicho burcząc, stała maszynka do kawy. Niedaleko mieścił się podwójny zlewozmywak z nierdzewnej stali. Obok lady znajdowała się mała lodówka. - W zamrażalniku mam śmietankę. Upiekłam czekoladowe ciasteczka z kajmakiem, które tak lubisz.

- Dziewczyna z Nowego Jorku sama piecze ciasteczka? Coś się tu nie zgadza.

- Przecież wiadomo: jeśli wejdiesz między wrony... Skoro Ben mnie tutaj przywiózł i chce, żebyśmy mieszkali na wsi, więc chyba powinnam się zachowywać jak wiejska żona. No nie?

- Oczywiście! I muszę powiedzieć, że bardzo poważnie to potraktowałaś. Ilekroć cię spotykam, myślę: oto rodowita mieszkanka Vermontu; jej rodzina na pewno mieszka tu od wielu pokoleń.

- Powiem ci więcej: lada dzień wezmę się do ubijania śmietany na masło; będę robiła własne! - zapewniła Lisa, rozpakowując paczuszkę. Wyjęła z niej parę malutkich farmerek z przodzikiem w kształcie serca. - Ach, Mel! Jakie one są słodkie, dziękuję!

- Najbardziej mi się spodobało to serduszko z materiału w kratkę, tworzące przodzik - wyznała Mel. - Bawi oko.

- Farmerki są naprawdę urocze i będą doskonale pasowały do sznurowanych buciczków, które kupiłam w zeszłym tygodniu.

- Buciczki dla niemowlaka?

- Trochę niemądre, prawda? Ponieważ maluchy szybko rosną, dziecko będzie je nosiło zaledwie przez tydzień, nie dłużej... Czułam jednak, że muszę je mieć. - Lisa przyłożyła farmerki do widocznie zaokrąglonego już brzucha. - Odrobinę za małe dla mnie, ale jeśli uda mi się nieco więcej zeszczupłeć, to kto wie...

- Jeśli stracisz jeszcze trochę na wadze, to chyba znikniesz, przestaniesz być widoczna.

- Mylisz się! Powinnam zeszczupłeć, bo nie wolno mi już przybrać ani grama. Zbliżam się do maksimum, na jakie pozwolił ginekolog, a mam jeszcze cztery miesiące ciąży przed sobą.

- W każdym razie lepiej zachowaj farmerki dla dziecka.

- Jeszcze raz pięknie ci dziękuję, Mel! - Lisa stanęła na palcach, by sięgnąć do policzka przyjaciółki, i serdecznie ją ucałowała. Nagle poczuła się onieśmielona i potarła palcami serce w kratkę na przodzie farmerek. - Wiesz, to naprawdę wspaniale, że znalazłam w tobie kogoś,

kto zastępuje mi matkę.

Mel przy najlepszej woli nie potrafiłaby wyjaśnić, dlaczego mające przyjść na świat dziecko Lisy tak wiele dla niej znaczy. Z niepokojem spojrzała w jej twarz.

- Wszystko u ciebie w porządku, kochanie? - spytała.

Lisa końcem pędzla stuknęła w zęby, spoglądając przez okno na dziko rosnące drzewa i splątane zarośla w zapuszczonym ogrodzie.

- Całymi tygodniami jestem sama i to mnie przygnębia. Gdy wychodziłam za Bena, wiedziałam, że on nigdy nie będzie konwencjonalnym mężem, który nosi garnitur i pracuje od dziewiątej do piątej. Chcę mocno podkreślić, że o tym wiedziałam i między innymi także za to go kochałam. Byłam przygotowana na to, że często będzie nieobecny, że będzie uprawiał wysokogórską wspinaczkę, chodził na dalekie piesze wycieczki i tego rodzaju rzeczy. - Potrząsała przecząco głową z takim rozmachem, że jej warkoczyki tańczyły dokoła głowy. - Dopiero teraz, może dlatego że spodziewam się dziecka, pragnęłabym, żeby tego nie robił.

- To dlaczego pozwalasz mu wyjeżdżać?

- Pozwalam? - Lisa głośno się roześmiała. - Przecież on jest dorosły, Mel. Robi to, na co ma ochotę. Nawet nie próbowałabym go zatrzymać.

- Powiedz mi, co czujesz.

- Nie mogę. Podczas wspinaczki musi się skupiać na tym, co robi. Obawa o mnie mogłaby go dosłownie kosztować życie.

- Może udałoby mu się znaleźć jakieś mniej niebezpieczne zajęcie i bliżej domu.

- Przypuszczam, że tak, ale kto wie, czy wtedy nie czułby się nieszczęśliwy, a tego nie chcę. Wspinanie się na szczyty górskie to dla niego jak narkotyk, jak najwyższe wyzwanie. Nie czuję się na siłach pozbawiać go tej przyjemności i nawet nie mam takiego zamiaru. Jediną osobą, która mogłaby go odwieść od wspinaczki, jest on sam. Nie próbuję tego robić, z równym powodzeniem mogłabym próbować oswoić panterę.

- Ale przecież pantery dają się oswajać.

- Tak, tylko że wtedy przestają być sobą; nie są już panterami. - Na policzku Lisy ukazał się dołeczek. - Po zachwycie, z jakim Ben mówi o wspinaczce, nawet o niewygodach i niebezpieczeństwach z nią związanych, wnioskuję, że permanentny stan lęku wyzwala w nim aktywność i chęć działania.

- Ależ to szaleństwo!

- Nie wtedy, gdy tocząc nierówną walkę, wygrywa, i w ten sposób się sprawdza. Wydaje



mi się, że tylko tam, na górskich szczytach, Ben dokładnie wie, kim jest naprawdę.

- A nie wie tego, gdy przebywa ze swoją żoną?

- W dzieciństwie Ben stracił w wypadku rowerowym kuzyna. Niechętnie o tym mówi, ale wiem, że wciąż siebie o tę śmierć oskarża, chociaż to nie była jego wina. Uważam, że jeśli górską wspinaczka jest dla niego potrzebą serca, to powinien ją uprawiać. Kocham go i chcę, żeby był szczęśliwy. Tylko czasem mi się zdarza, że pragnę... Boże, jak patetycznie to brzmi... by Ben chciał być tu ze mną, z nami, zamiast gdzieś tam daleko.

- Mnie się to wcale nie wydaje patetyczne.

- Ale jest, Mel! Choć sama czasem się do takich praktyk uciekam, nie znoszę naszych babskich sposobów osaczania mężczyzny, oplatania go niczym pędami dzikiego wina, zgrywania się na małą, kruchą kobietkę... Naprawdę tego nie znoszę.

- Czy nie przesadzasz? Przecież kobieta w ciąży może się chyba wesprzeć na męskim ramieniu?

- Nie ta kobieta! - zaśmiała się.

„To dziwne” - pomyślała Mel. Choć tak bardzo zbliżyła się do Lisy, jej mąż nadal pozostawał dla niej kimś prawie obcym i tak niedostępnym, jak góry, które ukochał.

- I jakby tego nie było dość, to jeszcze tęsknię za Nowym Jorkiem. Naprawdę! Tęsknię za tym radosnym poczuciem, że będąc tak blisko przepaści, żyje się na jej brzegu. - Lisa założyła ręce na piersi, patrząc w stronę sadu, gdzie rosły dawno nieprzycinane i nieoczyszczane krzaki owocowe i jabłonie o guzowatych pniach. - Mój kłopot polega na tym, że gdy Bena nie ma, czuję się nieraz przerażona. Boję się nie tylko o niego, ale także o siebie. Leżę w łóżku i myślę, co bym zrobiła, gdyby się jemu coś stało, jak bym sobie poradziła. Czy powinnam wydać na świat dziecko, jeśli istnieje obawa, że nie będzie miało ojca.

- Nie martw się, kochanie! Twemu mężowi na pewno się nie stanie nic złego - uspokajała ją Mel.

Lisa zmusiła się do uśmiechu.

- Masz rację. Wystarczy narzekać. Chcesz usłyszeć dobrą nowinę?

- Pewnie, że chcę.

- Wczoraj sprzedałam jedną z moich ceramik.

- To wspaniale. Którą?

- Nie widziałas jej. W domu z czerwonego piaskowca na Upper East Side pewna kobieta prowadzi małą galerię. I właśnie wczoraj zadzwoniła i powiedziała, że ktoś kupił moją cerami-

kę. Kiedy galeria odliczy sobie komisową prowizję, niewiele mi zostanie, ale przynajmniej mam satysfakcję, że coś sprzedałam.

- Jestem przekonana, że jeszcze wiele ceramik sprzedasz.

- A nie chciałabyś zobaczyć mego ostatniego projektu?

- Nie! - stanowczo odmówiła Mel.

- Ach, nie bądź taka... Spodoba ci się. - Zaśmiała się, wzięła talerz i trzymając go palcami za brzegi, pokazała Mel. - To prezent ślubny od rodziców pana młodego dla młodej pary w Teksasie. Zamówili po tuzinie płaskich i głębokich talerzy, tyleż talerzyków na przystawkę i deserowych. Poza tym półmiski i salaterki. Co o tym sądzisz?

- Wspaniale - pochwaliła, ale umyślnie obojętnym tonem.

- Nazwisko tych klientów brzmi Peacocke.

- Czyli paw i to tłumaczy, dlaczego tak się lubują w błękitach, zieleniach, piórach i tym podobnych rzeczach.

- Jeśli dobrze zrozumiałam, ta ceramika ci się nie podoba. A co myślisz o tym? - Lisa wskazała biały półmisek ozdobiony na obwódce delikatnym deseniem w biedronki i maki.

- Wolę tego nie oglądać. - Mel zasłoniła oczy dłonią.

- Zrobiłam go dla pewnej pani z Chicago, która ma bzika na punkcie biedronek. Podobno wielu kobietom te czarne kropki kojarzą się z seksem. Dziwne, bo ja, mimo że mam raczej szczęśliwe życie seksualne, jakoś nie mogę się dopatrzeć związku. - Lisa nerwowo postukiwała palcami. - Klient zamówił ten serwis dla żony na jej czterdzieste urodziny.

Mel westchnęła, wyraźnie rozdrażniona.

- Wiesz, że bardzo podziwiam twoje osiągnięcia, to, że założyłaś własny biznes i w ogóle...

- I co z tego?

- A to, że jesteś wybitnie utalentowaną ceramiczką i na tym powinnaś się koncentrować, a nie tracić czasu na takie paskudztwa.

- Ale dzięki nim bardzo dobrze zarabiam i mogę spokojnie czekać, aż ludzie odkryją mój talent.

- Bądź cierpliwa, Liso! Ludzie się na tobie poznają. W galerii twoje ceramiki wzbudziły ogromne zainteresowanie.

- Ale się nie sprzedawały.

- Dwie sprzedałam.

- Tak, ale jedną sama kupiłaś, a drugą Rita Bernhard. Obie jesteście moimi przyjaciółkami, więc to się nie liczy.

- Razem z ceramiką sprzedaną w Nowym Jorku będą trzy. I przypadkiem tak się składa, że Rita i jej mąż są doskonałymi znawcami i znanymi kolekcjonerami. Jeśli oni kupują ceramikę Lisy Tan, to możesz mi wierzyć, że taka wiadomość szybko się rozejdzie. - Mel odstawiła półmisek. - Czy uważasz, że będziesz mogła nadal pracować, kiedy urodzisz dziecko?

- Nie mam pojęcia. Słyszałam, że taki mały człowieczek wymaga niewiarygodnie dużo czasu.

- Tylko na początku. A teraz posłuchaj mnie, kochanie! Gdybyś się znowu źle poczuła psychicznie, nie chowaj tego w sobie, ale zadzwoń do mnie i przyjdź na kolację. Zawsze będziesz mile widziana.

- Dziękuję! Na pewno to zrobię. - Lisa zaczęła wkładać pędzle do słoika po kawie, który stał obok zlewozmywaka. - Wiesz, Mel, właściwie nie zamierzałam obmawiać męża. Jestem pewna, że Bena polubisz, kiedy go lepiej poznasz.

- Może bym polubiła, gdyby nie to, że on nie przebywa w mieście wystarczająco długo, abym się mogła o tym przekonać. Bardzo żałuję...

- A ja go zwyczajnie kocham. To proste... - stwierdziła Lisa. - Ale dość się nagadałam, teraz twoja kolej. Powiedz, co u ciebie?

- Niewiele poza tym, że żyję, oddycham, śpię i śni mi się Kosłowski - śmiała się Mel.

- Wciąż sobie nie potrafię wytłumaczyć, że się tobie udało zdobyć takiego faceta jak on i skłonić, aby chciał wystawić swoje prace w Vermoncie. Wielki sukces, Mel! Czy on przyjedzie, by otworzyć wystawę?

- Nie prosiłam go o to - powiedziała Mel, gładząc się po włosach. - Wprawdzie Kosłowski jest gotów przybyć do Butterfield, ale obawiam się, że Butterfield nie jest gotowe na przyjęcie Kosłowskiego. - Mel zaczęła zbierać swoje rzeczy i szykować się do wyjścia. - Chyba już pójdę.

Lisa odprowadziła ją do auta.

- Mam nadzieję, że się nie pogniewasz, jeśli cię spytam, dlaczego nie miałaś dzieci. Byłabyś wspaniałą matką.

- Ja... - zaczęła Mel i spłonęła rumieńcem. - Eric, mój mąż, uważał, że jest za stary na dzieci.

- Tak to nieraz bywa...

- Właśnie.

Wracając na Maple Street, Mel poczuła się winna. Skłamała i miała wyrzuty sumienia. Powinna była zdobyć się na szczerość i przyznać się Lisie, że nie z winy Erica nie miała dzieci. To w ogóle nie była jego wina. Ale nawet po wielu latach wciąż jeszcze nie potrafiła ani mówić, ani myśleć o dziecku, które kiedyś nosiła w swoim łonie i które z rozmysłem w sobie zabiła.

### — 3 —

Noc przetaczała się już nad górami, gdy Ben Andersen skręcił z szosy i wjechał na polną drogę wiodącą przez las. Choć wiele razy jeździł po tych spokojnych dróżkach wśród gąszczy białych brzoź i cukrowych klonów, za każdym razem czuł, że serce w nim rośnie, gdy widział, jak gęsto rosnące drzewa docierają na sam skraj drogi i zasłaniają niebo.

W Parris jechał powoli przez kryty most. Koła starego jeepa skrzypiały na wybitym deskami przejeździe. Dzielne światło przesączało się wąskimi pasmami przez boczne ścianki z surowego drewna i prześwity między górnymi deskami. Na skutek letnich upałów strumyk pod mostem mocno się zwęził i wkrótce zamienił się w niewielką strużkę pluszczącą między suchymi kamieniami.

Jadąc dalej wzdłuż polnej drogi, Ben w pewnej chwili się zatrzymał, zgasił silnik, wyszedł z samochodu i energicznie się przeciągnął. Wyruszył z domu wczesnym rankiem, przebył całą drogę do Brattleboro i spędził tam dzień na przerabianiu kuchni w pięknym wiktoriańskim domu, który właśnie odnawiano. Właściciel domu był bardzo wymagający. Wiedział, czego chce, i miał dokładną wizję tego, jak jego dom ma wyglądać. Ponieważ zakupił najlepsze materiały budowlane, żądał, by także wykonawstwo było najwyższej jakości.

„I to właśnie otrzymał, jeśli chodzi o moją pracę” - pomyślał Ben. Z radością dobierał odpowiednie rodzaje drewna, dopasowywał słoje, polerował powierzchnię desek, by dotykając jej, czuło się jakby jedwab pod palcami. „Dobrze wykonałem robotę - uznał. - A kiedy ją skończę, bez wątpienia nadejdą następne oferty”. Kim Bernhard już go zaprosił, by wpadł do niego, gdy będzie wracał do domu, bo chce z nim omówić swoje nowe projekty.

Kiedy spoglądał wstecz, lata spędzone w Nowym Jorku wydały mu się teraz okresem klęski, czymś, co trzeba było przejść, jak ceremoniał zakończenia pewnego etapu w życiu. Za swoją pracę otrzymał dobre wynagrodzenie, nawet można powiedzieć: bardzo dobre, i te pieniądze w zupełności wystarczą na sfinansowanie jego wysokogórskich wspinaczek. Niewielu

ludzi mogłoby wykazać się tak szczególnymi zdolnościami jak on. Kierownicy budowy byli gotowi doskonale opłacić robotnika, który wykonuje trudne prace przy konstrukcjach żelaznych na wysokości dwustu metrów, ma na sobie jedynie trampki i pas na narzędzia, i święcie wierzy, że nie spadnie. Przebywanie na rusztowaniu, wysoko nad resztą świata, sprawiało mu ogromną radość. Przeżywał to całkiem inaczej niż wspinanie się na górskie szczyty. Tego, co tam czuł, nie potrafiłby nikomu opisać, nawet Lisie; to było coś, co należało tylko do niego.

Wdychał przyjemne zapachy liści, ziemi i świeżego powietrza. Boże, jak on kochał te strony! Tutejszy krajobraz dawał mu poczucie wolności, przestrzeni i ciągle zmieniającego się piękna. Jeśliby uległ kiedyś kontuzji, która by mu uniemożliwiła górską wspinaczkę, ale pozwoliła resztę życia spędzić w tym zakątku, kalectwa nie odczułby zbyt boleśnie.

Znowu się przeciągnął, czując, jak mięśnie ramion się napinają, by się po chwili rozluźnić. Cisza nigdy nie jest absolutna, jednak tu wydawała mu się pozbawiona wszelkich odgłosów. Jedyne, co słyszał, to lekki szelest liści, nieznaczne ruchy w poszyciu leśnym, głos ptaka i szum wody spływającej po skałach. Wciągnął głęboko powietrze, czując, jak towarzyszący mu zwykle niepokój gdzieś się rozplywa i znika. Dopiero przed pięcioma dniami wrócił ze Szwajcarii, a już ogarnęło go przemożne pragnienie, by znowu zdobywać wysokie szczyty.

Usłyszał za sobą szelest i ostrożnie się odwrócił, by nie wystraszyć jakiegoś stworzenia. Wśród drzew wznosiły się tu kamienne mury na wpół zagrzebane pod opadłymi liśćmi. Ciągnęły się na niewielkiej przestrzeni, by dalej rozpaść się w usypisko gruzu. Po kończącym się już upalnym dniu powietrze było parne. Chmury dokuczliwych muszek bezustannie tańczyły pod drzewami.

Z tyłu, tam gdzie światło słoneczne padało ukosem na polanę porośniętą odurzającym sumakiem i jagodami wawrzynu, Ben zobaczył jelenia. Zwierzę wyszło z cienia i węszyło dookoła, szukając pod zalegającymi liśćmi delikatnych korzonków. Nagle jeleni podniósł głowę i spojrzał w stronę Bena. Poruszał wilgotnym nosem i strzygł uszami, jakby wyczuwał niebezpieczeństwo. Ben powoli wciągnął jeszcze jeden głęboki wdech, napełniając płuca zapachem lasu.

- Tak! - powiedział sobie w duchu. - Chętnie bym się tu osiedlił.

Dom Bernharda był wielki, zbudowany na wzgórzu nad tamą, cały ze szkła i białej cegły. Nieco niżej jezioro, otoczone drzewami, lśniło w zachodzącym słońcu jak płaska złota moneta.

- Jaki piękny widok stąd się roztacza - powiedział Ben, gdy Kim otworzył mu drzwi.

- To prawda. Mieliliśmy szczęście. - Kim był postawnym mężczyzną; gęsta czupryna i

zmarszczki nadawały jego twarzy interesujący wygląd. Ben zwykle go widywał w ochronnym kasku na głowie i roboczym ubraniu, dziś jednak Kim włożył sztruksowe spodnie i kaszmirowy golf. - W tamtym czasie znałem parę osób, które nam pomogły, ale wątpię, czy dziś moglibyśmy się w tym miejscu pobudować, tyle wprowadzono obostrzeń.

- Gdyby decyzja zależała ode mnie, też bym się pewnie nie zgodził - wyznał Ben.

- Pewnie tak, ale wejdź, proszę! - Kim ruchem ręki zaprosił go do środka i idąc przodem, prowadził przez patio pełne ozdobnych zielonych roślin. Po chwili znaleźli się w szerokim pasażu, przypominającym galerię sztuki. Ben zauważył kilka kanapek wysłanych aksamitem w kolorze szlachetnych kamieni, takich jak rubin, ametyst i topaz. Na białych ścianach wisiało mnóstwo obrazów, a na marmurowych postumentach stały rzeźby i posągi.

- Jak ty dobrze i zdrowo wyglądasz, Ben...

- Trenowałem. Wkrótce znowu szykuję się na wspinaczkę.

- Dokąd tym razem?

- Na Alaskę. Wraz z paroma przyjaciółmi wybieramy się na Denali.

- Denali?

- Chodzi o szczyt McKinley.

- Czy to trudne wejście?

- Alpiniści mawiają, że ten szczyt zabił więcej ludzi niż Eiger.

- Dziwię się, że go dotąd nie próbowałeś zdobyć.

- Ależ próbowałem, i to dwukrotnie. W obu jednak wypadkach musieliśmy zawrócić, zanim doszliśmy do szczytu. Pogoda bywa tam bardzo zła. Warunki są często gorsze niż na biegunie północnym.

Bernhard wprowadził Bena do dużego pokoju, pełniącego funkcję biura i pracowni. W jednej części, urządzonej wygodnie i w męskim guście, leżał na podłodze granatowy dywan, a przed ścianą, którą w całości pokrywały półki z książkami, stało duże biurko. Nieco dalej na niskim stoliku, otoczonym skórzanymi klubowymi fotelami, piętrzyły się specjalistyczne czasopisma poświęcone żeglarstwu, wzornictwu i wytwornej kuchni dla smakoszy. Na pozostałych ścianach wisiały szkice i techniczne rysunki przedstawiające różne architektoniczne pomysły, a między nimi fotografie budynków, które - jak można się było domyślić - projektował Kim Bernhard.

Drugi koniec długiego pomieszczenia zajmowały dwa połączone stoły kreślarskie. Posadzka była tu wyłożona rzeczonymi kamieniami, a wysokie okna wychodziły na tamę. Na

drewnianej ladzie w kształcie litery L, która dzieliła pokój na dwie części, stały makiety różnych budynków: od letniego domku nad jeziorem do centrum handlowego.

- A więc atakujesz szczyt McKinley po raz trzeci. Do trzech razy sztuka... - Kim wskazał Benowi skórzany dyrektorski fotel po jednej stronie szerokiego biurka, a sam usiadł po drugiej, w miękko wyściełanym fotelu z wysokim oparciem.

- Taką mam nadzieję. Wejście na ten szczyt dostarczy mi cennych doświadczeń przydatnych w przyszłości.

- Skoro już mówimy o przyszłości, to jak ją sobie wyobrażasz? - Kim splótł ręce za głową i przechylił się do tyłu.

„Całe życie poświęcę wspinaczce - myślał Ben. - Wysokie szczyty, wielka przygoda, szlachetne zmagania... I zawsze będę wracał do domu, do Lisy... Co jeszcze może mnie czekać?” - Wzruszył ramionami.

- Będę zdobywał wciąż nowe góry - odpowiedział. Nie oczekiwał jednak, żeby ktoś, kto nie jest alpinistą, go zrozumiał.

- I słusznie... - Bernhard patrzył na niego z lekkim uśmiechem, a potem rozłożył przed nim zwinięte w rulon plany. - Prosiłem cię, żebyś do mnie wpadł, bo mam dla ciebie pewną propozycję. Chodzi o biznes. Nie wiem, czy potrafisz odczytywać plany sytuacyjne, ale to, co ci teraz przedstawiam, jest wstępnym projektem wielkiego nowego centrum sportów zimowych, którego budowę nam zlecono.

- Nam?

- Tak, mam na myśli moją firmę architektoniczną „Bernhard i spółka”. Zlecenie, jakie otrzymaliśmy, dotyczy prestiżowego przedsięwzięcia na dużą skalę i potrzebna mi będzie każda fachowa pomoc i porada. Nie chodzi tu oczywiście o sprawy dotyczące cegieł czy zaprawy murarskiej.

- A na jakich poradach ci zależy?

- Chodzi o to, Ben, że jesteś facetem, który dobrze się zna na sporcie, ja natomiast nie mam o tym zielonego pojęcia. Co prawda trochę żeglowałem, grałem kiedyś w tenisa, ale to chyba wszystko, co umiem. A ty nie tylko znasz się na sporcie, ale jesteś ekspertem w swojej dziedzinie.

- Właściwie nie... tylko...

- Daj spokój, Ben! W ubiegłym roku musiałem zajrzeć do pewnych specjalistycznych czasopism zajmujących się wspinaczkami wysokogórkimi i chodzeniem po górach, by się zo-

rientować, co mi będzie potrzebne i jak mam się zabrać do wykonania zadania. Wtedy właśnie miałem okazję się przekonać, że we wszystkich tych fachowych czasopismach ciągle się powtarzało twoje nazwisko. Chciałbym więc wykorzystać twoją znajomość tematu.

- Chodzenie po górach? Czy o tym mówisz?

- Tak, o tym, i jeszcze o innych rzeczach. Chciałbym cię wciągnąć do współpracy przy realizacji tego projektu, zatrudniając cię jako sportowego konsultanta. I co ty na to?

Ben czuł się nieswojo. Kim proponował mu dokładnie taki rodzaj pracy, o jakim marzyła dla niego Lisa. Kiedy się tu sprowadzali, odniósł wrażenie, że Lisa ma nadzieję, iż on taką posadę w Butterfield znajdzie.

Bernhard uważnie się w niego wpatrywał.

- Wystarczyłoby mi się rozejrzeć, a przypuszczalnie znalazłbym nawet sporo ludzi, którzy mogliby mi udzielić takich samych rad jak ty. Ale pracowałem z tobą już przedtem i wiem, że jesteś człowiekiem, na którym można polegać, i że zawsze dajesz z siebie wszystko, na co cię stać, nigdy mniej, a to jest dla mnie bardzo ważne. Dlatego zwracam się z tą propozycją do ciebie.

Ben bardzo nie lubił, gdy o nim w taki sposób mówiono.

- Miałbym być twoim doradcą? - spytał i jakoś nie potrafił zapobiec temu, by w tonie jego głosu nie było słyhać chłodu. - Sam nie wiem... ale mam raczej zmysł praktyczny, przywykłem zarabiać pracą własnych rąk. Lubię pracę fizyczną, lubię wysiłek i nie przeszkadza mi nawet, gdy się przy robocie spocę.

- Wiem o tym i nie ma potrzeby, żebyś miał z tego rezygnować. Niemniej jestem pewny, że nie chciałbyś do końca życia być tylko robotnikiem. Sądzę, że faceta takiego jak ty nie zadowolą też zajmowanie się przez całe życie prostą stolarką, nawet jeśli doszedł w tym do pewnej wprawy. - Kim wziął do ręki alabastrowe jajo, leżące przed nim na biurku, i bawił się, ważąc je w dłoni. - Jednym z większych wyzwań, jakie stawia nam dwudziesty pierwszy wiek, jest zorganizowanie ludziom odpowiednich form spędzania wolnego czasu. Ośrodki sportowe i miejsca, gdzie można aktywnie wypoczywać, są ogromnie poszukiwane i zapotrzebowanie na nie stale rośnie. Radzę ci się w to zaangażować. Masz po temu wszelkie kwalifikacje. A ja jestem gotów płacić ci za twoje usługi bardzo wysokie honoraria.

- Ale mnie nie interesuje siedzenie przez cały dzień w biurze.

- Nikt ci nie każe siedzieć w biurze. Połowę czasu pracy powinieneś spędzać na budowie. Będziesz też zobowiązany do prowadzenia badań na terenie innych tego rodzaju ośrodków w



kraju, aby sprawdzić, jakie formy rekreacji zdały u nich egzamin, a jakie nie. Jeśli nasz projekt odniesie sukces, na pewno powstanie wiele jeszcze podobnych miejsc. Ludzie, którzy to sponsorują, mają wielkie plany; możesz wykroić z nich dla siebie ciekawe pole do działania. A co najważniejsze - ilekroć zatęsknisz za górami, będziesz mógł wziąć sobie wolne i wyruszyć na podniebne szlaki.

- Muszę to wszystko przemyśleć.

- Czy to znaczy - zaśmiał się Kim - że w głębi duszy już moją propozycję odrzuciłeś?

Ben przemieścił się w fotelu.

- Niekoniecznie.

- Prawda jest taka, że jeśli zgodzisz się wejść do zarządu, oddasz nam ogromną przysługę. Twój udział w naszym projekcie znacznie podniesie jego prestiż.

- Ja miałbym podnieść wasz prestiż? - zdziwił się Ben i rozejrzał dokoła, jakby się spodziewał, że zobaczy tu kogoś trzeciego. - Chyba złożyłeś tę propozycję niewłaściwemu człowiekowi. - W jego głowie rozległy się alarmowe dzwonki. Teoretycznie, to co mu Kim oferował, wydawało się bardzo korzystne. Ale Ben wiedział, że jeśli zaakceptuje ofertę Bernharda, to tak jakby sam pozwolił sobie nałożyć kajdanki. Niezależnie od tego, co Bernhard mówi teraz, nie wiadomo, w jakim stopniu wolnym i samodzielnym pracownikiem Ben byłby w rzeczywistości. Pomyślał o wysokich górach, o śniegu, który prószczy ze szczytów i kotłuje się jak dym na wietrze, co nigdy nie ustaje, o ostrym powietrzu, co szczypie w policzki jak mróz. Tam, na szczytach, człowiek jest odpowiedzialny tylko przed sobą samym. Tu, na dole, musiałby się opowiadać Bóg wie ilu ludziom, miałby do czynienia z biurokracją pod różnymi postaciami, czekałoby go mnóstwo roboty papierkowej, byłby też zobowiązany do prowadzenia ewidencji.

- Nie jestem właściwym człowiekiem - powtórzył, potrząsając przecząco głową.

- Zanim podejmiesz decyzję, przemyśl to jeszcze, Ben. Moja propozycja zapewnia zawarcie obopólnie korzystnego układu.

- Może mi to dokładniej wyjaśnisz.

- Będziemy cię sponsorować, co na pewno będzie z korzyścią dla ciebie.

- Zastanowię się nad tym - obiecał Ben i odsunąwszy fotel, dodał: - A teraz już sobie pójdę.

Wracając samochodem do domu, starał się jechać powoli. Lisa zapowiedziała, że spodziewa się dziś wizyty Mel Sherman, wolał więc, by gość wyszedł przed jego powrotem. Kobiety takie jak Mel wprawiały go w kiepski nastrój: czuł się przy nich nieswojo. Peszyły go ich

brylantowe pierścionki, suknie znanych projektantów z największych domów mody i towarzysząca im aura, jakby dopiero co wyszły z salonu piękności. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak Mel Sherman wygląda wcześniej rano - bez makijażu i rozczochrana. Rozśmieszyła go ta myśl. Pewnie śpi, chroniąc fryzurę pod siatką, tak jak zwykła to robić jego babcia.

Co innego Lisa, jego wspianiała, piękna żona... Boże, jakie on miał szczęście, że ją spotkał! Zwrócił na nią uwagę, gdy tylko wszedł na pięterko artystycznej pracowni, mieszczącej się w manhattańskim Soho, dokąd go zaproszono na kolację. Lisa z miejsca go oczarowała; patrzył jak zahipnotyzowany na jej piękne, lejące się jak płynny jedwab, włosy, które lśniły, gdy poruszała głową. Obserwowała go przez stół, dookoła płonęły świece, a on, napotkawszy spojrzenie jej czarnych i błyszczących jak obsydian oczu, poczuł, że ściska go w dołku pod pierściami i doznał nagłego olśnienia: wiedział już, że to ta jedna jedyna... Zanim wyszedł, zdobył jej numer telefonu i przez cały następny tydzień codziennie do niej dzwonił. Ani razu jednak nie udało mu się jej zastać. Nie chciał zostawiać wiadomości na automatycznej sekretarce, bo mu się wydawało, że ona jest w domu, sprawdza, kto do niej dzwoni, ale jego telefonów nie chce przyjmować.

Dwa tygodnie później po wyjściu z placu budowy zobaczył ją na Manhattanie. Szła chodnikiem w jego kierunku.

- Cześć, Ben! - zawołała.

Przez chwilę wpatrywała się w panujący na budowie bałagan. Stały tam betoniarki, dźwigi, różne zardzewiałe żelazne części, koparki i dziesięciometrowe betonowe słupy, które właśnie zwieziono na plac. Ogromny wieżowy żuraw przenosił wysoko na dach potężne wiązki belek i stalowych prętów. Chaos towarzyszący budowie nowego centrum był dla Bena czymś naturalnym.

- Czy ty tu pracujesz, Liso? - spytał.

- Ależ skąd! Przyszłam specjalnie, żeby cię zobaczyć, bo się dowiedziałam od Moniki, że ty tu pracujesz.

- Nie wiem, kim jest Monika.

- Gospodyni przyjęcia, na którym się poznaliśmy. Malarka.

- Ach, tak?... Ja jej właściwie nie znam, zaproszenie na kolację dostałem od przyjaciela. -

Wzruszył ramionami.

Lisa miała na sobie ciemnoczerwoną sukienkę bez rękawów i wymyślne srebrne kolczyki, a jej pomadka do ust była doskonale dobrana do koloru sukni.

Ben miał brud pod paznokciami, a kiedy ściągnął ochronny kask, stwierdził, że na jego włosach osiadł cementowy pył, skórę zaś pokrywają zakrzepłe plamy i pot. Bliskość Lisy sprawiła, że wydał się sobie prostacki i toporny. Delikatnie, bojąc się ją zabrudzić, ujął jej gołe ramię dwoma palcami i pod skórą wyczuł drobne, niczym u wróbelka, kości. Uśmiechnął się i patrzył, jak jej rysy się rozplývają, jakby była pod wodą.

- Co u ciebie słyszeć, Ben?

- Dzwoniłem do ciebie dziesiątki razy, ale nigdy nie było cię w domu. - Przytrzymał się ręką ściany, by utrzymać równowagę. Czy ona naprawdę powiedziała albo dała do zrozumienia, że przyszła tu, że odbyła całą tę drogę tylko po to, by go zobaczyć?

Kokieteryjnie na niego spojrzała.

- A niech to! Gdybym wiedziała, że zadzwonisz, wszystko bym odwołała i została w domu.

Kiedy się uśmiechała, skóra pod jej oczami układała się w urocze fałdki. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz widział kogoś równie pięknego, tak absolutnie doskonałego. W jego sercu zapadła decyzja dotycząca przyszłych losów tej miłości.

- Chciałem cię zaprosić na kolację - powiedział.

- No i co?

- Nadal tego chcę.

- Więc co cię powstrzymuje?

„Gdyby mu się dokładniej przyjrzała - pomyślał - zobaczyłaby, jak jego serce skacze pod podkoszulkiem z radości”. I było to nawet coś więcej niż radość.

- Czy zjesz ze mną kolację? - spytał w końcu.

- Chętnie.

- Kiedy?

- Może jutro?

- Jutro?

Któryś z jego kolegów z pracy, stojąc wysoko nad nimi na rusztowaniu, coś krzyknął. Ktoś inny zagwizdał, gwizd był długi i wyrażał uznanie. Lisa spojrzała w górę i pomachała im ręką, a potem znowu spojrzała na Bena.

- A może pojutrze? - Przechyliła głowę na bok. - Chyba że jesteś zajęty?

To nie mogło być aż tak łatwe. Oczekiwał, że da mu jakąś wymijającą odpowiedź, że zaproponuje spotkanie w przyszłym tygodniu, i obieca, że do niego zadzwoni, aby się umówić, a

potem już nigdy więcej jej nie usłyszy.

- Umówmy się na jutro - poprosił i zdziwił się, że jego głosowi udało się zabrzmieć naturalnie. Nie mógł oderwać od niej wzroku.

Udając się na tę pierwszą randkę, postanowił pójść po Lisę do jej mieszkania. Czekala na niego w turkusowej jedwabnej sukience z wysokim kołnierzem. W uszach miała długie, turkusowe kolczyki, a na szczupłych przedramionach bransoletki z jadeitu. Wieczór był zimny i mokry, a chodniki śliskie od deszczu. Porywisty wiatr hulał między domami. Wylądowali w małej włoskiej restauracji. Ben przypomniał sobie z zadziwiającą dokładnością, że gdy wtedy otworzył drzwi i wprowadził ją z ciemnej ulicy do ciepła i światła, otoczył ich zapach czosnku, rozmarynu i wina, a także to, że wciąż nie był w stanie uwierzyć w swoje szczęście.

Poczuł pilną potrzebę, niemal przymus, bliższego jej poznania.

- Chcę wiedzieć o tobie wszystko - powiedział, pochylając się ku niej nad obrusem w kratkę. - Absolutnie wszystko!

- A ile masz na to czasu? - spytała.

- Do końca życia - i wyciągnawszy rękę, chwycił jej dłoń.

Uśmiechnęła się i uwolniła rękę.

- Nie wierzę.

- Opowiedz mi o swojej rodzinie.

- Niewiele mam do opowiadania. Moja matka umarła na raka, gdy miałam sześć lat. A ojciec, który jest Chińczykiem, stracił wzrok i jest niewidomy.

- Ach, tak - bąknął, nie wiedząc, co powiedzieć, i poczuł się strasznie zakłopotany.

- Po śmierci mamy przyjechała do nas jej kuzynka i zamieszkała z nami w Brooklynie. Nie była moją matką, ale zachowywała się tak, jakby nią była; sześciolatniemu dziecku wydawało się to niezrozumiałe. Byłam jedynaczką, co jeszcze pogarszało sprawę. - Podniosła głowę i patrzyła na niego czarnymi przepaścistymi oczami, w których głębi zdawał się widzieć nieśmiałą małą dziewczynkę, jaką kiedyś była. Wzruszyła ramionami. - Tyle o mojej rodzinie... A jaka jest twoja?

- Mam brata i oboje rodziców. To niezbyt ciekawe, prawda? - I od razu poczuł się winny.

- Nie, co ja mówię? To nieprawda. Mam wspaniałą rodzinę. Kocham ich i jestem pewny, że oni odwzajemniają moją miłość. - Nie był tego jednak tak do końca pewny, bo od czasu wypadku czuł, że stracił prawo do ich miłości.

- Ale...? - spytała.

- Ale co?

- Widzę, że coś przede mną ukrywasz. O co chodzi? Trzymasz na strychu ciotkę wariatkę? Czy może twój kuzyn z drugiego pokolenia odsiaduje karę w więzieniu Alcatraz?

Podniósł ręce do góry.

- Nie mam nic do ukrycia!

- Czym się zajmował twój ojciec?

- Był profesorem lingwistyki, a moja mama jest farmaceutką.

- Mój tata jest stroicielem fortepianów. Wydawał mi się zawsze bardzo... powściągliwy. Myślę, że to słowo właściwie określa jego naturę. Starał się też być samowystarczalny i samodzielny, co jest zrozumiałe. Jako niewidomy musiał nauczyć się sam o siebie dbać. Od śmierci mojej matki dbał też o mnie. - Położyła palce na dłoni Bena tak delikatnie, że odczuł to jak podmuch powietrza na skórze. - Podobno zajmujesz się montowaniem żelaznych konstrukcji czy czymś w tym rodzaju.

- Tak, ale tylko dorywczo... Ta praca jest dobrze opłacana i dzięki niej mam możliwość robienia tego, co jest naprawdę moją pasją.

- A co jest twoją pasją?

- Wysokogórska wspinaczka - powiedział, uśmiechając się, i widział, jak jej twarz łagodnieje.

- A jak ci się pracuje przy żelaznych konstrukcjach tak wysoko nad miastem?

- Świetnie! - Zastanawiał się, czy ona wiele z tego zrozumie. - To bardzo podobne do górskiej wspinaczki i daje tyle samo radości.

- Czy do tego potrzebne są specjalne umiejętności?

- Do pewnego stopnia. Trzeba mieć organizm zdolny do pokonywania wysokości i spokojne, stabilne nerwy. Ludziom zdarzają się upadki. Raz widziałem, jak pewien mężczyzna spadł z czterdziestego piętra. Nic dobrego, wierz mi! - Odwrócił twarz, przypomniawszy sobie miazgę, jaką stało się ciało tego nieszczęśnika, pomarańczową maź, która się pojawiła między palcami, i czarną krew wyciekającą z jego uszu i ust. Najgorszy jednak był widok zastygłej w bezruchu postaci i świadomość, że po człowieku pozostał jedynie pusty podkoszulek i spodnie rozpostarte na ziemi.

- Mogę to sobie wyobrazić - szepnęła Lisa, wzdrygając się.

- Ale nawet wtedy, gdy zdajesz sobie sprawę, że w każdej chwili możesz upaść, masz, będąc tam wysoko, tak wspaniałe poczucie wolności, takie cudowne doznania... - Potrząsnął

głową. - Nie potrafię tego opisać.

- To jest chyba coś takiego, czego nikt nigdy nie zdoła ci odebrać, nawet gdybyś zajmował się czymś innym - powiedziała Lisa cichym głosem. Usłyszawszy te słowa, Ben pojął, że ta dziewczyna instynktownie rozumiała nawet te rzeczy, o których nie mówił, i już wiedział, że z nią chce spędzić resztę swego życia.

- Wymień trzy rzeczy, jakie lubisz - poprosił i sięgnawszy przez stół, ujął jej rękę.

- Herbaciane róże, srebrne łyżeczki i czarną kawę.

- Same kolorowe rzeczy - zauważył.

- A teraz powiedz, co ty lubisz? - spytała.

- Lubię wodę, skały, a ponad wszystko - góry.

- Wymieniłeś same żywioły.

- To prawda. - Otoczył dłonią jej drobne palce. - Ale ciebie lubię bardziej niż każdy z nich.

- Czyżbym też była żywiołem?

- Oczywiście! - i dodał ze śmiechem: - Jest pięć żywiołów: ziemia, powietrze, ogień, woda i Lisa.

Gdy ją później odwoził do domu, zapytał:

- Czy wyjdiesz za mnie? - Nigdy dotąd nie czuł się równie nierozważny i jednocześnie taki pewny tego, co robi.

Lisa się zaśmiała i odwróciła do niego głowę ruchem tak wdzięcznym, że poczuł pożądanie.

- Nie znasz mnie! - ostrzegła.

- Znam cię dostatecznie dobrze - zapewnił.

- Nie mam ochoty wychodzić za mąż.

- A gdybyś miała, czy wzięłabyś mnie pod uwagę?

Jedną rękę trzymała już na drzwiach do przedsionka klatki schodowej budynku, w którym mieszkała, ale odwróciła się i jeszcze raz na niego spojrzała. Ujrzał w jej ciemnych oczach odbite światła i pomniejszony obraz siebie samego.

- Może... - odpowiedziała.

Nazajutrz posłał jej tuzin herbacianych róż, następnego dnia paczkę ziarnistej kawy, a w tydzień później - dwie srebrne łyżeczki, które znalazł w antycznym sklepie w Village.

Z kolei Lisa podarowała mu butelkę wody mineralnej Evian, widokówkę przedstawiającą

Mount Everest i kawałek skały wysadzanej lśniącoymi kryształami. Badali wzajemnie swoje terytoria niczym naukowcy odkrywcy ziem nieznanych.

Lisa zaprosiła go do siebie na kolację. Podziwiał oryginalny wystrój jej mieszkania: białe ściany, czarny jesionowy stół i krzesła, czarny włochaty dywan na biało pomalowanych deskach posadzki i jedna czerwona róża w kryształowym flakonie. Trudno by było o większy kontrast niż różnica między tym wnętrzem a domem rodziców Bena, przeładowanym meblami i ozdobami.

- Lojalnie cię ostrzegam - wyznała Lisa - że nie umiem gotować niczego, z wyjątkiem makaronu.

- Pewnie ze względu na twoich chińskich przodków - zażartował Ben. - Moja bratowa ma wspaniały przepis na zielony sos pesto do makaronu. Chcesz go wypróbować?

- Oczywiście!

- Muszę cię jednak uprzedzić, że makaron z tym sosem jest bardzo, ale to bardzo podniecający seksualnie. Jeden kęs... i wszystko się może zdarzyć.

- Jestem gotowa; nie mam żadnych zastrzeżeń. - Wytrzymała jego spojrzenie, ale szybko oddychała rozchyłonymi ustami, a już po chwili zagryzła dolną wargę i odwróciła wzrok.

Razem utłukli orzeszki sosnowe i świeżą bazylię, starli na długie wąskie pasemka parmezan i dodali surowej zielonej oliwy, którą Ben kupił w delikatesach za rogiem w pobliżu jej domu. Przyglądał się jej drobnym, silnym palcom obierającym czosnek i czuł, jak przepelnia go miłość. Zapach czosnku wydał mu się samą esencją namiętności i wiedział, że odtąd już zawsze ten zapach będzie mu przywodził na myśl Lisę.

- Mmm... - mruzczała, przymykając upojnie oczy, gdy zanurzywszy łyżkę w smakowitym sosie, poląła nim łazanki, które dla nich przygotowała. - Ach, Ben! To jest pyszne. Czysta rozkosz, jak orgazm.

- A nie mówiłem?

- Ciekawa jestem, co się teraz zdarzy? - spytała po chwili, obserwując go znad brzegu kieliszka napełnionego winem.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Przecież powiedziałeś, że po spożyciu tego sosu wszystko się może zdarzyć.

- Cieszę się, że w to uwierzyłaś - odparł lekko ochrypłym głosem.

Wstawiła świece do pojemnika z niewygładzonego kamienia, pełnego kolorowych szklanych paciorków. Na deser podała dojrzałe słodkie gruszki. Siedzieli naprzeciw siebie i jedli,

opierając łokcie na stole. Patrzyli sobie w oczy, w których odbijały się tańczące płomienie świec. Lisa obrała gruszkę, umoczyła ją w kieliszku białego wina i trzymała delikatnie w zębach. Pochyliła się w stronę Bena tak, aby ich usta się spotkały. Ben odgryzł połowę gruszki, którą mu ofiarowała, i ich wargi otarły się o siebie pieszczotą tak delikatną, jak muśnięcie piórkami. Sok sączył się z kącika jej ust i spływał do wklęsnięcia u nasady szyi, a Ben przybliżwszy głowę, zlizywał go. Wygięła szyję i zamknęła oczy.

- Ben - mówiła cichym, omdlewającym głosem - Ben... - Jej wargi wciąż lśniły od oliwy. Przemknął po nich językiem, czując smak czosnku i soku z gruszki.

- Kocham cię! - wyznał i przycisnął jej dłoń do serca. - Kocham cię na zawsze i po wszystkie czasy.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

- Może powinniśmy pójść do łóżka.

Leżąc na twardym futonie, który służył Lisie za kanapę i łóżko, Ben otoczył ją ramionami i tak mocno przytulił do piersi, że aż jęknęła z wrażenia.

- Czy jesteś pewna, że tego chcesz? - spytał, ściągając z niej podkoszulek.

- Tak - odparła i wsunęła się pod niego.

- Naprawdę jesteś tego pewna?

- Absolutnie!

Podłożył dłoń pod jej plecy, czując pod palcami kości tak delikatne i kruche, że obawiał się, iż mogłyby potrzaskać jak zapałki, gdyby się z nią zbyt brutalnie obszedł. Włosy Lisy pachniały kokosem i czosnkiem. Przytulił głowę do jej małych, trochę niesymetrycznych piersi i wciągnął głęboko w siebie ich zapach. Jej skóra w dotyku przypominała nektarynkę.

Gdy wszedł w nią po raz pierwszy, patrzyła na niego z dziecięcą powagą i zdawało mu się, że wstrzymuje oddech, mocno go do siebie przyciskając.

- Tak - szepnęła miękko, kiedy oboje przeżyli orgazm i na jej twarzy pojawił się uśmiech pełen ekstazy. - Tak - powtórzyła.

Wiedział, jak Lisa zareaguje, gdy jej opowie o propozycji Kima Bernharda. Uśmiechał się na myśl o tym. Rzucił się w jego ramiona z twarzą rozpromienioną radością. Przytulił się do niego, choć wypukły brzuch będzie ich rozdzielał, i pokryje jego twarz pocałunkami.

- Ach, kochanie, co za cudowna wiadomość - powie. - To wspaniale! Kiedy zaczniesz?

Ben bardzo kochał Lisę i chciał uczynić ją szczęśliwą. Ale wiedział, że kiedy jej to powie, nie będzie miał już innego wyjścia, jak przyjąć propozycję Kima, wziąć tę pracę i zgodzić



się na ograniczenia, jakie ze sobą przyniesie: na utratę wolności, rezygnację z gór, na pozbanienie się tych wzniosłych, czystych momentów spełnienia, kiedy stał ponad światem i wiedział, że nie jest niczyją własnością, że nie nadużywa niczyjego zaufania i nie ma żadnych zobowiązań wobec nikogo, tylko wobec siebie.

Nie może jej tego powiedzieć. W każdym razie nie teraz. Nie wspomni o tym do chwili, gdy uda się do letniego domku i spróbuje jeszcze raz przemyśleć sprawę.

- Kochanie, jestem w domu! - zawołał grubym głosem, który ją zawsze rozśmieszał. Wszedł frontowymi drzwiami i klucze powiesił na wieszaku w holu. Czuł zapach świeżej farby, pieczonego kurczaka i jeszcze gorących, dopiero co zdjętych z blachy ciasteczek

- Ach, mój drogi! - Przez chwilę stała w kuchennych drzwiach, a potem padła mu w ramiona. Miała smugę żółtej farby na policzku i drugą, taką samą, we włosach. Podniósł żonę, okręcił dokoła i pocałował w usta.

- Uf! - sapnął, ostrożnie stawiając ją na podłodze. - Już wkrótce nie będę w stanie cię unieść. Ważysz chyba tonę.

- Ostatnio mam wściekły apetyt i żrę jak koń. - Wzięła go za rękę i pociągnęła do kuchni. Otworzyła lodówkę i wyjęła butelkę piwa Coors. - Masz ochotę na szklaneczkę?

Skinął głową i podniósł butelkę do ust. Potem przysunął sobie krzesło i usiadł przy stole.

- Opowiadaj, jak spędziłaś dzień.

- Bardzo dobrze. Malowałam pokój dziecinny; położyłam już drugą warstwę farby. Potem krótko się przespałam i upiekłam ciastka dla Mel.

- A co u niej? - spytał, ale naprawdę wcale mu nie zależało na tym, by się dowiedzieć.

- Wszystko dobrze. Przyniosła takie słodkie farmerki dla dziecka. Popatrz! - zdjęła je z oparcia krzesła i pokazała mu.

- To bardzo miło z jej strony.

- Wiem. Ona prawie tak samo przejmuje się tym dzieckiem jak my. Domyślam się, że biedaczka nie miała dotąd szansy zostać babcią, a teraz, dzięki nam, bardziej zbliżyła się do tej roli.

- Jej mąż nie miał, zdaje się, szczególnego nabożeństwa do dzieci.

- A może to ona nie chciała mieć z nim dzieci?

- Nie mogę powiedzieć, że mam jej to za złe. Czasem go widywałem w domku letnim w czasie wakacji i zawsze wydawał mi się trochę głupkowaty. Prawdę mówiąc, nie wiem, dlaczego ona w ogóle się z nim związała, przecież mądra z niej babka.

Lisa postanowiła zmienić temat.

- Mam ochotę spytać cię, jak spędziłeś dzień, choć ryzykuję, że to zabrzmii, jakbyśmy byli Bóg wie jakim starym małżeństwem.

- Miałem bardzo dobry dzień. Pracowałem nad modernizacją kuchni w domu, który właśnie odnawiam, i muszę się pochwalić, że odważyłem kawał dobrej roboty. Kiedy skończymy remont, dom będzie naprawdę wspaniały. Uwielbiam pracować w drewnie. - Sięgnął do lodówki i nie wstając z krzesła, wyciągnął jeszcze jedno piwo.

- A jak się czujesz, kochanie?

- Po prostu wyśmienicie. Boli mnie krzyż, mam nudności i zgagę, ale uwielbiam ten stan.

- Wygięła się i przyłożyła dłonie do krzyża.

- Czy nie ma sposobu, żeby trochę złagodzić ból?

- Pewnie są jakieś sposoby, ale nie wtedy, gdy się ma lekarza, który, ilekroć wspomnę o jakiejś mojej przypadłości, pociesza mnie, że taki jest los kobiet. Możesz to sobie wyobrazić? A przecież, na miłość boską, mamy dwudziesty pierwszy wiek!

- Brad Patterson jest może trochę staroświecki, ale wszyscy mówią, że to dobry położnik.

- Niech ci będzie, ale cię uprzedzam, że drugie dziecko Andersenów będzie pod opieką innego lekarza.

- Mój Boże! A ja nie wybiegam myślami poza to pierwsze dziecko. - Przecież chcemy mieć ich więcej niż jedno. Prawda?

- Tak, ale... - Ben chciał się na razie delektować pierwszym dzieckiem. - Jeśli będą wyglądały tak jak ty, możemy ich mieć i tuzin. - Przytknął butelkę piwa do ust. - Ale najpierw zadbajmy o to pierwsze, dobrze?

- Po prostu myślałam, że kiedy zaczniemy, moglibyśmy postarać się o dwoje, a nawet troje dzieci.

- Dobrze, że mamy dość duży dom. - Wstał z miejsca. - W czym mógłbym ci pomóc?

- Zrób sałatę. Wszystko inne jest gotowe. Pocałował ją w głowę.

- Jesteś najładniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widziałem.

- To miło z twojej strony, kochanie, ale ja widziałam się w lustrze, kiedy wychodziłam dziś rano spod prysznic, i wiem swoje. Nabrzmiałe piersi, potężny brzuch: wyglądam jak maciora.

Ben darł palcami listki sałaty i wrzucał je do miski.

- Nie widzę żadnego podobieństwa... - Sięgnął po oliwę i ocet, czosnek i musztardę.

Udawał, że przygląda się jej twarzy. - ...No może z wyjątkiem tego fragmentu wokół nosa... - żartował.

Lisa wyjęła z kredensu talerze i sztućce.

- Piękne dzięki! - Na środku stołu postawiła wymodelowaną przez siebie na kole garn-carskim miskę pełną pomidorów. - Panie z mojej grupy w szkole rodzenia opowiadają, co jest dla mnie zaskakującą nowiną, że historia się nie kończy wraz z przyjściem dziecka na świat. Nie tylko dochodzenie do formy trwa całe tygodnie, ale w dodatku po rozciągnięciu się skóry pozostają na zawsze rozstępy, nie mówiąc już o pieluszkach i o tym, że przez wiele lat nie śpi się nocami... Tymczasem ja nie mogę się już wprost doczekać...

- Bo dziecko będzie tego warte.

- Wiem. - Lisa odrzuciła głowę do tyłu i głośno się roześmiała. - Nie mam pojęcia, dla-czego tyle zrzędzę, skoro przecież przez całe życie marzyłam, żeby być w ciąży, być matką i w ogóle... Tak naprawdę nigdy niczego innego nie chciałam. Boże, Ben, to będzie nasze pierwsze dziecko, a więc najbardziej radosne wydarzenie na świecie!

- Nie wątpię, że będzie jeszcze wiele innych...

- Będę miała kogoś, kogo można kochać, i kogoś, kto będzie kochał mnie. Wiem, że mam także ciebie, ale to jest coś innego. Dziecko kocha się bezgraniczną i bezwzględną miło-ścią. Bardzo pragnę móc zajmować się swoim dzieckiem w taki sposób, w jaki moja matka nie miała szansy zajmować się mną. Chciałabym bawić się z nim, grać w różne gry, odprowadzać je do szkoły, uczyć jazdy na rowerze, mówić mu, że je kocham. - Uśmiechnęła się i zagryzła wargę. - Mam nadzieję, że nie stanę się jedną z tych zwariowanych matek, które nie mogą się dość nachwalić, jakie wspaniałe są ich dzieci, ale się boję, że taka właśnie będę. - Włożyła na dłonie rękawice ochronne w kształcie pingwina i otworzyła drzwiczki piekarnika. - Proszę cię, Ben! Kiedy zacznę zmuszać dziecko do recytowania poezji albo popisywania się przy gościach grą na skrzypcach, podziel mnie czymś twardym po głowie. Dobrze? - Postawiła na stole rondel z gotową potrawą. - Przynieś mi to!

- Nie ma mowy. Kto wie, może gdy znów się wybiorę do Burlington, sam zacznę się rozglądać za jakimś małym instrumentem muzycznym dla dzieci albo za książką z wierszyka-mi.

- Sądzisz, że będziesz tak samo zwariowany na punkcie tego dziecka jak ja?

- Mylisz się. Będę o wiele bardziej zwariowany... - powiedział, uśmiechając się do niej czule.

Później zabrali się razem do zmywania. Lisa myła naczynia, a Ben je wycierał i odkładał na miejsce. Gdy zapadł zmrok, ćmy i komary podlatywały do siatki ochronnej na oknie i uderzały w nią. Ben widział ich odbicie w ciemniejącym szkle szyb. „Cóż to za wspaniała scena z życia domowego! - pomyślał. - Stanowimy doskonale małżeństwo. Dobrześmy się dobrali. Cholerny ze mnie szczęściarz”.

## — 4 —

Po wyjściu od Lisy Mel w drodze powrotnej do domu wstąpiła do Mayfieldów.

- Puk, puk! - zawołała, wchodząc do dawno niesprzątanego holu, którego posadzka, ułożona z szerokich klepek, kiedyś froterowana do połysku, była prawie niewidoczna pod warstwą zalegających ją przedmiotów. Wały się tu szkolne tornistry, adidas, sterty książek i odzież, z której dzieci już wyrosły; Joanna miała oddać ją na cele dobroczynne albo do szpitala, i chociaż stale obiecywała, że to robi, nigdy nie mogła znaleźć czasu. Całe rzędy wieszaków zajmowały płaszcze, żakiety, szale, czapki baseballowe i plecaki. Wisiał tam nawet melonik, który Tom, najstarszy syn Joanny, wiele lat temu kupił na wyprzedaży, i duża polowa lornetka.

Mel zatrzymała się przy drzwiach do pokoju dziennego, z którego dochodził zapach spalonych tostów i sosu do spaghetti oraz charakterystyczna woń znamionująca obecność starego psa.

- Cześć, Mel! - Dwunastoletni Jamie, młodszy syn Joanny, obserwował gościa znad książki, którą właśnie czytał. Gargery, stary jak świat basset, ulubieniec rodziny, podniósł głowę z kolan Jamiego i patrzył na Mel smutnymi oczami o czerwonych obwódkach.

Mel pocałowała Jamiego w głowę i pogładziła po sterczących włosach.

- Zanim pójde poszukać twojej mamy, chciałabym, żebyś mnie oświecił, co się u was dzieje.

- Lucy jest w swojej sypialni i ma atak hysterii, bo mama nie pozwoliła jej pójść na szkolny bal z jakimś baseballistą. A Tomasz jest w garażu i robi bombę.

- Bombę? - przeraziła się Mel.

- To nie jest prawdziwa bomba, tylko atrapa, do filmu, który Tom przygotowuje razem z Lee, Samem i facetami, co się na tym znają. A mama jest w kuchni. Pali wszystkie potrawy jedną po drugiej i jęczy, że wolałyby nie żyć.

- Można więc powiedzieć, że jest to po prostu zwyczajny dzień w raju.

- Tak. Bardzo dobrze to ujęłaś.

Mel musiała się pohamować, bo miała wielką ochotę mocno chłopca uściskać.

- Jestem już za duży, by mnie obściskiwano - stwierdził z niezwykle poważną miną ostatnim razem, kiedy tego próbowała. - Ale nie sądzę - dodał - żebym miał coś przeciwko temu przy bardzo specjalnych okazjach, takich jak Boże Narodzenie czy urodziny.

- Co teraz czytasz? - spytała. Podniósł do góry książkę:

- *Lord of the Flies* Williama Goldinga\*.

- Podoba ci się?

\* Polski tytuł powieści brzmi *Władca much*.

Poprawił okrągłe okulary, które wciąż mu się zsuwały.

- Nie sądzę, by słowo „podoba się” było tu na miejscu. Powiedziałbym raczej, że jest to bardzo interesująca książka.

- Myślisz, że gdybyś się znalazł w podobnych okolicznościach, zachowałbyś się tak samo jak dzieci opisane w tej powieści?

- Najprawdopodobniej tak bym się zachował.

- Słowo „Lord” sugeruje, że znowu jesteś przy literze „L”. - Mel wiedziała, że Jamie dobiera sobie lektury według klucza alfabetycznego. - A co dalej?

Jamie zmarszczył brwi i na jego policzkach ukazały się dołeczki.

- Nie mogę się zdecydować. Mama namawia mnie na *Moby Dicka* Hermana Melville'a albo na *Mansfield Park* Jane Austen. A pani co by mi radziła?

- O tej porze roku wolałabym *Moby Dicka*. Zachowaj sobie *Mansfield Park* na następny raz, gdy znów dojdiesz do litery „M”.

- Też tak myślę... - Spojrzał na otwartą książkę. - Zanim mnie pani spyta, czy pomagam mamie, powiem, że próbuję jej pomagać, i nawet nakryłem stół do kolacji, choć wcale mnie o to nie prosiła.

- Brawo, Jamie! Jesteś wspaniały. - Opuściwszy chłopca, Mel weszła w krótki korytarz prowadzący do kuchni z tyłu domu. Joanna Mayfield, jej najlepsza przyjaciółka, mieszkała w tym dużym starym domu od piętnastu lat. Dziesięć z nich przeżyła już bez Gordona. Jamie miał dwa lata, gdy mąż Joanny się wyprowadził i przeniósł do Connecticut, gdzie zamieszkał ze swoją sekretarką.

Mel zapukała do otwartych drzwi, przez które dochodził głos Joanny klnącej na czym

świat stoi.

- Mogę wejść? - zapytała.

- Kto to?

- Wredna Wiedźma ze Wschodu.

- W takim razie możesz. Mel weszła.

- O Boże! - jęknęła Joanna. - Jak ty pięknie wyglądasz! Szczupła, opalona, wspaniała. Od razu się gorzej poczułam.

Mel wyciągnęła schłodzoną butelkę chardonnay, którą kupiła po drodze w sklepie alkoholowym.

- Ale chyba wkrótce poczuję się lepiej, bo ta jest już do połowy opróżniona. - Joanna wskazała na stojącą na ladzie butelkę.

- Równie dobrze możesz powiedzieć, że jest jeszcze w połowie pełna.

- Nie mam dziś dobrego nastroju, więc raczej skłaniam się do stwierdzenia, że butelka jest do połowy opróżniona - wyznała z kwaśną miną Joanna.

W wielkiej, po staroświecku urządzonej kuchni unosiła się pod sufitem gruba warstwa niebieskiego dymu i Mel zaczęły łzawić oczy.

- Co tu się stało? - spytała.

- To ten cholerny toster. Włożyłam do niego dwie kromki chleba, a to zakichane urządzenie nie chciało się wyłączyć i chleb nie wyskoczył. Zanim się domyśliłam, że należy wyjąć wtyczkę z gniazdka, w kuchni zrobiło się czarno jak w kopalni węgla. - Joanna wytarła czoło ramieniem. - A ja właśnie miałam z Lucy gigantyczną awanturę o tego głupka, który chce ją zabrać na szkolny bal. Powiedziałam jej, że w żadnym wypadku się nie zgodzę, by poszła z chłopcem o takiej reputacji. I co? Kto wie, czy nie zrujnowałam życia córce, i to na zawsze... Boję się, by dziewczyna nie przecięła sobie żył, bo twierdzi, że życie straciło dla niej wszelki sens.

- Słyszałam, że Tom przygotowuje jakąś bombę w garażu.

- Chodzi o film - wyjaśniła Joanna. - Jakiś idiota dał Samowi na urodziny kamerę. Jeśli się nie pośpieszą, nie zaczną wreszcie tego filmu robić albo go nie zapuszczają, czy co się robi z filmami, to ja też sobie przetnę żyły.

Mel włożyła wino, które przyniosła, do lodówki i poszukała kieliszka.

- Usiądź ze mną na chwilę - poprosiła. - Dzieci mogą poczekać z kolacją. Kochany Jamie nakrył już za ciebie stół.

- A Lucy przyrządziła sałatę. Przypuszczam, że chciała mnie w ten sposób zmiękczyć, zanim jeszcze wymieniła imię Hanka.

Joanna była o trzy lata starsza od Mel, ale dziś w szerokiej bluzce, wypuszczonej na luźną drelichową spódnicę, i z błyszczącym jednym kolczykiem w uchu wydawała się młodsza. Nalała sobie wina i przycisnęła palce do skroni.

- Co za dzień! - skarżyła się. - Nie dość, że spaliłam tosty, to jeszcze zapomniałam, że sos do spaghetti stoi na piecu i też się spalił. Na domiar złego Jamie wkradł się rano do pokoju Lucy, aby zagrać w jakąś głupią grę na jej komputerze, choć dobrze wie, że nie powinien tego robić, i wyobraź sobie, że skasował jej pracę, na którą poświęciła cały ostatni tydzień. Nie masz pojęcia, jakiego krzyku Lucy narobiła i ile musiałam wysłuchać żalów. A zdarzyło się to jeszcze, zanim wyszła sprawa ze szkolnym balem...

- No, tak... Lucy zawsze miała zdrowe płuca.

- I oczy w mokrym miejscu. W dodatku był to jeden z cięższych dni w księgarni. Najpierw zachorowała Wendy i nie mogła przyjść do pracy. Potem nastąpiła katastrofa z dostawą książek do liceum. W końcu doszło do tego, że mieliśmy prawdziwy „dzień niezadowolonego klienta”. Aż troje klientów uznało za stosowne zrobić mi awanturę, tyle że w różnych porach dnia. Jakaś wredna baba podniosła na mnie głos i nie uwierzysz, ale wręcz wyła, bo się okazało, że zamówione przez nią książki nie nadeszły. Zjawiała się z tą sprawą dopiero wczoraj i od razu jej powiedziałam, że szansę na szybkie zrealizowanie są raczej niewielkie, ponieważ wszystkie dzieci na całym świecie usiłują za wszelką cenę dostać najnowszy tom Harry'ego Pottera. - Joanna pochyliła się i wyjęła garść orzechów z otwartej torebki na stole. - Wiem, że nie powinnam jeść orzechów, szczególnie gdy Cruella de Ville, która prowadzi z moją grupą zajęcia z gimnastyki wyszczuplającej, bardzo krytycznie ostatnio patrzy na moje biodra. Ale pal ją diabli! Zasłużyłam na to, by sobie trochę pofolgować, zwłaszcza po tym, co ona z nami dzisiaj wyrabiała.

- Byłaś dziś na ćwiczeniach z gimnastyki wyszczuplającej?

- A co? Nie widać?

- Od razu po wejściu zauważyłam...

Joanna przesunęła dłonie po szerokich biodrach i uśmiechnęła się do Mel.

- Nie każdy ma szczęście, żeby się urodzić z doskonałą figurą i mieć rozmiar „36”, wiesz? I jeszcze do tego z urodą gwiazdy filmowej... - Mówiąc to, obserwowała Mel znad okularów. - Ale czy zdajesz sobie sprawę, że niedługo będzie dziesięć lat, od kiedy otworzyłam

księgarnię?

- Mój Boże, więc minął już taki kawał czasu? Nie do wiary!

- Zawsze marzyłam, żeby urządzić z tej okazji przyjęcie i zaprosić wszystkich, którzy kiedykolwiek kupili u mnie książkę, ale wiem - wzruszyła ramionami - że nigdy do tego nie dojdzie.

- Musisz to zrobić. Pomogę ci. A poza tym nie zapominaj, że zbliżają się czyjeś urodziny...

- O Jezu! Nie mów mi o tym. Chcę zapomnieć.

- Nigdy nie przypuszczałam, że tak długo utrzymasz księgarnię w swoim ręku. Tyle razy straszylaś, że ją sprzedasz, aby móc zrobić - cytuję - „coś naprawdę interesującego ze swoim życiem”. Jestem bardzo dumna z ciebie, Jo - dodała Mel - że wytrwałaś przy księgarzni, zwłaszcza że po rozwodzie sama wychowujesz troje dzieci i wszystko jest na twojej głowie...

- Jeśli jestem z czegoś dumna, to z tego, że udało mi się tak długo utrzymać na powierzchni i nie splajtować. Dziesięć pełnych lat. Ojeju...

- Pamiętasz, jak się denerwowałaś, kiedy przejęłaś księgarnię od Dona Cunninghama?

- A czy ty pamiętasz, jak zdzierałam brud osiadły na niezliczonej ilości półek?

- A te gniazda mysie w magazynie?

- Albo na wpół zjedzone kanapki, schowane za książkami? I obie przyjaciółki jednocześnie się roześmiały.

- Domyślałam się, że ten stary pocziwina odkładał niezjedzone kanapki na półki, a potem zapominał, gdzie je zostawił.

- Nie był aż tak stary - stwierdziła Joanna. - Powiem więcej: uważam, że gdyby go się dokładnie umyło i elegancko ubrało, całkiem dobrze by się prezentował.

- Ależ Joanno! On śmierdział!

- To był nie tyle zapach brudu, ile... - Joanna szukała odpowiednich słów - ...intensywny zapach mężczyzny.

- Daj spokój!

- Nic jednak nie zmieni faktu, że nie dokonałabym tego wszystkiego bez twojej pomocy. Wiesz o tym, prawda? - powiedziała, uśmiechając się. - Boże, już najwyższy czas, żebym się wzięła do robienia czegoś innego.

- Wciąż to powtarzasz.

- Ale może tym razem naprawdę tak myślę.



- Nie wygłupiaj się, Jo. Na pewno tak nie myślisz, bo przecież dopiero teraz udało ci się urządzić księgarnię, jaką zawsze chciałaś. A co z japońskim ogródkiem, który zaczęłaś już zakładać z frontu? Gdybym miała najmniejsze podejrzenie, że zamierzasz się stąd wynieść, nie traciłabym tyle wolnego czasu, nie znosiła Bóg wie ilu toreb żwiru ani nie dźwigała kamieni, by je ustawić dokoła księgarni.

- Moim zdaniem człowiek powinien się co jakiś czas na nowo odkrywać, mieć nowy pomysł na siebie. - Joanna zgarnęła jeszcze jedną garść orzechów i wpakowała je do ust.

- Ale postępuj tak tylko wtedy, gdy nie lubi siebie takiego, jakim jest. - Mel nie znosiła wszelkich nagłych zmian. - Ciekawa jestem, co innego byś robiła, gdybyś przestała zajmować się księgarnią.

- Gdybym miała pieniądze, podróżowałabym. Ale ponieważ ich nie mam, dobrym pomysłem byłoby może prowadzenie sklepu ze zdrową żywnością. W Butterfield na pewno by się przydał. W tej chwili musisz jechać trzydzieści kilometrów, żeby kupić pół kilograma zdrowych, ekologicznie wyprodukowanych jabłek.

- Zdrowa żywność? - Mel wybuchnęła śmiechem. - Chyba nie mówisz tego poważnie!

- Dlaczego nie?

- Co ty, na miłość boską, wiesz o zdrowej żywności?

- Więcej, niż sobie wyobrażasz - odparła Joanna. - Lucy i Tom oboje całkiem zwariowali na jej punkcie.

- A co będzie z księgarnią? Przecież tutejsi ludzie ci ufają i wierzą, gdy im radzisz, co mają czytać. Czy pomyślałaś o tych wszystkich, którzy przyjeżdżają we wtorki i czwartki, żeby się spotykać i omawiać nowe książki? A jeszcze są konkursy i kluby młodych czytelników. Co się z nimi stanie?

- Posłuchaj mnie, Mel! Już w wieku sześciu lat marzyłam o tym, żeby prowadzić własną księgarnię. Pragnęłam tego, wiedząc, że na książkach majątku nie zrobię. - Ale teraz doprowadzają mnie do szału konkurencyjne metody, stosowane przez różne sieci, Internet itp. I dziś mam już inne marzenia. Uważam, że w obecnych czasach należy zająć się czymś nowym... - Joanna przeczesywała palcami zmierzwione włosy. - Nie można ograniczać się do jednego modelu życia, ale korzystać z najróżniejszych możliwości.

- A mnie wystarczy jedna recepta na życie.

- Mnie nie!

- Więc chcesz zacząć nowe życie pod hasłem: zdrowa żywność?

Nagle drzwi z trzaskiem się otworzyły i do kuchni weszła Lucy. Oczy i nos miała czerwone i mokre od łez. Z jednego ramienia zwieszał się jej plecak.

- Jadę do Hartford - oznajmiła. - Chcę zamieszkać z tatą.

- A czy on o tym wie? - spytała Joanna.

- W każdym razie w tym domu nie pozostanę ani chwili dłużej.

- Jaka szkoda... Myślałam, że zamówimy sobie telepizzę, bo spalił mi się sos do spaghetti. Ale, mój Boże... Skoro tak postanowiłaś, to pewnie musisz to zrobić. - Joanna uśmiechnęła się do córki. - Nie sądzę, by tata był bardziej ode mnie skłonny pozwolić ci iść na bal z Hankiem Summersem, zwłaszcza że mam zamiar do niego zadzwonić i poinformować go, co się przydarzyło Annie Kirchner.

- Jak możesz być taka podła, mamó? - Łzy trysnęły jej z oczu. - Chwilami szczerze cię nienawidzę!

- Przykro mi, kochanie. Spotkałam w życiu zbyt wielu facetów takich jak Hank, aby ryzykować szczęście mojej najdroższej córeczki.

- Ee tam... W nosie masz moje szczęście... Ach, cześć, Mel! - Lucy zwróciła się nagle do gościa, zmieniając się z powrotem w dobrze wychowaną panienkę, jaką zwykle była. - Co u ciebie?

- Wszystko dobrze - odparła Mel.

- A wiesz, że przeczytałam w „New York Timesie” artykuł o tej malarce, którą odkryłaś. Mirja coś tam... Pisali też o tobie - relacjonowała Lucy.

- Tak, i bardzo mnie to ucieszyło.

- Jeślibym się zdecydowała zostać - zagadnęła Lucy matkę, patrząc na nią wilkiem - to jak długo miałabym czekać na tę pizzę?

- Sama do nich zadzwoń i zamów to, na co masz ochotę. Dostarczą w ciągu najwyżej trzydziestu, no, może czterdziestu minut. Ale teraz pozwól mi, proszę, porozmawiać z Mel.

- Niech ci będzie!... - zgodziła się Lucy. Powiedziała to niezbyt grzecznym tonem.

Kiedy wyszła, Mel spytała szeptem:

- A co takiego przydarzyło się Annie Kirchner?

- Ten łotr, Hank, ją zgwałcił, a potem utrzymywał, że odbyło się to za obopólną zgodą. Rodzice Anny, imigranci, zbyt byli zawstydzeni i zszokowani, aby cokolwiek w tej sprawie zrobić.

- Ależ wredny chłopiec...

- Właśnie. - Joanna podniosła kieliszek. - Skoro Lucy wspomniała o twojej galerii, to nie powinniśmy zapominać, że i ona wkrótce będzie obchodziła pewną rocznicę.

- Tak. Niedługo będzie cztery lata, jak ją prowadzę.

- Ale nie możesz przypisać żadnej zasługi w tym względzie Ericowi. Nic nie zawdzięczasz swemu zmarłemu mężowi.

Obie kobiety przez chwilę na siebie patrzyły, a potem Joanna gniewnie prychnęła.

- Spójrz prawdzie w oczy, Mel! Eric nigdy by ci nie pozwolił założyć galerii sztuki, mimo że pieniądze na ten cel pochodziły od twojej matki. Musiałaś czekać z otwarciem, aż on umrze. A mogłabyś być już od dziesięciu lat w zawodzie i zdobywać się na śmielsze inicjatywy niż prowadzenie galerii w małym mieście, w odległym i zacofanym Vermoncie. Przecież ty też miałaś swoje marzenia, Mel. Wiem, że je miałaś.

„To prawda” - myślała Mel. Rzeczywiście miała marzenia, ale tylko nieliczne z nich mogły się kiedykolwiek spełnić.

- Nasze życie toczyło się wokół Erica - wyznała Mel, próbując się uśmiechnąć. - Mój mąż lubił nazywać siebie starszym partnerem i za takiego się w naszym związku uważał.

- Może i był cholernym starszym partnerem, ale ty powinnaś była mieć więcej z życia, niż miałaś. - Joanna wygodniej rozparła się w krześle.

- Wolałabym, żebyśmy już do tego nie wracały - powiedziała Mel. Często się ostatnio zdarzało, że kiedy myślała o swoim małżeństwie, jej dłonie zaczynały drżeć. Nie wiedzieć czemu wciąż wracały do niej słowa, jakie dawno temu wypowiedział ojciec, chociaż jej się zdawało, że przecież zepchnęła ten incydent na samo dno pamięci.

„Czy ty mnie kochasz, tatusiu?” Na to pytanie oczekiwano by się - a nawet można by się domagać - jedynej odpowiedzi: „tak!”. - Ale ona usłyszała: „Obawiam się, że nie”, oznajmione obojętnym tonem.

Upiła wina i poczuła, jak jego chłód dociera do głowy i kłębi się wokół mózgu.

- Czas, żebyś sobie kogoś znalazła, dziewczyno - Joanna zaśmiała się nieco ochryplym głosem. - Znajdź sobie kogoś przystojnego, tak urodziwego jak ty, bo trzy lata, to za długo, by się obywać bez mężczyzny.

- Skąd wiesz, że się obyвам?

- Gdyby było inaczej, powiedziałaś mi o tym.

- Nie liczyłam na to.

- Wiem, że tak właśnie byś postąpiła. Kobiety górują nad mężczyznami tym, że umieją

się dzielić i żyją dłużej niż mężczyźni.

- Co ma jedno z drugim wspólnego? Nie widzę związku.

- To, że kobiety żyją dłużej od mężczyzn, jest powszechnie znaną prawdą - upierała się przy swoim Joanna. - Dodam jeszcze, że dotyczy to zwłaszcza kobiet samotnych. Bo kobieta samotna może puszczać wiatry w łóżku, ilekroć zechce, jeść to, na co ma ochotę, i wtedy, kiedy jej przyjdzie ochota. Nie bez znaczenia jest też fakt, że żaden samolubny głupol nie jęczy jej nad uchem, że nie wie, gdzie leżą czyste kalesony. Boże! Gdy poznaję faceta, to wiesz, co mu mówię na samym początku?

- Co takiego?

- Że nie myję okien i nie piorę skarpetek, a już na pewno nie piorę żadnych cholernych bokserów. - Potrząsnęła przyciężkim biustem i seksownie wyduła wargi. - Zapewniam tylko miłe spędzenie czasu, nic więcej.

Mel tak żywiołowo się śmiała, że wino zamiast przejść przez gardło, chlusnęło nosem. Popluła się i splamiła przód bluzki.

- O Boże! - zawołała Joanna z udanym zgorszeniem. - Scena godna Marthy Stewart...\*

\* Martha Stewart prowadzi w telewizji programy kulinarne, a także uczy dobrych manier i radzi, jak prowadzić dom.

Mel wytarła oczy i nos papierową chusteczką, a potem pochyliła się nad Joanną i uściśnęła jej dłoń.

- Nie wiem, co bym zrobiła bez ciebie. Nadal jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami, i to na zawsze, co, Jo?

- Skoro tak mówisz... Choć właściwie już Charles Dickens coś podobnego powiedział.

- Mamo, czy to wygląda jak bomba? - ktoś pchnął drzwi od garażu, szeroko je otwierając, i do kuchni Wparował Tom, a za nim trzech jego szkolnych kolegów. - Cześć, Mel! - powitał gościa. W ręce trzymał jakiś okrągły przedmiot.

- Dzień dobry, pani Sherman! - chórem krzyknęli pozostali chłopcy.

- To nie wygląda jak bomba, ale jak duże okrągłe mydło kąpielowe - stwierdził Lee.

- Albo jak wielki pomidor, tyle że szarego koloru - dodał Sam.

- Mnie to przypomina piłkę do koszykówki - oświadczył czwarty chłopiec. - I tym właśnie jest.

- A co ty o tym myślisz, mamo?

- Posłuchaj, kochanie! Czasy, kiedy interesowałam się terrorystyczną organizacją pod nazwą Symbionese Liberation Army, dawno minęły. Nie mam zielonego pojęcia, jak powinna wyglądać bomba.

- A jakie jest twoje zdanie, Mel?

- Kojarzy mi się to z jakimś komiksowym rysunkiem.

- Najlepiej byłoby napisać wielkimi literami BOMBA - zaproponowała Joanna. - Wtedy ludzie będą dokładnie wiedzieli, co to jest.

- Postąpilibyśmy tak jak rosyjscy rewolucjoniści. Oni zawsze nadawali nazwę swoim bombom - nie bez złośliwości zauważył Tom.

- Pewnie po to, żeby nie pomylić bomb z pomidorami - wtrącił Lee.

- Albo z własnymi jajami - zażartował, podśmiewując się, Sam i ukradkiem zerkał, jak na jego słowa zareagują obie panie.

- Wydaje mi się, chłopcy, że musimy to jeszcze przemyśleć - zasugerował czwarty chłopiec. W tym momencie w kieszeni jego džinsów zabrzmiał sygnał telefonu komórkowego na melodię *Ody do radości* Beethovena. - O, cholera, to pewnie moja mama chce wiedzieć, dlaczego nie ma mnie jeszcze w domu - wyjaśnił.

- To i ja lepiej już pójdę - ogłosił Sam i, spojrzawszy na Toma, dodał: - Zobaczymy się później, dobrze?

Znowu zadzwonił telefon komórkowy. Tym razem dał się słyszeć dźwięk chóralnego al-leluja i chwilę się rozlegał, dopóki właściciel komórki w końcu jej nie znalazł.

- To nie w porządku, Tom - Joanna zwróciła uwagę synowi. - Dziś jest dzień powszedni i musisz odrobić lekcje.

- Mamo... - szemrając i zrzędząc, chłopcy wrócili do garażu i z trzaskiem zamknęli za sobą drzwi.

- Wolałabym, żeby się w ten sposób nie zachowywali - powiedziała Joanna, łapiąc się za głowę.

- A ja nie mogę się przyzwyczaić do widoku młodych, wiecznie trzymających przy uchu telefon komórkowy, jakby był przylutowany.

- Takie czasy... - zauważyła Joanna. - Skoro mówimy o znakach czasu, to ciekawa jestem, jak się czuje Lisa.

- Widziałam ją dziś po południu; odniosłam wrażenie, że biedaczka popadła w depresję.

- Niedawno była w mojej księgarni i kupiła jeszcze jedną książkę o obowiązkach przy-

szłej matki. Nie spotkałam nikogo, kto by tak poważnie traktował macierzyństwo. On też mi wygląda na bardzo odpowiedzialnego rodzica. Oboje nie zdają sobie chyba sprawy, co ich czeka - stwierdziła Joanna i dołała wina do kieliszków. - Boże! Mam wrażenie, że całe wieki minęły od czasu, gdy sama byłam taka naiwna, ufna i niedoświadczona. - Bezskutecznie usiłowała przygładzić zmierzwiłone włosy. - Powiedz, Mel! Jesteś już przygotowana do wyjazdu do Bostonu?

- Oczywiście.

- Jeśli o mnie chodzi, to zarządziłam, by podczas mojej nieobecności starsze dzieci pilnowały domu, ale Bóg jeden wie, jak się z tego zadania wywiążą. Jamie ma pojechać autobusem do Hartford i zostać przez ten czas z ojcem. - Skrzywiła się i dodała: - On naprawdę odczuwa teraz brak taty.

- Słodki dzieciak z twojego Jamiego.

- Nie wiem, jak długo jeszcze taki będzie. Czy zauważyłaś pryszcze na jego brodzie? Obawiam się, że szybko dochodzi do wieku pokwitania. Myśl, że muszę raz jeszcze przez to wszystko przejść, bardzo mnie niepokoi.

Mel odchyliła się do tyłu i obserwowała przyjaciółkę.

- Czy kiedykolwiek myślałaś o tym, żeby znowu się zejść z Gordonem?

- Chyba żartujesz!

- Dlaczego? Zawsze mi się wydawało, że się ze sobą zgadzacie. Lepiej niż wiele znanych mi małżeństw.

- Gdybym miała ponownie dzielić życie z Gordonem, uznałabym to za dopust boży, niewiele lepszy od śmierci.

- Chyba sama nie wierzysz w to, co mówisz. Joanna rzuciła jej ironiczne spojrzenie.

- Wolałabym mówić o wycieczce, którą planujemy w przyszłym tygodniu. Czy tym razem pojedziemy twoim samochodem?

- Tak. Uważam, że mój samochód lepiej się nadaje do tego, by bezpiecznie dojechać na miejsce i wrócić. A przy okazji: pojutrze wybieram się do letniego domku. Nie pojechałabyś ze mną?

- Przykro mi, ale nie.

- Możesz wziąć ze sobą Jamiego, jeśli masz ochotę.

- Nie mam.

- Jest tam teraz bardzo pięknie, przecież wiesz...

- Widać już zapomniałaś, że gdy mnie ostatnio zwabiłaś do swego domku, biorąc prysznic, natknęłam się na ogromnego pająka i zostałam niemal na śmierć pogryziona przez wściekłą wiewiórkę.

- Przesadzasz, moja droga, bo pajaczek był malutki i taki, co przynosi szczęście. A rzekoma wiewiórka okazała się młodym świstakiem, który uciekał co sił w nogach, gdy ciebie zobaczył.

- Być może chciał się tylko ogrzać.

- Przecież w domku w każdym pokoju są grzejniki, Joanno. A poza tym jest teraz lipiec. Znosi się na taki upał, że będziesz sapać jak miech z gorąca.

- Ale nie wieczorami.

- Jeśli trzeba będzie, napalimy w kominku. Proszę cię, Joanno, pojedź ze mną!

- Kiedyś się wybiorę... - Gdy jednak zobaczyła wyraz twarzy przyjaciółki, jej głos złagodniał. Położyła rękę na dłoni Mel. - Następnym razem na pewno z tobą pojedę, kochanie. Przymierzam. Ale nie teraz... dobrze?

„A ja właśnie tym razem chciałam być tam z tobą - myślała Mel. - Właśnie teraz będę się tam czuła opuszczona”.

- Gdybyś ty mnie poprosiła, zrobiłabym to dla ciebie - powiedziała z wyrzutem.

- Co świadczy tylko o jednym - usłyszała od Joanny - a mianowicie o tym, że jesteś ode mnie lepsza.

- Mamo! - zawołał Jamie, wchodząc do kuchni. - Zaczął się serial „Przyjaciele”, a to jest ten odcinek, w którym Ross...

- Dobrze, dobrze... - przerwała mu Joanna. - Zobacz, czy twoja siostra zamówiła już pizzę.

Zadzwoił telefon. Z pokoju dochodziły dźwięki czołówki serialu „Przyjaciele”. Gargery wszedł, ciężko stąpając, i z głębokim westchnieniem położył głowę na kolanie Mel. Po chwili zaczął ją lizać po spodniach.

- Gargery jest już nieapetyczny, biedaczek. Taki z niego się zrobił staruszek... - zauważyła Joanna.

- Myślę, że na mnie czas - stwierdziła Mel i wstała, usiłując ukryć wzburzenie.

Po przyjeździe do domu Mel napaliła w kominku: w Vermoncie nawet latem wieczory bywały chłodne. Postawiła na stole salaterkę z sałatą, na kromkach świeżego gruboziarnistego chleba położyła wędzonego łososia. Wyjęła półmisek z kurczakiem i ryżem, a także talerz,

Inianą serwetkę, sztućce, sól i pieprz.

Do kryształowego flakonu wstawiła dwie kremowego koloru róże z własnego ogrodu. W cieple płatki kwiatów powoli się otwierały.

Przechyliwszy głowę, przyglądała się zastawie, sprawdzając dwukrotnie, czy wszystko jest dokładnie tam, gdzie być powinno. Zadowolona, że stół jest bez zarzutu i pięknie nakryty, wzięła widelec i mrużąc oczy, dokładnie mu się przyjrzała. Tak samo postąpiła z nożem. Spostrzegła małą plamkę na ostrzu. Z bijącym sercem, w poczuciu winy, zabrała się do czyszczenia zabrudzonego miejsca papierową serwetką.

Wygodniej by jej było usiąść przy stole w kuchni i czytać książkę podczas jedzenia. Ale choć samodzielna i zaradna, wciąż jeszcze nie mogła się przyzwyczaić do życia w samotności. Nauczyła się działać w ramach, które nakreślał jej Eric. Bez niego często czuła się wyobcowana, nie do końca związana z rzeczywistością, jakby zawieszona w czasie między przeszłością a nieznaną przyszłością, pozbawiona sentymentów, nie mająca korzeni i biernie czekająca na to, co jej przyniesie los. Dlatego zmuszała się do przestrzegania wyszukanych reguł wzorowego prowadzenia domu: zawsze pamiętała, by napalić w kominku, nakryć do stołu, nakrochmalić bieliznę pościelową i wypucować meble. Ten rytuał nadawał realny kształt jej życiu.

Chociaż podobał jej się beztroski chaos, w jakim żyła Joanna, zawsze się cieszyła, powracając do własnego, cichego i uporządkowanego domu. Z satysfakcją rozglądała się po eleganckim, gustownie urządzonej pokoju. W pewnej chwili jej wzrok padł na portret wiszący nad kominkiem.

- Nie znoszę tego obrazu - stwierdziła Joanna, gdy ostatnio wpadła do Mel z krótką wizytą. - Mówię o tej suce z piekła rodem. Dlaczego, na Boga, nie zdejmiesz tego portretu ze ściany?

- To babcia Erica.

- I co z tego? Niechby nawet była babcią jego świętego imiennika... Bardzo mi przykro, że właśnie ja ci o tym przypominam, ale twój mąż nie żyje już od trzech lat. Czyżbyś nie uświadomiła sobie jeszcze faktu, że jesteś teraz wolną kobietą i możesz robić, co ci się żywnie podoba? Spójrz na swoje mieszkanie: nie przestawiłaś w nim ani jednego mebla, nie zmieniłaś zasłon, niczego...

- Nieraz już o tym myślałam, ale ilekroć się zabieram do wprowadzania zmian, słyszę głos Erica i wydaje mi się, że on ich nie aprobuje.

- Nie przejmuj się tym, czy on by zmiany aprobował, czy nie - mówiła ze złością Joanna.



- Eric zawsze się zachowywał jak jakiś cholerny spec od potępiania. Przyznaję, że ten pokój jest przyjemnie i estetycznie urządzone i może stanowić spokojną przystań wśród życiowych burz. I dobrze zrobiłaś, nie wprowadzając żadnych tandetnych pomysłów, jakie propaguje czasopismo „Dom i Ogród”. Ale nie podoba mi się, że wszystko tu pozostało jak za życia Erica. Wciąż mam uczucie, że za chwilę twój mąż wejdzie tymi drzwiami i zacznie poprawiać poduszki na kanapie, tak jak to robił, gdy chciał, by goście już sobie poszli. - Potrząsnęła głową. - Przypominasz mi Ripa van Winkle'a\*.

- Czasem mi się wydaje, że nie miałabym nic przeciwko temu, żeby jak Rip zasnął i spał choćby przez sto lat.

- Przydałby ci się wtedy przystojny książę, który by cię zbudził pocałunkiem.

\* Rip van Winkle - tytułowa postać opowiadania amerykańskiego pisarza Washingtona Irvinga (1783-1859).

Wspominając tę rozmowę, Mel nałożyła na widelec porcję kurczaka i ryżu, podniosła go do ust i w zamyśleniu powoli przeżuwała. Doszła do wniosku, że Joanna miała rację: portret babci Erica rzeczywiście był obrzydliwy. Ale utrzymywanie wszystkiego w takim stanie, w jakim było dawniej, pomagało jej zachować duchową równowagę. Stanowiło sposób na powstrzymanie chaosu, w jakim mogłaby się pogrążyć.

Spojrzała na statuetkę z drzewa różanego, stojącą przy ścianie między oknami. Autor rzeźby zatytułował ją „Pierwsza miłość”. Eric nie lubił tej figurki, choć nie potrafił wyjaśnić, skąd ta niechęć się bierze. Do jego śmierci Mel trzymała ją więc w jednym z pokoi gościnnych. Teraz rzeźba była dla niej pocieszeniem.

Postanowiła wcześniej położyć się do łóżka. W ciągu ostatnich kilku tygodni coraz trudniej zasypiała, a gdy w końcu zapadała w sen, śniły jej się lzy, lód, ciemne skrzydła uderzające o siebie i jakaś nieokreślona, choć przemożna beznadzieja. Budząc się, przypominała sobie nocne koszmary, jakie kiedyś prześladowały Galena. Czy on też takie smutki przeżywał? Czy i on miał ponure sny, które przewijały się przez jego myśli niby czarne wstęgi? Gdyby wtedy była w stanie mniej go kochać, ale za to lepiej rozumieć, może nadal byłiby razem.

W ciemności słyszała, jak za oknami wiatr wzdycha wśród gałęzi jabłoni. Co pewien czas dochodził do jej uszu odgłos spadającego na ziemię niedojrzałego owocu. Ten dźwięk przywoływał jej na pamięć wizyty na farmie u dziadków w Maine. Uwielbiała tradycyjne wiejskie obrzędy, towarzyszące takim wydarzeniom, jak: przyjscie na świat owieczek, sadzenie ja-

rzyn, zbieranie owoców przeznaczonych na konfitury i przetwory, suszenie lawendy i wkładanie jej do małych, muślinowych, przewiązywanych wstążką saszetek, które jej babcia co roku szykowała na nowo. Te rytualne niemal czynności narzucały pewien porządek, a porządek - co już nawet wtedy rozumiała - daje poczucie bezpieczeństwa.

Jej obecne życie także było uporządkowane, solidne i schludne. Miała dom, oddanych przyjaciół i dobrze prosperujący biznes. Wsłuchując się w szum wiatru, zastanawiała się, dlaczego w takim razie tak często była bliska nerwowego załamania, dlaczego chciało jej się płakać i nękało ją druzgocące przeświadczenie, że się marnuje.

## — 5 —

Jeszcze jedna bezsenna noc. W końcu łatwiej przyszło Mel wstać z łóżka, niż rzucać się na nim i przewracać z boku na bok. Szybko się ubrała, pudło z prowiantami, spakowanymi już poprzedniego wieczoru, oparła o biodro, czarny skórzany plecak zostawiony przy drzwiach chwyciła w rękę i zaniósła bagaże do samochodu. Na dworze panował chłód i wciąż jeszcze było ciemno. Drżąc z zimna, uruchomiła silnik i ruszyła w drogę. Jadąc do swego domku nad jeziorem, przez cały czas żałowała, że nie udało jej się przekonać Joanny, aby się z nią wybrała.

Po jakimś czasie, gdy już skręciła w polną drogę, niebo zaczęło się przejaśniać. Jechała powoli wąskim traktem; wschodzące słońce odbijało się w jeziorze, które wyglądało tak, jakby stało w ogniu.

Od wiosny Mel była zajęta przygotowaniem wystawy Kosłowskiego i dopiero teraz udało jej się tu zajrzeć. Zmarszczyła nos, czując charakterystyczny zapach długo nie wietrzonego pomieszczenia. Domek był okropnie zaniedbany. Wszystko pokrywał kurz, po kątach snuły się pajęczyny, a także wałyły zgubione ptasie pióra i zeschłe, przywiane wiatrem liście. Ale za oknami, sięgającymi od podłogi do sufitu, świat wyglądał świeżo i czysto. Jezioro lśniło, jaśkółki ślizgały się po powierzchni wody, a stojące szeregiem drzewa na przeciwległym brzegu przyciągały oko soczystą zielenią.

Mel otworzyła wszystkie okna i drzwi, żeby wpuścić do wnętrza świeże powietrze. Potem wyniosła na dwór dywany, zawiesiła je na trzepaku i zabrała się do ich czyszczenia i odkurzenia. Przy okazji wybierała całą kolekcję zdechłych owadów i wyrzuciła je do śmieci. Następnie wypucowała do połysku drewniane meble, zerwała naręczę bzu z nadmiernie wybujałego krzewu, który rósł pod oknami, i wstawiła kwiaty do ciężkiego glinianego wazonu.

Początkowo domek był jedynie skromną małą przybudówką należącą do państwa Andersenów, którzy mieszkali w najbliższym sąsiedztwie. Urządzili w niej gościnny pokój. Dopiero Eric, kupiwszy domek, całkowicie go przerobił i poszerzył. Podniósł dach, dzięki czemu duży pokój stał się wysoki niczym kościelna nawa i sięgał aż do ciężkiej, drewnianej, poprzecznej belki, usytuowanej jakieś dziesięć metrów nad ziemią. Najokazalszymi meblami były tu dwie spore, miękkie kanapy, przykryte tanimi narzutami z indyjskiej bawełny. Między kanapami a kominkiem stał niski stół z czereśniowego drzewa. Dolną część ściany obudowanej boazerią zajmował długi rząd półek. Stojące na nich książki reprezentowały wszelkie możliwe epoki i gatunki literackie. Znajdowały się tu także fotografie, ceramika, rzeźbione drewniane miski oraz kilka ciekawych wygładzonych przez wodę kamieni, znalezionych w jeziorze.

Wymiatając popiół z paleniska, Mel niechętnie przewróciła szklaną wazę z półki nad kominkiem. Waza spadła, rozbiła się i mnóstwo okruchów i odłamków szkła rozsypało się po wyfroterowanej podłodze. Przy okazji wyleciały też sosnowe szyszki, przechowywane w naczyniu.

Mel poczuła, że się czerwieni, i pomyślała, że Eric, widząc to, na pewno by się wściekł. Taki już był... Ale Eric nie żyje - uświadomiła sobie, nie może więc jej winić ani krytykować. Nie zada jej też cierpień, grożąc, że przestanie ją kochać, by później wszystko wybaczyć. Zbierając okruchy szkła, Mel przypomniała sobie tak żywo, jakby to było wczoraj, ów dzień, kiedy Eric nabył tę wazę w czasie ich miodowego miesiąca w Wenecji. Zanim się na nią zdecydował, obejrzał dziesiątki innych waz i tak zawzięcie targował się o cenę, że wprowadził Mel w prawdziwe zakłopotanie.

- Kupiłem ją dla ciebie, kochanie - powiedział, gdy ostatecznie dobił targu. - Dla nas, do naszego domu. - Był cały rozpromieniony i ponieważ transakcja trwała tak długo, Mel krępowła się wyznać, że właściwie wołałaby wazę w niebieskie i czerwone paski zamiast tej, którą wybrał: w brudnobrązowym i zielonym kolorze.

Często się zastanawiała, czy miodowy miesiąc nie wpłynął ujemnie na kształt ich małżeństwa. Zadawała sobie też pytanie, dlaczego z takim trudem przychodziło jej sprzeciwić się mężowi, pokazać mu, że ma swój punkt widzenia, własne zdanie i ocenia rzeczy według swoich indywidualnych kryteriów.

Może z powodu dużej różnicy wieku, ich wzajemne stosunki niemal od początku przypominały relacje łączące rodzica z krnąbrnym dzieckiem.

- *Czy ty mnie kochasz, tatusiu? Byłam grzeczna, tatusiu...*

Przyciskając dłonie do twarzy, Mel nagle zaczęła płakać. Jak to się stało - myślała rozżalona - że ich małżeńskie pożycie polegało w dużej mierze na tym, że Eric wskazywał drogę i prowadził, a ona szła ślepo za nim. Co się stało z jej pewnością siebie i przekonaniem, że panuje nad sytuacją, jakie miała w chwili, gdy wystawiała czek na kupno domu przy Maple Street. Wtedy wierzyła, że straciwszy wiele, zacznie w końcu mieć korzyści. I rzeczywiście! Niewątpliwie korzystne było spotkanie Erica, nawiązanie przyjaźni z Joanną i Lisą, i oczywiście otwarcie własnej galerii sztuki.

Gorzko-słodkie i nieproszone, wróciło teraz do niej jeszcze jedno wspomnienie z ich miodowego miesiąca. Sporo lat minęło od tamtej pory; była wtedy bardzo młoda. Któregoś dnia wyglądała przez okno hotelowego pokoju, wychodzące na mały kanał. Eric, na wpół rozbudzony, leżał w łóżku. W pokoju czuć było stęchlizną. Z cienia po drugiej stronie kanału wynurzył się młody mężczyzna i przeszedł przez most, który spinał wąski tor wodny. Pewnie jakiś ruch musiał zwrócić jego uwagę, bo spojrzał do góry, uśmiechnął się i pomachał jej ręką, wołając: *Ciao, bella!* Zapamiętała ten łagodny poranek w Wenecji i ogarniające ją wtedy uczucie. Wydawało jej się, że tylko krok dzieli ją od czegoś wspaniałego. Miała świadomość, że wystarczyłoby wyciągnąć rękę, a dotknie tego młodego człowieka. Widziała jego kręcone włosy, białą koszulę... Owładnęła nią absurdalna chęć, by pobiec za nim, wziąć go pod ramię i po prostu pójść z nim przed siebie. Ale w tym momencie Eric sennym głosem poprosił ją z łóżka, żeby zamknęła okno, bo mu zimno; Mel go posłuchała i odeszła od okna.

Kiedy pierwszy raz po śmierci męża przyjechała nad jezioro, robiła wszystko, by przywyknąć do nieobecności Erica i pogodzić się z losem. Tyle tu po nim pozostało rzeczy: książki, ubrania, przybory wędkarskie, płaszcz przeciwdeszczowy, kufle do piwa, książeczkowe zapalniczki, jakieś kalessony, o których nic nie wiedziała, i niemodne podkoszulki, a nawet dziwny tweedowy kapelusz z piórem zatkniętym za wstążką; nigdy przedtem kapelusza nie widziała i nie mogła sobie nawet wyobrazić, że jej mąż coś takiego nosił.

W początkowym okresie wdowieństwa Mel nie była w stanie na niczym się skupić, nie potrafiła myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że Eric nie żyje. Taka prosta, zdawałoby się, czynność, jak szczotkowanie włosów albo podniesienie filiżanki z kawą do ust, okazywała się zbyt trudnym zadaniem. Ponieważ jedzenie uznała za coś frywolnego, a nawet grzesznego, z przykrością konstatowała, że jej organizm nadal domaga się żywienia, i próbowała go sobie odmówić.

W końcu Joanna, zaopatrzona w papierowe chusteczki do nosa oraz whisky, przejęła inicjatywę. W dniach poprzedzających pogrzeb przyjmowała telefony i omawiała z księdzem, jakie hymny mają być śpiewane podczas nabożeństwa i kogo z przyjaciół powinno się poprosić o wygłoszenie pogrzebowych mów. W imieniu Mel przyjmowała także ciasta, drugie dania i sałaterki z sałatkami, które przynosili przyjaciele i sąsiedzi. Rozmawiała z nimi i podnosiła ich na duchu, kiedy stali pod drzwiami zażenowani i strapieni.

Joanna zawiozła Mel do kościoła na nabożeństwo żałobne, siedziała obok niej w pierwszej ławce i trzymała ją za rękę. Potem pokazała, jak należy rzucić garść ziemi na opuszczającą się do grobu trumnę; stała u jej boku, szeptała słowa pocieszenia i dodawała odwagi, gdy podchodzący do Mel ludzie mówili uprzejme i nic nieznaczące frazesy.

Joanna była również tą osobą, która spakowała rzeczy Erica, usunęła jego przybory do golenia z łazienki, wyniosła skórzany neseser, płyny po goleniu i wody kolońskie, a także ten dziwny kapelusz z piórem i wiele par ręcznie robionych półbutów, które Eric zamawiał sobie u szewca na miarę. Powkładała do pudeł jego spacerowe buty z cholewką, albumy z fotografiami z dzieciństwa, stojak na fajki, pojemnik na cygara, zapobiegający ich wysuszeniu się, opatrzony herbem college'u, i komplet szczotek do włosów, składający się z dwóch sztuk, zdobionych kością słoniową, z inkrustowanym monogramem ze srebra. To był prezent ślubny od Mel. Wszystkich tych nieprzydatnych przedmiotów, które często uważamy za niezbędne, Joanna skrzętnie się pozbyła.

- Nie dałabym sobie bez ciebie rady - dziękowała jej Mel.

- Ależ dałabyś, na pewno - zapewniała Joanna. Potem cierpliwie słuchała, co jej Mel miała do powiedzenia o Ericu.

- Nasze małżeństwo było dobre - wciąż powtarzała. - Stanowiliśmy wspaniałe małżeństwo.

- Tak, kochanie. Byliście świetną parą.

Mel znowu zaczęła płakać.

- Jak ja sobie teraz poradzę?

- Trzeba po prostu żyć dalej - Joanna pocieszała przyjaciółkę, mocno ją przytulając. - Nie możesz niczego zmienić. Nie możesz przywrócić go do życia. To brzmi okrutnie, moja droga, ale nic innego ci nie pozostaje, jak tylko żyć dalej.

- Nie wyobrażam sobie życia bez niego - jęczała Mel.

- Przecież możesz mieć galerię - argumentowała Joanna. - I masz mnie.

Mel uśmiechnęła się przez łyzy.

- Co zamierzasz zrobić z letnim domkiem? - spytała Joanna.

- Nie wiem.

- Weź sobie krótki urlop i pojedź tam na parę dni.

- To był domek Erica, nie mój - stwierdziła Mel i natychmiast zrozumiała, że jej słowa głupio zabrzmiały. Mówiąc o domku, wyobraziła sobie przestrzeń, dal, skały i wodę, zielone drzewa wznoszące się ku niebu i wielkie ptaki trzepoczące skrzydłami w zimowym słońcu. Tam, wysoko nad jeziorem, będzie czas i miejsce na przemyślenie sytuacji i na to, by mogła znowu wziąć się w garść. - Nie chcę tam jechać sama, bez Erica - jeszcze się broniła.

- Nie bądź takim słabeuszem - warknęła Joanna, tracąc cierpliwość. Jej irytacja zmobilizowała Mel, podczas gdy wcześniejsze wyrazy współczucia nie wywarły na niej wrażenia.

Ben postanowił zbudować małą przystań nad brzegiem jeziora i energicznie zabrał się do cementowania płaskich kamieni, które, dokładnie dopasowane, miały tworzyć pokład. To miejsce związane było z wieloma jego wspomnieniami sięgającymi czasów dzieciństwa, dotyczącymi bliskich mu osób, także tych, które już nie żyły. Pamiętał, jak wesoło tu niegdyś bywało, jak przyjemnie spędzało się weekendy, piekło mięso na rożnie, ile było radości i śmiechu... I jak tragicznie się to wszystko skończyło.

Podniósł się, by wyprostować mięśnie pleców, napięte od schylania się. Nie chciał dłużej zastanawiać się nad przeszłością, wolał skupić myśli wokół mającego przyjść na świat dziecka.

Chwilami czuł się niemal przytłoczony ciężką żoną. Nie potrafił do końca zaakceptować faktu, że w łonie Lisy, pod osłoną delikatnych ścian brzucha, rozwija się jakaś istota. Kiedy dała o sobie znać energicznym kopaniem i zdecydowanymi ruchami, z trudem mógł uwierzyć, że to jego dziecko. Wciąż się zdumiewał, że w rezultacie ich miłosnego aktu powstało nowe życie. Z utęsknieniem oczekiwał narodzin potomka. Niecierpliwił się, chciał, by rodzina jak najprędzej się powiększyła, a jednocześnie był przerażony. Miał wrażenie, że Lisa instynktownie wie, co ma robić i jaką ma pełnić rolę, a jemu pozostaje tylko obserwować przebieg zdarzeń, na które on nie ma najmniejszego nawet wpływu.

Nie przypuszczał, że Lisa tak szybko zajdzie w ciążę. Sądził, że to nastąpi później, w jakiejś nieokreślonej przyszłości. Tymczasem za cztery miesiące będzie ich już troje. Zmieniają się także ich wymagania wobec siebie. Będą innymi ludźmi. Zostaną rodzicami.

Jeszcze jedną napełnioną zaprawą łopatę przeniósł na pokład. Potem ubijał i wyrównywał cement, wtykając go w szpary między płaskimi kamieniami. Dopasowywał płyty, by ściśle

do siebie przylegały, i wyglądał spoiwo. Uspokajał się przy tym, jak zawsze gdy pracował fizycznie.

W rozbudzonej wyobraźni Ben widział, jak dziecko, ich dziecko, skacze do jeziora, tak samo jak on i Rory robili to w dzieciństwie. Miał jeszcze w oczach pióropusz wody rozpryskującej się nad jego głową, gdy zapadał się w zieloną toń aż na samo dno akwenu. Pamiętał, jak żywioł kipiał wokół niego, woda uciskała uszy. Ogarniał go wtedy podniecający lęk, że tym razem może już nie wypłynąć na powierzchnię. Ale po chwili wyrzucało go w górę, i swobodnie wydostawał się nad wodę. Wystawiał mokrą głowę na ciepło słonecznych promieni; dzieci krzyczały, ojciec rzucał mu piłkę, mama i ciocia Evie machały do niego z ganku, podnosząc wysoko dzban z własnej roboty lemoniadą. Wspominał ten perlisty, nieprzeźroczysty płyn, pływające po nim krawki cytryny, orzeźwiający smak mięty, zerwanej z grządki z ziołami obok domu, cukier osadzający się na dnie wysokich szklanek. Rozpamiętywał te złote dni, długie, beztroskie godziny, naznaczone upałem, nieróbstwem i świadomością, że skończyła się szkoła, a wakacje będą trwały wiecznie.

Ostatni raz nałożył zaprawę na kielnię i wcisnął między kamienie. Stojąc nad brzegiem wody, patrzył przed siebie na zalesiony brzeg po drugiej stronie jeziora. Nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch i odwróciwszy głowę, zobaczył Mel Sherman, która, brodząc po wodzie, zmierzała w jego kierunku. „Cholera!” - zaklął w duchu. Było już za późno, by mógł udawać, że jej nie zauważył.

- Cześć! - zawołała.

- Cześć! - odpowiedział, choć musiał się przemóc, by to słowo z siebie wydusić. Jeśli jego głos zabrzmiał fałszywie i niezbyt przyjaźnie, to trudno... ale tak właśnie czuł.

Zauważył, że upięła włosy w węzeł na czubku głowy.

Gdy pierwszy raz widział Mel, zdawało mu się, że ma siwe włosy, ale teraz w świetle zobaczył, że są złote, w najjaśniejszym odcieniu złota, dokładnie takim jak jedwabiste nitki w kukurydzianej kolbie.

Zbliżając się, Mel brodziła po kolana w jeziorze.

- Zimna dziś woda - powiedziała.

- Jeszcze się nie zdążyła ogrzać - odparł.

- Nigdy się porządnie nie nagrzewa - narzekała. - Nie spodziewałam się, że cię tu spotkam.

- Lisa odwiedza dziś swego ojca. - Przez chwilę uważnie wpatrywał się w Mel. - Chyba

już pójdę do domu i wezmę prysznic.

- Ja też mam taki zamiar. Byłam na wycieczce i pomyślałam, że się ochłodzę w jeziorze, ale jest zbyt zimno, by pływać.

- Masz rację. - Pomachał jej ręką i poszedł do domu. Postanowił, że potem siądzie na ganku, weźmie sobie szklaneczkę wina i zacznie się psychicznie przygotowywać do wyprawy na Alaskę - tak jak to było jego zwyczajem. W okresie poprzedzającym wielką wspinaczkę starał się spędzać jakiś czas samotnie nad jeziorem. Nazajutrz miała do niego dołączyć Lisa, chciał więc teraz raz jeszcze przemyśleć plan wyprawy i sprawdzić poczynione przygotowania. Powtarzał te sprawdziany wielokrotnie. Musiał wszystko poukładać sobie w głowie, zanim uda się w góry.

Dom pogrążył się w cieniu, w pokojach było cicho i ciepło, niedługo zapadnie zmrok. Ben z lubością wciągał w siebie dobrze sobie znane zapachy tego miejsca: starego lasu, wody w jeziorze, czosnku i popiołu. Do tego dochodziły wspomnienia woni tysiąca wspólnie tu zjedzonych posiłków. Ben przyjeżdżał nad jezioro od dawna, jak tylko sięgał pamięcią, i miał nadzieję, że tak będzie przez resztę życia.

Leżąc w hamaku rozciągniętym na ganku, żeglował myślami między przeszłością a teraźniejszością. Przewidywał, że zdobycie Denali okaże się przedsięwzięciem wielkim i trudnym. To będzie ich trzecia próba wejścia na najwyższy szczyt. Ze względu na Joego miał nadzieję, że tym razem będzie udana. Upił nieco wina ze szklaneczki i żuł gałązkę mięty, którą dodał do napoju, tak jak to kiedyś robiła jego matka. W powietrzu unosił się mocny zapach sosu pomieszanego z aromatem rozmarynu, bujnie okrytego białymi kwiatami. Ten krzew przed wielu laty zasadził ojciec Bena i od tamtej pory ostra, agresywna niemal woń jego kwiatów stała się nieodłącznym towarzyszem letnich wakacji nad jeziorem.

- To nasz rozmaryn - mawiał ojciec i przebiegał wzrokiem kolejno po wszystkich, najdłużej zatrzymując spojrzenie na twarzy Bena. - Pamiętajcie!

Ben wspomniawszy ciotkę Evie: była hipiską, jedną z owych „dzieci kwiatów”. Nosiała bransolety i korale, związywała szalem rozwichrzone włosy i rozsiewała zapach marihuany.

Pół życia minęło od tamtej pory, a Benowi wciąż się zdawało, że tragedia wydarzyła się wczoraj. Czuł, że nigdy nie przestanie mu brakować Rory'ego - tego mądrego, inteligentnego kuzyna, który wszystko potrafił i wiele umiał; zawsze się śmiał i był powszechnie lubiany. Nikt nie wiedział, kto jest jego ojcem, i nikt nigdy o to nie pytał.

Ben i Rory wszystko robili razem. Neil był starszy i miał innych przyjaciół, ale Ben i Ro-



ry nie rozstawali się przez całe lato. Przywołał na pamięć taki oto obraz: wyjadali garściami płatki kukurydziane wprost z opakowań; słońce wpadające przez kuchenne okno zamieniało w ogień miedziane włosy Rory'ego. Dorośli siedzieli na dole nad wodą, a chłopcom się zdawało, że cały ten letni dzień należy do nich.

Wspominał ich wspólne urodziny. Tak naprawdę daty jego i Rory'ego urodzin dzieliła tygodniowa przerwa, ale zawsze obchodzili je razem, wybierając umownie środkowy dzień tego tygodnia. Właśnie skończyli dwanaście lat i z tej okazji obaj dostali górskie rowery. Były też torty, świece, kurczaki pieczone na rożnie, hot dogi i domowej roboty lody, które należały do specjalności jego mamy. Cała rodzina śpiewała chłopcom sto lat, a ciotka Evie tańczyła bosą na pokładzie przystani z kieliszkiem wina w ręce.

Tamtego dnia Ben miał dziwne przeczucie, że wydarzy się coś złego. Rory jechał przed nim na zielonym rowerze. Zjeżdżał na wolnym biegu w dół wzgórza, trzymając ręce w powietrzu niczym zawodnik wyścigu Tour de France. Ubrany był w żółtą bluzę i czarne kolarskie szorty. Brał właśnie zakręt u podnóża Windrock Hill, gdy Bena coś tknęło, jakby go jakiś wewnętrzny głos ostrzegał: uważaj! bądź ostrożny! A potem usłyszał szczęk hamulców, brzęk szkła, sygnał klaksonu i wiedział, co zastanie, gdy dojedzie do zakrętu. O Boże! To było straszne: wszędzie pełno krwi, Rory leżał na skraju szosy, mózg na wierzchu, a nad chłopcem pochylał się kierowca ciężarówki... Od razu do świadomości Bena dotarła ta straszliwa, rozdzierająca serce prawda, że jego przyjaciel nie żyje.

Ben nie był niczemu winien. Matka i ojciec ciągle mu to powtarzali.

- To nie była twoja wina, Ben. Nie powinieneś się oskarżać. - Rodzice posłali go do psychologa, który miał mu pomóc radzić sobie z rozpaczą. Psycholog powiedział to samo. Ale Ben wiedział lepiej: powinien był pilnować Rory'ego, a nie pilnował.

Gdy o tym tragicznym zdarzeniu opowiedział Lisie, spytała go, czy wtedy płakał, lecz skwitował to śmiechem.

- Duzi chłopcy nie płaczą - powiedział z ironią. - Tak nam zawsze mówił ojciec, kiedy byliśmy dziećmi. - Nie płaczesz, nawet gdy umiera twój kuzyn i najlepszy przyjaciel. Chyba że jesteś sam, w łóżku, w nocy i na głowę masz naciągniętą kołdrę.

Kiedyś Neil, starszy brat Bena, wdrapał się na jego piętrowe łóżko, objął go niezdarnie i powtarzał, że to nie była jego wina, bo Rory nigdy nie zachowywał się tak, jak powinien. Ben wciąż pamiętał tę scenę i czuł kościstą pierś brata przytuloną do swoich pleców.

Nie mógł jednak nic zrobić, by zmienić to, co się stało, i wiedział o tym. Tysiące, nie -

dziesiątki tysięcy razy wracał myślami do tej tragedii. To nie była jego wina, ale Ben nie potrafił się wyzbyć uczucia, że gdyby patrzył wnikliwiej, może by znalazł klucz, dostrzegł jakiś istotny szczegół, który mógł inaczej o wszystkim przesądzić.

Gdy następnego rana Mel weszła na pokład, powierzchnia wody w jeziorze wydawała jej się gładka jak lustro. Drewniane deski pod jej bosymi stopami były zimne i mokre od rosy. Wczesne ranne słońce, kryjące się za niewielkimi chmurkami, sprawiło, że jezioro przybrało odcień popiołu. Pasemka mgły wciąż jeszcze unosiły się nad taflą wody, ale ciężar przesyconego upałem i wilgocią powietrza zaczął już dawać jej się we znaki. Spojrzała w lewo, gdzie ciągnęły się porośnięte zszarzałą trawą łąki, a potem na las, którego glebę pokrywała warstwa sosnowego igliwia, i pomyślała, że to ten las dzieli ją od domu Andersenów. Za domem szeroko rozlewało się jezioro i wznosiły góry, których szczyty zdawały się sięgać nieba. Chociaż nie dotarło tu jeszcze słońce, jego promienie już oświetlały wyżej położone stoki.

Mel miała na sobie dresowe spodnie, w których zwykle uprawiała jogging, bawełniany trykot z małym okrągłym dekoltem i długimi rękawami oraz skafander z wełnianą podpinką. Włosy ściągnęła opaską, by jej nie opadały na kark. Włożyła sznurowane buciki nadające się do górskich wędrówek, a do plecaka zapakowała przeciwdeszczową kurtkę, wodę w plastikowej butelce, kilka jabłek, trochę suszonych fig i czekoladowy baton. Tak zaopatrzona ruszyła stromą ścieżką pnącą się ku szczytowi.

Dwie godziny później minęła linię drzew i znalazła się na szczycie Fitch's Gulley. Stąd otwierał się widok na ciągnące się w oddali pasma gór i na zieleń, która przechodziła w mglisty błękit, potem w odcień topazu, by w końcu zlać się ze złocistą barwą nieba. Wspinanie się trochę ją zmęczyło, nawet się spociła, ale jednocześnie poczuła się rozluźniona, lekka i ożywiona. Przystanęła i, trzymając dłonie na biodrach, wdychała ostre, czyste powietrze. Gdzieś z daleka, z dołu, dochodziły do niej jakieś głosy, ale miała nadzieję, że nikt się tu nie zjawi i nie będzie się musiała do nikogo uśmiechać ani z nikim rozmawiać. Weszła na górę, by być sama; nie szukała towarzystwa. Wzięła głęboki oddech i ruszyła dalej wzdłuż kamienistego szlaku, który przebijał się przez pasmo wzgórz. Teraz gorzej jej się szło: musiała uważać na każdy krok. Łatwo tu było skreślić nogę czy uszkodzić kolano.

Kiedy dotarła do wielkich okrągłych głazów, znaczących szczyt przełęczy, słońce stało wysoko, a chmury powędrowały dalej, pozostawiając niebo czyste i niebieskie. Słychać było plusk sączącej się po skałach wody, nad głową kołował jastrząb, wydając chrapliwe dźwięki. Poza tym panowała cisza. Usiadła, oparła się plecami o głaz i przymknęła oczy. Była tu, na gó-

rze, całkowicie samotna, dzięki czemu mogła spojrzeć w głąb własnej duszy. Lisa powiedziała kiedyś o Benie, że „wysoko w górach wie dokładnie, kim jest”. Mel potrafiła teraz w pełni docenić to, co czuł.

Spłynął na nią wielki spokój. Gdyby zamieniła się w skałę lub drzewo, mogłaby przebywać tu całe wieki, nie pamiętając o swoich obowiązkach. Niemal usypiała, gdy do jej uszu doszedł odgłos czyichś szybkich kroków. Ktoś biegł ścieżką. Słyszała uderzenia stóp o twarde podłoże i czyjś chrapliwy oddech. Przestraszona, otworzyła oczy i zobaczyła Bena Andersena, który patrzył na nią z wyraźnie niezadowoloną miną.

- Jak się tu dostałaś? - zdziwił się.

- Chyba w taki sam sposób jak ty. - Ona też była zła i wolałaby, żeby sobie poszedł.

- Nie wyobrażałem sobie, że ty...

- Że ja co? Że też lubię przebywać w otoczeniu przyrody?

- Nie to chciałem powiedzieć.

- A może sądziłeś, że jestem w nie najlepszej kondycji? - spytała, wstając.

„Polubisz go, kiedy go lepiej poznasz” - powiedziała jej kiedyś Lisa. Też coś?! Jak mogłaby polubić kogoś, kto najwyraźniej uważa, że kobieta po czterdziestce nadaje się do domu starców! Mocniej ściągnęła opaskę na włosach. Wzięła butelkę z wodą i przytknęła do ust. Pijąc wodę, czuła, że chłodne krople ściekają także po szyi, aż do odsłoniętego dekoltu, nad pierśiami. Patrzyła na Bena, odwzajemniając jego wrogie spojrzenie.

- Chyba będę już wracała - mruknęła. Mijając go, pomachała mu palcami.

- Do zobaczenia!

Wróciwszy na Fitch's Gulley, stwierdziła, że nie ma tu ani śladu jakiegokolwiek żywej istoty. Biegiem puściła się ścieżką w dół. Czuła pod skórą przyjemne rozluźnienie mięśni i cieszyła ją łatwość, z jaką jej długie nogi poruszały się rytmicznym krokiem. Była już w połowie drogi, gdy, zmieniawszy kierunek, zobaczyła przed sobą kobietę z dwojgiem małych dzieci. Nagle mniejsze dziecko się potknęło i upadając, mocno uderzyło się w ramię. Przez chwilę panowała cisza, po czym dziecko wybuchnęło głośnym płaczem. Matka próbowała je uspokoić.

Mel szybko do niej podeszła.

- Czy mogę w czymś pomóc? - spytała.

- Nie wiem. - Kobieta była wyraźnie zmartwiona; dziecko wrzeszczało na całe gardło. - Uspokój się, Timmy! Pozwól mi zobaczyć, co sobie zrobiłeś. - Wzięła chłopca za ramię. - Wygląda na to, że zwichnął rękę w nadgarstku.

- Tak. Jest chyba nieco spuchnięta w przegubie... - zgodziła się Mel. Nadgarstek przybrał niebieskawy odcień.

- Kto wie, czy go nie złamał.

- Bola mnie paluszki - jęczał Tim.

Matka wyjęła z kieszeni telefon komórkowy.

- Postaram się nawiązać kontakt z mężem, który łowi ryby w okolicy Hallams Cove - wyjaśniła.

Timmy nie przestawał płakać; małym ciałem wstrząsały łkania, które stawały się coraz bardziej histeryczne.

- Nie sądzę, by to było coś poważnego - stwierdziła Mel, starając się mówić spokojnym tonem. Obejrzała się na ścieżkę, z nadzieją, że Ben, schodząc, wybierze ten sam szlak co ona. Może miałby lepszy pomysł, jak postąpić w takiej sytuacji.

- Już dawno postanowiłam, że zrobię kurs udzielania pierwszej pomocy - zwierzyła jej się matka Timmy'ego - ale wciąż nie mogę się na to zdobyć.

- Mógłbym pobiec i poszukać taty - zadeklarował starszy chłopiec. - Umiem dobrze biegać.

- Lepiej zostań ze mną, kochanie - powiedziała matka i znowu pochyliła się nad Timmym. - Chodzić możesz chyba całkiem dobrze, synku, prawda?

Potaknął. Jego szloch trochę przycichł, zamieniając się w łzawe posapywanie.

- Ale mnie to boli, mamo!

- Mogłabym was zawieźć do Hallams Cove - zaproponowała Mel - żeby się pani spotkała z mężem. A może należałoby pokazać rękę chłopca lekarzowi?

- Mam nadzieję, że to tylko zwichnięcie - odparła kobieta.

Mel poczuła ulgę, widząc Bena Andersena schodzącego ścieżką. Na ich widok zatrzymał się, zachmurzył, ale potem szybko podszedł. Od razu ocenił sytuację. Zignorował Mel, ale przebiegł wzrokiem od matki do synów. Uśmiechnął się do Tima.

- Wygląda na to, że ktoś tu miał mały wypadek.

- Przewróciłem się - powiedział Timmy.

- Jak się nazywasz?

- T-Tim.

- Co ci się przytrafiło, Tim? Potknąłeś się na mrówce?

- Nie - prychnął Timmy, obrażony, że ktoś mógł pomyśleć, iż taki duży chłopiec jak on

jest aż tak głupi. - Potknąłem się o kamień.

- Wydaje się, że Timmy, broniąc się przed upadkiem, wysunął do przodu ramię - wyjaśniła matka.

- Może uderzyłeś się także w głowę? Timmy zaprzeczył.

- Pozwolisz, że zobaczę rękę? - Ben delikatnie wziął w swą wielką dłoń nadgarstek chłopczyka. - Czy czujesz, jak ściskam? - spytał.

Dziecko potaknęło.

- Spróbuj poruszać palcami.

Chłopczyk wykonał polecenie z wielką ostrożnością, spodziewając się, że go będzie bolało.

- Boli mnie ramię - pożałił się.

- Wcale się nie dziwię. Takie uderzenie... - Ben dotknął spuchniętego nadgarstka; chłopiec skrzywił się z bólu, przestał jednak płakać.

- A czy ty wiesz, jaka to pora, gdy zegar bije trzynaście razy?

- Jaka? - Timmy mimo woli zainteresował się zagadką.

- Pora kupić nowy zegar.

- Znam lepszą zagadkę - powiedział brat Timmy'ego. - Malowana bywa na ulicach miasta, a w Afryce biega żywa, choć pasiasta.

- Ciekawe, co to takiego. - Ben udawał, że nie wie, dotykając po kolei każdego paluszka Timmy'ego.

- To przecież zebra - triumfalnie ogłosił Timmy. - A wiecie, jakie „wiórki” mają ogon i pazurki? - spytał szybko, zapominając na chwilę o bólu.

- Wiewiórki - pośpieszył z odpowiedzią braciszek Tima. - Każdy to wie.

- Wcale nie - zaprotestował Ben. - Ja się nie domyśliłem. - Spojrzał na matkę chłopców. - Musimy unieruchomić nadgarstek, bo jestem prawie pewny, że jest złamany, i zawieźć chłopca do szpitala. Do tego czasu powinna pani, jeśli to możliwe, pilnować Tima, żeby się spokojnie zachowywał, i póki go doktor nie zobaczy, proszę co jakiś czas sprawdzać, czy ma czucie w rękę i czy może ruszać palcami.

- Mój Boże! - zawołała kobieta. - Kto by pomyślał... Przecież on tylko się potknął na kamieniu.

Ben zwrócił się do brata Timmy'ego.

- Może byś mi pomógł poszukać parę prostych patyków, żebyśmy mogli zabezpieczyć

nadgarstek Tima do chwili, gdy się znajdzie w szpitalu.

- Oczywiście! - Starszy chłopiec z wielkim przejęciem przyłączył się do Bena i gorliwie przeczesywał ściółkę leśną.

- Wyświadczasz bratu dużą przysługę - pochwalił go Ben. - Tim jest pewnie szczęśliwy, że ma dużego braciszka, takiego jak ty.

- Wcale nie jestem... - powiedział Timmy, ale bez większego przekonania.

Ben obwiązał przedramię chłopca bandażem, który wyjął ze swego plecaka, i ułożył je na temblaku. Następnie zawiesił temblak na karku dziecka.

- Będziesz zdrowy. Nic ci nie będzie - zapewnił. - Tyle tylko, że przez jakiś czas nie będziesz mógł pływać.

- Nie znoszę pływania - stwierdził Tim.

- Jeśli tak, to wszystko w porządku.

Kiedy się rozstali z przypadkowo spotkaną rodziną, Mel nie miała wyboru: musiała wracać do domu w towarzystwie Bena.

- Świetnie sobie radziłeś z dzieciakiem - przyznała. Ben coś mruknął.

- Chłopiec prawie zapomniał, że się uderzył.

- Łatwo jest odwrócić uwagę dziecka, jeśli oczywiście nie doznało jakiegoś poważnego urazu.

- Widzę, że masz doświadczenie w postępowaniu z dziećmi.

- Tak. Mam dwóch siostrzeńców.

Gdy po chwili ich ścieżki się rozeszły, skinął jej głową i pospieszył do domu, nic nie mówiąc i nie oglądając się za siebie.

- Ben?

Odwrócił się zirytowany. Mel stała u stóp schodów wiodących na ganek. Miała na sobie świeże, białe, lniane szorty i różową bluzkę.

- Cześć! - powiedział, świadom faktu, że jego kamizelka jest sfatygowana i wyblakła, a dzinsy dziurawe.

- Cześć! - podniosła dłoń, żeby przygładzić swoje i tak już przygładzone włosy.

Ben, patrząc na szafir w jej pierścionku, pomyślał, że jest tego samego koloru co jej oczy.

- Przywiozłam z domu stek, który jest stanowczo za duży na jedną osobę. Jeśli nie masz innych planów, zapraszam cię na kolację.

W pierwszym odruchu chciał powiedzieć „nie”. Szkoda mu było czasu na podtrzymywanie uprzejmej rozmowy o niczym. „Nie należymy do tego samego gatunku ludzi” - myślał. Ale wyczuł, że Mel go potrzebuje; że jest w niej coś niepewnego. O sekundę za długo się wahał, a potem było już za późno szukać wymówek, mimo że dała mu sposobność.

- Dobrze! - odpowiedział trochę niezręcznie i po chwili dodał: - Dziękuję.

- To może za godzinę? - Przechyliła głowę, jasne włosy opadły jej na policzek, odsłaniając wytworzone perłowe kolczyki w uszach. Przypomniawszy sobie, jak powoli krople wody ściekały po jej szyi i jak długo się utrzymywały na opalonej skórze.

- Przyniosę wino - obiecał i pomyślał: „Cholera! Trzeba się będzie przebrać na tę okazję”.

- Przyjdź tak jak jesteś - zaproponowała i odeszła, znikając za drzewami.

Gdy przyrządzała sałatkę i potem, gdy wkładała ziemniaki do piekarnika, cały czas się zastanawiała, co ją, u diabła, napadło. Czy chciała tego mężczyznę wystawić na próbę, czy też zaprosiła go z poczucia obowiązku wobec Lisy. Ale jeśli tak, to dlaczego mu po prostu nie zaproponowała, żeby wpadł na drinka. Chcąc być uczciwą wobec siebie, musiała przyznać, że chyba pragnęła jego towarzystwa. Chciała, by był przy niej ktoś, kto mógłby chociaż na krótką chwilę oderwać ją od rozpamiętywania swoich żalów.

„Polubisz go, kiedy będziesz miała okazję poznać go bliżej”.

„Nie sądzę” - odpowiedziała Lisie w duchu. W tej chwili nie miała najmniejszej ochoty na kolację z tym zimnym ponurakiem. Zwłaszcza że przyjechała tu po to, by znaleźć spokój. Pomijając wszystko inne, Ben robił wrażenie, że nie potrafi budować zdań złożonych z więcej niż trzech słów. Bała się też, żeby nie zechciał zbyt długo u niej siedzieć. Gdyby jednak udało jej się skłonić go do opowiadania o górach, może czas szybciej by im zleciał.

„Cóż to będzie za strata czasu i wieczoru...” - myślał Ben. Wciągnął przez głowę najmniej zmiętą koszulkę polo i znalazł parę możliwie czystych dżinsów. W drodze do domku Shermanów postanowił, że skieruje rozmowę na temat jej galerii sztuki lub podobny, i podczas gdy ona będzie mówiła, on siedząc i udając, że jest zainteresowany, będzie mógł myśleć o czymś innym.

Minął przystań i przez otwarte szklane drzwi wszedł do dużego pokoju.

- O mój Boże! - krzyknął zachwycony. - Co za wnętrze... - I od razu zapomniał o złym humorze.

Mel stała przy kuchennej ladzie, w rękę trzymała kieliszek wina.

- Podoba ci się tutaj?

Spojrzał w górę na belkę stropową umieszczoną na wysokości około dziesięciu metrów nad jego głową i nie kryjąc podziwu, przyznał:

- To jest fantastyczne! Niebywale... Trudno wprost uwierzyć... Przecież kiedy byłem dzieckiem, ten domek był małą, ciasną, zatłoczoną chałupą, która służyła nam za pokój gościnny. - Pamiętał, że czasem w ciepłe letnie noce matka i ciotka pozwalały tam nocować jemu, Neilowi i Rory'emu. Ogarniało go wtedy dziwne uczucie oddalenia i rozłąki: dorośli w jednym domu, chłopcy zaś sami tutaj. A gdy zapadała nocna ciemność, z lasu i jeziora zaczynały dochodzić dziwne piski i wycia i dzieciom udzielał się nastrój tej budzącej grozę scenerii.

- Przebudowy domku dokonał architekt zatrudniony przez mego męża - wyjaśniła Mel. - A teraz powiedz, czego się napijesz: wina, piwa czy może czegoś mocniejszego? - spytała, wskazując na kieliszek.

- Piwo będzie w sam raz.

- Jest w lodówce. Zechciej się sam obsłużyć. A jaki lubisz stek?

- Nie za bardzo wysmażony. - Trzymając schłodzoną butelkę piwa w ręce, wyszedł na pokład i patrzył na jezioro. Słońce zachodziło już za wzgórze, mieniając się czerwienią i złotem. Blisko brzegu para nurów, koloru białoróżowego, jak pióra flamingów podskakiwała i nurkowała, co chwila to się zanurzając, to znów wychodząc z wody. Dalej zobaczył czarny zarys łodzi, a na niej skuloną postać mężczyzny z wędką w ręce. Przypomniawszy sobie dawne lata, kiedy on i Rory łowili węgorze. Mówiono, że tysiące ich kryją się tuż pod powierzchnią wody, lecz żadnego nie złapali. Ale to nic, bo samo wędkowanie sprawiało im wiele radości. Pamiętał, że z domu dolatywał do nich zwykle dźwięk muzyki. Tato siedział na schodkach ganku z fajką w ustach i czytał gazetę, a mama i ciocia Evie robiły coś w kuchni i ciągle się śmiały. Powracały mu na pamięć sceny z życia, które raptownie się urwało i już nigdy potem nie było takie samo.

- Czy mogę się tu rozejrzeć? - spytał.

- Oczywiście.

Udał się schodami na górę, ale niczego nie potrafił rozpoznać. Kiedyś był tu pokój, w którym on, Neil i Rory przeżywali chwile grozy, gdy straszyły ich tajemnicze dźwięki nocy. Teraz zbudowano w wielkim pokoju podwyższone miejsce do spania i otoczono je balustradą. Składała się z pięknie obtoczonych drewnianych słupków, z których każdy był inny, każdy z odmiennego rodzaju drzewa: klonu, hikory, dębu, grabu, cisu, orzecha amerykańskiego, a także gatunków, których nie potrafił rozpoznać.



- Piękna jest ta balustrada, prawda? - spytała. Stała przy kominku i obserwowała go. -  
Podoba ci się?

- Skąd ją masz?

- Zrobiona na zamówienie. Początkowo była tu zwykła sosnowa poręcz, ale jakieś dwa lata temu natrafiłam na wspaniałego rzemieślnika, prawdziwego artystę, który wyrzeźbił słupki tej balustrady.

Ben wyciągnął rękę i pogładził wypolerowaną powierzchnię słupków. „Ja też potrafiłbym takie zrobić” - pomyślał.

- Zachwyca mnie sposób, w jaki stolarz wydobył z drewna piękno poszczególnych słojów. A ciebie? - Głos Mel brzmiał teraz inaczej: był pełen radości i entuzjazmu. - Miałam szczęście, że ten rzemieślnik mógł dobrać odpowiednie gatunki, znał bowiem kupca specjalizującego się w handlu drewnem. Sprowadzał je z całego świata: drzewo różane, amboina, cedr... takie piękne nazwy... - Przeszła przez pokój i stanęła na najniższym stopniu schodów. Jej jasna głowa lśniła w zapadającym zmierzchu jak jakiś egzotyczny kwiat. Przebrała się w niebieską lnianą bluzkę i włożyła sznur pereł, który wydał mu się takiego samego koloru jak jej włosy. Piękność Mel go onieśmiałała. - Próbuję namówić tego artystę, żeby zrobił parę rzeźb do mojej galerii. - Uniosła trzymany w ręku kieliszek wina i Ben patrzył zachwycony, jak rubinowo się jarzy w świetle świec. Mel ustawiła bowiem na stole szereg długich, cienkich świeczek. - Czy do steku chciałbyś wina, czy pozostaniesz przy piwie?

- Wolałbym wino.

- Dobrze. Kolacja gotowa, jeśli i ty jesteś gotów do niej zasiąść.

Niechętnie zszedł ze schodów. Zrobiła paprykowy sos do steku i posypała ziemniaki drobno pokrojonym szczypiorkiem. Ben, patrząc na stół, musiał podziwiać jej wrodzone poczucie estetyki. Stwierdził, że Mel zależy na tym, aby nawet najprostsze rzeczy były odpowiednio dobrane. Chciała być pod każdym względem doskonała.

Przez chwilę nie był w stanie wykrztusić z siebie ani słowa.

Kiedy wyszedł i mijał drzewa, kierując się w stronę jasno oświetlonego pokoju w swoim własnym domu, Mel udała się do sypialni, która znajdowała się na podwyższeniu otoczonym piękną balustradą. Czowała się zmęczona. Wprawdzie Ben zachowywał się podczas wizyty bez zarzutu: nalegał, że pomoże jej zmywać naczynia, zaparzył kawę, był bardzo miły i potrafił nawet niezłe podtrzymać rozmowę - to jednak miała nadzieję, że w przyszłości nie będzie musiała spędzać z nim za wiele czasu sam na sam. Zrobił bowiem na niej wrażenie człowieka,

który jest wciąż zapatrzony w siebie. Przeształ być taki tylko wtedy, gdy mówił o Lisie i mającym przyjść na świat dziecku. W tej jednej dziedzinie umieli znaleźć wspólny język.

Mel westchnęła z żalem. Gdyby nie widziała jego wspaniałego zachowania, gdy zajmował się złamanym nadgarstkiem Timmy'ego, uznałaby za rzecz niewytłumaczalną, że Lisa wybrała go na męża. Jednocześnie wydawało jej się, że jest w nim coś frapująco niepokojącego. Odnosiła wrażenie, że gdzieś głęboko w swoim wnętrzu Ben trzyma w zamknięciu jeszcze jedną, całkiem inną osobowość, która tylko czeka, by ją wypuścił na wolność.

## — 6 —

Ben stał u podnóża i obserwował Lisę. Leżała w dużym starym hamaku, rozciągniętym w poprzek ganku i jak zwykle to, co miała na sobie, stanowiło cudowną paletę barw: żółte szorty, błękitny, bawełniany, luźny kasak i zielony szal, którym obwiązała czarne włosy. Ten strój mocno kontrastował ze sposobem ubierania się Mel Sherman. Benowi utkwiły w pamięci jej perły i pięknie uprasowane lniane koszulowe bluzki. Jedną bosą stopę Lisa postawiła na podłodze. Paznokcie w kolorze posrebrzanego granatu lśniły przy jej opalanej skórze. Mięśnie wysuniętej, szczupłej, brązowej nogi na przemian tężały i rozluźniały się, gdy się huśtała raz do tyłu, raz do przodu.

Oczy miała zamknięte. Ben się zastanawiał, czy żona śpi, czy tylko drzemie. Ona i dziecko w jej łonie. Czy kiedy matka śpi, ono śpi także?

Przypomniał sobie dzień, gdy jego ojciec przyniósł ten hamak do domu. Kupił go w sklepie z artykułami gospodarstwa domowego w Hallams Cove. Najpierw wkręcił wielkie haki, a potem rozwiesił na nich hamak. Jeden hak umieścił na jasnyniebieskiej ścianie domu - matka nazywała ten kolor williamsburgskim błękitem - drugi zaś na jednym ze słupów.

Oczywiście chłopcy, cała ich trójka, od razu zaczęli się kłócić, kto pierwszy wypróbuje hamak.

- Neil ma przywilej pierwszeństwa - zdecydował ojciec - ponieważ jest najstarszy. Następny będzie Ben, a Rory na końcu, bo jest najmłodszy.

- To nie jest w porządku - zaprotestował dziesięcioletni wówczas Ben; Rory też mu przyklasnął: - Przecież nie z własnej winy jesteśmy młodszy od Neila.

- Zgadza się. - Profesor Andersen uśmiechnął się. - Dlatego Neil wejdzie na hamak pierwszy, ale Ben będzie mógł dłużej w nim przebywać.

Ben dokładnie to przemyślał i potaknął.

- Zgoda! - powiedział i wykrzywił się do Neila.

- A co ze mną? - spytał Rory.

- Ty będziesz mógł leżeć w hamaku jeszcze dłużej niż Ben.

- To niesprawiedliwe - orzekł Ben.

- Tak jest! Uważam to za wysoce krzywdzące - poparł go Neil łamiącym się i chrapliwym ze złości głosem. - Nie moja wina, że urodziłem się pierwszy.

- Trudno, takie są moje warunki - upierał się ojciec. - Możecie je przyjąć lub odrzucić.

- A wtedy hamak natychmiast wróci do sklepu - dodała matka, ale nikt ani przez chwilę jej nie wierzył.

Niebieska farba na ścianie już dawno spęzła i stała się matowoszara, haki zardzewiały, ale poza tym letni dom niewiele się zmienił. Hamak wciąż się huśtał w tym samym miejscu co przed dwudziestu laty.

Gdy Ben szeptem wymówił imię żony, Lisa otworzyła oczy. Na jej górnej wardze i kościach policzkowych błyszczały kropelki potu.

- Cześć! - zawołał Ben.

- Cześć, kochanie! - odpowiedziała, patrząc na niego. - Jak ci minął dzień?

- Bardzo dobrze, ale cieszę się, że już wróciłem - zapewnił, uśmiechając się.

- Boże, jaki ty jesteś piękny... - Jej głos brzmiał tak, jakby wciąż jeszcze była na pograniczu snu.

- Ty też. - Sięgnął po jej dłoń i przytulił do policzka. Upał wisiał nad nimi, jakby utknął w pajęczynowej sieci, zwisającej z drewnianego dachu nad gankiem. - Dlaczego masz takie zimne palce? - zdziwił się.

- Pewnie z powodu złego krążenia krwi.

- Idę się umyć - powiedział. - Potem wezmę sobie drinka. Masz na coś ochotę?

- Proszę o mrożoną herbatę. Dzbanek stoi w lodówce. - Uśmiechnęła się jakby zmęczona.

- Mocne martini sprawiłoby mi więcej radości, ale nie mogę, jestem w ciąży...

- Może ja też się napiję mrożonej herbaty, by ci dotrzymać towarzystwa.

- To ładnie z twojej strony, mój drogi, ale wiem, że nie znosisz tego napoju. Lepiej weź dla siebie martini.

- Mogę ci nim machać przed nosem, jeśli to nie będzie zbyt sadystyczne.

- Oczywiście, że to byłoby sadystyczne, ale zrób tak, proszę. Tylko w ten sposób mogę

zbliżyć się do alkoholu... - Gdy się uśmiechała, pod oczami tworzyły jej się brązowe cienie.

Ben puścił płytę z Frankiem Sinatrą i przez chwilę słuchał, jak muzyka odbija się od drewnianych ścian, od wygodnych, choć zniszczonych przez upływ czasu mebli i belkowanego sufitu. Potem wyjął z lodówki wino, zrobił sobie drinka, a następnie wlał do szklanki mrożoną herbatę, dodał plasterki cytryny i gałązkę mięty. Wręczywszy napój Lisie, usiadł w sfatygowanym wiklinowym bujaku, który stał na ganku.

Obydwoje wpatrywali się w jezioro, które w miarę jak słońce chowało się za góry, stawało się najpierw złote, a potem pomarańczowe. Z pokoju dochodził głos Sinatry śpiewającego o miłości.

- Czy tu nie jest pięknie? - spytał Ben, nie mogąc oderwać oczu od falującej wody w jeziorze.

- Powiedziałałabym raczej, że panuje tu martwota - używała tego argumentu zawsze, gdy się kłócili.

- Czy naprawdę wolałabyś mieszkać w wielkim mieście?

- Oczywiście! Tu nie ma niczego podniecającego, niczego, co pobudzałoby energię. W Nowym Jorku co wieczór wychodziliśmy z domu, bywaliśmy w teatrze, w kinie, spotykaliśmy przyjaciół, uczęszczaliśmy na koncerty albo po prostu zabawialiśmy się, obserwując wielkomiejski ruch.

- I nie mieliśmy nawet chwili, żeby spokojnie posiedzieć... - próbował się przeciwstawić.

- Kochanie! Mam dwadzieścia sześć lat. Nie chcę spokojnie siedzieć. Przyjdzie na to czas, kiedy będę stara. Teraz chcę być w ruchu, żyć pełnią życia, a nie butwieć w jakiejś stojącej wodzie na wsi.

- Takie jest życie - burknął trochę oszołomiony.

- Jak kto głupi, to tak... ale ja chcę być z moimi przyjaciółmi, z ludźmi, z którymi mam o czym porozmawiać, którzy robią ciekawe rzeczy, są w centrum wydarzeń i mają w nosie to, czy w tym roku jesień jest cieplejsza niż w zeszłym albo czy się udał zbiór brukwi. - Jej głos złagodniał, wyciągnęła do niego rękę. - Przepraszam cię, kochanie, ale jestem dziś trochę nie-swoja...

- Czy coś ci dolega?

- Nie, czuję się dobrze. Jestem tylko zmęczona, to wszystko.

- Mam nadzieję, że się zbytnio nie przepracowujesz.

- Chyba nigdy w swoim życiu nie byłam taka leniwa jak teraz, przysięgam... - i dyskretnie ziewnęła.

- Nie szkodzi, byłeś za ciężko nie pracowała...

- Ależ kochanie, nic mi nie jest. Czuję się całkiem dobrze.

- Nie chciałbym, żebyś się narażała na jakiegokolwiek ryzyko.

- Przecież tego nie robię. - Potrząsnęła szklanką tak, że kawałki lodu zadzwoniły, uderzając o ścianki. - Pragnę tylko, żebyś znalazł pracę, w której mógłbyś właściwie wykorzystać swoje umiejętności.

Nastąpił teraz odpowiedni moment, żeby powiadomić żonę o ofercie, jaką mu złożył Kim Bernhard. Ben już otworzył usta, aby powiedzieć Lisie, że zanoszą się na to, iż bez trudu otrzyma taką właśnie pracę, jaką miała na myśli. Ale gdyby jej o tym powiedział, a potem nie zdecydował się na przyjęcie tej oferty, Lisa mogłaby mu tego nie wybaczyć. Znacznie lepiej będzie, jeśli sprawę jeszcze przemyśli i dopiero potem jej powie. Albo i nie.

- Spodziewałam się, że będziemy mieli więcej czasu dla siebie, ale ty wciąż jesteś poza domem i na wspinaczce spędzasz chyba tyle czasu co przedtem, a może nawet więcej...

- Wspinaczka to moje zajęcie.

- Przecież nie musi nim być. Głęboko wciągnął powietrze.

- Już ci mówiłem, że przestanę się wspinać, jeśli mnie o to poprosisz. - Wiedział jednak, że tak nie myśli, choć może chciałby...

- To musi być twoja decyzja, nie moja.

- Bardzo nie lubię się z tobą kłócić.

- Ja też - westchnęła. - Nie mogę się już doczekać urodzin dziecka, choć czasem pragnęłabym, żebyśmy dłużej byli tylko we dwoje, żebyśmy się mogli lepiej poznać.

Dokładnie to samo pomyślał wtedy, gdy mu obwieściła, że jest w ciąży. I mimo radosnego podniecenia, które go ogarniało, ilekroć wyobrażał sobie to dziecko, nadal tak myślał.

- Czuję się szczęśliwy - powiedział cicho - i to od pierwszej chwili, kiedy ciebie zobaczyłem.

- Rzecz w tym, że zanim byłam w ciąży, nie miałam nic przeciw temu, żebyś co jakiś czas wyjeżdżał. Oczywiście, było mi przykro, brakowało mi Ciebie, martwiłam się, ale... to nie było aż takie istotne. A teraz... - położyła rękę na wydętym brzuchu - teraz to ma znaczenie.

Zapaliły się lampy i coraz więcej światła zaczynało się pojawiać między drzewami. Ich długie jasne odbicia lśniły na ciemnej tafli wody. Ben podszedł do żony i ukląkł obok niej.

- Liso, ja naprawdę mówię to, co myślę. Jeśli chcesz, żebym przestał uprawiać wspinaczkę, tak zrobię.

Bawiła się jego włosami, burząc je palcami.

- Co? Miałyś zrezygnować z wyzwania i przygody, jaką jest dla ciebie wspinaczka? Przecież lubisz ryzykować i igrać ze śmiercią.

- Tak! - odparł śmiało. Miał nadzieję, że jego słowa zabrzmiały przekonująco, jakby naprawdę tak myślał. - Ale z jednym zastrzeżeniem.

- Z jakim?

- Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek mógł całkowicie zrezygnować ze wspinaczki.

- Nigdy bym tego od ciebie nie żądała.

- Żałuję, że się wybieram na Alaskę. Wolałbym tam nie jechać - powiedział, wiedząc, że to nieprawda.

- Ja też wolałabym, żebyś nie jechał - odrzekła, lekko wykrzywiając usta.

- Nie powinnaś się denerwować. Poznałaś przecież Joego i Rossa. To świetni alpinści. Lubię się z nimi wspinać. Można na nich polegać. A ta wspinaczka jest bardzo ważna dla Joego: nie udało mu się dotąd zdobyć szczytu Denali, a powinien go zdobyć, jeśli chce wejść do alpinistycznej elity. Tylko wtedy mógłby założyć własny biznes i zawodowo zająć się organizowaniem wysokogórskich wypraw.

- Zmartwiłeś mnie tą wiadomością. W tej sytuacji wydaje się znacznie bardziej prawdopodobne, że Joe może realizować różne ryzykowne pomysły.

- Joe nie należy do tych, którzy ryzykują.

- Jak to nie? Sam mi opowiadałeś, że kiedyś próbował się ścigać z jakimiś facetami po stromych lodowcowych zboczach czy czymś w tym rodzaju i odpadł od ściany.

- Ale był wtedy młodszy. Teraz ma rodzinę i postępuje o wiele ostrożniej.

- Wiem, kochanie, że nie powinnam ci tego mówić, jednak... wolałabym, żebyś nie jechał.

- Przecież nie będzie mnie tylko trzy tygodnie.

- Nigdy przedtem cię o to nie prosiłam - ścisnęła mu rękę - ale tym razem proszę: zrezygnuj z tej wyprawy!

Ben zdawał sobie sprawę, że ciężarne kobiety mają skłonność do różnych przesadnych reakcji, pamiętał, że żona Neila pewnego razu straciła nad sobą panowanie z bardzo prozaicznego powodu: ktoś coś wylał, plamiąc jej nowy sweterek.

- Kochanie - starał się mówić łagodnym tonem - umówiłem się na tę wyprawę z Joem i Rossem ponad rok temu, a więc na długo przedtem, zanim dowiedzieliśmy się, że będziemy mieli dziecko. Całymi miesiącami planowaliśmy ten wyjazd. Teraz w końcowym stadium przygotowań nie mogę kolegów zawieść.

- Wiem. - Uniosła ramiona i znowu je opuściła. - Przecież jeszcze przed ślubem uprzedziłeś mnie, że będziesz uczestniczył w wysokogórskich wspinaczkach, więc nie mam prawa narzekać.

- Jesteś kochana - powiedział uspokojony. Wstał i leciutko musnął ustami jej wargi. Zastanawiał się, co by zrobił, gdyby go teraz na serio poprosiła, żeby się już więcej nie wspiął. Jak by zareagował, gdyby mu powiedziała: „skończ ze wspinaczką!”. Czy byłby w stanie postąpić zgodnie z jej wolą? Jeszcze raz pomyślał o tym, jakim bezkompromisowym wyzwaniem są dla niego wysokie góry, jak harmonijnie łączą w sobie uczucia radości i strachu i jaki to paradoks, że choć śmierć jest tam zawsze bliska, w żadnym innym miejscu nie czuje się tak bardzo związany z życiem jak w górach.

- Wiesz? - przypomniała sobie nagle. - Jedna z pań w szkole rodzenia pokazała mi wywiad z tobą, jaki się ukazał w „Boston Globe”.

- Tak? - Dobrze pamiętał dziennikarza, który z nim rozmawiał; pocił się i wysiłał, chcąc tak sformułować pytania, żeby Ben wypadł w wywiadzie jako szalony zapaleniec, niemal pozbawiony mózgu entuzjasta wysokogórskich wspinaczek.

- Nigdy mi nie wspomniałeś, że pisano o tobie w prasie - wytknęła mu Lisa.

- Bo o czym tu mówić?

- Jesteś moim mężem. Powinnaś wiedzieć o tym, że jesteś bohaterem. Dlaczego mi nie powiedziałaś o uratowaniu małej dziewczynki, która spadła ze skały? Piszą w magazynie, że dziecko by umarło, gdybyś nie zaryzykował życia, aby je znaleźć.

- Sądziłem, że wszyscy już dawno o tym zapomnieli - wyjaśniał speszony.

- Jestem pewna, że nie zapomnieli o tym ani dziecko, ani jego mama... - Wzięła go za rękę. - Taka jestem z ciebie dumna, kochanie.

- Ależ wydarzyło się to wiele lat temu.

- Nie szkodzi. Wspomniano też inną osobę, której uratowałeś życie. Ten ktoś dostał ataku serca...

- Pracowałem wtedy w Górskim Pogotowiu Ratunkowym. To był czysty przypadek, że akurat ja pełniłem wtedy dyżur i przyjmowałem telefoniczne zgłoszenia.

- W artykule napisano coś innego. Zaraz ci zacytuję: „Tylko ktoś taki, jak Ben Andersen, mający odpowiednie umiejętności i charakteryzujący się bezinteresownością i odwagą, mógł się podjąć tego skomplikowanego zadania ratowniczego”.

- No, tak...

- Nie chcesz o tym mówić?

- Nie chcę.

Przez dłuższą chwilę milczeli.

- A więc? Kiedy wyjeżdżasz? W poniedziałek? - spytała wreszcie Lisa.

- Wylatujemy z Bostonu z samego rana. Mam się spotkać z pozostałymi uczestnikami wyprawy dzień przedtem, co znaczy, że - podniósł szklaneczkę i wypił do końca drinka - ...będę musiał wyjechać stąd w niedzielę rano.

- Czyli pojutrze?

- Tak.

- O cały dzień wcześniej, niż przypuszczałam. - Skrzyżowała ramiona na piersi i pochyliła głowę, wpatrując się w podłogę. Kiedy znowu przemówiła, jej głos brzmiał dziwnie nisko. - A co, jeśli spadniesz lub złapie cię burza i zginiesz tak, jak ci ludzie na Mount Evereście parę lat temu?

- To się nie zdarzy.

- Ale nie możesz być tego pewny, prawda?

- Oczywiście, że nie mogę. - Zrobił niecierpliwy gest. - Nikt nie może, lecz ja naprawdę mam dla kogo i po co żyć: dla ciebie, dla dziecka, dla naszej przyszłości. Chyba nie sądzisz, że chciałbym ryzykować utratę tego.

- Czy możesz sobie wyobrazić, jak się będę czuła po twoim wyjeździe, gdy pozostanę z myślą o tym, że może trzymasz się końcami palców jakiegoś kawałka skały albo wisisz nad jakąś szparą...

- Nie szparą, lecz szczeliną.

- Gównu mnie to obchodzi! - Podniosła głos. - Czy chodzi o szparę, czy szczelinę. Kiedy w nią wpadniesz i tak będziesz martwy.

Próbował coś powiedzieć, żeby tę nagle napiętą atmosferę trochę rozładować.

- Przecież często słyszy się o ratowaniu ludzi, którzy wpadli w skalną szczelinę.

- Ale tylko niektórych z nich daje się uratować.

- Powiedziałbym, że większość. - Sięgnął po jej rękę, lecz ją cofnęła.



- Czasem to wszystko wydaje mi się tak cholernie niepotrzebne, takie głupie...

- Mnie się tak nie wydaje. Spoważniała i potrząsnęła głową.

- O Boże, przecież nie ma sensu, żebym się denerwowała z twego powodu!

- Kochanie - znowu chwycił ją za rękę; tym razem pozwoliła mu ją zatrzymać. - Będę o tobie myślał przez cały czas, kiedy wyjadę, a wiedząc, że się denerwujesz i martwisz, sam też się będę zamartwiał. Ale wiem, że nic złego się nie zdarzy. Zawsze wierzę, że wszystko będzie na sto procent dobrze. Co ja mówię? Na sto dziesięć procent! Nie powinno się wybierać w wysokie góry, jeśli się nie wierzy w powodzenie wyprawy. I ty też musisz w to uwierzyć.

- Przynieś mi tylko jedno - prosiła.

- Wszystko!

- Przynieś, że do czasu urodzenia się dziecka już nie wybierzesz się w góry, że ta wspinaczka będzie ostatnia. Dobrze? - Jej głos się załamywał. - Obiecuj mi to, Ben!

- Solennie ci to obiecuję! - Wziął obie jej ręce w swoje dłonie i uśmiechnął się. - Nasze pierwsze dziecko... to będzie najbardziej podniecająca rzecz, jaka się nam kiedykolwiek zdarzy. Nienawidzę myśli, że będę daleko od ciebie. Gdybym się mógł z tego jakoś wywinąć...

- Ale każdemu następnemu alpiniście, który ci zaproponuje wyprawę, powiesz „nie”, prawda? - spytała.

- Daję słowo honoru!

- Poćwicz to: powiedz „nie” ze sto razy.

- Nie, nie, nie, nie - zaczął, lecz zaraz przestał, widząc, że Lisie łzy cieką po twarzy. - Moje ty kochanie... - szepnął.

Wytarła łzy grzbietem dłoni i spróbowała się uśmiechnąć.

- Boję się, że jeśli nie będę się pilnować, wkrótce zacznę nosić plisowane fartuszki i robić zapiekanki z tuńczyka i makaronu.

- Nie mogę się tej chwili doczekać, zwłaszcza gdy pod plisowanym fartuszkiem nic nie będziesz miała.

Słońce zaszło, nad jeziorem poczęły się gromadzić cienie i woda przybrała kolor czerni. W powietrzu unosił się zapach zapowiadający zmianę pogody i deszcz. W ciepłym zmierzchu odezwały się kumkające żaby.

- Wejdziemy do środka czy będziemy jeść na ganku? - zastanawiał się Ben.

- Wszystko jedno gdzie, bo wszędzie jest cholernie gorąco. Trochę niezręcznie z powodu swojej objętości Lisa wydostała się z hamaka.

- Chętnie ochłodziłabym się w jeziorze. Szkoda, że nie mamy klimatyzacji.

Podreptała przez ganek w stronę szerokich drzwi prowadzących do salonu. Stare deski podłogowe skrzypiały.

- Po zastanowieniu się doszłam do wniosku, że byłoby to dla mnie zbyt męczące, gdybym miała zejść na dół do wody.

Ben poczuł w tym momencie i miłość, i wyrzuty sumienia. Lekko ją objął, zanurzył twarz w jej włosach i mruknął cicho:

- Uwielbiam cię, Liso!

Ale żona trzymała się sztywno w jego objęciach.

- Co będziemy jedli na kolację? - spytała.

- Polecam słynne andersenowskie hamburgery albo znakomity andersenowski stek pieczony na rożnie, który łatwo mogę uruchomić. Mamy też kotlety wieprzowe w zamrażarce. Przyrządzę je, jeśli masz ochotę.

- Będę równie szczęśliwa, jeśli mnie uruczysz słynną andersenowską zupą pomidorową w puszcze. Zimną. Chyba są jakieś w lodówce.

- Masz szczęście, moja damo. Jestem najlepszym otwieraczem puszek w okolicy.

- Jak myślisz, czy miałam jeszcze jakiś inny powód, by ciebie poślubić? - żartowała.

- Nie wiem, może podobał ci się mój perfekcyjny bieg w worku.

- Być może miał on jakiś wpływ na moją decyzję.

- Czy na kolację wystarczy ci sama zupa? Przecież powinnaś jeść za dwoje.

- Mam poważne wątpliwości, czy będę w stanie zjeść choćby tylko za siebie. - Trzymała się za brzuch. Między jej brwiami zarysowała się niewielka zmarszczka. - Boję się, że nie potrafię utrzymać tego, co zjem.

- Myślę, że w twoim stanie można się takich rzeczy spodziewać.

- Jakoś dziwnie się czuję - zaniepokoiła się.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Mam wrażenie, jakby ze mną było coś nie tak...

- Ale przecież zrobiono ci USG zaraz po moim powrocie ze Szwajcarii, chyba półtora tygodnia temu, i wszystko było w porządku.

Wzruszyła ramionami.

- Mam zamówioną wizytę u lekarza w przyszłym tygodniu. Wydaje mi się jednak, że temu lekarzowi wcale na mnie nie zależy.

- Tak mi przykro, że musisz sama przez to wszystko przechodzić - powiedział Ben i przytulił żonę.

- Chyba nie mam wyboru, co? - odrzekła, odsuwając się od niego.

Potem siedzieli przytuleni na kanapie i co chwila zanurzali łyżki w pojemniku z lodami. Zajadając się bakaliowymi pysznościami, oglądali telewizję. Właśnie nadawano wiadomości. Ben objął żonę i położył dłoń na jej brzuchu. Dziecko chyba spało tego wieczoru. Chociaż Ben nie był pewny, czy dzieci w łonie matki śpią, czy nie, dziwiło go, że nie wyczuwa żadnych kopnięć ani ruchów maleństwa.

- Jeszcze trochę, a byłbym o czymś zapomniał - stwierdził nagle.

- O czym? Uwolnił się z jej objęć.

- Przepraszam cię na chwilę. - Wstał i poszedł do kuchni. - Popatrz, co kupiłem! - Trzymał przed nią małe pudełko.

- Co to jest?

- Wyszedłem na przerwę obiadową i zobaczyłem tę zabawkę w oknie sklepu z antykami.

Lisa uniosła wieczko i wyjęła dziecięcą grzechotkę.

- Ta stara angielska grzechotka - wyjaśnił Ben - jest zrobiona z koralu i srebra. Sprzedawca mi powiedział, że zabawka liczy sto pięćdziesiąt lat.

- Jest bardzo piękna. - Lisa pogłaskała męża po policzku. - Przepraszam, kochanie, że tak ci dzisiaj nadokuczałam.

- Oczami wyobraźni widzę już nasze dziecko z grzechotką w ręce. A ty? Wyobrażam sobie, że leży w koszyku i trzyma kółko w zaciśniętej piąstce, jak to robią dzieci. Trzyma je tak mocno, że ma się wrażenie, iż trzeba będzie siłą oderwać palce, aby je wypuściło.

Lisa potrząsnęła srebrnymi dzwoneczkami umieszczonymi na koralowym kółku.

- Ben, grzechotka jest śliczna.

- Tak jak nasze dziecko...

- Jak myślisz, czym ono będzie, gdy dorośnie? - spytała.

- Prezydentem Stanów Zjednoczonych. Na pewno! A ponadto olimpijskim złotym medalistą i słynnym, wyróżnianym nagrodami muzykiem wirtuozem.

- Zapomniałeś dodać, że jeszcze będzie bohaterem wojennym z wieloma odznaczeniami.

- Zdobywcą Oscara.

- I autorem bestsellerowych powieści.

- I jeszcze Bóg wie czym!

- Jeśli się urodzi chłopiec, będzie wysoki i szczupły, jak ty, z kręconymi włosami i talentem do sportu... - rozmarzyła się Lisa.

- A jeśli dziewczynka, będzie taka jak ty - wyraził nadzieję Ben - i będzie miała najpiękniejsze dołeczki na buzi.

- I okręci sobie tatusia dookoła małego palca.

- Przecież po to są dziewczynki. - Dotknął jednego ze srebrnych dzwoneczków. - Czy zdecydowałaś się już na jakieś imię?

- Uważam, że dla dziewczynki dobre byłoby imię Rosemary po mojej mamie. Gorzej z imieniem dla chłopca.

- A co myślisz o imieniu Rory? - spytał nieoczekiwanie.

- Masz jakiś konkretny powód, by tak nazwać chłopca?

- Podoba mi się to imię, a poza tym nosił je mój kuzyn.

- Czy to jest skrót od jakiegoś innego imienia?

- Nie sądzę. Ciotka twierdziła, że jest to imię gaelskie i znaczy tyle co „czerwony”.

- Rory - powtórzyła Lisa, zastanawiając się nad brzmieniem słowa. - W porządku, podoba mi się. Jeśli nic innego nie przyjdzie nam do głowy, godzę się na imię Rory dla chłopca i Rosemary dla dziewczynki.

Ben zamyślił się nad ewentualną córką i przypuszczalnym synem i poczuł nagły ucisk w gardle.

- To wszystko wydaje się takie... - nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa - zadziwiająco - powiedział w końcu.

Lisa uklękła obok niego. Wyciągnęła rękę, przymknęła oczy i jej palce, delikatne jak płatki kwiatu, zaczęły krażyć po twarzy męża. Najpierw dotknęła jego policzków, potem okolicy oczu, wykroju ust i wystającego nosa.

- Jakie to musi być straszne dla mego ojca, że jest niewidomy - stwierdziła z żalem. - Wyobraź sobie, co czuje, nie mając pojęcia, jak wygląda własne dziecko.

Ben też na chwilę przymknął oczy, próbując sobie wyobrazić świat, w którym panuje ciemność. Potem ujął dłoń Lisy i przycisnął do ust.

- Czy zakochałabyś się we mnie - spytał - gdybyś nie mogła mnie zobaczyć?

- Tak. Na pewno - odparła.

- Dlaczego?

- Bo wydzielasz miły zapach - mruknęła, nadal mając oczy zamknięte. Przycisnęła twarz

do jego policzka. - Ty naprawdę ładnie pachniesz.

- To pewnie zapach nowej wody po goleniu. Drobnymi rękami objęła jego twarz.

- Nie! Chodzi mi o to, że pachniesz jak dobry człowiek.

- Bez ciebie byłbym kompletnie zagubiony - wyznał, przyciskając ją do siebie. - Wiesz?

- Ja też bez ciebie byłabym zagubiona - powiedziała, otwierając oczy.

Drewno cicho się dopalało w kominku i Ben się pochylił, by dorzucić na żar jeszcze jedno polano. Objął żonę ramieniem.

- Jesteś i zawsze będziesz najpiękniejszym zjawiskiem, jakie się pojawiło w moim życiu. Bardzo chciałbym cię w tej chwili pocałować.

- A co cię powstrzymuje?

- Paskudna plama z zupy pomidorowej, którą masz dokładnie w połowie górnej wargi.

- Nie! To wielki skandal! - zawołała i wytarła usta ścierką kuchenną. - Od kiedy jestem w ciąży, stałam się strasznym flejtuchem.

- Może i jesteś flejtuchem, ale moim, i to na całe życie. Czasem, kiedy w nocy przytulał się do jędrnego ciała Lisy lub obserwował ją, jak się ubiera, ogarniało go takie samo poczucie, że uczestniczy w czymś wspaniałym, jak wtedy, gdy kończył wspinaczkę, osiągając szczyt. Zapach włosów żony, kropelki potu pod pachami, kiedy się kochali, widok jej małych majteczek wiszących w łazience wprawiały go w pewien rodzaj ekstazy. Piękno sylwetki, które doceniał, widząc ją we wspaniale przylegających do ciała sukniach, poważny wyraz twarzy, jaki przybierała, szcnotkując włosy, kolor skóry, kształt ust - wszystkie te obrazy towarzyszyły mu niemal przez cały dzień. Miał pewność, że właśnie dzięki tym cechom Lisy zawsze będzie jej pragnął i pożywał.

W niedzielę rano objął żonę czule i przycisnął do siedzenia samochodu, chociaż jej ciężarny brzuch nie pozwalał na zbytnią bliskość. Gdy patrzył na delikatne ramiona Lisy i smukłą szyję, ogarniało go niejasny lęk o nią. Ucałował jej miękkie usta i czuł, jak przywiera do niego piersiami.

- Kocham cię tak bardzo, że to aż boli - mruknął.

Lisa spojrzała mu głęboko w oczy i uwodzicielsko przejechała językiem po jego wargach.

- Nie sądzę, żebyś miał teraz ochotę na szybki seks na tylnym siedzeniu, prawda?

Za nimi jechał autobus do Butterfield. Silnik pracował na szybkich obrotach, a kierowca trąbił. Ben się zaśmiał i mocniej Lisę przytulił.

- Nie kuś mnie teraz. Poczekaj, aż wrócę do domu. Pieściła go wargami za uchem, stając na palcach, żeby dosięgnąć. Czuł jej łązy na policzku.

- Tak bardzo bym chciała, żebyś nie jechał na Alaskę. - Oderwała się od niego i stała, drżąc w chłodnym porannym powietrzu.

- Dasz sobie sama radę? Myślisz, że sobie poradzisz, zdana tylko na siebie?

- Mam nadzieję, że nic mi nie będzie. - Przycisnęła dłonie do wydętego brzucha. - Tylko że czasem bardzo się boję, że coś z ciążą nie jest tak, jak być powinno.

- Jeśli serio się martwisz, to koniecznie idź do Brada Pattersona. Poradź się lekarza, uważaj na siebie!

- Ty też uważaj, Ben!

- Ja zawsze uważam.

- Chciałabym, żebyś tym razem był ostrożniejszy niż zawsze. Teraz nie chodzi tylko o mnie samą.

- Będę ostrożny ze względu na ciebie i maleństwo.

- Pamiętaj, Ben! Jeśli cokolwiek ci się stanie - powiedziała z dziwną powagą - to nie ty będziesz cierpieć, ale my: ja i nasze dziecko. Musielibyśmy resztę życia spędzić bez ciebie.

Chciał już odejść, ale jeszcze zanurzył twarz w jej włosach.

- Nic złego się nie stanie - zapewnił.

- Tak bardzo bym chciała, żebyś nie jechał, Ben - powtórzyła raz jeszcze.

- Ja też wolałbym nie jechać. - Tym razem sam się zdziwił, że naprawdę myślał to, co powiedział. - Zostawiłem ci na poduszce numer kontaktowy.

- Dobrze.

Kierowca autobusu ruszył powoli do przodu, lecz nie mogąc ich wyminąć, musiał z piśkiem opon zahamować.

- Kocham cię - powiedział Ben.

- Ja też cię kocham, przystojniaku! - pochyliła się i pocałowała go w usta tak mocno, że pod jej miękkimi wargami wyczuł zęby.

- Pamiętasz, jak kiedyś przed Bożym Narodzeniem zabierałyśmy dzieci do miasta, aby obejrzały wystawy ze świątecznymi dekoracjami? - spytała Joanna, gdy były w połowie drogi do Bostonu.

- Uwielbiałam te wyprawy.

- Ja też, z wyjątkiem tego feralnego dnia... kiedy... O Boże! Zgubiłyśmy Lucy w podziemiach sklepu Filene'a. Pamiętasz?

- Jakżebym mogła zapomnieć? Takiego narobiłaś szumu... Nawet panie, które zapamiętały wyrywały sobie z rąk wyprzedazowe okazje, na chwilę przestały się szamotać.

- Wyobraźnia pracowała: oczami duszy widziałam najgorszy z możliwych scenariusz tego wydarzenia - wspominała Joanna. - Wyobraziłam sobie, że jakiś obrzydliwy zboczeniec porwał Lucy, aby wylądować na niej swoje okropne chore fantazje, a potem ją udusi i wyrzuci gdzieś jej biedne, małe ciało... - Joannę dławilo wzruszenie. - O Jezu!...

- Ale się okazało, że Lucy po prostu poszła do toalety.

- Jeśli jest coś dobrego w tym, że się nie ma dzieci, Mel, to jedynie fakt, że omijają cię takie koszmary i nie musisz cierpieć, wyobrażając sobie Bóg wie co, kiedy dziecko znika nagle z pola widzenia.

- To prawda.

- Nie jest jeszcze tak źle, kiedy masz kogoś, z kim możesz dzielić swoje lęki - westchnęła Joanna. - Dlatego między innymi nie opuszcza mnie poczucie winy, że się rozwiodłam.

- Nie powinnaś czuć się winna, Jo. Twoje dzieci wyrosły na świetnych młodych ludzi. Wspaniale wywiązałaś się ze swojej macierzyńskiej roli.

- Nie udałoby mi się to bez twojej pomocy, Mel. Nie było przy nich ojca, ale zawsze miały ciebie, jeśli chciały porozmawiać z kimś innym niż ja.

- Wydaje mi się, że wcieliłam się w postać niezamężnej ciotki, tak popularnej w wiktoriańskich powieściach.

- Niezamężnej? - Joanna spojrzała na Mel dziwnym wzrokiem. - O to byłoby ci trudno. Przecież w tamtym czasie byłaś żoną drogiego Erica.

- Tak, ale mówiłam w przenośni...

- W każdym razie powieściowe niezamężne ciotki trudniły się zwykle robieniem ręcznych koronek i miewały wapory, czyli hipochondryczne urojenia, a nie przypominam sobie,

żebyś ty się tak zachowywała.

- Nie miałabym nic przeciwko robieniu koronek, gdybym miała najmniejsze choć pojęcie, jak się do tego zabrać.

Przez chwilę jechały w milczeniu.

- Chcesz, żebyśmy się zatrzymały na kawę? - spytała Joannę. - Zaraz będziemy mijaly „Dairy Queen”.

- Chętnie napiłabym się kawy i spróbowała pączków z dziurką.

- To świetnie, ja też lubię ciastka, których teoretycznie nie ma, bo dziurka jest większa od tego, co ją otacza.

- Dałaś właśnie piękny przykład nieegzystencjalistycznego myślenia.

- Ach, to tylko żarty!

Lata przeżyte w bliskiej przyjaźni połączyły obie kobiety trwałym węzłem. Tyle pytań sobie w tym czasie zadały, tyle uzyskały odpowiedzi, tak wiele miały wspólnych doświadczeń, tyle sobie nawzajem powierzyły sekretów! To wszystko, pasmo po paśmie, splotło się w sznur łączący je więzami nie do rozerwania.

Joanna zaczęła szperać w schowku, gdzie Mel trzymała taśmy z muzyką. Wyjąwszy jedną z nich, spytała:

- Czy ty naprawdę słuchasz tej okropnej muzyki?

- O co ci chodzi?

- O Albiniego i niektórych jego pozbawionych talentu przyjaciół, którzy wprowadzili dzwonki do barokowej muzyki. O Boże! Sama już nie wiem, kogo bardziej nienawidzę: czy tego wrednego Albiniego, czy raczej tego cholernego Boccheriniego i jeszcze drugiego facecika, którego zawsze się z nimi łączy.

- Pachelbela?

- Tak, masz rację! Straszny jest ten Pachelbel. Nie wiem, kto przy zdrowych zmysłach wszedłby do sklepu, by kupić tego rodzaju taśmę? To czysty muzak...\*

\* Muzak - specjalnie uproszczona muzyka popularna, nadawana z głośników na dworcach, jako przerywki w telefonach itp.

- Domyślam się, że nie lubisz ich muzyki... - Mel wyprzedziła ciężarówkę. Minęły już porośnięte drzewami wysokie skaliste zbocza po obu stronach autostrady, teraz jechały przez płaski teren, zrównany z poziomem szosy. Gdy zbliżały się do miasta, ruch na drodze znacznie



się ożywił. - Ta taśma należała do Erica.

- W takim razie... - Joanna opuściła szybę i wyrzuciła taśmę przez okno.

- Wybacz, Joanno, ale... - Mel bezwiednie nacisnęła na hamulec - ...czy mi się zdawało, czy ty właśnie wyrzuciłaś moją taśmę z samochodu?

- Dobrze ci się zdawało. Wyrzuciłam ją. Zdecydowanie.

- Nie mogę uwierzyć, że coś takiego zrobiłaś!

- A ja nie mogę uwierzyć, że trzymasz takie starocie w samochodzie.

- Wyrzuciłaś taśmę, która była w doskonałym stanie. Szkoda.

- Uspokój się, kochana. Mogę ci za nią zapłacić, jeśli się dzięki temu lepiej poczujesz.

- Nie o to chodzi - odparła Mel. - Taśma była własnością Erica. Zawsze ją puszczał, gdy gdzieś jechaliśmy.

- Mimo to dalej upieram się przy swoim.

- Ta taśma stanowiła część mojej przeszłości. - Mel przypomniała sobie, jak Eric lubił podśpiewywać pod nosem przy akompaniamencie tych starych włoskich melodii. Kiedyś wzięła na drogę taśmy z pieśniami Schuberta i symfonią Mahlera; Eric się zezłościł. Powiedział, że przy tej muzyce nie może się skoncentrować na prowadzeniu samochodu. A gdy zaproponowała, że wobec tego ona może poprowadzić samochód, odmówił, tłumacząc: „Nie po tym fakcie, gdy omal nie zderzyłaś się z ciężarówką wiozącą mleko”. I chociaż protestowała, że wina była po stronie ciężarówki, która nie zatrzymała się na czerwonym świetle i że w końcu ona się z nią nie zderzyła, mąż poklepał ją po kolanie i zapewnił, że wszystko to robi z myślą o niej, aby było jej jak najlepiej.

- Trzeba patrzeć przed siebie, moja droga, a nie wracać do przeszłości - stwierdziła Joanna, jakby czytała w myślach Mel.

- Całe szczęście, że jesteśmy przyjaciółkami - oznajmiła Mel trochę jeszcze zła.

- Co jest z pożytkiem dla nas obu - dodała Joanna, poprawiając na nosie okulary przeciwsłoneczne. - Ale gdzie będziemy jadły kolację?

- Myślę, że tam gdzie zawsze.

- Może na odmianę spróbowałybyśmy gdzie indziej. „Nie lubię zmian” - pomyślała Mel, a na głos powiedziała:

- Przecież zawsze chodzimy do Mommy Rosy.

- Prawda, że odwiedzałyśmy ten lokal ze sto lat temu, ale od tamtych czasów jedzenie znacznie potaniało, a poza tym lokal nie należy już do Mommy Rosy. Teraz nazywa się „Gład

to be Gay"\* i należy do La Verne'a.

- Pamiętasz, jak zareagował, gdy go ostatnim razem spytałam, czy mogę zamówić zabaione\*\*? - Mel zaczęła chichotać. - Śmiać mi się chce, gdy sobie przypomnę, jak on zeszywniał i powiedział: „Ależ proszę pani, zabaione jest teraz zupełnie niemodne”. Szkoda, że nie widziałam jego twarzy, gdy to mówił.

- Jakby sobie kpił z nas w Ameryce. I obie się roześmiały.

- Do tej pory zawsze sądziłam, że tylko stroje wychodzą z mody - zauważyła Mel - a tu raptem się okazuje, że jedzenie też podlega modzie.

\* Gład to be Gay można tłumaczyć dwojako: albo „miło być wesołym”, albo „miło być gejem”.

\*\* Zabaione - deser z żółtek z cukrem i winem.

- Nie jestem pewna, czy nie umknęło to twojej uwagi, ale gdy byłyśmy tam poprzednio, omal nie ugryzłam go w pośladek - wykrztusiła Joanna, dusząc się ze śmiechu. - Kiedy przeszedł obok naszego stolika w purpurowym kombinezonie z gniecionej welwetu i szaliku kolorem doskonale do niego dobranym... przysięgam, myślałam, że to porcja ciasta z jagodami...

- Joanno, jesteś ogromnie komiczna! - Mel mocniej chwyciła za kierownicę, a jej twarz rozjaśniła się uśmiechem.

Joanna też się uśmiechała.

- Lubię, gdy się śmiejesz, Mel, bo stanowczo za rzadko ci się to zdarza. Nie otrzymałam jednak odpowiedzi na ważne pytanie: gdzie zjemy dziś kolację?

- Znam pewne miejsce - powiedziała Mel z wahaniem. - To jest rosyjska restauracja.

- Świetny pomysł - zachwyciła się Joanna. - Rosjanie umieją karmić ludzi, którym, tak jak mnie, dopisuje apetyt.

- Ale uprzedzam: może się okazać, że już tej restauracji nie ma. Pamiętam jednak, że kiedyś była bardzo dobra.

Inna rzecz, że w dawnych czasach Mel nie przykładła większej wagi do tego, czy restauracja jest dobra, czy zła. Wystarczyło jej, że wyjechała z Galenem z Nowego Jorku i razem spędzali weekend. Wystarczyło, że siedziała naprzeciw niego, w małej zatłoczonej restauracyjnej sali; stoliki były nakryte obrusami z czerwonym haftem i na wszystkich paliły się świece. Między nią a Galenem stała dymiąca waza z zupą, obok koszyczek ciemnego pieczywa, a na półmisku pierogi.

- Moja babcia pochodziła z Rosji - opowiadał Galen. - Zawsze nam robiła takie właśnie

pierozki jak te. - Włożył Melissie jednego do ust, a gdy jadła, przytknął jej palec do warg. - No i jak? Smakuje ci, kochanie?

- Bardzo!

Nabrał łyżką wazową gęstą zupę z mięsem i kapustą i wlał jej i sobie do głębokiego talerza. Potem dodał jeszcze kwaśnej śmietany z dzbanka przyniesionego przez kelnera.

Wzięła łyżkę.

- Co to jest? - spytała.

- Barszcz. Spróbuj! Zasmakuj ci.

I chociaż nie lubiła buraków, stwierdziła, że Galen ma rację: smak tej zupy bardzo jej odpowiadał. Dobrała jej jeszcze i maczała w niej kawałki czarnego chleba. Była oczarowana nowymi, interesującymi dziedzinami życia, w które wprowadzał ją Galen. Przyglądała mu się, jak jadł. „Jest moją prawdziwą miłością” - myślała o swoim kochanku.

- Ach, jak cudownie - powiedziała na głos. - Wszystko jest takie cudowne!

Popołudnie spędzili osobno: Joanna szperała po księgarniach, a Mel odwiedziła parę galerii. O szóstej spotkały się w hotelu, w którym dzieliły pokój, po czym wyszły razem na miasto, by poszukać rosyjskiej restauracji. Mel się zdziwiła, że znalazły ją dokładnie tam, gdzie była przed laty, i że od jej ostatniej wizyty, dwadzieścia pięć lat temu, niewiele się zmieniła. Ściany pomalowane były na taki sam brudnobrązowy kolor, sufit jak dawniej żółty, okna zasnutę parą, a z kuchni rozchodziły się takie same smakowite zapachy.

Kelnerka, dziewczyna licząca nie więcej niż siedemnaście lat, miała jasne warkocze związane na czubku głowy szkarłatną wstążką. Nosiła szeroką spódnicę z grubej czerwonej wełny i wpuszczoną do środka białą bluzkę.

Mel zamówiła te same potrawy, które jadła, gdy tu ostatni raz była, a Joanna poprosiła dodatkowo o bliny z łososiem.

- Ale najpierw proszę nam przynieść dwa kieliszki wódki. Dla mnie pieprzówkę, a dla mojej przyjaciółki...?

- Truskawkową - powiedziała Mel. - I tylko dlatego, że to ładnie brzmi.

- Rzeczywiście! Czy będę mogła spróbować twojej?

- Ależ tak!

Zanim przyniesiono barszcz, wypily po dwa kieliszki.

- Boże, jak ta wódka uderza do głowy! - oznajmiła Mel.

Po chwili kelnerka postawiła na stole solidną białą wazę z zupą, czarny chleb i wiórki masła.

- Owszem - zgodziła się Joanna. - Uderza do głowy, że już o innych częściach ciała nie wspomnę. - Hałaśliwie odstawiła kieliszek na stół i oparła się na łokciach. - No dobrze, a teraz powiedz, kim on był?

- Słucham?

- Mel! Od chwili gdy Weszliśmy w te drzwi, twoja twarz przybrała dziwnie głupawy wyraz... Wyglądałaś, jakby ci się właśnie spełniło twoje młodzieńcze marzenie o miłości. Lepiej nie udawaj, ale przyznaj się, że bywałaś tu z jakimś bardzo szczególnym facetem. Umiem rozpoznawać takie objawy.

Mel bawiła się małym kieliszkiem, który stał przed nią.

- Byliśmy tylko dobrymi przyjaciółmi - wyznała niepewnie.

Zanim Joanna zdołała odpowiedzieć, kelnerka wróciła, a widząc puste kieliszki, spytała:

- Czy podać wódkę?

- A jakie macie smaki oprócz tych, które już próbowałyśmy? - zainteresowała się Joanna. Włosy wysunęły jej się spod szylkretowych grzebyków, które miały je przytrzymać. Policzki jej się zarumieniły i błyszczały z podniecenia.

- Mamy wódkę brzoskwiniową, malinową, kawową, cytrynową, miętową... - Dziewczyna jednym tchem wyrecytowała jeszcze pół tuzina innych.

- Napiję się brzoskwiniowej - zdecydowała się Joanna - a dla mojej przyjaciółki proszę o pomarańczową.

- Nie! - zaprotestowała Mel. - Ja już mam dosyć!

- Nie wydziwiał! Żyj pełnią życia, kochanie! Nie możesz się wiecznie zgrywać na „niezameżną ciotkę”.

Wkrótce przyniesiono zamówione wódki; Joanna dobrała się do zupy i przegryzała ją czarnym chlebem.

- Zupa jest absolutnie wspaniała - orzekła, po czym, nie zawieszając nawet głosu, dodała:

- A więc... ten facet był Rosjaninem?

Mocny alkohol zaczął porządnie uderzać Mel do głowy. Gdy nią potrząsnęła, aby zaprzeczyć, w kącikach jej oczu zabłysły małe iskierki.

- Nie! Był Polakiem - sprostowała.

- Znałaś go, zanim wyszłaś za mąż za Erica czy potem?

- Przed Erikiem, oczywiście. - Mel pociągnęła łyk cytrynowej wódki, którą przyniosła kelnerka. - „Joanna i ja jesteśmy od lat przyjaciółkami - myślała. - Zanim zasugerowałam, że byśmy tutaj zjadły kolację, nigdy nie wspominałam jej o żadnym mężczyźnie z mojej przeszłości. Zrobiłam to dopiero teraz, chociaż już wcześniej nieraz mnie o te sprawy pytała”. - To był po prostu ktoś, z kim przez jakiś czas pracowałam - dodała szybko.

- Cholera! A ja myślałam, że się nareszcie czegoś dowiem o twojej tajemniczej przeszłości. - Kromkę czarnego chleba Joanna posmarowała grubo masłem. - Czy mogę jeszcze o coś zapytać?

- Nie.

- Zawsze mówisz nie.

- A ty i tak pytasz.

- Czy byłaś kiedyś zakochana? To znaczy, tak naprawdę, na zabój zakochana?

Mel przez chwilę milczała.

- Tak - powiedziała w końcu. Ale gdyby miała opisać bolesne doznania tamtych straconych lat, musiałaby przyznać, że to, co wtedy czuła, mało było podobne do miłości. Pamiętała napięcie nerwów pod skórą, pulsowanie krwi w nadgarstkach, mrowienie w palcach... Całymi dniami chodziła, nie czując gruntu pod stopami. Odkąd się ocknęła, nie pamiętała niczego, co się wydarzyło. Pamiętała tylko jego. Wyłącznie jego. Jego twarz i uśmiech, jego imię i dotyk.. Zastanawiała się, czy gdyby mieli się jeszcze raz spotkać, znowu by się w nim tak beznadziejnie zakochała.

- Jak on wyglądał?

- Był... - Jaki był? Ciepły, silny i gniewny. Niepohamowany i jednocześnie łagodny. Człowiek kontrastów. Mężczyzna, z którym nie umiała postępować. I dlatego od tamtej chwili wiedziała, że nigdy się nie zaangażuje w coś, czego nie rozumie i czego nie jest w stanie kontrolować. Odtąd z góry się upewniała, czy z partnerem da sobie radę. - Pytasz, jaki on był? Był wszystkim, naprawdę - powiedziała po prostu. - Był, jak sama się wyraziłaś, bardzo szczególnym facetem.

- A więc to nie był Eric?

- Daj spokój, Joanno!

- Przepraszam, wybacz. Jak się nazywał?

- Jego imię... - Choć tyle lat minęło, jego imię wciąż tkwiło w jej pamięci i zawsze miała je na końcu języka... - Jego imię nie ma nic do rzeczy.

- Nie wygłupiaj się, panno Melisso! Nie zapominaj, że jesteśmy przyjaciółkami. - Joanna opróżniła kieliszek i zasygnalizowała kelnerce, aby podeszła do stolika. - Powiedz choć, co się z nim stało?

Kiedy Mel znowu przecząco potrząsnęła głową, Joanna ze zdziwieniem uniosła brwi.

- A więc wybrałaś Erica... Oczywiście dlatego, że go kochałaś?

- Tak.

- Pytam z czystej ciekawości: jaki Eric był w łóżku? Bo widzisz, przez te wszystkie lata naszej przyjaźni nigdy nie rozmawialiśmy o seksie.

- Z reguły nie mówię o seksie - odparła Mel. - Ale ty nigdy nie przestajesz wałkować tego tematu.

- A więc jaką dasz odpowiedź na moje „łóżkowe” pytanie? Czy jęczałaś z szalonej namiętności, gdy cię dotykał? Tęskniłaś za nim, kiedy wychodził do pracy? Czy sprawiał, że twoje ciało nabierało życia i wigoru?

- Dlaczego musisz sprowadzać wszystko do seksu, panno Mayfield?

Joanna prosząco wyciągnęła rękę.

- Eric nie był twoim pierwszym mężczyzną, prawda? Proszę cię, bardzo cię proszę, powiedz mi, że ty i ten inny mężczyzna byliście kochankami. Nie zniósłabym myśli, że...

- Joanno, jesteś moją najlepszą przyjaciółką, ale, do diaska, moje miłosne życie to naprawdę nie twój interes!

Joanna wytarła serwetką usta.

- Nie daj się prosić, kochanie! Powiedz mi!

Mel odwróciła wzrok i patrzyła na salę. Jakaś para właśnie weszła do lokalu, trzymając się za ręce. Tych dwoje wpatrywało się w siebie w taki sposób, jakby pragnęli odciąć się od reszty świata. Przeważnie tak właśnie się zachowują kochankowie... Mężczyzna był siwy i wyglądał na faceta po sześćdziesiątce; jego partnerka wydawała się dziesięć lat młodsza.

„Co bym zrobiła - zastanawiała się Mel - gdyby nagle wszedł tu Galen? Czy on by mnie w ogóle poznał?”

- Masz zamiar odpowiedzieć na moje pytanie czy nie? - nalegała Joanna.

Mel głęboko wciągnęła powietrze. Nie chciała roztrząsać tych spraw z Joanną. Z nikim. A już szczególnie nie z samą sobą. A jednak czuła neodpartą potrzebę odsłonięcia rąbka tajemnicy, którą otoczyła swoją przeszłość.

- Muszę ci powiedzieć - zaatakowała Joannę - że z czasem staniesz się prawdziwie nie-

znośną starszą panią. Będiesz chodziła na przyjęcia, upijała się do nieprzytomności, mówiła ludziom najbardziej obraźliwe i oburzające słowa i wylewała na siebie napoje, plamiąc suknie.

- A kiedy wstanę, żeby wyjść, pozostawię małą wilgotną plamę w miejscu, w którym siedziałam.

- Nikt ci jeszcze tego nie powiedział? - spytała Mel. - Przecież ty już teraz to robisz. - I obie zaniósły się śmiechem.

Kelnerka sprzątnęła głębokie talerze po zupie i przyniosła bliny z kawiozem oraz talerz wędzonego łososia. Kiedy odeszła, Joanna odłożyła nóż i widelec i pochyliła się do przodu.

- Teraz zadam ci, moja droga, poważne pytanie. Dawniej cię nie znałam, ale jest dla mnie oczywiste, że mogłaś dotrzeć wszędzie, robić wszystko, co tylko możliwe, i mieć każdego, kogo chciałaś. Dlaczego więc wybrałaś Erica, który był mistrzem w robieniu cierpkich, nieco poniżających uwag, lubował się w poprawianiu poduszek, by wypłoszyć gości, i wiekiem pasowałby raczej na twego ojca?

- Chyba masz obsesję na punkcie Erica - zarzuciła jej Mel. - Skąd ci się to wzięło? Zaczynam się zastanawiać, czy go czasem nie pożądałaś seksualnie.

- Nie żartuj! - Joanna przesadnie się wzdrygnęła. - Proszę, powiedz prawdę! Dlaczego wyszłaś właśnie za Erica?

- Jeśli naprawdę musisz wiedzieć... - Mel przełknęła, bo słowa zaciążyły jej w gardle jak kamienie - ...próbowałam... chciałam za wszelką cenę zapomnieć o aborcji.

- Coś ty powiedziała?

- To, co słyszałaś.

- O aborcji? - Joanna patrzyła na nią, nie wierząc własnym uszom. - Znam cię od Bóg wie ilu lat i nigdy o tej sprawie nie napomknęłaś, nawet się nie zająknęłaś, a teraz nagle spokojnie o tym mówisz...

- „Spokojnie” nie jest właściwym słowem. Na pewno nie jestem ani trochę spokojna.

- Więc wyjaśnij, dlaczego mi nigdy o tym nie powiedziałaś.

- Jeśli mam być szczerą, to żałuję, że powiedziałam ci teraz.

Kelnerka przyniosła jeszcze dwa małe kieliszki wódki. Joanna, biorąc swój, prychnęła pogardliwie.

- Jestem pewna, że w życiu nie byłam tak zaskoczona. - Zanurzyła palec w kieliszku i posmakowała wódki. - Chyba miętowa... albo przyniosła przez pomyłkę płyn do płukania ust.

Mel patrzyła na swój kieliszek.

- Czy to dziecko było jego? - Joanna nie ustawała w nękanii Mel pytaniami. - Tego Rosjanina?

- Polaka.

- Wszystko jedno. Było jego?

Mel wolała zmienić temat.

- Czy ci mówiłam, że gdy ostatnio byłam nad jeziorem, zaprosiłam na kolację Bena Andersena?

- Bena Andersena? - Joanna wyjęła grzebyki i pozwoliła, by włosy opadły, okalając zarumienioną twarz. Na jej górnej wardze pojawiły się kropelki potu. - Ej! Teraz to już na pewno zmyślasz.

- Mówię prawdę. Ben był sam, więc mu zaproponowałam, by zjadł ze mną kolację, na którą podałam przywiezione z domu steki.

- I jak się udała ta kolacja?

- Było dość niemrawo. Nie uwierzysz, ale facet wydaje się pozbawiony wszelkich towarzyskich zalet.

- A jak oceniasz jego inne zalety? - Mina Joanny wyraźnie sugerowała, o jakiego rodzaju zalety jej chodzi.

- Joanno! Przecież nie po to go do siebie zaprosiłam. Pomijając inne względy, Ben jest żonaty i szczęśliwy w małżeństwie, a poza tym jest o tyle młodszy, że mógłby być moim synem. Co więcej, nie sędzę, żebym kiedykolwiek przedtem tak się cieszyła, gdy gość wychodził.

- Wiesz, myślałam, żeby z okazji urodzin dziecka urządzić Lisie przyjęcie w mojej księgarni. Co o tym sądzisz?

- Dlaczego w księgarni?

- Bo mi się wydaje, że urządzenie spotkania w dziecięcym dziale księgarni mogłoby być bardzo zabawne. Posadziłabym wszystkich na małych krzeselkach albo na pufach z gąbki czy czymś w tym rodzaju. Do kawy podałabym różne dziecięce smakołyki i przyjęcie wyglądałoby jak podwieczorek dla dzieci.

- Myślę, że Lisa byłaby tym ogromnie zachwycona.

- Tym bardziej że, choć trudno w to uwierzyć, ona już zapisała przyszłe dziecko na wtorkowe poranne czytanie bajek w naszej księgarni.

- Rzeczywiście Lisa nie może się doczekać, żeby zostać matką - śmiała się Mel. „Ja też z niecierpliwością na to dziecko czekam” - dodała w myśli.



- Rzecz w tym - wyznała Joanna - że nie chciałabym wkraczać na twoje terytorium. Wiem, że ty i Lisa jesteście ze sobą w bliskiej przyjaźni, więc jeśli ty planujesz wydać dla niej przyjęcie, to ja ze swego pomysłu na razie zrezygnuję.

- Miałam zamiar coś urządzić, ale myślę z tym jeszcze poczekać. Jeśli chcesz, mogłybyśmy wspólnie przygotować dla Lisy jakąś wspaniałą imprezę.

- Mam wrażenie, że całe wieki minęły od czasu, kiedy kupowałam moim dzieciom ubranka - powiedziała Joanna z tęsknotą w głosie. - Bóg jeden wie, kiedy zostanę babcią, a teraz widzi się w sklepach fantastyczne rzeczy dla maluszków. Widziałam tu kiedyś u Beana maciupęńki ocieplany kaftanik dla dzidziusia. Był tak uroczy, że nie mogłam przejść obok niego obojętnie; kupiłam go i czeka teraz w szafie na dziecko Andersenów.

- Czuję, że obie będziemy to maleństwo strasznie rozpieszczać.

- Po to są babcie...

- Właśnie. A przy okazji powiadamiam cię, że w tych dniach znowu się wybieram nad jezioro. Czy tym razem będziesz mogła mi towarzyszyć? Jeśli miałabyś ochotę, możesz, ale nie musisz, wziąć ze sobą któreś z dzieci.

- Nie, kochanie, na pewno nie będę mogła wyjechać przez cały następny tydzień. Mamy przyjęcie towaru, a potem muszę się udać do Nowego Jorku i spotkać z niektórymi hurtownikami. - Widząc rozczarowaną minę Mel, dodała: - Ale przyrzekam, że wkrótce na pewno się u ciebie zjawię.

Joanna z trudem uniosła głowę i żałośnie jęknęła.

- O Jezu! - z powrotem opadła na poduszkę i zasłoniła oczy ramieniem. - Co mi się stało? Czuję się tak, jakby mi tabun dzikich koni galopował w głowie.

- Za dużo wypiąś. - Mel wzięła prysznic, ubrała się i jakoś nie mogła zdobyć się na okazanie przyjaciółce współczucia.

- Co mówisz? - Joanna przyciskała dłoń do czoła.

- Mówię, że ubiegłej nocy bardzo dużo wypiąś.

- Ty też.

- O, nie! Wypiąś znacznie więcej ode mnie. - Mel liczyła na palcach: - Miałam pieprzówkę, potem wódkę brzoskwiniową, malinową, kawową, jeszcze jedną pieprzówkę, ponadto połowę tych trzech wódek, które wprawdzie zamówiłam, ale nie do końca wypiąłam. I właśnie dlatego ja się czuję doskonale, a ty nie.

- Cholerna z ciebie piła...

- Żeby kózka nie skakała, toby nóżki nie złamała... Jeśli chcesz, zadzwonię do obsługi, żeby przynieśli ci dzbanek kawy.

- Może lepiej od razu cały kocioł.

- Proszę, zażyj to! - Mel podała jej szklanę wody i dwie tabletki paracetamolu.

Joanna połknęła lekarstwo i przymknęła oczy.

- Przysięgam, że to był ostatni raz: już nigdy więcej nie dotknę alkoholu.

- Wierzę ci, kochanie.

Kiedy przyniesiono kawę, Mel naląła przyjaciółce filiżankę i postawiła obok jej łóżka.

- Mam ochotę się przejść, ale wrócę po ciebie później.

- Kiedy?

- Za dwie godziny.

- Dobrze. - Joanna odwróciła się na drugi bok i jęknęła z bólu. - Przymknij, że nigdy więcej nie pozwolisz mi się zbliżyć do butelki. Mam się trzymać z dala od alkoholu, minimum na trzy metry - mówiła płacząco.

- Zgoda.

- Kochanie, zeszłej nocy...

- Tak, co się stało zeszłej nocy?

- Wiem, że nie chcesz o tym mówić, ale mi powiedziałaś, że poddałaś się aborcji. Czy to prawda, czy mi się to tylko przyśniło, co?

\*

Mel spacerowała, ciesząc się słońcem, aż doszła do restauracji z ogródkiem, w którym ustawiono stoliki. Od ulicy oddzielały lokal krzewy bukszpanu, umieszczone w pomalowanych na zielono skrzynkach. Usiadła i zamówiła podwójne cappuccino i croissant z czekoladą. Popijając kawę, czytała gazetę; robiła to, na co nie miała czasu w domu. Po raz pierwszy sobie uświadomiła, jakie trudne były ostatnie miesiące i jak ciężko wtedy pracowała. Dobrze zrobiła, że wyjechała z Butterfield. Eric nie lubił podróżować, więc przez lata ich małżeństwa prawie się nie ruszała z miejsca. Wyjątek stanowiły wizyty w Bostonie i Nowym Jorku oraz wycieczka do Europy dla uczczenia dziesiątej rocznicy ich ślubu.

Kiedy wróciła do pokoju hotelowego, Joanna była już na nogach i ubrana pakowała się.

- Czuję się znacznie lepiej - powiedziała. - Byłeś tylko nie eksplodowała blisko mnie żadnych petard...

- Obiecuję, że nie będę.

- Miałabym ochotę na zupę - oznajmiła Joanna. - Mogłaby to być włoska minestrone albo jakaś inna, w każdym razie coś dla uspokojenia żołądka.

- Nancy zawsze przygotowuje obfity obiad - przypomniała jej Mel. - Nie będziesz w stanie niczego zjeść, jeśli się teraz zapchasz zupą.

- Nie, moja droga, jest na odwrót. Jeśli teraz nic nie zjem, to potem nie będę mogła nawet tknąć obiadu, a nie chciałabym zrezygnować z małżony, które Nancy tak wspaniale przyrządza.

- Niedaleko stąd widziałam włoską restaurację - przypomniała sobie Mel. - Chodźmy tam.

Przechodziły obok zwartej szeregu budynków, w których mieściły się sklepy i restauracje. Nagle Joanna się zatrzymała. Staromodne metalowe poręcze oddzielały chodnik od schodów, prowadzących do sklepów w suterenie na dole.

- O mój Boże! - zawołała. - Jakie to piękne!

- O czym mówisz?

- Tam na dole... W sklepie z kapeluszami... - I zaczęła schodzić po kamiennych stopniach. Schody kończyły się na udekorowanym flagami chodniku, za którym widać było cztery małe sklepy.

Mel poszła za nią. Sklep z kapeluszami był wąskim, jednoizbowym pomieszczeniem, wciśniętym między sklep z lalkami i małą księgarnię, która specjalizowała się w sprzedaży książek o historii wojskowości. Czwarty sklep miał szklany, pomalowany na czarno front, i mógł handlować absolutnie wszystkim.

Na wystawie widniał tylko jeden model kapelusza, umieszczony na staroświeckiej formie z wiśniowego drzewa. Był to zachwycająco piękny kapelusz z jasnoliliowej słomki, owinięty lawendowego koloru szyfonowym szalem. Z boku miał dyskretnie przypięty do ronda małą bukietek fiołków z jedwabiu. Po drugiej stronie wystawy, naprzeciw kapelusza, stał mały szklany flakonik, a w nim bukietek prawdziwych fiołków.

- Spójrz! - szepnęła Joanna. - Czyż ten kapelusz nie jest pod każdym względem doskonały?

- Tak! Świetnie by się nadawał na ślub osób z wyższych sfer - odparła Mel - lub na jakieś koktajlowe przyjęcie wydane przez arystokratyczną rodzinę na cele charytatywne.

- Ale przede wszystkim idealnie by pasował do twego szala albo do tego ametystowego naszyjnika, który odziedziczyłaś po matce. Ach, Mel, ty po prostu musisz go kupić!

- W Butterfield nie nosi się takich kapeluszy.

- Więc ty zacznij je nosić i wprowadź tam nową modę. Dlaczego nie miałabyś jej zapoczątkować? Daj złośliwej Sarze Mahoney temat do plotek. Zapewniam cię, że tak cudownie wyglądałabyś w tym lawendowym szyfonie, iż cokolwiek by Sara powiedziała, miałabyś to głęboko w nosie...

- Przyznaję, że kapelusz jest bardzo piękny, ale nie dla mnie, naprawdę.

- Kup go! - stanowczo zażądała Joanna, wzięwszy Mel pod ramię.

- Po co, skoro nigdy go nie włożę.

- Mogłabyś go włożyć na mój pogrzeb.

- Przecież już dawno temu uzgodniłyśmy, że ja umrę przed tobą. Poza tym nigdy nie byłam zwolenniczką kapeluszy.

- A więc najwyższy czas, żebyś zaczęła nią być. - Joanna pchnęła drzwi i weszła do sklepu.

Modystka była kobietą o smutnej twarzy. Stała w tyle sklepu i zamyślona wpatrywała się w kapelusz z zielonego aksamitu o szerokim rondzie; trzymała go w wyciągniętych rękach i obracała na wszystkie strony

- Chodzi nam o kapelusz z wystawy - powiedziała Joanna. - Moja przyjaciółka chciałaby go przymierzyć.

- Wcale nie mam na to ochoty - protestowała Mel.

- Jest piękny, prawda? - Modystka ostrożnie odłożyła kapelusz z zielonego aksamitu i podeszła do okna wystawowego, żeby wyjąć model z liliowej słomki. - Czy panie czytały artykuł o mnie w gazecie? Ukazał się w zeszłym tygodniu.

- Nie jesteśmy stąd. Przyjechaliśmy tu z krótką wizytą z Vermontu.

- Muszę się pochwalić, że w miejscowej gazecie ukazał się duży artykuł o moich kapeluszach - informowała modystki. Zaprosiła Mel na fotel pokryty białym pluszem, a gdy ta usiadła, delikatnie włożyła jej na głowę liliowy kapelusz. - Pięknie w nim pani, bardzo dobrze przy pani blond włosach... - zachęcała.

- Sama nie wiem... - Mel kręciła głową to w tę, to w tamtą stronę. „Eric pękałby ze śmiechu” - pomyślała. Ale rzeczywiście w kapeluszu było jej do twarzy.

- Cudownie pasuje do twoich oczu - zauważyła Joanna.

- Wydobywa ich niezwykle kolor - dodała pani kapeluszniczka. Wybiegła na zaplecze i wróciła z dwoma jedwabnymi kwiatami w ciemnych odcieniach błękitu. Przyłożyła je do bu-

kiecika fiołków. - Proszę mi pozwolić je upiąć... - Miała nawleczoną igłę i zrobiła kilka małych ściągów. - O, teraz ten kapelusz jest naprawdę doskonały. Jak się pani podoba?

- Kupi go - zapewniła Joanna.

- Czyżby? - broniła się Mel.

- Nie ma dyskusji.

- Pięknie w nim pani wygląda - powtórzyła modystka.

- Pięknie? - Mel poprawiła kapelusz, przesuwając go nieco do przodu.

„Nigdy nie byłam piękna - pomyślała. - Byłam młoda i to wystarczało za piękność”.

Przypomniał jej się Galen. „Jego ręce rozwierały moje uda - wspominała. - Zwracał twarz ku mnie i patrzył, a poważne usta mówiły mi, że jestem wspaniała i ponętna; w jego oczach byłam doskonała. Uwielbiał mnie. Byłam jego muzą, jego inspiracją”. Nagle zaczęło jej się zbierać na płacz. Kobieta w idiotycznym, choć pięknym kapeluszu, spoglądająca na nią z lustra, była kimś obcym, kimś, kogo nigdy nie знаła, ale może byłaby w stanie polubić. „Kim jestem? - zastanawiała się. - Dokąd zmierzam?” Tak dobrze jej znane uczucie wyobcowania wróciło, sprawiając, że poczuła się przegrana.

- Dobrze! - zdecydowała się. - Wezmę go.

Modystka przyniosła pudło zadrukowane deseniem w fiołki i szeleszcząc, wymościła je bibułką. Ale Joanna zauważyła stojące na półce inne, które skojarzyło jej się ze wspomnieniem z dzieciństwa.

- Moja matka miała takie samo pudło na kapelusze jak tamto! - zawołała, zdejmując karton pokryty liliowym jedwabiem i wykończony ciemnoczerwoną skórzaną wypustką. - Już od wielu lat nigdzie takiego nie widziałam.

- Znalazłam je na pchlim targu. Pochodzi z lat dwudziestych - wyjaśniła modystka.

- Jest bardzo piękne. Czy byłaby pani skłonna je sprzedać?

- No wie pani... - wahała się. - Co prawda wygląda, jakby zostało zrobione do kapelusza, który pani nabyła. Szczerze mówiąc, było moją inspiracją, gdy tworzyłam ten model, więc myślę, że powinny zostać razem.

- Nie mogę sobie w żadnym razie na nie pozwolić - zaczęła Mel, ale Joanna jej przerwała.

- Kup tylko kapelusz. Za pudło ja zapłacę. Modystka podeszła do okna wystawowego i wyjęła flakonik z fiołkami.

- Proszę wziąć także fiołki - zaproponowała. - To pachnąca odmiana. Mają cudowny za-

pach. - Związała je purpurową wstążeczką i włożyła do przezroczystej folii, a potem zawinęła kapelusz w fioletową bibułę. - Bardzo proszę - powiedziała - niech to będzie pamiątka z Bostonu.

- Pamiątka przyjaźni - szepnęła Mel, patrząc na Joannę.

## — 8 —

Z taksówki powietrznej Cessna wysiedli na porytym koleinami śnieżnym lądowisku, znanym jako Międzynarodowy Port Lotniczy Kahiltna. Ben stał na zimnie, wpatrywał się w pionowe granitowe skały i rozciągające się daleko nad nimi pola lodowe. Przytłaczała go wspaniałość tutejszego krajobrazu. Jak zawsze gdy znajdował się w wysokich górach, z przykrością sobie uświadamiał, jak mało znaczy... człowiek.

Cała trójka: on, Ross i Joe rozpoczęli wyprawę od nudnej drogi z lotniska w górę do lądowców nie przekraczających dwóch tysięcy czterystu metrów, a potem wspinali się do obozu położonego na wysokości czterech tysięcy ośmiuset metrów. Pokonywali tę przestrzeń powoli; dali sobie tydzień na zaaklimatyzowanie się i przystosowanie do dużych wysokości. Dni tu były słoneczne, a noce mroźne, lecz pogodne.

- Jeśli pogoda się utrzyma, możemy śmiało atakować szczyt - powiedział Joe, ciężko dysząc, gdy się zatrzymali, aby się napić wody z butelek. - Boże, będę rad, gdy uda mi się osiągnąć ten wymarzony cel.

- A ja wcale nie jestem pewny, czy mi tak bardzo zależy na zdobyciu tego szczytu - spokojnie powiedział Ben.

Dwaj pozostali spojrzeli na niego zdziwieni.

- Więc co, u licha, robisz tu z nami? - spytał Ross, szykując się do wymarszu.

- Owszem, zależy mi na wspinaczce, jasne, że tak... Ale w alpinizmie nie tyle chodzi o osiągnięcie czegoś, ile o samą czynność wspinania się. - Ostatnio w tym właśnie przekonaniu się utwierdzał.

- Może masz rację - przyznał Joe - ale tym razem szczególnie mi zależy na zdobyciu szczytu.

- Mnie też - wyznał Ross, dwa lata młodszy od pozostałych, potakując z zapalem. - Nie uwierzycie, ile pieniędzy wydałem na tę wyprawę.

- Tak jak my wszyscy - zauważył Ben.

Ross zmarszczył czoło i przybrał nieco kpiarską minę.

- I właśnie dlatego nie ma mowy, bym zrezygnował i oznajmił dziewczynie, że zdecydowałem się nie zawracać sobie głowy zdobywaniem szczytu ani nawet przymierzaniem się do jego zdobycia.

Kiedy zjawili się w obozie, najpierw - jak to było w zwyczaju - zarejestrowali swoją wyprawę, nadając jej nazwę „Trzej Muszkieterowie”, a potem postawili namiot w jednym z bunkrów śnieżnych, zbudowanych przez uczestników poprzedniej wspinaczki. Na dworze było zimno, co jakiś czas zrywał się wiatr, ale niebo pozostawało czyste i alpinistów nie opuszczała nadzieja, że wkrótce wyruszą w drogę. Wierzyli w rychłe wyjście w góry, mimo że ludzie schodzący do obozu z wyższych partii pesymistycznie oceniali ich szansę. Przestrzegali przed silnymi wiatrami i mówili o warunkach gorszych niż w Arktyce. Wszyscy twierdzili, że lada chwila można się spodziewać wielkiej burzy.

- Nic nie szkodzi - Joe z uśmiechem zapewniał towarzyszy. - Poczekamy, aż przestanie dmuchać.

- To nic strasznego - dodał Ross.

Ale potem, gdy mimo dobrej, słonecznej pogody prawie przez dwa dni siedzieli na miejscu, niewiele mając do roboty poza sprawdzaniem sprzętu, który już przedtem setki razy sprawdzili, zaczęli rozważać możliwość przyspieszenia wyjścia. Joe złapał jakąś infekcję dróg oddechowych i chciał wyruszyć, zanim choroba się rozwinie.

- Moim zdaniem tam, wysoko, nic złego się nie dzieje - zapewniał, stojąc przed namiotem i spoglądając w górę. - Uważam, że możemy zaryzykować.

- A co ty o tym sądzisz, Benny? - spytał Ross.

- Zgadzam się z Joem. - Ben przyjrzał się szczytom bielejącym na tle niebieskiego nieba.

- Gdyby się pogoda zepsuła, zawsze będzie można wrócić na dół.

Mimo że inni alpiniści sceptycznie kiwali głowami, odważna trójka rozpoczęła wspinaczkę po południu. Wejście było trudne, ale niezbyt groźne. Gdy zapadła noc, osiągnęli wysokość ponad pięciu tysięcy metrów; rozłożyli namiot i przymocowali go do stoku kołkami oraz wymyślną siecią lin, biorąc pod uwagę możliwość pogorszenia się pogody.

Następnego dnia podjęli dwie wspinaczki, osiągając wysokość ponad sześciu tysięcy metrów, i za każdym razem zabierali ze sobą żywność i paliwo, na wypadek gdyby doszło do jakiejś krytycznej sytuacji, która uniemożliwiłaby im zejście do namiotu.

Tej nocy przyszła burza.

Minęły trzy dni, a burza wciąż szalała. Gęste chmury kłębiły się wokół wyższych szczytów i, staczając się w dół, zasłaniały niebo. Nieustanne wycie wiatru dezorientowało alpinistów i doprowadzało ich znękanym umysłem do otępienia. Śnieg zamarzał, padając, a igielki lodu uderzały w boczne ściany namiotu. Burza zagnała przyjaciół do środka i zmusiła do pozostania tam. Fizyczne potrzeby załatwiali, używając specjalnych torebek i butelek, które trzymali w przedsionku namiotu. Większość czasu spędzali w śpiworach, starając się utrzymać ciepło. Na początku brak ruchu ich nie niepokoił. Wszyscy mieli do tej sprawy filozoficzny stosunek: wiedzieli, że czekanie na dobrą pogodę jest nieodłączną częścią wysokogórskiej wspinaczki; doświadczyli już gorszych warunków.

W miarę jednak jak mijały godziny, coraz bardziej dawało im się we znaki to, że byli skazani na przestrzeń niewiele większą niż łączna powierzchnia trzech ręczników plażowych. Zaczęli się irytować, łatwo popadali w złość. Ross co chwila kichał, co działało Benowi na nerwy. Parę razy zdarzyło się też, że Joe z całą siłą kopnął śpiwór Bena zsuwający się na miejsce zajmowane przez Joego.

- Trzymaj swoje pieprzone stopy z dala ode mnie i mego miejsca! - wrzasnął, gdy sytuacja się powtórzyła. - Jezu! Nie dość, że cały rok harowałem jak wół, żeby zapłacić za wyprawę, i teraz tkwię w tym cholernym namiocie, to jeszcze mi ten kretyn zabiera miejsce. Chce zagrabic więcej, niż wynosi jego częśćka wspólnej przestrzeni.

- Przepraszam cię - powiedział Ben. - Nie zrobiłem tego umyślnie. Tak się po prostu zdarzyło.

- W porządku! - mruknął Joe, uciekając spojrzeniem w bok. - Chyba dostaję klaustrofobię. Na pewno nie planowałem, że spędzę wakacje w przemoczonym namiocie z dwoma najobrzydliwszymi facetami, jakich kiedykolwiek widziałem.

- Nawet gdybyś wyglądał jak Julia Roberts, też by ci się to nie na wiele zdało - Benowi uświadomił Ross.

- Po prostu jesteś zazdrosny - zwrócił się Ben do Joego. Leżał w swoim śpiworze na swojej działce i próbował zachować ciepło. Skupiał się na oszczędnym wydatkowaniu energii i usiłował doszukać się czegoś pozytywnego w ich sytuacji. Pocieszał się, że dzięki burzy mogą odpocząć po wyczerpującej wspinaczce na tak dużą wysokość. - Raczej nie możesz mieć nadziei, by ktokolwiek chciał głosować na ciebie i obwołać cię „Mister Serca”, jak kiedyś mnie się zdarzyło.

Wszyscy trzej zagwizdali z przejęcia, wspominając pijany wieczór, jaki spędzili z kole-



gami alpinistami w bazie obozu w Peru. Impreza skończyła się tym, że bractwo rozebrało się do kalesonów.

Najbardziej martwił Bena coraz gwałtowniejszy, uporczywy kaszel Joego. Wpływało na to zapewne zarówno zimno, jak i wysokość. Nie chciał tego powiedzieć głośno, ale, patrząc na przyjaciela, miał wątpliwości, czy mądrze postąpił Joe, że nalegał na dalszy udział w wyprawie.

- Niezbyt dobrze to brzmi - skomentował przedłużający się atak kaszlu kolegi.

- Masz rację - zgodził się Ross. - Z taką piersią Joe nie powinien się dalej wspinać.

- Mam wrócić? Czy to macie na myśli? - ostro zareagował Joe. - Nie ma mowy! Przygotowywałem się do tej wspinaczki przez cały rok i niech mnie diabli, jeślibym miał zrezygnować właśnie teraz.

- Ale skoro nie jesteś w formie, chłopie...

- W formie? Mam lepszą formę niż każdy z was. - I Joe uderzył się w pierś. - Wspinałem się już w gorszym stanie.

Ben wiedział, że to prawda, ponieważ sam też brał udział w tamtej wspinaczce. Nie uważał jednak, że to wystarczający powód, by Joe wchodził na tak dużą wysokość. Przypomniawsobie obawy Lisy i niepokój co do brawury i lekkomyślności Joego, i swoje zapewnienia, które miały ją uspokoić. Życie na wysokości ponad czterech tysięcy metrów jest trudne, ale możliwe do zniesienia. Natomiast tu, na wysokości ponad pięciu tysięcy metrów, sytuacja przedstawiała się zgoła inaczej: powietrze było rzadsze, zimno bardziej dokuczliwe, a czyhające niebezpieczeństwa znacznie groźniejsze. Najgorsza byłaby choroba wysokościowa, na którą Joe uskarżał się już poprzednim razem. Miał wtedy regularny atak. Teraz, w miarę jak upływały dni, Ben z coraz większym niepokojem obserwował kondycję przyjaciela.

Joe znowu się rozkaszał: świszczący bulgot, jaki dobywał się z jego piersi, mocno zaniepokoił kolegów.

- Jezu, chłopie - przelął się Ross. - Wydajesz takie odgłosy, jak jakieś cholerne mieszadło do cementu!

- I czuję się jak mieszadło... - Joe próbował się zaśmiać, ale śmiech skończył się suchym, przeciągłym atakiem kaszlu.

Ben także kaszłał; słyszał ostrzegawczy świst w płucach. Próbował stłumić obawy, że i u niego zaczyna się choroba wysokościowa. „To niemożliwe” - przekonywał się w duchu. Przecież zarówno on, jak i koledzy postępowali ostrożnie. Zdawali sobie sprawę z groźby, jaką stanowi wspinanie się zbyt wysoko i zbyt szybko. Przez cały czas starali się zachowywać umiar:

odpowiednio rozkładali siły i nie narzucali sobie przyspieszonego tempa.

Ross próbował się zgrywać.

- Chryste! - zawołał. Wargi mu popękały z zimna i krwawiły; blady uśmiech skrył w skrzęcej się szronem brodzie. - Trzymaj swoje bakterie dla siebie, dobrze? Te małe pijawki próbowały mnie już raz dopaść.

Na dworze szalał wiatr, wyjąc i targając delikatne nylonowe ściany namiotu. Elastyczne kevlarowe drażki poruszały się i pochylały pod wpływem pędu powietrza, ale zbudowane tak, by przeciwstawić się nawet sile huraganu, jakoś się trzymały. Na razie... Gdyby jednak zawie-rucha się wzmogła, kto wie, czy okazałyby się wystarczającym zabezpieczeniem. Huragan mógłby rozedrzeć namiot i wyrwać go ze stoku góry, pozostawiając alpinistów bez jakiegokolwiek osłony.

Joe znowu się rozkaszał. Doszły do tego dreszcze. Gdy kaszel się wzmógł, chwycił go paroksyzm febry.

Ben miał końce palców starte do krwi. Stopy mu zdrętwiały. Nie przestawał się trząść z zimna, chociaż włożył na siebie wszystko, co zabrał ze sobą, nawet specjalne drogie okrycia, które miały go chronić przed chłodem. Te stroje zostały tak zaprojektowane, by nie dopuścić do przenikania mroźnego powietrza do ciała alpinisty. Gardło alarmująco go rozboleło.

Ben zdawał sobie sprawę, że pomimo twardego treningu, jaki wszyscy trzej przeszli w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy, teraz ich fizyczna forma nieustannie się pogarsza. Każda godzina, którą spędzali uwięzieni na tej wysokości, ujemnie wpływała na stan ich zdrowia. Przewidywał, że jeśli sytuacja pogodowa się nie poprawi, jutro będą musieli rozważyć możliwość przebicia się przez nawałnicę i powrotu do obozu, położonego na wysokości czterech tysięcy siedmiuset metrów, i albo zrezygnować z dalszej wspinaczki, albo podjąć ją jeszcze raz. Zdawali sobie sprawę, że tylko tym ludziom udało się przeżyć wysokogórską wspinaczkę, którzy wiedzieli, kiedy należy zmienić zamiary o sto osiemdziesiąt stopni i zamiast piąć się wyżej, zejść na dół. Jednak chęć zdobycia szczytu była dla Bena i jego kolegów nieodparcie kusząca. Ponad wszystko pragnęli stanąć na najwyższym wierzchołku Ameryki Północnej i mieć satysfakcję, że doszli tam o własnej mocy, a ich walka z żywiołem zakończyła się sukcesem. Myśl o tym znowu ich zmobilizowała i pozwoliła dobrać ostatka sił, by zwalczyć zmęczenie, mdłości, pragnienie i ból. Przecież po to tak ciężko pracowali przez ubiegły rok; to był cel, do którego dążyli. Teraz nadszedł ostatni, decydujący moment. Czuli, że muszą zdobyć szczyt. Że nie mogą zrezygnować...

Ben walczył z ćmiącym bólem głowy i myślał o Lisie. Wiatr huczał, towarzyszyły mu nieustanny łoskot oraz dudnienie i groźne zacinananie zlodowaciałych grudek śniegu o namiot. Przypomniawszy sobie, że niedawno pewien znacznie od niego starszy i bardziej doświadczony alpinista zaprosił go do udziału w wyprawie. zaproponował, żeby przyłączył się do niego, gdy podejmie próbę wejścia na Mount Everest w przyszłym roku. Początkowo propozycja wbiła Bena w dumę, że ma szansę wejść na najwyższą górę na świecie w tak znakomitym towarzystwie.

- To dla ciebie niewątpliwie sprawa prestiżu - powiedziała Lisa, kiedy wspólnie tę ofertę omawiali. - Jeśli się z nim wybierzesz, wyprawa będzie jednocześnie określeniem twojej wartości jako alpinisty. Twoja cena pójdzie w górę...

- To prawda - przyznał. Ale dla niego góry nie były środkiem na zdobycie lepszej pracy lub większych zarobków.

- Przecież wspinaczka na Mount Everest jest czymś, o czym zawsze marzyłeś - przypomniała mu żona.

- Kiedyś tak, ale to było, zanim spodziewaliśmy się dziecka. Teraz już nie jestem tego taki pewny... - tłumaczył, pocierając zarost na brodzie. - Może gdybym był młodszy... - Chciał dodać, że nie uprawia wspinaczki tylko po to, by wejść na szczyt lub zakarbować jeszcze jeden rowek na pasku alpinisty. Góry to nie trofea. Ben chodził w góry dla samej radości wspinania się. - Choć już obecnie wejście na Mount Everest to niemal taka łatwizna jak spacer po Centralnym Parku.

Lisa się zaśmiała.

- Chyba masz rację.

- Ostatnio wiele o tym myślałem i doszedłem do wniosku, że dla mnie lepiej by było nie zdobywać tego szczytu.

- Dlaczego? - Nie rozumiała, o co mu chodzi. - Jak to?

- Bo gdybym wszedł na szczyt, gdybym się znalazł na tym czubku świata, co jeszcze miałbym do zrobienia w życiu? Jakie wyzwanie jeszcze by mi pozostało? Ludzie stawiają sobie różne absurdalne cele: na przykład żeby jako najmłodszy dokonać tego... żeby jako pierwszy Amerykanin zrobić tamto... ale Mount Everest musi pozostać czymś pod każdym względem najwyższym... Gdybym zaatakował szczyt i wszedł nań jako trzydziesto- lub trzydziestodwuletni mężczyzna, to już nic więcej nie pozostałoby mi do zdobycia. Może lepiej będzie, gdy dam temu spokój: niech ten szczyt raczej zostanie symbolem czegoś, co mógłbym zdobyć, niż

celem, dla osiągnięcia którego miałbym podjąć ryzyko przegranej lub zwycięstwa.

Ben sobie przypomniał, jaką minę zrobiła Lisa, kiedy zadzwonił do tamtego faceta i odmówił przyjęcia zaproszenia na wyprawę. Na jej twarzy zobaczył wtedy wyraz niewiary, ulgi i czegoś, czego się nie spodziewał: rozczarowania.

Znowu zakaszłał i uświadomił sobie, że na tej wysokości kaszle z o wiele większym wysiłkiem, niż gdyby znajdował się na niższym poziomie. Każdy oddech, każde wciągnięcie do płuc niezwykle suchego powietrza podrażniało śluzówkę krtani. Miał wrażenie, że w jego opłucnej zbiera się płyn. Czuł się coraz gorzej. W tych warunkach przeżycie zależało od rozważenia szans i podjęcia przemyślanej decyzji. Gdyby u niego i u Joego zaczął się obrzęk płuc, nie będą mieli innego wyboru, jak tylko zejść na dół, nawet jeśli w głębi duszy sprzeciwiali się takiemu rozwiązaniu.

Potężne porywy wiatru uderzały w namiot, na skutek czego jego ściany co chwila to się wydymały, to znów wciągały do środka. Drażki z jękiem pochyliły się do wewnątrz.

- Ale wiatr! - powiedział Joe. - Chyba wieje z prędkością osiemdziesięciu węzłów.

- Moim zdaniem minimum osiemdziesięciu pięciu - uważał Ross. - Gdybyś teraz wyszedł na dwór, pewnie od razu odmroziłbyś sobie jaja.

Dobrze choć, że działała jeszcze łączność telefoniczna przez satelitę i Ben miał stały kontakt z Lisą, choć panujący tu hałas zagłuszał jej głos. Ben się bał, że kiedy wejdą wyżej, trudniej będzie mu nawiązać bezpośrednią łączność z żoną. Gdy ostatnio rozmawiali, Lisa wydała mu się dziwnie zagubiona i słaba. Narzekała na zdrowie, miała uczucie, że coś z nią jest nie w porządku. Ben się pocieszał, że to samo mówiła żona Neila, gdy była w szóstym miesiącu ciąży z Jeffem. W końcu się okazało, że to nic groźnego, że tylko zatrzymały jej się gazy.

- Chłopcy! - zwrócił się Ben do kolegów - czas uruchomić kuchenkę.

- Czy to jest konieczne? - pytał Joe. - Cholernie kopci: mam już chyba warstwę węgla w płucach. Robi mi się niedobrze, gdy o tym pomyślę. - Odwrócił głowę i zwymiotował.

- Mnie też jest słabo - stwierdził Ross.

- Musimy wlać w siebie coś ciepłego. - Ben nie mógł opanować drżenia całego ciała. - Co byście chcieli: herbatę, zupę, makaron?

- Nie jestem, głodny, a zresztą gardło mnie tak boli, że chyba nie mógłbym niczego przełknąć - skarżył się Joe.

- Musimy jeść, koledzy! Nie ma mowy o dojściu do celu, gdy opadniemy z sił - przekonywał Ben, choć samo mówienie sprawiało mu trudność.

- Masz rację! - zawołał raptem Joe ze swego bezpiecznego legowiska w śpiworze.

Ben się ucieszył, że Joe próbuje wziąć się w garść, że pragnie, by wróciły mu siły i znów budzi się w nim ambicja.

- Po ostatniej porażce jestem teraz zdecydowany nie rezygnować, dopóki nie postawię stopy na tym cholernym szczycie... - zadeklarował Joe.

- Powiem wam, co mi pomaga utrzymać się w formie - wyznał Ross.

- Co takiego?

- Moje wnuki.

- Wnuki? - zadrwił Joe. - Ileż ty masz lat, chłopie? Dwadzieścia dziewięć? Nie wiesz, co mówisz, czy jak?

- Przecież nawet nie masz jeszcze dzieci - przypomniał mu uprzejmie Ben. Próbował zwilżyć językiem popękane wargi i poczuł smak krwi.

- Do diabła, Ross żony też jeszcze nie ma - zaśmiał się Joe.

- Nie w tym rzecz. Chodzi o coś innego. W dzieciństwie długie godziny słuchałem opowiadań mego dziadka. Snuł opowieści o tym, jak zwyciężał na wojnie, jakim był bohaterem, pokazywał swoje medale i takie różne bzdety... Otóż wydaje mi się, że jestem mu coś winien - tłumaczył Ross. - Pewnego dnia to ja będę wszystkich zanudzał, także te małe urwisy, które mnie obsiądą dokoła, by słuchać, co mam im do powiedzenia. Dlatego tym razem muszę dojść na sam szczyt.

- Do trzech razy sztuka - oznajmił Joe.

- Wierzę, że taki dzielny facet jak ty dokona tego - zapewnił Ben.

- Muszę, nie mogę sprawić zawodu wnukom. Prawda?

Ben wybuchnął świszczącym śmiechem. Sam nie potrafił wybiegać myślą dalej niż do przyjścia na świat jego dziecka. Wnuki wydawały mu się czymś niezmiernie odległym.

Wspólnymi siłami zdołali uruchomić kuchenkę i ze stopionego śniegu ugotować wodę na herbatę; zmusili się też do przełknięcia jednego z paczkowanych posiłków, które ze sobą przynieśli. Jedzenie trochę ich ożywiło. Gdy Ben udał się później za potrzebą do przedsionka, zauważył, że wiatr osłabł. Rozsunął zamek błyskawiczny w namiocie, wystawił głowę na zewnątrz i ku swemu zdziwieniu zobaczył świecące w górze gwiazdy. Na dworze wciąż panował straszliwy chłód, ale ukazanie się gwiazd świadczyło, że pogoda się poprawia. Potykając się, wrócił do kolegów, by im przekazać tę radosną wiadomość.

- Zgadnijcie, co się dzieje. Chyba się rozpogadza. Jeśli dobra pogoda się utrzyma, mo-

żemy jutro zaatakować szczyt.

- To znaczy, że musimy rozpocząć wspinaczkę bardzo wcześnie rano, tak?

- Albo wyjść stąd już za dwie godziny.

- Jeśli się naprawdę rozpogodzi, to nie widzę przeszkód.

- Myślisz, że rzeczywiście możemy niedługo wyruszyć? - nie dowierzał Ross. - Wy dwaj nie wyglądacie najlepiej. Raczej nie jesteście w dobrej kondycji.

- To nic. I tak pójdziemy. Głosuję za tym - gorączkował się Joe - żebyśmy wyszli, gdy tylko burza ucichnie, i spróbowali zaatakować szczyt.

- Zwłaszcza że w prognozie pogody nadanej właśnie przez radio zapowiedziano, że czyste niebo zobaczymy znowu dopiero za jakieś trzy lub cztery tygodnie - ostrzegł Ross.

- Zaczniemy więc, tak na wszelki wypadek, już teraz pakować sprzęt - radził Ben.

Nowa sytuacja poprawiła ich nastrój. Ożywili się, spakowali bagaże i sprawdzili sprzęt. Wiatr się uspokoił, a kiedy wyjrzeli z namiotu około dziesiątej wieczór, stwierdzili, że chmury odpłynęły i niebo zrobiło się czyste. Temperatura nadal była niska i chłód dawał się we znaki.

Ben po raz ostatni zadzwonił do Lisy. Powiedział jej, że czuje się dobrze i jeśli wszystko się powiedzie, być może wróci do domu wcześniej, niż myślał.

- Życzę ci szczęścia, kochanie! - usłyszał.

- Brakuje mi ciebie.

- Mmm... Wróć tak szybko, jak tylko będziesz mógł.

- Nie martw się, Liso. Kocham cię, najmilsza. Kocham was oboje.

- Ja też ciebie kocham.

Przyjaciele Bena byli gotowi do wymarszu.

- W porządku, chłopcy - oświadczył Joe. - Nasz moment właśnie nadszedł. Muszkietierowie wyruszają w drogę.

- Wszyscy za jednego - zaczął Ross.

- I jeden za wszystkich - dokończył Ben.

Przez chwilę spoglądali na siebie, milcząc, po czym uścisnęli sobie dłonie.

- W tej chwili nie mam nic specjalnego do roboty, oprócz rozrabiania gliny - przyznała się Lisa, gdy Mel do niej zadzwoniła.

- A więc z powodzeniem mogłabyś pojechać ze mną nad jezioro. Tam jest znacznie chłodniej. Byłoby mi bardzo przyjemnie, gdybyś chciała dotrzymać mi towarzystwa.

- Mnie też będzie z tobą miło.

Wybrały się wcześniej po południu. Teraz siedziały na tarasie domku Andersenów i zabawiały się przyjacielską rozmową.

- Rozumiem już, dlaczego ty i Ben tak bardzo lubicie tu przebywać. Wspaniałe jest to jezioro i wszystko, co je otacza. Dzieci będą tu miały prawdziwy raj. Ben postawił nawet małą trampolinę - mówiła Lisa, trzymając w ręce szklankę mrożonej herbaty.

- Ach, tak? - Mel oczami duszy widziała już dzieci skaczące z trampoliny do wody, słyszała ich radosne okrzyki; wyobraziła sobie, że potem nastąpi pieczenie mięsa na rożnie i odbędzie się prawdziwy piknik.

- Muszę ci powiedzieć - kontynuowała Lisa - że niełatwo mi będzie przywyknąć do ludzi, którym trzeba aż piętnastu minut, by udzielić odpowiedzi na proste pytanie: Piękny mamy dziś dzień, prawda?

- Są ludzie i ludziska, kochanie. - Mel przechyliła kieliszek i z przyjemnością poczuła zapach mięty i cytryny. - Ben jest teraz na Alasce, prawda? - spytała.

- Tak. Bardzo mi go brakuje, ale przynajmniej dzięki satelitarnej łączności mogę z nim rozmawiać przez telefon.

- Jak mu idzie?

- Skończył się właśnie okres aklimatyzacji, przyzwyczajali się do dużych wysokości, a teraz na serio zabierają się do wspinaczki.

- Czy Ben dobrze się czuje?

- Tak sobie. Dzwonił zeszłej nocy. Mówił, że szaleje tam burza, która ich zatrzymała, i chwilowo są unieruchomieni. Ben tłumaczył, że oddziaływanie zimnych wichrów na ludzki organizm może doprowadzić do znacznego obniżenia się temperatury ciała i że wiatr ma tam siłę huraganu. On i jego koledzy siedzą skuleni w namiocie, który rozbili w połowie drogi na szczyt, i biedacy czekają na poprawę pogody.

- To brzmi dość przerażająco - zauważyła Mel. Przypomniała sobie Bena, gdy siedział

naprzeciw niej, pił czerwone wino i wpatrywał się w nią swoimi nieobecnyimi oczami. Światło świec rzucało cienie na jego szczupłą twarz i chociaż Mel próbowała go wypytywać, nic jej nie powiedział o zdenerwowaniu i desperacji, jakich na pewno doświadcza w takiej sytuacji.

- Lęk stanowi nieodłączną część satysfakcji, jaką odczuwa alpinista - oświadczyła Lisa. - Przecież Ben wspina się na wysokie góry nie mimo czyhających tam na niego niebezpieczeństw, ale właśnie dlatego, że tam jest niebezpiecznie. Myślę, że wspinaczka zaspokaja jego potrzebę ucieczki.

- Czy on ucieka od ciebie? Lisa się zaśmiała.

- Mam nadzieję, że nie. Jeśli już o to pytasz, to wydaje mi się, że on ucieka od poczucia winy za śmierć swego kuzyna, o którym ci kiedyś wspomniałam.

- Ale to przecież nie mogła być jego wina!

- Oczywiście, że nie. Lecz gdzieś w głębi duszy Ben jest przekonany, że może jednak była.

- Mówiłaś, że Ben miał zaledwie jedenaście lat, gdy to się zdarzyło.

- Jedenaście lub dwanaście, coś koło tego.

A więc wyrzuty sumienia nie nękały go zbyt długo. Mel przeżywała własne poczucie winy o wiele dłużej. Wstała, żeby udać się do domu.

- Będę tuż obok w sąsiedztwie; gdybyś potrzebowała mojej pomocy, po prostu zawołaj!

Następnego rana, zanim się wybrała na spacer w góry, Mel wpadła na chwilę do domu Andersenów.

- Dobrze się czujesz? - spytała Lisę.

- Tak, dziękuję.

- Nie powtórzyły się już te dziwne sensacje, o których mówiłaś, gdy jechałyśmy samochodem?

- Trudno powiedzieć... nie wiem... naprawdę... - Skrzywiła się. - A dokąd się wybierasz?

- Do wodospadu.

- Jakżebym chciała wykrzesać z siebie dość siły, by pójść tam z tobą... - Lisa miała na sobie zieloną lnianą bluzę, jasnogrnatowe szorty i żółty szal, którym obwiązała włosy. - Ale że jej nie mam, to chciałabym, jeśli się pokaże słońce, trochę się poopalać. Muszę odpocząć, bo strasznie się zmęczyłam tym, co robiłam wczoraj.

- Co takiego robiłaś?

- Gdy wyszłaś, odczułam nagłą potrzebę moszczenia sobie gniazda. Jakby obudził się we



mnie jakiś instynkt. Trzy godziny sprzątałam i szorowałam kuchnię: wywróciłam do góry nogami cały kredens, wyczyściłam szuflady, umyłam podłogę, uprałam zasłony i kuchenne ściereczki, i nawet nie pamiętam co jeszcze...

- I dlatego dzisiaj chciałabyś poleniuchować? A żebyś miała o czym myśleć, kiedy będziesz się rozkoszować nieróbstwem, coś ci powiem. Chodzi mi po głowie pewien pomysł: chciałabym urządzić wystawę rzemiosła. Nie ma to być jedna z tych wystaw, od których roi się w miejscowościach odwiedzanych przez turystów, ale coś ambitniejszego. Znam wielu ludzi, których prace warte są pokazania. Jedni robią narzuty z kolorowych łąt, dla innych tworzywem jest papier, jeszcze inni rzeźbią w drewnie. Wystawiałabym również prace garncarzy.

- Czy to będą wystawy rzemiosła, czy twórczości artystycznej? Sara Mahoney na pewno zechce to wiedzieć.

- Rzecz w tym - odparła Mel - że chciałabym zapytać ludzi takich jak Sara, gdzie ich zdaniem przebiega granica między sztuką a rzemiosłem. Czym są na przykład twoje gliniane naczynia. Czy twoja ceramika ma wartość artystyczną, czy też należy ją uznać za wyrób rzemieślniczy?

- Ja na pewno nie uważam jej za wyrób rzemieślniczy.

- Porozmawiamy o tym, gdy wrócę.

\*

Zanim wróciła, wiatr nawiał opadłe igły sosnowe aż pod same drzwi domku. Mel skróciła swój spacer: temperatura się podniosła i w południe upał zdawał się ścisnąć jej głowę jak obcęgami. Aura była tak okropna, że niemal nie dało się oddychać. Nawet przebywanie na cieniściej górze i w lesie, gdzie przecież było chłodniej, nie sprawiało przyjemności. Gdy po powrocie do domu ściągała buty, usłyszała uspokajający szum jeziora. Nalała sobie schłodzonej wody z lodówki i zaniósła na taras. Czowała błogie zmęczenie. Miała wrażenie, jakby każdy jej mięsień oddzielnie poruszał się z większą energią, a górskie powietrze pienilo się w jej krwi.

Na niebie za wzgórzami zaczęły się gromadzić chmury. Przybrały barwy purpurowe i czarne i ciągnęły w stronę niżej położonych terenów. Można się było spodziewać, że niedługo nadciągnie burza, elektryczne wyładowania, a nawet ulewa. Mel przechyliła się do przodu i spojrzała w lewo, by móc zobaczyć dom Andersenów. Widziała, jak uprana bielizna powiewa na sznurze, a za nią bez trudu dostrzegła hamak. Plamy zieleni, granatu i smuga koloru żółtego, widoczne na hamaku, sugerowały, że Lisa albo rozkoszuje się upałem, albo zwalcza go w naj-

lepszy dla niej sposób: nic nie robiąc. Mel przeczytała gdzieś, że ciężarne kobiety są zawsze o pięć stopni cieplejsze od innych, i to bez względu na temperaturę otoczenia.

Poszła na górę, przebrała się w strój kąpielowy, wzięła ręcznik i wyszła na dwór. Kiedy schodziła nad brzeg jeziora, ciężkie, pachnące sosną powietrze pod drzewami wydawało jej się gęste jak syrop. Zatęskniła za chłodnym dotykiem wody, skoczyła więc, zanurzyła się w jeziorze i zaczęła płynąć w stronę przeciwległego brzegu, ale już po kilku minutach poczuła dreszcze. Woda, początkowo przyjemnie chłodna, zrobiła się zimna, a w końcu wręcz lodowata. Mel przewróciła się na plecy, licząc na to, że słońce, przesłonięte niewielką tylko chmurką, trochę ją ogrzeje, ale się przeliczyła: zimno od spodu przemogło. Łapiąc oddech, wybiegła z wody; na brzegu znowu dopadł ją lejący się z nieba żar. Na horyzoncie jednak kłębiło się coraz więcej chmur i burza zdawała się nieuchronna.

Wróciwszy do domu, włożyła podkoszulek, nalała do szklanki wody i wypila. Było zbyt gorąco, by zabrać się do jakiejś roboty. Leżała rozciągnięta na kanapie, gdy w pewnym momencie zauważyła na podłodze kawałek szkła z wazy, którą stłukła, gdy była tu ostatnim razem. Pochyliła się, aby podnieść szkło, i wtedy zobaczyła na dolnej półce regału katalog z wystawy sztuki naiwnej; ofiarowała go Ericowi na dziesiątą rocznicę ich ślubu. Pamiętała, że rozerwał wówczas papier, w który katalog był zapakowany, i patrzył na prezent bez cienia zainteresowania.

- Naiwna sztuka? - Zdziwiony podniósł brwi. - Czy to jest coś w moim guście?

- Przecież ta wystawa - powiedziała szybko, zbyt szybko - to miejsce, w którym się po raz pierwszy spotkaliśmy. - Zaskoczyło ją, że natychmiast zmienił front, udając, że oczywiście pamięta. Śmiejąc się, sięgnął po jej dłoń i zaczął ze znanym i swadą mówić o Babci Moses, L.S. Lowrym, o amerykańskim gotyku, środkowoeuropejskiej tradycji i zakończył zapewnieniem, że zawsze bardzo lubił prymitywne malarstwo.

Zdjęła katalog z półki i zobaczyła, że wciąż jest oklejony folią zabezpieczającą, tak jak go przysłano pocztą. A więc Eric nawet go nie otworzył.

Wzięła do ręki książkę, która leżała na stole. Był to właściwie rodzaj albumu. Miał sztywne okładki zrobione z grubej tektury, grzbiet i rogi wzmocnione miękką, czekoladowego koloru skórą. Stronice były niegładzone, nierówno ucięte, każda inna, jedyna w swoim rodzaju, zdobiona płatkami kwiatów, liśćmi, lnianymi niciami i jedwabnymi wstążkami. Dzieło to stworzyła plastyczka, Rowena Clyde, która mieszkała z mężem malarzem na wzgórzach za Butterfield. Mel zbliżyła album do nosa i rozkoszowała się przyjemnym, zwierzęcym zapachem

skóry. Przypomniał jej się pamiętnik, jaki przed laty dostała od babci. Zastanawiała się, gdzie on jest teraz. Kiedyś napisała w nim nieśmiało o tym, że czeka na prawdziwą miłość. I nigdy go już potem nie otworzyła.

Podenerwowana wstała, nalała sobie jeszcze wody i wyszła na taras. Pomyślała, że może powinna przejść się do sąsiedniego domku i zobaczyć, co porabia Lisa. Spojrzała w tamtą stronę i stwierdziła, że Lisa wciąż leży w hamaku, który wisiał nieruchomo pod drzewami.

Trochę się zaniepokoiła. Odniosła dziwne wrażenie, że w tym leżeniu jest coś nienaturalnego. Minęła godzina lub więcej od chwili, kiedy ostatni raz tam patrzyła, a Lisa wcale się od tej pory nie poruszyła. Mel postanowiła natychmiast pójść i sprawdzić, co się dzieje. Ruszyła schodami w dół, ale się zawahała. Czy wypada się mieszać do spraw Lisy? Przecież nie powinno jej to obchodzić, że przyjaciółka ma ochotę przespać cały dzień. Ponoć ciężarne kobiety łatwo się męczą.

A jednak, chociaż nie chciała się narzucać i już miała zawrócić do domu, coś ją tknęło. Zeszła z ganku i powoli przemierzyła oddzielający oba domki zieleniec pełen drzew i krzewów. Zauważyła, że chmury gęsto zasnuły niebo i wiatr się wzmógł, burząc tafłę wody w jeziorze. Nawet jeśli Lisa zasnęła zmęczona, to dziwne, że nie poczuła, jak bardzo się ochłodziło, i nie zbudziła się.

- Liso! - zawołała, podchodząc bliżej. Krzywiła się z bólu, gdy jej bosa stopy ocierały się o ostro zakończone kamienie i szorstkie jodłowe szyszki. Pod drzewami, gdzie Lisa leżała w hamaku, trawa jakby straciła kolor: nie przypominała letniej zieleni, ale mieniła się czerwienią i brązem niczym liście jesienią. - Liso, kochanie, czy dobrze się czujesz? - Z bliska nieruchoma pozycja przyjaciółki wydawała się jeszcze bardziej nienaturalna. W ciągu zaledwie ułamka sekundy dotarło do świadomości Mel, co się stało. Krew, szkarłatnie połyskująca na splamionej trawie, miała jasnoczerwony kolor, gdy świeżymi kroplami kapiała na ziemię. Dopadłszy hamaka, Mel wołała do siebie na głos: - Nie! Proszę, nie! - Po głowie chodziły jej różne niezwiązane ze sobą myśli: „dziecko - utrata - ból - Ben - dziecko - Lisa”.

Pochylona nad hamakiem zobaczyła twarz Lisy bladą niczym papier, kończyny nieruchome, ciało jak zastygłe. Jedno ramię zwisało znad brzegu hamaka. Czas jakby zatrzymał się w miejscu. Wzrok Mel dziwnie się nagle zaostrizył i objął wszystko, nie tylko nieruchome ciało, ale każdy najmniejszy szczegół: mrówki idące szeregiem, wystrzępiony koniec sznura w węźle hamakowej siatki, wyszczerbiony niebieski lakier na środkowym palcu u nogi Lisy, skomplikowany układ łusek na szyszkach leżących na ziemi, pędzące chmury, ptaki świergocące na

sośnie. „Wszystko, tylko nie dziecko - modliła się w duchu. - Proszę, nie dziecko!"

- Liso! - krzyknęła, czując, jak jej serce skacze w piersi. - Lisoo! - powtórzyła i przedłużony dźwięk tego okrzyku popłynął w przestworza.

W tym pierwszym momencie zdawało jej się, że Lisa nie żyje. Ale po chwili już wiedziała, że tak nie jest. Przyłożyła dłoń do policzka Lisy: był ciepły. I ciepłe było jej gołe ramię. Kilka razy wciągnęła głęboko powietrze do płuc, usłyszała świergot ptaków nad swoją głową i jeden przeciągły i piskliwy gwizd. Pochyliła się nad przyjaciółką i przytknęła ucho do piersi dziewczyny. Z głębi jej ciała doszło do niej powolne bicie serca. Uczucie ulgi było tak dojmujące, że omal nie zemdląła. Potem jeszcze się zastanowiła, czy to bije serce Lisy, czy jej dziecka.

Już miała pobiec do telefonu, gdy zobaczyła, że powieki Lisy drgają. Jeszcze sekunda i powoli otworzyła oczy. Mel odruchowo cofnęła się o krok i przycisnęła dłonią usta.

- O mój Boże! - szepnęła.

- Pomóż mi! - Lisa ledwo poruszała ustami.

- Czy masz bóle? - Mel chwyciła Lisę za rękę i mocno ją ścisnęła.

Lisa poruszała przecząco głową.

- Mam skurcze - wydukała. Wskazała dłonią brzuch, i zaraz dłoń jej opadła z powrotem na hamak. Słaby rumieniec pojawił się na jej twarzy, ale szybko zniknął. - Moje dziecko... - wyjęczała.

- Zadzwoń na pogotowie.

- Tu nie ma telefonu - usłyszała.

- Zadzwoń od siebie.

- Ja krwawię. - Lisa lekko się przemieściła i jej twarz wykrzywił ból. Jednocześnie pomiędzy jej nóg wydobył się dźwięk przypominający plusk gwałtownie tryskającej cieczy, a ciałem wstrząsnął spazm.

Świeża krew przeciekała przez otwory hamaka, spadała w jasnoczerwonych kulistych strzępach na trawę. Ziemia pod hamakiem zrobiła się ciemnoczerwona. Krwi było całe morze. Zdawało się, że więcej, niż zawierało drobne ciało Lisy, i więcej, niż mogła sobie pozwolić stracić. Nie wiadomo, jak długo już krwawiła...

„To poronienie - dotarło wreszcie do Mel. - Lisa miała poronienie". Mel coś niecoś wiedziała o tym z lektury, ale nigdy dokładnie tej wiedzy nie zgłębiła; teraz intensywnie starała się przywołać na pamięć jakieś wiadomości, ale jej się to nie udawało. „Ręczniki - myślała - kom-

presy, opaski zaciskające... Co się w takiej sytuacji robi? Powinnam to wiedzieć, ale nie wiem".  
Dotknęła ramienia Lisy.

- Zaraz wrócę, kochanie - powiedziała. - Pójdę zadzwonić. Spróbuj leżeć spokojnie. Nie wolno ci się ruszać.

Blade wargi Lisy drgnęły, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

Mel pobiegła. Jej mózg wydawał się sparaliżowany, a jednocześnie w głowie roiło się od pytań. Jedna ciąża na sześć kończy się poronieniem - przeczytała kiedyś w prasie. Zastanawiała się, czy nie byłoby lepiej przyprować samochód tak blisko hamaka jak tylko możliwe, przenieść Lisę do wozu i jak najszybciej udać się do Butterfield. Ale podróż zajęłaby dwie lub trzy godziny, a Lisa już teraz wyglądała jak... martwa. Szok, jaki Mel przeżyła, sprawił, że palce jej tak zeszywniały, że musiała trzy razy wykręcać numer, zanim zdołała zrobić to właściwie.

Usłyszała w słuchawce spokojny głos kobiety z pogotowia. Jąkając się, Mel próbowała wyjaśnić, co się stało.

- Proszę podać swój numer telefonu i adres - polecił jej głos.

Mel wykonała polecenie.

- Moja przyjaciółka musi natychmiast dostać się do szpitala - powiedziała nagłym tonem.

- Ile tygodni ma ta ciąża?

- Nie wiem... niech pomyślę... pięć, pięć i pół, ale miesięcy... - Próbowała przeliczyć miesiące na tygodnie, lecz nie była w stanie podjąć się tak prostego zadania, jak pomnożenie przez cztery.

- Dwadzieścia? Dwadzieścia dwa tygodnie?

Kobieta po drugiej stronie linii jakby nie zdawała sobie sprawy z sytuacji.

- Proszę tu szybko kogoś przysłać - błagała Mel. - Chora musi się jak najprędzej znaleźć w szpitalu. Straciła bardzo dużo krwi.

- A nie mogłaby jej pani sama tutaj przywieźć?

- Nie sądzę, żebym odważyła się ją ruszyć z takim krwotokiem - mówiła Mel, zaciskając oczy, żeby nie widzieć straszego widoku ciała Lisy. - Wydostało się też mnóstwo skrzepów. Niewiele wiem o poronieniach, ale wszystko wskazuje na to, że właśnie z tym mamy do czynienia.

- Niech pani nie odkłada słuchawki. Zobaczę, co da się zrobić.

- Proszę się pośpieszyć - ponaglała Mel. - Nie chciałabym na długo zostawiać chorej bez

opieki... Może mogłaby mi pani powiedzieć, jak mam jej pomóc.

Po jakimś czasie, który Mel wydawał się wiecznością, dyżurna z pogotowia znów się odezwała w słuchawce.

- Helikopter przyleci do was najszybciej, jak to będzie możliwe. Czy jest tam miejsce, gdzie mógłby lądować?

Mel musiała się zastanowić.

- Tak, jest takie pole niecały kilometr stąd, ale będziecie musieli przyjść do domu, żeby ją zabrać. Mieszkam obok starego domu Andersenów.

- Skoro pani czeka, może uda się pani powstrzymać krwotok.

- Spróbuję. Nie jestem pewna, czy moja przyjaciółka straciła dziecko, czy nie, ale postarajcie się przyjechać jak najprędzej. - Oczami wyobraźni widziała, jak płód zbliża się do narządu rodnego. Ten ciemny kłęb szkarłatnych tkanek wydawał się nieubłaganie przec, by wyjść na świat. Potem nastąpił jeszcze większy upływ krwi. Zwidziały się jej nieco teraz przybladłe, ale wciąż jeszcze jaskrawe intymne części kobiecego wnętrza: były różowe, czerwone i sine. Dostrzegła małą czaszkę nie do końca jeszcze uformowanej główki, dziwnie płaskie kończyny, małe paluszki, szczątkową twarz. Potrząsnęła głową, aby pozbyć się tych widziadeł. - Proszę się pośpieszyć - błagała. Widok krwi Lisy przerażał ją i oszalał. Czowała, że robi jej się słabo.

- Helikopter jest już w drodze - usłyszała od dyżurnej z pogotowia. - Proszę nie pozwolić chorej się ruszać - powiedziała jeszcze i odłożyła słuchawkę.

„Ben” - pomyślała Mel, odchodząc od telefonu. Musi powiadomić Bena o tym, co się stało. Ale jak? Przez moment się zastanawiała, czy można nawiązać z nim kontakt, i doszła do wniosku, że tak, na pewno tak, skoro porozumiewał się z Lisą. Gdy biegła do Lisy wciąż leżącej w hamaku pod sosnami, na próżno starała się nie myśleć o dziecku. „To dziecko miało być nasze, nie tylko Lisy - rozpamiętywała. Przez chwilę przeszłość i terażniejszość zlały się w jedno. - Także moje”.

Lisa nadal bardzo krwawiła, ale otworzyła oczy, wyczuwając, że Mel jest u jej boku.

- Straciłam dziecko - powiedziała wyraźnie.

- Tego jeszcze nie wiesz. - Mel wzięła w ręce bezwładną dłoń przyjaciółki i rozcierała jej zimne palce.

- Moje dziecko nie żyje - Lisa próbowała unieść głowę i spojrzeć na swój brzuch.

- Nie ruszaj się! - Upomniała ją Mel.

- Jakie to ma znaczenie, skoro moje dziecko nie żyje? - W jej oczach pojawiły się łzy i

powoli spływały po policzkach. - Moje najdroższe dziecko...

- Nie możesz wiedzieć na pewno, że nie żyje - powtórzyła Mel.

- Ależ wiem. Czuję to. - Wstrząsnął nią dreszcz, a gdy ścisnęła uda, krew znów pokapała na igły sosnowe pod hamakiem.

- Pogotowie jest już w drodze - zapewniła Mel. Nasłuchiwała, czy skądś nie dolatuje warkot helikoptera, ale wiatr był zbyt silny, by można było usłyszeć cokolwiek, poza szumem rozkołysanych gałęzi drzew.

- To moja wina.

- Nie mów głupstw - Mel ostro ją skarciła.

- Nie powinnam była robić porządków zeszłej nocy. - Jej słowa były ledwo słyszalne. - I po co tak się rwałam do tej pracy? Trzeba było więcej wypoczywać.

Z oddali, wybijając się ponad wycie wiatru, dochodziły głośnie uderzenia śmigieł walczących z naporem zbliżającej się burzy.

- Jest już helikopter - powiedziała Mel.

- Za późno... - Lisa zamknęła oczy, a spod powiek wciąż sączyły się łzy: nie przestawała płakać z żalu za utraconym dzieckiem.

Trzymając w ręce zimną dłoń młodej przyjaciółki, Mel czuła dławienie w gardle. Wierzchołki drzew pochylały się i kołysały nad nimi, gdy śmigłowiec pogotowia ratunkowego zataczał koła, szukając miejsca do lądowania. Mel opuściła głowę i zacisnęła powieki, a szloch, który długo w niej wzbierał, teraz falami wylewał się z piersi.

\*

Lekarz, który wyszedł właśnie z pooperacyjnej sali, skierował się prosto do Mel. Był o dobre piętnaście lat młodszy od niej, ale wydawał się przedwcześnie postarzały. Może ciążyło mu brzemień odpowiedzialności za życie wielu powierzonych mu ludzi. Na szyi wisiała jeszcze chirurgiczna maska, którą miał na twarzy podczas zabiegu. Na zielonym fartuchu widać było krople krwi. Mel się zastanawiała, czy jest to krew Lisy, czy dziecka. Poderwała się z pokrytej winylem kanapki, na której siedziała, czekając na wiadomość, i przygotowywała się w duchu na to, co miała usłyszeć.

- Stan chorej jest już stabilny - powiedział, patrząc na notatki, które trzymał w ręce.

- Pani Andersen była tak straszliwie blada.

- Nic dziwnego. Straciła bardzo dużo krwi. Zrobiono już jedną transfuzję, ale możliwe,

że potrzebna będzie jeszcze jedna.

- A co z dzieckiem? Poroniła je, prawda?

- Obawiam się, że tak. Czy pani jest jej matką?

- Nie. Sąsiadką i przyjaciółką. Jej matka umarła, gdy Lisa była mała. - Smutek w oczach Mel był wyrazem nie tylko głębokiego współczucia Lisie, lecz także żalu, że dziecku, które żyło, nie udało się przyjść na świat.

- Nie wie pani, kiedy pani Andersen miała ostatnio robione USG?

- Nie pamiętam dokładnie. Chyba jakieś dwa tygodnie temu.

- Mmm. - Lekarz zajrzał do swoich notatek. - Niestety doktor Patterson wyjechał na weekend z miasta... co nie znaczy, że mógł wpłynąć na zmianę tego, co się stało.

- Ja, panie doktorze, zjawiłam się od razu, kiedy tylko... - Mel nie mogła wymazać z pamięci obrazu nieruchomej postaci leżącej w hamaku pod drzewami. - Gdybym jednak wcześniej zdała sobie sprawę, że coś jest nie w porządku, może byłabym w stanie jakoś pomóc.

Potrząsnął przecząco głową.

- Nic by pani nie mogła zrobić.

- Ale gdybym wcześniej wezwała pogotowie, może dałoby się uratować dziecko. - Uświadomiła sobie, że poci się pod pachami; dławilo ją poczucie winy.

- Nie, proszę pani. Ustaliliśmy ponad wszelką wątpliwość, że dziecko pani Andersen nie żyło już od dwóch tygodni.

- Co takiego? Jak to możliwe?

- To, co się dzisiaj wydarzyło, było, być może, procesem naturalnym: zdrową reakcją organizmu na anomalię płodu. Śmierć płodu w macicy ma często uzasadniony i dobry powód.

- Dobry powód? - oburzyła się. - Czyż utrata chcianego dziecka może być czymś dobrym?

- Chodzi o to, że płód może czasem rozwijać się nieprawidłowo. To była pierwsza ciąża pani Andersen, prawda?

Mel potaknęła. „Więc Lisa przez dwa tygodnie nosiła w sobie martwe dziecko?” - dziwiła się w duchu. Ta wiadomość była i zbyt skomplikowana, i zbyt przerażająca dla niej, by mogła ją gładko przełknąć.

- To się zdarza - powiedział lekarz i poklepał ją po ramieniu. - Szczególnie, jeśli chodzi o pierwsze dziecko.

- Ale to w niczym nie poprawia sytuacji...



Uśmiechnął się do niej.

- Pani przyjaciółka wyjdzie z tego bez szwanku. Obiecuję. - Wyprostował się. - Dla pani wiadomości: oczyściliśmy, co trzeba. Wykonaliśmy poszerzenie i łyżeczkowanie. Kobieta jest młoda i zdrowa. Nie ma powodu, by nie mogła spróbować znowu, gdy tylko poczuje, że ma na to ochotę.

- Spróbować znowu? - powtórzyła z irytacją Mel.

- Tak. Powinna raz jeszcze spróbować mieć dziecko.

- Jak pan doktor może tak mówić! - Czuła, że narasta w niej złość. - Chyba się pan nie zastanowił nad swoimi słowami!

Twarz lekarza przybrała dziwny wyraz. Przez chwilę milcząco wpatrywał się w Mel.

- Tak - przyznał w końcu. - Myślę, że pani ma rację. Powinienem był o tym pomyśleć. Ale tyle kobiet się tu przewija, że łatwo jest zapomnieć, jak ogromny to wstrząs dla każdej z nich. - Westchnął, spuścił wzrok, po czym znów spojrział na Mel. - Przepraszam panią, pani...

- Sherman.

- Wiem, proszę pani, że nie powinienem być taki niewrażliwy. Może powiem to inaczej: pani Andersen na pewno doznała silnego emocjonalnego urazu na skutek tego przejścia i trudno ją za to winić. Ale z drugiej strony, jeśli zechce znowu zajść w ciążę, nie sądzę, by miała jakiegokolwiek z tym kłopoty.

Nie powiedział zbyt wiele, ale przynajmniej docenił to, że Lisa jest człowiekiem i ma ludzkie odczucia.

- Czy mogę się z nią zobaczyć? - spytała.

- Ona ciągle jeszcze nie przyszła całkiem do siebie, ale za godzinę czy dwie nie widzę przeszkód. Tymczasem może pani wpaść do naszej stołówki i na przykład napić się kawy.

- Kiedy moja przyjaciółka może wrócić do domu?

- Najlepiej będzie, jeśli zostanie tu jeszcze dwa dni. Potem, pod warunkiem że będzie o siebie dbała i miała zapewniony odpoczynek, powinno być wszystko w porządku. - Znowu uśmiechnął się do Mel, ale tym razem uśmiech był mniej szeroki i bardziej spontaniczny. Kiedy się odwróciła, by odejść, zawołał: - Proszę pani!

- Tak?

- Moja żona też poroniła nasze pierwsze dziecko. I wie pani, że nie ma dnia, by nie myślała o nim z żalem.

- A pan?

Przejechał dłonią po twarzy.

- Ja też - odparł.

Mel przez chwilę stała bez ruchu, a potem, kiwając głową, szepnęła:

- Dziękuję, doktorze, że mi pan to powiedział.

\*

Po godzinie pozwolono Mel wejść do pooperacyjnej sali. Szła z opuszczonymi ramionami. Czowała się dziwnie wyczerpana, jakby przez wiele lat nosiła na sobie jakiś niewidoczny ciężar. Stała obok wysokiego szpitalnego łóżka i wzięła Lisę za rękę. Lisa miała małą dłoń, niemal kwadratową, z tępo zakończonymi palcami ceramika i krótko uciętymi paznokciami. Jej dłoń wydawała się chłodna, mimo że w pokoju było gorąco.

Widok Lisy był dla Mel szokiem i wzbudził lęk o przyjaciółkę. Lisa robiła wrażenie bardzo słabej i wątpliwej. Czarne rzęsy opadały na blade policzki, powieki z widocznymi niebieskimi żyłkami były niemal przezroczyste. Kruchość życia, codzienna bliskość śmierci nigdy nie wydawały się Mel tak uderzająco realne. Z całego serca pragnęła, aby Lisa wróciła do sił, by na jej bladej twarzy pojawiły się kolorki. Chciała widzieć Lisę radosną i roześmianą i patrzeć, jak ogniki zapalają się w jej oczach, gdy powie coś szokującego.

Lisa nieco się ożywiła. Jej skóra straciła wcześniejszą woskowożółtą barwę, ale wciąż była blada.

- Ben! - wyjęczała. Miała zamknięte oczy i głos drewniany i bezdźwięczny po narkozie.

Mel pochyliła się nad nią.

- Później znowu do ciebie przyjdę, ale teraz pójdę do domu i spróbuję odszukać Bena - powiedziała, wymawiając słowa wyraźnie z nadzieją, że dotrą do strapionego serca przyjaciółki. - Odszukam go dla ciebie, Liso.

Potem Mel spędziła jakiś czas w mieszkaniu Andersenów, szukając numeru telefonu na Alaskę. Na korkowych tablicach w kuchni i w pracowni Lisy przypięte były tylko wizytówki dwóch firm taksówkowych, ulotki obiecujące dostarczenie pizzy w ciągu trzydziestu minut i menu potraw na wynos jedynej w Butterfield chińskiej restauracji. Były tam też numery telefonu Mel i miejscowego kina.

Wyciągnęła szuflady, przeniosła z miejsca na miejsce pliki gazet, zajrzała do książek, Przewertowała notes z adresami, który znalazła w salonie, otworzyła szafki nocne po obu stronach podwójnego łóżka i... bez skutku.

Zdając sobie sprawę, że czas nagli, następnego dnia wstała przed świtem i, nie przejmując się poranną mgłą, siadła do samochodu i wróciła nad jezioro. W domku Andersenów nic się w czasie tych kilku godzin nie zmieniło: szklanki po mrożonej herbacie, którą piły z rana, zostały wypłukane i ustawione do góry dnem na suszarce, pusta filiżanka po kawie stała na ladzie obok resztek sałaty. Mel przeżyła wstrząs, gdy sobie uświadomiła, jak wiele się wydarzyło w tak krótkim czasie. Na dworze hamak wciąż się huśtał między drzewami i nawet teraz, we wczesnym porannym świetle, mogła dostrzec pod nim zmieniony kolor ziemi. I znowu poczuła taką wielką, dławiącą rozpacz, że zabrakło jej tchu w piersiach.

- O Boże - jęczała - o, Boże! - Miała wrażenie, że serce jej pęknie z bólu. Zgięta wpół, chwyciła się poręczy krzesła, by móc się podeprzeć, i poczekała, aż skurcz minie. Łzy paliły jej twarz, gdy łkała nad nieszczęściem Lisy i nad swoją własną, nigdy nieujawnioną stratą.

Wkrótce w domku nad jeziorem znalazła to, czego szukała. Na podwójnym łóżku w sypialni leżała mała buteleczka perfum *Je reviens*, a obok kartka z notatnika wykrojona w kształcie serca, na której w pośpiechu wypisano słowa: *Je reviens aussi\**. *Do tego czasu możesz do mnie dzwonić na ten numer. Je t'aime\*\**.

\* *Je reviens aussi* - ja też wrócę.

\*\* *Je t'aime* - kocham cię.

Mel kilka razy przeczytała tę wiadomość. To, że niechcący zajrzała za kulisy małżeństwa Lisy, wzruszyło ją w sposób, którego nie potrafiła zdefiniować. Przywykła do opinii, że Ben jest nieodpowiedzialnym mężem, i święcie w nią wierzyła. Teraz wyobraziła go sobie, jak kładzie prezent na poduszce i uśmiecha się tym swoim czarującym uśmiechem na myśl o minie, jaką zrobi Lisa, gdy znajdzie perfumy. I chcąc nie chcąc, zaraz potem zobaczyła tych dwoje razem: wielkie dłonie Bena na drobnym ciele Lisy, jej czarne włosy rozwiane na jego piersi. Widziała, jak Igną do siebie rozpaleni żądzą, ogarnięci miłosną pasją.

Zmusiła się, by wrócić myślą do trzymanej w ręce kartki z numerem telefonu Bena, po czym rozpoczęła długie i żmudne próby nawiązania kontaktu z człowiekiem, który znajdował się w połowie drogi na szczyt góry na Alasce. Miała jej to umożliwić łączność satelitarna.

Wspinali się przy świetle umieszczonych na czole latarek od godziny jedenastej poprzedniej nocy. W przenikliwym chłodzie szło się im wolno, ale kiedy wstał świt, zostało już tylko wejście na prawie pionową ścianę, stanowiącą skaliste zbocze góry. Dokoła kłębiły się grubą warstwą potężne białe cumulusy. Tu i ówdzie przebijały je najwyższe szczyty Mount Huntington i wąska skała w kształcie iglicy o nazwie Mooses Tooth. Nad nimi rozciągał się ogrom nieba, barwiącego się to na różowo, to znów na odcień brzoskwini, melonu i błękitu. Zmiany koloru następowały powoli i stanowiły wspaniałe widowisko.

Ben przystanął i sycił się otaczającym go pięknem, a potem ruszył w górę w ślad za Joem i Rossem. Wreszcie, pokonawszy ostatnie trzysta metrów, wszyscy trzej stanęli na szczycie. Słońce prażyło teraz z nieba przesyconego błękitem takiej głębi, że alpiniści mieli wrażenie, iż spoglądają w wieczność. Wiatr na szczęście ucichł. Moment oczyszczenia, do którego Ben tęsknił, gdy nie mógł wybrać się w góry, przyszedł nagle i był tak wstrząsający, jak orgazm. W takiej chwili następuje całkowita integracja człowieka z przyrodą. Żałował tylko, że tego ziemskiego momentu, którego nie jest w stanie zmącić ani zepsucie, ani korupcja, nigdy nie będzie mógł dzielić z Lisą. Przeżyć go mogą tylko ci, którym udało się wejść na wysokość siedmiu tysięcy metrów nad poziom morza lub wyżej. Łzy stanęły mu w oczach, odsunął gogle i starł je grzbietem rękawicy. Joe padł na śniegu na kolana i szeroko rozłożył ręce:

- Zrobiliśmy to! - zawołał triumfalnie. - Zrobiliśmy to, do jasnej cholery! - Jego głos brzmiał chrapliwie i załamał się, gdy chwycił go gwałtowny długi atak kaszlu.

Ross turlał się w śniegu i wymachiwał nogami.

- Dziękuję Ci, Boże! - wołał rozradowany w stronę nieba. - Dziękuję!

- No tak - zauważył Ben. - Wszystko dla tych biednych wnuków.

Burza, którą zapowiadały prognozy pogody, na razie trzymała się z daleka, dzięki czemu mogli bez przeszkód powrócić do obozu na wysokości sześciu tysięcy metrów. Ale gdy tam dotarli, wiatr znowu się wzmógł i stan Joego zaczął się nagle pogarszać. Kiedy Ben uruchomił kuchenkę, Joe zaniósł się suchym kaszlem i zgiął we dwoje, trzymając się za brzuch.

- O Jezu! - westchnął, przewrócił się i zwymiotował żółcią.

- Mój Boże! - krzyknął Ross. - To obrzęk płuc. - Sam czuł się znużony i miał twarz szarą ze zmęczenia.

- Musimy sprowadzić go na niższą partię gór.

- Ale jak?

- Jak się da. W każdy możliwy sposób. Joe musi się znaleźć niżej. Jeśli zostaniemy na tej wysokości, on umrze. To bezsporne.

- Jestem wykończony, stary - powiedział Ross.

Zamknął oczy i łykał gorącą herbatę.

- Na pewno. - Ben usiadł i oparł się o plecak. Po trudach ostatnich osiemnastu godzin wszyscy marzyli o wyspaniu się. Na zewnątrz wył wiatr i namiot cały się trząsł.

- Muszę trochę odpocząć, zanim ruszymy dalej - oświadczył Ross.

- Dwie godziny, nie dłużej. Potem stąd wyjdziemy.

- Ja się dobrze czuję - wychrypiał Joe. - Mogę samodzielnie zejść na dół.

- Marzyciel - orzekł Ben. - Myślisz, że pozwoliłbym ci samemu zejść na dół? Najpierw musimy w ciebie wlać jakiś płyn.

- Mam zbyt obolałe gardło, żeby połykać.

- To źle. - Ben przykucnął przy kuchence, stopił śnieg i wrzucił do wody kilka kostek czekolady. Joe potrzebował zarówno płynu, jak i cukru, a w ten sposób miał zapewnione jedno i drugie.

W ciągu godziny udało się Joemu wypić sporo ciepłego płynu i jego wygląd trochę się poprawił. Ben też czuł się bardzo wyczerpany. Gdy opróżnił zawartość kubka, zaczął się zastanawiać, czy nie przesadził z ostrożnością. Może powinni byli zaryzykować spędzenie nocy tu, na górze, i zejść na dół dopiero rano, kiedy wszyscy trzej będą wypoczęci. Ale jeszcze jedno spojrzenie na Joego przekonało go, że nie mają czasu do stracenia.

Satelitarny telefon, mieszczący się w kącie namiotu, odezwał się słabym sygnałem.

- Chryste! - zawołał Ross. - Mam nadzieję, że to nie moja matka. Tak - powiedział podniósłszy słuchawkę. - Tak, pani... kto? - Powędrował wzrokiem do Bena. - To do ciebie, stary.

- Kto to jest? Lisa?

- Nie, chyba że się teraz nazywa pani Sherman.

- Pani Sherman? - Serce Bena przestało niemal bić z wrażenia. Przecucie nieszczęścia wywołało silny ból, jakby ktoś wbił mu w mózg jakiś szpikulec. - Słucham?! - krzyknął głośno, gdy Ross wręczył mu słuchawkę.

- Ben?

- Tak. To ja.

- Tu mówi Mel Sherman.

- Co się stało? - Ogarnął go paniczny strach. Zatoczył się, jakby go zmogło zaziębienie i wyczerpanie.

- Chodzi o Lisę.

- Co z nią?

- Miała poronienie. - Słowa Mel raz brzmiały głośno, a raz bardzo cicho.

- O Jezu, słodki Jezu! - Nos i gardło Bena tak się zablokowały, że z trudem oddychał. - Co się stało, na miłość boską? - Spojrzał na kolegów: - Chodzi o Lisę - wyjaśnił. - Straciła dziecko.

- Tak mi przykro, stary! - Ross wyciągnął do niego rękę. - Co za cholerny pech.

Ben czuł w głowie pustkę, a serce waliło mu tak gwałtownie, że bał się, iż za chwilę umrze.

- Serdecznie współczuję... - głos Mel się załamał.

- Jak się teraz czuje moja żona?

- Wciąż przebywa w szpitalu na obserwacji.

- Czy nic jej nie grozi?

- Jest bardzo słaba. Straciła sporo krwi. - Na skutek zakłóceń atmosferycznych do Bena docierały tylko fragmenty zdań. Głos Mel wciąż zanikał. - Czy możliwe byłoby... - usłyszał.

- Co?

- Spotkanie z tobą w Bostonie, jeśli mi powiesz, kiedy się tam zjawisz. - Tym razem sły-chać było Mel w całym namiocie. Ben zdawał sobie sprawę, że jego dwaj wymizerowani kole-dzy intensywnie się w niego wpatrują.

- Nie mogę po prostu zejść z tej cholernej góry na zawołanie! Przecież wiesz... - Zdener-wowanie sprawiło, że powiedział to ostrym tonem.

- Powinieneś być tu. Lisa cię potrzebuje.

- Wiem. Dobrze o tym wiem. - Czuł się tak, jakby ktoś powoli ścisnął mu serce szczyp-cami. Łzy, które pojawiły się w oczach, zamarzały na rzęsach. - O mój Boże! Nie mogę w to uwierzyć, Mel, i nie jestem w stanie tego zrozumieć!

- Co mówisz? Nie słyszę! Usilnie starał się powstrzymać łzy.

- Nie mogę niestety opuścić tego miejsca.

- Co takiego?

- Jesteśmy zasypani śniegiem. Nie mogę się stąd ruszyć.

- Halo, halo! Nie słyszę cię, Ben. Jesteś jeszcze przy telefonie? - Jej głos znowu zanikł i

oddalił się, ginąc gdzieś w górach.

- Jak Lisa teraz się czuje?! - krzyczał. Ale nie było odpowiedzi i chociaż przyciskał wszystkie guziczki i walił w ten cholerny aparat pięściami, nie mógł sprawić, by telefon znowu zadziałał. - Pieprzone urządzenie! - wrzeszczał. - Pieprzony kawałek złomu i tyle... Taszcę go przez całą drogę na górę, abym mógł być w kontakcie z żoną, a ten cholerny aparat nie działa... jest gównem wart! - Patrzył na kolegów dzikim wzrokiem. - Moja żona...

Ale oni słyszeli rozmowę.

- Żał mi cię, chłopie - powiedział Ross.

- Jezu! Tak mi przykro... - Joe wyciągnął w stronę Bena rękę, ale zaraz ją opuścił.

Ben rozcierał twarz zmarzniętą dłonią. Naciągnął na głowę kaptur polara, potem włożył stopy w żółte plastikowe buty firmy Koflax, otworzył zamek błyskawiczny namiotu i z trudem się wydostał na zewnątrz, gdzie szalała śnieżna burza. Powitała go barbarzyńskim zimnem i wściekle wirującym śniegiem. Płatki śniegu uderzały go w twarz z siłą tak wielką, że miał wrażenie, jakby ktoś obrzucał go kamykami. Szum wiatru wzmógł się i przeszedł w przeciągłe wycie. Wichry dął z taką mocą, że kilkakrotnie padał na kolana.

Lisa...

Godzinę później burza zamieniła się w śnieżną zamieć. Ben nie był w stanie położyć się i odpocząć, chociaż wiedział, że będzie potrzebował wiele sił, aby bezpiecznie sprowadzić Joego na dół. Nie mógł też przestać myśleć o Lisie, o jej cierpieniach: oczami wyobraźni widział drobne ciało żony rozdarte bólem. Głośno jęczał. Wiedział, jak bardzo Lisa pragnęła tego dziecka, i domyślał się, jaką rozpacz musi teraz odczuwać. A jego tam nie ma, aby ją przytulić, ucałować, pocieszyć, zapewnić, że wszystko będzie dobrze i że przecież mogą spróbować jeszcze raz... Zdawał sobie sprawę, że jego miejsce jest teraz przy niej. Mówiła mu przed wyprawą, że ma złe przeczucia, i miała rację.

Spojrzał na Joego, który wydał mu się na wpeł przytomny. Jeśli nie potrafią go dostatecznie rozbudzić, to będą mieli prawdziwy kłopot z doprowadzeniem go na taki poziom, na którym jego niedotlenione ciało zaczęłoby odzyskiwać siły. Ludzie szybko umierają na obrzęk zarówno płuc, jak i mózgu, konieczne więc było, by jak najprędzej znalazł się we względnie bezpiecznym obozie na dole, tysiąc metrów niżej.

Ruszyli w drogę. Ross i Ben pomagali Joemu najlepiej, jak potrafili. Byli związani liną -

Joe pośrodku między kolegami. Poruszał się niemal instynktownie i udawało mu się chwiejnym krokiem o własnych siłach posuwać do przodu. Paraliżujące mózg niedotlenienie sprawiło jednak, że co jakiś czas nogi się pod nim uginały i padał na ziemię.

Pierwsza część szlaku wiodła ostrym grzbietem góry, której stoki opadały z jednej strony siedemsetmetrową, a z drugiej tysiącmetrową stromizną. Najmniejsza nieuwaga mogła skończyć się śmiertelnym upadkiem. Z początku szła przed nimi jeszcze jedna para alpinistów, słabo widoczna w padającym śniegu. Potem jednak chmury stoczyły się w dolinę, pozostawiając ich samych na szlaku, na którym ledwo się mogli nawzajem widzieć z powodu potężnej śnieżyicy.

Walcząc z przeciwnościami, ogromnie się utrudzili, ale ostatecznie udało im się zejść z grzbietu na bardziej płaski teren, który prowadził do niżej położonego obozu.

Ben był już przekonany, że im się ta wyprawa udała, że i dalej pójdzie gładko, i gdy tylko odstawi Joego do medycznego namiotu, natychmiast się wycofa i możliwie najszybciej wróci do domu, do Vermontu.

- O, cholera! - zaklął Ross, który szedł pierwszy. Okazało się, że nieostrożnie postawił nogę na świeżym puchu i przebił cienki śnieżny most nad jedną z wąskich szczelin, których wiele było na tym terenie. - Cholera! - powtórzył, gdy zniknął w czeluści komina.

Joe, który nie bardzo wiedział, co się dookoła niego dzieje, gwałtownie szarpnięty liną, spadł za nim i swoim ciężarem pociągnął Bena. Ale Ben instynktownie wcisnął stopy w śnieg i wbił dziób czekana w lód tuż obok swego buta. Następnie w szalonym tempie owinał pozostałą linę dookoła czekana z nadzieją, że dzięki temu będzie wystarczająco mocna, by ich utrzymać.

- Joe! - krzyknął. - Co z tobą?

Nie wiadomo, czemu to przypisać: adrenalinie, którą wyzwolił upadek, czy temu, że znajdowali się już na niższej wysokości - Joe nagle jakby oprzytomniał.

- W porządku! - odkrzyknął. - Udało mi się zakotwiczyć.

- Jak nisko spadłeś?

- Myślę, że jakieś siedem metrów.

- A Ross?

- Też wszystko w porządku - zapewnił Ross, choć dziwnie słabym głosem. - Tylko że, niestety, rozpieprzyłem sobie kolano. Mówię ci, stary, rzucało mną w koło jak piłeczką ping-pongową.

- Na jaką głębokość spadłeś?



- Chyba jakieś trzy metry niżej od Joego. Ben asekurował linę.

- Czy możesz się ruszać?

- Nie wiem - odparł Ross. - Oparłem stopę na czymś w rodzaju skalnego występu czy półki. Jeśli zachowam absolutny spokój, to sędzę, że się utrzymam i niżej nie spadnę.

- Joe?

- Jeśli możesz pociągnąć za linę, spróbuję wysforować się do przodu. Na dole jest wąsko, więc nie powinno być zbyt trudno. Byłoby mi jednak o wiele łatwiej, gdyby nie ten cholerny ciężar na końcu liny.

- Masz mnie na myśli? - spytał Ross.

- Oczywiście, tłusciuchu!

- To wiedz, że przez ostatni tydzień straciłem dwanaście kilogramów.

- Jeśli nie bujasz, to mój plan jest możliwy do przeprowadzenia.

Ben, słuchając dowcipkowania kolegów, wiedział, że obaj są mocno przerażeni. W każdej chwili groziła im lodowata, pewna śmierć. Ich kości pozostałyby na tej górze całą wieczność... A Ben nie mógł niestety nic zrobić, by zaradzić niebezpieczeństwu. Przypomnił sobie Lisę, która z płaczem prosiła, żeby na siebie uważał.

- Uwaga, chłopcy! - zawołał. - Powoli przesuwamy się do przodu stopa za stopą. Musimy działać w sposób zgrany i jednocześnie. Joe prowadzi. Ross będzie się posługiwał czekaniem. Czy masz jeszcze czekan, Ross?

- A jak ci się wydaje? Na czym ja się tu trzymam?

- Na początek musicie się pozbyć plecaków. - Namawiając Rossa, żeby wykonał polecenie, Ben brał pod uwagę ryzyko, z jakim to się łączyło. Gdyby bowiem udało mu się wyciągnąć przyjaciół ze szczeliny, a potem musieliby biwakować gdzieś na szlaku po drodze do obozu, wtedy mogłaby im grozić śmierć z powodu wychłodzenia organizmu, Ale Ben wiedział też, że jeśli jego koledzy będą obciążeni plecakami, nie znajdzie w sobie dość siły, aby pomóc im obu wydostać się ze szczeliny.

Po chwili Ross krzyknął:

- Zrobione! Wyrzuciłem plecak.

- Teraz twoja kolej, Joe.

- Ale najpierw się upewnij, czy twój plecak nie wyląduje na mojej głowie! - ostrzegął Ross.

- Założę wyciąg w kształcie litery „Z” - zapowiedział Ben.

Zabezpieczając się, ostrożnie podszedł nad krawędź szczeliny. Zdjął plecak i jedną część zdołał wcisnąć pod linę, która prowadziła od wbitego w lód czekana w dół otworu. Śnieg sma-gał go po twarzy i zasypywał gogle, tak że tylko z trudem cokolwiek widział. Grzebał chwilę, szukając paru węzłów zaciskowych, zwanych prusikami, i kilku karabińczyków. Wyjął je w końcu ze swojej uprząży, a potem - używając czekana - skonstruował prosty system wyciągo-wy. Wprawdzie zajęło mu to sporo czasu, ale dzięki wyciągowi łatwiej wydostanie kolegów na powierzchnię. Kiedy był gotowy, zawołał:

- Liczę do trzech! Na trzy Ross podniesie czekan i wbije go. W tym samym czasie Joe ruszy do góry.

- Czy dasz sobie radę, Ben? - Sądząc po głosie, Joe znów jasno myślał, co mu się w po-przednich godzinach nie udawało. Rozumował klarownie i obliczał, jakie mają szanse.

- Uważam, że nie będzie z tym żadnego kłopotu - odparł Ben. - Poza tym nie mam wybo-ru. Pomyśl o wnukach Rossa.

- Słuchajcie, chłopcy! - usłyszeli głos, który wydał im się drżący i zalekniiony.

- Co się stało, Ross?

- Otóż uważam, że mogę tu pobyć jakiś czas. Niech Ben utnie linę i zostawi mnie na do-le, a sam pójdzie po pomoc.

- Lepiej się przymknij! - rozkazał surowym tonem Ben.

- To kiepski wybór - dodał Joe.

- Ale gdybym ja nie tkwił na końcu liny, miałbyś ułatwione zadanie!

- On ma rację - potwierdził Ben, przemyślawszy sprawę. - A kiedy ty, Joe, znajdziesz się na górze, wtedy możemy spuścić Rossowi nową linę.

- Słusznie! Jeśli się weźmiemy do tego we dwóch, wyciągnięcie tłuszciocha nie będzie trudne.

- Co o tym myślisz, Ross? - spytał Ben, chociaż sądził, że zna odpowiedź: Ross pewnie pomyśli, że może spaść, albo że skoro ucięli mu linę, to go opuszczą i on umrze w samotności. I ta niebieskozielona szczelina może stać się jego grobem.

- To całkiem rozsądny pomysł - odpowiedział Ross.

Mimo że Ben uciął linę i Joe wysforował się do przodu, niemal pół godziny zajęło wy-ciąganie go na górę. Nad głową wył wiatr. Śnieg dmuchał wprost w twarz, utrudniając widze-nie. W pewnym momencie Ben omal nie stracił oparcia dla nóg, ale udało mu się powstrzymać od upadku. W końcu wynurzył się ze szczeliny czubek kasku Joego, a parę sekund później on

sam rozciągnął się na śniegu, jakby robił „orła”, i sapał. Wyglądał niesamowicie, gdyż miał woskowoblada twarz. Chwilę potem ukląkł i chwyciły go potężne torsje.

- Jezu - wydukał - Jezu Chryste! Byłem pewny, że to już mój koniec. - Zemdlał i leżał bez ruchu.

Ben popuścił linę w miejscu, gdzie nieco niżej czekał na nią Ross. Ten jedną stopę oparł na ryzykownie wąskim występie i wbił czekana w lodową ścianę; niestety druga noga nie była sprawna.

Czekając na sygnał od Rossa, że już się obwiązał nową liną, Ben poczuł nagle przemożne pragnienie, aby położyć się obok Joego i zasnąć. Pomyślał o Lisie i łzy napłynęły mu do oczu. Walcząc z mdłościami spowodowanymi dużym wysiłkiem na tak znacznej wysokości, starał się nie stracić nad sobą panowania. Krzyknął do Joego, ale nie było odpowiedzi, co go przeraziło. Wyglądało na to, że będzie musiał sam wyciągnąć Rossa, a nie był pewny, czy mu starczy sił.

- Ross! - wrzasnął. - Co, u diabła, tam robisz? Nie było odpowiedzi.

- Ross? Nic. Cisza.

Jezu! Czy on umarł? Upadł? A jeśli tak, to czy wcześniej zdołał zabezpieczyć się liną?

- Ross, gdzie, do cholery, jesteś? - Pociągnął delikatnie za linę i stwierdził, że na jej końcu jest ciężar. Ross zemdlał pewnie z bólu w potrzaskanym kolanie. Ale skoro jest nieprzytomny, nie wbije czekana w ścianę szczeliny, by w ten sposób pomóc sobie w wydostaniu się na powierzchnię. Jak więc, u diabła, on, Ben, ma wyciągnąć go na górę? Może dałoby się to zrobić, gdyby współpracował z nim Joe. Kopnął przyjaciela tak mocno, jak tylko mógł. - Joe! - zawołał. - Potrzebuję twojej pomocy! - Ale Joe leżał nieruchomo.

Ben zgiął się wpół, zgrzytał zębami i jęczał z wysiłku. Przyszła mu na myśl Lisa. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że był złym mężem. Kochał ją, ale ani myślał pogodzić się z perspektywą siedzenia na jednym miejscu i zapuszczenia korzeni. Jedyne dziecko mogłoby go do tego skłonić, ale stało się inaczej... Rozważał te wszystkie sprawy, stojąc samotnie w ponurym otoczeniu wrogich gór. Obaj jego przyjaciele byli nieobecni duchem, w pobliżu ani śladu człowieka. Towarzyszyło mu tylko pełne grozy wycie wiatru. Zamarznięte grudki śniegu smagały twarz, a dokoła panowała niemal ciemność, gdyż otoczyła ich gęsta chmura.

Boleśnie napięte mięśnie torsu błagały o zmiłowanie, kiedy centymetr po centymetrze, używając wyciągu w kształcie litery „Z”, wydobywał Rossa ze szczeliny. Za każdym razem, kiedy przez zaciśnięte zęby wciągał powietrze, miał wrażenie, że jego płuca są w ogniu. Jak długo wytrzyma? Jeśli ustanie, na marne pójdą jego dotychczasowe wysiłki, a Ross umrze.

Gdyby ktoś schodził tym szlakiem, udając się do obozu bezpiecznie położonego na niższej wysokości! Albo gdyby jacyś szaleni i śmiali alpiniści wchodzili na górę z nadzieją, że pogoda na chwilę się poprawi i będą mogli wejść na szczyt. W pojedynkę wyciąganie Rossa było cholernie trudne, szczególnie dla kogoś, kto zdobył szczyt i schodził na dół bez żadnego odpoczynku. Ben obliczył, że we trójkę wspinali się blisko dwadzieścia jeden godzin bez przerwy.

Śluz, który wydostał się z gardła, wypełnił mu usta. Gdy splunął, zobaczył, że śnieg się na krótko zaczerwienił. Joe był na wpół zasypany śniegiem. Jeśli się szybko nie ocknie...

Obawa dodała Benowi siły. Pociągnął linę z nową energią. Stał zbyt daleko od krawędzi szczeliny, aby zobaczyć, jakie zrobił postępy. Ciągnął i ciągnął raz po raz. Czując w rękawicze wilgoć, wiedział, że to krew z popękanej na palcach skóry.

- Raz! - zgrzytał zębami i ciągnął. - Dwa! - I znowu ciągnął. Nie miał nawet pewności, czy Ross żyje. Dawno minęła godzina od czasu, gdy wpadł do szczeliny; mógł już umrzeć z zimna. Ale centymetr po centymetrze wyciągnięta lina zwijała się u stóp Bena.

Nadszedł moment, kiedy sobie uświadomił, że to koniec, że już się nie zdobędzie na żaden wysiłek. Nie stać go było na nic więcej, jak tylko na to, by się poddać, zrezygnować i dać sobie spokój z Rossem, który tak niebezpiecznie wisiał na końcu liny. Jeśli Ross jest nieprzytomny, to i tak nigdy się nie dowie, że się nagle urwał i spadł, ponosząc śmierć. A wtedy on, Ben, będzie nareszcie mógł położyć się obok Joego i zapaść w głęboki sen. Był kompletnie wykończony, lecz zdobył się na jeszcze jedno pociągnięcie liny.

„...ja też cię kocham, przystojniaku”. Nie wiadomo skąd przyszło mu na myśl to zdanie. Miał wrażenie, że widzi litery wypisane na śniegu w kolorze niebieskim, zielonym i czerwonym, jak neonowe sygnały, błyskające w czasie burzy... Ja też ciebie kocham... Zobaczył w wyobraźni Lisę z drobnymi rękami i błyszczącymi czarnymi włosami, Lisę mówiącą: „kocham cię, przystojniaku, kocham cię”. Myślał o srebrnych łyżeczkach, herbacianych różach i przypominało mu się, co mówił Joe, że góry i dzieci do siebie nie pasują. Lisa, moje kochanie... i nasze stracone dziecko. Słońce odbijało się w jeziorze, gdy usłyszał... „ja też cię kocham, przystojniaku”.

Jeśli nie podejmie tego ostatniego wysiłku, wtedy wszyscy trzej będą skończeni... Nie może do tego dopuścić. Przecież Lisa go potrzebuje. Pewnie gdzieś w normalnym i spokojnym świecie, daleko stąd, ona na niego czeka i zwróciwszy delikatną twarzyczkę w stronę drzwi, nasłuchuje jego kroków.

I wtedy usłyszał głos Rossa. Choć był pełen bólu i słaby z wyczerpania, ten głos dodał

mu bodźca:

- Chyba na chwilę straciłem przytomność, Ben. Ale już niewiele zostało do zrobienia. Prawie jestem na miejscu. Spróbuj jeszcze raz. Tylko raz. Dasz radę, przecież wiesz, że dasz...

Teraz ciągnięcie liny stało się nieco łatwiejsze, ponieważ Ross posłużył się czekaniem i odbił od ściany lodu w szczelinie. Niemal mdlejąc z wysiłku, czując, że lada chwila potrzaskają mu kości i rozerwą się mięśnie, Ben zobaczył w końcu jedną rękawicę Rossa, który próbował namacać powierzchnię, potem drugą... Pociągnął jeszcze raz, choć miał wrażenie, że trzeszcza mu kości, i jeszcze raz, i zobaczył czerwony kaptur, a potem twarz i ramiona Rossa.

- Jezu, chłopie! - Ross wbił łokcie w śnieg i podciągnął się w górę, podczas gdy Ben, cofając się, błyskawicznym ruchem skrócił linę. - O Jezu! - w głosie Rossa słychać było łzy. - Myślałem, że to już koniec ze mną, że już po mnie! - Leżał z twarzą wciśniętą w śnieg i uniesionymi ramionami.

Ben usiadł, spuścił głowę i walczył z napierającymi falami mdłości. Na tym ogromnym wysiłku, jaki zrobili, nie zakończyły się ich kłopoty. Czekало ich jeszcze więcej.

- Co z twoim kolanem? - spytał Rossa.

- Myślę, że jest roztrzaskane. Wpadając do szczeliny, uderzyłem o ścianę.

- Nie ma szansy, żebyś mógł chodzić?

Ross się odwrócił, usiadł i ująwszy kolano obiema rękami próbował nim poruszać, ale tylko głośno krzyknął z bólu.

- W żaden sposób nie dam rady. - Mimo że mróz szczypał go w nos, patrzył na Bena spod oszronionych brwi niemal radośnie. - Hej, stary!

- O co chodzi?

- Przecież wiesz.

- Niby co mam wiedzieć?

- Że ci dziękuję...

- Zrobiłbyś to samo dla mnie.

- Na pewno bym się starał, ale nie wiem, czyby mi się udało. - Spojrzał w stronę Joego. -

A co z nim?

- Niedotlenienie. Hipotermia. Wszystko, co tylko możliwe.

- To co zrobimy?

- Na razie zaciągnę cię trochę dalej. - Wskazał na niewielki pagórek przykryty śniegiem. Tworzyła go mała skała, mniej więcej półmetrowej wysokości, może trochę wyższa. -

Zakopię cię w śniegu. Wsadzę do mego śpiwora i przykryję. Potem sprowadzę Joego na dół do obozu i poszukam pomocy dla ciebie.

- Czy dasz radę to wszystko zrobić sam? Całkiem sam? - upewniał się Ross. - Przecież będziesz musiał spuścić go na dół.

- Nie ma innego wyjścia... - Ben poczuł się nagle strasznie zmęczony. Odwrócił się plecami do wiatru, zgarbił, a potem wyjął z kieszeni kilka kostek czekolady i włożył do ust. Resztą poczęstował Rossa.

- Czy ty na pewno dobrze się czujesz? - spytał Ross nieco zaniepokojony.

- Oczywiście, bardzo dobrze - odparł Ben, choć wcale tak się nie czuł. W żadnym razie nie zamierzał rezygnować z planu. Posługując się czekanem, wykopał płytką jamę u podstawy skały, wymościł ją matą do spania, potem, włożywszy Rossowi ręce pod pachy, zaciągnął go do kryjówki. Tam, ignorując jęki Rossa, wbił go w swój śpiwór aż po czubek głowy. - Nie ruszaj się! - nakazał. - Nie wolno ci się stąd ruszyć ani o centymetr. - Spojrzał na twarz przyjaciela i dojrzał w niej lęk, który Ross na próżno usiłował ukryć. - Nie martw się! Ja wrócę. Cokolwiek się zdarzy, na pewno po ciebie wrócę.

- Tak, stary. Wiem, że wrócisz.

Ben ukląkł obok Joego, przywiązał jego ramiona do boków ciała, skrepował nogi liną raz koło razu, tak że ten wyglądał jak leżąca na śniegu mumia. Następnie rozpoczął długie i mozolne zejście do bezpiecznego dla Joego poziomu, czyli o jakieś trzy tysiące metrów niżej od miejsca, w którym się znajdowali. Stopniowo luzując linę przytroczoną do pasa, spuszczał Joego w dół; skrepowane ciało ześlizgiwało się po śnieżnej powierzchni stoku jak sanki.

Ben obiecał Rossowi, że po niego wróci, i miał nadzieję, że słowa dotrzyma.

Nie miał pojęcia, ile czasu minęło, zanim sprowadził siebie i przyjaciela na wysokość czterech tysięcy pięciuset metrów, gdzie mieścił się obóz. Gdy, zataczając się, wszedł do środka, nie był nawet pewny, czy Joe jeszcze żyje. Sam czuł się na pół martwy. Po oddaniu pacjenta pod opiekę fachowego personelu w medycznym namiocie, Ben zrobił sobie tylko krótką przerwę, by napić się gorącej herbaty. Wypił jej niemal litr, po czym zebrał niewielką grupę ochotników i nie zwlekając, ruszył znowu w góry. Kiedy do Rossa dotarli z napojami, szynami do unieruchomienia nogi i jedzeniem, ten, choć przytomny, był w bardzo złym stanie. Ożywił się nieco, gdy zobaczył Bena i zdobył się nawet na skrzywienie ust w uśmiechu.

- Wiedziałem, że ci się uda, Benny, chłopcze - szepnął. - Cholerny z ciebie bohater - dodał.

- Nie zgadzam się - powiedział Ben ostro, kiedy w szpitalu podszedł do niego sanitariusz ze strzykawką w ręce. Ale sanitariusz nie zważał na te protesty:

- Kazano mi zrobić panu zastrzyk - wyjaśnił obcesowo.

- Będę po nim spał, prawda?

- Przypuszczalnie tak...

- Wobec tego nie chcę zastrzyku. - Ben cofał się, ale w małym pomieszczeniu nie miał dokąd uciec. - Muszę jak najszybciej wrócić do domu.

- Przykro mi - mruknął mężczyzna, zrobił szybki ruch, złapał Bena za ramię, ze sprawnością fachowca potarł żyłę alkoholem i wbił w nią igłę.

Ben usłyszał jeszcze głos Rossa:

- Przecież kolega panu powiedział, że musi jak najszybciej dotrzeć do domu.

- Chyba nie powinien był go w ogóle opuszczać...

- Jego żona jest chora, ty pieprzony głupku.

- On też jest chory albo wkrótce nim będzie, jeśli o siebie nie zadba.

- Kolega jest tylko zmęczony... to wszystko.

- Ma także dwa złamane żebra, kilka ciężkich wewnętrznych obrażeń i wszystkie symptomy świadczące o hipotermii.

- To niepoważne, co pan mówi... - protestował Ross, a potem Ben już niczego nie słyszał, bo pożegłował w senną dal. Śnił mu się śnieg, morze białych chmur i Lisa, która go wołała. Chwilami odzyskiwał przytomność i wtedy dochodziły do niego głosy Rossa i Joego, sanitariusza i lekarza. Odczuwał jakiś wewnętrzny niepokój, który go przynaglał do działania. Nie potrafił się jednak skupić wystarczająco długo, aby odkryć, o co dokładnie chodzi. Potem zasnął twardo i bez sennych marzeń.

Zbudził się oszołomiony i obolały. Każdy centymetr jego ciała zdawał mu się jednym wielkim bólem, jakby go ktoś przepuścił przez maszynkę do mielenia mięsa. Nie wiedział, jak długo spał.

- Lisa - powiedział na głos, próbując podnieść się i oprzeć na łokciu, ale od razu opadł na pościel, sycząc z bólu. Spojrzał w bok i zobaczył, że na sąsiednim łóżku leży Ross. Miał nogę na wyciągu i obie ręce całe w bandażach. - Jak długo spałem? - spytał go Ben.

- Z małymi przerwami półtora dnia - usłyszał.

- Jezu! - Ben walił pięścią w pościel. - Muszę stąd wyjść!

- Joe kilka razy telefonował do twego mieszkania, chcąc wyjaśnić, co się stało - mówił

Ross - ale nikogo nie zastał.

Ben przypomniał sobie Mel. Zdawało mu się, że jej głos docierał do niego jakby z innego świata. Pocieszał się, że Lisa ma się dobrze, że nic jej nie dolega.

- Moja żona dostaje pewnie szału, martwiąc się, co się ze mną dzieje i dlaczego nie jestem z nią - tłumaczył Rossowi. Odrzucił koc. - Nie wiesz, gdzie są moje rzeczy?

- Zabrali je. Moje też, chociaż ich zapewniałem, że stąd nie wyjdę z nogą na wyciągu.

- A właśnie, co z twoją nogą? - spytał strapiony Ben. - Wszystko w porządku?

- Na pewno! - Ross wymachiwał zabandażowanymi rękami. - Najwyżej stracę czubki dwóch palców.

- Przykro mi. A gdzie tu jest jakiś telefon?

- Na zewnątrz, w przedsionku.

Ignorując ból, Ben wygramolił się z łóżka i poszedł do telefonu. Poprosił operatora, aby go połączył z numerem jego domu, zaznaczając, że rozmowa odbędzie się na koszt odbiorcy. Potem słuchał, jak telefon dzwoni i dzwoni, aż w końcu jakiś kobiecy głos wyjaśnił, że numer nie odpowiada.

Cholera! Ben cisnął słuchawką. Gdzie jest Lisa? Może ze swoim ojcem? Z przyjaciółmi? A może z Mel Sherman? Trochę niepewnie poprosił o połączenie z informacją. Otrzymał numer Mel i go wykrecił. Znowu słyszał dzwonek telefonu, ale nikt nie podnosił słuchawki. Czekał na jakąkolwiek odpowiedź, nawet elektroniczną. Jeśli Mel w ogóle miała automatyczną sekretarkę, to ją wyłączyła. Nie było sposobu, żeby zawiadomić Lisę, gdzie on się znajduje i dlaczego nie mógł wrócić do domu.



- Zabiorę cię do siebie na Maple Street, dobrze? - zaproponowała Mel, gdy przyszła po Lisę do szpitala.

- To nie jest konieczne.

- Ale w ten sposób będę mogła cię doglądać.

- Poradzę sobie sama - odparła przytłumionym głosem.

- Na pewno tak, ale dziś ja się tobą jeszcze zajmę. - I wyciągnawszy rękę, serdecznie uścisnęła jej dłoń.

W domu, widząc, że Lisa odpycha widelcem jedzenie na talerzu, nie chce wypić ani jednego kieliszka wina i połknęła raptem dwa łyki kawy, Mel spytała ją wprost:

- Może powinnam do kogoś zadzwonić? Do matki Bena albo do twego ojca? - Nie mogła patrzeć, jak dziewczyna się kurczy i chowa jak ślimak szukający schronienia w skorupie.

- Mój tata nie mógłby... - Lisa ucichła i tak długo milczała, że Mel się zdawało, że zasnęła. Potem nagle spytała: - Dlaczego Ben nie dzwoni?

Mel przypomniał się ostry ton głosu Bena, gdy mówił: „Nie mogę tak po prostu zejść z tej cholernej góry na zawołanie”.

- Kiedy dzwonił, było fatalne połączenie. Możliwe, że później jeszcze próbował, ale nie mógł się dodzwonić. A może telefonował do domu, a ciebie tam nie było.

- Może wcale nie próbował?

Robiła wrażenie tak zagubionej, że Mel chciało się płakać.

- Nie mogę znieść, że jesteś taka nieszczęśliwa, kochanie.

Lisa odrzuciła głowę do tyłu i zamknęła oczy. Łzy spod zaciśniętych powiek zaczęły powoli spływać jej po twarzy.

- Pielęgniarki w szpitalu wciąż mi powtarzały, że takie rzeczy się zdarzają. Mówiły, że to, co się stało, było najlepszym wyjściem. Najlepsze wyjście? - Jej blade policzki na krótko się zarumieniły. - Nie rozumiem, co to ma znaczyć.

- Nie spytałaś, co miały na myśli?

- Jedna z nich powiedziała, że lepiej jeszcze raz zacząć wszystko od początku i urodzić zdrowe dziecko. Druga mi wmawiała, że jestem młoda i powinnam za jakiś czas znowu spróbować. „Będzie pani miała jeszcze więcej dzieci” - pocieszała. I może miała rację. Może rzeczywiście będę je miała. - Lisa ścisnęła czoło palcami. Po chwili dodała drżącym głosem: - Ale

takie argumenty wcale mi nie pomagają pogodzić się z faktem, że nie mam tego dziecka, którego pragnęłam, że moja córeczka nie żyje. Ach, Mel...

- Ja wiem - powiedziała Mel, biorąc przyjaciółkę za rękę. - Ja wiem.

- Tak bardzo pragnęłam tego dziecka... „Ja też go pragnęłam” - pomyślała Mel.

- Nie mogę uwierzyć, że powinnam o niej zapomnieć i po prostu mieć inne dziecko, które by ją zastąpiło.

- Czy ty ją widziałaś? - spytała trochę niepewnym głosem. - Czy mogłaś ją potrzymać, zanim oni... ją wynieśli?

Lisa potrząsnęła przecząco głową.

- Prosiłam o to, ale oni już... - Zaciśnęła dłonie tak mocno, że zbieleły jej knykcie. - Oni już zrobili to, co się zwykle robi z... Jak brzmiał ten „wspaniały” zwrot, którego użyli? „Płód niezdolny do życia”.

- Liso, oni mają tyle różnych spraw na głowie.

- Nie mogę się skarżyć; byli dla mnie mili, nawet bardzo. Ale po prostu nie rozumieli tego, że to była moja mała dziewczynka. - Znowu zaczęła płakać i gwałtowne łkanie wstrząsało jej drobnym ciałem. - Ben i ja poczęliśmy to dziecko razem, czuliśmy, jak rośnie, tęskniliśmy do niego, planowaliśmy dla niego przyszłość. Tymczasem dla tych ze szpitala ono nie było niczym więcej, jak tylko „niezdolnym do życia płodem”.

Mel pomyślała o lekarzu, z którym rozmawiała.

- Jestem pewna, że lekarzom i pielęgniarkom żal było, że cierpisz, nawet jeśli nie mieli czasu, by ci to okazać.

- Ono było... O Boże, nie mogę znieść tej myśli... Oni mi powiedzieli, że dziecko było martwe od dwóch tygodni.

- Lekarz w szpitalu powiedział mi to samo - potwierdziła Mel. Łzy zamazały widok tak dobrze jej znanego pokoju, w którym teraz siedziały; szybko je starła.

- Było martwe... - powtórzyła Lisa. - Wiedziałam, że coś jest z tą ciążą nie w porządku. Wiedziałam to. Możesz sobie wyobrazić, jakie to straszne przeżycie?

„Aż nazbyt dobrze” - pomyślała Mel. Sama też nie mogła pozbyć się tych widziadeł.

- Ach, Liso, kochanie...

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wezmę prysznic i pójdę do łóżka - oświadczyła Lisa.

- Bardzo proszę! Możesz robić wszystko, na co masz ochotę.

- A Ben?

- On się na pewno jakoś dodzwoni.

Lisa lekko się uśmiechnęła.

- Mel, moja droga, nie martw się o mnie.

- Nie mogę się nie martwić - odparła smutno.

W tym czasie, gdy Lisa brała prysznic w łazience na górze, na dole zadzwonił telefon.

- Mówi Ben Andersen - odezwał się głos w słuchawce.

- Dzięki Bogu! Nareszcie! - zawołała Mel.

- Gdzie jest Lisa? Dzwoniłem do domu, ale nikt nie odpowiada.

- Ona jest tutaj ze mną. Właśnie przywiozłam ją ze szpitala.

- Jak się czuje?

- Niezbyt dobrze.

- Ale nie jest chora?

- Nie, nie jest chora fizycznie...

- Tak strasznie się o nią martwię! - wybuchnął. - Utknąłem tu. Kiedy dzwoniłaś, był zły odbiór, nie słyszałem, co mówiłaś. - Głos mu się rwał. - Bardzo się o nią boję; boję się, że ona...

- Gdzie teraz jesteś?

- Wciąż jeszcze jestem na Alasce.

- Powinieneś być tu! - rzuciła Mel ze złością.

Zapanowało milczenie.

- Chciałbym rozmawiać z żoną - powiedział po chwili.

- Lisa właśnie bierze prysznic. Zadzwonź za jakieś dziesięć minut. Ona bardzo chce z tobą mówić.

- Spróbuję - odparł znużonym głosem - ale tu są kilometrowe kolejki do telefonu.

- Gdzie dokładnie jesteś? - spytała Mel znowu.

- W miejscowym szpitalu.

- Co ci dolega?

- Nic wielkiego.

- Powiem Lisie, że dzwoniłeś. - Odłożyła słuchawkę i poszła na górę. - Telefonował Ben - poinformowała Lisę przez otwarte drzwi łazienki. - Zadzwoni znowu za dziesięć minut.

Lisa zakręciła kurek i chwyciła ręcznik.

- Mówił, kiedy wróci?

- Nie potrafił podać dokładnej daty.

Lisa siedziała przy telefonie przez resztę wieczoru, ale Ben nie zadzwonił.

- Moja żona jest chora. Na miłość boską, ile razy mam to panu powtarzać? - denerwował się Ben.

- A ja twierdzę, że nie może pan opuszczać szpitala, powinien pan pozostać pod obserwacją co najmniej przez...

- Jeśli nie chcecie mnie wypisać, to sam się wypiszę! - krzyczał. Ostatniej nocy czekał wiele godzin, aby skorzystać z telefonu, ale kiedy nadeszła jego kolej, zrobiło się tak późno, że nie wypadało już dzwonić... - Nie możecie mnie tu trzymać wbrew mojej woli - perorował. Przypomniawszy sobie jednak, że mu zabrali ubranie, dodał uprzejmie: - Bardzo proszę mnie wypisać. - Nienawidził płaczliwej nuty w swoim głosie. Nienawidził samego siebie. „Ci cholerni biurokraci dbają tylko o to, by wszystko było zgodne z instrukcją” - myślał. A głośno dodał z uporem: - Czuję się zupełnie dobrze. Nic mi nie brakuje; jestem tylko trochę potłuczony.

- Zgadzam się, że pańskie rany nie zagrażają życiu - przyznał lekarz - ale nie możemy wziąć odpowiedzialności za ewentualne komplikacje.

- Proszę mi dać te cholerne formularze - powiedział Ben. - Podpiszę wszystko, bylebym tylko mógł stąd wyjść.

Wymiana argumentów zajęła im jeszcze co najmniej godzinę, ale ostatecznie Ben uzyskał zgodę na opuszczenie szpitala. Podpisał specjalne druki, że nie będzie rościł żadnych pretensji, uregulował należności, używając kart kredytowych, zadzwonił do linii lotniczych i po taksówkę, pożegnał się z Rossem i Joem i nareszcie mógł udać się w drogę do domu, i wrócić do Lisy.

- Może zechciałabyś pójść ze mną do galerii, Liso? - zaproponowała Mel następnego rana. - Wolałabym nie zostawiać cię samej w domu.

- Kiedy ja się dobrze czuję. Nic mi nie jest!

- Ale nie wyglądasz zbyt dobrze. Wyglądasz... - zaczęła Mel i nie dokończyła zdania.

Lisa była wyczerpana i nieco otępiała. Miała ziemisty kolor twarzy i głębokie cienie pod oczami. Włożyła ciemnobrązową spódnicę i czerwoną bluzkę. „Te kolory przypominają krew - pomyślała Mel - kojarzą się z porodem i śmiercią”.

- Smutno mi - skarżyła się Lisa.

- To zrozumiałe.

- Sądzę, że właśnie z tego powodu źle wyglądam.

- Nieważne, jak wyglądasz, ale jak się czujesz.

- Wszystko mnie boli. Najbardziej sutki. Czuję się taka pusta. - Patrzyła na Mel i usta jej drżały. - Taka pusta - powtórzyła.

- Liso...

- Chciałabym, żeby Ben zadzwonił.

- Gdy dzwonił zeszłego wieczoru, połączenie było fatalne. Możliwe, że w końcu w ogóle wysiadło. - Przez wzgląd na Lisę Mel szukała dla Bena wymówek. W duchu jednak była przekonana, że gdyby się starał, na pewno mógłby w jakiś sposób znaleźć do telefonu.

- Boję się, czy mu się coś nie stało.

- Gdyby tak było, już byśmy o tym słyszały - uspokajała Mel.

- Bardzo nie lubię, gdy Ben udaje się na wspinaczkę w góry. Budzę się nieraz w nocy i myślę, że może miał wypadek, może spadł i już nie żyje, a ja o tym nie wiem. - Znowu uroniła parę łez. - Gdzie on jest? Co robi? Dlaczego nie wraca do domu?

Mel miała wrażenie, że w miarę upływu czasu Lisa coraz boleśniej odczuwa swoje nieszczęście i że w jej wypadku nie sprawdza się powiedzenie, iż czas goi rany. Atmosfera cierpienia udzieliła się całemu domowi. Mel zauważyła, że sama zaczyna płytko oddychać, jakby się broniła przed infekcją.

- Nie wiem, co mam z Lisą robić, jak jej pomóc - wyznała Mel, spotkawszy się w przerwie obiadowej z Joanną. - Zachowuje się tak, jakby nic jej nie obchodziło, jakby ze wszystkiego zrezygnowała.

- Może to jest jej potrzebne - odpowiedziała Joanna, smarując masłem rogalik. - Ona po prostu nie chce o niczym myśleć. Właśnie straciła dziecko. Płód miał ponad pięć miesięcy. Pomyśl, jakie zmiany musiały się dokonać w jej organizmie w ciągu tych kilku ostatnich dni, gdy rozbudzone hormony szaleją w jej wnętrzu, ale to już niczemu nie służy.

- Tak mi przykro, że nie umiem jej pomóc.

- A mnie się wydaje, że bardzo dużo dla niej robisz, Mel. - Joanna nabrała porcję sałatki jarzynowej z majonezem i położyła ją na zielonej sałacie, jaką podano do hamburgera. - To jedyny sposób, żeby danie stało się jadalne - wyjaśniła.

- Szkoda, że nie potrafię być bardziej użyteczna.

- Jeśli mam ci wierzyć, choć wciąż nie jestem tego pewna, to zdaje się, że i ty przeżyłaś podobny dramat. Musisz więc wiedzieć, że nie da się przez to łatwo przebrnąć. Możesz też sobie pewnie wyobrazić, o ile gorsza jest sytuacja, gdy znosi się tę paskudną ciążę, aby w końcu zostać z niczym. - Mówiąc to, Joanna z pasją wgryzła się w hamburgera.

- Nie omieszkałam przekazać twoich uwag Lisie - obiecała Mel, czując nagły przypływ złości.

- Z tobą to nigdy nic nie wiadomo... raz mówisz tak, raz inaczej.

- Pewne jest, że ta biedna dziewczyna znalazła się w psychicznym dołku. W dodatku Be-na wciąż nie ma.

- Pomyślisz może, że jestem gruboskórna, ale poronienie to nie koniec świata.

- Zgadłś - odparła Mel chłodno. - Rzeczywiście myślę, że jesteś gruboskórna.

- Być może Lisie trudno w to teraz uwierzyć, ale na pewno z czasem wszystko jej przejdzie.

- Co nie znaczy, że teraz jest jej łatwo.

- Nie bądź taka uszczypliwa, moja droga, bo czy ci się to podoba, czy nie, życie idzie dalej. I życie Lisy także się na tym nie kończy, nawet jeśli w tej chwili trudno jej się z tym pogodzić.

„Mówisz tak, bo to nie było twoje dziecko - myślała Mel. - Ty masz troje zdrowych dzieci, a ja nie mam żadnego. Ja też pragnęłam tego dziecka”. Zagryzła wargi, aby nie drżały. Ze-szłej nocy zbudziła się, bo jej się zdawało, że słyszy krzyk bólu. Kiedy znowu usnęła, przyśnił jej się Ben, jego oczy koloru lodu i chłodny wyraz twarzy.

- Do jasnej cholery! - wybuchnął Ben. - Jak długo jeszcze?

- Przepraszam pana. - Kobieta za ladą podniosła głowę i spojrzała na okno dworca lotni-czego, by sprawdzić, jaka jest pogoda. - Nic nie możemy w tej sprawie zrobić.

- Ale na pewno musi istnieć jakiś sposób. Przecież nie można zamknąć kraju za każdym razem, kiedy nadciąga burza.

- To jest coś więcej niż zwykła burza...

Ben sobie uświadomił, że pracownica lotniska przyzwyczała się już do załatwiania skarg rozzłoszczonych pasażerów, którzy chcieliby jak najszybciej odlecieć.

- To nietypowa pogoda, jakby końcówka huraganu. Nawet jeśli samolot mógłby wznieść się w górę, i tak nie wiadomo, gdzie by wylądował, ponieważ wszystkie lotniska w okolicy są pozamykane.

- Może mógłbym pojechać autobusem?

- Proszę spróbować, ale zdobycie miejsca to nie wszystko, bo prawdopodobnie drogi są zablokowane.

- A jaka jest prognoza?

- Niestety nadal zapowiadają złą pogodę, podobną do dzisiejszej. - Spojrzała na mężczyznę stojącego w kolejce za nim, a ten odwrócił się wściekły i zniechęcony. Bena bolało ramię i zebra i miał dziwne wrażenie, że w miejscu, gdzie powinien być żołądek, znajduje się surowy hamburger. Zrozumiał, że złość nie pomoże, i trzeba po prostu tę burzę przeczekać.

Tego wieczoru, wróciwszy z galerii do domu, Mel zastała Lisę w salonie. Siedziała po ciemku i cicho płakała.

- Liso, kochanie, co się dzieje? - zapytała, gdy zapaliła lampy i zasunęła zasłony.

- Ja już tego dłużej nie wytrzymam, nie mogę... - powiedziała Lisa, odwracając głowę od nagle zapalonego światła.

- Owszem, możesz i wytrzymasz! - Mel mocno ją przytuliła. Przypomniała sobie, że po śmierci Erica podobnych słów użyła w stosunku do niej Joanna. - Nie pozostaje ci nic innego, jak żyć dalej. A złe samopoczucie? Ono musi jeszcze jakiś czas potrwać.

- Chciałabym, żeby Ben...

- On jest już w drodze. - „Przynajmniej taką mam nadzieję” - pomyślała Mel.

- Nie mogę pracować. Nic nie mogę robić. Dziś rano zamówiłam taksówkę i pojechałam do pracowni. Wzięłam trochę gliny z pojemnika i miałam zamiar utoczyć donicę na kole, ale nie mogłam. - Lisa bezradnie machała rękami. - Po prostu nie wiedziałam, od czego zacząć. Formowanie gliny i ta cała obróbka wydały mi się czymś dziwnie tajemniczym i skomplikowanym, jakbym się z tym nigdy przedtem nie spotkała.

- Nie przejmuj się, to minie.

- Wszystko wydało mi się takie bezcelowe.

- To się zmieni.

- Nie wierzę. Nic już nie będzie takie, jak było. - Przetarła ramieniem mokrą od łez twarz. - Nie myśl, Mel, że się zgrywam na bohaterkę melodramatu. Być może wkrótce zacznę normalnie funkcjonować i przypuszczalnie znów będę zajmować się garncarstwem i ceramiką artystyczną. Ale to, co się stało, już się nie odstanie, i z tą świadomością będę musiała żyć do końca swoich dni. Nie ucieknę od tego.

Mel wzięła obie dłonie przyjaciółki w swoje ręce. Od razu zauważyła, że Lisa pozbyła się pierścionków, które dawniej lubiła nosić. Nie miała na palcach ani brylantowego pierścionka zaręczynowego, ani wąskiej, złotej, ślubnej obrączki, ani też meksykańskiego srebrnego pierścionka w kształcie zawiązki - symbolu miłości.

- Pamiętaj, Liso, że nie jesteś sama.

- Ależ jestem! Bez Bena jestem sama.

Ben znowu zadzwonił. Tym razem z lotniska, gdzie czekał na wznowienie lotów. Pogoda była fatalna: wszelkie loty odwołano, Ben liczył jednak na uruchomienie jakichś zastępczych linii.

Lisa płakała do słuchawki, a on próbował ją pocieszać.

- Nie mogę uwierzyć, że coś takiego powiedziałeś! - wykrzyczała nagle Lisa i rzuciła słuchawkę. Zaraz potem pobiegła do pokoju gościnnego na górę i zamknęła za sobą drzwi.

Ben ponownie zatelefonował.

- Co się, u diabła, dzieje? - spytał Mel. Był wściekły. - Lisa rzuciła słuchawkę, nie chciała ze mną rozmawiać.

- Musiałeś jej coś przykrego powiedzieć.

- Tylko tyle, że... możemy jeszcze raz spróbować.

- Akurat to, co chce usłyszeć kobieta, która właśnie straciła dziecko - zadrwiła Mel.

- Masz rację, to chyba nie było taktowne.

- Oczywiście, że było cholernie nietaktowne - warknęła Mel. - I okrutne.

Głośno wciągnął powietrze.

- Czy ona nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo pragnę być przy niej?

- Nie mam pojęcia, co ona myśli. W tej chwili leży skulona jak zranione zwierzę.

- Słuchaj... - przerwał i zaczął znów: - Słuchaj, Mel! Lisa wie, że gdybym mógł się stąd ruszyć, nawet piechotą poszedłbym do domu, popłynąłbym, pojechał choćby na nartach. Wszystko bym zrobił, aby być teraz przy niej. Ale nie mogę... Gdy tylko wznowią loty, przylecę pierwszym samolotem.

- Świetnie! - Mel odłożyła słuchawkę, nie czekając, aż Ben to zrobi.

Gdy następnego dnia Mel wpadła w przerwie obiadowej do domu, znalazła na kuchennym stole notkę Lisy: *Nie martw się, nic mi nie jest.* Wiedząc, jakie to dalekie od prawdy, Mel się zastanawiała, czy Lisa nie chce w ten sposób powiedzieć, żeby ją zostawiono w spokoju.

Doszła jednak do wniosku, że czy się to Lisie podoba, czy nie, nie może samotnie przebywać w domu. Mel spędziła popołudnie w galerii, ale w końcu poprosiła Carłę, aby zamknęła sklep, a sama pojechała na starą farmę Adamsów. Późne słońce oślepiająco świeciło w okna i grzało czerwone dachówki na stromym dachu. Warzywa i zioła: szczypiorek, pietruszka, tymianek i mięta bujnie się rozrosły na grządkach koło stodoły, a pelargonie, które zasadziła Lisa, wylewały się z doniczek. Wyglądało tu tak samo jak tydzień temu, choć bardzo wiele się w tym



czasie zmieniło.

Wszedłszy do holu, Mel przywoływała Lisę, ale nie było odpowiedzi. Poszła na górę. - Liso?! - zawołała jeszcze raz cicho, coraz bardziej się niepokojąc. Wreszcie biegiem ruszyła do pokoju, który był przewidziany dla mającego się narodzić dziecka. Stała w drzwiach i wzruszenie ścisnęło ją za gardło: Lisa siedziała na podłodze, kiwała się jednostajnym, wahadłowym ruchem i głośno szlochając, przyciskała do piersi malutki dziecięcy kaftanik.

- Liso! - Mel podbiegła, uklękła obok niej, mocno ją przytuliła. Zdawała sobie sprawę, że ból tej młodej kobiety stał się nie do zniesienia. - Kochana moja, najmilsza - szeptała. „Czy tak by się czuła, gdyby to była jej córka - myślała. - Czy tak właśnie dzieliłaby z nią cierpienie i wspólnie przeżywała udrękę”.

- Boże, Boże! - rozpacziała Lisa, i ten krzyk zdawał się wypływać z głębi jej pustego wnętrza. - Już dłużej nie mogę...

- Szsz... - uciszała ją Mel i kołysała w ramionach jak dziecko.

- Ona mnie nawiedza, Mel! Nawiedza i straszy. - Jej słowa brzmiały jak jęk bólu. - Ja jej pragnę. Chcę trzymać ją w ramionach! - Lisa przytknęła zaciśniętą pięść do ust, jakby chciała powstrzymać krzyk. - Ale nie mogę jej dotknąć, Mel! Nie mogę jej dotknąć!

- Przestań, Liso! Daj spokój!

- Tak bardzo mi jej brak, Mel. Nawet jej nie widziałam, ale mi jej brak!

- Wiem.

- Przedtem wciąż o niej myślałam. Wyobrażałam ją sobie w różnych sytuacjach: jak brodzi po jeziorze, ogląda jakieś głupie dziecięce programy na wideo, siedzi w cukierni i je lody - waniliowe lody z truskawkami; rozmazała je sobie po buzi, więc pochylałam się nad nią i wycieram ją papierową serwetką - mówiła drżącym głosem. - Oczami duszy widziałam fotografie całej naszej trójki. Na zdjęciach Ben trzyma ją przed sobą w nosidełku albo się z nią bawi. To są takie codzienne, zwykłe rzeczy, które rodzice robią ze swoimi dziećmi. A teraz co? Spojrzała na mały trykocik, który miała w ręce, i znowu zaczęła płakać.

- Liso, moja droga...

- To dziecko było dla mnie czymś tak bardzo autentycznym, realnym, a teraz jest martwe. Absolutnie nie mogę tego zrozumieć. - Lisa pochyliła głowę i zaniosła się szlochem; cała się przy tym zasmarkowała: śluz, łzy i ślina ściekały z jej twarzy. - W szpitalu lekarze i pielęgniarki zachowywali się tak, jakby się nic specjalnego nie wydarzyło. Uważali, że powinnam zwyczajnie wrócić do domu i robić to samo, co robiłam przedtem. Może myśleli, że zachowuję się

niewłaściwie, czy wręcz perwersyjnie, kiedy ich zarzucałam pytaniami, dlaczego mnie to spotkało. A ja po prostu szukałam w tym jakiegoś sensu. Nawet - jęknęła, objawszy się ramionami - nawet niektóre z pań z mojej szkoły rodzenia dzwonią do mnie i... mówią to samo. Nie zdają sobie sprawy, że to... boli... - Łkania wstrząsały drobnym ciałem Lisy. Nie mogła się opanować.

- A nie pomyślałaś, Liso, że może ludzie nie wiedzą, co w takim wypadku należy mówić?

- Ale w żadnym wypadku nie powinni mówić tego, co mówią.

- Może kobiety są przerażone, że im także mogłoby się coś takiego przytrafić. - Rozejrzała się po pokoju, przygotowanym dla mającego się urodzić dziecka. Zwróciła uwagę na uszytą przez Lisę kołderkę, na białe muślinowe firanki, ozdobione aplikowanymi zielonymi listkami, komponującymi się z tymi, które Ben odbił szablonem na jasnej sosnowej podłodze, na białą komodę kupioną na aukcji, na sztuczne, błyszczące motyle, tańczące na nitkach, i na ściany żółte jak żółtko jaja. Tyle oczekiwań wiązało się z tym pokojem, tyle miłości... A zostały jedynie niespełnione nadzieje.

- Czuję się taka winna... - Twarz Lisy się zmieniła, nieco zbrzydła na skutek trapiącego ją smutku. - Myślę, że może doszło do tego nieszczęścia dlatego, że będąc w ciąży, postępowałam niewłaściwie.

- Twoja reakcja jest naturalna, ale się mylisz - przekonywała Mel.

- Może zaszkodziło mi rozłupywanie gliny - zastanawiała się Lisa, jakby nie słyszała słów przyjaciółki. - Albo to, że nie jadłam tego, co powinnam.

- Nie, Liso! Cokolwiek robiłaś, czy nie robiłaś, nie miało żadnego wpływu na to, co się stało. - Mocniej przytuliła Lisę, wyczuwając pod jej bluzką cienkie kości i delikatne żebra.

- A może po prostu nie zasłużyłam na to dziecko albo pragnęłam go z powodów, których nie można uznać za słuszne? Może chciałam wykorzystać dziecko dla zatrzymania Bena w domu czy do scementowania mego małżeństwa?

- Nie widzę w tym nic złego. Lisa przecząco potrząsnęła głową.

Mel zauważyła, że włosy Lisy straciły połysk, a jej skóra między palcami, pozbawionymi teraz pierścionków, wydawała się niemal przezroczysta. Wzięła dłoń Lisy w swoje ręce.

- Lepiej wróćmy do mnie, na Maple Street - delikatnie nalegała.

Po kolacji Lisa miała gościa. Odwiedziła ją Cheryl, jedna z pań, która uczęszczała z nią do szkoły rodzenia. Cheryl była o kilka lat starsza od Lisy i oczekiwała trzeciego dziecka.

- Opowiedz mi o tym, co się stało - prosiła. Lisa się wahała.

- Mówienie o tym może ci tylko pomóc - argumentowała Cheryl. - Czy dziecko było dziewczynką, czy chłopcem?

Lisa zacisnęła wargi i po chwili zwłoki odpowiedziała:

- Dziewczynka.

- Jakiś czas temu - wyznała Cheryl - mój mąż i ja straciliśmy naszego trzeciego syna. Gdy mnie ludzie pytają, ile mam dzieci, zawsze mówię, że troje. - Przerwała i spojrzała na swoją obrączkę. - Mamy dwóch synów: Roberta i Richarda, ale pamiętam także o Ralphie. Nie był z nami zbyt długo, lecz nigdy nie zapominam, że jest częścią naszej rodziny. - Uśmiechnęła się. - Miał rude włosy, tak jak pozostali chłopcy.

- Nie wiedziałam, że miałaś jeszcze jednego synka - powiedziała Lisa.

- Ralph zmarł w trzy tygodnie po urodzeniu, ale w tym krótkim czasie mogliśmy trzymać go na ręku i nawet zrobiliśmy sobie z nim zdjęcia. Nasz lekarz wziął odciski jego rączek i nóżek, i to wszystko, co nam po nim zostało. - Cheryl mówiła cichym, jednostajnym głosem. - Mieliśmy więcej szczęścia niż ty. Mogliśmy z nim jakiś czas spędzić. Teraz wciąż za nim tęsknimy; nie ma dnia, żebyśmy o nim nie myśleli; zastanawiamy się nieraz, jak by obecnie wyglądał. Ralph jest częścią naszej rodziny i zawsze tak będzie. A czy ty dałaś swojej córeczce imię?

Po dłuższej przerwie Lisa potaknęła.

- Jak ją nazwałaś?

- Nazwałam ją... - Lisa uniosła ramiona i znowu je opuściła. - Gdyby dana mi była taka szansa, nazwałabym ją Rosie. Moja matka miała na imię Rosemary.

- To śliczne imię dla małej dziewczynki - pochwaliła Cheryl.

W wyobraźni Mel to dziecko ukazało się jako dziewczynka w różowej sukience, z włosami związanymi zieloną wstążką.

- Nadanie imienia jest czymś bardzo ważnym - powiedziała z takim przekonaniem, że pozostałe panie spojrzały na nią ze zdziwieniem.

- Tak - zgodziła się Lisa. - Dzięki temu, że nadałam Rosie imię, moje dziecko zaistniało.

- Po wyjściu Cheryl Lisa postanowiła wrócić do domu. - Chyba już czas, wystarczająco długo cię absorbuję. - Robiła wrażenie znacznie mniej zestresowanej.

- Przecież wiesz, że jesteś tu mile widziana; możesz zostać, jak długo chcesz.

- Pora już, żebyś zaczęła żyć własnym życiem. Poza tym muszę się przygotować na powrót Bena.

- Zostań u mnie przynajmniej do jego powrotu.

Lisa lekko się uśmiechnęła.

- Odpowiem ci tak, jak mi mówili w szpitalu: nie jestem inwalidką. Jestem młoda i zdrowa.

- Nie mogę cię zmusić, żebyś została - skonstatowała Mel.

- Nie możesz, ale wielkie dzięki za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

## — 12 —

Widząc, że strzałka prędkościomierza przekracza 160 kilometrów na godzinę, Ben nacisnął na hamulec. Samochód, który wynajął w Logan, wpadł w poślizg, opony zapuszczaly i w końcu silnik zgasł. Klnąc, uderzył pięścią w kierownicę. Po chwili przekręcił kluczyk w stacyjce i ponownie zapalił. Macał ręką po siedzeniu, szukając nierozpakowanego jeszcze słoiczka ze środkami przeciwbólowymi. Znalazł, wyjął kilka tabletek i połknął bez popijania.

Minął już tydzień od dnia, w którym Lisa straciła dziecko. Może gdyby był na miejscu, to nieszczęście by się nie wydarzyło. Ale go nie było... „Znowu spieprzyłem sprawę - powiedział do siebie z goryczą. - Udało mi się uratować Rossa, ale nie mogłem uratować swego dziecka". Łzy spłynęły mu do gardła i przełknął je, by się nie rozplakać. „Duzi chłopcy nie płaczą, Benjaminie" - zdawało mu się, że słyszy głos ojca. - „Ależ robią to, tatusiu" - myślał jako dziecko, i tak samo myślał teraz, pochylając się nad kierownicą.

Gdy minął Przełęcz Wilsona, jakiś ptak, ciężko machając skrzydłami, powoli przeleciał po niebie. W gasnącym świetle dnia Ben widział ponuro rysujące się wzgórza. Ich szare grzbieity wyglądały tak, jakby się kolejno toczyły w stronę horyzontu. Deszcz smętnie padał, rozmazując obraz pasących się na polach krów, czerwonych stodół, ściętych kopuł silosów i białych kościelnych wież.

Ben zjechał z krętej szosy na wzgórzu i znalazł się na długiej, wysadzonej drzewami drodze, prowadzącej do miasta. Znowu nacisnął hamulec. W tej kotlinie na dole było tak ciemno, że musiał zapalić światła mijania. Deszcz nie przestawał bębnić o przednią szybę samochodu i w miarę jak Ben zbliżał się do domu, coraz ciężiej robiło mu się na duszy; ogarniał go smutek tak czarny jak chmury nad Denali. Utrata dziecka była tragedią, o której wolał teraz nie myśleć. Nie mógł sobie pozwolić na pograżanie się w cierpieniu, wiedząc, że Lisa będzie potrzebowała całej jego miłości i wsparcia.

Z jednej strony Ben pragnął jak najszybciej znaleźć się przy żonie, ale z drugiej dręczył

się obawami, jak ona go przyjmie. Próbował jej wyjaśnić przez telefon, że przebywał w szpitalu; wtedy ona albo odkładała słuchawkę na widełki, albo, sądząc po brzmieniu głosu, była do tego stopnia przygnębiona, że jego narzekanie na coś tak trywialnego jak połamane żebra czy otarcie naskórka wydawało się zupełnie nie na miejscu.

- Jezzuu!

Raz jeszcze mocno wcisnął hamulec. Opony zapiszczały, a samochód przechylił się i poruszał tylko na dwóch kołach po śliskiej od deszczu, twardej nawierzchni. W końcu, ślizgając się na sypkim żwirze, zatrzymał się dwoma kołami zagłębionymi w piaszczystą ziemię na poboczu szosy. Gdy Ben zmagał się z kierownicą, połamane żebra dokuczliwie go bolały. „Chryste, to naprawdę boli...” Nagle w zasięgu przednich świateł samochodu pojawił się lis i nie zważając na nic, biegł dalej truchtem. Był czerwonoszary i nisko trzymał gruby ogon z białym lśniącym koniuszkiem. Ten pieprzony lis nawet nie spojrzął na samochód, tylko zniknął wśród ociekających deszczem drzew po przeciwnej stronie szosy.

Ben znowu zaklął, kiedy przez chwilę koła buksowały w żwirze. Potem mógł już ruszyć z dużą szybkością i pruć w ciemności, nigdzie się nie zatrzymując.

Kiedy ostatecznie wjechał na okrągły podjazd przed domem, zdziwiony stwierdził, że w żadnym oknie się nie świeci. Próbował wejść frontowymi drzwiami, ale były zamknięte, jakby Lisa wcale go nie oczekiwała. Czyżby znowu przebywała u Mel Sherman? Poszperał w najbliższej stojącej doniczce na kwiaty, znalazł zapasowe klucze i wszedł do środka.

Przechodził przez pokoje, w których panowała zupełna cisza, i rozpoznawał znajome zapachy. W jadalni się zatrzymał.

- O Boże! - jęknął i zagryzł wargi. Na nakrytym na dwie osoby stole znajdowała się zastawa, którą dostali w ślubnym prezencie: najlepsze kieliszki, lniane serwetki... W kryształowym wazonie pośrodku stołu stały dwie czerwone róże. Widać Lisa przygotowała powitalną kolację, a on się na niej nie zjawił.

Jedną różę wziął na górę. Na końcu korytarza zastał szeroko otwarte drzwi do sypialni, ale lampy były zgaszone. W księżycowym świetle, wpadającym do sypialni przez okno, ujrzał na poduszce twarz Lisy. Była taka mizerna, że ją ledwo poznał. W jednej ręce trzymała srebrną grzechotkę, którą kiedyś kupił dla dziecka. Kiedy to było? Wydawało mu się, że bardzo dawno temu. Na policzkach Lisy dostrzegł ślady łez.

- Ach, Liso - szepnął i położył różę na nocnym stoliku.

Potem poszedł do łazienki, wziął prysznic, umył zęby, połknął jeszcze parę przeciwbó-

lowych pastylek i położył się do łóżka.

- Ben? - mruknęła.

- Wróciłem, kochanie.

- Myślałam, że już nie przyjedziesz.

- Nie mów tak! Musiałaś wiedzieć, że przyjadę! - zirytował się.

- Nie byłam pewna.

Nie zobaczył jej przeczącego ruchu głowy, ale go wyczuł. Skrzywił się na ten niewypowiedziany wyrzut i troskliwie otoczył ją ramieniem, lecz Lisa skuliła się i odsunęła od niego, jakby się bała, że ją zrani. Rozpacz zdawała się emanować wszystkimi porami jej drobnego ciała. Jego własny smutek dławił go w gardle. Po dłuższej chwili, oparłszy się na łokciach, spojrzął na jej kochaną, tak dobrze sobie znaną twarz. Mimo przyćmionego światła zdołał dostrzec na niej dwie nowe zmarszczki, jakie utworzyły się po obu stronach ust i prowadziły do kątek nosa. Przeniknął go dreszcz lęku i ogarnęły złe przecucia.

Lisa wstała rano, zanim Ben się obudził. Przez jakiś czas leżał, nasłuchując znajomych dźwięków, do jakich przywykł przez lata małżeństwa: podnieconego głosiku żony, przypominającego ptasie szczebioty, kiedy rozmawiała przez telefon, lub jej nucenia, gdy podśpiewywała do melodii płynących z radia. Ale w domu panowała cisza. Chciał porozmawiać z Lisą o dziecku, był gotów dzielić z nią ciężar tej straty. Potrzebował oczyszczenia i rozładowania nękających go uczuć; wierzył, że i jej byłoby potrzebne doznanie takiego katharsis.

W łazienkowym lustrze przyglądał się sobie: siniakom znaczącym plecy, głębokim otarciom pod żebrami i na stopach, wciąż jeszcze niezagojonym bliznom na ramionach i nogach. Na wszelkie szybkie ruchy całe jego ciało reagowało ostrym protestem. Idąc schodami w dół, zatrzymał się przed drzwiami do dzieciennego pokoju. Były zamknięte. Odebrał to jako dowód nieodwracalności losu i ogarnął go nagły chłód. Wyciągnął rękę, dotknął gałki u drzwi i cofnął dłoń. Bał się, że nie starczy mu odwagi, aby wejść do środka. Gdy sobie uświadomił, jakie nieszczęście ich dotknęło, odczuł coś, co było porównywalne z potężnym ciosem w brzuch.

- Liso! - zawołał. Zbiegał schodami po dwa stopnie naraz. - Liso!

Nie było jej w domu. Wciąż nawołując, obszedł dookoła stodołę, ale nie było ani śladu żony. Obok warzywniaka, który zasadziła wczesnym latem, stał worek ze śmieciami; wypełniały go połamane kawałki ceramiki i niedokończone gliniane naczynia. Na samym wierzchu odpadów zobaczył różę, którą położył zeszłej nocy obok jej łóżka.

Znalazł Lisę na końcu ogrodu: stała bez ruchu wśród karłowatych jabłoni. Miała na sobie

czarne spodnie i szarą bluzę, czyli kolory, w jakich jej nigdy przedtem nie widywał. Zwrócił uwagę na jej duży brzuch, wciąż jeszcze rozdęty, jak przed porodem. Widok ten ogromnie go wzruszył.

Lisa odwróciła głowę i spojrzała na niego, a jemu się zdawało, że to nie ona tu stoi, tylko jej zewnętrzna powłoka krucha jak skorupka jaja. Jeśli nawet fizycznie się tu znajdowała, to na pewno nie była obecna duchem.

- Kochanie! - zawołał.

- Powinam była nalegać... - powiedziała.

- Na co?

- Żebym mogła ją zabrać. Moglibyśmy pochować ją tutaj pod drzewami.

- Ach, Liso... - Wziął ją w ramiona, ale pozostała chłodna i obojętna.

- Nazwałam ją Rosie - wyznała; mówiła z ustami wtulonymi w jego koszulę.

Ben próbował nie okazać zmieszania, lecz przeczuwał, że coś niedobrego się dzieje.

- Rosie? - powtórzył.

Odsunęła się od niego.

- Dałam jej imię po mojej matce. Przecież oboje zgodziliśmy się na nie.

Nie wiedział, jak zareagować.

- Czy wspomniałaś o tym twemu ojcu? - zapytał. - Może byłoby mu miło, gdyby się dowiedział.

- Mój ojciec ma to w nosie - bąknęła ze zniecierpliwieniem.

- Jakże to tak?

- Czy jeszcze się nie zorientowałaś, jaki on jest naprawdę? - Mówiła z pogardą w głosie.

- Nie widzisz, że on nie chce mieć z tym nic wspólnego? Nawet jeśli chodzi o mnie. Zwłaszcza jeśli chodzi o mnie.

- Nie zdawałem sobie sprawy.

- Gdy moja matka zrozumiała, że umiera na raka, przeniosła się z pokoju, który dzieliła z mężem, do sypialni na tyłach mieszkania. Wiedziała, że ojciec nie lubi hałasu, więc kiedy ból był zbyt silny, gryzła poduszkę, żeby nie krzyczeć. Byłam wtedy małą dziewczynką i pamiętam, że stałam w nogach jej łóżka i patrzyłam na nią, gdy skręcała się z bólu. Z trudem oddychała, była żółta na twarzy. A ona patrzyła na mnie i przykładała palec do warg, dając mi w ten sposób znać, żebym była cicho. Ojciec nie chciał o niczym wiedzieć: nie życzył sobie, by mu zakłócano ustalony tryb zajęć, i mama umarła tak cicho, jak mogła, byle tylko w niczym mu nie

przeszkodzić.

- Nigdy mi wcześniej o tym nie mówiłaś. - Ben zawsze uważał, że trzymanie się Petera Tana z daleka było raczej zaletą teścia niż wadą.

- Próbuję o tym nie myśleć. Nie chcę wracać do stosunków, jakie łączyły moich rodziców. - Patrzyła na Bena, jakby był kimś obcym. - Nasza córeczka także cicho umarła.

Intensywnie przyglądał się Lisie, utkwiał wzrok w jej włosach i chciało mu się płakać. Chłód i dystans, jaki narzucała, przerażały go.

- Liso! - krzyknął, uderzony świadomością, że się od niego oddała. - Wróć do mnie!

Powoli skierowała na niego oczy. Kiedyś mu się zdawało, że widzi w nich przyszłość, ale teraz były czarne i nieprzejrzyste jak smoła. Podniosła kąski ust, ale trudno było sobie wyobrazić coś mniej podobnego do uśmiechu.

- Jestem tu - powiedziała.

- Nie! Nie jesteś! Zamykasz przede mną drzwi - rzucił w desperacji, myśląc o dziecię-  
nym pokoju i drzwiach, których nie śmiał otworzyć. - Pozwól mi wejść! Wpuść mnie!

- Rosie nie żyła już od dwóch tygodni - poinformowała go nagle tonem normalnej roz-  
mowy.

- Mówisz o naszym dziecku?

- Tak! O Rosie. Kiedy ją straciłam...

- Oboje ją straciliśmy - skorygował ją.

- ...nie żyła już od dwóch tygodni - powtórzyła.

Odwróciła głowę i cała się trzęsła.

Wpatrywał się w nią z przerażeniem. Przez dwa tygodnie nosiła w swoim łonie nieżywe  
dziecko. Przez czternaście dni. Próbował to sobie wyobrazić i nie potrafił.

- Chcesz powiedzieć, że... - Przytknął dłoń do ust. - O Boże!

- To straszne, prawda? - spytała.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Nie sądziłam, że się zainteresujesz.

- Jak możesz tak mówić? To okropne!

- W szpitalu spotkałam kobietę, której powiedziano, że dziecko, które w sobie nosi, jest  
martwe, i żeby wróciła do nich po weekendzie, to jej zrobią skrobankę. Czy możesz sobie wy-  
obrazić, jakie to uczucie, gdy wiesz, że nosisz w sobie coś martwego? Chyba miałam szczęście  
- dodała. - Przynajmniej o niczym nie wiedziałam i poznałam prawdę dopiero po wszystkim.



- Ależ to niesamowite. Ta biedna kobieta... - Mówił chrapliwym głosem. - To po prostu niedopuszczalne. - Czuł, że ogarnia go prawdziwe przerażenie.

W łonie jego żony było martwe dziecko! Mocno przytulił Lisę do siebie, nie zważając na swoje połamane żebra i przeraźliwie bolące mięśnie. Miał czarno przed oczami i rozpacz w sercu.

- Czasem gdy się rano budzę - zwierzała się - przez chwilę, przez ułamek sekundy myślę, że ona wciąż jeszcze jest we mnie. Wydaje mi się, że pewnie dlatego się zbudziłam, bo... Rosie mnie kopie.

- Ach, kochanie...

- To tak, jak ktoś, kto ma amputowaną nogę lub rękę, a wciąż ją czuje. A potem raz jeszcze przeżywam ten straszny poród i... ona znika. Jestem pusta; nie ma niczego, co mogłoby wskazywać na to, że byłam w ciąży. Nikt nigdy się nie dowie, że oczekiwałam dziecka.

- Ale ja będę wiedział... my będziemy wiedzieli. Kontynuowała, jakby nic nie powiedziała:

- Ludzie będą przechodzili obok mnie na ulicy, mówili do mnie w sklepach, zatrzymywali się blisko mnie na światłach, siedzieli obok w kinie i będą widzieli tylko młodą kobietę w dżinsach i sweterku, zwyczajną kobietę robiącą zakupy w sklepie spożywczym albo przejeżdżającą przez miasto samochodem i nigdy sobie nie uświadomią, że byłam kiedyś w ciąży, a teraz już nie jestem. Że poszłam do szpitala pełna, a wyszłam pusta.

- Czy to ważne, co inni ludzie pomyślą lub nie pomyślą...?

Jej oczy znowu napełniły się łzami.

- Miałam mieć dziecko, a teraz już go nie oczekuję. Patrzył na nią zmieszany.

- To nie było tylko twoje dziecko, Liso. Rosie była naszym dzieckiem. - Smutek niczym kamień ciążył mu w piersi.

Wyzwolila się z jego objęć i stała zapatrzona w ogród.

- Przepraszam cię! - szepnęła po chwili.

- Pozwól sobie pomóc! - rzucił w desperacji i pomyślał, że jemu także potrzebna jest pomoc. „Błagam, niech i mnie ktoś pomoże! Mogłabyś to zrobić i ty, Liso”.

- Nie potrafisz mi pomóc. Nie możesz - mruknęła cicho. - Pragnęłam Rosie bardziej niż czegokolwiek na świecie. Była dla mnie wszystkim. Miałam zostać najwspanialszą matką, jaka kiedykolwiek istniała. Nigdy bym jej nie zostawiła, tak jak moja matka mnie opuściła. A teraz... teraz nie wiem, ani kim jestem, ani dokąd podążam. A ty zawsze wiedziałeś, kim jesteś.

- Nie! - potrząsnął głową. - To nieprawda.

- Nie możesz zrozumieć, jakie to jest uczucie. Nikt tego nie rozumie. Ludziom przychodzi na myśl tylko jedno, bardzo proste rozwiązanie: trzeba mieć nowe dziecko i wszystko będzie w porządku.

On w gruncie rzeczy myślał tak samo. Leżąc w szpitalnym łóżku, odurzony po zażyciu mocnych środków przeciwbólowych, ciągle to sobie powtarzał.

- Rozumiem cię - powiedział teraz, chcąc uspokoić sumienie, że go przy niej nie było wtedy, kiedy traciła swoje dziecko. Ich dziecko. I przypomniała mu się nagle twarz Mel Sherman i jej mocne, czyste rysy. - A czy rozmawiałś o tym z Mel? - spytał.

- Tak. Trochę. - Lisa wykonała bezradny ruch ręką. - Mel jest dobra i ładna, ale nigdy nie miała dzieci i dlatego nie jest w stanie mi pomóc.

- Pozwól więc, że ja spróbuję - zaproponował i westchnął.

Wzruszyła ramionami, jakby to nie miało znaczenia, choć oboje wiedzieli, że ma, i to duże.

- Przejdźmy się wzdłuż rzeki - poprosił.

- Nie mam ochoty.

- Ale mimo wszystko chodź! - chwycił ją za rękę.

Poszła za nim tam, dokąd ją prowadził, stawiając nogę za nogą, ze spuszczoną głową. Świeże powietrze przydało trochę kolorów jej twarzy, ale w oczach nic nie zaiskrzyło. Doszli do miejsca, odkąd rzeka zaczęła płynąć szybszym nurtem.

- Spójrz! - powiedział, chcąc zwrócić jej uwagę, że pomimo nieszczęścia, jakie ją spotkało, świat nadal istnieje i jest piękny. - Tu widać tropy jelenia. - Na piasku były odciski śladów stóp zwierzęcia.

- Rzeczywiście.

- Czy wiesz, że w tych lasach są niedźwiedzie? Potrząsnęła przecząco głową.

- Przychodzą nad wodę, aby łapać ryby. - Dawniej próbowałby podzielić się z nią swoim przeżyciem, opowiedzieć, że spotkał kiedyś małego czarnego niedźwiedzia, który balansował na skale i jedną łapą nabierał wodę. Dawniej z przyjemnością by go słuchała i patrzyła na niego radosnymi oczami.

- Robią to? - zdziwiła się.

- Tak! Sam widziałem jednego, gdy byłem tu ostatnim razem.

- Słuchaj, Ben!

- Słucham cię, kochanie.

- Czy ty naprawdę sądzisz, że właśnie teraz potrzebna mi jest lekcja przyrody?

Kilka tygodni wcześniej Ben oprowadzał dużą grupę alpinistów po skałach północno-wschodniej Anglii. W niżej położonych lasach spotkali jelenie, lisy i zające. A potem, zupełnie nieoczekiwanie, natknęli się na parę wspaniałych łosi stojących bez ruchu wśród drzew.

- Czy one nie są piękne? - spytała, nie kryjąc podziwu jedna z turystek. - Wyglądają jak wykute w skale, jakby stanowiły część tych gór. - I stojąc z rękami zaczepionymi o szelki plecaka, uśmiechnęła się do Bena. - Czyż nie żyjemy w cudownym świecie?

- Pani to powiedziała... - odrzekł i zaśmiał się. Cudowny świat...

- Po prostu myślałem, że cię to zainteresuje, Liso.

- Ani trochę. - Oddaliła się od niego, idąc wzdłuż brzegu w dół rzeki. - Zupełnie mnie to nie interesuje, jeśli chcesz znać prawdę.

- Liso... - Chciał ją spytać, czy się cieszy, że wrócił, że jest przy niej; chciał jej powiedzieć, że mu smutno i bardzo przykro z powodu tego, co się stało, i że odtąd zawsze będzie przy niej, by ją kochać i ochraniać. Ale patrzyła na niego z taką wrogością, że nie mógł wydobyć z siebie słowa.

- Zrobię coś do jedzenia - zaoferował się, gdy wrócili do domu.

- Nie, dziękuję.

- Może masz na coś ochotę? Powiedz!

- Nie jestem głodna.

- Przecież musisz coś zjeść! - Wziął jej chłodne ręce w swoje. - Co powiesz o makaronie? Przecież lubisz makaron.

- Nie jestem głodna - powtórzyła, tym razem głośniejszym głosem. Wyrwała ręce z jego dłoni i przycisnęła do brzucha.

- Mógłbym zrobić sos pesto - namawiał. - Pamiętasz, jak go robiliśmy razem, kiedy po raz pierwszy do ciebie przyszedłem?

- Pamiętam. - Jej głos brzmiał tak obco, jakby dochodził z jakiegoś innego świata.

- Albo zamówmy pizzę. Przecież bardzo ją lubisz...

- Ben! Na miłość boską, zostaw mnie w spokoju! - krzyknęła niemal histerycznie. - Ile razy mam ci mówić, że nie mam na nic ochoty? - Wyszła z pokoju, jakby nie mogła znieść przebywania w tym samym miejscu, co on.

Boże, ależ był zmęczony! Spodziewał się, że Lisa może być przygnębiona. Przygotował

się na to, że będzie smutna, ale nie sądził, że spotka się z tak dziwnym zanikiem własnej osobowości. Lisa w jakiś sposób uwolniła się od niego, od życia, które kiedyś dzielili, i nawet od siebie samej.

Usłyszał głośnie trzaśnięcie drzwiami, potem ruszający samochód, zgrzyt opon na żwirze, kiedy zjeżdżała podjazdem, kierując się w stronę miasta. Przymknął oczy i znużony pocierał czoło. Chciał się położyć, zasnąć i spać przez cały tydzień.

Chyba na końcu tego tunelu musi być jakieś światło. Pragnął tylko jednego: mocje zobaczyć.

## — 13 —

- Nie wiem, co mi dolega, ale coś złego się ze mną dzieje. - Lisa siedziała na ogrodowym bujaku u Mel i huśtając się, patrzyła przed siebie. - Ja chyba tracę zmysły...

- Trudno oczekiwać, żebyś była...

- W pewnej chwili poczułam, że nie jestem w stanie ani sekundy dłużej przebywać z Benem w tym samym pokoju.

- Dlaczego?

- Naprawdę nie wiem. - Grzebiąc, szukała czegoś w kieszeni spłowiałej brązowej spódnicy. - Z kolei dziś rano, gdy poszłam do supermarketu po zakupy, nagle ogarnął mnie straszny lęk, doznałam wrażenia, że wszystko, co stoi na półkach, schodzi z nich i zaczyna mnie otaczać. Zdawało mi się, że puszki z fasolką, kartony z higienicznymi chusteczkami i detergenty w ekonomicznym opakowaniu wszystkie ruszają w moją stronę i chcą zmiażdżyć mnie na śmierć.

- Przycisnęła papierową chusteczkę do oczu. - O Boże! Tak mi przykro, Mel. Nie powinnam obarczać cię swoimi kłopotami.

Mel dobrze pamiętała swoje doznania, kiedy świat przestał jej się wydawać czymś trwałym i niezmiennym, i czuła, że w każdej chwili może ją zwalić z nóg. Myślała wtedy, że martwe przedmioty, takie jak krzesła, książki czy budynki, chcą ją skrzywdzić. Dopiero znacznie później uświadomiła sobie, że pewnie przeszła wówczas niewielkie załamanie psychiczne. I chyba Lisa przeżywa teraz taki sam emocjonalny kryzys.

- Nie pozwól, Liso, żeby poronienie wpłynęło na wasze stosunki z Benem - radziła.

- Czy tego chcemy, czy nie, nasza sytuacja się zmieniła.

- Ale ciągle go kochasz?

- Myślę, że tak.

- Na pewno go kochasz! - Mel ze zdumieniem stwierdziła, że coś dziwnego dzieje się z jej jaźnią. Chociaż nie potrafiłaby dokładnie opisać tego uczucia, sprowadzało się ono do przekonania, że skoro Ben nie jest już kochany, to znaczy, że jest niekochany i że powstała niebezpieczna próżnia, którą ktoś powinien wypełnić.

- Wiem, że go kocham - przyznała Lisa. - Chodzi tylko o to, że tej miłości nie czuję.

- Daj temu uczuciu szansę, a zobaczysz, że wróci. Lisa potrząsnęła głową.

- Nie, ono odeszło na dobre. Nie chodzi o miłość, ale o radość, jaką dawała. O olśnienie. Nie umiem tego wyjaśnić, ale Ben i ja nigdy już nie będziemy tacy sami jak przedtem. - Głos jej się załamał. Mówiła chaotycznie i niespójnie. - Nasze małżeństwo osiągnęło pewien próg nie do przekroczenia i dłużej nie pociągnie. To już koniec... - Wciągnęła głęboko powietrze. - Ubiegłej nocy Ben miał wrócić do domu o ósmej; czekałam na niego, ale nie przyszedł.

- To jeszcze nie znaczy, że twoje małżeństwo jest zagrożone.

- Byłam zła. Czułam się dotknięta. Nakryłam stół do kolacji, siedziałam, patrzyłam, jak wskazówki zegara kręcą się w koło, i zrozumiałam, że nie mogę dłużej udawać, że jestem u niego na pierwszym miejscu.

- To śmieszne, co mówisz, Liso. Masz pretensje o przyłot z Alaski, a jego spóźnienie... Jestem pewna, że Ben przybył do domu tak szybko, jak tylko mógł.

- Nie twierdzę, że było inaczej, ale odnoszę wrażenie, że dla niego góry i jego męscy przyjaciele zawsze będą ważniejsi ode mnie. Jak na ironię, gdy go poznałam, właśnie pasja wspinania spodobała mi się w nim najbardziej. Gdy Ben zatrudnił się na placach budowy w Nowym Jorku, imponowało mi, że potrafi dzień po dniu pracować na ogromnych wysokościach, wieleset metrów nad miastem. - Lisa na krótko się ożywiła i, mówiąc, energicznie wymachiwała rękami. - Ben wydawał mi się wówczas jakimś obcym przybyszem, mieszkańcem innej planety. To, co robił, było w moim przekonaniu takie podniecające, takie... bohaterskie. Czasem stawałam na chodniku i wysoko zadzierając głowę, wpatrywałam się w pracujących na górze, aż pod niebem. Nie miałam pojęcia, który z nich był Benem, ale to nie miało znaczenia. Dostawałam szalonego kopa, wiedząc, że on jest tam na górze. Gdy wieczorem wracał do domu, prawie nie mogłam się doczekać, żebyśmy poszli do łóżka. Jego praca wiązała się z wielkim niebezpieczeństwem... Na takiej wysokości wciąż zdarzają się wypadki: niektórzy tracą równowagę, innych wciągany na górę ładunek, który zbyt mocno się rozhuśta, strąca w dół, jeszcze inni o coś się potykają i spadają na łeb, na szyję. Powinni używać specjalnych uprząży

dla zabezpieczenia się, ale że one utrudniają ruchy, wielu nie chce sobie tym zawracać głowy. - Ożywienie Lisy nagle się skończyło. - To wszystko odeszło na dobre - powtórzyła raz jeszcze.

Mel wzięła rękę Lisy w swoje dłonie.

- Posłuchaj mnie! - zaczęła stanowczo. - To, co ci się przydarzyło, było strasznym przeżyciem. Nigdy tego nie zapomnisz, i nawet nie próbuj. Ale Ben też jest na pewno ogromnie przejęty utratą dziecka. Powinniście razem to przetrwać i nawzajem sobie pomagać.

- Nie chcę od niego żadnej pomocy! - oświadczyła Lisa zbolalym głosem.

- Dlaczego?

- Ponieważ... ponieważ on nie może mi w niczym pomóc. Nikt nie może przejąć na siebie cudzego cierpienia. To jest coś, przez co muszę przebrnąć sama. - Znowu zaczęła szlochać. - Tak pięknie się wszystko zaczęło, Mel. Byliśmy tacy szczęśliwi. Tak bardzo w sobie zakochani. A teraz... teraz z trudem mogę ścierpieć jego bliskość. Powinien był wrócić z Alaski natychmiast, gdy usłyszał o dziecku, ale tego nie zrobił, i naprawdę mam mu to za złe.

- Chyba błędnie rozumujesz. Przecież ciągle czytamy o groźnych burzach w wysokich górach. Często się też dowiadujemy o zamykanych lotniskach.

- O tym wszystkim dobrze wiem. Ale w sercu czuję, że gdyby Ben opuścił góry od razu, gdy mu przekazano wiadomość o dziecku, zdołałby się stamtąd wydostać, zanim się pogorszyła pogoda. I chociaż zdaję sobie sprawę, że to nieładnie z mojej strony, nie chcę, żeby ktokolwiek go usprawiedliwiał i tłumaczył. Tak właśnie czuję i nic na to nie poradzę.

- Liso, kochana, posłuchaj mnie. To jest pierwszy poważny kryzys w waszym małżeństwie. Przypuszczalnie najgorszy, jaki będziecie kiedykolwiek przeżywali. Musisz się jednak liczyć z tym, że w przyszłości może być więcej różnych kryzysów. Miłość nie zawsze się układa tak, jak byśmy tego chcieli. - Mel sobie przypomniała, że kiedy miała czternaście lat i duże poczucie własnej ważności, no i znalazł się pod ręką papier... na czystej stronie dzienniczka zapisała: *Czekam na prawdziwą miłość.*

- Masz absolutną rację. Krzykiem i wrzaskiem niczego nie osiągnę. Biedny Ben. Mój biedny, kochany chłopak: wygląda tak bezradnie, kiedy ja się iryтую i podnoszę głos.

- Więc po co to robisz? - Mel mogła sobie wyobrazić reakcję Bena: zdziwiony wyraz twarzy i zmarszczkę między spłowiałymi od słońca brwiami.

- Nie potrafię się opanować.

- Dlaczego mu nie powiesz, co do niego czujesz?

- Cokolwiek bym mu powiedziała, on i tak nie byłby w stanie zrozumieć, ile się nacier-

piałam. - Lisa zacisnęła powieki i ukryła twarz w dłoniach. - Bo skąd ma wiedzieć? Nie on leżał w hamaku, czując, że zaczyna się poród, i wiedząc, że dzieje się coś strasznie złego. - Wstrząsnął nią dreszcz. - To było jak nocny koszmar, z którego się nigdy nie zbudzę.

Nagle na podejździe ukazał się górski rower, a na nim mały Jamie Mayfield, syn Joanny.

- Cześć! - powiedział i zamiast użyć hamulców, szorował trampkami po cementowej nawierzchni podjazdu. Potem, nie schodząc z roweru, zatrzymał się u stóp schodów prowadzących na ganek i przyglądał się obu paniom.

- Byłem właśnie w bibliotece i pomyślałem, że wpadnę do ciebie, Mel, bo chcę cię o coś zapytać.

- Bardzo proszę, pytaj! - odparła.

Jamie poprawił opadające mu na nos okulary.

- Wkrótce będą urodziny mamy, prawda?

- Zgadza się.

- Wiem, że ona o wiele bardziej woli dostawać rzeczy, które sami dla niej zrobiliśmy niż kupione. Prawda?

- Tak.

- Ale ja nie umiem ani szyć, ani malować, ani nic z tych rzeczy, które potrafią Tom i Lucy. Któregoś dnia przyszło mi do głowy, że gdy dorosnę, może zostałem kucharzem. Zacząłem czytać przepisy i znalazłem przepis na tort cytrynowy. Nie wydał mi się zbyt trudny, a że mama lubi cytryny, więc...

- Jeszcze w ubiegłym tygodniu mówiłeś, że chcesz zostać paleontologiem - zdziwiła się Mel.

- Jeśli chodzi o wybór zawodu, sprawa jest nadal otwarta - ze śmiechem wyjaśnił Jamie.

- Tort wydaje mi się dobrym pomysłem na prezent - wtrąciła się Lisa.

- Też tak sobie pomyślałem. Chyba że... - i spojrzał z nadzieją na Lisę. - Może mógłbym wpaść do pani i utoczyć u pani na kole jakiś gliniany wazonik dla mamy? Kiedyś wspominała pani, że mogę przyjść.

Na bladej twarzy Lisy ukazał się rumieniec.

- Nie, nie sądzę, żeby teraz... Nie w tej chwili - dukała. - Wybacz, Jamie, ale nie.

- Nie szkodzi - odparł Jamie. - Nie oczekuję, żeby pani była teraz w odpowiednim nastroju na takie rzeczy. Wiem od mamy, że pani straciła dziecko, więc jest pani na pewno bardzo smutno.

- Tak - przyznała Lisa - jest mi smutno.

- Po pierwszej śmierci już ci inne niestraszne - wyrecytował nagle Jamie.

Lisa spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczami.

- Co ty mówisz?

- Tak brzmi tytuł książki, którą właśnie czytam - wyjaśnił Jamie. - Napisał ją Robert Cormier. To fragment poematu. Ta myśl wydała mi się interesująca, chociaż nie sądzę, by mogła pani w czymkolwiek pomóc.

- Niestety, chyba mi nie pomoże - odparła Lisa, zagryzając wargę.

- Nauczyciele narzekają, że brak mi koordynacji - skarżył się Jamie. - Więc pewnie ułożenie wazonu też by mi się nie udało. - Uśmiechnął się, pokazując dołki w policzkach. - Już lepiej zrobię tort cytrynowy choćby dlatego, że mama nie omieszka mnie nim poczęstować... Chodzi mi o ciasto z kremem waniliowym w środku - dodał, zwracając się do Mel.

- Dobrze, zrobimy z kremem.

- Najpierw będę je chyba musiał sobie przećwiczyć. A jeśli dobrze wyjdzie, to je zamrozymy do urodzin mamy.

- Słusznie rozumiesz - pochwaliła go Mel. - Czy chcesz, żebym ja wybrała składniki?

- Nie, bo wtedy nie byłby to naprawdę prezent ode mnie. - Jamie pogrzebał w kieszeni szortów i wyjął kawałek papieru. - Spisałem sobie składniki i zamierzam kupić je jutro w drodze powrotnej ze szkoły. Czy jutrzejszy dzień tobie odpowiada? - Spojrzał na Mel. - Chodzi mi głównie o techniczną pomoc: nie mogę upiec tortu w domu, bo wówczas nie byłaby to dla mamy niespodzianka.

- Więc chodzi ci o techniczną pomoc - Mel powtórzyła z poważną miną.

- To sprawa metody.

- Słusznie, ale muszę cię ostrzec, Jamie, że pieczenie tortów nie jest, niestety, moją mocną stroną.

- Wystarczy, jeśli będziesz w tym lepsza ode mnie.

- Za bardzo bym na to nie liczyła.

- Czy zamierzasz położyć na torcie lukier? - spytała Lisa. Jej napięte dotąd rysy twarzy trochę się rozluźniły.

- Naturalnie. - Zmarszczył nos. - Byłoby wspaniale, gdyby można coś ustawić na wierzchu, na przykład miniaturową księgarnię czy coś innego, ale nie mam pojęcia, jak to zrobić.

- Można by coś wyryć w lukrze - zaproponowała Mel.



- Na przykład coś, co przypominałoby okładkę książki - zasugerowała Lisa.  
- I zamiast tytułu umieścić napis: WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO W DNIU URODZIN.

- A pod tym podpis: Jamie Mayfield, że to niby autor - ucieszył się Jamie. - Świetny pomysł! - Zrobił rowerem przed nimi kilka ósemek. - Do zobaczenia, Mel! Do jutra!

- Nie zapomnij powiedzieć mamie, że wrócisz do domu trochę później!

- Nie zapomnę. - Podniósł rękę. - Żegnam! - I zjechał szybko w dół.

- Co za miły dzieciak - stwierdziła Lisa, oglądając się za nim.

- I jaki sprytny...

- Jak należy rozumieć ten wiersz, że po pierwszej śmierci już ci inne niestraszne?

- Chyba chodzi o to, że skoro raz człowiek doświadczy jakiejś ważnej, znaczącej śmierci, przeżyje ten wielki smutek i pogodzi się ze stratą, żadna ze śmierci, które przyjdą potem, nie zrobi już na nim tak wielkiego wrażenia. Myślę, że taki jest sens tego zdania.

- Ciekawe, jak dalece to jest prawdziwe...

- Trudno powiedzieć... - orzekła Mel. Myślała o śmierci męża, utracie dziecka i o tym chłodnym popołudniu, kiedy umarła jej matka. Trzy różne śmierci i różne smutki.

- Na mnie już czas - stwierdziła Lisa, wstając.

- Liso... - Mel dotknęła jej ręki. - Nie oskarżaj Bena o to, że nie wrócił w porę. Nie pogarszaj stosunków z mężem.

- Masz rację, Mel! Wiem, że masz rację. Postaram się. - Zeszła po stopniach z ganku i Mel usłyszała, jak jej samochód rusza sprzed domu.

Zadzwoił telefon. Mel weszła do kuchni i podniosła słuchawkę.

- Mel Sherman - powiedziała.

- Tu Carla. Zgadnij, co się stało.

- Mów!

- Właśnie zadzwonili z „New York Timesa”. Interesują się wystawą rzeźb Kosłowskiego.

- Świetnie! - Pomyślała, że gdyby udało jej się namówić na przyjazd tutaj kilku bardziej znanych recenzentów i krytyków, wystawa miałaby zapewniony sukces. A to z kolei oznaczałoby, że przy następnej wystawie mogłaby pokusić się o jeszcze ambitniejszy wybór artysty.

- Dobrze jest cieszyć się taką sławą jak Galen Kosłowski - zauważyła Carla. - Czy to nie on wypchnął kogoś przez okno?

- Nie! To jego wypchano. - Mel pamiętała tę scenę: jakiś agresywny facet stanął twarzą

w twarz z rzeźbiarzem na wernisażu jego wystawy, rzucił w niego kieliszkiem wina, a potem, zanim ktokolwiek zdołał mu przeszkodzić, rzucił się na artystę i wypchnął go tyłem przez okno. - Mężczyzna wyrzuca rzeźbiarza przez okno - to brzmi mniej sensacyjnie, niż gdyby rzecz się miała odwrotnie.

- Do wystawy zostało nam już tylko sześć tygodni i trzeba zacząć odliczanie - obwieściła Carla.

- Gdzie byłaś? - spytał Ben.

- U Mel.

- Nie pomyślałaś, że mogę się o ciebie niepokoić? Lisa patrzyła na niego bez słowa.

- Nie jesteś jedyną, która cierpi, wiesz? - powiedział głośno. Ból i poczucie straty leżały mu ciężarem na piersi. - Ja także pragnąłem tego dziecka.

Lisa nadal milczała.

Ben odłożył książkę, którą udawał, że czyta.

- Mogłabyś mi chociaż odpowiedzieć. Dlaczego patrzysz na mnie jak na jakiegoś idiotę? Za każdym razem, kiedy otwieram usta, żeby coś powiedzieć, patrzysz tak, jakbym był opóźniony w rozwoju.

- Przepraszam cię. - Przymknęła oczy i głęboko wciągnęła powietrze. - Przepraszam cię, kochanie.

- Przestań mnie, do cholery, przepraszać! - Czuł, że w obojgu narasta złość... - Odpowiadaj mi! Rozmawiaj ze mną!

- Kiedy ja... niewiele mam do powiedzenia.

Wstał, chwycił ją za ramiona i z wściekłością poczuł, jak sztywnieje pod jego dotykiem.

- Liso, Liso... Ja także cierpię.

- Wiem, Ben. - Próbowała się odprężyć i uśmiechnąć.

Pamiętał, jaka była radosna wcześniej tego lata; miał jeszcze w oczach jej wspaniałe, kolorowe stroje, czarne włosy związane w kucyki albo spięte błyszczącymi klamerkami. Teraz widział ją tylko zdesperowaną i smutną. Snuła się po domu ciągle w tej samej ciemnej bluzce, niezmiętej od trzech dni. Jej włosy stały się matowe i bez życia. Czasem nie chciała ich nawet wyszczotkować po wyjściu z łóżka. Nie patrzyła mu w oczy, ale gdzieś w bok. A w jego piersi łzy, które tak bardzo chciał z siebie wylać, powoli zamieniały się w kamienie.

- Chodź ze mną, Liso - poprosił, biorąc ją za rękę.

- Dokąd?

- Po prostu chodź! - I pociągnął ją w stronę schodów. - Pomówimy o nieszczęściu, które nas spotkało. Musimy to zrobić.

- Nie chcę - protestowała. - Nie mogę. - W jej głosie zabrzmiała nuta strachu.

- Musimy wspólnie stawić temu czoło.

Poprowadził ją na schody i wzdłuż korytarza do drzwi pokoju dziecinnego. Opierała się. Zwisła mu na ramieniu jak martwy balast. Bolały go mięśnie ramienia i brzucha, ale nie zwracał na to uwagi. Przez chwilę stał pod drzwiami i myślał o godzinach, które spędzili, cyklinując szerokie, sosnowe deski posadzki. Wspomnił zapach heblowanego drewna i woskowej pasty do podłóg, i tamtą Lisę, która miała pełno kurzu we włosach, ale wesoło patrzyła mu w oczy i uśmiechała się do niego. Zapamiętał czuły wyraz jej twarzy, kiedy mu powiedziała, że jest w ciąży; radość wylewała się z niej jak słodki syrop. W pamięć wrył mu się też dzień, gdy kupił grzechotkę w sklepie z antykami i podzwaniał srebrnymi dzwoneczkami, wyobrażając sobie tę zabawkę w ręku dziecka. Tamto szczęście prysło i w pełni to sobie uświadamiał. Uważał jednak, że ich ból nie może być daremny, że cierpienie powinno zaowocować jakąś mądrą, dojrzałą decyzją.

Pchnął drzwi, a gdy się otworzyły, zobaczył, że w pokoju dziecinnym wszystko pozostało takie samo, jak przed jego wyjazdem na Alaskę: kołderka, którą uszyła Lisa, komoda, którą on wymalował, i deseń w liście wierzby odbity szablonem na podłodze.

W oczach pojawiły mu się łzy i spłynęły po twarzy, gęste i gorzkie. Puścił rękę żony i oparł się o ścianę, twarz zakrywając ramieniem.

- O Boże, Liso, co my teraz pocznjemy? - Nie usłyszał odpowiedzi. Kiedy uniósł głowę, ujrzał Lisę stojącą obok niego. Obserwowała go, a po jej twarzy także płynęły łzy. Ale Ben odniósł wrażenie, że przegradza ich jakaś niewidzialna ściana, że jakaś lodowa bryła wyrosła między nimi i żadne z nich nie potrafi się przez nią przebić.

Gdy następnego dnia po południu Ben wrócił do domu z zakupów w supermarkecie, zastał Lisę w pracowni. Wpatrywała się w ceramiczne naczynia, których deseń stanowiły pawie pióra. Ten komplet miał być gotowy i wysłany na wesele w Teksasie. W studiu pachniało świeżą olejną farbą i Ben poczuł nagły przypływ optymizmu, dopóki nie zobaczył, że żona zdjęła nakrętki ze wszystkich tubek z farbą, a ich zawartość wycisnęła do wiadra, które stało pod zlewem.

- Ach, Liso - zwrócił się do niej z wyrzutem - co też zrobiłaś najlepszego?

- Zadzwoiłam do Peacocków - odparła bezbarwnym głosem - i powiedziałam im, że nie mogę dokończyć tego zamówienia. - Jej głosowi towarzyszyło echo, jakby płynęło z dna jakiegoś pustego naczynia.

Rozglądając się po pracowni, Ben zauważył, że Lisa zdjęła także z gliny wilgotne szmaty i otworzyła torby z tym tworzywem, żeby całkiem wyschło.

Gdy wstała, spróbował ją objąć, lecz go odepchnęła.

- Mały Jamie Mayfield poprosił mnie wczoraj, żebym mu pomogła utoczyć na kole wazon dla matki na urodziny, ale mu odmówiłam.

- Dlaczego?

- Nie dlatego, żeby mi przykro było, iż mam znowu pracować w glinie, mieć ją na rękach i na kole, ale dlatego, że akurat dziecko mnie o to prosiło. O niczym innym nie mogłam w tym momencie myśleć, jak tylko o tym: czemu ten malec nie jest moim dzieckiem. - Wpatrywała się w męża pytającym wzrokiem. - Co się ze mną dzieje? Jakim człowiekiem się stałam, że nawet dziecku odmawiam pomocy? - Jej głos drżał. - I muszę ci wyznać, Ben, że chociaż bardzo się staram, nie jestem w stanie ci wybaczyć, że nie byłeś przy mnie wtedy... wtedy gdy straciłam dziecko.

- Nie rozumiesz, że ja sam też nie mogę sobie tego wybaczyć?

Lisa zaciskała wargi, aby przestały drżeć.

- Nie mogę zapomnieć, że byłeś w górach zamiast być ze mną.

Ben z trudem rozpoznawał w niej dziewczynę, z którą się ożenił.

- Czy chciałabyś, żebym się stąd wyprowadził? - spytał spokojnie. - Może wtedy byłoby ci lżej?

Przez chwilę siedziała bez ruchu, jedynie usta jej drżały. Potem padła mu w ramiona.

- Przepraszam cię, kochanie! Nie gniewaj się! - mówiła z twarzą wtuloną w jego pierś. - Najdroższy Benie, tak mi przykro.

Oboje byli przerażeni: to już były nie tylko pęknięcia, ale wręcz szczelina, która pojawiła się w ich małżeństwie i groziła jego rozpadem.

Leżała na boku, plecami do męża. Sypialnia pachniała jej jaśminowymi perfumami. Przez otwarte okna widział oświetloną iglicę kościoła episkopalnego pod wezwaniem św. Andrzeja i reflektory rzucające światło na boisko piłki nożnej przy liceum. Ćma trzepotała się w powietrzu, zwabiona jasnością stojącej przy łóżku lampy. Co chwila odlatywała, by natychmiast powrócić do kuszącej światłości. Ben wśliznął się do łóżka obok żony i otoczył ramie-

niem jej szczupłe ciało. Pragnął ją trzymać w objęciach i chronić od wszelkich ciosów losu.

- Przestań! - krzyknęła nagle, gwałtownie wymachując rękami.

- Co się stało?

Odwróciła się, by znaleźć się z nim twarzą w twarz.

- Nie dotykaj mnie!

- Na miłość boską, Liso. Nie ośmieszaj się! - Odsunął się przestraszony wrogością jej spojrzenia i grymasem warg odsłaniających zęby.

- Wiem, że chcesz się ze mną pieprzyć - powiedziała.

- Oczywiście, że chcę. Jesteś moją żoną. Ale nie zrobię niczego, zanim sama nie będziesz do tego gotowa, dopóki sama mnie nie zechcesz.

- Pragniesz mnie nie dlatego, że jestem Lisą, lecz tylko dlatego, że czujesz obok siebie kobiece ciało, a już od dłuższego czasu nie uprawiałeś seksu. Chodzi ci wyłącznie o moje ciało, nie pragniesz mojej duszy ani mego serca. Ani trochę ci na mnie nie zależy. Nawet nie usiłujesz zrozumieć, co czuję!

- Gdybyś mi to powiedziała, mógłbym przynajmniej spróbować wczuć się w twoje problemy - przekonywał opanowanym głosem.

- Ty? - szydziła. W świetle lampy widział gorycz malującą się na jej twarzy. - Ben Andersen? Człowiek Czynu? Jakżebyś mógł mnie zrozumieć?

Słowa te zabolowały go i zezłościły. Chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Patrząc na nią, pomyślał, że przypomina dzikie zwierzątko.

- Czy naprawdę tak źle mnie oceniasz?

- Gorzej, niż myślisz...

- W ten sposób nie pomożesz naszemu małżeństwu.

- Co ci się nie podoba? Czy chodzi o to, że nie zachowuję się tak, jak przystało miłej, małej żoneczce z Vermontu?

Przez pamięć na to, co przeszła, starał się powstrzymać wzrastającą w nim niechęć. Aby się opanować, próbował skierować uwagę na rzeczy, które go otaczały: na srebrny zegar stojący na stoliku przy łóżku, na karton papierowych chusteczek, na ozdobny brzeg abażuru i rzeźbioną szkatułkę na biżuterię. Do tej szkatułki w kształcie serca Lisa wkładała na noc swoje kolczyki.

- Nie oczekuję, żebyś się zachowywała inaczej, chcę tylko, żebyś była sobą. Nie mogę się pogodzić z tym, że robisz wrażenie, jakbyś mnie nie lubiła.

- Bo może cię nie lubię.
- Chyba nie mówisz tego serio?
- Czyżby?

Puścił ją i odwrócił się. Ćma, trzepocząc i tańcząc wokół lampy, to odlatywała, to znów wracała; uderzała o boki abażuru, a jej kosmate skrzydełka coraz bardziej się strzępiły i zdierały. Ben w miejscu, gdzie kiedyś żywo biło serce, czuł teraz pustkę. Chciało mu się płakać za wszystkim, co utracił. Myślał o tym, jak zimny i zgubny bywa smutek.

Czas powoli mijał. Oboje zdawali się zamknięci w jakiejś beznadziejnie pustej, chłodnej i bezbarwnej przestrzeni. Myślał o dobrych jasnych latach, jakie kiedyś wspólnie przeżyli, o przeszłości, w której królowało piękno, kolor i dźwięk.

- Liso! - zwrócił się do żony piątego dnia po powrocie do domu, kiedy siedzieli naprzeciw siebie przy stole, nie tknąwszy nawet jedzenia na talerzach.

- Tak? - spytała, robiąc wrażenie, że podniesienie głowy i spojrzenie na niego kosztowało ją wiele wysiłku.

- Porozmawiaj ze mną, kochanie.
- Dobrze! - Głęboko wciągnęła powietrze. - Opowiedz mi o twojej ostatniej wspinaczce.
- Już ci o niej opowiadałem.
- Naprawdę? - Wydawała się zdziwiona.
- Co najmniej z sześć razy.
- Przepraszam cię, kochanie. Pewnie myślałam o czymś innym.
- No, tak... - Uśmiechnął się do niej przyjaźnie, chcąc dodać jej odwagi. „Ładnie, że przynajmniej próbowała” - pomyślał.

- A więc?

- A więc co?

- Czy to była udana wspinaczka? - Widać było, że sięga do banku pamięci i stara się przypomnieć sobie to, co się ostatnio zdarzyło. - Dotarliście na sam szczyt, prawda?

- Tak. - Ben wrócił myślami do tej niezapomnianej chwili, gdy stanąwszy na szczycie, doznał olśnienia panującą tu idealną czystością i żałował, że nigdy nie będzie mógł dzielić z Lisą widoku tego nieskalanego piękna.

- Joe był pewnie bardzo zadowolony z wyprawy.

- Można to i tak ująć...

- A potem ty musiałeś spędzić jakiś czas w szpitalu. - Podniosła do ust liść sałaty i powo-

li go przeżuwała. - Czy się dobrze czujesz, Ben? Żebra już cię nie boją? Wydawałoby się, że powinni wymyślić jakiś sposób na to, by je bandażować, dopóki się nie zagoją. To by pomogło, nie uważasz? Pozostawienie ich bez osłony wydaje się niewłaściwe. Mój ojciec też przed laty złamał sobie żebro, bo na ulicy potknął się o czyjś psa. Pamiętam, że i jemu wtedy nic nie robiono, nie poddano żadnemu leczeniu; musiał znosić ból do czasu, aż się żebro zrosło.

- No i oczywiście tak się w końcu stało; prawda? - jej paplanie było równie męczące i bolesne jak milczenie.

- Co się stało?

- Myślę o żebrze twego ojca, o tym, że się w końcu zrosło.

- O tak! W końcu się zagoiło, ale ile się tata nacierpiał... Złamał żebro, bo się przewrócił, ale zdarzyło mu się to tylko jeden jedyny raz, co w jego warunkach wydaje się naprawdę nie lada osiągnięciem.

Napięte mięśnie twarzy zdradzały, że Lisa czyni desperackie próby, aby nie mówić na ten szczególnie temat, który ją całkowicie absorbował, wszystko inne usuwając w cień. Bena ogarnęła czułość. Pragnął sięgnąć przez stół, pogłaskać ją po policzku i powiedzieć jej, żeby się zrelaksowała, że wszystko będzie dobrze.

- Twój ojciec jest nadzwyczajnym człowiekiem, podobnie jak jego córka - powiedział, lekko się uśmiechając. Wyraźnie widział, że biedaczka rozgląda się dokoła, gwałtownie szukając tematu, na jaki mogłaby mówić. Wstał od stołu. - Dziś ja myję naczynia - oznajmił.

- Lepiej ja będę myć, a ty wycieraj. - Taki podział ról stosowali setki razy, ale teraz zabrzmiało to jak fałszywa nuta. Miał nieodparte wrażenie, że z ich małżeństwa został tylko szkielet tego, czym było dawniej.

Lisa kładła każdą sztukę umytych sztućców na suszarkę, a Ben wycierał je i wkładał do szuflady

- Kochanie - powiedział, przerywając milczenie. - Nie miej do mnie żalu o to, co powiem, ale...

- Ale co?

- Ale myślę, że któregoś dnia moglibyśmy znowu spróbować...

Z rozmachem odwróciła się od zlewu i patrzyła na niego wściekłym wzrokiem.

- Co takiego powiedziałaś?

Jak zwykle kiedy usiłował coś wyjaśnić, nie znajdował właściwych słów. Bo słowa mają to do siebie, że się oddalają, zanim zdążysz dobrać te najwłaściwsze; uciekają wszystkimi szpa-

rami, kiedy nie patrzysz. Odchrząknął, chcąc oczyścić krtań.

- Moglibyśmy zacząć myśleć o nowym dziecku. Oczywiście dopiero wtedy, kiedy będziesz na to gotowa. Kiedy sama tego zechcesz.

- Nic więcej nie mów - warknęła, zgrzytając zębami. - Nie chcę tego słuchać!

- Ale to prawda - nalegał.

I nagle się przestraszył. Oparła się na rękach i wyglądała przez okno, wpatrując się w ciemną noc.

- Przestań! - krzyknęła głośno.

Kiedy wrzuciła nową partię łyżek do suszarki, wziął trzy z nich i zaczął je wycierać.

- Wiem, że potrzebujesz czasu, by skończyć z tym wszystkim i mieć to już za sobą - powiedział uspokajająco.

- Co masz na myśli, mówiąc „z tym wszystkim”? Powiedz, co rozumiesz przez to, że „mam to mieć za sobą”?

- Chodzi mi o to, że straciłaś dziecko, ale to się z czasem uładzi. Zobaczysz. - Żałował, że nie potrafił wyrazić tego z większą pewnością siebie.

- To nigdy się nie uładzi - stwierdziła z mocą, patrząc na niego z ogniem w oku. No bo jakżeby mogło?

- Spróbujmy jeszcze raz... - powtórzył. Wiedział, że wkracza na śliskie tory, ale brnął dalej. To musiało być w końcu powiedziane, jeśli Lisa nie miała utknąć na zawsze w czasie naznaczonym stratą i bólem. - Wiem, że to już nie będzie tym samym, co było, że tamto nigdy nie wróci, ale...

- Ale co? - uderzyła pięściami wodę w zlewie, wylewając falę pomyj na płytę suszarki.

Przełknął ślinę.

- Inne kobiety też nieraz traciły dzieci, ale mimo to pragnęły znowu mieć rodzinę.

Atmosfera nagle stała się obca i wroga.

- O co ci chodzi? Uważasz, że powinnam się po prostu z tym pogodzić? Udawać, że nic się nie stało? Otrząsnąć się i zapomnieć?

- Nic takiego nie powiedziałem.

- A może chcesz spojrzeć na to od tej strony, że jestem młoda i zdrowa - mówiła szybko i coraz głośniejsze. - Nie ma więc żadnego powodu, dla którego nie miałabym doskonale znieść drugiej normalnej ciąży. Czy to właśnie chciałeś powiedzieć? To pragniesz mi przekazać?

Zaczął odkładać wytarte łyżki do szuflady ze sztuczkami, gdy niespodziewanie znów na



niego wrzasnęła:

- Na miłość boską, Ben! Przecież wiesz, że łyżki układa się odwrotną stroną. - Wyrwała mu ścierkę z ręki. - Przecież wiesz, jak to się robi...

- A czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? - wziął z suszarki dwie następne łyżki.

- Oczywiście, że ma! - Teraz krzyczała już na cały głos. - Przecież właśnie tak zawsze je układaliśmy. Trzonki z jednego końca, a miseczki z drugiego. Gdy otworzysz szufladę, od razu zobaczysz, czy tu leżą łyżki, czy widelce. Przecież zawsze to wiedziałeś, do cholery!

- Mam to w nosie i jest mi absolutnie wszystko jedno, jak one powinny być ułożone - odparł. - Tylko ty się dla mnie liczysz, nic więcej!

Szarpnęła szufladę i wyciągnęła ją z szyn.

- Wszystko się liczy. - Głos jej się rwał. - Wszystko!

- Liso!

Kiedy ruszył w jej stronę, z krzykiem rzuciła w niego szufladą.

- Setki razy ci mówiłam, jak się kładzie łyżki...! - Teraz widelce, łyżki i noże kaskadami spadały mu na głowę.

- Czyś ty oszalała? - Próbował zasłonić twarz i jednocześnie chwycić Lisę i przytrzymać.

- Wszystko się liczy! - wrzasnęła znowu. - Nie rozumiesz?

- Przestań, na miłość boską! - ryknął. - Przestań się na mnie wydzierać! - Sztućce trzaśkały i dzwoniły, uderzając o kamienną podłogę. Ben mimo wściekłości nie mógł się nadziwić, że mieli w zapasie aż tyle widelców... - Weź się w garść! - Próbował złapać ją za przeguby, ale mu się wywinęła.

- Jak śmiesz... Jak śmiesz mi mówić, że możemy mieć inne dziecko! - Twarz miała czerwoną i wykrzywioną. Wyglądała jak wariatka.

- Uspokój się, dobrze? - Sięgnął w jej stronę, ale go z zadziwiającą siłą odepchnęła. Poczł ból w żebrach, które znowu się o siebie otarły. Łapiąc oddech, pośliznął się, stracił równowagę i chociaż złapał się za ladę, nie uniknął upadku. Wylądował na tyłku pośród sztuczków i potłukł sobie nadwerżony grzbiet.

- Nie chcę innego dziecka! - krzyczała Lisa, szeroko otwierając usta. - Czyżbyś był tak cholernie niewrażliwy, że tego nie widzisz? Nie chcę drugiego dziecka! Chcę tego, które umarło!

- Czas goi rany - powiedział. - Jeśli zaczniemy myśleć o drugim dziecku... to... - Próbował się podnieść, ale pchnęła go z powrotem na podłogę, urażając we wciąż niezagojone plecy.

- Chcę, żeby do mnie wróciła Rosie - powtarzała. Łzy spływały jej po policzkach i kapały, mocząc przód podkoszulka. - Chcę Rosie. - Niedbale wytarła nos grzbietem dłoni. - Jak możemy mieć drugie dziecko, kiedy pierwsze nie żyje?

- Na miłość boską, Liso!

Chwyciła kubek z lady i walnęła nim o ścianę.

- Nie żyje, do cholery! Czy ty w ogóle nic nie rozumiesz? Rosie, moje dziecko, nie żyje...

- Porwała nóż z suszarki i pchnąwszy nim męża, trafiła go tuż pod okiem, kalecząc policzek.

- Jezu! - Chwycił ją za nadgarstek i próbując odebrać nóż, pociągnął tak niefortunnie, że upadła na jedno kolano. Miała wykrzywioną twarz i szeroko otwarte oczy, wpatrzone w przestrzeń. - Co ty, u diabła, wyrabiasz? - Dotknął swojej twarzy i poczuł na palcach lepłą krew. - Jeszcze trochę, a możesz naprawdę kogoś zranić...

- Ja już jestem zraniona! - krzyczała. - Cholernie zraniona. - Dłońmi zakryła twarz i zaczęła łkać; jej ramiona to się podnosiły, to opadały. - O Boże, Ben! Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem zraniona.

- Liso - szeptał. - Ach, Liso...

Odsunęła się od niego. Wycierając dłonią policzki, rozsmarowała krew Bena po swojej mokrej twarzy, a potem wstała i z rękami opuszczonymi wzdłuż boków szlochała tak, jakby jej pękało serce.

## — 14 —

Gdy następnego rana wcześniej wstał z łóżka, Lisa jeszcze spała. Biegając po pustych wiejskich drózkach, zastanawiał się, czy to można „wybiegać” z siebie smutek, „wypocić” poczucie winy. Nad głową cichym szeptem szumiały drzewa, a stopy stukały zgodnie z rytmem głuchych uderzeń serca. Myślał też o tym, czy on i Lisa potrafią znaleźć nową drogę do wspólnego życia i zapomnieć o przeszłości.

Kiedy wrócił do domu, Lisa przeglądała zawartość swojej szafy. Wciąż jeszcze ciężko oddychając po biegu, stanął w drzwiach ich sypialni i oparł się o futrynę.

- Bardzo mi przykro - powiedziała. - Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, ale straciłam serce do rzeczy i nie potrafię się już do nich przywiązywać.

- A co teraz robisz?

- Pomyślałam, że najwyższy czas pozbyć się niektórych przedmiotów. - Głos jej brzmiał

niemal tak samo jak za dawnych dni i Ben poczuł ogromną ulgę. Może w końcu dobrze się stało, że poprzedniego wieczoru się pobili. Widać pomogło.

Lisa ustawiła rzędem przy ścianie szereg dużych pudeł z supermarketu; do jednych wkładała książki, do innych ubrania.

Patrzył na bezładną gmatwaninę jaskrawych fatalaszków.

- Nie chcesz już tego nosić?

- To są stroje ciążowe - odparła krótko.

Nie miał zamiaru rozwijać tego tematu. Jeśli zajdzie taka potrzeba, zawsze mogą kupić nowe stroje i zacząć wszystko od początku. Pewnego dnia... W swoim czasie...

Wziął prysznic, ubrał się w roboczy strój i jak zawsze kiedy wychodził do pracy, powiedział Lisie:

- Kocham cię! - I jak zawsze, także i tym razem odpowiedziała z uśmiechem:

- Ja też cię kocham, przystojniaku.

Następnego wieczoru, wracając samochodem do Butterfield, Ben przypominał sobie, jak to między nimi dawniej bywało. W ostatnich dniach złapał się na tym, że z obawą myśli o powrocie do domu. Własną udrękę ukrył głęboko w sercu, stłumił i nie uzewnętrzniał swoich uczuć, ale Lisa żyła w ich wspólnym domu, zachowując się jak niechciany gość. Z takim nastawieniem dzieliła z nim stół i łóżko. Miał wrażenie, że otacza się żywopłotem z kolącej dzikiej róży i nie pozwalała mu się zbyt do siebie zbliżyć. Dotknął miejsca pod oknem, gdzie go skaleczyła nożem. Jezu!

Tego rana jednak wydawało mu się, że Lisa była jakby bardziej pogodna. Złożył palce w figę, żeby nie zapeszyć, i oparł się o kierownicę. Choć było to tylko przypuszczenie, chciał wierzyć, że będą mogli znowu patrzeć z nadzieją w przyszłość, zamiast jałowo dreptać w miejscu.

Gdy wjechał na podjazd, zobaczył, że w całym domu są zapalone lampy. Zatrzymał się i patrzył na smugi światła, układające się jak dywan na ciemnym żwirze. To był jeszcze jeden dobry znak. Przynajmniej nie siedziała po ciemku, jak przed dwoma dniami, gdy ją znalazł płaczącą gdzieś w kącie.

Otworzył drzwi wejściowe i od razu poczuł, że cały hol pachnie jedzeniem. Serce zaczęło mu bić nadzieją, że skoro gotowała kolację, to pewnie musi się już lepiej czuć i wraca do dawnej formy. Ponad wszystko w świecie pragnął, by Lisa znowu była szczęśliwa. Chciał widzieć ją uśmiechniętą.

- Kochanie! - zawołał. - To ja.

Nie było odpowiedzi, ale się tym zbytnio nie przejął, bo w ciągu tygodnia, jaki go dzielił od powrotu z gór, zdążył się już przyzwyczaić, że żona lubi teraz znikać jak duch. Wchodząc do kuchni, zauważył rondel stojący na kuchence. Podniósł pokrywkę i stwierdził, że jest zimna. Lisa musiała więc gotować z rana.

- Liso, gdzie jesteś?! - nawoływał.

Nie usłyszał odpowiedzi. Może brała prysznic. Wbiegł na schody, przeskakując po dwa stopnie naraz, jakby go gnała nadzieja. Zajrzał do sypialni i zobaczył, że zniknęły wszystkie pudła; to też uznał za dobry znak. Łóżko było starannie zaścielone, szafy pozamykane, toaletka wysprzątana, drobiazgi poodkładane na miejsce, jak trzeba. Uśmiechnął się, przypominając sobie, jaką bałaganiarą była dawniej jego żona. Na jej toalecie panował zawsze dziki nieład; wśród tubek i słoiczków kremów, szczotek do włosów i pomadek do ust plątała się porozrzucana biżuteria, a większości pojemniczków brakowało pokrywek i nakrętek.

- Kochanie - powiedział, otwierając drzwi do łazienki, ale chociaż światło było zapalone, Lisy tam nie zastał. Może jest w swoim studiu, może - i złożył dłonie jak do modlitwy - wróciła do pracy. Kto wie, czy nie zmieniła zdania w sprawie serwisu dla nowożeńców w Teksasie, i być może pojechała do sklepu z artykułami malarskimi w Burlington po świeże farby. Zapewne będzie teraz długo pracowała, aby na czas wykonać zamówienie państwa Peacock. Horyzonty nadziei, które bardzo mu się ostatnio zawężyły, teraz znowu szeroko się przed nim rozwarły.

Nalał dwa kieliszki wina i postanowił zanieść je do pracowni. Wyszedł przez tylne drzwi, minął pachnącą jabłkami ciemność i dotarł do stodoły. Pchnął stopą i otworzył na oścież wielkie drzwi. W studiu się świeciło.

- Liso! - zawołał. - Wróciłem.

Ale tam też jej nie było. Ostrożnie postawił na ladzie wino, usiłując nie wpadać w panikę. Skoro jej nie ma w pracowni ani w domu, to gdzie się właściwie podziewa?

Pomyślał o rzece, która płynęła na granicy ich posiadłości, przez chwilę nawet o pastylkach lub żyletkach, ale zaraz odrzucił te myśli jako niedorzeczne. Biegiem wrócił do domu, przeszukał parter, zajrzał do staromodnej spizarki i do pomieszczeń gospodarczych. Potem poszedł na górę, sprawdził wszystkie gościnne pokoje, zerknął też do wielkiego kredensu, gdzie trzymali pościel, i do wilgotnych starych łazienek. Gdy stanął przed pokojem dziecięcym, na chwilę się zawahał.

- Liso! - zawołał cicho, przewidując, że może tam się ukryła i rozpacza. Jego poprzednio rozbudzone nadzieje legły w gruzach.

W końcu pchnął drzwi do pokoju dzieciennego. Ten jednak też okazał się pusty. Rozglądając się dokoła, Ben stwierdził ze zdziwieniem, że komoda, którą oskrobał do żywej deski, a potem pomalował, zniknęła razem z łóżeczkiem dla dziecka. Okna były gołe, odarte z firanek. Kolderka i sztuczne motyle wiszące na nitkach także się ulotniły. W pokoju pozostały tylko żółte ściany i listki odbite szablonem na podłodze.

- Nie powinnaś była tego robić - powiedział na głos. - Nie możesz jej po prostu wymazać. - Sam wprawdzie sugerował, że pewnego dnia mogą mieć jeszcze inne dzieci, ale nie chciał, aby to jedno, którego nie mieli, zostało kompletnie wyrugowane z ich życia i pamięci. - O Boże! - jęknął i ukrył twarz w dłoniach, czując, że coś w nim pękło.

Schodząc powoli na dół, zerknął na wiszące w holu lustro. Należało kiedyś do sióstr Adams i było w ich rodzinie od wielu pokoleń. Kiedy kupił dom Adamsów i wprowadził się tam z Lisą, siostry im powiedziały, że mogą zatrzymać lustro.

- Nie możemy go stąd zabrać, ono należy do tego domu - orzekły.

Rzeźby na mahoniowej ramie wyobrażały dojrzałe owoce granatu i kiście winogron, srebrzony spód lustra był już jednak stary, a szklana powierzchnia zmatowiała.

- Przejrzeć się w nim za cholereę nie można, ale uwielbiam to stare lustro - powiedziała kiedyś Lisa.

Teraz zobaczył na nim jakieś czerwone litery. Popatrzył dokładniej z bliska i oprócz napisu zrobionego pomadką do ust na szkle ujrzał własną przerażoną twarz. Odbicie było niewyraźne, jakby się przejrzał w tafli stawu. Odczytał napis:

*Nie mogę dłużej z Tobą żyć, a pod tym duża litera L.*

Wpatrując się w słowa Lisy, Ben przypomniał sobie dzień ich ślubu. Pamiętał, jak na niego patrzyła, kiedy wymieniali obrączki, i jak błyszczały jej czarne oczy. Był wówczas przekonany, że przysięga, którą sobie wzajemnie złożyli, jest jak łańcuch złotych ogniów, wiążący ich oboje na całe życie.

Starł się przywołać na pamięć słowa, które usłyszał od Lisy wczoraj, gdy pakowała duże pudła w sypialni. Powiedziała, że pozbywa się pewnych rzeczy. Czy rzeczywiście o to jej chodziło, czy raczej chciała go poinformować - i ta myśl wywołała w nim dreszcz - że to ona wynosi się z tego domu, co oczywiście zmieniało nieco sytuację. Czuł, że mu nerwowo drgają szczęki. Lisa powiedziała: „Ja też cię kocham, przystojniaku”... Nie powiedziała by tego, gdyby planowała odejść, chyba by tego nie zrobiła. Gdyby go kochała, nie opuściłaby go. Chociaż kto wie?...

Czerwoną kredką wypisane słowa tańczyły na zamglonym lustrze:

*Nie mogę dłużej z Tobą żyć.*

- Dlaczego? Przecież cię kocham - szepnął, a spoza liter nakreślonych pomadką wyglądały jego poruszające się usta. - Liso! - zawołał nagle zdesperowany. - Liso, dokąd poszłaś?!

Jego słowa odbiły się echem po pustym holu, przeleciały schodami i uderzyły o ściany. Ben wyszedł kuchennymi drzwiami i wrócił do pracowni Lisy. Dwa kieliszki wina stały tam, gdzie je pozostawił. Wypił je i czuł, jak zimny płyn spływa po jego wnętrzu niczym lodowaty deszcz.

W końcu zdecydował się zadzwonić do teścia.

- Tu mówi Ben - powiedział, gdy podniesiono słuchawkę. - Jak się masz, Peter?

- Doskonale.

- To dobrze. - Oczami wyobraźni widział starszego pana, ze względu na wiek mogącego być raczej Lisy dziadkiem, jak w swoim ciasnym mieszkaniu sięga po rzeczy, których nie może widzieć. - Peter...

- Czy to nie jest zbyt późna pora na telefonowanie? - przerwał mu teść.

Ben spojrzał na zegarek. Było pół do dwunastej w nocy. Zrobiło się późno, gdyż drugi raz przeszukał cały dom i pracownię, pobiegł nad strumyk na końcu ogrodu, pojechał w górę i w dół szosy, rozglądając się, czy nie zobaczy zaparkowanego gdzieś białego samochodu Lisy lub jej samej błądzącej w pobliżu.

- Może tak... - zgodził się ze starszym panem.

- Czy coś się stało? - spytał Peter. - Czy może Lisa znowu choruje?

- Nie... wiem...

- Jak to nie wiesz?... Nie rozumiem. - W głosie starszego pana wyczuwało się nutę niepokoju.

- Nie ma jej w domu. Zastanawiałem się, czy może jest u ciebie, ale okazuje się, że nie.

- Może poszła z wizytą do przyjaciół?

- Dlaczego miałyby wyjść z domu, nie mówiąc mi o tym?

- Przecież Lisa zawsze zachowuje się w sposób niekonwencjonalny. Na pewno do ciebie zadzwoni. Gdy coś od niej usłyszę, dam ci znać.

- Dziękuję.

- Dobrze ci było w górach?

- Tak. - Ben spodziewał się, że usłyszy teraz słowa potępienia za to, że zostawił Lisę sa-

mą.

- Bardzo chciałbym móc wspinać się po górach - powiedział Tan. - Jakież to musi być wspaniałe przeżycie, gdy się stoi wysoko nad światem.

- Rzeczywiście jest wspaniałe...

- Myślę, że tylko nieliczni o tym marzą, a jeszcze mniej te marzenia spełnia. Jestem przekonany, że aby robić to co ty, trzeba być osobą szczególną, może nawet bohaterem, i tym właśnie jesteś. Ponieważ nie mogę oglądać telewizji, często słucham radia; wiele razy wymieniano twoje nazwisko.

- Te sprawy są mi już teraz dalekie - usłyszał własne słowa rozlegające się echem w pustym mieszkaniu i odwiesił słuchawkę.

Zastanawiał się, czy zadzwonić do swojej matki i brata, ale doszedł do wniosku, że Lisa raczej by do nich nie poszła. Dokąd jeszcze mogłaby pójść? Zadzwonił do Mel Sherman. Serce szybko mu biło, gdy czekał, aż podniesie słuchawkę.

- Mel Sherman - usłyszał jej chłodny głos.

- Tu Ben Andersen.

- Cześć, Ben! Co słychać?

- Czy jest u ciebie Lisa?

- Nie, tu jej nie ma.

- Czy masz pojęcie, gdzie może teraz być?

- Nie. Co się stało? - W jej głosie wyczuł lęk.

- Wydaje się, że ona... - zaczął ostrożnie. - Wygląda na to, że ona... - Przełknął ślinę.

- Że ona co?

- Że ona ode mnie odeszła.

Usłyszał, że Mel wydała coś w rodzaju jęku.

- Napisała to na lustrze.

- Napisała?

- Tak, że nie może ze mną dłużej żyć.

- Ach, Ben... Wiem, że była w okropnym stanie, ale nawet mi się nie śniło, że...

Ben poczuł, że coś gęstego i gorzkiego blokuje mu gardło.

- Nie zostawiła nawet listu. Napisała kilka słów pomadką do ust na lustrze. - Wyobraził sobie roztrzęsioną Lisę, rozglądającą się za piórem i papierem, ale gdy stwierdziła, że to za wielki wysiłek, chwyciła tylko coś do ubrania, pobiegła do samochodu i ruszyła w drogę. Wi-

dział ją niemal, jak pędzi szosami przez góry, byle dalej od cierpienia... byle dalej od niego.

- Przypuszczam, że chce jakiś czas być sama. Po paru dniach wróci.

- Ale spakowała swoje rzeczy. Zabrała wszystkie przybory do pracy, swoje ubrania, książki, kosmetyki, wszystko... - Znowu przełknął ślinę, a z ust wyrwał mu się dźwięk, który przypominał szloch. - O Boże! - Wciągnął głęboko powietrze. - Przepraszam, że tak późno dzwonię... - Odłożył słuchawkę, zanim mogła cokolwiek powiedzieć.

Ogarnęło go poczucie straszliwej pustki. Czy tak właśnie czuła się Lisa, kiedy dziecko opuściło jej łono? Czy w taki sposób przeżywała tę okropną stratę?

Dziecko... Pomyślał o przystani, którą budował nad jeziorem, aby jego matka mogła łatwiej pilnować wnuków. Ale jego dziecka już wśród nich nie będzie...

Wyszedł przez frontowe drzwi na dwór i stał pod jabłonią, otoczony aksamitną, ciepłą nocną aurą. Z okien sączyły się złote światła i rozjaśniały ciemność. Przypomnił sobie „Titanica”, jak tonął w powodzi światła.

- Rosie! - szepnął. - Rosemary! - I nagle mu się zjawiała. Po raz pierwszy zobaczył swoją córeczkę, czarnowłosą jak Lisa, z jej migdałowymi oczami i drobną figurą. Widział siebie, jak kładzie dziewczynkę do łóżka, czyta jej bajkę na dobranoc, zmienia pieluszki, przymocowuje pasami do siedzenia w samochodzie, kiedy wyjeżdżają na spotkanie z jego matką, i huśta wysoko aż pod sufit, tak jak to robił ze swoimi bratankami, synami Neila. Potem rozplakał się w głos. Czuł, że bez Lisy, bez dziecka jest niczym.

## — 15 —

Mel zbudziła się z niemiłym przeczuciem, że stanie się coś złego. W migoczącym świetle letniego poranka mgliście majaczyły przed nią kształty dobrze jej znanych mebli. W domu panowała cisza. I jak to się jej już zdarzało w chwilach nieuwagi, gdy najmniej była na to przygotowana, głos ojca znowu wdarł się w jej myśli: „Obawiam się, że nie...”

Mimo że sporo czasu minęło od tamtego dnia, wciąż nie była w stanie zrozumieć, jak ojciec mógł jej powiedzieć coś tak brutalnego. Zaciskała pięści w bezsilnym żalu. Gdyby tylko można było wrócić do tamtych lat i na nowo tę scenę rozegrać... Brzemie tego, że była niekochanym dzieckiem, wciąż jej ciążyło.

„Jakżebym chciała, aby sprawy potoczyły się inaczej... - myślała. - Chciałabym... Nie wiem, czego bym chciała - przyznała się - ale na pewno mieć więcej, niż mam, i dostać jeszcze



jedną szansę od życia, żebym nie czuła się taka samotna i niekochana". To, że rzeczy działy się zgodnie z kapryśnym widzimisię losu, było dla niej jasne. Nawet w jej własnym domu, w którym od wielu lat miała bezpieczne schronienie, zdawała się obowiązywać ta zasada: Oto któreś nocy wysiadło centralne ogrzewanie, w jednym z okien sypialni pękła szyba, a w wannie pojawiły się plamy rdzy.

W ciągu minionych lat starała się żyć w taki sposób, aby nie naruszać fundamentów, na jakich opierała swoją egzystencję. Ale teraz mogła się przekonać, że pozostawianie spraw samym sobie i niewracanie do nich powoduje, że dawne demony stają się groźne. Myślisz, że uśpione kryją się w zakamarkach twojej pamięci i nagle, znienacka, kiedy najmniej tego oczekujesz, natykasz się na coś: na fotografię w czasopiśmie, na kobietę w ciąży - i one od razu się budzą i nie chcą już leżeć cicho. Wracają do życia, zaczynają nawiedzać twoje sny i marzenia.

- Jak się miewają twoje dzieci? - spytała Mel. Siedziała przy jednym z pięciu stolików kawiarnianych w barku kawowym, który Joanna otworzyła przed rokiem w swojej księgarni.

- Bardzo dobrze! - zapewniła przyjaciółka. - Tom przekazał reżyserię tego zakichanego filmu swemu koledze, tak że teraz mama Lee ma te sprawy na głowie, a nie ja... chwała Bogu.

- Co w końcu zrobili z tą kłopotliwą bombą?

- Bomby przestały być aktualne, bo Lee zdecydował przenieść scenerię filmu do Alabamy w lata dwudzieste.

- A co słysząc u Lucy?

- Jest w siódmym niebie... na dziewiątej chmurze... Nie posiada się ze szczęścia, bo wybiera się na szkolny bal z Carlem Hansonem, i twierdzi, że zawsze chciała właśnie z nim pójść na ten bal.

- A Jamie?

Joanna się zachmurzyła.

- Nie wiem. Wydaje się bardzo spięty, bo już niedługo zacznie się u niego okres pokwitania. W każdym razie zachowuje się niesłychanie... tajemniczo... To jest chyba najlepsze słowo na określenie tego, co Jamie ostatnio robi. Nie wiem, do czego zmierza, ale coś knuje. Ciągłe dzwoni ze szkoły, żeby mi powiedzieć, że wróci później.

Mel sięgnęła po kawę. Jej i Jamiemu wciąż jeszcze nie udało się upiec takiego tortu cytrynowego, który Jamie uznałby za odpowiedni na prezent urodzinowy dla matki. Czasem się zastanawiała, czy chłopiec kaprysi dlatego, żeby móc te nieudane sam zjadać.

- Przynajmniej pamięta, aby zawsze do ciebie zadzwonić.

- Gdyby był starszy - powiedziała Joanna - podejrzewałabym, że się zakochał, ale... - powoli potrząsała głową - moje niewinne dziecko na pewno jeszcze nie weszło w to stadium...

- Chyba że się dobrała do niego jakaś kurewka - sugerowała Mel - a kto wie, czy nie któraś ze starszych dam...

- Nie sądzę, by jego uwodzicielki miały więcej niż trzynaście lat.

Mel zdejmowała łyżeczką piankę z cappuccino i zjadała. W pewnym momencie zauważyła niechlujnie wyglądającego mężczyznę, ociężałe kroczącego skwerem: siedł z opuszczonymi ramionami, ze wzrokiem wbitym w ziemię; był mizerny i bardzo zaniedbany.

Joanna podążyła za spojrzeniem Mel i od razu go rozpoznała.

- Biedny Ben. Wygląda jak ludzki wrak...

- Parę razy próbowałam zobaczyć, jak sobie radzi.

- I jak go znalazłaś?

- Niczego się nie dowiedziałam, bo chociaż jestem pewna, że był w domu, nie otwierał drzwi.

- Jak myślisz, dokąd pojechała Lisa?

- Kto to wie... Sądząc po jej zachowaniu, kiedy widziałam ją ostatni raz, pewnie wszystko jej jedno, gdzie przebywa, byle jak najdalej od Bena.

- Ile czasu minęło od jej odejścia? Będzie już z dziesięć dni, prawda?

- Więcej. Chyba ponad dwa tygodnie.

- I ani słowa?

- Może się odezwała do Bena, bo do mnie nie. - Mel wzruszyła ramionami. - Nie myślę udawać, że się nie czuję rozczarowana, ale przypuszczam, że Lisa chce być jak najdalej od wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z Butterfield.

- A skoro już mówimy o naszym mieście, to zgadnij, kogo jeszcze zaprosiłam na moje wielkie przyjęcie? Wyobraź sobie, że tego sympatycznego pana z college'u, Paula Tilneya.

- Profesora historii?

- Tak. Dziś rano wstąpił do księgarni i co najmniej trzy razy zapytał o ciebie.

- Joanno, kochanie. Mnie to nie interesuje. Nie obchodzi mnie ani on, ani nikt inny.

- Jesteś zbyt wybredna, jeśli chodzi o facetów.

- Bo nie chcę za wszelką cenę znowu być z mężczyzną. Nie jestem aż tak zdesperowana...

- A ja uważam, że nie możesz do końca życia kryć się za kolczastym żywopłotem. Mu-

sisz znowu zacząć spotykać się i bywać.

- Dziękuję za dobre rady, ale mnie się wydaje, że prowadzę bardzo bogate życie towarzyskie. - Wiedziała jednak, że to nieprawda. Kiedyś rzeczywiście tak było. A teraz z obawą myślała, że tamte czasy już nigdy nie wrócą.

Mel znów zapukała, tym razem głośniejsze. Mimo że w domu Andersenów świeciły się wszystkie światła, a z okien, spoza spuszczonej zasłony, dochodziła muzyka, nikt nie odpowiadał. Zastukała jeszcze raz, nasłuchując, czy nie rozlegnie się stapanie, ale nie było żadnego dźwięku.

Niezdecydowana cofnęła się i zrobiła parę kroków w stronę podwórza. Pomyślała, że może Ben jest w pracowni.

Ta noc była ciepła i przesycona wonią. Pachniało wilgotnymi liśćmi, jabłkami, a z ogródka ziołowego Lisy zalatywało szałwią i tymiankiem.

Nagle z ciemności doszedł ją głos Bena:

- Witaj, Mel!

Gwałtownie się odwróciła i aż złapała się za serce.

- O Boże! - szepnęła. - Przestraszyłeś mnie. - Choć było ciemno, widziała go. Wyglądał jak duch. Nie zbliżał się, stał poza obrębem jasnego koła, odbijającego światło reflektorów. - Zobaczyłam, że się u ciebie świeci, więc wpadłam. - Gdy nie odpowiedział, dodała: - Może mnie poczęstujesz kawą? Ewentualnie może być kieliszek wina lub filiżanka herbaty...

- Wszystko, co wymieniłaś, czy tylko jedno z nich? - zapytał z lekką ironią w głosie i dodał: - Ale gdy cię zaproszę, to pewnie nie zechcesz zostać tak długo, by wszystko wypić.

- Dlaczego? Jestem już dużą dziewczynką - zażartowała - i zazwyczaj potrafię sobie dobrze radzić.

- Skoro tak... - Podszedł bliżej i minawszy ją, rzucił nieco odstręczającym tonem: - Tylko żebyś nie mówiła, że cię nie ostrzegałem!

Mel weszła za nim do środka i z trudem się hamowała, żeby nie okazać przerażenia. Mieszkanie śmierdziało zgnilizną i robiło wrażenie bardzo zaniedbanego. Na kanapie w pierwszym pokoju leżał zmięty śpiwór, a obok na podłodze stało kilka kubków. Brudne ubrania: koszule i kalessy, obłoczone trampki i dżokejska mosznowa podpaska znajdowały się tam, gdzie je rzucił. Przybory do wysokogórskiej wspinaczki walały się porozrzucane po dywanie; pewnie je tam cisnął, gdy wrócił z Alaski, a potem już nie chciało mu się schować ich na miejsce.

Pokój wypełniała zbyt głośna muzyka. Mel rozpoznała koncert fortepianowy Mozarta,

ale nie potrafiła go dokładniej zidentyfikować. Kiedy zobaczyła Bena przy świetle, serce jej ścisnęło się z żalu. Wyglądał, jakby miał za chwilę zemdleć. Twarz pokrywał kilkudniowy zarost, głęboko wpadnięte oczy były zaognione i otoczone czerwonymi obwódkami jak u kogoś, kto całymi dniami płacze.

- Przepraszam - wydukał, krzywiąc usta, i rozejrzał się dookoła. - Nie zdawałem sobie sprawy... - I nawet nie zadbał o to, by skończyć zdanie. Ściszył natomiast muzykę i udał się do kuchni. Mel poszła za nim. - Powiedziałaś, że masz ochotę na kawę. - Z szafki wyjął kubek i słoik rozpuszczalnej kawy i stał, trzymając obie rzeczy w ręku; robił wrażenie, że nie wie, co ma robić dalej.

Na podłodze leżał worek na śmieci, do połowy wypełniony pustymi puszkami po konserwach. Więcej puszek stało na ladzie. Miscozka z pieczoną fasolą pokrywała warstwa białej pleśni. Kromki czerstwego pieczywa wysypywały się z plastikowej torby. Zeschnięta połówka jabłka spoczywała na resztkach grapefruta tak zepsutego, że przybrał grynspanowozieloną barwę. W zlewozmywaku zalegały brudne naczynia, a na ich wierzchu utworzył się mały śmietnik; Ben wyrzucał tu, co popadło: zużyte torebki ekspresowej herbaty, skórki bananów, skorupki jaj i Bóg wie co jeszcze. Przez środek podłogi w kuchni ciągnęła się podłużna lepka plama, do której przyłgnał rząd mrówek. Parę zdechłych much pływało w szklance do połowy wypełnionej czymś, co mogło być sokiem z jabłek, mrożoną herbatą albo zepsutym piwem.

- Niezbyt dobrze sobie radzisz - stwierdziła Mel.

- W ogóle sobie nie radzę - odparł i zaśmiał się chrapliwie.

- Nie pogniewasz się, jeśli ci tu trochę posprzątam? Wzruszył ramionami.

- Wszystko mi jedno.

- Może się dzięki temu lepiej poczujesz.

Otworzyła małą zmywarkę do naczyń, stojącą pod zlewem, i zmarszczyła nos, z trudem się powstrzymując, żeby nie zwymiotować. Naczynia, znajdujące się w zmywarce, leżały tam chyba od czasu wyjazdu Lisy. Gromadziły się już wokół nich robaki, przypominające tłuste białe nasiona. Talerze obrosły zieloną brodą...

W lodówce czuć było kwasem. W środku stały dwa otwarte jogurty, oba pokryte grubym pleśniowym kożuchem, trochę masła, zepsute ser i zmarszczony ze starości pomidor. Mel pogrzebała w szufladach, znalazła rolkę worków na śmieci i wrzuciła do nich wszystkie zepsute produkty.

Potem wyszła do samochodu, przejrzała zakupy, które wcześniej dla siebie zrobiła, i

część z nich zaniósła do mieszkania Bena. Oddała mu świeże mleko, szynkę pieczoną na miodzie, torbę jabłek i bochenek pełnoziarnistego chleba. Przygotowała kanapkę z szynką, położyła ją na talerzu, obok jabłko; zaparzyła dla nich obojga kawę i postawiła na stole. Kubek i kanapkę przesunęła w stronę Bena, a sama usiadła naprzeciw.

- Doceniam twoją uprzejmość - powiedział Ben, wstając. - Jestem wdzięczny, że chciałaś do mnie wpaść. - Bezladnie wymachiwał rękami. - Miałaś rację, teraz wygląda tu dużo lepiej. Meble wypucowane do połysku. W kuchni unosi się ładny zapach detergentów. Na łóżku mam świeże prześcieradła. Nie pachną już, niestety, moją żoną, dla której przebywanie ze mną stało się tak niemiłe, że dwa tygodnie temu postanowiła ze mną skończyć, i odeszła.

- Nie mów tak! Lisa cię kocha.

- Dziwny to sposób okazywania miłości. Mel głęboko wciągnęła powietrze.

- Ben! To, że ona straciła dziecko, nie było twoją winą. Raptownie usiadł i intensywnie się w nią wpatrywał.

Choć na jego twarzy malowało się zmieszanie, wytrzymał jej spojrzenie. Mel czuła, że dławi ją w gardle.

- Ach, Ben! - Sięgnęła przez stół i ujęła jego dłoń. - Ty ciągle myślisz, że to była twoja wina.

- Gdybym wtedy został w domu... Wiedziałem, że ona nie czuje się dobrze - dodał ze spuszczoną głową.

- To by niczego nie zmieniło - zapewniła. - Przecież dziecko już wówczas nie żyło. Nawet gdybyś stał tuż obok niej, też byś nic nie poradził.

Nastąpiła długa chwila milczenia.

- To była dziewczynka - szepnął Ben, przerywając ciszę.

- Wiem.

- Wciąż ją widzę: malutką, drobną dziewczuszkę z czarnymi włosami i czarnymi oczami, takimi samymi jak u Lisy.

Mel ścisnęła mu dłoń. Pachniał kwaśno, jakby się długi czas nie kąpał. Oparł łokcie na stole. Nie wiedziała, jak go pocieszać, więc głaskała go po grzbiecie dłoni. Zdawała sobie sprawę, że istnieją pewne ograniczenia, narzucane przez konwenans ludziom, którzy są sobie prawie obcy i w dodatku dzieli ich wiek i płeć. Mimo że był w głębokiej rozpacz, nie ośmieliłaby się dla pocieszenia wziąć go w ramiona.

- Bardzo kocham Lisę - powiedział, odchrząknąwszy. - Bardzo.

- W życiu różnie się zdarza. Pewnych rzeczy nie da się zmienić ani przewidzieć. Jedyne, co pozostaje, to pogodzić się z tym, co się stało, i... żyć dalej.

- Nie jestem pewien, czy potrafię.

- Gdy umarł mój mąż - zwierzyła mu się - moja przyjaciółka, Joanna Mayfield, napisała do mnie list. - Uśmiechnęła się. - Wprawdzie mieszka nie dalej niż półtora kilometra ode mnie, zdecydowała się jednak napisać, ponieważ chciała, żebym dobrze zapamiętała to, co miała mi do powiedzenia. Chciała, żebym zrozumiała, że choć śmierć męża może mi się wydawać niesprawiedliwa, ziemia się przez to nie zatrzyma w biegu. *Kurz będzie się nadal gromadził w kątach* - pisała. - *Księżycyca będzie przybywało i ubywało. Kwiaty będą kwitły i więdły. Rzeki będą płynęły do morza i życie będzie szło naprzód.* W tej chwili może ci się to wydawać potworne, Ben, ale moja przyjaciółka miała rację.

Patrzył na nią szarymi oczami, w których czaił się smutek.

- Ciekaw jestem, czy rzeczywiście twoje życie nadal toczyło się swoim torem, tak samo jak przedtem? - spytał.

Chciała mu powiedzieć prawdę: że jej życie stanęło w miejscu już wiele lat przedtem, zanim spotkała Erica... Ale nie zdobyła się na to.

- Oczywiście - odparła. - Zawsze tak się dzieje.

Tym razem to on zacisnął palce na jej dłoni.

- Wtedy nie chciałam w to wierzyć, ale to prawda - westchnęła. - Tak to właśnie jest.

- Chwilami się boję, że tracę zmysły - powiedział Ben. - Wiem, że muszę coś zrobić, podjąć jakiś wysiłek, zadbać o to, aby moje życie wróciło do normy, ale... nie mogę. Czuję się jak sparaliżowany.

- Czy otrzymałeś jakąś wiadomość od Lisy?

- Tak. Przed paroma dniami dostałem od niej list. Napisała, że nie wraca. - Wydał z siebie dziwny pomruk, jakby go ktoś kopnął w brzuch.

- Wspomniała o jakichś planach?

- Pisała, że przypuszczalnie wyjedzie do Kalifornii albo do Chicago, gdzie zaproponowano jej pracę. Napisała, że... - głos mu się załamał - że ona... mnie kocha, ale... że nie powinniśmy się byli pobrać... że to był błąd.

Mel się zastanawiała, czy Lisa naprawdę wierzyła w to, co pisze. Bo może był to tylko sposób, by trzymać Bena na dystans. Pamiętała, jak się Lisa zachowywała podczas spotkania w pracowni, którą Ben dla niej urządził. Uśmiech promieniował z całej jej postaci, gdy składała to

zaskakująco proste wyznanie: „Wszystko sprowadza się do tego, że go kocham. Nic dodać, nic ująć!”. Trudno było uwierzyć, że w tym krótkim czasie mogła się aż tak bardzo zmienić.

- Jak myślisz, gdzie ona jest teraz? - spytała. Wzruszył ramionami.

- Najprawdopodobniej w Nowym Jorku.

- Dlaczego więc tam nie pojedziesz i jej nie odszukasz? Jedź do Nowego Jorku, odwiedź miejsca, gdzie zwykliście bywać, wstąp do waszych dawnych przyjaciół. - Znów ścisnęła mu dłoń. - Nie pozwól jej odejść, Ben, próbuj ją zatrzymać.

Potaknął, ale bez przekonania.

- Posłuchaj, Ben. - Wciąż trzymała jego dłoń. - Ja też kiedyś tak postąpiłam. Opuściłam kogoś, kogoś, kto był dla mnie wszystkim, całym światem. I nigdy nie przestałam tego żałować. Od tamtej pory całe życie tego żałuję... Pomyśl, jaka to ogromna, niepowetowana strata.

Patrzył na nią zdumiony i nagle się zorientowała, że mówiła o wiele za głośno.

- Nie pozwól jej tak po prostu odejść - powtórzyła. - Nie zmarnuj tej wielkiej miłości, którą, wiem, że oboje czuliście i wciąż do siebie czujecie.

## — 16 —

Ben próbował sam przed sobą udawać, że Lisy po prostu tylko przez jakiś czas nie będzie. Początkowo starał się utrzymywać w domu porządek, myśląc o tym, jak zareaguje, kiedy wróci i zostanie bałagan, ale z czasem przestało to dla niego cokolwiek znaczyć. W każdym razie nie zawracał sobie tym więcej głowy.

Lisa zabrała ze sobą sporo rzeczy, ale jemu wystarczały te, które zostawiła. Była wśród nich para srebrnych łyżeczek, które dał jej w prezencie, gdy się po raz pierwszy spotkali, mały kryształowy delfin, co wpadł jej w oko na wystawie jakiegoś sklepu, kapa na łóżko w tęczyowy deseń, którą razem kupili na targach rzemiosła i o której zawsze mówiła, że chce, żeby ją w niej pochowano.

Napomknienie o śmierci przywiodło mu na myśl różnego rodzaju wątpliwości. Ben zaczął się zastanawiać, co się dzieje z dziećmi, które rodzą się przedwcześnie i są martwe. Czy chowa się je w grobie? Czy uważa się, że w ogóle warto je chować, czy też traktuje się je po prostu jak strzępy ciała, wrzuca do worka na śmieci i wywozi do spalarni? To pytanie go prześladowało. Na tablicy, na której Lisa wpisywała adresy z adnotacjami, znalazł numer kobiety o imieniu Cheryl. Zadzwoił do niej, ale nikt nie podniósł słuchawki. I nagle Ben sobie uświa-

domił, że gdyby ta kobieta była w domu, odpowiedziała na telefon i usłyszała zadane przez niego raczej niezwykle brzmiące pytanie, to nie wiadomo, co by sobie o nim pomyślała.

Odwiedziny Mel obudziły go z letargu rozpaczy. Już następnego dnia pojechał do Nowego Jorku. Zachęciła go do wyjazdu pasja, jaką wyczytał w ciemnoniebieskich oczach Mel, a nawet to, że jej włosy wydawały się płonąć, kiedy wzywała go, żeby nie siedział beczynnie w domu i nie pozwolił Lisie odejść.

Zastanawiał się, kim w życiu Mel był mężczyzna, który znaczył dla niej tak wiele, że nazywała go całym swoim światem. Na pewno to nie był jej mąż. Ben widział Erica kilka razy. Z letnich wieczorów nad jeziorem pamiętał wielkiego, nadętego faceta, który nie rozstawał się z kieliszkiem; zawsze trzymał w ręku drinka. Ten człowiek nie uznawał krytyki. Nie przyjmował do wiadomości, że mógłby się w czymkolwiek mylić, począwszy od wyników w baseballu, a skończywszy na poprawnym wymawianiu łacińskich słów. Profesor Andersen, ojciec Bena, nie cierpiał tego typu.

Znalazłszy się w Nowym Jorku, Ben wynajął pokój w tanim hoteliku w pobliżu starego mieszkania, jakie zajmował kiedyś z Lisą. Przypomniało mu się, gdy wieszał czyste koszule w rozlatującej się szafie, że kiedyś sobie z Lisą obiecywali, że muszą spędzić noc w tym zakazanym hoteliku, aby zobaczyć, czy rzeczywiście jest tak nędzny wewnątrz, jak wygląda z ulicy. „To chyba niemożliwe” - zwykła mówić Lisa za każdym razem, kiedy przechodzili obok.

Teraz się okazało, że to wnętrze było jeszcze gorsze. Łóżko przykryte cieniutkim kocem, prześcieradła upstrzone niewiadomego pochodzenia plamami, które chyba nie dawały się sprać, i karaluchy rozbiegające się na wszystkie strony, kiedy wchodził do łazienki. Gdyby Lisa była tu z nim, mogliby się z tego pośmiać; prześcigaliby się w odkrywaniu wad i braków tego pokoju. Ale w tej sytuacji Ben uznał, że te poniżające warunki są wszystkim, na co zasługiwał; nic lepszego mu się nie należało.

Aby zadać sobie jeszcze większe katusze, Ben wiele godzin spędzał w ich ulubionej kawiarni. Trzymał w ręce filiżankę cappuccino i wpatrywał się w drzwi z nadzieją, że za chwilę wejdzie Lisa. Widział oczami wyobraźni, jak jej czarne włosy falują na ramionach, i chciał wierzyć, że uśmiechnie się na jego widok, przysiądzie się do stolika i weźmie go za rękę.

Kobieta stojąca za ladą dobrze go pamiętała. Spytała o Lisę i w pewnej chwili Ben poczuł gwałtowną potrzebę zwierzenia się jej ze swoich kłopotów. Niewiele brakowało, żeby to zrobił, ale zjawił się inny klient, który zamówił kawę i pączki.

Licząc na szczęśliwy przypadek, który może sprawić, że znienacka wpadnie na Lisę na



ulicy, Ben godzinami spacerował po mieście. Wystawał na chodniku naprzeciw delikatesów, gdzie zwykle rano kupowali duńskie ciasto na śniadanie; przesiadywał też w małym sklepie, do którego wybierali się po zakupy wieczorami, po jego powrocie z pracy.

Przesiedział pięć seansów na *The Wedding Banquet* w starym i lichym lokalnym kinie, ponieważ wiedział, że jest to ukochany film Lisy.

Podejmując te wszystkie czynności, cały czas miał świadomość, że jego poszukiwania są bezcelowe. Bo niby dlaczego żona miałaby pragnąć powrotu do miejsc, do których oboje mieli sentyment, skoro on najwyraźniej nie zdołał dać jej szczęścia. Niemniej czuł w sobie tak wielką desperację, że nie mógł zaprzestać poszukiwań. I ani na chwilę nie opuszczało go wspomnienie o niej: chodził za nim jej śmiech, prześladował jej uśmiech, spojrzenie zmrużonych oczu, gdy na niego patrzyła, sposób, w jaki wkładała dłoń w zgięcie jego ramienia. Lisa pojawiła się w jego życiu jak jakieś kolorowe zjawisko, jak barwny koliber, a on nie potrafił uchronić jej od rozpacz. Czyż to nie ironia? Tylu ludziom udało mu się uratować życie, ale nie zdołał uratować tego jednego, a właściwie tych dwoje, którzy znaczyli dla niego najwięcej na świecie.

Któregoś popołudnia postanowił wpaść do mieszkania, które kiedyś zajmowała Lisa, a obecnie podnajmowała jej przyjaciółka. Aby się tam dostać, musiał pieszo pokonać wiele kondygnacji, ponieważ winda w tym domu, jak zwykle, była nieczynna.

Sarę znał, bo była na ich ślubie. Kiedy otworzyła drzwi, próbował sobie przypomnieć, kim jest z zawodu. Pomyślał, że chyba fotografem...

- Ben! - zawołała, uśmiechając się. Oczy Sary przesunęły się po jego twarzy, a potem powędrowały dalej w poszukiwaniu Lisy. - Jaka miła niespodzianka! Co cię sprowadza do Big Apple?

- Po prostu wpadłem odwiedzić stare kąty... - Usiłował się uśmiechnąć.

- Zdawało mi się, że nienawidzisz tego miejsca.

- Bo tak jest.

- Lisa nie przyjechała z tobą?

- Nie.

Przyglądała mu się w zamyśleniu.

- Chcesz wejść?

- Chętnie. - Wszedł i usiadł na pasiastym futonie, choć wiedział, że marnuje czas, bo Lisy tu nie ma. Gdyby była, Sara nie wpuściłaby go za próg.

- No i jak wam się żyje na tym zadupiu, gdzie diabeł mówi dobranoc? - spytała wesoło i

klapnęła, skrzyżowawszy nogi, na wielkiej poduszce naprzeciw niego.

- Świetnie.

- Ale wyglądasz bardzo mizernie. Co się dzieje?

- Nic. - Wzruszył ramionami. Nie czuł się na siłach mówić do tej prawie obcej osoby o czymś tak intymnym jak utrata dziecka i załamanie się jego małżeństwa.

- Naprawdę? - Sara płynnym ruchem się podniosła, a jemu, mimo że czuł się bardzo niešťeśliwy, coś drgnęło w pamięci: przypomniał sobie, że ona nie zajmuje się fotografią, tylko jest tancerką. Usiadła obok niego i otoczyła go ramieniem. - Coś się jednak wydarzyło? - dociękała. - Może Lisa cię opuściła? - Gdy potaknął, wzięła go za rękę i spytała wprost: - Kiedy to się stało?

- Parę tygodni temu.

- Nawet mnie to nie dziwi. Lisa wychowała się w wielkim mieście. Nikt z nas nie wierzył, że ona potrafi zaakceptować wiejski styl życia. Powiedziała nam, że zrobi wszystko, co w jej mocy, aby zadomowić się na prowincji, ale nie była pewna, czy jej się to uda. - Sara zdała sobie nagle sprawę, że to, co mówi, nie jest zbyt taktowne, więc tylko wzruszyła ramionami i dokończyła: - Sam wiesz najlepiej, co mam na myśli...

Ben był zaskoczony. Poznał okoliczności, które rzuciły nowe światło na to, czego oczekiwała jego żona po przeprowadzce do Vermontu. Czyżby przeniesienie się na prowincję było dla niej pewnego rodzaju hazardem, świadomie podjętym ryzykiem? Rozważając, jakie ma szanse, nie brała chyba pod uwagę możliwości poniesienia klęski, gdyby eksperyment się nie udał. A może porzucenie go było w istocie tylko jedną z możliwości, jakie miała w swoim zasięgu przez te wszystkie miesiące, które spędzili w Butterfield? Tymczasem, kiedy wyjeżdżali z Nowego Jorku, Ben był święcie przekonany, że o przeprowadzce na wieś jego żona ma takie samo zdanie jak on.

Sara się pochyliła i zaczęła wodzić palcem po jego nodze. Wtedy Ben sobie przypomniał, że ona już raz, wiele lat temu, przystawiała się do niego. Pamiętał, że to było na jakimś przyjęciu, w jakiejś kuchni, że całowała go w usta i przyciskała się do niego całym ciałem, manipulując palcami przy jego spodniach. „O Boże, ależ ty jesteś wspaniale umięśniony” - powiedziała wtedy, a może zawołała: „Ależ z ciebie wspaniała bestyjka!” czy coś w tym rodzaju... Ben próbował teraz udawać, że nic takiego się nie zdarzyło, i wierzył, że ona o tym zapomniała.

- Wy dwoje zawsze byliście tacy... nie wiem, jak to nazwać. Zawsze trzymaliście się razem - powiedziała. - Jeśli małżeństwo miało się komuś udać, byłam pewna, że właśnie wam.

- Tak - mruknął, niezgrabnie wstał i niezdarne odwzajemnił uścisk jej ramion.

- Lisa do ciebie wróci - zapewniła Sara, głaszcząc go po ramieniu. - A zrobi to na pewno, jeśli zdecydujesz się przenieść do miasta.

Ach, więc taką cenę miałyby zapłacić za jej powrót? W drodze do podłego hotelu, w którym mieszkał, Ben minął bar i usłyszał bardzo głośną muzykę, wylewającą się na chodnik, rozrywającą uszy. Po nerwowym, natrętnym dźwięku, po upartym, wybijającym się rytmie rozpoznał tę muzykę, która brzmiała dokładnie tak jak grana przez tysiąc innych ostatnich zespołów rockowych, z jakimi zetknął się w ciągu minionych lat. Pod wpływem nagłego impulsu wszedł do słabo oświetlonego wnętrza lokalu i zajął miejsce przy stoliku na końcu sali. Kiedy przysła kelnerka, zamówił podwójną szkocką whisky z lodem, jakby chciał zmyć z siebie chrapliwe dźwięki tej nachalnej muzyki. Solistą był jeden z tutejszych przyjaciół Lisy. Ben nie lubił go już wtedy, gdy mieszkali w Nowym Jorku, i teraz także nie podobał mu się jego sposób śpiewania. Słuchał jednak, ponieważ muzyka ta przywodziła mu na pamięć wczesne dni małżeństwa, nerwowe migotanie neonowych reklam za oknem, latem zapach mokrych ulic, a zimą mróz lśniący na krawędziach chodników. Przypominała mu smak kawy, woń benzyny i ostry odór uryny w przejściach i zaułkach. Wtedy, przed laty, czuł się taki potężny... przekonany, że jeśli tylko zechce, może rządzić światem. Był pewny Lisy i pewny ich miłości. Teraz niczego nie był pewny.

Głos wokalisty przechodził w krzyk, przekraczając linię melodyczną, jaką narzucała elektryczna gitara. Ben pamiętał, że widywał tego faceta z gitarą w ich starym nowojorskim mieszkaniu. Śpiewak miał twarz poprzekłowaną srebrnymi kólkami i ponabijaną ćwiekami; nawet u jednej brwi dyndał malutki srebrny krzyżyk.

- Te wszystkie metale muszą ważyć z tonę - skomentowała później Lisa, kiedy już leżeli w łóżku.

- A ja jestem zdziwiony, że mu się w ogóle udaje unieść rano głowę znad poduszki.

- Sama też mam przekłute uszy, ale nie rozumiem, co skłania ludzi, żeby się do tego stopnia okaleczali. Wyobrażasz sobie gwóźdź wbity w język? Obrzydlistwo! - Lisa aż się wzdrygnęła.

- Facet nie może już normalnie mówić. - Ben przycisnął wargi do ust Lisy: - Pocałuj mnie, najmilsia! - zaseplenił, naśladując śpiewaka; zaśmiali się i oboje mocno się objęli.

Wiedział, że Lisa niezbyt chętnie przeniosła się do Butterfield, ale nie zdawał sobie sprawy, jak mało miała wiary w to, że plan przeprowadzki na wieś się powiedzie. „Lisa - my-

ślał - dziewczyna lubiąca wielkomiejskie życie... Lisa moja miłość". Ben nagle poczuł, że jego serce zogromniało tak, że już nie mieści się w piersi.

Istna powódź słów nawiedziła jego myśli: „Liso, serce mego serca, źrenico mego oka, światło mego życia...” Jednak gdyby Lisa znalazła się teraz obok niego, nie potrafiłby tych słów wymówić. Schował twarz w dłoniach. Wierzył, że on i Lisa się kochali i że była to miłość wzajemna. Czyżby się mylił? Chyba jednak nigdy nie zważyła w to, że ją kocha.

Kiedy po wielu szklaneczkach whisky, wyczerpany i zgnębiony, przyczłapał się do swego hotelu, padł na brudny koc, nawet nie zdejmując ubrania. I gdy tak leżał, przypomniały mu się słowa Sary:

„Lisa powiedziała nam, że zrobi wszystko, co w jej mocy, aby zadomowić się na prowincji, ale nie była pewna, czy jej się to uda”. „Konkluzja jest oczywista - pomyślał. - Lisa nie była pewna, czy zniesie życie na prowincji, czy wytrzyma”.

„Zrobi wszystko, ale...” To „ale” kładło się cieniem na jego wspomnieniach. Zawsze sądził, że dobrze im ze sobą, że są szczęśliwi, a tymczasem cały czas był obserwowany i krytykowany. Leżał na łóżku, dręczony niepokojem, alkohol piekł go w gardle, patrzył na popękany i brudny sufit i słuchał chrobotu karaluchów w łazience. Na ulicy wyły syreny. W sąsiednim pokoju ktoś bez końca kłął; i ten monotony potok brutalnych słów stanowił właściwe uzupełnienie, świetnie pasujące do jego pogmatwanych myśli.

Nie miało sensu dłużej zostawać w Nowym Jorku. Ben postanowił, że nazajutrz rano wróci do Vermontu.

Przed wyjazdem odwiedził jeszcze teścia, Petera Tana. Starszy pan stał w drzwiach w ciemnych okularach, co mogłaby wyglądać na przejaw pewnej ekscentryczności.

- Jak się masz, Ben? - przywitał zięcia.

- Źle!

- Lisa jeszcze nie wróciła?

- Nie. Była w strasznej depresji od czasu, gdy... gdy straciła dziecko.

- To zrozumiałe.

- Proszę cię, Peter, jeśli się u ciebie zjawi, powiedz jej, że się o nią martwię.

- Zrobię to. - Starszy pan pewnym krokiem wszedł do małej kuchni.

- Napijesz się herbaty?

- Chętnie, dziękuję.

Pokój dzienny był pełen światła, okna wychodziły na mały park, w którym się bawiły

dzieci. W mieszkaniu, jak zawsze, unosiły się zapachy sosu sojowego, zmieszane z wonią palących się laseczek kadzidła. Oprócz ciężkich mebli przywiezionych z Chin mnóstwo tu było różnych pięknych drobiazgów: na półce pod oknem stały konie z nefrytu, a w kilku innych miejscach rzeźbione statuetki z drzewa sandałowego. W pokoju znajdowała się również kanapa, okrągły stolik z drzewa wiśniowego, parę krzeseł i gliniana misa z wodą, w której starszy pan trzymał białe kamelie. Zawsze białe.

Ben się zastanawiał, po co niewidomemu ozdobne cacka i kwiaty. I jaką mu to robiło różnicę, czy kamelie są białe, czy kolorowe? Czyby rozpoznał, gdyby w kwiaciarni sprzedano mu różowe kamelie zamiast białych?

Misa pochodziła z warsztatu Lisy. Ben bez trudu wyobraził sobie jej silne palce ciągnące glinę; widział niemal, jak toczy koło, a włosy spadają jej na twarz jak zawsze, kiedy się koncentrowała na nadawaniu wyrobowi kształtu. Może miała wtedy na sobie różowy kitel, który zwykle nosiła, albo ten drugi, błękitny w odcieniu pawim. Włosy pewnie przewiązała żółtą, a może szkarłatną przepaską i przyśpiewywała sobie głośno do muzyki dochodzącej z przenośnego odtwarzacza.

Nagle poczuł, że łyży szczypią go w oczy, i zamrugał, by je strącić.

- Musisz być cierpliwy, Ben!

Ben rzucił szybkie spojrzenie na teścia i zobaczył ciemne okulary skierowane w swoją stronę, zupełnie jakby Peter go widział.

- Czy mam jakieś inne wyjście? - spytał.

- W tej chwili nie.

Starszy pan przyniósł tacę, a na niej dwie filiżanki z przezroczystej porcelany i okrągły czarny imbryczek z rączką oplecioną słomką.

- Ciekaw jestem, Ben, czy znowu wybierzesz się na wspinaczkę - zagadnął, gdy usiadł przy stole.

- Nie. Na razie się nie wybieram.

- Dlaczego? - Peter nalał herbatę do filiżanek i jedną z nich przesunął w stronę Bena.

- Ponieważ...

- Ponieważ co?

- Pewien mój przyjaciel uważa, że wszyscy alpiniści to samolubne świny - odrzekł Ben. Herbata była zielona i pachnąca. „Wystarczyłoby przymknąć oczy - pomyślał - a mógłbym sobie wyobrazić, że jestem tu razem z Lisą i składamy starszemu panu jedną z naszych regular-

nych wizyt".

- Może muszą tacy być, jeśli chcą przeżyć.

- Ale ja nie mam ochoty być świnia... - Ben gorączkowo szukał odpowiednich słów, by wyrazić swoje myśli, ale gdy mu się zdawało, że już je ma na końcu języka, gdzieś mu umykały. - Niemniej jestem świadom tego, że muszę się wspinać... Góry to jedyne miejsce... gdzie czuję się sobą. - Potrząsnął głową. - Mówię zupełnie bez sensu.

- Wcale nie. To ma sens.

- Ludzie, z którymi się wspinam, dobrze mnie znają: wiedzą, jaki jestem i do czego zmierzam. Nikt inny tego nie wie - ani moja rodzina, ani nawet Lisa. Bo niby skąd mają to wiedzieć? A tak naprawdę, Peter, tylko tam, wysoko w górach, wiem dokładnie, o co mi w życiu chodzi. Nigdzie indziej nie jestem w stanie dojść z sobą do ładu, jedynie tam osiągam spokój ducha. - Popatrzył na delikatną filiżankę i pływające w niej kwiaty jaśminu.

- Chyba się mylisz - usłyszał od teścia.

- Powinienem być zostać w domu przy Lisie! - Ben podniósł głos niemal do krzyku.

- Ale nie zostałeś. A czy jesteś pewny, że gdybyś tak postąpił, sprawy przyjęłyby inny obrót?

- Wiem tylko tyle, że ją zawiodłem.

- Nie sądzę. I prędzej czy później Lisa to zrozumie. Tymczasem musisz po prostu dalej robić swoje.

- Nie chcę - obcesowo odparł Ben. - Bez Lisy nie chcę.

- Więc co? Poddasz się bez walki? Dasz za wygraną? Nie, Ben! Stać cię na więcej!

Wracając samochodem do Butterfield, Ben się zastanawiał, czy teść miał rację.

Jeszcze jedno sobotnie rano bez Lisy. Nie było jej już ponad trzy tygodnie. Bujny koloryt lipca powoli ustępował miejsca przykurzonej zieleni sierpnia. A Ben wciąż nie mógł pogodzić się z faktem, że czas biegnie i życie toczy się dalej; że więzy łączące go z Lisą tak nagle się zerwały... Kiedy sięgał myślą wstecz, wydawało mu się, że kryzys przyszedł nagle: jednego dnia byli szczęśliwi i błogo im było na duszy, a już następnego Lisa od niego odeszła. Jednocześnie rozumiał, że rozkład małżeństwa musiał być procesem trwającym dłużej, a katastrofa nie nastąpiła z dnia na dzień. Przypominał sobie chwile, gdy Lisa wyrażała swoje niezadowolenie, a on mimo że to zauważał, ignorował sprawę, nie uznawał jej za ważną.

Patrząc na swe odbicie w łazienkowym lustrze, z trudem się rozpoznawał: wychudzona twarz, kościste policzki i wpadnięte oczy. „Najwyższy czas - pomyślał - wprowadzić ład do

swego życia, uporządkować to, co powinno stanowić stałą, codzienną rutynę". Nie pamiętał, kiedy ostatnio jadł jakiś przyzwoity posiłek. Jeśli ma zacząć żyć jak dawniej, musi się przyzwyczaić odżywiać. Trzeba skończyć z byle jakimi przekąskami, napędce połykanymi kanapkami i pizzą „na wynos”. Mel przyniosła mu szynkę, jabłka i świeże mleko. Ale kiedy to było? Chyba już dawno temu.

Pojechał do Farmerskiej Hali Targowej, gdzie kupił kurę rasy Cornish Rock, mającą doskonale mięso, oraz młode ziemniaki, zieloną sałatę, duże pomidory, czerwone cebule i awokado. Na ladzie, gdzie sprzedawano owoce, zobaczył świeże brzoskwinie i z myślą o Mel wziął pół tuzina. Produkty, które nabył, nie wyróżniały się niczym szczególnym, ale były prawdziwym jedzeniem: pachniały ziemią, liśćmi i warzywnym ogrodem. To było coś zupełnie innego niż dania z zamrażarki albo łatwe, niewymagające specjalnego przygotowania potrawy, takie choćby jak hamburgery. Pchając wózek do kasy, wpadł na Sarę Mahoney, a potem wymienił uśmiech z jedną z młodych pań pracujących w księgarni Joanny Mayfield.

Robiąc zakupy, mógł nie tylko spotkać znajomych, ale także przekonać się, że chociaż jego życie stało w miejscu, ziemia kręci się nadal.

Mimo wczesnej pory Ben zabrał się do przyrządzania kurczaka. Marynatą z oliwy, soli, pieprzu, świeżych ziół i francuskiej musztardy pokrył ptaka, jakiś czas go w niej potrzymał, a potem włożył do piekarnika. Otworzył butelkę chardonnay. Postanowił, że nieco później ugotuje ziemniaki; zrobi też sałatkę z pomidorów i awokado: najpierw posypie je drobno posiekaną cebulą i przyprawi na sposób francuski oryginalną musztardą Dijon i miodem, a następnie obficie poleje zieloną hiszpańską oliwą.

Pociągając chłodne wino, leniwie wertował książkę kucharską; od czasu do czasu zatrzymywał się przy jakimś ciekawszym, wyszukany przepisie, żeby dokładniej go przestudiować. Nie starczyłoby mu czasu, by codziennie zgłębiać tajniki sztuki kulinarnej, ale bez trudu mógł przygotować teriyakę, czyli sałatkę z krewetek po japońsku, pieczeń z jagnięciny, risotto, duszonego łososia czy omlety. Ben lubił dobrze zjeść, a jako dziecko spędzał o wiele więcej czasu w kuchni z matką, niż kiedykolwiek zdarzało się to Neilowi.

Natrafił na kolorową reprodukcję tarty brzoskwiniowej: połówki brzoskwiń pokryte gęstym kremem, zapiekane w kruchym cieście, a następnie polane lśniącą glazurą. Przypuszczał, że przepisu tego musiała używać Lisa, bo cała stronica była upstrzona plamami po maśle, a w zgięciu książki znalazł trzy kryształki cukru. Ben polizał palec, zebrał nim cukier i włożył do ust. Od razu mu się przypomniała Lisa. Oczami wyobraźni widział ją, jak stoi w kuchni w bla-

doróżowej perkalowej spódnicy i białej sportowej bluzce i miesza w garach, coraz to coś próbując, smakując, posypując tu i ówdzie cukrem. W pewnej chwili upuszcza posmarowany masłem nóż, i ten wpada do otwartej kucharskiej książki.

Gdy rozległ się głośny dzwonek telefonu, Ben pobiegł w nadziei, że może to Lisa. Ale choć bardzo tego pragnął, z góry wiedział, że to nie ona. Było jednak całkiem prawdopodobne, że dzwoni jego mama. Inna rzecz, że wysłuchiwanie wyrazów współczucia i dziękowanie jej za nie było niemal tak trudne, jak gdyby to on musiał je składać. Podniósł słuchawkę, czując, że w sercu powstał jakiś wymyślny splot tęsknoty i samotności. Zdecydowanie zepchnął oba te uczucia na samo dno duszy i przedstawił się:

- Tu Ben Andersen.

- Dobry wieczór panu. Jak się pan dzisiaj czuje?

- Dziękuję, dobrze! - odparł, jednocześnie zastanawiając się, czy zna ten głos.

- Zacznę od tego, że nie usiłuję panu niczego sprzedać, ale może będzie pan zainteresowany...

Teraz już wiedział, że ten cukierkowy przymilny ton to nic innego, jak sposób na zdobycie klienta; akwizycja przez telefon.

- Nie! Nie jestem zainteresowany - warknął i odłożył słuchawkę.

Z kuchni coraz intensywniej dolatywał smakowity zapach pieczonego mięsa. Ben nalał sobie jeszcze jeden kieliszek chardonnay. Czuł potem żar w żołądku, płomienny jak kolor wina. W pierwszym pokoju, w szufladzie kredensu, pod paczką papierowych serwetek pozostałych po Bożym Narodzeniu leżał batystowy obrus, który otrzymali w prezencie ślubnym. Był ręcznie haftowany w zielonolistne żółte stokrotki.

Pamiętał, że Lisa klęczała na podłodze i szukała karty, by wyczytać, kto im ten prezent ofiarował.

- Wspaniały jest ten obrus - powiedziała - ale strach pomyśleć, ile będzie kosztowało jego „utrzymanie”.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Tylko to, że zbankrutujemy, płacąc rachunki za pranie. Oczywiście, jeśli go w ogóle kiedykolwiek użyjemy. Przecież nie ma mowy, żeby takie cudo wsadzić do zwykłej pralki. Ten obrus nadaje się wyłącznie do specjalistycznego czyszczenia.

W rezultacie nigdy nie zjedli żadnego posiłku na pięknym obrusie. Teraz Ben go przetrzepał i starannie rozłożył na stole. Nakrył na dwie osoby, znalazł dwa zielone kieliszki do wi-



na, postawił je na dwóch dobranych kolorem szklanych talerzykach, które miały zastąpić maty. Wyszukał fotografię Lisy, którą zrobił w dniu ich wesela. Był to trochę nietypowy portret, na którym Lisa odwraca głowę i się śmieje. Nosiła wtedy dłuższe włosy, więc rozwiane otaczały twarz jak u Wenus na obrazie Botticellego. Na głowie miała wianek z żywych białych kwiatów.

Ben ustawił na krześle wysoką stertę książek, a na wierzchu umieścił fotografię Lisy. Potem podniósł kieliszek w toastie na jej cześć:

- Liso! - powiedział już lekko pijany. - Kocham cię i zawsze będę cię kochał. Tak mi cię brak... Bardzo cię potrzebuję. - Przyniósł na stół dwa lichtarze i zapalił świece.

Pomidory, które trzymał w dłoni, były ciepłe i mięsiste. Przybliżył je do nosa: pachniały wielce obiecująco, ale nie dorównywały tym, które hodowała jego mama. Pokroił je, skropił oliwą i posypał drobno pociętymi listkami bazylii. Przypomnił sobie letnie wieczory, kiedy go posyłano do ogródka, by zerwał kilka pomidorów, zanim rodzina zasiądzie do kolacji. Pamiętał zapach pnących się gałązek, gdy wkładał rękę między liście, szukając mięsistego owocu, i woń letniego upału, jakim tchnęła czerwona skórka pomidora. Pomyślał, że w przyszłym roku sam będzie hodować pomidory w ogródku z tyłu domu. Posadzi też kukurydzę, bo niewiele warzyw ma tak dobry smak, jak świeżo zerwana kukurydza.

Z piekarnika wyjął kurczaka, pokroił go i kilka plasterów ciemnego i jasnego mięsa położył na talerzu. Ugotowane w łupinach ziemniaki podsmażył na rozpuszczonym na patelni maśle, podrzucał je, mieszając, potem posypał posiekaną natką pietruszki; następnie nieco białego wina wlał do tłuszczu, jaki pozostał na patelni, zamieszał i sosem tym oblał potrawę. W końcu zaniósł talerz na stół; osobno postawił miskę sałaty, którą przyprawił do smaku, po czym nareszcie rozpoczął ucztę. Lisa śmiała się do niego z portretu ustawionego po drugiej stronie stołu, irrealna w migoczącym świetle świec. Tak bardzo mu jej brakowało... Nie wiadomo, czy to łzy, czy też wino, które wypił, sprawiło, że jej obraz zmieniał się i zamazywał w jego oczach.

- Liso! - powtórzył znowu. - Kocham cię!

Wziął nóż i widelec, dolał sobie jeszcze wina i zabrał się do jedzenia. Udawał, że trzeba żyć dalej.

Gdy potem znowu zadzwonił telefon, Ben sięgnął po słuchawkę i bez większej nadziei przyłożył ją do ucha.

- Benjamin? - usłyszał.

- Cześć, Peter!

- Jak się dziś miewasz, Benjaminie?

- Dobrze. A co u ciebie?

- Wszystko w porządku, dziękuję. Dzwonię do ciebie, ponieważ wczoraj wieczór miałem telefon.

- Od Lisy?

- Tak.

Ben sam się sobie dziwił, że udało mu się przyjąć tę informację niezwykle obojętnie. Jeszcze bardzo niedawno jego serce wibrowałoby jak widelki stroikowe, gdyby wiedział, że za chwilę Peter przekaże mu wiadomość od Lisy. Cały żyłby nadzieją, że usłyszy jakieś szczególne przesłanie jako dowód, że żonie wciąż jeszcze na nim zależy. Teraz zmądrzał i potrafił lepiej oceniać sytuację.

- Jak ona się miewa? - spytał. - Czy jest zdrowa i... szczęśliwa?

- Jest zdrowa - odparł Peter - ale nie jestem pewien, czy szczęśliwa. Powiedziała mi, że się przeniosi do Kalifornii.

„O, nie! - pomyślał Ben. - To zbyt daleko”. Choć wiedział, że nie ma nadziei, mimo wszystko wierzył, że żona kiedyś wróci; któregoś dnia przyjdzie do domu i zastanie ją zwiniętą w kącie kanapy albo szykującą coś do jedzenia w kuchni. Oczami wyobraźni widział, jak się uśmiecha, jak odrzuca do tyłu włosy; mocniej przycisnął do ucha słuchawkę. „A więc do tego doszło... - rozmyślał. - Lisa wyjeżdża”. Teraz nie było już żadnej nadziei.

- Czy wiesz, dokąd się udaje w Kalifornii?

- Tego nie powiedziała.

- Jesteś pewny? - Ben po prostu nie mógł w to uwierzyć.

- Oczywiście, że jestem tego pewny - zgryźliwie odszczeknął Peter. - Tylko moje oczy źle pracują, Benjaminie; uszy są w najlepszym porządku.

- Przepraszam.

- Lisa wie, że dla mnie jest to bez znaczenia. I tak nie pojedę, żeby się z nią zobaczyć, bo przecież nie mogę... A poza tym, jak pewnie sam zauważyłeś, Lisa jest bardzo zamkniętą w sobie młodą kobietą. Trzyma się z daleka i można powiedzieć, że wobec ludzi zachowuje się z rezerwą. - Peter mówił urywanym głosem. - Nie wychowywała się w normalnych warunkach. Okoliczności wcześniej zmusiły ją do samodzielności. A w ogóle to ona zawsze różniła się od swoich rówieśników.

- Tę właśnie inność w niej kochałem.

- Ja też - oświadczył ojciec Lisy.

- A czy kiedykolwiek jej to powiedziałaś? - spytał ostrym tonem Ben.

- Nie było takiej potrzeby, ona to wiedziała.

- Nie sędzę, by wiedziała. Ona myśli, że ty jej nie kochasz, że ci na niej nie zależy. -

Miesiąc czy nawet jeszcze tydzień temu nie mieściłoby się Benowi w głowie, że się ośmieli w taki sposób zwracać do teścia.

Na drugim końcu linii zapanowała cisza. Potem Tan mruknął niemal szeptem:

- To nonsens!

- Nonsens lub nie, ale Lisa tak właśnie myśli.

- Rozumiem.

Przez dłuższą chwilę obaj milczeli.

- Jeśli Lisa wyjedzie do Kalifornii, to jak będziesz sobie radził? - odezwał się w końcu Ben.

- Tak jak zawsze.

- Bo jeśli chcesz, mógłbym cię odwiedzać.

- Miło z twojej strony, że o tym pomyślałeś - spokojnym, wyważonym tonem powiedział starszy pan - ale mam tu wielu przyjaciół. W ciągu minionych lat nauczyłem się dostosowywać do swoich możliwości i nabrałem pewnej rutyny. Mam dom, w którym czuję się swobodnie i swojsko, i prowadzę bardzo przyjemny tryb życia.

Ben z trudem mógł uwierzyć, że ktoś, kto stracił wzrok, uważa swoje życie za przyjemne. Ale teść, jakby czytając w jego myślach, dodał:

- Utrata wzroku niekoniecznie musi być katastrofą, wiesz?

- Jasne, że nie.

- A ty, Benjaminie... jak sobie radzisz?

- No cóż? Jakoś sobie radzę, i to chyba dobrze odzwierciedla moją sytuację.

- Wydaje mi się, że Lisa musi wiele rzeczy przemyśleć... - orzekł Peter Tan. - Chciałbym wierzyć - odchrząknął - że nie zabierze jej to zbyt wiele czasu i że nie trzeba będzie długo czekać, aż znajdzie rozwiązanie. A co ty o tym myślisz, Benjaminie?

- Nie rozumiem, dlaczego mówisz w ten sposób?

- Ponieważ nie sędzę, żebyś chciał czekać na nią w nieskończoność.

Ben miał zamiar zaprzeczyć, chciał zaręczyć, że jest gotów czekać na Lisę tak długo, jak to będzie potrzebne, ale ból z powodu jej odejścia i przedłużającej się nieobecności powstrzymał go przed zbyt wiążącymi zapewnieniami.

- Kocham ją - powiedział cicho - i kochałem nasze dziecko. Przekaż jej to, gdy znów do ciebie zadzwoni.

## — 17 —

Po drugiej stronie krytego mostu w Parris droga stawała się coraz gorsza i coraz mniej spotykało się domów. Ben mijał brzydkie wiktoriańskie drewniaki, stojące w niechlujnych obejściach, na czerwono pomalowane farmerskie zabudowania, nad którymi górowały obłe kształty silosów, tu i ówdzie zdarzał się jakiś kościół albo stodoła, gdzie odbywały się aukcje i tania sprzedaż i gdzie wczesnym latem kupił na licytacji fotel bujany z toczonego klonowego drewna.

Lubił wyobrazać sobie Lisę, jak siedzi w bujaku, trzymając dziecko przy piersi. Miał sentyment do takich foteli ze względu na wciąż żywe wspomnienie babci. Chwilami mu się zdawało, że słyszy jeszcze stukot i skrzypienie starego mebla na drewnianej podłodze domu babci w Concord. Ben pragnął, by jego dziecko było związane z tradycją, w jakiej on sam wyrastał; toteż całe dnie poświęcał na odnowienie tego bujaka. Zeskrobywał brud, jaki przez lata się na nim nawarstwił, tarł papierem ściernym drewno aż do żywej deski, nacierał je oliwą, czyścił, szorował, znowu oliwił, dopóki nie zaczęły przeświecać pierścienie słojów.

Góry były już blisko. Ben przejeżdżał przez coraz wyżej położone tereny, gdzie skały i głazy wznosiły się wysoko nad ziemią, drzewa widziało się tylko na skraju drogi, potoki spływały z górnych partii, przeciskając się między skałami. O tej porze roku strumyki wyglądały mizernie jak nitki, ale w porze deszczowej zamieniały się w prawdziwe wodospady.

Gdy dojechał do Weston Notch, góry zaczęły się już oddalać, a drzewa coraz częściej przybierały kolory jesieni: brązu, żółci i purpury. Między drzewami widać było wyraźnie się rysującą srebrną linię jeziora.

Podziwiając urodę tutejszego krajobrazu, Ben nieraz się zastanawiał, dlaczego Lisa na widok tego piękna nie doświadcza takich uniesień ducha, jak on. Dopiero teraz, gdy znaleźli się daleko od siebie, zrozumiał, że po prostu ten pejzaż był jej obcy. A niby dlaczego miałyby być inaczej? Zawstydział się, gdy sobie przypominał, że bardzo długo nie chciał przyjąć do wiadomości faktu, iż miejsce, dla niego tak ważne, dla niej nie miało większego znaczenia.

Zatrzymał się obok małego wiejskiego sklepu w Hallam's Cove, wyłączył silnik i wyszedł z samochodu.

Frank Oakes, właściciel sklepu, stał przy pękatym piecu w samym środku lokalu i rozmawiał ze strażnikiem Parku Narodowego.

- Co cię do nas sprowadza, Ben? - spytał.

- Chciałem zobaczyć, jak tu wygląda o tej porze roku.

- Lato jakby już przemijało.

- Tak mówią.

- A jak ci się w ogóle żyje? - Na twarzy Franka malowało się współczucie.

- Dobrze, Frank. A co u ciebie?

- Jakoś się żyje, dziękuję. Ben wziął druciany koszyk

- Muszę przygotować sobie jakieś zapasy - tłumaczył. - Już i tak w ostatniej chwili zdecydowałem się zrobić zakupy.

- Mówią, że w tym roku wcześniej spadnie śnieg.

- Też to słyszałem.

- Wyobraź sobie, że tej zimy mają sprowadzić do nas pługi śnieżne. Dawniej nigdy tego nie robili; zdarzało się, że całe miesiące byliśmy odcięci od świata.

- Tak, czasem nasza sytuacja była wręcz rozpaczliwa - dodał strażnik.

- Bywało, że ludzie musieli jeść psy, aby nie umrzeć z głodu. - Frank uśmiechnął się do Bena, ukazując pożółkłe zęby. - Ale ciebie, Ben, nie było jeszcze wtedy na świecie.

- A kiedy zaczynało brakować psów - dodał strażnik - zjadali dzieci...

- Albo żony.

Obaj mężczyźni parsknęli śmiechem, a Ben ruszył wzdłuż półek wypełnionych towarami, zaopatrując się w potrzebne mu produkty. Wziął z kosza chleb, z chłodziarki bekon i paczkę parówek. Dobrał jeszcze sok pomarańczowy, jabłka, jaja i karton mleka. W domu miał puszki z konserwami i sporo jedzenia w zamrażarce, więc na pewno nie umrze z głodu.

Wkrótce był już znowu na trasie. Pierwsze przykre doznania zaczęły się jakieś trzy kilometry dalej. Najpierw poczuł sensacje w żołądku. To jego pierwszy przyjazd nad jezioro, od kiedy opuściła go żona. Może w jakimś równoległym istniejącym wszechświecie wciąż jeszcze żył dawny Ben Andersen, alpinista, mąż, niedoszły ojciec... ale ten, który zjawił się tu dzisiaj, słaby i wyczerpany, przypominał jedynie cień dawnego Bena.

Chociaż droga była pusta, zatrąbił i zjechał z asfaltu na polny trakt. Przejechał obok skrzynek pocztowych i tablic, na których wypisano nazwiska właścicieli posesji z tej strony jeziora: Andersen, Forster, Sherman, Abrams, Cheney. W dzieciństwie on, Neil i Rory bawili

się całe lato z chłopcami Cheneyów, a także z Howiem Abramsem i Dickiem Forsterem; urządzali obozy, palili papierosy, co było surowo zabronione, mówili nieprzyzwoite słowa i godzinami przesiadywali w kucki na dnie ciężkiej starej łodzi z wiosłami, którą ojciec Howiego przycumował do swojej mizernej przystani nad jeziorem. W tamtym czasie ci chłopcy byli sobie bardziej bliscy niż bracia, później jednak się nie spotykali: od lat żadnego z nich nie widział. Słyszał, że Dickie ożenił się z Francuzką i podobno zamieszkał w Paryżu. Od kogoś innego się dowiedział, że Howie stracił w wypadku samochodowym wzrok, na szczęście tylko w jednym oku.

W pamięci Bena utkwiała pewna szczególna woń, która towarzyszyła tamtym letnim miesiącom. Jeszcze teraz czuł zapach ciepłej skóry, olejku do opalania, nagrzanego słońcem drewna, dymu i pieczonego na grillu mięsa.

Ożyły wspomnienia wielu wspólnie spędzonych wieczorów... Dzieci bawiły się pod drzewami w różne wymyślne gry, a tato, mama i ciocia Evie pili martini i jedli hamburgery, które skwierczały na patelni obok zawiniętych w folię kolb kukurydzy i kurzych nóżek.

Jadąc do letniego domku, wracał myślą do przeszłości. Drogę wyściełały opadłe liście, które latami się tu nawarstwiały. Jechał ostrożnie. Przypomniał mu się smak sałatki z pomidorów i ostrego sosu do pieczonego na rożnie mięsa. Zdawało mu się, że czuje ten smak na języku. Zatrzymał się przed frontem domu. Za nim lśniło w popołudniowym słońcu jezioro. Z bagażnika auta wyciągnął duży papierowy worek z zakupami, wyjął z kieszeni klucze i otworzył drzwi.

Wewnątrz panował straszliwy zaduch. Ben miał wrażenie, że upał przywarł do drewnianych ścian i sufitu i utkwiał tam na dobre. Pokój dzienny wyglądał brzydko jak zawsze, był dokładnie taki, jakim zachował go w pamięci: na parapetach okien leżał piasek; dywanik przed kominkiem nadal szpeciła plama w kształcie serca; zrolowany śpiwór stał za tapczanem; książki w miękkich okładkach miały ośle uszy. Tyle wspomnień wiązało się z tym miejscem! Kiedyś wierzył, że Lisa wrośnie w ten dom i stanie się jego nieodłączną częścią jak żona Neila. Ale okazało się, że żona pragnie czegoś zupełnie innego. Mała Rosie nigdy nie będzie się huśtała w hamaku ani stawiała zamków z piasku na plaży. Nie będzie się też kąpała w jeziorze ani próbowała łapać węgorzy pod powierzchnią wody.

Cisnął zakupy na ladę w kuchni i otworzył drzwi wychodzące na przystań. Hamak wciąż się huśtał, rozpięty między drzewami. „To tu się właśnie stało - pomyślał. - To tu Lisa była wtedy, kiedy straciła dziecko”.

Zszedł na dół i skierował się w stronę hamaka, stąpając po szpilkach sosnowych jak po dywanie. Zbliżywszy się, zobaczył trawę o zmienionym kolorze, całą w plamach, kilka zeschniętych gałązek lawendy i małą jodłową szyszkę, ciemną od krwi. Jej krwi. Lisy... A może to była krew Rosie? Wyobraźnia narzuciła mu obrazy, których wcale nie pragnął oglądać. Widział Lisę, która leżała, może drzemała w hamaku, gdy nagle poczuła silny ból. Ból stawał się coraz mocniejszy, może zaczęły się skurcze... Jej drobne ciało próbowało wydalić z siebie dziecko, które w sobie nosiła. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc.

Krew tryskała z niej strumieniami, krzepnąc na trawie. Lisa nie ośmieliła się nawet poruszyć, bojąc się, że mogłoby to pogorszyć jej stan. Jeszcze wtedy nie wiedziała, że dziecko jest martwe.

Ben gwałtownie się odwrócił i poszedł do domu. U stóp schodów wiodących na ganek zerwał gałązkę z krzaku rozmarynu. Ostry zapach przypominał mu złote lata dzieciństwa już bezpowrotnie stracone. I głos ojca: „Duzi chłopcy nie płaczą”.

- Ależ oni płaczą... - powiedział cicho do siebie.

Joanna stała przed letnim domkiem Mel i dokładnie mu się przyglądała. Jedną rękę trzymała na klamce samochodu, ale nie spieszyła się z wypakowywaniem rzeczy. Promienie zachodzącego słońca padały z ukosa, prześwitując przez liście brzozy i klonu, i oświetlały konary sosen.

- Zapomniałam już, jak fantastycznie twój domek wygląda na tle jeziora - powiedziała. - Pięknie tu.

- Wiem. - Mel wyjęła rzeczy z bagażnika i obładowawszy się torbami i paczkami, weszła na wykładaną drewnem ścieżkę, prowadzącą od utwardzonego parkingu do jej domku.

Joanna wzięła swoje i przyjaciółki buty do chodzenia po górach, karton z produktami spożywczymi oparła na biodrze i ruszyła za Mel. W domu Mel postawiła turystyczną lodówkę na kuchennej ladzie i zabrała się do jej opróżniania.

- Wyobraź sobie - zwróciła się do Joanny - że był taki moment, kiedy Eric chciał, żebyśmy się przenieśli tutaj na stałe?

- Chryste, co za koszmarny pomysł!

- To mu właśnie powiedziałam. Eric wspominał nawet, że chciałby, abyśmy hodowali własne jarzyny i zwierzęta na mięso, sadzili własne ziemniaki i jesienią je wykopywali. Możesz to sobie wyobrazić?

- Szczerze mówiąc, nie. Ciekawa jestem, jak na to zareagowałaś i czy choć raz mu się ostro postawiłaś?

- Tak, wtedy mu się postawiłam. Jeden jedyny raz... Powiedziałam mu, że w ziemniakach interesuje mnie tylko to, czy mają być podane w postaci frytek, czy pieczone, z kwaśną śmietaną i szczypiorkiem. A poza tym... pomijając już wszystko inne... przez jakieś pięć miesięcy w roku nie można by się stąd wydostać, żeby dotrzeć do Butterfield, a ja nie zamierzałam odcinać się od świata na tak długo. - Przerwała. - Prawdę mówiąc, nie zdecydowałabym się na to, gdyby nawet chodziło tylko o kilka dni.

- Czy siła twoich argumentów go przekonała?

- Niestety, nie.

- A więc?

- Po prostu mu powiedziałam, że jak chce, to niech sam tutaj zamieszka, a ja zostanę w mieście.

- Byłaś bardzo odważna. Brawo!

- Tak. - Mel zaśmiała się lekko zażenowana. Wolą nie pamiętać tego wieczoru, kiedy się pokłócili: pociemniałej ze złości twarzy Erica i jego oburzenia, że po raz pierwszy, odkąd są małżeństwem, ona nie godzi się na to, czego on pragnie.

Wyjęła z chłodziarki butelkę białego wina i zaczęła szukać w szufladach korkociągu.

- Może jest jeszcze za wcześnie na picie alkoholu, jak myślisz? - spytała.

- Nie, kochanie, na to nigdy nie jest za wcześnie. - Joanna rozglądała się dookoła z uznaniem. - Dużo zrobiłaś od mojej ostatniej wizyty, a zmiany, które wprowadziłaś, jak sądzę, nie byłyby po myśli Erica...

- Zawsze różniliśmy się, jeśli chodzi o wystrój wnętrz.

- Mnie się bardziej podobają twoje pomysły.

- Mnie też. - Mel pchnęła przesuwane drzwi i wyszła na taras. Odkurzyła dwa składane fotele typu Adirondack i od razu obie się na nich rozsiadły. Popijały wino, które postawiły na niskim stoliku między sobą.

Upał był nie do wytrzymania. Gorące powietrze wsiąkało w gonty i ściany domku i mocno piekło w plecy. Siedziały, trzymając bose stopy oparte wysoko o poręcz pomostu, a słońce paliło żarem wodę, która lśniła, jakby ktoś rozsypał w niej brylanty.

- Boże, jak jest gorąco... - Joanna wytarła twarz rękawem. - Chyba z trzydzieści stopni albo i więcej.



- Ale gdy słońce zajdzie, zrobi się zimno. - Mel spojrzała w górę. - Czy to nie dziwne, że niebo jesienią jest bardziej błękitne niż latem.

- Tym się między sobą różnimy - stwierdziła Joanna - że ja takich rzeczy nie zauważam.

- Czy tu nie jest cudownie? - Mel rozłożyła ramiona. - Tak lubię czuć ziemię pod nogami i wdychać zapach lasu. Może zobaczymy jelenia. Pełno ich w tym lesie. I sporo lisów się tutaj spotyka. Kiedy ostatnio tu byłam, widziałam całą lisią rodzinę bawiącą się przed moim domkiem.

- No tak, ale w obrębie wielu kilometrów możesz nie spotkać człowieka - zauważyła z kwaśną miną Joanna. - Tylko że ty to pewnie uwielbiasz, prawda?

- Jest tu więcej ludzi, niż przypuszczasz. Gdy się zrobi ciemno, zobaczysz, ile najróżniejszych świateł pojawi się w lasach i wokół jeziora. Chyba się nie boisz? Przecież już nieraz bywałyśmy tu tylko we dwie.

- Zgoda, ale wtedy też czułam się podobnie. Nigdy nie lubiłam tego miejsca.

- To nieprawda.

- A jednak. Przyjechałam tylko po to, żeby ci dotrzymać towarzystwa.

- Dotąd nie zdawałam sobie sprawy, że ty się rzeczywiście boisz... - dziwiła się Mel.

- Być może tak się u mnie objawia agorafobia.

- Powinnaś była zabrać ze sobą Jamiego, jak ci proponowałam.

- Ale on akurat miał ochotę wybrać się do ojca. - Joanna głośno westchnęła. - Nie sądziłam, że to kiedykolwiek powiem: patrząc wstecz, dochodzę jednak do wniosku, że Gordon, choć trochę niezdarny i mało wrażliwy, był całkiem niezłym facetem i mimo że opuścił mnie dla panny Bubblehead, wyrzucam sobie, że go nie doceniałam.

- Co takiego? Po raz pierwszy słyszę, że mówisz o nim trochę pozytywnie.

- Być może złagodniałam...

- Ach, Joanno, kochanie, proszę cię, nie rób się łagodna! Nie mogłabym tego znieść. Bądź po prostu nadal tą starą zrzędą, jaką zawsze byłaś.

- Niech ci będzie! Dobrze! - uśmiechnęła się. - Chcesz teraz popływać?

- Uprzedzam, że woda jest lodowata.

- Coś ty? W tym upale? Dla mnie na pewno nie będzie zbyt chłodna.

- Nie mamy strojów kąpielowych.

- Mnie to nie przeszkadza! - I Joanna zaczęła zdejmować bluzkę.

- W porządku! - Mel wstała, ściągnęła z siebie podkoszulek, rozpięła stanik i zdjęła dzin-

sy. - Która ostatnia wejdzie do wody, ta zrobi kolację!

Naga zbiegła schodami z przystani na brzeg jeziora. Pod nogami wyczuwała miękką ziemię, wyściełaną sosnowymi igłami. Płaskie skały, tu i ówdzie pokryte złocistymi porostami, tonęły w jasnozielonym mchu. Joanna sunęła za nią; dotarły do wąskiego przybrzeżnego pasa pokrytego prawie białym piaskiem, tworzącego malutką plażę. Mel pobiegła do wody, pokonując płataninę gałązek i roślinnych odpadów. Przenikliwy chłód wody zaskoczył ją i oszołomił jak elektryczny wstrząs. Od razu zaparło jej dech. Skuliła się, nie miała ochoty wystawić na zimno ani jednego milimetra swego ciała. Po chwili zmieniła jednak zdanie i zanurzyła się w ciemnej wodzie. Zrobiła jeszcze kilka niezgrabnych ruchów i wypłynęła dalej, do miejsca, gdzie woda sięgała jej po pas.

- Ja-da-da-da-da! - śpiewała. Zamrugła, kiedy Joanna plusnęła do wody, oblewając ją prysznicem zimna. - Wygrałam! - triumfalnie obwieściła przyjaciółce.

- A obiecywałaś, że ty przygotujesz kolację - z wyrzutem przypomniała Joanna, głośno dysząc i śmiejąc się. - To był jedyny powód, dla którego tu przyjechałam. - Uderzała wodę na płask obiema dłońmi, aż powstała wokół niej fontanna rozpryskujących się strumieni. - Bbożże! Ale zimno! - szczykała zębami. Włosy odstawały jej od twarzy, ciemniejsze końce zwiślały jak szczurze ogony. Ciężkie piersi z dużymi brązowymi brodawkami, obfite biodra i pełne uda przyjaciółki przypomniały Mel kąpielisko w Budapeszcie i te nagie kobiety o bujnie rozrośniętych i rozrzutnie wykarmionych ciałach. Patrząc na własną, tak dobrze sobie znaną figurę, na gęsią skórkę, jasne kędziorki włosów łonowych, widoczne pod powierzchnią wody, na białe uda zanurzone w brązowawej toni, Mel poczuła nagły smutek.

Na brzegu wciąż wisiał hamak zawieszony między sosnami, ale próbowała nie wracać myślami do tego dnia sprzed trzech tygodni, do bladej jak śmierć twarzy Lisy i jej krwi powoli kapiącej na sosnowe szpilki.

- Wciąż nie masz znaku życia od Lisy? - spytała Joanna, jakby szła za tokiem myśli Mel.

- Wiem, że skontaktowała się z Benem, ale ja żadnej wiadomości od niej nie dostałam.

- Ciekawe, dokąd wyjechała.

- Kto to wie? - odparła lekkim tonem Mel. Zauważyła jakiś ruch w oknach kuchennych domu Andersenów i poczuła, że słońce coraz mocniej ją przypieka. Nabrała w miseczki dłoni wody i oblała nią Joannę; patrzyła na jasne krople tęczowo złocące się w słońcu. Po chwili zamierzyła się ponownie, a Joanna, przechyliwszy się do tyłu, by uniknąć oblania, potknęła się i omal nie upadła.

- Co ty?... - Joanna ciężko stąpała po mieliźnie, szeroko śmiejąc się dużymi, pełnymi ustami. Nagle cała się wynurzyła i z impetem rzuciła na Mel. Na chwilę obie przyłgnęły do siebie, usiłując mocno wbić stopy w błotnisty muł, by się utrzymać na oślizgłym dnie. Palce zsuwały się po zmoczonych śliskich ciałach, gdy kurczowo chwyciły się za lśniącą jak u delfina skórę. Pokrzykiwały i miotały się splątane, drżąc z zimna i zstępując w coraz głębszą wodę.

- O, mój Boże! - sapała Mel. - Ale zimno...

Na moment szczepiły się, zbliżając do siebie twarze. Usta niemal dotykały ust, oczy śmiały się do siebie, pierś ocierała się o pierś. Potem Joanna krzyknęła:

- Ja się stąd wynoszę!

- Ja też! - przyłączyła się do niej Mel.

Oddychały głośno, chuchając. Włosy przykleiły im się do głów; pluszcząc, posuwały się w stronę brzegu. Skakały po kamieniach, skracając sobie drogę, byle szybciej dotrzeć do ciepłych drewnianych stopni przystani.

- Jezu, ta woda jest jak lód!

- Nie czuję stóp - jęczała Mel.

- Jeśli się zaraz nie ubiorę, umrę na zapalenie płuc.

- Możesz pierwsza wziąć prysznic - zaproponowała Mel. - Nie zniósłabym, gdybyś mi tu umarła...

Ben chwilę je obserwował przez kuchenne okno. Nigdy przedtem nie widział nagich kobiet w ich wieku. Wzruszył się, widząc, że swawolą jak dzieci. Odwracały twarze do słońca, świetlne promienie tańczyły na ich mokrych ciałach, zaznaczając kształt ramion, łuk piersi. Rozpoznał Joannę Mayfield z księgarni. Ta tęga, niedbająca o wygląd kobieta była chyba dwa razy większa od Lisy... Odsunął od siebie te myśli, bo przyjechał tu nie po to, by wspominać żonę, ale aby zapomnieć o przeszłości. Włosy Mel Sherman lśniły w słońcu jak złota przędza, jak jedwabiste nitki kukurydzy. Zauważył, że jasne włosy ma zarówno na głowie, jak i... na dole. Jej piersi były... poczuł, że się czerwieni. Spróbował skierować wzrok w inną stronę, ale nie mógł nie patrzeć.

Gdyby była tu sama, może odważyłby się ją odwiedzić, bo przecież oprócz Petera Tana Mel stanowiła jedyne ogniwo łączące go z Lisą. Nagle spojrzała w stronę jego domu, więc czym prędzej się cofnął i odszedł od okna. Miał nadzieję, że go nie widziała. Nie chciał, by obie z Joanną złożyły mu wizytę. Nie potrzebował ich współczucia. Nie życzył sobie, by patrzyły na niego wzrokiem pełnym zrozumienia. Zastanawiał się, czy nie zatracą zdolności ob-

cowania z innymi ludźmi, nawet z własną rodziną.

Swój krótki pobyt u matki w Bostonie oceniał jako niezbyt przyjemny. Czuł się, jakby go zamknięto w klatce. Tęsknił do ulubionych stron nad jeziorem, daleko od ludzi. Kiedy oznajmił matce, że musi wracać do Butterfield, wzięła jego dłonie w ręce.

- Jeszcze nie jedź! - prosiła. - Zostań trochę dłużej, Ben!

- Nie mogę.

- To, co przeżyłeś, jest wciąż nowe, rana zbyt świeża...

- Mamo! Muszę wrócić do domu - powiedział kategorycznie.

Zmieniła się na twarzy, ale po chwili dodała łagodnie:

- Oczywiście, że musisz...

Zrozumiał, że niechcący zranił matkę. A przecież jej dom był całe życie jego domem, jego rodzinnym domem. Domyślał się, że rodzicom trudno jest spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że ich dzieci są już dorosłe i założyły własne ogniska domowe. Ben zdawał sobie sprawę, że po śmierci ojca matka czuła się bardzo samotna. Tym bardziej doceniał wysiłki, jakie podejmowała, by stworzyć sobie nowe pola działania: klub brydżowy, klub ogrodniczy; brała też często zastępstwa, by móc nadal pracować zawodowo. Odwrócił się, aby nie spotkać jej kochającego, zatroskanego spojrzenia.

- Naprawdę muszę już wracać, mamo. Mam pewne zobowiązania, których nie mogę zlekceważyć. - Nie powiedział, że powinien stawić się do pracy na jednym z placów budowy Kima Bernharda. Wolał nie widzieć, jak krzywi się z bólu, że... jej syn pracuje jako robotnik budowlany.

- Ale po tym wszystkim, co przeszedłeś, możesz się przecież wytłumaczyć. Oni rozumieją... - Matka bardzo pragnęła mu pomóc; chciała sprawić, żeby lepiej mu się wiodło w życiu... A on miał ochotę spytać, czy naprawdę w to wierzy, że ktokolwiek potrafi wczuć się w to, co on przeżywa.

- Zrozumieniem nie da się, niestety, płacić rachunków - odpowiedział.

- Przecież wiesz, że zawsze z chęcią ci pomogę.

- Dziękuję, mamo, ale to nie jest takie proste.

- Nic nigdy nie jest proste... - odparła, patrząc na niego ze smutkiem.

Obserwując te dwie kobiety, które śmiały się i wykrzykiwały nad jeziorem, Ben poczuł nagłą, choć niesprecyzowaną złość. Z jednej strony im zazdrościł, ale z drugiej miał ochotę pobic do nich i spytać, jak śmieją być szczęśliwe, kiedy on tak bardzo cierpi.

Rozglądając się po jeziorze, zobaczył małą z oddali i zacienioną przez unoszące się nad wodą mgły sylwetkę siedzącego w łodzi mężczyzny. Dostrzegł nawet wystającą z boku wędkę na ryby. Nisko nad wodą kołował ptak. Raptem zanurkował i zniknął, a kiedy znowu się pojawił, trzymał w dziobie coś srebrzystopółskliwego. Potem dwoje dzieci przyszło nad brzeg, popychając domowej roboty tratwę. Ten widok sprawił, że Ben przypomniał sobie lato, kiedy z Neilem i Rorem zbudowali tratwę, wiążąc pasujące do siebie deski. Puścili ją na wodę i przyglądali się, jak zanurza się pod powierzchnię, by za chwilę znowu się podnieść. Pamiętał podniecenie, jakie im towarzyszyło, gdy wgramolili się na pokład i ostrożnie zwalili na środek tratwy, a Neil próbował ich zepchnąć na jezioro. Kiedy Rory chciał przejąć od niego drąg, wpadł do wody, a cała trójka śmiała się i śmiała bez końca.

Zacisnął powieki, broniąc się przed wspomnieniami, a także przed myślami o przyszłości.

Patrząc na zakurzony parapet okna w kuchni, przypomniał sobie, co mówiła Mel Sherman: „Kurz będzie się nadal gromadził w kątach”, „księżycyca będzie przybywało i ubywało”... Czy takich właśnie słów wtedy użyła?

W szklanym słoiku stała zeschnięta gałązka razem z czarno-białym piórem. Na suszarce ociekały obrócone dnem do góry kubki. Zastanawiał się, co szykował sobie na obiad, gdy tu był ostatnio. Chyba hamburgery i zupę z puszki. Ktoś więc musiał tu być, posprzątał, odstawił wszystko na miejsce i zmiotł resztki. Czyżby znowu Mel Sherman? Poglaskał się piórem po ramieniu. To pióro znaleźli razem z Lisą na samym początku lata. Leżało na piasku tuż obok sterty różnych odpadków z jeziora. Były tam rozmokłe gałązki, na wpół zgniłe łodygi nawłoci, zwanej złotą różgą, i połamane muszle słodkowodnych małży.

- To jest orle pióro - orzekła Lisa.

- Nie, kochana, to pióro jastrzębia albo czapli, albo czegoś w tym rodzaju.

- A właśnie, że orle - upierała się. - Mogę się założyć. Spójrz, jest czarne na końcu. Takie pióra dawniej nosili wodzowie Indian. - Śmiejąc się, wetknęła je sobie za ucho. - Czy wyglądam jak indiańska squaw?

- Nie - odparł. - Wyglądasz jak najpiękniejsza kobieta na świecie, którą właśnie mam zamiar ucałować.

Czy reszta jego życia będzie się składała ze wspomnień o niej? Gdyby Lisa była tu teraz, powiedziała by jej, że tak naprawdę wcale mu nie zależy na tym, gdzie będą mieszkali, że jeśli tego pragnie, mogą się przenieść do Nowego Jorku. Mogą pojechać wszędzie, gdzie tylko sobie

zażyczy, pod warunkiem że wróci do niego i znowu będą razem.

Powinien był z większą wrażliwością odnosić się do jej potrzeb. Za późno to zrozumiał. Często powtarzała, że nie lubi być tak daleko od miasta, że tu, na wzgórzach, czuje się zagubiona i zagrożona. Mówił jej wtedy, że się przyzwyczai, że przecież on jest po to, by się nią opiekować, i że zawsze przy niej będzie. Nigdy nie brał jej słów na serio... Przypuszczał, że przesadza, że narzeka, by się z nim słodko poprzekomarzać.

Przerażała go myśl, że może już nigdy nie będzie miał okazji, by się poprawić. „Obecnie postępowałbym zupełnie inaczej” - mówił do siebie, wchodząc do sypialni, którą kiedyś z nią dzielił. Pościel z łóżka zniknęła, zrolowana kołdra zajmowała koniec gołego materaca, a na wierzchu leżały poduszki. Odwrócił się i obserwował w lustrze swoją nieogoloną twarz. Ze zmierzwionymi włosami i krwią nabiegłymi oczami wyglądał jak topielec. Zastanawiał się, czy Lisa w obecnym życiu czasem o nim myśli, czy ma choć najmniejsze pojęcie, jak bardzo mu jej brakuje.

„Życie idzie naprzód. Zawsze tak się dzieje...” - powiedziała kiedyś Mel. Wyobraził sobie księżyc wchodzący w cień ziemi, ciche opadanie kurzu, kwiaty, które kwitną i więdną, rzeki, które zawsze płyną do oceanu. Zacisnął powieki i trzymał je zamknięte.

A na dworze dwie kobiety bawiły się w najlepsze...

O dziewiątej zaczął padać deszcz. Delikatnie stukał o gonty, pukał w wielkie okna po obu stronach domu. Opatulone w pledy kobiety siedziały na ogromnej kanapie przed kominem i patrzyły w ogień, do którego Mel co jakiś czas dorzucała polana zgromadzone z boku paleniska.

- Danie było naprawdę wspaniałe - wzdychała Joanna. - Jesteś tak znakomitą kucharką, że nie ruszę się stąd przez cały miesiąc. - Przesunęła się na kanapie, zajmując prawie poziomą pozycję, a stopy wyciągnęła w kierunku płomieni - Czy wiesz, czym się powinnaś zająć?

- No czym?

- Powinnaś otworzyć restaurację. Mogłybyśmy wynająć lokal bliżej miasta. Ręczę, że miałabyś pełno gości, i to każdego wieczoru przez okrągły tydzień.

- Ale wtedy nie miałabym czasu na rozkoszowanie się taką chwilą jak obecna.

- To prawda... A gdybyś mogła odbyć jakąś podróż po świecie, to dokąd byś się udała? - leniwie pytała Joanna.

- Właśnie tutaj, i to nie byłby zły wybór.

- Nie, Mel! Pytałam poważnie...

- A ja ci poważnie odpowiadam.
- Daj spokój, Mel! Tu?
- A co temu miejscu brakuje?
- Tylko niewielki kawałek drogi dzieli je od miejsca, w którym żyłaś przez ostatnie dwadzieścia pięć lat. Oto, czego mu brakuje. To nie byłaby żadna przygoda, chyba przyznasz.
- Przygody zostawiam innym.
- Ale nie powinnaś. Masz tylko jedno życie, moja przyjaciółko, powinnaś się ruszyć z domu, robić coś, mieć przygody, żyć...
- A może ja nie lubię, żeby się zbyt wiele wokół mnie działo?
- Nie udawaj!
- Po raz ostatni napełniam twój kieliszek, Joanno! - Mel pochyliła się i naląła jej zinfandela, którego przywiozła z domu.
- Niech ci będzie. Zapytam cię teraz o coś innego: o twoją aborcję.
- Nie chcę o tym rozmawiać.
- Ja też nie. Tylko się zastanawiam, jakie masz jeszcze sekrety, których mi nie zdradziłaś.
- Jakbym ci je zdradziła, to już nie byłyby sekretami.
- To niesprawiedliwe, bo ja ci wszystko mówię.
- Najmniejsza książka świata...
- O jakiej książce znowu mówisz?
- Zatytułowanej: *Sekretne życie Joanny Mayfield*.
- Ale ja przynajmniej nie ukrywam żadnych historii...

Mel wstała i poszła do kuchni. Wróciła, trzymając w ręku butelkę szampana i dwa czyste kieliszki. Spod poduszek na kanapie wyciągnęła małą miękką paczuszkę opakowaną w elegancki papier. Paczuszkę ozdabiały długie kolorowe serpentyny.

- Co to takiego? - zaciekała się Joanna.
- Przecież zbliżają się twoje urodziny. Czyżbyś o nich zapomniała? - Mel pomyślała o torcie cytrynowym, który spoczywał w zamrażarce, w domu w Butterfield. Był to już czwarty tort z kolei i jedyny, który Jamie ostatecznie uznał za dobry dla jego mamy. Wszystkie poprzednie sam zjadł. Planowali rozmrozić tort i udekorować go dzień przed urodzinowym przyjęciem Joanny.
- Zapomniałam, że dobiegam pięćdziesiątki. O, mój Boże! Tak bym chciała o tym zapomnieć...

- Ale przecież to ty utrzymujesz, że kobieta im starsza, tym lepsza.

- No tak, lecz gdy to dotyczy mnie, wtedy jest już inna sprawa.

- Dlatego cię wszyscy kochamy, Joanno, ponieważ dostrzegamy w tobie słodczy charakter, którą tak skrzętnie ukrywasz pod powłoką szorstkości.

- I pomyśleć, że przez słodczy mam same kłopoty! - Roześmiała się i uszczypnęła w fałdę skóry nad talią. - Boże, jak ja przytyłam w ciągu ostatnich lat!

- Na szczęście tusza nie stanowi o esencji twojej osobowości.

- Może i nie, ale całe moje zmartwienie polega na tym - westchnęła ze smutkiem - że zaczyna mi brakować miejscowych facetów, którzy są na tyle młodzi, że warto pójść z nimi do łóżka, a przy tym wystarczająco starzy, by mnie zainteresować intelektualnie.

- Zupełnie jak w filmie *Końskie pióra* z braćmi Marx. Ale wracając do twoich urodzin: myślałam, że urządzimy sobie takie preludium, małą wstępną uroczystość tylko dla nas.

- Jesteś kochana! - Joanna pochyliła się i na moment położyła dłoń na rękawie Mel. - Moja ty kochana przyjaciółko...

- Najpierw otwórz prezent! - W tym czasie, kiedy Joanna rozrywała szarozieloną bibułę, Mel zdjęła cynfolię otulającą szyjkę butelki szampana i zaczęła odkręcać druciki zabezpieczające korek.

- O, Jezu! Jaki on piękny! - krzyknęła zachwycona Joanna. Ręcznie malowany, jedwabny szal trzymała tak, że przepływał jej przez palce. - Mel, szal jest precudny...

- Kupiłam go, kiedy byliśmy w Bostonie, a ty zostałam w hotelu, by leczyć kaca. Gdy szal zobaczyłam, zdawało mi się, że krzyczy: weź mnie dla Joanny!

- Jakbyś wiedziała, że nasturcje to moje ulubione kwiaty, a żółty i pomarańczowy najukochańsze kolory. - Joanna zerwała się z siedzenia, objęła przyjaciółkę i ucałowała w policzek.

Mel z przyjemnością przyglądała się tęgiej sylwetce Joanny. Lubiała zapach jej skóry i podziwiała jej zdrową cerę.

- Szal będzie doskonale pasował do twego jedwabnego zakietu. Możesz go też śmiało nosić z samą zieloną bluzką. - Znały wzajemnie swoje garderoby równie dobrze jak własne.

- Całkiem niezłe, co? - pytała Joanna, owiązawszy szal dookoła szyi. - Kocham go! - dodała.

Mel poradziła sobie z korkiem i napełniła kieliszki szampanem.

- A teraz toast urodzinowy na cześć najserdeczniejszej, najmądrzejszej i najdowcipniej-



szej kobiety na świecie!

- Jeśli naprawdę chodzi o mnie, to chętnie ten toast spełnię. - Joanna wzięła kieliszek i obracała go w ręce. - Podobają mi się te bąbelki i to, że lecą prosto do góry. Ale czy dzisiejsza feta ma oznaczać, że na przyszły tydzień nie dostanę już żadnego prezentu?

- Przecież ci powiedziałam, że to tylko rozgrzewka przed startem. W przyszłym tygodniu będzie się koło ciebie kręciło mnóstwo ludzi i na pewno nie znajdziesz dość czasu dla mnie. Pomyślałam więc, że byłoby miło pobyć tu tylko z tobą, żebyś usłyszała, kiedy ci powiem: dziękuję! - I stuknęła się kieliszkiem z Joanną. - Dziękuję za wszystko!

Zanim poszły do łóżka, Mel wymknęła się przez drzwi sypialni na pomost. Niebo było pełne gwiazd. Księżyc w nowiu wisiał nad górami jak blady cytrynowosrebrzysty sierp na granatowym tle. Udzielił jej się nastrój nadchodzącej jesieni. Po jej lewej stronie widać było ciemny zarys domu Andersenów, niezbyt wyraźny w otaczającej go czerni nocy. Nagle pojawiło się tam światło: pewnie ktoś z rodziny przyjechał na weekend.

Jeziro mieniło się srebrem. Mel raptem sobie uświadomiła, że zawsze dobrze się tu czuła. Pobyt w tych stronach dawał jej poczucie siły i wewnętrznego bezpieczeństwa. Myślała o swoich nieszczęśliwych miłościach, o młodości i straconych szansach, a także o tym, że lata dojrzałe dają zadośćuczynienie: kompensują poniesione klęski.

Drewniane deski pomostu lekko zadrżały, gdy Joanna podeszła do Mel i stanęła obok.

- Jest nów - powiedziała. - Może chcesz wyrazić jakieś życzenie.

- Nie wiem, czego miałabym sobie życzyć. Joanna otoczyła ramieniem przyjaciółkę.

- Wyraż więc jakieś życzenie za mnie, a ja to zrobię za ciebie.

Mel oparła się na ramieniu Joanny i poczuła, że jej serce przepelnia miłość.

- Życzę ci, by spełniło się wszystko, czego pragniesz. - Chciała powiedzieć Joannie, że bardzo ją kocha i życzy wszystkiego najlepszego, co tylko można mieć... - Ale żadna z nas nigdy nie powie, czegośmy sobie wzajemnie życzyły - zastrzegła się.

- Dobrze - zgodziła się Joanna.

Mel spała niespokojnie i zbudziła się z uczuciem rozdzierającego bólu po poniesionej stracie, o której nie potrafiła zapomnieć. Wtuliła twarz w poduszkę, a szloch wzbierał w niej jak burzowa chmura. Ogarniał ją coraz większy smutek. Męczyły ją stare sekrety: i te, które wyjawiała, i te, których dotąd nie wypowiedziała. To, co się nigdy nie wydarzyło, i to, co mogłoby się wydarzyć. Czy można płakać po kimś, kogo się nie znało? A jednak się płacze...

W nocy padało i ziemia pod stopami była wilgotna. Zrobiło się też znacznie chłodniej, więc mimo bezchmurnego nieba Mel i Joanna, wybierając się w góry, włożyły ocieplane kurtki. Ruszyły wąskim szlakiem wzdłuż strumyka, który prowadził do jeziora. Szło im się nieźle, a kierunek wyznaczał strumyk, który przedzierał się i przeciskał wśród wielkich płaskich kamieni, to je zalewając, to znów opływając. Te ogromne kamienie stoczyły się z okolicznych wzgórz w czasie tektonicznych wstrząsów pół miliona lat temu.

W miarę jak wchodziły wyżej, teren stopniowo stawał się trudniejszy. Ścieżka zmieniała kierunek, oddalając się od strumienia. Stoki, jakie musiały pokonywać, były coraz bardziej strome, częściej też napotykały urwiska skalne, a w pewnej chwili znalazły się na krawędzi płytkiego wąwozu. Nad ich głowami drzewa, przeważnie sosny i jesiony, łączyły się koronami, tak że prawie nie widziały nieba. Powietrze zrobiło się rześkie. Spojrzały w dół: woda w strumieniu była lśniąca i mocno wzburzona.

Po godzinie Joanna zaczęła ciężko dyszeć, a jej oddech stał się świszczący.

- Nie jestem przyzwyczajona do chodzenia po górach. Jak długo jeszcze? - pytała, sapiąc. Na twarzy czerwonej z wysiłku pojawiły się krople potu.

- Już niedaleko - rzuciła przez ramię Mel. - Lada chwila usłyszymy szum wodospadu, co będzie oznaczało, że osiągnęliśmy szczyt.

- Czuję, że zaraz dostanę ataku serca - histeryzowała Joanna. Zgięła się wpół i chwyciła za pierś. - Może znajdę tu jakiś kamień, usiądę i poczekam na ciebie. Spotkamy się, gdy będziesz schodziła.

- A jak byś postąpiła - śmiała się Mel - gdybym cię poinformowała, że tam na górze jest McDonald's i będziesz sobie mogła kupić Big Maca z podwójnym serem i tyloma frytkami, ile tylko dasz radę zjeść?

- Nazwałabym cię zakłamaną sadystką.

- Teraz mówię poważnie, Jo, jesteśmy prawie u celu. Tylko dwieście metrów, nie więcej. Potem już będzie cały czas płasko.

- Myślę, że wobec tego nie warto rezygnować. Skoro tyle wysiłku włożyłam we wspina- nie się, to z powodzeniem mogę iść dalej - oznajmiła zrezygnowana Joanna.

- Spójrz tutaj! - zachęciła ją Mel. - Czy to nie jest wspaniały widok? Woda, skały i drze- wa. - Na niebie ukazał się orzeł. Leciał tak nisko, że widziały, jak wiatr rozwiewa delikatne bia-

łe pióra na jego brzuchu.

- Tak, widoki są tu rzeczywiście przepiękne... - Joanna podeszła do brzegu wąwozu i trzymając się cienkiego pnia brzozy, wychyliła się, by rzucić okiem na płynącą dołem wodę.

Mel chwyciła ją za tył żółtego polara w odcieniu mimozy.

- Na twoim miejscu nie podchodziłabym tak blisko krawędzi. Jest ślisko po deszczu, a w dodatku cienkie pnie mogą nie wytrzymać ciężaru i po prostu się złamać.

Przez chwilę szły gęsiego i milczały.

- Nie wiem, skąd ci się nagle wzięła taka pasja - odezwała się po jakimś czasie Joanna - bo dawniej nie byłaś zwolenniczką spacerów na łonie natury.

- Faktycznie, dopiero po śmierci Erica odkryłam, że bardzo lubię chodzić po górach.

Właśnie wtedy po raz pierwszy zaczęła wędrować górskimi szlakami i znajdować w tym przyjemność. Traktowała to jako swoistą terapię, pozwalającą jej ustrzec się przed duchową pustką. W pierwszym okresie chodzenie po górach nie przychodziło jej łatwo, ale stopniowo nauczyła się dostosowywać swój organizm do pokonywania zarówno dużych wysokości, jak i odległości. Napinanie mięśni łydek i koordynowanie ruchów bioder, ud i stóp zaczęło jej nawet sprawiać przyjemność. Początkowo po przejściu zaledwie jednej czwartej drogi wokół jeziora była bardzo zmęczona i musiała wracać. Na stopach porobiły jej się pęcherze i miała mocno obolałe mięśnie. Ale powoli, krok po kroku, przyzwyczajała swoje ciało do podejmowania coraz to większych wysiłków. Pewnego ranka wyszła wcześniej z domu i była zdziwiona, odkrywając po powrocie, że przeszła ponad trzydzieści kilometrów. Zmierzyła przebytą odległość na mapie. Zmienił się także jej stosunek do siebie samej; po tych wszystkich latach, gdy uważała się jedynie za połowę pary, teraz zaczęła się postrzegać jako samodzielną osobę.

- Jeśli wrócę na ziemię po raz wtóry - Joanna wdarła się w jej myśli - poproszę Boga, żeby była o dwadzieścia pięć kilogramów lżejsza.

- A ja byłabym szczęśliwa, gdybym w następnym życiu nie miała opadających ramion, żeby mi się ramiączka od stanika ciągle nie zsuwały.

- Może jeszcze złożyłabym podanie z prośbą o dłuższe ramiona. Nigdy dotąd nie udało mi się kupić zakietu albo swetra, którego rękawy nie zwisałyby poza dłonie. Nie wyobrażasz sobie, ile pieniędzy wydaję na skracanie rękawów:

Gdy ścieżka skręciła w prawo, usłyszały stłumiony huk przewalającej się wody.

- Ten wodospad nie jest wprawdzie Niagarą - powiedziała Mel - ale i tak jest bardzo malowniczy.

- I niechby taki był, skoro tyle wysiłku włożyłam, by tu wejść i go zobaczyć!

- Jesteśmy na miejscu. - Mel obeszła płaski kamień, który zamykał przejście, i gdy Joanna do niej dołączyła, powiedziała z przejęciem: - Spójrz tam!

Przed nimi z głębokiej, kuliście wyrzeźbionej w skałach czeluści tryskały potoki wody i spływały brzegiem skał, staczając się z kilkudziesięciometrowej wysokości do ciemnobrązowego rozlewiska, skąd, odbijając się i rozpryskując, wpadały do jeziora. Tam, gdzie promienie słońca spotkały się z rozpyloną wodą, jaśniała tęcza, stojąc wysoko nad wąwozem.

- Na wiosnę, kiedy padają deszcze i topi się śnieg, jest tu oczywiście więcej wody. - Mel usiadła na kamieniach nad wodospadem i sięgnęła do plecaka.

- Mam dla ciebie bajgle z wędzonym łososiem i białym śmietankowym serem, a także winogrona i figi. Proszę, częstuj się.

- Wspaniale! - Joanna oparła się o skałę i rozpięła kurtkę. - Miałaś rację, Mel. Tu jest naprawdę cudownie. Wystarczy spojrzeć na tęczę.

- Tęcza oznacza szczęście, prawda? - Mel dostrzegła pod kurtką Joanny błysk jedwabnego szala, który dała jej poprzedniego wieczoru. - Hej - zaprotestowała - nie kupiłam go na wyprzedazy!

- To jasne. Wiem, że takiego szala nie nosi się na wycieczki w góry - przyznała Joanna z poczuciem winy - ale doskonale mi pasuje do tego stroju.

- Kosztował majątek... nie zgub go.

- Dobrze, mamusiu!

Przez chwilę jadły w milczeniu, potem Joanna wydukała leniwie:

- Mam nadzieję, że mi kiedyś napiszą na nagrobku, że chwyciłam życie za jaja. Niech przynajmniej to jedno uwiecznią.

- Wydaje mi się, że nie tylko życie chwytasz za jaja... - śmiała się Mel.

- Tak. Tego możesz być pewna.

- Ale jeśli się zastanowić... - kontynuowała Mel - to chociaż dużo różnych rzeczy mówisz, wciąż mieszkasz w Butterfield. A przecież mogłabyś się udać, gdziekolwiek byś chciała, i zająć wszystkim, co by ci przyszło do głowy. Może więc nie ja jedna jestem nieudacznikiem.

- Bzdura... - mruknęła Joanna.

- No, dobrze... ale gdybyś mogła pojechać wszędzie, to dokąd byś się wybrała?

Joanna milczała, co było u niej niezwykle. Po chwili zadumy zaczęła mówić powoli:

- Gdy byłam dzieckiem, mieliśmy w szkole młodą nauczycielkę, która przyjechała do nas

z Nowej Zelandii w ramach międzynarodowej wymiany nauczycieli. Ta dziewczyna opowiedziała nam kiedyś o tamtym dalekim kraju. Mówiła, że jest tam zadziwiające miejsce, które zwie się Rotorua, pełne syczących gejzerów i trzęsawisk, wyrzucających z siebie fontanny błota, a także gorących, wręcz kipiących jezior. A do rzadkości nie należą takie sytuacje, że idziesz, a tu para bucha z ziemi tuż przed tobą. I wszędzie śmierdzi siarką. Rotorua jest jak piekło - mówiła - tyle że bez diabłów i widel. Ta historia bardzo mnie zainteresowała i na dobre utkwiała w pamięci.

- Dlaczego do tej pory tam nie pojechałaś? - spytała Mel z uśmiechem.

- A dlaczego nigdy nie robimy nawet połowy tego, na co mielibyśmy ochotę? Podróż do Nowej Zelandii nie jest tania, do tego doszedłby jeszcze koszt hotelu i wynajęcia samochodu... Kiedy rozstałam się z Gordonem, nie przelewało nam się i nie mogłam szastać pieniędzmi. A poza tym musiałam zarabiać na życie i wychowywać dzieci.

- Prawdziwa z ciebie Matka Courage - powiedziała Mel, po czym spojrzała na zegarek i zerwała się na nogi. - Chodź, musimy już wracać!

- Ach, cóż za wiercipięta! Nie usiedzi na miejscu... a ja właśnie zaczęłam się tu dobrze czuć - jęczała Joanna.

- Musimy jeszcze w domu spakować rzeczy - przypomniała jej Mel.

- Przecież to nie zajmie nam wiele czasu. A zresztą możemy po prostu wrzucić wszystko do samochodu i wyjechać. Nareszcie wrócimy do cywilizacji... chwała Panu Bogu za to.

- Nie udawaj, że źle się tu bawiłaś.

- Z tobą, kochanie, zawsze się dobrze bawię.

- Ja z tobą też. - Mel założyła plecak na ramiona i zaczęła schodzić w dół. Joanna szła za nią.

- Hej, zwolnij tempo! Dobrze?! - zawołała. - Przecież to nie bieg maratoński...

- Przepraszam! - Mel przystanęła i poczekała na przyjaciółkę.

- Czuję się tak cholernie zdrowa - narzekała Joanna - a to na pewno nie wróży nic dobrego.

Mel zatrzymała się i głęboko odetchnęła. Słońce stało teraz wysoko na niebie, a w powietrzu unosił się upajający zapach rozgrzanej żywicy. Mimo że z tyłu za nimi głośno huczał wodospad, las wydawał się cichy i spokojny. Coś zaszeleściło w poszyciu obok ścieżki i Mel się odwróciła.

- O Boże! - rzędziła Joanna. - Nikt mi nigdy nie mówił, że schodzić w dół jest tak samo

ciężko, jak się wspinać na górę. Nie masz pojęcia, jak mnie strasznie bolą nogi.

- Powinnaś tu częściej przyjeżdżać, a szybko dojdiesz do formy. - Mel patrzyła na Joannę, gdy biodrzasta przyjaciółka schodziła w dół po ścieżce. Myślała o tym, jak dobrze im ze sobą, jak doskonale się znają i że są zżyte jak stare małżeństwo.

- Na przyszłą wiosnę będę tu przyjeżdżać na każdy weekend - obiecała Joanna.

- To samo mówiłaś w zeszłym roku.

- I pewnie to samo ci powiem za rok. - Mówiąc to, zniknęła za granitową skałą, która przegradzała ścieżkę.

Idąc za nią spokojnym spacerowym krokiem, Mel uniosła głowę, by spojrzeć na niebo, i głęboko do płuc wciągała zapach liści, paproci i mchu. Gdyby była sama, bez Joanny, jeszcze by kontynuowała wspinaczkę. Minęłyby wodospad i szła dalej i dalej, coraz to wyżej, a potem zeszlaby na dół i maszerując granią, dotarła do gęstych lasów, podobnych do tego, i zespoliłaby się z nimi, stała ich częścią.

Gdy obchodziła granitową skałę tarasującą przejście, nagle usłyszała przeciągły ptasi krzyk, tak głośny, że przebił się przez huk wodospadu. Przed nią ścieżka ostro biegła w dół i tej stromizny było jakieś siedemdziesiąt metrów. Jeszcze przez chwilę Mel schodziła, ale potem gwałtownie się zatrzymała. „Gdzie jest Joanna?” - pomyślała. Przecież powinna ją wyprzedzać, a nigdzie jej nie było. Na prawo widziała jedynie pionową ścianę wąwozu, na lewo zaś płaskie skalne wzniesienie otoczone gęstymi zaroślami. Odwróciła się, żeby spojrzeć na przebyty szlak, i jej wzrok przykuło świeżo złamane drzewo. Miejsce złamania wyglądało jak pomarańczowa rana. Dolna połowa cienkiego pnia wciąż pochylała się nad wąwozem; pozostała część odpadła. I Mel już wiedziała, że to nie ptak wydał ten krzyk, który słyszała...

- O Boże! - szepnęła. - Joanna!

Pędem ruszyła na sam skraj wąwozu, a potem szybko posuwała się jego brzegiem. Wilgotne trawy, małe paprocie o długich liściach i mchy różnej maści, od jasno- do ciemnozielonej, słały się po drodze, gdy Mel, spojrzawszy w dół, kurczowo zacisnęła dłonie i poczuła, że coś straszliwie dławi ją w gardle. Bo tam, jakieś piętnaście metrów niżej, dostrzegła żółtą polarową kurtkę przyjaciółki, rozciągniętą na kamienistym brzegu potoku. Z daleka wyglądała jak musztardowa plama. Nogi Joanny były do połowy zanurzone w wodzie, częściowo odsłonięte, i nawet z tej odległości wydawało się oczywiste, że jedna jest złamana. Joanna się nie ruszała.

- Joanno! - krzyknęła Mel, choć wiedziała, że nie będzie słyszana. - O mój Boże! - Jej

głos płynął nad ciemnym wąwozem i jasną plamą na skałach, by przepaść w huk wodospadu.

Bez trudu mogła prześledzić drogę spadania Joanny: znakami rozpoznawczymi były złamane pnie i gałęzie drzew, a także poszarpane krzaki, o które próbowała się zaczepić. Strzępy ubrania powiewały z gałązek i pnączy, i z szarych szkieletów drzew rosnących na wewnętrznej ścianie mrocznego kanionu. Nie dałaby rady zejść na dół stokiem tego stromego urwiska, postanowiła więc pobiec dalej ścieżką. Jej buty ślizgały się po wilgotnej ziemi, zahaczały o wystające małe kamienie po bokach ścieżki, tak że kilka razy się potknęła i omal nie upadła. W myślach wciąż na nowo odtwarzała scenę, która musiała się tu rozegrać, a którą łatwo potrafiła sobie wyobrazić... Joanna wychyliła się, żeby spojrzeć na wodę płynącą na dnie wąwozu. Podeszła zbyt blisko brzegu i gdy jej stopy pośliznęły się na wilgotnej powierzchni, chwyciła się jakiegoś pnia, ale drzewo się złamało i ona stoczyła się w dół.

Mel wciąż miała w oczach ten widok: żółtą kurtkę Joanny, jej rozłożone ramiona, odziane w dżinsy nogi niedbale rozrzucone na kamieniach; przerażona czuła, że w niej dech zamiera. Prześladowała ją katastroficzna wizja tego, co spotkało Joannę. Widziała ją ze zgniecionym krzyżem, z pogruchotanymi żebrami, przebitymi płucami, ze złamanymi kończynami i ranami głowy. Może umiera. Może... i ta możliwość była zbyt straszna, by ją rozważać - może już nie żyje. W następnej chwili pocieszała się, że to niemożliwe, by Joanna była umierająca. Przecież wysokość ściany urwiska wynosiła nie więcej niż piętnaście metrów, a poszycie musiało osłabić tempo i siłę upadku. Joanna jest zapewne tylko ogłuszona uderzeniem, oszołomiona; może przeżyła szok i ma złamaną nogę, ale poza tym wszystko jest w porządku.

Kiedy ścieżką dotarła do koryta rzeki, szła już jak po płaskim. Wstrzymując oddech, skręciła, zboczyła ze ścieżki i weszła na wąską plażę, którą tworzyły śliskie czarne kamienie. Już zaczęła po nich stąpać, kiedy się nagle zatrzymała. Przyszło jej na myśl, że może zamiast pójść do Joanny, słuszniej byłoby zostawić ją tam, gdzie leży, i poszukać pomocy. To jednak oznaczałoby, że musi biegiem udać się do domku, co zajęłoby co najmniej dwadzieścia minut, a potem poczekać na pogotowie, strażnika Parku Narodowego albo pomoc medyczną z najbliższego osiedla. Zanim zaprowadzi ich górami z powrotem na szlak, miną godziny...

Co ma uczynić? Czy iść po pomoc, czy najpierw sprawdzić, co z Joanną? Należałoby przesunąć ją nieco, tak żeby się znalazła w miejscu odpowiednio oddalonym od rzeki. Ważne także było, by ją pocieszyć, okazać jej serdeczność. Wybór więc był stosunkowo łatwy. „Miałymy wrócić do domku o drugiej” - pomyślała, patrząc w górę na ściany skalne i kamienne niebo, jakby to one ją oskarżały, choć była samotną, drobną kobietą, stojącą nad brzegiem rze-

ki, pełną wahań i rozterek.

Głośno dysząc, skierowała się z powrotem w górę potoku. Na dole, blisko wody, było chłodno. Wprawdzie już dochodziło południe, ale słońce jeszcze do wąwozu nie dotarło. Tymczasem niebieskie przedtem niebo pokryły szare chmury. Joanna nie znosiła chłodu. Co też sobie myśli, leżąc tam na kamieniach? Chyba oczekuje, że Mel do niej przyjdzie. Bez względu na sytuację, na to na pewno liczy. Jeśli oczywiście zdolna jest snuć tego rodzaju myśli i jeśli jeszcze żyje.

- To nie powinno się było zdarzyć... - Czy powiedziała te słowa na głos, czy tylko w myśli? W tej samej chwili, potykając się o śliskie kamienie, Mel straciła oparcie dla stóp, sięgnęła po coś, czego mogłaby się przytrzymać, ale to coś wymknęło jej się z rąk. Pośliznęła się i ciężko upadła na jedno kolano. Przez ułamek sekundy słyszała tylko bicie własnego serca, czuła, jak płuca pompują powietrze, jak krew pulsuje w żyłach, a całe jej ciało przeszywał rozdzierający ból. Próbowała stanąć i poczuła, że jedna noga się pod nią ugina.

Przemogła ból i szła dalej. Nie wiedziała, jak długo tam szła, ale w końcu zobaczyła przed sobą kurtkę Joanny.

- Idę do ciebie! - krzyczała ile sił w płucach, by pokonać szum wody. - Trzymaj się, Joanno, trzymaj się, kochanie!

Ślizgając się, potykając, przeklinając, pokonała ostatnie kilka metrów i uklękła na kamieniach obok przyjaciółki. Pełno tu było krwi rozbryzganej dookoła. Joanna wciąż leżała w tej samej pozycji, jednak gdy Mel wzięła jej rękę, powoli odwróciła głowę i uśmiechnęła się. Jeden policzek miała skaleczony i podrapany.

- Czemu to tak długo trwało? - zapytała słabym głosem.

Z ran obficie sączyła się krew. Oczy patrzyły dziko, jakby należały nie do niej, ale do kogoś innego.

Mel poczuła tak wielką ulgę, że zaniemówiła.

- Myślałaś, że już nie żyję, prawda? - Wargi Joanny ledwo się odznaczały na tle wilgotnej szarości jej skóry. Żółty polar i biały podkoszulek, który miała pod spodem, były rozdarte. Postrzępione końce materiału nasiąkły krwią.

- Ani przez chwilę tak nie myślałam - skłamała Mel. Lewa dłoń Joanny wisiała zwiotczała od nadgarstka w dół, a wnętrza obu dłoni były podrapane i zabrudzone ziemią i liśćmi. - Czy możesz się ruszać? - spytała Mel, stając nad przyjaciółką.

Joanna ruchem głowy zaprzeczyła. W jej oczach czaił się lęk. Jedno oko było znacznie



powiększone. Żrenica wydawała się ogromna, a tęczęwka ledwie widoczna.

- Boli mnie krzyż - poskarżyła się.

- Masz nogi w wodzie - wyjaśniła Mel. - Spróbuję je wyciągnąć. Boję się, że jedna jest złamana.

- Nic nie czuję - stwierdziła Joanna.

Mel zamarła z przerażenia. Ostrożnie przesunęła Joannę i najpierw wyciągnęła jedną nogę z wody i ułożyła na kamieniach, a potem, włożywszy dłonie pod jej uda i łydki, wyjęła drugą. Pod skrwawionymi dżinsami widać było wyraźnie przemieszczoną i sterczącą złamaną kość. Joanna zakaszłała. Zabarwiona krwią pianą pojawiła się w kąciu jej ust i Mel poczuła, że blednie. Przypuszczała, że złamane żebro przebiło Joannie płuco. Podobnie jak kiedyś, gdy chodziło o Lisę, także teraz Mel była kompletnie bezradna. Nie wiedziała, co robić, jakie podjąć działania.

W końcu ściągnęła z ramion plecak, zdjęła kurtkę i delikatnie przykryła nią porwany polar Joanny.

- Posłuchaj - zwróciła się do przyjaciółki, maskując strach. - Nie dam rady wydostać cię stąd własnymi siłami. Muszę pójść po pomoc.

Palce Joanny z zadziwiającą siłą zacisnęły się na dłoni Mel.

- Nie! - szepnęła. - Nie zostawiaj mnie samej!

- Nie mamy wyboru - powiedziała Mel. Końcem jedwabnego szala, tego samego, który ofiarowała Joannie ubiegłego wieczoru, gdy przebywały jeszcze w innym, bezpieczniejszym świecie, delikatnie wytarła krwawą pianę z jej ust. - Nawet jeśli ktoś jest w tej chwili na szlaku, to i tak mnie nie usłyszy, bo szum wody zagłuszy mój głos.

- Szkoda, że nie zabrałam ze sobą komórkowego telefonu - zauważyła Joanna. - A niewiele brakowało i byłabym go wzięła. - Uśmiechnęła się, co przy jej bladej twarzy wyglądało dość upiornie.

- I tak nie miałybyśmy z niego tu pożytku. - Mel próbowała uwolnić palce z uścisku przyjaciółki. - Pozwól mi pójść i wezwać pomoc. Przyrzekam, że wrócę najszybciej, jak tylko się da.

Joanna jeszcze silniej do niej przyłgnęła.

- Pewnie umrę? Prawda?

- Nie bądź śmieszna! - zachnęła się Mel. - Nic takiego ci nie grozi.

- Nie pozwól mi umrzeć, Mel!

- Nie mam zamiaru, ale teraz muszę cię na krótko zostawić.

- Nie chcę tu sama umierać.

- Posłuchaj mnie! - Mel przybliżyła usta do jej ucha. - Zapewniam cię, że nie umrzesz. Słyszysz mnie? Nie dopuszczę do tego! W przyszłym tygodniu masz urodziny i urządzasz wielkie przyjęcie w księgarni. Jakżebyś mogła nie być na nim? I nie zapomnij, że mam dla nas bilety na koncert w Bostonie.

- Tego to już na pewno nie opuszczę - zapewniła Joanna. Tym razem jej uśmiech gdzieś się rozpląnął, zanim zdołał pojawić się na ustach.

Chociaż miała ochotę się rozplakać, Mel zmusiła się do przybrania pogodnej miny.

- Przykro mi, Jo, ale w programie nie mamy umierania...

- Boję się - szepnęła Joanna. Jej twarz jakby się skurczyła. Wargi się rozchyliły, odsłaniając zęby, w oczach ukazały się łzy i powoli ściekały po policzkach.

- Jestem przy tobie, kochanie - uspokajała Mel. W jej wyobraźni przesuwały się obrazy z przeszłości. To było tak, jakby ktoś przewracał kartki w albumie z fotografiami ilustrującymi ich długoletnią przyjaźń. Oto siedzą w barze portowym i jedzą ostrygi, płaczą na filmie *Now, Voyager*, przymierzają kapelusze w Bostonie, klaskają do rytmu na festiwalu w Montrealu... Miały wspólne plany, wszystko sobie mówiły i z byle czego się śmiały...

- Nie pozwól, żebym umierała w samotności - powtórzyła Joanna. Jej głos brzmiał teraz słabiej i Mel z trudem zachowywała spokój.

- Czy ty się wreszcie zamkniesz? Lepiej byś pomyślała o dzieciach!

- Moje biedne dzieci...

- Albo pomyśl... o Nowej Zelandii, o tym miejscu, które chciałaś odwiedzić.

- Rotarua - wydukała Joanna. Kaszlnęła lekko i więcej piany wydostało się z jej ust, teraz bardziej czerwonej i ciemniejszej niż poprzednio.

- Zgódź się, żebym poszła po ratunek - prosiła Mel drżącymi wargami i załamującym się głosem. - Proszę cię, Joanno. Bo jeśli się nie zgodzisz... jeśli nie... - Poczwała na twarzy gorące łzy, które starła grzbietem dłoni. Zdołała jakoś wydostać drugą rękę z uścisku Joanny. Zdjęła podkoszulek i bardzo ostrożnie wsunęła go pod głowę przyjaciółki. Jeśli Joanna uszkodziła sobie krzyż, nie mogła ryzykować, by jeszcze bardziej ucierpiał jej kręgosłup. Następnie Mel sięgnęła po plecak, wyjęła zapasową parę skarpetek i delikatnie włożyła je na zimne ręce Joanny. - Zaraz wrócę, kochanie - zapewniała, jakby Joanna była dzieckiem. - Będę najszybciej, jak tylko zdołam. Czekaj na mnie. Wrócę, przysięgam! - Pośpiesz się! - szepnęła Joanna, przymykając

oczy.

Z kuchennego okna Ben przyglądał się Mel i Joannie wychodzącym z domu. Obie miały na sobie dżinsy i buty do chodzenia po górach. Mel włożyła bluzę od dresu, a na ramiona mały plecak. Joanna nosiła żółty polar. Nie był to ekwipunek, z jakim ktokolwiek wybiera się na całodzienną wycieczkę, więc przypuszczalnie planowały jedynie kilkugodzinny spacer, zwłaszcza jeśli znały prognozę pogody na przedpołudnie. Dla niego sprawdzanie, jaką zapowiadają aurę, od lat stało się czymś tak automatycznym jak oddychanie. Prognozę na dziś też znał i wiedział, że mimo pogodnego ranka na później przewiduje się opady deszczu, a po nim nadejście chłodnego frontu i silnego wiatru z Kanady.

Ben spędził rano dość leniwie. Przeszedł się do sklepu po gazety, sprzątnął liście, które zaczynały już opadać. Potem zdjął hamak, zanurzył go w jeziorze i powiesił na ganku, aby wyschł.

Wczesnym popołudniem niebo zaczęło się chmurzyć i wiatr mocno kołysał koronami drzew. Na wzburzonej powierzchni jeziora pojawiły się białe plamy piany, które toczyły się w stronę małej plaży za domem. Ben zaczął oglądać mecz futbolowy, napił się piwa, znalazł jakiś stary numer czasopisma „National Geographic”, bodajże sprzed roku, i czytał o zanikaniu raf koralowych i o wielkiej fieście w Seville. Spojrzał na zegarek. Nie była to jego sprawa, ale miał zwyczaj obserwowania, co się dzieje w górach, i poświęcał temu wiele uwagi. Teraz nasłuchiwał odgłosów, mogących świadczyć o tym, że obie panie wróciły z wycieczki i są w domu. Zaniepokojony ich przedłużającą się nieobecnością, stanął na progu i rozglądał się po okolicy. Ciekaw był, co się dzieje na jeziorze i na wzgórzach. Pomyślał, że może to nie jest jego sprawa, lecz już po chwili uznał, że jednak jest... Zbyt wiele letnich miesięcy spędził jako ochotnik w służbie Górskiego Pogotowia Ratunkowego, był wyszkolonym ratownikiem o sprawdzonych umiejętnościach, więc poniekąd automatycznie reagował na wszystko, co wiązało się z ludźmi w górach. Znowu spojrzął na zegarek i stwierdził, że sąsiadki stanowczo powinny być już wrócić.

W końcu postanowił wyjść im naprzeciw. Zasznurował buty, a że temperatura spadła, włożył do plecaka jeszcze parę swetrów i wybrał się w drogę. Skierował się w stronę wodospadu szlakiem wybranym przez obie panie. Droga była wciąż śliska po nocnym deszczu. Na każdym zakręcie spodziewał się spotkania Mel i Joanny, schodzących w dół, ale nigdzie ich nie było. Kiedy ścieżka stawała się coraz bardziej stroma i skręcając w górę, oddaliła się od rzeki, Ben przyspieszył kroku, bo cisza i samotność sprawiły, że poczuł się nieswojo.

Nagle jego uwagę przyciągnęło złamane w połowie młode drzewo, rosnące na skraju jaru. Zbliżył się i zobaczył pogniecioną wokół drzewka trawę i strzępy materiału. Skoczyła mu adrenalina, serce szybciej zabiło, zdjął więc plecak i ostrożnie się wychylił, by spojrzeć w dół wąwozu. Nie zauważył niczego alarmującego. Wcisnął mocniej obcasy i jeszcze bardziej pochylił się do przodu. Niemal bezpośrednio pod miejscem, gdzie stał, zobaczył Joannę Mayfield. Leżała z rozrzuconymi rękami, żółty polar przykrywała zielona bluza dresowa Mel, ale samej Mel ani śladu. Nie wiedział, czy to dobrze, czy źle...

Powoli się cofał, aż znowu stanął bezpiecznie na szlaku.

Podniósłszy plecak, zaczął biec z powrotem tą samą drogą, którą przybył. W biegu wyjął z kieszeni komórkowy telefon i wystukał numer pogotowia, chociaż zdawał sobie sprawę, że szanse na to, by aparat zadziałał, są raczej małe. Baldachim, jaki tworzyły połączone korony drzew, nie przepuszczał fal.

Nagle przed sobą zobaczył wychodzącą na szlak Mel Sherman. Oparła się o płaski głaz i pochyliła, próbując doprowadzić oddech do normalnego rytmu. W pewnej chwili spojrzała w górę i spostrzegła zbliżającego się Bena. Otworzyła usta jak do krzyku, lecz nie był w stanie usłyszeć jej głosu. Z dzikim wyrazem twarzy ruszyła w jego stronę, ale potknęła się i omal nie upadła. Podtrzymał ją za ramię i poczuł, że jest spocona; wiedział, że to objaw raczej strachu niż zmęczenia.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

- Ja tak - odparła otępiąłym, chrapliwym głosem - ale Joanna Mayfield spadła z dość dużej wysokości. Leży tam wyżej na szlaku i chyba z nią kiepsko...

- Widziałem ją. Możesz mi coś więcej powiedzieć o jej stanie? - Znow pociskał guziczki telefonu. Mel podeszła bliżej. - Chciałbym wiedzieć, czy ona jest przytomna - dodał.

- Tak, jednak na pewno ma złamaną nogę i chyba coś jeszcze gorszego stało się z jej krzyżem... straciła sporo krwi - relacjonowała przerażonym tonem. - A jej głowa...

- Co z jej głową? - Głos Bena był spokojny, a ton autorytatywny.

- Ma jakieś dziwne oczy. I mówi, że nic nie czuje... Ja myślę... ja się boję, że ona może...

- Mel przycisnęła usta pięścią, jakby chciała nie dopuścić do wyrażenia na głos swoich myśli - ...że ona może umrzeć.

Pokiwał głową i z z troskaniem spojrzał na komórkowy telefon.

- Dzwonię, ale nikt nie odbiera... Lepiej szybko do niej chodźmy, może trzeba ją unieruchomić.

- O Boże, Ben! - Mel rozplakała się na dobre. Łzy ciekły jej po twarzy. - Jestem taka roztrzęsiona. - Drżała na całym ciele i zęby jej szczękały.

- Nie, Mel! Jesteś dzielna i nieźle się trzymasz! - Położył rękę na jej ramieniu. Po chwili sięgnął po plecak i wyjął z niego sweter. - Włóż go!

- Nnie mmogę... - Wydawało się, że straciła nad sobą panowanie.

Przyciągnął Mel i jedną ręką przyciskał do swojej piersi, a drugą szybko wciągnął jej przez głowę sweter, potem nasunął rękawy, krótko ją uściśnął i puścił.

- Pójdę przodem, a ty idź za mną w tempie, jakie dasz radę utrzymać. Muszę zobaczyć twoją przyjaciółkę, aby móc ocenić, jakiego doznała urazu. Później zostawię cię z nią, a sam poszukam miejsca, gdzie telefon zadziała, i wezwę pogotowie. Dobrze?

- Dobrze - potaknęła.

Nigdy w życiu nie było Mel tak zimno. Z podziwem patrzyła, jak Ben pewnym krokiem maszeruje brzegiem rzeki. Jej własne ciało było zupełnie niezdolne do czynu.

- Mel! - zawołał ostro, odwróciwszy się w jej stronę. - Rusz się! Ona cię potrzebuje!

- Dobrze! - odkrzyknęła, ale była pewna, że jeszcze krok i zemdleje.

- Joanna będzie cię potrzebowała - powtórzył. - Nie zawieź jej!

- Już idę. - Ciężko jej było oddychać, bolały nogi, ale szła za nim.

„Jak mogłam dopuścić do tego, co się stało? - myślała. - To wszystko moja wina. Zmusiłam Joannę, żeby poszła ze mną w góry. Zrobiła to tylko po to, by mnie uszczęśliwić i żeby przestała jej dokuczać. Przecież ona nienawidzi chodzenia po górach, nienawidzi wszelkich ćwiczeń fizycznych. Wolałaby posiedzieć na przystani, napić się kawy, poczytać. Ale ja wywarłam na nią presję, chociaż jest moją najlepszą przyjaciółką, a teraz może umrzeć. I kto wie, czy już nie umarła.”

Na tym odcinku rzeki nie było wzdłuż brzegów żwiru, pojawiły się natomiast duże kamienie i płaskie głazy. Kolano, na które Mel upadła, było spuchnięte i obolałe. Ben doskonale sobie radził: przeskakując z kamienia na kamień, dotarł do miejsca, gdzie leżała Joanna. Ukląkł przy niej i przyłożył głowę do jej piersi. Następnie wyjął z plecaka apteczkę pierwszej pomocy. Gdy Mel do niego dołączyła, Ben badał Joannę, dotykając po kolei karku, głowy, piersi i nóg. Robił to delikatnie i ostrożnie.

- Dobrze, że mamy już to za sobą - powiedział, wstając z klęczek. Z połamanych odpadów leżących u stóp urwiska wybrał mocną gałąź i nożem ociosał ją z bocznych pędów i liści. - Nie jest to doskonale - stwierdził, patrząc na Mel - ale w tych okolicznościach nic lepszego nie

możemy zrobić. - Powoli zdjął zakrwawiony jedwabny szal z szyi Joanny i przywiązał nim jej złamaną nogę do gałęzi.

- Jak oceniasz stan Joanny? - spytała Mel, nie zdając sobie nawet sprawy, że mówi szeptem.

- Nie jest z nią najlepiej, ale daje znaki życia. To już dużo.

Wydawał się taki pewny tego, co mówi, że Mel ciężar spadł z serca.

- Może mogłabym w czymś pomóc?

- Zbadaj jej puls.

Mel wyczuła puls na przegubie Joanny, tuż pod skórą, i stwierdziła, że bije nierówno. Pokazało się też więcej krwi, która cienkim strumyczkiem płynęła między śliskimi czarnymi kamieniami w stronę rzeki. Mel przyłożyła dłoń do policzka Joanny i przeraziła się jego chłodem.

Ben wyszukał jeszcze dwie gałęzie i zabrał się do ich ociosywania.

- Spróbuję zrobić nosze - wyjaśnił. Spojrzał na Mel, potem przeniósł wzrok na Joannę i przecząco pokiwał głową. - Przypuszczalnie Joanna jest za ciężka, żebyśmy sami sobie z nią poradzili. Poza tym ze względu na rany głowy byłoby zbyt niebezpiecznie bez pomocy trzeciej osoby ryzykować utrzymanie jej karku w bezruchu. Podaj mi mały ręcznik!

- Który?

Wskazał na ręczniczek, który miała zaczepiony u talii. Służył jej do wycierania potu z czoła.

- Na szczęście ja też przyniosłem. - Z obu ręczniczków zrobił gruby walek, który ostrożnie włożył Joannie pod kark, po czym związał końce, by zabezpieczyć szczękę. - Daj mi twój pasek - poprosił. Gdy mu podała, delikatnie otoczył nim walek z ręczniczków, aby go w ten sposób przytrzymać w miejscu.

- To jest kołnierz ortopedyczny - wyjaśnił. - Nie mam pewności, czy Joanna ma uszkodzony kręgosłup, ale nie wolno ryzykować.

Następnie Ben obciążył swój plecak, włożywszy do niego kilka kamieni.

- Zrób to samo! - polecił Mel. Gdy to zrobiła i podała mu ciężki plecak, umieścił po jednym z obu stron głowy Joanny. - Chodzi o to, że jej nie wolno poruszyć ani głową, ani karkiem. - Potem wskazał ręką na brzeg rzeki, gdzie leżały naniesione prądem połamane części drzew i gałęzie, i poprosił, by Mel mu ze dwa takie kawałki przyniosła.

Była najszczęśliwsza w świecie, że pozwolił jej uczestniczyć w akcji ratowania Joanny.

Chwyliła za koniec gałęzi, którą wskazał, i ciągnęła ją po kamienistym brzegu, aż się zadyszała, po czym wróciła po następną. Ben ułożył je z jednego i drugiego boku Joanny, tak blisko niej, jak tylko mógł. By drewna utrzymać w miejscu, obłożył je kamieniami. W końcu zrolował swoją kurtkę i włożył Joannie między nogi od kostek aż po uda, a bandażem związał stopy i kostki, i w ten sposób niemal zupełnie ją unieruchomił.

- Jeśli się kiedyś znajdę w kłopotcie, będę wiedziała, do kogo się zwrócić - zażartowała Mel, chcąc nieco złagodzić tragiczne myśli, które ją opanowały.

- Ciebie też fajnie jest mieć przy sobie - powiedział, uśmiechając się, by dodać jej odwagi. - Bardzo dobrze zrobiłaś, że przykryłaś Joannę i że wyjęłaś jej nogi z wody. Gdyby nie ty, byłaby w o wiele gorszym stanie.

- Gdyby nie ja, w ogóle by jej tu nie było - stwierdziła Mel, mocno zagryzając wargę: za nic by nie chciała się przy nim rozkleić.

Popatrzył na nią chłodnym wzrokiem.

- Chyba jej nie pchnęłaś?

- Nie, ale...

- Więc się nie wygłupiaj! - Jego oschłość działała bardziej uspokajająco niż jakiekolwiek słowa pocieszenia. - Zostań tu i dotrzytuj pani Mayfield towarzystwa, póki nie wrócę. I pod żadnym pozorem nie pozwól jej się ruszać.

- Dobrze - odparła niepewnym głosem.

Ruszył szybkim krokiem w dół, ale po chwili się odwrócił:

- Uważaj szczególnie na jej kark; ma być w całkowitym bezruchu.

Mel uklękła z tyłu za Joanną i lekko trzymała ją za głowę. Cały czas wymawiała jej imię, zastanawiając się, czy postępuje słusznie. Może dla Joanny byłoby lepiej, gdyby pozostawała nieprzytomna.

- Obiecałam ci, że wrócę i jestem - powiedziała, ale nie była pewna, czy Joanna ją słyszy; miała nadzieję, że uda jej się jakoś do niej dotrzeć i ściągnąć ją stamtąd, gdziekolwiek była, z powrotem na ziemię. - Przecież ci mówiłam, że przyjdę i będzie już wszystko dobrze, bo lada chwila nadejdzie pomoc, zjawi się pogotowie i cię stąd zabierze. Czy uwierzysz, że spotkałam na szlaku Bena Andersena? To właśnie on ma wezwać pogotowie.

Joanna zatrzepotała rzęsami.

- Tak, kochanie, zaraz przybędzie tu Ben z pogotowiem ratunkowym, przewiozą cię samolotem do szpitala i tam złożą elegancko w całość.

- Jak w wierszyku o Humptym Dumptym?\* - mruknęła Joanna. Mówiła niewyraźnie i z trudem.

\* Humpty Dumpty jest bohaterem popularnego wierszyka dla dzieci.

- Z tobą nie będzie tak jak z Humptym Dumptym - zapewniła Mel, ucieszona, że Joanna oprzytomniała. - Bo przecież jego nie mogli złożyć, prawda? Natomiast ciebie na pewno zrobią na sto dwa.

- Moja noga...

- Wiem, że ją złamałaś, ale to nic. Będiesz kuśtykała jakiś czas w gipsie i wszyscy ci będą strasznie współczuli.

- Ale ja jej nie czuję. W ogóle niczego nie czuję i nie mogę się ruszać. - Wyraz jej zakrwawionej twarzy wskazywał, że Joanna wpadła w panikę i bardzo się boi. Usiłowała się poruszyć, jakby chciała z czymś walczyć.

- Masz leżeć bez ruchu! - ofuknęła ją Mel, mocniej przyciskając dłońmi jej głowę; na rękach czuła ciepłą krew i śliskie od niej włosy. - Ben prosił, żebym cię mocno trzymała i nie pozwalała się ruszać, zanim nie sprawdzą twego kręgosłupa.

- Co Ben powiedział?

- Nie ruszaj się! Ben obłożył cię kawałkami drzewa i kamieniami i... w ogóle był fantastyczny. - Nie mogła zapomnieć, jak delikatnie dotykał Joanny, jak się o nią troszczył.

- Głupio mi wobec ciebie - wyznała Joanna.

- Dlaczego ci głupio? - Mel wciąż klęczała i kamienie zaczęły boleśnie wbijać się w jej kolana.

- Bo przecież mówiłaś mi, żebym tego nie robiła... a ja koniecznie chciałam zobaczyć rzekę na dole... to nie była twoja wina... - Głos Joanny stał się jakby silniejszy. - To nie jest twoja wina, słyszysz? - Odkasznęła i kaszel zamienił się w jęk. W jej włosach błyszczały smugi krwi świeżej, ciemnopurpurowej. - Wiesz, czego ci życzyłam zeszłego wieczoru?

- Ustaliliśmy, że mamy sobie tego nie zdradzać.

- Życzyłam ci, żebyś się znowu zakochała - powiedziała Joanna i zamknęła oczy.

Mel wyczuła, że jej przyjaciółka znowu traci przytomność, więc starała się ją ożywić rozmową.

- Jeśli chcesz, to pojedę z tobą do Nowej Zelandii. Wybierzemy się tam razem, aby zoba-



czyć te tajemnicze trzęsawiska. Jeśli pojedziemy we dwie, przyjemność będzie większa.

Joanna nie odpowiedziała.

- Wczoraj przed snem pomyślałam o miejscu, do którego naprawdę chciałabym pojechać. Gdy mnie pytałaś zeszłej nocy... - Zeszłej nocy... to zdawało się teraz niewyobrażalnie dawno. Od ubiegłego wieczoru czas jakby się rozciągnął i jednocześnie się zawężił. W porównaniu z przerażającą terażniejszością bezpieczna przeszłość stała się czymś nieprawdopodobnie odległym... - Wprawdzie nie mogłam tak na poczekaniu podać miejsca, do którego chciałabym się udać, teraz wiem, że miałabym wielką ochotę wybrać się na jakieś naprawdę długie wędrówki, na przykład w Appalachy, szlakiem, który wiedzie przez czternaście stanów i dwa parki narodowe, albo w Góry Skaliste, a może do Szkocji czy nawet w Andy. Jak wspaniale byłoby maszerować w rzadkim górskim powietrzu, kiedy słońce leje się na ziemię gorącą lawą, a wszędzie dookoła widać ośnieżone szczyty gór... Spotyka się tam lamy i mężczyźni w wysokich kapeluszach... Ach, Joanno, obudź się! Mów do mnie!

Nie było odzewu. Do Mel docierał jedynie głuchy huk wodospadu i szum wody opływającej skały. Wysoko w górze widać było skrawek nieba i rozkołysane wierzchołki drzew. Nad głowami leniwie kołował ptak i po chwili odleciał. Mel poczuła dreszcze. Bicie serca Joanny było ledwo wyczuwalne. Pomyślała, że do końca życia zapamięta ten mokry żwir, popękaną powierzchnię ściany skalnej, rzekę, w której burzy się brązowa woda, i strumyczki, ściekające po skale i rozplływające się po niej jak lzy. Wystarczy, że zamknie oczy, a znowu się tu znajdzie, w ciszy maconej jedynie szumem rzeki, z umierającą na rękach przyjaciółką.

- Joanno! - nawoływała. - Zbudź się! Wróć do mnie!

Nic. Milcząca nieobecność Joanny przedłużała się, a Mel miała przepełniające poczucie pustki, totalnej i absolutnej... Wzbierała w niej także złość. Chciała krzyknąć, rozbijać, niszczyć... życie... los... cokolwiek.

- Joanno! - zawołała ponownie, tym razem bardziej surowo. I poczuła, że w ciele Joanny coś się poruszyło.

- Moje nogi... - zajęczała.

- Co się z nimi dzieje?

- Nie mogę ruszać.

- Przecież ci już mówiłam, że Ben cię skrępował, i chyba ciaśniej niż Indianie zawijają swoje dzieci.

- Nic nie czuję.

- Dlatego, że ci zimno...

- To zły znak. - Joanna mówiła bełkotliwie i próbowała odwrócić głowę, ale Mel mocniej ją przytrzymała. - Nie zniosę życia w wózku inwalidzkim, wolę umrzeć.

- Nie umrzesz! - ostro zareplikowała Mel. - I nie powtarzaj tego w kółko. Powiedziałam ci, że Ben Andersen wzywa pogotowie. Są już w drodze, wkrótce tu będą.

- Ben?

- Tak. Przecież ci mówiłam. - „Boże - pomyślała - czyżby ten upadek uszkodził Joannie mózg?”

- Biedny Ben... i Lisa też biedna... - Głos Joanny brzmiał sennie, jakby zasypiała.

- Wiem.

- Nie myśl, Mel, że jesteś winna temu, co mi się stało - mruzczała Joanna. - Zawsze byłam niezgrabna jak słoń...

- Ach, Joanno!...

- A przecież muszę je chwycić...

- Co?

- Życie za jaja... - Joanna otworzyła oczy. - Nie zapomnij!

- Nie będę w stanie, skoro będziesz przy mnie, by mi to stale przypominać - powiedziała Mel z oczami pełnymi łez.

- Chce mi się pić...

- Zaczekaj! - Mel sięgnęła po butelkę z wodą leżącą obok na kamieniach. Pochyliła się i przytknęła ją do ust przyjaciółki.

- Sekrety... - odezwała się po chwili Joanna, nieco mocniejszym głosem.

- O jakie sekrety chodzi?

- Chodzi mi o to, że ja ich dochowuję.

- Ja też - przyznała się Mel. - Nie zdradziłam ci pewnych rzeczy, które powinnam była powiedzieć. - „Czy gdybym powiedziała o tej aborcji przed laty, gdy tak bardzo tego pragnęłam, sprawa stałaby się przez to bardziej znośna?” - myślała, przytrzymując dłońmi szarą, zakrwawioną twarz przyjaciółki. Czy zrobiłoby jakąkolwiek różnicę, gdyby wyznała jej ten sekret, zamiast tłumić go w sobie i wyjawić dopiero parę tygodni temu w Bostonie?

- W porządku - odrzekła Joanna - bo ja też ci nie mówiłam wszystkiego.

- Czego mi nie powiedziałaś?

- Że Don Cunningham i ja...

- Co? Miałaś z nim romans? Joanna potaknęła.

- Nie wierzę! - krzyknęła Mel, udając oburzenie.

- Jak myślisz? Czy inaczej mogłabym sobie pozwolić na kupno księgarni? - Drżący cień jej dawnego uśmiechu pojawił się na ustach Joanny.

Mel nie była w stanie patrzeć w mrugające powiekami oczy przyjaciółki, na twarz, z której życie wydawało się uchodzić.

- Nie ten śmierdzący stary Don Cunningham... Po prostu nie mogę w to uwierzyć. - Próbując powstrzymać łzy, spojrzała na ranę na głowie Joanny. Bluza dresowa, którą wcześniej podłożyła jej pod kark, była czarna od wysychającej krwi. Z jednego jej ucha wyciekał jakiś przezroczysty płyn... - Ach, Joanno! Moja kochana przyjaciółko! - Nie mogła pohamować dreszczy. Chłód, jaki odczuwała, miał swoje źródło nie tylko w wodzie i mokrych, zawsze mrocznych skałach, ale tkwił w jej ciele: w kościach i w sercu. - Tylko nie Don - szepnęła, jakby to było ważniejsze niż straszliwe uczucie lęku, jakie ją przenikało, i dojmującego żalu.

## — 19 —

Ben wszedł z nią do poczekalni przy Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej.

- Nie musisz mi towarzyszyć - powiedziała cała w nerwach.

- Zostanę z tobą, póki nie przyjdzie lekarz - odparł. - Chcę usłyszeć, co powie.

Siedzieli w małym obskurnym pokoju i czekali - razem, a jednak każde z osobna. Fikus o błyszczących liściach stał w rogu poczekalni, jasnozielona paproć płożyła się na stojaku do kwiatów u wejścia. Te zdrowe i pełne sił witalnych rośliny niepotrzebnie przypominały o tych walorach przebywającym tu chorym. Na ścianach wisiały fotografie w ramkach, przedstawiające miejscowe widoki: łódź z dużym trójkątnym żaglem mknącą po jeziorze Champlain, polną drogę wiodącą do wodospadu i drewniany barak, w którym produkuje się cukier klonowy. Nad głowami czekających brzęczały halogenowe lampy, które rzucały matowe światło na ściany, podłogę, ludzkie ubrania i twarze, skutecznie pozbawiając je naturalnego kolorytu i nadając wszystkiemu jednolitą, pieczarkowobiałą barwę.

Ben wertował jakieś mocno już pobrudzone czasopismo, by po chwili cisnąć je na stół. Potem wziął inne i też odrzucił. Wstał i chodził po pokoju, trzymając ręce w kieszeni.

W końcu przeciągnął się, znowu usiadł i sięgnął po jeszcze inną gazetę.

- Nie ma potrzeby, żebyś tu ze mną czekał - Mel bąknęła mimochodem i nie była nawet

pewna, czy w ogóle to powiedziała, do momentu gdy Ben ruchem głowy wyraził sprzeciw.

- Chcę zostać - oświadczył.

- Dam sobie radę sama - mruknęła. Skądś z oddali dochodziły do niej strzępy rozmowy, potem nagły wybuch śmiechu. Co jakiś czas przejeżdżały korytarzem osoby na wózkach inwalidzkich.

Na specjalnym wózku do przewożenia chorych transportowano młodego człowieka, który miał całą twarz we krwi. Raz słyszała, jak ktoś głośno kłął, a pielęgniarka go uspokajała. Mel czuła chłód, który przenikał ją do szpiku kości. Zrodził się gdzieś głęboko w niej i rozszerzał, tak że w końcu zaczęła szczełkać zębami i drżeć na całym ciele.

Ben obserwował ją w milczeniu, a po chwili zszedł do holu, napełnił dwa plastikowe kubki kawą z ekspresu i jeden jej podał. Pociągnęła łyk, skrzywiła się i już miała odstawić kubek na stolik, gdy ją Ben powstrzymał.

- Lepiej wypij kawę - poradził.

- Jest dla mnie za słodka. Zwykle nie używam cukru.

- A jednak ją wypij! - nalegał. I Mel posłusznie opróżniła zawartość kubka. Od razu poczuła, że cukier i kofeina zaczynają działać, przywracając jej utraconą energię.

Skrzyżowała ramiona na piersi, próbując się nie poddawać i nie zdradzać ze swoim strachem.

„Joanna wyzdrowieje - mówiła do siebie w duchu. - Musi wyzdrowieć, nic innego nie wchodzi w rachubę”. Znowu jej się przypomniała żółta polarowa kurtka leżąca na mokrych skałach, krew i dziwny wyraz oczu Joanny. Tłumaczyła sobie, że to jest zrozumiałe, że zwykle tak się dzieje, gdy się człowiek uderzy w głowę. Po prostu Joanna doznała wstrząsu mózgu i tak się to objawia. Przecież ciągle się słyszy o kimś, że doznał wstrząsu i bez komplikacji wrócił do zdrowia. Zaciśnęła pięść, wbijając palce we wnętrze dłoni. „Joanna wyzdrowieje - powtarzała w myśli. - Musi”. Drzwi z nierdzewnej stali, które prowadziły do sali operacyjnej na oddziale chirurgii urazowej, otworzyły się z rozmachem i wyjechał z nich wózek do przewożenia chorych, pchany przez pielęgniara. Mel wstała i ruszyła w tę stronę.

- Joanna?! - zawołała.

Ale w wózku wieziono kogoś innego: małego chłopca o blond włosach. Miał dziesięć, może dwanaście lat i złote rzęsy, najdłuższe, jakie Mel kiedykolwiek widziała.

Na końcu korytarza pojawiła się tęga niewiasta. Miała wykrzywione usta i szalony wyraz oczu. Szła z wyciągniętymi przed siebie ramionami.

- Dziecko, dziecko, moje dziecko!... - krzyczała. - Czy memu dziecku nic się nie stało?! Czy nic mu nie jest?! - Za nią podążali dwaj jasnowłosi chłopcy, starsi od leżącego na wózku. Po ich minach widać było, że wstydzą się zachowania matki i sposobu, w jaki wyraża swoje zdenerwowanie; jednocześnie sami mają obawy o stan zdrowia brata. - Dziecko, moje dziecko... - Nie przestając szlochać, kobieta zniknęła w korytarzu, a po chwili ucichło też skrzypienie kółek wózka.

Ben wziął Mel za ramię i zaprowadził z powrotem do poczekalni. Usiadła, padając wręcz na krytą skajem kanapkę, jej ciało nagle zrobiło się wiotkie, mięśnie sflaczały, a ruchy niezborne. Siedziała pochylona do przodu, zakrywając twarz dłońmi. Próbowwała się modlić, ale z trudem jej przychodziło sformułowanie odpowiednich słów.

- Proszę! - błagała - pomóż! Pozwól, niech wyzdrowieje! - I znowu: - Proszę! - Nie wstydziła się zebrać o łaskę. Widziała, jak sylaby, niczym bładoniebieskie motyle, powoli ruchem spiralnym wlatywały w stronę nieokreślonego wyobrażenia Boga.

Minęły jeszcze dwie godziny, zanim pojawił się lekarz: mężczyzna o szarej twarzy, w zielonym fartuchu, z maską chirurgiczną wiszącą na szyi. Było już późno, dochodziła druga nad ranem, a chirurg wyglądał, jakby nie spał od kilku dni.

- Jakie pan doktor ma dla nas wiadomości? - spytała; jej ciało przebiegł dreszcz.

- Czy pani należy do rodziny? - odpowiedział obcesowo pytaniem na pytanie, zbyt zmęczony, by się silić na uprzejmość.

- Nie, ale byłam z panią Mayfield wtedy, kiedy się zdarzył wypadek.

Ben podszedł i stanął obok Mel. Przyjacielsko kiwnął ręką lekarzowi.

- Cześć, Jim! Wyglądasz na strasznie znużonego.

- Przepraszam, Ben, że cię nie zauważyłem, jestem wręcz nieprzytomny ze zmęczenia. To była długa i wyczerpująca praca.

- Mel jest najbliższą przyjaciółką pani Mayfield - wyjaśnił Ben - więc powiedz nam, co się z nią dzieje. - Wziął Mel za rękę, a ona, czując szorstkość i ciepło jego dłoni, była szczęśliwa, że Ben jest z nią, zadaje lekarzowi pytania i pomaga jej wybrnąć ze skomplikowanej sytuacji.

- Cóż mogę powiedzieć? - odparł chirurg, trąc palcami powieki. - Udało nam się ustabilizować stan pacjentki. Wstrzymaliśmy wewnętrzny krwotok, zrobiliśmy transfuzję krwi, aby wyrównać jej ubytek. Posklejaliśmy ją najlepiej, jak potrafiliśmy. Unieruchomiliśmy nogę. Musieliśmy niestety usunąć śledzionę. W chwili, gdy za bardzo obniżyło się ciśnienie krwi, da-

liśmy jej zastrzyk z adrenaliny i ciśnienie prawie wróciło do normy: wynosi teraz sto dziesięć na osiemdziesiąt. - Obserwując twarz Mel, spytał nieoczekiwanie: - Czy pani coś z tego rozumie?

- Chcę wiedzieć tylko jedno - wyznała, potrząsając głową - a mianowicie, czy z panią Mayfield jest wszystko w porządku?

- Pacjentka żyje, jeśli o to pani chodzi, ale do tego, by było z nią wszystko w porządku, jest jeszcze daleko.

Mel zamknęła oczy i zastanawiała się, w jakim stopniu jest odpowiedzialna za zrujnowanie Joannie życia.

- W tej chwili pacjentka leży w sali pooperacyjnej - wyjaśniał dalej chirurg - i zostanie tam do czasu, gdy przyjdzie do siebie po narkozie i będziemy z jej stanu zadowoleni, co nie znaczy, że spodziewamy się jakichś pooperacyjnych komplikacji. Potem przeniesiemy ją na oddział intensywnego nadzoru.

- Potem? - spytała nerwowo. - A jakie są prognozy?

- Na razie nie możemy niczego przewidzieć i chyba nie będziemy mogli co najmniej przez następne dwadzieścia cztery godziny. To był bardzo poważny upadek: pani Mayfield doznała licznych urazów zarówno głowy, jak i kręgosłupa. - Lekarz się odwrócił, gdyż właśnie przywieziono nowego pacjenta. - Za chwilę tam będę! - zawołał do pielęgniarza, który pchał wózek.

- Czy pani Mayfield będzie mogła chodzić? - spytała Mel.

- Tego na razie nie wiemy - potrząsnął głową. - Bardziej nas martwią rany jej głowy. W czasie operacji nastąpiła na chwilę przerwa w krążeniu krwi.

- Co to oznacza? - Mel poczuła, że jej własna krew też ucieka z twarzy, powodując mdłości i zawroty głowy. Zachwiała się i byłaby upadła, gdyby jej Ben nie podtrzymał, chwytając za łokieć.

- Chodzi o to, że na skutek znacznego spadku ciśnienia doszło do niedotlenienia mózgu.

- O mój Boże! - Mel oczami wyobraźni widziała już Joannę w wózku inwalidzkim, z opadającą głową, nieprzytomnymi oczami. Wyobraziła ją sobie jako roślinkę, niezdolną do zrobienia czegokolwiek przy sobie, taką, którą trzeba karmić łyżką i - o Jezu! - podkładać pieluchy. Była pewna, że Joanna czegoś takiego nie zniesie. - Czy pan doktor sugeruje, że chora może mieć uszkodzony mózg?

- Niestety istnieje taka możliwość. Niedokrwienie mózgu trwało co prawda bardzo krót-

ko, niemniej musimy spojrzeć prawdzie w oczy: według najgorszego scenariusza, z jakim, mam nadzieję, nie mamy tu do czynienia - gdy narkoza przestanie działać, pacjentka może nie odzyskać przytomności.

- Nie rozumiem, co pan doktor chce przez to powiedzieć?

- Mówię, że ona... - zawahał się i spojrzał pytająco na Bena - że ona po prostu może być w śpiączce.

- W śpiączce? - Chwyliła go za rękaw. Potaknął, nie kryjąc przygnębienia.

- Jest jeszcze za wcześnie, by stwierdzić to z całą pewnością, ale zarówno my, jak i pani, a także rodzina powinniśmy być przygotowani na taką ewentualność.

- Jednak... - chciała coś powiedzieć, lecz głos uwiązł jej w gardle. „Jak to się mogło zdarzyć - myślała - że dwie przyjaciółki spacerują po lesie, zachwycają się słońcem, śmieją się... i nagle... taka okropność”.

Chirurg skwitował jej przerażoną minę zmęczonym uśmiechem.

- Przepraszam, ale w tej chwili nic więcej nie mogę powiedzieć. Po prostu... poczekamy i zobaczymy, co będzie...

- Chciałbym cię jednak prosić o jakąś ogólną ocenę: powiedz, jakie pani Mayfield ma szanse. - Mówiąc to, Ben ścisnął rękę Mel.

Lekarz zakaszłał, spojrzał na nich przez okulary i odwrócił wzrok.

- Jej stan jest krytyczny. Niewiele mogę obiecywać... - wydukał wreszcie.

- A gdybyś spróbował ująć to w procentach - zaproponował Ben.

- Czynimy co w naszej mocy... ale... - I lekarz zrobił wymowny ruch ręką.

- Daj spokój, Jim!

- Niestety, boję się, że jej szanse są nie większe niż pięćdziesiąt do sześćdziesięciu procent. Tak... na dwoje babka wróżyła... Ale mam nadzieję, że za dwadzieścia cztery godziny będziemy mieli lepsze rozeznanie.

- Pięćdziesiąt procent? - Mel myślała, że zemdleje. - O Boże! - Przycisnęła dłonią usta. - Czy ona w ogóle będzie w stanie normalnie się poruszać?

- Sądzę, że to jest możliwe - potaknął doktor. - Nie od razu, oczywiście, ale z czasem, przy troskliwej opiece medycznej, jest to nawet więcej niż możliwe. Jak już jednak powiedziałem, szczegóły będziemy znali dopiero za jakiś czas. Czy pani mieszka w tej okolicy?

- Tak.

- A więc proponuję, żeby pani teraz poszła do domu i wróciła później.

- Nie wiem doprawdy... - Mel spojrzała pytająco na Bena. Odejść znaczyłoby, że opuszcza Joannę. Z drugiej strony niewiele tu miała do roboty. Rzuciła okiem na zegarek, ale nie dostrzegła cyfr. - Spróbuję porozumieć się telefonicznie z rodziną pani Mayfield. Z domu będzie mi łatwiej.

- Czy chcesz, żebym cię podwiózł? - spytał Ben.

Zawahała się i już miała odmówić, ale przyszło jej na myśl, że Ben po prostu chce się czymś zająć, że tego potrzebuje.

- To miło z twojej strony. Poszli na parking.

- Jeśli chcesz, mógłbym u ciebie zaczekać i potem przywieźć cię tu z powrotem - zaproponował.

- Dobrze.

Wziął ją za rękę i poprowadził w stronę swego jeepa. Gdy otworzył drzwi od strony pasażera, napotkała jego spojrzenie i przez chwilę oboje wpatrywali się w siebie bez słowa. Mel chrząknęła i zaczęła coś mówić, a Ben postąpił krok w jej kierunku.

- Mel... - zwrócił się do niej po imieniu i jego palce zacisnęły się wokół jej ramienia.

- Ben...

Milczenie się przedłużało. W końcu ona pierwsza odwróciła głowę. Weszła do jeepa i usiadła ze wzrokiem utkwionym prosto przed siebie. Ben zajął miejsce na siedzeniu kierowcy i nie patrząc na nią, włączył bieg i nacisnął gaz.

Gdy przyjechali do domu, Mel poszukała kluczy, po czym otworzyła frontowe drzwi.

- Napijesz się kawy? - spytała, kiedy weszli do pustego domu. - A może miałbyś ochotę na coś mocniejszego?

- Masz brandy?

- Tu stoi - wskazała ręką. - Obsłuż się sam.

- Brandy ma być dla ciebie, nie dla mnie - powiedział.

- Muszę zadzwonić do byłego męża Joanny. - Wzruszyła ramionami, podniosła słuchawkę i położyła ją z powrotem na widełki. Zakryła twarz dłońmi. - Jak mam mu to powiedzieć? I co powiem Jamiemu? On teraz przebywa u ojca.

- Nie ma, niestety, łatwego sposobu na przekazywanie złych wiadomości. - Ben włożył jej do ręki kieliszek brandy. - Najpierw wypij to!

- Alkohol dla kurażu?

- Tak. Właśnie tak.



Wystukała numer Gordona Mayfielda. Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili, najwidoczniej zbudzony ze snu.

- Mówi Mel Sherman.

- Czy coś się stało któremuś dziecku? - spytał ze strachem w głosie.

- Nie, nie dzieciom.

- A więc co się stało? O tej porze trudno się spodziewać dobrej wiadomości!

Mel czuła dławienie w gardle. Chociaż jej usta zdawały się wymawiać jakieś słowa, nie wydobył się z nich żaden głos.

- Halo! - zawołał Gordon. - Mel? Jesteś tam jeszcze?

- Ja... ja... - wydawała jakieś zduszone dźwięki.

- Chodzi o Joannę, prawda? - nie miał już co do tego wątpliwości.

- Tak...

- Uspokój się i mów powoli - pouczył ją. Jako adwokat często miał do czynienia z klientami będącymi w stresie, wiedział więc, jak w takim wypadku postępować.

- Ona... ona... - Mel zaczęła szlochać.

- Umarła? - rzucił zmęczonym głosem. I było coś bardzo szczególnego w tonie jego głosu, gdy dodał: - Nie wiem dlaczego, ale mam takie uczucie, jakbym się tego obawiał od chwili, kiedy opuściłem dom.

- Nie, źle mnie zrozumiałeś... Joanna żyje... - I w końcu udało jej się wyjaśnić, co się wydarzyło.

Z drugiej strony linii dobiegło długie westchnienie.

- Jak mam to powiedzieć Jamiemu? - spytał Gordon.

- Naprawdę nie wiem.

- A Tom i Lucy są już powiadomieni?

- Nie. Jeszcze nie. Tom jest w Nowym Jorku, a Lucy z przyjaciółką w Kalifornii.

- Tak, oczywiście, wiem...

- Czy chciałbyś, żebym to ja do nich zadzwoniła?

- Nie. Chyba lepiej będzie, gdy sam to zrobię. - Znów głęboko westchnął. - Pewnie cię to boleśnie dotknęło - powiedział cicho. - Wiem, jak bardzo byliście sobie bliskie.

- Tak. - Czuła się zraniona, rozbita i zdruzgotana.

- Czy masz kogoś przy sobie, z kim mogłabyś porozmawiać?

- Właściwie nie... - Nagle sobie uświadomiła, że jej otoczenie zieleje pustką. Nie miała już

nikogo, z kim można by było pochichotać, przy kim mogłaby się znowu poczuć młoda, jak wtedy, gdy chodziła do szkoły, z kim można by się pośmiać i pożartować. Usłyszała, że Ben krząta się w kuchni i dodała: - Chociaż chyba jednak mam kogoś w tym rodzaju...

- Jutro u was będę - obiecał Gordon. - Czy do tego czasu jakoś sobie poradzisz?

- Na pewno. - Przecież nie miała wyboru. Nic innego jej nie pozostawało, jak tylko sobie radzić...

Niewiele czasu minęło, a już zadzwonił Tom.

- Co się stało?! - krzyczał w słuchawkę i głos mu się załamywał.

- Wybrałyśmy się z twoją mamą na spacer do lasu i mama się pośliznęła i spadła z dużej wysokości.

- Nie rozumiem... - W słowach Toma wyczuwało się tajone łyzy, gotowe w każdej chwili popłynąć strumieniem. - Przede wszystkim nie rozumiem, co ona tam robiła! Przecież mama nienawidzi przebywać na wolnym powietrzu! Po co tam poszła?

- Mama była moim gościem, Tom. Zaprosiłam ją do mego letniego domku w górach. - Mel zdawała sobie sprawę, że musi być przygotowana na odpieranie zarzutów.

- Dlaczego, Mel? Powiedz, dlaczego? - Tom załamał się i płakał jak dziecko, a ona próbowała go pocieszyć i uspokoić, ale jej się to nie udawało. Bo co można takiego powiedzieć, aby uspokoić siedemnastolatka, który płacze przy telefonie i wymawia słowo „mamusia” głosem, jakiego pewnie używał w dzieciństwie, który powtarza „mama, mama” - przerażony, że może już nigdy nie zobaczy jej taką, jaką była dotąd.

Mel starała się przemawiać do niego najspokojniej, jak umiała.

- Tom - mówiła z zaciśniętym gardłem - Tom! - A on łkał w słuchawkę.

- Mama... - Słyszała, jak powtarza po drugiej stronie linii. - Nie. Nie mogę przyjąć tego do wiadomości! Nie potrafię w to uwierzyć.

- Tak mi przykro, kochanie... Tak mi przykro.

- Nie rozumiem tego... - mówił załamującym się głosem. - Przecież ją kochałem... - Jakby jego miłość miała ją ochronić i sprawić, że będzie nietykalna, że nic złego jej nie spotka.

Odłożyła słuchawkę, ale długo jeszcze siedziała z ręką na telefonie, patrząc przed siebie niewidzącymi oczami.

Nade wszystko pragnęła zadzwonić do Joanny, jak to tyle razy robiła w ciągu minionych lat, przedyskutować z nią to straszne wydarzenie i usłyszeć jej pogrzipiające i pocieszające słowa.

Ben Andersen wyszedł z kuchni, niosąc w ręku kubek kawy. Zrobił też kanapki z szynką i pomidorem. Dopiero wtedy Mel sobie uświadomiła, jak dawno nie miała nic w ustach.

- Dziękuję ci - powiedziała wdzięczna, że o niej pomyślał. Kiedy sięgnęła po jedzenie, na grzbiecie dłoni zobaczyła krew. Była to wyschnięta plama krwi Joanny. Pobiegła do kuchni, odkręciła kran i patrzyła, jak zabarwiona na czerwono woda spływa do zlewu i znika. „Jak życie Joanny” - pomyślała i nagle zrobiło jej się słabo. Przytknęła mokrą dłoń do ust, broniąc się przed torsjami.

Kiedy się odwróciła, Ben stał obok niej i przyglądał jej się. Potem wyciągnął do niej rękę, a ona, milcząc, przytuliła się do niego. Głowę oparła na jego ramieniu, z ufnością przyjmując wsparcie, jakie jej oferował.

- Gdyby nie twoja pomoc - powiedziała zduszonym głosem - Joanna już by nie żyła.

- Kto wie... może wolałaby umrzeć.

- Nie mów tak!

- Chciałbym móc coś zrobić, ale nawet nie wiem, co powiedzieć.

Mel raptem poczuła się tak lekko, jakby była jakąś bezcielesną istotą; gdyby ją puścił, mogłaby ulecieć. Masywność i ciepło jego ciała działały na nią uspokajająco.

- Nie mogę się pogodzić z tym, co spotkało Joannę - szeptała, wypłakując się na jego piersi. - Joanna miała takie szczodre serce, tyle z siebie dawała innym...

- Wiem. Zadzwoił telefon.

- Lepiej go odbiorę - powiedziała, ale nie ruszyła się z miejsca.

- Dobrze - zgodził się i nadal trzymał ją w ramionach. Jego oczy przypominały wodę, morską wodę, a może toń jeziora.

- Dziękuję ci za to, że jesteś ze mną. Dzięki, Ben... - Delikatnie i niechętnie uwolniła się z jego objęć i podeszła do telefonu.

Gordon Mayfield i jego dzieci przybyli do Butterfield już następnego dnia i pojechali prosto do szpitala. Wyczerpana i przygnębiona Mel czekała na nich w domu Joanny. Kiedy pojawili się w drzwiach, wyglądali na mocno przejętych. Tom, który w czasie letnich wakacji przybrał na wadze i zaokrąglił się, otoczył Mel ramieniem. Potem ona uściskała Lucy, a dziewczyna, tuląc się do niej, położyła głowę na jej ramieniu. Gdy Mel wyciągnęła ręce do Jamiego, chłopiec podciągnął spadające mu z nosa okulary, zmarszczył brwi, dolna warga mu zadrżała i wybuchnął płaczem.

- Mama - jęczał. - Mama!

- Kochanie - szeptała Mel, ściskając go z czułością. - Mój mały Jamie... - Pamiętała go jako małego berbecia i gdy miał cztery lata, siedem... zawsze poważny, przedwcześnie dojrzały, nigdy nie rozstawał się z książką.

Pomyślała o cytrynowym torcie w zamrażarce, na którym może już nigdy nie pojawią się świece.

- Czy myślisz, że są różne rodzaje miłości? - spytał ją przed tygodniem. W okrągłych okularach przypominał sowę; buzię miał usmarowaną lukrem z tortu. - Czy kocha się zawsze tak samo? - zastanawiał się.

- Oczywiście, że nie. Pomyśl, jaką miłością darzysz mamę, a jaką siostrę...

- To mi się rzadko zdarza - wtrącił.

- ...a jaką psa Gargery'ego. Trzy różne formy miłości, każda jest inna.

- Chyba masz rację - zgodził się.

- Chodzi o to, żeby nad miłością, którą poczujesz, zapanować i starać się ją zatrzymać, bo bez względu na to, jaką przyjmuje formę, zawsze jest bardzo cenna.

Teraz Jamie patrzył na nią, pociągając nosem.

- Czy mama umrze? - spytał.

- Ależ nie, Jamie! Mama wyzdrowieje - zapewnił Tom, gładząc młodszego brata po włosach. - Przecież znasz mamę... - Sprawiał wrażenie, że pozostawił już za sobą chłopięcy okres i wkroczył w dorosłość.

Mel nie wiedziała, czy jej się tylko tak wydaje, czy naprawdę Tom unika jej wzroku. Ona sama nigdy nie przestanie mieć przed oczami ciemnych od wody skał, wzburzonej rzeki, ziemi zasłanej liśćmi i tej siarkowożółtej plamy na dnie wąwozu - jasnej jak wiosna, ale budzącej

grozę.

Gordon Mayfield oparł obie dłonie na ramionach Mel. Był wysokim, tęgim, wciąż jeszcze przystojnym mężczyzną, o szlachetnej, trochę może teatralnej urodzie, z burzą siwych włosów na głowie i ładnie opaloną twarzą.

- To wszystko jest takie okropne - powiedział. - Nie można patrzeć, jak Joanna leży na łóżku szpitalnym i wygląda tak, jakby... - Jego dobre oczy miały czerwone obwódki. Usiadł ciężko na starej kanapce, a dzieci zgromadziły się wokół niego; Lucy położyła mu głowę na piersi, Tom siedział wyprostowany, a Jamie umieścił się na kolanach ojca, jakby był znowu małym dzieckiem.

Mel poczuła się zbyt zmęczona i wyszła, aby zrobić kawę. Wzruszył ją swojski wystrój kuchni Joanny i świeżo pomalowane na żółto ściany, czego obie dokonały tuż przed Wielkanocą. Nieobecność bujnych kształtów i wybuchowej osobowości Joanny była tym trudniejsza do zniesienia, że tak wiele rzeczy dookoła budziło związane z nią wspomnienia: nóż ze znakiem firmowym „Sabatiera”, który sama jej kiedyś kupiła; kubek wyobrażający karykaturalnie brzydką twarz, o której Joanna mówiła, że jej przypomina Sarę Mahoney; laleczka zrobiona z kolby kukurydzy, owiązana czerwoną wstążką; antyczny, zrobiony z wiśniowego drzewa pojemnik na sól, który nabyły kiedyś na garażowej wyprzedazy.

Mel postawiła na tacy kubki z kawą i szklankę soku dla Jamiego i zniosła to do pokoju. Wszyscy wyglądali tak, jakby nie ruszyli się z miejsca. Umieściła tacę na sfatygowanym stoliku do kawy przed nimi, złożyła dłonie i poczuła, że są śliskie od potu. Pociła się ze zdenerwowania. Lucy patrzyła na nią i mrugała powiekami, broniąc się przed zaśnięciem. Zmęczył ją długi lot z Zachodniego Wybrzeża. Potem zaczęła płakać z otwartymi ustami, a jej plecy trzęsły się od łkań.

- Chciałabym powiedzieć... - zaczęła Mel, zamierzając wyznać dzieciom Joanny, że to ona jest wszystkiemu winna, bo zabrała ich matkę nad jezioro. Ale kiedy wzięła oddech, aby wypowiedzieć to oskarżycielskie zdanie, uświadomiła sobie, jak bardzo niesprawiedliwe byłoby obciążanie ich swoim bólem, gdy mieli wystarczająco dużo własnego. - Chciałabym powiedzieć - powtórzyła - że jeśli jest coś, w czym mogłabym pomóc, służę wam swoją osobą.

- Dziękujemy, Mel - usłyszała.

Nalała kawę, podała im kubki i zastanawiała się, czy dzieci Joanny obwiniają ją za to, co się stało, czy nie. Czy jej nienawidzą, czy nie.

Gordon wydawał się wyraźnie zmartwiony.

- Nie mam pojęcia, jak się trzeba zajmować czymś takim jak księgarnia... - wyznał.

- Obie współpracownice Joanny: Karen i Wendy są dobrze wprowadzone w swoje obowiązki - uspokoiła go Mel - i mogą prowadzić księgarnię tak jak dotąd. Ewentualny problem może powstać dopiero wtedy, kiedy przyjdzie do zamawiania nowych książek, ale codzienna praca w księgarni nie przysporzy im żadnych trudności.

Tom jakby stracił swą dzielną postawę i był bliski płaczu.

- Nie mogę się z tym wszystkim pogodzić - powiedział drżącym, załamującym się głosem. - Nie wyobrażam sobie mamy w wózku inwalidzkim, a o czymś takim wspominali nam w szpitalu. Mówili, że mama może długo pozostawać w śpiączce... - Pochylił głowę i całym jego ciałem wstrząsało łkanie.

- Może byłoby lepiej, gdybyśmy spróbowali po prostu sprzedać księgarnię - głośno zastanawiał się Gordon, spoglądając na starszego syna. - Mam na myśli sytuację, w której Joanna nie byłaby już w stanie sama się nią zajmować. Oczywiście, nie teraz, później... Nie mówię, że mamy to zrobić od razu, ale...

- Nie, tato. Nie stawiajmy jeszcze krzyżyka na mamie, dobrze? - odezwała się Lucy, kładąc ojcu rękę na kolanie.

- Ja też uważam, że dopóki nie ma jeszcze pewnych wyników, nie powinniśmy się spodziewać najgorszego - stwierdziła Mel. Zdawała sobie sprawę, że wszyscy skupili się tylko na tej jednej groźbie, że być może Joanna nie będzie mogła się samodzielnie poruszać, bo wolą nie myśleć o znacznie gorszej ewentualności... - Musicie jednak wiedzieć, że sama Joanna rozważała możliwość sprzedania księgarni. W każdym razie myślała o zajęciu się czymś nowym.

- Czymś nowym? - zdziwili się.

- Tak, całkiem niedawno rozmawialiśmy na ten temat; Joanna doszła do wniosku, że być może nadszedł czas, aby zacząć robić coś nowego.

- Na przykład co?

- Może w to nie uwierzycie, ale wasza mama całkiem serio się zastanawiała nad otwarciem sklepu ze zdrową żywnością. - Mel, choć czuła się nieszczęśliwa, w tym momencie nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Joanna tak powiedziała? - Gordon nie wierzył własnym uszom.

- Mama miałyby sprzedawać ekologiczne jarzyny? - zdumiewał się Tom.

- Małe chrupiące jabłka i zioła, tego rodzaju rzeczy? - Jamie poprawił okulary na nosie. -

To niepodobne do mamy.

- Trudno mi w to uwierzyć, naprawdę... - wyznała Lucy.

Oczy miała pełne łez, ale usta rozchylone w uśmiechu.

- A ja mogę, choć nie na długo - przyznał Gordon.

I nagle wszyscy zaczęli się śmiać, zanosili się śmiechem, wręcz pokładali ze śmiechu... Oczami wyobraźni widzieli Joannę z jak zawsze dziko rozwianym włosom, otoczoną workami z grochem i fasolą, wiadrami indyjskiego ryżu basmati albo ekologicznie wyhodowanymi, pełnymi ziarnami zbóż; Joannę oferującą klientom powykręcane, guzowate marchewki i pomidory o dziwnych kształtach, rodzynki w wegetariańskiej czekoladzie, mdłe sojowe przekąski, a także muesli bez cukru.

- Możecie sobie wyobrazić - mówiła Lucy z twarzą czerwoną od śmiechu - mamę sprzedającą tofu?

Mel potakiwała i choć oczy miała pełne łez, tym razem powodem był nadmiar wesołości.

- Albo kwargiel? - zdołała wtrącić.

- O, nie! Żadne takie... - udawał oburzonego Gordon.

- Przepraszam! Wegetariański ser - poprawiła się.

- A może czekoladopodobne obrzydlistwo z chleba świętojańskiego?

- Albo ziołową herbatę? - uzupełniła listę Lucy.

- Przecież mama nienawidziła, chciałam powiedzieć: nienawidzi takiego jedzenia. - I śmiech szybko przeszedł w płacz.

Kiedy Gordon z dziećmi pojechał do szpitala, Mel wróciła do swego domu. Wydał jej się pełen martwych cieni, gdy niepewnym krokiem szła przez ciemne pokoje do kuchni. Zegar na kominku jaśniał łagodnie zielonym światłem i pokazywał czas, różniący się zwykle o kilkadziesiąt sekund od tego na zegarze w kuchence mikrofalowej.

Otworzyła lodówkę i patrzyła na kartony mleka i słoiki majonezu, garnek z jagodowym masłem, który kupiła w farmerskim markecie w ubiegłym tygodniu, na pastę do smarowania kanapek zawierającą niskokaloryczny tłuszcz, szynkę zapakowaną w woskowany papier z delikatesów na błoniach i kurze udka na niebieskiej polistyrenowej tacce. Wiedziała, że powinna coś zjeść, ale myśl o jedzeniu, a zwłaszcza o jego przygotowywaniu, przyprawiała ją o mdłości. Zamknęła drzwi, z patery z owocami, stojącej na ladzie, wzięła banana i zaczęła powoli obierać go ze skórki, gdy znowu zebrało jej się na wymioty. Odłożyła go więc, ostrożnie umieszczając wśród pomarańcz i jabłek.

Stała w pokoju dziennym i patrzyła przez okno na ciemny ogródek z frontu. Światło

uliczne przenikało przez liście wielkiego klonu i rzucało niski, pomarańczowo zabarwiony cień na krzewy japońskiej azalii i róż. Bezmyślnie pieściła w dłoni małą rzeźbę z rózanego drzewa i obwodziła palcami jej kontury. Chciałaby z kimś porozmawiać, ale nie miała z kim. Potrzebowała kogoś, kto by ją uspokoił i wyciągnął do niej przyjazną dłoń. Miała masę przyjaciół i w samym Butterfield, i dookoła, ale nie знаła nikogo, kto by mógł złagodzić jej ból i zmniejszyć poczucie winy, nikogo, kto by zrozumiał, że osobą, która ma leżeć w szpitalu, powinna być ona, a nie Joanna. I chociaż była wdzięczna losowi, że tam nie leży, nie sądziła, by kiedykolwiek mogła sobie wybaczyć to, co się stało z Joanną.

Nagle pomyślała o Benie. Przez chwilę się wahała, trzymając dłoń na telefonie, a potem powoli wybrała numer. Czy będzie miał jej to za złe? Czy zrozumie, że ona potrzebuje pocieszenia? Przewidywała nawet jego reakcję; już w głębi duszy słyszała, jak mówi: „Zaraz tam będę” - i od razu się uspokoiła.

Telefon dzwonił piętnaście, dwadzieścia, może trzydzieści razy, zanim się ostatecznie wyłączył. Usłyszała chrapliwy brzęk i odłożyła słuchawkę.

Rurki. Dziesiątki rurek. Wychodziły Joannie z nosa i ust, były przymocowane do jej ramienia, wiły się pod kołdrą, karmiły ją i monitorowały... Czysty surrealizm... Happening. Przedstawienie procesu pracy. Sztuka instalacji.

Mel miała wrażenie, że jej głowa jest zbyt ciężka, by się utrzymać na szyi, i dlatego wciąż jej opada na pierś. Mrugała, by się przebudzić. Powieki miała szorstkie jak papier ścierny, a w ustach suchość i przykry posmak nieświeżości. Zastanawiała się, jak długo już siedzi przy łóżku Joanny. Czy minęły godziny, czy dni? Wydawało jej się, że szmat życia spędziła na czekaniu, mówieniu i nieustającej nadziei, że otrzyma jakiś sygnał, jakiś znak.

Parę razy Joanna kichnęła. To były małe prychnięcia, od których lekko drżało okrywające ją prześcieradło. Od czasu do czasu poruszała głową, zmieniając pozycję na poduszce i mruzczała coś, wydymając wargi. Raz z jej ust wydostało się słowo, które brzmiało jak „zostaw” albo „postaw”; innym razem Mel się zdawało, że Joanna krzyknęła „nie!”.

Przedstawiała straszny widok. Miała okropną, woskowoszarą cerę, którą Mel porównywała do koloru gotowanych, dawno wystygłych ziemniaków. Na jednej stronie twarzy widniały grube, czerwone, zasychające strupy, oczy były podpuchnięte, powieki opuszczone, a skóra dookoła nich wyglądała na tle wybladłych policzków przerażająco szkarłatnie. Zgolono jej większość włosów na głowie, przez co czaszka wydawała się dziwnie bezbronna i narażona na urazy, jak u dziecka. Bandaże, plastry i te cholerne rurki zasłaniały Joannę niemal całkowicie, tak



że trudno było ją odnaleźć pod tym wielometrowym, plastikowym rurociągiem.

Mel zobaczyła teraz przyjaciółkę po raz pierwszy po operacji. Widok był dla niej szokujący i tak bolesny, jakby nagle otrzymała cios w żołądek. Nie rozumiała, jak można było oczekiwać, że ktoś tak okaleczony wyzdrowieje. Nie wierzyła, że jest jakakolwiek nadzieja, by Joanna mogła kiedyś powrócić do dawnego życia. A jednak, choć czas mijał, personel medyczny nie tracił wiary w jej wyzdrowienie.

Pielęgniarki przychodziły i odchodziły, sprawdzały, w jakim Joanna jest stanie, karmiły ją za pomocą kroplówek, myły, zajmowały się jej wszystkimi życiowymi funkcjami. Mel nieraz się zastanawiała, dlaczego ciało nieprzytomnego człowieka domaga się jedzenia i picia, a także musi się wypróżniać. Pielęgniarki pocieszały ją, że jeśli chodzi o istotne życiowe funkcje, stan Joanny jest stabilny.

- Jej reakcja na stymulację z zewnątrz jest taka sama jak poprzednio. Nie widzimy żadnej zmiany na gorsze - mówiły.

- Ale ona wcale się nie budzi... Nie odzyskuje przytomności... - stwierdziła oburzona Mel po długiej nocy spędzonej przy łóżku przyjaciółki, kiedy godzinami trzymała bezwładną dłoń Joanny i obserwowała jej twarz pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu.

Pielęgniarka Beverly, co najmniej o połowę młodsza od Mel, spojrzała na Joannę i położyła palec na ustach.

- W śpiączce wrażliwość słuchowa jest bardzo duża - ostrzegła szeptem. - Starajmy się o pozytywne nastawienie. Powinnaś wierzyć, że przyjaciółka gdzieś przebywa, tylko nie wiadomo gdzie.

Czyżby naprawdę tak było? Czy Joanna nadal jest tą samą jej przyjaciółką, którą kiedyś знаła i kochała? Chciała zapytać o to pielęgniarkę, ale ograniczyła się do krótkiego:

- Skąd masz tę pewność?

- Zaufaj mi! Wiem.

- Ale skąd o tym wiesz, Beverly? - nalegała.

- Trzeba mieć wiarę, Mel! - odparła i poszła dalej. Najwidoczniej zajęła się już czymś innym.

Wiarę? Mel nie była pewna, czy jej wiara jest wystarczająco silna, by mogła przywrócić Joannie zdrowie, i czy w ogóle jest ktoś, kto może aż tyle mieć w sobie wiary...

Wspólnie z Gordonem Mayfieldem opracowała grafik odwiedzin u Joanny, ale w okresach między dyżurami spędzanych przy jej łóżku nie mogła spać. Teraz co chwila przecierała

powieki. Była potwornie wyczerpana. Czasami miewała halucynacje. Widziała białe sowy, przedostające się przez zamknięte drzwi do pokoju Joanny, tygrysa pod jej łóżkiem; prowadziła rozmowy z ludźmi, którzy przebywali daleko stąd, na przykład z Hilary Clinton albo z angielskim premierem. Raz nawet odbyła wyimaginowaną konwersację z Galenem Koslowskim. Zdarzało jej się, że w rozmowie z pielęgniarkami wypowiadała niespójne zdania. One zaś patrzyły na nią ze współczuciem i zrozumieniem, jakby już nie jeden raz takie rzeczy widziały...

„Wszystkie te młode panny podobne są do siebie jak dwie krople wody - myślała. Jej mózg coraz wolniej pracował, jakby go zasilala kończąca się już bateria. - Wszystkie są zgrabne, eleganckie, szczupłe, jasnowłose, mają kształtne małe pośladki i duże stopy. Przypuszczalnie białe obuwie, jakie noszą w szpitalu, sprawia, że stopy wyglądają na większe, niż są w rzeczywistości”.

Mel chwilami miała wątpliwości, czy jej umysł dobrze pracuje, czy może, na skutek nieustannego czuwania, uległy zniszczeniu jej szare komórki, powodując demencję...

Przeniosła się na pokryte skajem krzesło i usłyszała, jak siedzenie pod nią zaskrzypiało, jakby swoim ruchem zadała mu ból. Początkowo uważała to krzesło za niewygodne, nieprzystosowujące się do ciała siedzącego, w dodatku miało gumowe uchwyty na ramiona. Po kilku dniach jednak przywykła i świetnie się na nim czuła.

Desperacko pragnęła, by ona sama i wszystko wokół niej wróciło do normalności, a potem się zastanawiała, czy w ogóle jeszcze istnieje normalność, do której można by wrócić. Ten pokój, to krzesło, ta nieruchoma figura leżąca w łóżku: Joanna, a jednak nie Joanna - wszystko to składało się teraz na jej normalność. Zaproponowała Mayfieldom, że może przenieść się do ich domu i zaopiekować nimi. Mogłaby im przygotowywać wieczorem kolacje, rano pakować Jamiemu śniadania do szkoły... Ale Gordon tylko pokiwał głową, ścisnął ją za ramię i ze zrozumieniem powiedział:

- Skup się raczej na Joannie, a z dziećmi jakoś sobie poradzę. W tej chwili dzieci najbardziej potrzebują zachowania ciągłości... - Chociaż wiedziała, że Gordon miał jak najlepsze intencje, to jednak czuła się odrzucona, a te wszystkie lata, które dzieliła z przyjaciółką, zostały przekreślone, jakby nic nie znaczyły.

Wracała do domu tylko po to, aby coś zjeść, wziąć prysznic i zmienić ubranie. Czasem rozglądała się po swoim mieszkaniu i nie rozpoznawała tak dobrze sobie znanych przedmiotów. Przesuwając palce po gładkich konturach małej rzeźbionej statuetki, stojącej w jej sypialni, lub wyjmując z kredensu swój stary kubek, łapała się na tym, że nie pamięta, skąd się te rzeczy

wzięły, do kogo należały, kto i dlaczego wybrał właśnie taką, a nie inną poduszkę czy szczotkę do zębów. Prawie nie spała w łóżku, ale kładąc się, by chwilę odpocząć na tapczanie, natychmiast zasypiała głębokim i męczącym snem, aby już po kilku godzinach zbudzić się z przekonaniem, że powinna iść do szpitala. Krótka stała pod prysznicem, toaletę ograniczała do przeciągania grzebieniem po włosach, bo się bała, że Joanna może się zbudzić i woła ją lub o coś prosi.

Znajdowała jednak czas, aby wpaść do galerii, podpisać parę listów i zgodzić się na wszystko, co sugerowała Carla. Wystawa prac Kosłowskiego wydawała jej się obecnie czymś odległym i nieważnym, czymś, co przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Teraz, siedząc przy łóżku przyjaciółki, w pewnej chwili wzięła jej rękę i podniósłszy ją do ust, pocałowała. To byłoby bardzo śmieszne, gdyby Joanna była świadoma i na tym ją przyłapała, ale, biedactwo, wciąż nie odzyskała przytomności.

Czasem Mel czytała jej na głos fragmenty *Wielkich nadziei* Dickensa. Książka ta zawsze zajmowała czołowe miejsce na liście lektur, jakie by Joanna chciała mieć ze sobą, gdyby się znalazła na bezludnej wyspie.

Często Mel po prostu do Joanny mówiła.

- Chciałabym, żebyś się już zbudziła - powiedziała jej teraz. - Chciałabym usłyszeć, jak się śmiejesz, choć wiem, że niewiele masz powodów do śmiechu. Niestety bardzo dobrze to wiem. Ale muszę ci opowiedzieć śmieszna historyjkę o Gordonie, o tym, jaką nam zaparzył herbatę wczoraj wieczór, kiedy po wizycie u ciebie wróciliśmy do waszego domu.

Mel potrafiła godzinami w ten sposób przemawiać do Joanny. Gardło miała zaognione i czuła w nim drapanie, ale nie przestawała mówić, bo była pewna, że gdyby tylko utrafiła we właściwy klawisz, gdyby udało jej się wpaść na hasło, stanowiące klucz do mózgu Joanny, wtedy jej przyjaciółka wygrzebałaby się z tej umysłowej zapaści, w której się znalazła, i odezwałaby się do niej.

- Otóż Gordon włożył dwie torebki ekspresowej herbaty do czajnika, następnie napełnił go zimną wodą z kranu, a potem... potem wstawił wszystko na trzy minuty do mikrofalowej kuchenki. Możesz sobie wyobrazić? Nie wiem, czy chciał nam tylko zademonstrować sprytny sposób parzenia herbaty, czy może co innego? A najśmieszniejsze było to, że herbata wcale nie była zła, naprawdę! Może nie miała aż tak dobrego smaku, jak przyzwyczajeniście zaparzona w czajniku ze szczyptą herbaty Earl Grey, tej, którą kupiliśmy ostatnio w Bostonie. Pamiętasz? Joanno, czy mnie słyszysz? Ale na pewno nie była to herbata aż tak zła, jak myślałam. A już na

pewno była o całe niebo lepsza od tej, jaką piłyśmy w tym okropnym lokalu w drodze do Burlington.

Nieruchoma postać na łóżku nawet nie drgnęła. Czasem podczas czuwania Mel się здаwało, że wyczuwała minimalne poruszenie ręki, którą ścisnęła, albo że Joannie zadrżała powieka lub skrzywiły się usta. Ale jeśli nawet te ruchy miały miejsce, były tak słabe i tak krótkotrwałe, że trudno je było uważać za reakcję na słowa przed chwilą powiedziane.

- Ach, Joanno! - szeptała. - Tak bardzo mi ciebie brak, nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak bardzo... Brakuje mi twojego śmiechu, dowcipu i nawet twojej flejtuchowatości czy twojej - spójrzmy prawdzie w oczy - niewyparzonej gęby. Jeśli mnie słyszysz, Jo, i masz coś przeciwko temu, co teraz mówię, albo jeśli sama masz coś do powiedzenia, to bez wahania włącz się. Przecież nigdy się nie krępowałam, kiedy chciałam przerwać komuś gadkę, by wtrącić swoje trzy grosze. Jak wtedy, gdy pojechałyśmy do Nowego Jorku na weekend i wdaliśmy się w bójkę z facetem w barze hotelu „St. Regis”, jeśli dobrze pamiętam. Chodziło o książki, pisarzy i podobne sprawy. Facet mówił coś na ten temat do swoich przyjaciół. Byli to, jeśli pamiętasz, całkowicie obcy ludzie; żadnego z nich nigdy przedtem nie widziałyśmy, ale ty po prostu musiaś się wtrącić do ich rozmowy... Było tak, prawda? Pamiętam, że się oboje pokłóciliście i doszło do niezwykle ostrego sporu o Ernesta Hemingwaya, o jego znaczenie jako pisarza i człowieka. W końcu wyraziłaś żal, że twego rozmówcy nie utopiono zaraz po jego urodzeniu, a on się na ciebie zamachnął... Rzecz jasna, oboje byliście pijani w sztok. Wtedy przyszedł kierownik i usiłował przemówić ci do rozumu, ale jemu też przywalałaś. Ach, Joanno, jaki to był wstyd! Ja próbowałam, barman próbował, nawet cholerny goniec hotelowy próbował, ale ty nie chciałaś słuchać nikogo, kto miał pozytywne zdanie o Hemingwayu. „Nazwanie go świnią i męskim szowinistą - krzyczałaś - byłoby obrazą dla świni!”. A potem... lepiej nie mówić. Odpowiedz mi, Joanno! Daj znać, że mnie słyszysz. Chciałabym ci opowiedzieć różne historyjki, ale jeśli mnie nie słuchasz, to wolę nie strzępić sobie języka, zwłaszcza że mogłabym w tym czasie zająć się czymś pożytecznym, na przykład swoją galerią sztuki, która dzięki Bogu bardzo dobrze prosperuje. Szczególnie teraz, w okresie przed Bożym Narodzeniem, mamy niezłe wyniki, jednak do świąt jeszcze daleko, chociaż powiadają, że z każdym rokiem zaczynają się wcześniej... Zbliża się też termin wystawy prac Galena Kosłowskiego, ale wernisaż nie będzie żadną przyjemnością, jeśli ciebie na nim nie będzie.

Mel pociągnęła łyk wody ze szklanki na nocnym stoliku Joanny.

- Dziękuję Bogu za Carłę, która świetnie sobie poradziła z przygotowaniem wystawy i ze wszystkimi związanymi z nią sprawami.

Przerwała, wzięła głęboki oddech i zaczęła z innej beczki:

- Wczoraj Tomasz skosił trawę w ogródku z tyłu waszego domu, a ja zagrabiłam liście pod tym wielkim starym klonem. Jeśli mi nie wierzysz, możesz zobaczyć, jakie mi się od tego porobiły pęcherze na rękach... I powtarzam to, co ci już przedtem mówiłam, że na tym drzewie koniecznie trzeba przyciąć gałęzie, zanim któraś spadnie komuś na głowę i stanie się nieszczęście. Zwłaszcza że, znając swego pecha, wiem, że spadłaby pewnie na mnie... Tak bardzo chciałabym, żebyś się obudziła, Joanno, żebyś wróciła do mnie i znowu była moją przyjaciółką.

Nieoczekiwanie oczy Mel napełniły się łzami. Wzruszyły ją własne słowa, że chce, by Joanna znowu była jej przyjaciółką. Przecież tak mówią do siebie dzieci w przedszkolu: „Chcesz zostać moją przyjaciółką?”. Ponownie sięgnęła po szklanek wody, bo poczuła ucisk w gardle i gnienie w piersi. Pomyślała, że Gordon Mayfield wkrótce tu się zjawi, by ją zastąpić, i wtedy będzie wolna, wróci do swego pustego domu, usiądzie na tapczanie samotna, rozżalona i pełna winy i będzie czekać, aż znowu przyjdzie pora, by się wybrać do szpitala.

Nie wiedziała, jak długo jeszcze zdoła przypuszczać taki zmasowany słowny atak na Joannę. Początkowo jej myśli znacznie wyprzedzały słowa i Mel desperacko szukała tematów, jakie by mogła rozwijać. Ale ostatnio pozwałała, by jej myśli biegły swobodnie, i mówiła do Joanny zgodnie z ich dawną manierą, polegającą na tym, że „jadą na wolnym biegu” i plotą, co im ślina na język przyniesie. Trzeba było jednak przy tym uważnie śledzić związek między jednym poruszonym tematem a drugim, a także - blakając się po konwersacyjnych drogach na skróty - nie tracić z oka sensu wypowiedzi. Nie miała pojęcia, czy swoją gadaniną coś osiągnie, czy tylko na próżno traci czas, ale starała się koncentrować na takich słowach jak: Gordon, Jamie, księgarnia czy Nowa Zelandia. Uważała, że te właśnie słowa mogą odegrać rolę kluczy, pewnego rodzaju podpowiedzi, i że uda im się jakoś przebić przez mgłę, która osnuła mózg Joanny.

- Czy pamiętasz... - zaczęła jeszcze raz i nagle łzy trysnęły z jej oczu i spłynęły po policzkach. Straszliwy smutek zrodził się w jej duszy i niby olbrzymi balon pęczniał w niej i dusił. Tak dużo padło pytań „czy pamiętasz?”, tak wiele dzieła wspomnień ze wspólnie przeżytych chwil... - Ach, Joanno, zbudź się! - szeptała. - Ściśnij mi dłoń, mrugnij do mnie, uśmiechnij się, zrób coś, żebym wiedziała, że mnie słyszysz! Proszę cię, zbudź się! Choćby po to, żebym już nie czuła się tak strasznie winna i rozdarta. Zbudź się, Joanno, proszę!

Jednak odpowiedzi nie było: Joanna nie ścisnęła jej ręki, nie zamrużyła, nie skrzywiła się... Nie zrobiła nic, by jej wynagrodzić za tyle wypowiedzianych słów, nic, by ulżyć Mel w jej cierpieniu.

## — 21 —

Ben kupił Joannie kwiaty. Były to róże w kolorze pomarańczowym, wpadającym w brąz, przystrojone dwiema gałązkami białej delikatnej jak koronka gipsówki i dużymi zielonymi liśćmi, które uzupełniały kompozycję bukietu. Oczywiście Joanna nie mogła tych kwiatów widzieć i nie miało dla niej znaczenia, czy jej coś przyniósł, czy nie. Ale Ben postanowił kupić bukiet, gdy wracał wieczorem do domu i przejeżdżał obok kwaciarni. Chciał sprawić przyjemność rodzinie: niech zobaczą, że ludziom zależy na Joannie, że przynoszą jej kwiaty.

Zrobiło się późno, gdy Ben wjechał na szpitalny parking. Zgasił silnik i spojrzął w niebo usiane ledwo widocznymi gwiazdami - zapowiedź rychłego nadejścia jesieni. Była to jego ulubiona pora roku. Odpowiadało mu poczucie, że coś się zamyka, kończy, że dni są coraz krótsze i ziemię zaczynają otaczać ciemności. Lubił ten czas, gdy powietrze staje się rześkie, mróz lekko szczypie, zapachy się natężają i wszystko dokoła wydaje się czystsze. Zachwycał go jesienny koloryt, zwłaszcza czerwień i wszystkie jej odcienie: czerwonego wina, szkarłatny, purpurowy i żurawinowy. Lubił żółcie wszelkich tonacji - od najjaśniejszej cytrynowej do barwy bursztynu i musztardy; podobał mu się także kolor pomarańczowy, jak ogień lub miedź...

„Ale teraz - pomyślał i skrzywił się - przestało mi już zależeć na tym, jaka jest pora roku: wiosna, jesień, lato czy zima. Bo jakie to, u diabła, może mieć znaczenie, skoro nie ma Lisy, by móc z nią dzielić każdy dzień”.

Szedł długimi korytarzami szpitala i patrzył na ciemne o zmroku pokoje. Wiedział, że Joanna leży na oddziale intensywnej opieki i wciąż jest w śpiączce. Zastanawiał się, jak Mel sobie z nią radzi. W oddziale panowała cisza; większość pacjentów albo spała, albo była na zabiegach. Nikt Bena nie spytał, co tu robi; może kwiaty, które niósł w ręku, mówiły same za siebie.

Kiedy doszedł do pokoju Joanny, w szpitalu zabłysło światło i zobaczył Mel siedzącą przy łóżku chorej, plecami do drzwi. Trzymała przyjaciółkę za rękę i pochyliwszy się nad nią, przyłożyła głowę do pościeli. Zastanawiał się, co robić. W końcu wszedł na palcach i położył kwiaty na wysokim szpitalnym stole, przysuniętym do łóżka.

Gdy się odwrócił i chciał wychodzić, Mel podniosła głowę.

- Ben? - zapytała znużonym głosem.

- Cześć! - powiedział, zszokowany zmianą w jej wyglądzie. Wydała mu się o dziesięć lat starsza niż kilka dni temu. Pod oczami, których ciemnobłękitną barwę zawsze podziwiał, miała teraz głębokie cienie. Chyba też sporo straciła na wadze.

- Przyniosłeś kwiaty? - upewniała się, jakby miała wątpliwości, czy są dla niej, czy dla Joanny.

„Może raczej jej powinienem przynieść kwiaty - pomyślał. - Na pewno sprawiłyby jej więcej przyjemności, niż mogły sprawić Joannie”.

- Jak ona się czuje? - zapytał.

Spojrzała na niego, jakby nie słyszała pytania, potem lekko się otrząsnęła.

- Lekarze nie wiedzą, co jej jest. Możliwe, że nastąpiło uszkodzenie mózgu. A może też być... Oni naprawdę nie wiedzą...

- Gdy się obudzi - powiedział trochę niezręcznie, kładąc kwiaty w nogach łóżka - może jej będzie miło zobaczyć róże.

- Joanna kocha róże - zapewniła Mel. - Są jej ulubionymi kwiatami.

- To dobrze. - W pokoju stało już wiele wazonów pełnych kwiatów i przez chwilę Ben poczuł się głupio. - Boję się, że jeszcze jeden bukiet jest w tej sytuacji ostatnią rzeczą, jakiej by Joanna pragnęła.

- Czy kiedykolwiek można mieć dość róż? - Uśmiechnęła się i zobaczył zmęczenie na jej twarzy. - Albo moreli... - dodała z wyrazem jakby zmieszania.

- Moreli? - powtórzył zdziwiony.

- Słucham? - odezwała się, intensywnie się w niego wpatrując. Ben zrozumiał, że na moment Mel zasnęła z otwartymi oczami, a słowa, które wypowiedziała, wyszły z jej ust nieświadomie.

- Mówiłaś coś o morelach...

- Ja je uwielbiam, naprawdę. Bardzo lubię morele, a także brzoskwinie. - Jej głos brzmiał głucho, jakby pokonywał ocean zmęczenia.

- Oczywiście. To tyle... - Podniósł rękę gestem pożegnania i skierował się do wyjścia. Gdy szedł korytarzem, wyfroterowana do połysku podłoga skrzypiała pod jego butami, a z pokoi po obu stronach dochodziły pojękiwania, wzdychania, urywki zdań... „Mel jest wyraźnie wyczerpana - myślał. - Nawet jej włosy mają zmęczony wygląd i wydają się raczej bezbarwne

niż blond". Przypuszczalnie w ogóle nie zauważyła, że wyszedł. „Śpiączka - powiedziała o Joannie - uszkodzenie mózgu... Biedna Mel". I najbiedniejsza, oczywiście, Joanna. Przecież ma dzieci, przypomniał sobie. Dwoje w liceum i trzecie młodsze. Widział tego chłopca w księgarni, jak siedział skulony na kanapce i czytał.

Mel wspomniała o brzoskwiniach. „Skąd jej się to wzięło?" - zastanawiał się z uśmiechem. Przypomniał sobie tartę brzoskwiniovą, jaką Lisa przynosiła nieraz do domu z jej ulubionych delikatesów, i placek owocowy, jaki mu upiekła parę miesięcy po ślubie.

- Mogę się założyć, że wiem, co jest w tym cieście - powiedział, zerkając na placek, choć nie był taki pewny.

- Nie możesz tego wiedzieć.

- A jednak prawie na pewno wiem.

Wyduła wargi, przy czym jej dołeczki na policzkach lekko się poruszały.

- To jest placek z brzoskwiniami i dużym dodatkiem namiętności - oświadczyła.

- Tak przypuszczałem. - Odkroił sobie ogromny kawałek. - Skąd wiedziałaś, że to jest mój najulubiejszy placek? I mógłbym się założyć, że dodałaś do tego jeszcze prawdziwą, niskotłuszczową, dobrze ubitą miłość...

- Kochanie - odparła - ale z ciebie mądrała...

„Nie myśl o niej - upomniął sam siebie. - Nie myśl!" Często mu się zdarzało marzyć o Lisie. Wyobrażał sobie, że do niego wróciła. W miarę jednak, jak mijał czas, malała szansa na to, że będą mogli zacząć jeszcze raz.

Wjeżdżając na krótki podjazd prowadzący do domu, Ben zauważył światła w górnych pokojach i serce zaczęło mu walić jak pneumatyczny młot. Na pewno by nie wyszedł z domu, zostawiając tak wiele zapalonych świateł. Ktoś inny musiał je zapalić... Może Lisa wróciła, jest w domu i czeka na niego...

Wyskoczył z samochodu, niecierpliwie pchnął frontowe drzwi, lecz były zamknięte. Musiał pogrzebać w kieszeni, by znaleźć klucze. Ze zdenerwowania upuścił je na ziemię, a kiedy się pochylał, by je podnieść, zdał sobie sprawę, że Lisa nie wróciła i pewnie nigdy nie wróci. Wszedł do domu, ale nie miał zamiaru rezygnować ze snucia fantazji na temat powrotu żony. Pobiegł schodami do góry, biorąc po dwa stopnie naraz, i wołał „Liso, Liso!". Głos mu się rwał, łzy tamowały słowa.

Może Lisa wracała do domu wtedy, gdy on był w pracy? - nie przestawał fantazjować. Wyobraził ją sobie, jak biegnie pod jabłonią w stronę frontowych drzwi, wchodzi do holu, mie-



niąc się kolorami niczym motyl w południowym słońcu. Oczywiście duszy widział, jak się porusza po domu, dotyka palcami przedmiotów, poprawia przekrzywione obrazy, patrzy na swoje odbicie w lustrze w holu. Może chciała, by jej odbicie zostało tam na dłużej, tak żeby i on czasem, gdy będzie tamtędy przechodził, mógł dostrzec kącikiem oka błysk jej uśmiechu. Może wystawała pod oknami wieczorem i zaglądała do wnętrza, by na niego popatrzeć. Może słuchała, gdy grał dla niej Mozarta, i rozpamiętywała wszystkie dobre chwile, które kiedyś były ich wspólnym udziałem.

Ale się nie łudził. Wiedział, że fantazjuje i nic z tego nie jest prawdą. Choć zajrzał do wszystkich pokoi, niczego nie znalazł. Potem wpadł do sypialni i runął na łóżko, raz jeszcze pograżając się w czarnej rozpacz. Tęsknił za nią: za jej ożywczą obecnością w jego życiu, za lekkim jak dotyk motyla muśnięciem jej warg. Tęsknił nawet za kłótniami... Tak bardzo chciałby znowu ją mieć przy sobie, zachwycać się jej energią i pięknem, podziwiać jej ironiczny stosunek do życia, do miłości, do niego...

Tej nocy śniła mu się córeczka. Wyglądała jak malutkie czarnowłose stworzonko i uśmiechała się do niego, ale kiedy się schylił, by ją wziąć na ręce, zaczęła puchnąć niczym jakaś monstrualna nadęta ryba: jej kończyny i rysy stopniowo zanikały pochłonięte przez pęczniejące, pokrwawione ciało.

Przerażony nocnym koszmarem, zerwał się z łóżka i stanął w oknie sypialni, którą kiedyś dzielił z Lisą, wypatrując świtu. Często wyobrażał sobie, że Lisa przebywa w jakiejś mrocznej otchłani, zasłoniętej mgłą, pozbawionej jakichkolwiek punktów orientacyjnych, w miejscu gdzie nie ma innych ludzi, w jakimś bliżej nieokreślonym Chicago czy mglistej Kalifornii. Teraz usiłował skierować w tę stronę swoją tęsknotę i pragnienia. „Liso - wołał bezgłośnie - gdzie jesteś? Co porabiasz? Czy jesteś szczęśliwa? Czy tęsknisz za mną tak, jak ja tęsknię za tobą?”

Kształty przedmiotów widziane z okna zamazywały się: samochód, jabłoń, krawędź stołu tonęły w mroku. Niebo było purpurowo-szare, ciężkie i nadal nabrzmiałe wilgocią, mimo że mocno padało w nocy. Tuż nad miastem warstwa chmur rozerwała się, tworząc na firmamencie jaskrawo obrzeżoną ramę, wypełnioną oszałamiającymi barwami złota i zieleni, które niczym w lustrze odbijały się w mokrych dachach. „Jakie to piękne” - pomyślał. Dalej widać było wzgórza intensywnie zielone, teraz już naznaczone kolorytem jesieni. Zauważył, że dziś są podbarwione mleczną poświatą, co zapowiadało nadejście burzy.

Przez ostatnie tygodnie Ben czuł w sobie pustkę, jakby cierpienie wyczerpało z niego wszystkie odczucia. Początkowo nie potrafił określić tych doznań i przenikający go ból fałszy-

wie oceniał jako przyjemność. W końcu go to jednak zdenerwowało i skończył z tym. Dziwił się sobie i czuł się winny, że mógł znajdować satysfakcję w cierpieniu. Pomyślał o Joannie, o tym, jak czarno rysowała się jej przyszłość i jaki los czekał jej dzieci. Zrozumiał, że nie ma prawa narzekać, skoro żyje i ma się dobrze. I skoro wciąż towarzyszą jego życiu takie wspaniałe zjawiska, jak wschód słońca, dobre wino i góry, na które można się wspinać. Radował się tym, że nie został pozbawiony zdolności odczuwania jak Joanna. „Co też działo się teraz w jej głowie? - zastanawiał się. - Czy jej mózg jeszcze pracuje?” Przypomniawszy sobie nagle, co czuł, gdy Mel znalazła się w jego objęciach i jej jasna głowa spoczywała mu na ramieniu. Biedna Mel szukała u niego pocieszenia, a tego nie mógł jej dać.

Kiedy przed laty przebywał z ojcem w domku nad jeziorem, któregoś dnia obaj odpoczywali na ganku i ze szklanką piwa w ręku obserwowali jaskółki, jak śmigały nad wodą, a także nury, które co chwila zanurzały się w wodzie, by złowić rybę, i wciąż ten swój rytuał powtarzały. Był to jeden z tych dusznych, wczesnoletnich dni, zbyt gorący, by czymkolwiek się zająć. Sporo czasu spędzili przedtem w łodzi; wrócili do domu spaleni słońcem, ale z nanizanymi na sznurek okoniami, bardzo zadowoleni z połowów. Rozleniwiony, nie namyślając się nad tym, co mówi, Ben w pewnej chwili spytał ojca:

- Czy ty i mama jesteście ze sobą szczęśliwi?

- Sądzę, że tak - odparł profesor Andersen, uśmiechając się pod nosem. - Tak - powtórzył - powiedziałbym, że jesteśmy szczęśliwi. - Po krótkim milczeniu dodał: - Ale szczęście nie jest celem samo w sobie, tylko drogą wiodącą do celu. Jest zatem dość nieuchwytnym zjawiskiem. Gdy próbujesz je złapać i zatrzymać, zaczynają się mnożyć wątpliwości i kłopoty. Zastanawiasz się, dlaczego ta chwila jest mniej szczęśliwa od innej, rozpamiętujesz, czy byłeś szczęśliwszy przed tygodniem niż teraz, a może byłeś nim przed rokiem, i dochodzi do tego, że szczęście tracisz.

- Właściwie chciałem cię spytać, czy masz świadomość tego, że jesteś szczęśliwy, czy zdajesz sobie z tego sprawę?

- Tak, jestem tego cały czas świadomy. Właśnie to miałem na myśli, mówiąc, że szczęście jest czymś nieuchwytnym. Nie należy go analizować, tylko przyjmować jako dar. Nie trzeba też zadawać zbyt wielu pytań, by się dowiedzieć, skąd przyszło.

- Wydaje ci się - drażył dalej - że ty i mama jesteście dobrym małżeństwem. Prawda?

- Tak bym to określił. Raczej dobrym, biorąc pod uwagę wszystkie aspekty.

- Jakie aspekty? - Ben, zaniepokojony, wyprostował się w krześle. - Co masz na myśli?

- Bo widzisz, bywały czasy, kiedy sprawy nie układały się najlepiej - odparł ojciec.

Ben chciał się spytać, jakie to sprawy, ale się bał. Wolał przyjąć za dobrą monetę fakt, że stosunki między jego rodzicami cechowały spokój i pogoda. Przestraszył się, że mógłby się dowiedzieć, iż te stosunki nie zawsze były takie, jak powinny. Tchórzostwo wzięło górę i Ben powstrzymał się od zadawania dalszych pytań w obawie, że jego uproszczone naiwne spojrzenie na własne dzieciństwo mogłoby ulec zmianie. Mógłby się dowiedzieć o sytuacjach, o których nie miał pojęcia i o których wolałby nie wiedzieć. Może usłyszałby o innych kobietach i innych mężczyznach, o nieślubnych dzieciach i finansowych trudnościach. Gdyby ojciec podjął temat, to jego przyznanie się do wstydliwych spraw nieodwołalnie zmieniłoby stosunek Bena do własnego dzieciństwa.

Ale rodzice nie mają obowiązku czuć się szczęśliwymi i wcale nie muszą być półbogami, za jakich dzieci chciałyby ich uważać. Przypomniały mu się te chwile brzemiennie w skutki, gdy po raz pierwszy uświadomił sobie, że jego ojciec wcale nie jest nieomylny, i gdy po raz pierwszy zobaczył, że matka płacze. Był przerażony: czuł, że się dzieje coś złego, i bał się, że to może być nieodwracalne, nie do naprawienia. Zrozumiał wtedy, że skoro raz zobaczył słabe strony swoich rodziców, już nigdy nie będzie mógł myśleć o nich w taki sam sposób jak dawniej.

## — 22 —

Minął jeszcze jeden tydzień. Skończył się sierpień, zaczął wrzesień i do Galerii Vernon nadeszła pierwsza część rzeźb Galena Kosłowskiego. Przywiózł je pracownik UPS\*. Wniósł trzy wielkie skrzynie i ostrożnie postawił je na wyfroterowanej na wysoki połysk klonowej posadzce galerii. Przedstawiając Mel plik papierów do podpisu, sięgnął do przewieszzonej na ramieniu torby i wyjął z niej kopertę.

\* UPS - United Parcel Service, czyli Ogólnokrajowa Dostawa Paczek.

- Kazano mi ją pani wręczyć razem z pozostałymi formularzami. Ten facet energicznie na to nalegał.

- Jaki facet? - spytała Mel.

- Ten, który wysłał te skrzynie z Nowego Jorku. Wiozę je z jego pracowni w Soho.

- Ma pan na myśli pana Kosłowskiego?

- Tak. Właśnie o niego chodzi. Strasznie niecierpliwy z niego klient. Szedł za mną krok w krok, gdy schodziłem po schodach, i wciąż na mnie pokrzykiwał: „Musi pan to doręczyć osobiście” - napominał. „Jeśli cokolwiek wyjdzie nie tak, jak trzeba, poniesie pan za to służbową odpowiedzialność”. Mówię mu: „Niech pan weźmie pod uwagę, proszę pana, że jestem jedynie doręczycielem”, ale mnie nie słuchał. „Proszę to przekazać osobiście” - mówił tak głośno, aż ludzie przystawali, żeby zobaczyć, co się dzieje. Myśleli, że to może jakiś napad czy coś w tym rodzaju...

- Ten facet ma trudny charakter - przyznała Mel.

- O tak, to się zgadza. I nawet nie był ubrany. Stał na chodniku w płaszczu kąpielowym, jakby to była szósta rano, a nie samo południe.

- Wie pan - próbowała go mitygować Carla - widać rzeźbiarza poniósł artystyczny temperament.

- Na to wygląda - potaknął. - Wyszedł do mnie boso, bez butów, włosy w nieładzie, a pod płaszczem kąpielowym nic na sobie nie miał... Mogę to osobiście poświadczyć. W każdym razie tu jest list i wręczam go pani do rąk własnych, tak jak klient sobie życzył.

Mel wzięła od niego białą kopertę i patrzyła na duże, koślawe czarne litery, które się składały na napis:

**DO WSZYSTKICH ZAINTERESOWANYCH!**

Przeniknęło ją dziwne uczucie. Przypomniała sobie notki, jakie Galen dla niej zostawiał ponaklejane na drzwiach studia, pocztówki, jakie nieoczekiwanie nadchodziły z Rzymu lub Kalkuty, gdy była przekonana, że on przebywa w Oregonie, wściekłe listy, jakie wysyłał krytykom, którzy nie rozumieli, co chciał w swoich pracach wyrazić. Przypomniała sobie także uśmiech Galena, czuły dotyk jego dłoni, i to, jaka się sobie wydawała nieszczęśliwa w tamtych czasach, a jednocześnie jak bardzo była rozbudzona i pełna życia.

W biurze zadzwonił telefon i Carla pobiegła go odebrać. Podczas gdy Mel zajmowała się dokumentami, doręczyciel z UPS oglądał obrazy na ścianach.

- Podoba mi się, jak ten facet maluje śnieg - powiedział, patrząc na bajeczne kolory obrazu zatytułowanego „Szczyt Mount Mansfield w zimowej szacie”. - Bo jak się dobrze przyjrzeć, to śnieg nigdy nie jest biały.

- Wiem - zgodziła się Mel. Podpisała papiery dostawcze, stawiając swoją parafę u dołu każdego dokumentu.

- To śmieszne, ale wszystkie te kolory: niebieskie, zielone i fiołkoworóżowe w sumie wyglądają jak białe... Prawda?

Mel się uśmiechnęła.

- Wie pani? Chciałbym mieć taki obraz. Na pewno miło by mi było patrzeć na niego, ale myślę, że jest drogi. Chyba się nie mylę? Co?

- W tej chwili ten obraz nie jest jeszcze bardzo drogi, ale za pięć lat będzie o wiele więcej wart - powiedziała Mel. Otworzyła szufladę i przez chwilę w niej grzebała. - O, tu... Wiem, że to nie to samo, ale dam panu coś, co będzie panu przypominało ten obraz. - I wręczyła mu jedną z reklamowych broszur wydanych z okazji ostatniej wystawy. - Na stronie czwartej znajdzie pan reprodukcję tego właśnie dzieła.

- Ach! Piękne dzięki!

Kiedy Carla przygotowywała kawę, Mel usiadła w biurze przy stole i otworzyła kopertę, którą przyniósł doręczyciel z UPS. Na kartce wyrwanej z notatnika napisano coś wyraźnymi, czarnymi literami z mnóstwem wykrzykników. Piszący tak mocno naciskał na papier, że go w niektórych miejscach przebił.

**DO WSZYSTKICH ZAINTERESOWANYCH!!!**

***Każda rzeźba została wyraźnie oznaczona odpowiednią tabliczką. Proszę uważać, aby ich nie pomieszać. Rzeźba zatytułowana „Contour IV” ma być eksponowana w rogu między dwiema ścianami. „Zwiastun” ma stać w wodzie. Zastrzegam sobie, że te warunki muszą zostać spełnione.***

*Galen Koslowski*

- No i co ty o tym sądzisz? - spytała Mel, wręczając kartkę swojej asystentce.

Carla rzuciła okiem i się roześmiała.

- Moim zdaniem list mówi sam za siebie. Nie ulega wątpliwości, że facet ma lekkiego fioła.

- Nie. Koslowski jest ekscentryczny, ale nie zwariowany. Tak naprawdę to jeden z najlepszych ludzi pod słońcem. Tylko że się bardzo łatwo zniechęca.

- Z jakiego powodu?

- Podobnie jak wielu twórcom, wydaje mu się, że nikt nie rozumie jego prac.

Carla położyła rękę na ramieniu Mel i z poważną miną oświadczyła:

- Niech pani teraz uważa, pani Sherman, żeby nie popełnić błędu i, broń Boże, zamiast „Zwiastuna” nie wstawić rzeźby „Contour IV” do miski z wodą. A tak na serio, co on rozumie przez powiedzenie, że rzeźba ma stać w wodzie?

- On robi takie rzeczy... Przypuszczalnie wstawił tego „Zwiastuna” do marmurowego lub granitowego basenu, który my będziemy musiały napełnić wodą.

- Czy możemy użyć zwykłej wody z kranu, czy to może będzie niedopuszczalne świętokradztwo? - żartowała Carla. - A może ma to być jakiś specjalny napój i zgodnie z wolą projektanta tylko taki będzie się nadawał? Zastanawiam się, czy nie powinnam w tym celu zgromadzić pewnego zapasu wody „Evian” lub czegoś podobnego? O mój Boże! I jeszcze nie wiadomo, czy to ma być woda gazowana, czy niegazowana...

- Dziwię się, że Kosłowski tego nie uściślił - z sarkazmem potwierdziła Mel.

- Miałam jeden telefon od małżeństwa z South Burlington - poinformowała Carla. - Dostali nasze zaproszenie na wernisaż i obiecują przyprowadzić swoich przyjaciół, marszandów z Paryża, którzy chwilowo przebywają w Stanach.

- To fantastyczne!

- Jeszcze czasopismo „Boston Globe” potwierdziło, że wyślą swego recenzenta i chcą przeprowadzić z nami wywiad.

- Tak mi przykro, Carlo, że tyle na ciebie spadło obowiązków, a ja, zamiast ci pomóc, zajmuję się kryzysową sytuacją moich przyjaciółek: najpierw Lisy Andersen, a teraz biednej Joanny.

- Mną się nie przejmuj. - Carla poklepała ją po ramieniu. - Teraz ważniejsze, żebyś była przy pani Mayfield. Przecież wiesz, że lubię, jak jest „ruch w interesie”.

- Kiedy już będzie po wszystkim, porozmawiamy. Myślę, że będę mogła zapewnić ci lepsze warunki w mojej firmie. Dobrze?

- Nawet bardzo dobrze, jeśli o mnie chodzi...

- A teraz zabierzmy się do rozpakowywania przesyłki.

Było już po ósmej wieczór, a Mel wciąż jeszcze przeglądała w galerii przysłane eksponaty. W sytuacji gdy tyle najnowszych prac Kosłowskiego zgromadzono w jednym miejscu, można było bez trudu prześledzić, jak w ciągu minionych lat zmieniał się jego styl. Początkowo jego rzeźby charakteryzowały poszarpane powierzchnie i dziwne kształty, które zmuszały patrzących, aby, chcąc nie chcąc, uczestniczyli w okropnościach, jakich im los oszczędził: nigdy nie musieli osobiście ich doświadczać. Wczesny Kosłowski przemawiał do ciemnych zakątków

ludzkiej duszy. Potem nastąpił okres pewnej wylewności, może nawet radości, kiedy jego rzeźby rozkwitały jak róże. Po jakimś czasie jednak artysta stał się jakby bardziej drobiazgowy, jego zamysł mniej czytelny, rzeźby mniej czyste w formie. Ostatnie prace świadczą o tym, że Kosłowski znowu zmienił sposób wypowiedzenia się. Wydaje się, że obecnie świadomie przeszedł na stosowanie bardziej oszczędnych środków wyrazu w rzeźbie.

Mel zatrzymała się przed grubą bryłą czarnego bazaltu, zatytułowaną „Kobieta”. Rzeźba wyobrażała obfite kobiece kształty, ograniczone do ud i ramion. Kamień był surowy, niewyglądający, z wyjątkiem ciężkich piersi i rozdętego brzucha, które zostały wypolerowane. Rzeźba tchnęła ogromną siłą. Chociaż widziało się tu wyraźny wpływ prymitywnych symboli płodności, to jednak była w każdym calu typowa dla Kosłowskiego.

Jeszcze jedna niedawno powstała rzeźba zainteresowała Mel. Nazywała się „Narodziny”; przedstawiała jedynie wykrzywioną twarz, wystającą z kamienia. Wyraz tej twarzy mógł oznaczać strach, smutek lub ekstazę, a może wszystkie te uczucia razem.

Mel się zastanawiała, czy nie dołączyć do wystawy jednej z bardzo wczesnych rzeźb Kosłowskiego, którą artysta ofiarował jej przed laty i nazwał „Pierwsza miłość”. Wyrzeźbił tę statuetkę specjalnie dla niej i zawarł w niej jakiś szczególnie element czułości i osobistego oddania. Mel nie była jednak do końca pewna, czy ta praca pasuje do pozostałych eksponatów. Postanowiła, że zanim poweźmie ostateczną decyzję, jeszcze ją dokładnie przemyśli.

W Butterfield życie toczyło się starym, utartym torem. Odbyły się już: doroczny festyn rzemiosła, historyczne widowisko będące korowodem znanych w dziejach narodu postaci oraz zebrania rad obywatelskich - a więc wydarzenia, w jakich zwykle Mel uczestniczyła. Tym razem jednak nie udzielała się społecznie, ponieważ Joanna wciąż pozostawała w stanie śpiączki, i Mel dzieliła dzień między dom i szpital. Niekiedy, gdy czas na to pozwalał, zachodziła do galerii. Teraz była w domu. W salonie rozpałała ogień w kominku, usiadła na kanapce, a obok niej usadowił się Jamie i oglądał książkę z obrazkami. Na dworze wiał silny wiatr i w porywach rzucał opadłymi liśćmi o szyby okien.

- Mama mówiła - odezwał się Jamie - że spodoba mi się historia o Orlandzie. Napisała ją ta angielska autorka Veronica Woolf czy coś takiego. Nie, przepraszam, nie Veronica... tylko Virginia Woolf.

- Jesteś właśnie przy lekturach zaczynających się na literę O. Czy tak?

- Tak, ale teraz nie mogę... - Patrzył na ogień i zagryzał wargę. - Wiem, że mama nie miała na myśli historii o rudym kocie Orlandzie, bo tę bajkę, którą czytałem ze sto razy, chętnie

bym jeszcze raz przeczytał. Łatwiej by mi teraz było wrócić do czegoś, co już znam.

- Bo to nie wymagałoby od ciebie skupienia, prawda?

- Właśnie. A poza tym ja naprawdę bardzo lubię oglądać ilustracje. Działają na mnie pocieszająco...

„Ach, mój biedny mały Jamie - myślała Mel. - Jak dobrze, że gdy się twój świat wywróci do góry nogami, będziesz mógł znaleźć pocieszenie w książkach”.

- Wiesz, Jamie, kiedy ja byłam mała, też się zachwycalam kotem Orlando, a zwłaszcza tym, że zegarek nosił na ogonie.

Oczy Jamiego stały się okrągłe ze zdziwienia.

- Więc ta książka istniała już w czasach, kiedy ty byłaś mała?

- Taka z ciebie świnka? Wymawiasz mi mój wiek? Co? - I mocniej przytuliła chłopca. - Powiedz, jak się miewa Gargery?

- Zrobił się jakiś smutny - żalił się Jamie. - Wyprowadziłem go dziś rano na spacer, a ten tylko chodził i... nic. A wiesz, że normalnie to on by... to on by... - Jamie zacisnął wargi i przez chwilę milczał. Potem dodał: - Normalnie to on by szalał i ganiał po całym parku.

- Chcesz coś zjeść?

- Nie, dziękuję, zjadłem hamburgera w szpitalu. - Zamknął książkę i zwrócił się do Mel: - Powiedz prawdę, jak myślisz, czy mama wróci do zdrowia?

Mogła mu naopowiadać Bóg wie co i uciec się do kłamstw, ale powiedziała:

- Kochanie, ja tego po prostu nie wiem.

- A co się z nami stanie, jeśli ona... jeśli ona umrze?

- Macie kochającego ojca i cała wasza trójka: ty, Tom i Lucy pojedziecie do niego, zamieszkacie w jego domu i zawsze będziecie rażeni... - Mogła mu te sprawy w taki sposób przedstawić, ponieważ omawiała już z Gordonem ten najgorszy scenariusz.

Jamie głęboko westchnął, zaczął coś mówić, ale przerwał i rozpłakał się. Przytulił się do Mel i gwałtownie potrząsając głową, szlochał:

- Ja nie chcę, żeby ona umarła...

- Jamie, Jamie, uspokój się, kochanie!

- Mama ciągle mi się śni. Czasem mi się wydaje, że ją widzę, jak leci gdzieś wysoko i ja lecę z nią. A kiedy się budzę, słyszę, jak Lucy albo Tom płaczą... I wtedy ja też płaczę... - Mocniej się przytulił, jakby oczekiwał od niej pocieszenia.



Mel kołysała go w ramionach jak niemowlę, a potem położyła mu rękę na głowie i czuła jej miękkość we wnętrzu dłoni. Sama też płakała i łzami oblewała jego włosy. „Jamie jest za młody - myślała - by tak bardzo cierpieć, ale nic na to nie poradzę. Ten ból każdy musi przeżyć sam”.

Siedzieli przytuleni, kiedy nadszedł Gordon z Lucy.

- Jak się miewa Joanna? - spytała Mel, z góry wiedząc, jaką otrzyma odpowiedź.

- Bez zmian - odparł Gordon. - Ciągle to samo.

Lucy patrzyła na małego brata i marszczyła czoło, by się nie rozplakać. Bezmyślnie przeczesywała palcami swoje długie, opadające włosy. Ten charakterystyczny ruch Mel setki razy u niej widziała. Joanna lubiła dzielić się swoimi dziećmi, tak jak się dzieliła wieloma innymi rzeczami. Mel zachowała w pamięci sporo wydarzeń związanych z dziećmi Joanny: Lucy w swej pierwszej długiej sukni, gdy wybierała się na bal z okazji zakończenia roku szkolnego; Tom, który uczestniczył w ogólnokrajowym konkursie muzycznym, w dniu, kiedy otrzymał pierwszą nagrodę za grę na klarncie; łzy i dramatyczne sceny, kiedy Garter Longstrom zerwał z czternastoletnią wówczas Lucy; nieszczęśliwy wypadek Toma, który spadł z drzewa w ogródku z tyłu domu. Mel pamiętała również wspólne ucztowanie, pikniki i wyprawy nad ocean, a także udział w rozgrywkach baseballowych.

Gordon wygodnie się oparł plecami o kanapę i objął ramieniem Mel.

- Żebyś wiedziała, jacy jesteśmy szczęśliwi, że mamy ciebie - powiedział i przy okazji pogłaskał syna po głowie.

- To raczej ja mogę mówić o szczęściu - odparła.

- Zawsze uważaliśmy cię za członka rodziny, przecież wiesz - nieoczekiwanie odezwała się Lucy. Mówiła oderwanymi zdaniami i jak oni wszyscy przeplatała wspomnienia z przeszłości sprawami jak najbardziej aktualnymi. - Zawsze spędzałaś z nami Boże Narodzenie, Święto Dziękczynienia i wszystkie urodziny. Byłaś na każdym letnim pikniku, a nawet gdy zjeżdżaliśmy saneczkami ze wzgórza Hammer Hill... - I odwróciwszy głowę, rozplakała się na dobre. - Lepiej pójdę już do szpitala - powiedziała po chwili - i przejmę dyżur od Toma. Idziesz ze mną, Jamie?

Jamie się zawahał, ale po namyśle wstał i wyprostował się.

- Dobrze, pójdę - oznajmił.

Lucy wzięła go za rękę i skierowali się do wyjścia.

- Do zobaczenia później, tato!

- Oczywiście, kochanie.

W drzwiach Lucy się zatrzymała, odwróciła i stała z opuszczonymi ramionami i wzrokiem wbitym w podłogę.

- Ach, jak ja tego nienawidzę, tato!

- Każde z nas to samo czuje, kochanie. - Gordon podszedł do córki i objął ramionami ją i Jamiego.

- Tato... przecież to jest takie okropne... mama, która leży tam, jakby już nie żyła... Nie mogę tego znieść!

- Rozumiem cię, kochanie. To naturalne... - Poglądził ją po włosach i ucałował. - Ale w końcu sprawy się jakoś ułożą i wszystko będzie dobrze, zobaczysz... - Pocieszał ją słowami dobrze znanymi z dzieciństwa, magicznymi zaklęciami, pozostałymi z czasów, kiedy dzieci wierzą, że ich rodzice są wszechmocni.

- Tato...

- Takie kobiety, jak wasza mama, łatwo się nie poddają. Wróci do nas, zanim się obejrzymy, i jeszcze będzie nam brakowało obecnego spokoju i ciszy...

- Ależ tato... - Lucy mimo wszystko chciała mu wierzyć. Uśmiech zagościł na chwilę na jej twarzy. Widać było, że pragnie, by ją przekonał.

Jamie nic nie mówił i miał ponury wyraz twarzy. „On wie - pomyślała Mel. - Jest przygotowany na najgorsze”.

- Może wasza mama nie będzie taka jak dawniej, taka, do jakiej przywykliśmy - tłumaczył Gordon. - Ale na pewno do nas wróci. A niezależnie od wszystkiego zbliża się karnawał, okres zabaw i przyjęć. Przecież wiecie, jak bardzo wasza mama uwielbia różnego rodzaju przyjęcia...

- Strasznie bym chciała ci wierzyć. - Lucy pocałowała ojca w policzek i otworzyła drzwi, wpuszczając do środka chłodne powietrze z dworu.

- Lepiej mi wierz! - powiedział Gordon głosem, jakim ojcowie zwykli odganiać demony; Mel zauważyła, że Lucy złagodniała.

- Do zobaczenia! - rzuciła i wyszli oboje z Jamiem, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

- Gdy Lucy była mała - westchnął Gordon - i zdarzyło się, że upadła, podrapała sobie kolano czy skaleczyła palec, przybiegała do mnie i wystarczyło, żebym podmuchał na chore miejsce i zapewnił, że jest to magiczny zabieg, po którym wszystko się zagoi, by od razu uwierzyła. Najkomiczniejsze wydawało mi się zawsze to, że przeważnie dmuchanie naprawdę pomagało.

Co ci będę mówił... Powiem tylko, że moje dzieci są dla mnie wszystkim... całym moim życiem.

- Masz szczęście, że ci się udało zachować dobre stosunki z dziećmi. - Mel w żaden sposób nie mogła się dopatrzeć podobieństwa między tym zmęczonym, smutnym mężczyzną a owym demonem, o jakim jej kiedyś mówiła Joanna, przedstawiając byłego męża w najgorszych barwach.

- Joanna jest wspaniałomyślną kobietą. Wyobraź sobie, że po rozwodzie specjalnie się tu przeniosła, żeby dzieci nie miały do mnie zbyt daleko. I nie sądzę, by kiedykolwiek powiedziała dzieciom choć jedno złe słowo o mnie... - Odwrócił się i spojrzał Mel prosto w oczy. - Przypuszczalnie chowała te wszystkie złe rzeczy dla ciebie.

- No wiesz, właściwie...

- W porządku, Mel. Mogę to sobie wyobrazić. Wiem, na co ją było stać, kiedy szła na całego.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Joanna zawsze bardzo chciała pojechać do Nowej Zelandii - przypomniała sobie nagle Mel. Jeszcze jedna sprawa niezwiązana z tym, o czym poprzednio rozmawiali, wysforowała się na czoło. - Myślałam nawet, że może udałabym się z nią, gdyby...

- Nie rozumiem, dlaczego już dawno się tam nie wybrała. Nie miała powodu, by tę podróż odwlekać.

- Owszem, był taki powód: pieniądze!

- Pieniądze? - zdziwił się, unosząc brwi.

- Księgarnia wprawdzie nie przynosi strat, ale Joannie niewiele zostaje po pokryciu bieżących wydatków. Nie mogłaby sobie pozwolić na lot do Nowej Zelandii.

- Bzdura.

- Jak to? Nie rozumiem...

Gordon podniósł do ust filiżankę i upił kawy.

- Straciłem już rachubę, ile razy jej proponowałem, że kupię jej bilet do Auckland.

- Naprawdę?

- Nie brak mi pieniędzy, Melisso - powiedział. - Nie mam żadnych materialnych kłopotów. Stać mnie na zaspokajanie wszystkich potrzeb. Jak ci już mówiłem, najważniejsze są dla mnie dzieci, ale także - czy jej się to podoba, czy nie - Joanna. Dlaczego miałbym jej żałować pieniędzy na urzeczywistnienie wielkiego marzenia?

- Może nie chciała czuć się wobec ciebie zobowiązana? Spuścił głowę i spojrzał na nią spod brwi.

- Prawda jest taka, że Joanna boi się podróżować sama.

- Joanna się boi? Nie wierzę!

- Ona się wielu rzeczy boi.

- O pajakach wiem... - zgodziła się.

- Joanna się boi życia - stwierdził krótko.

- A mnie zawsze mówiła, że życie trzeba chwycić za jaja, że powinno się bywać, wychodzić z domu i żyć pełną parą.

Uśmiechnął się smutno.

- I na pewno mówiła ci też, że sprzeda księgarnię, będzie brała lekcje francuskiego, wybierze się na pieszą wycieczkę po Afryce, nauczy się grać na saksofonie...

- To prawda.

- I co z tego zrobiła?

- Niewiele. - Mel zamyśliła się. - Właściwie nic...

- Joanna zawsze myśli, że tak jak w piosence „gdzieś nad tęczę” jest lepsze życie. Nic nie jest dla niej wystarczająco dobre, a jednak nie chce sięgać po wymarzone cele, bo się boi, by jej nie spotkał zawód.

- Księgarnia była jej od dawna wymarzonym celem i po niego sięgnęła.

- Kupno księgarni rzeczywiście było odważną decyzją. Ale bała się, że finansowo nie podoła i sfinalizowała tę sprawę tylko dlatego, że jej obiecałem podpisać weksle... - Gordon rzucił Mel kpiarskie spojrzenie. - Mogę się założyć, że o tym także nie wiedziałaś.

Zrobiła ruch głową, jakby chciała potaknąć, bo nawet sama przed sobą musiała przyznać, że faktycznie nic o tych wekslach nie wiedziała.

- Jednego nie mogę sobie darować, Mel. Diabli mnie biorą, kiedy pomyślę, jak zmarnowałem życie... Straciłem tyle lat, które mogłem spędzić z rodziną, z dziećmi... A wszystko przez jeden moment szaleństwa. Poleciałem na tę głupiutką, choć seksowną dziewczynę w biurze... Bóg jeden wie, co mnie wtedy napadło. Już tego dnia, kiedy opuściłem rodzinę, wiedziałem, że to był straszny błąd, że jedyną kobietą, którą naprawdę kocham, jest Joanna.

- Ona też ostatnio doszła do podobnych konkluzji... - Mel zapewniła Gordona. - Być może czuła to samo co ty, ale nigdy by się do tego nie przyznała. - W duchu Mel pomyślała, że sama też niejedno wie o tym, jak wielkie błędy można w życiu popełnić.

- Działając pod wpływem chwilowych emocji, podejmujemy nieraz głupie decyzje, których nawet nie przemyśleliśmy, a które mogą tragicznie zmienić nasze życie. Kiedy po jakimś czasie odkrywamy wartość tego, cośmy postradali, jest już za późno. W żaden sposób nie da się odzyskać utraconego dobra - żalił się Gordon.

- To bywa trudne, ale nie powiedziałabym, że jest niemożliwe - oznajmiła Mel.

Uśmiechnął się i pogładził ją po dłoni.

- Chyba powinienem pójść teraz do mieszkania Joanny. Muszę zadbać o to, by Tom miał co zjeść, kiedy wróci ze szpitala.

Gdy go odprowadzała do drzwi, poklepał ją po ramieniu.

- Joanna wkrótce do nas wróci - powiedział. - Wiem, że tak będzie. Ta sama stara, pewna siebie Joanna, która lubi nami rządzić i mówić nam, jak mamy żyć, chociaż swoje własne życie nieźle przebałaganiła. - Nagle przybrał niepewną minę. - Chyba do nas wróci? Prawda?

- Oczywiście, że wróci - zapewniła Mel. Zadzwoił telefon i kiedy pobiegła, by go odebrać, Gordon stał niezdecydowany w otwartych drzwiach.

- Halo?

- Mówi Lucy. Ach, Mel, zgadnij, co się stało?

- Co?

- Mama się zbudziła ze śpiączki.

- Wielkie nieba! To wspaniale. Brak mi słów!

Jamie wyrwał siostrze telefon.

- Mama się zbudziła! Po prostu się zbudziła. Powiedziała: halo, Jamie! Spytała, co teraz czytam. - Jego głos kipiał radością.

- Zaczekajcie chwilę przy telefonie i powtórzcie to wszystko ojcu. - Mel oddała słuchawkę Gordonowi, który stanął obok niej. Radość ją rozsadzała; miała wrażenie, że za chwilę eksploduje... Joanna się zbudziła, żyje! To było tak piękne, że aż trudne do uwierzenia.

- O, mój Boże! - zawołał Gordon. Z błyszczącymi oczami wysłuchiwał dzieci, nawet łza spłynęła mu po policzku. - Naprawdę się zbudziła? Czy to dla niej nie jest typowe?... Tak, jestem absolutnie... Już do was jadę. Ucałujcie ją ode mnie, kochani, pędzę do szpitala! - Odłożył słuchawkę i wziął głęboki wdech. - O, Boże! Mel! - powiedział. - Udawałem hojraka ze względu na dzieci, ale nie miałem nadziei... szczerze mówiąc, bałem się najgorszego.

- Ja też.

Kiedy wyszedł, Mel przeszła się po mieszkaniu, podnosiła różne rzeczy, by położyć je z

powrotem na to samo miejsce. Spojrzała na telefon. Chciała podzielić się z kimś swoją radością i zadzwoniła do Bena, ale nikt nie odpowiadał. Gdy odkładała słuchawkę, usłyszała, że przed domem zatrzymał się samochód. Potem ktoś biegł ścieżką, jednym skokiem znalazł się na ganku i zastukał do drzwi ciężką mosiężną kołatką: raz, potem jeszcze raz, aż otworzyła.

- Joanna odzyskała przytomność! - Ben wołał od progu.

- Wiem, wiem.

- Wpadłem do szpitala, aby sprawdzić, jak się ona ma - mówił, wchodząc do środka i zatraskując za sobą drzwi. - Powiedziano mi, że właśnie, jakieś piętnaście minut temu, Joanna wyszła ze stanu śpiączki.

- Tak, to cudowne - powiedziała Mel, ściskając go. - Istny cud. Ale czy na pewno tak już zostanie? - spytała i wybuchnęła szlochem.

- Tego nikt nie wie, Mel, niemniej jest to dobry znak. Właśnie z tej okazji przyniosłem szampana - i pomachał butelką.

- Szampan straci wszystkie bąbelki, jeśli będziesz nim potrząsał.

- E tam... komu zależy na bąbelkach...

Mel śmiała się i tanecznym krokiem krążyła po pokoju. Czowała się lekka i radosna, jakby cały świat znowu do niej należał.

Ben otworzył butelkę w kuchni nad zlewem; Mel szybko podsunęła kieliszki, ale udało jej się złapać tylko połowę tego, co nalewał.

- Za Joannę! - wzniósł toast. - Za... nie wiem za co... za życie, miłość i... szczęście!

- Ja też za to piję. - Mel podniosła kieliszek do ust. - Ach, Ben, nie mogę uwierzyć, że ona się obudziła.

- To dopiero pierwszy krok - zauważył ostrożnie.

- Wiem. Jeszcze wiele przed nią. Czekają ją dalsze badania i testy i pewnie będą różne zdania o rokowaniu. Zdaję sobie sprawę, że na razie wciąż jesteśmy w lesie... ale mimo wszystko... - Nastawiła kieliszek, by jeszcze nalał jej szampana. - Joanna była tak długo nieprzytomna, że jest powód do celebrowania.

Ben wcisnął guziczek i uruchomił odtwarzacz, który Mel trzymała na ladzie w kuchni. Zabrzmiało coś jazzowego, a on tańczył dookoła stołu, strzelał do taktu palcami i kołysał biodrami.

- *Go, baby, go* - pomrukiwał gardłowo jak Mick Jagger. Mel stała oparta o ladę i się zaśmiewała. Nigdy go takiego nie widziała, nawet nie przypuszczała, że potrafi być tak beztrudnie

wesoły.

Melodia zmieniła się w powolną i słodką, a Ben udawał, że pogrząkuje na gitarze. Potem podszedł do Mel, wyjął jej kieliszek z ręki i postawił na stole, po czym otoczył ją ramionami i razem kołysali się w takt muzyki.

- Tak się cholernie dobrze czuję - powiedział. - Nie wiem, jakim słowem to określić.

- Bajecznie, wspaniale.

- Tak, to oddaje mój nastrój. - Dłoń Bena znalazła się nagle na jej krzyżu, przyciskał ją do siebie, a ona przytuliła głowę do jego ramienia; poczuła zapach potu i zamknawszy oczy, pomrukiwała: mmm...

- Utulony mgłą mej pamięci - zaczął śpiewać przy akompaniamencie płynących z radia tonów i leciutko nagryzał brzeg jej ucha.

- ...zostaniesz już na zawsze, mój kochanku... - podchwyciła Mel.

- ...w moim ciemnoszkarłatnym śnie - razem dokończyli piosenkę.

Trzymał ją na odległość ramienia.

- Czasem w tym nieszczęsnym życiu trafia się także coś dobrego, prawda?

- Tak, czasem tak bywa... - Mel nie mogła uwierzyć w to, co się zdarzyło.

Ben leciutko ucałował koniuszek jej nosa.

- Zapamiętaj tę złotą myśl!

## — 23 —

Mel przeczytała Joannie na głos jeszcze dwa rozdziały *Wielkich nadziei*. Czytała powieść w środku nocy i chwilami odnosiła wrażenie, że postacie z tej książki: Pip, panna Havisham czy Estella, są bliższe rzeczywistości i bardziej realne niż ona sama. Czasami jej się wydawało, że nic więcej w życiu nie widziała, jak tylko te cztery ściany szpitalnej separatki, pomalowane na brzoskwiniowy kolor. W pokoju było mnóstwo kwiatów, których Joanna nie mogła zobaczyć, a także wiele książek i czasopism, których nie była w stanie czytać. Na stole pod oknem, zasłoniętym żaluzją, stała ogromna butla szampana, kupiona z myślą o świętowaniu wyzdrowienia Joanny. Teraz, gdy nadzieje na to rozwiały się, była jedynie pamiątką utraconej wiary.

Kiedy Mel wróciła do szpitala po jednej z małych przerw, na jakie sobie pozwalała w tej najprzykrzejszej porze między północą a świtem, w pokoju zastała pielęgniarkę Beverly, która zaznaczała coś na karcie choroby Joanny.

- Nie za dobrze się sprawy mają - poinformowała Mel. - Tętno pacjentki słabnie. - Była szczerze zmartwiona.

- A co mówią lekarze?

- Zastanawiają się, czy przeprowadzić jeszcze jedną operację, aby usunąć gromadzący się płyn i zmniejszyć nacisk na mózg. - Zerknęła na zegarek wiszący na bluzce. - Muszę już wyjść, ale postaram się wrócić, gdy tylko będę mogła.

Mel uciskała skronie palcami.

- A mówiłaś, że ona się dzielnie trzyma.

- Bo tak było, moja droga. Ale dziś rano jej stan się pogorszył.

- Jak myślisz? Czy wróci do zdrowia?

Joanna leżała spokojnie na łóżku, twarz miała gładką, bez wyrazu i bez śladu jakichkolwiek emocji. Beverly spojrzała na pacjentkę.

- Nie wolno tracić nadziei, Mel - powiedziała łagodnie.

To było wprost nie do wiary: zaledwie dwa dni temu Joanna się obudziła, mówiła do dzieci, nawet żartowała. Ale w momencie, kiedy Mel i Ben, w świetnych humorach po szampanie, zajechali do szpitala, dowiedzieli się, że nastąpił nawrót śpiączki i od tej pory Joanna była już nieprzytomna.

- Po prostu w pewnej chwili zamknęła oczy - relacjonował Gordon - i więcej ich nie otworzyła. Dzieci będą załamane, wszyscy jesteśmy załamani.

- Bardzo żałuję, że nie było mnie wtedy, gdy się obudziła.

- Wiem. - Gordon nerwowo pocierał brodę. - Dobrze, że przynajmniej Lucy i Jamie mogli z nią porozmawiać. Teraz nie pozostaje nam nic innego, jak tylko czekać z nadzieją, że się znowu obudzi, tym razem na dłużej.

Mel przysunęła krzesło do łóżka, usiadła i wzięła przyjaciółkę za rękę. Zauważyła, że ogolona część głowy Joanny lekko połyskuje. Pochylając się niżej, stwierdziła, że zaczynają tam odrastać włosy.

- Joanno! - krzyknęła, mocno ściskając jej palce. - Obudź się! Wróć do nas! - Ale jak zwykle nie było żadnego odzewu od nieruchomej postaci na łóżku. Słysząc było jedynie słabe buczenie urządzenia monitorującego i od czasu do czasu plusk płynu w aparacie do kroplówki.

Niekiedy przychodziło Mel do głowy, że może lepiej byłoby zrezygnować, przyznać się do porażki i po prostu pozwolić Joannie odejść. Ale czy nie byłaby to powtórna zdrada? Zmęczona, sięgnęła po książkę, którą zostawiła na nocnym stoliku, i otworzyła ją w miejscu, gdzie



włożyła zakładkę reklamującą księgarnię Joanny Mayfield.

- Przeczytam ci teraz dalszy fragment *Wielkich nadziei* - zwróciła się do nieprzytomnej przyjaciółki. - Jak pamiętasz, doszliśmy do miejsca, kiedy się zjawia pan Jagers i informuje przemilego Joego Gargery'ego o zamiarach wobec Pipa. A skoro mowa o Gargerym, to muszę ci powiedzieć, że wasz basset Gargery ma ostatnio cholernie smutną minę i Jamie nie może tego znieść. Proszę cię więc, wysil się i zrób coś, żeby odzyskać przytomność i do nas wrócić. Dobrze? Zrób to choćby ze względu na niego, jeśli nie dla nas... W każdym razie pan Jagers wyjaśnia Joemu, że przed Pipem otwierają się wielkie nadzieje, i usiłuje zapłacić mu za utratę czeladnika. - Mel wygładziła otwartą stronicę i zaczęła czytać:

*Jestem szczęśliwy, z całego serca wieszuję Pipowi dobrego losu - mówił Joe - ale jeżeli pan myśli, że może pieniędzmi zapłacić mi wyrównanie straty tego chłopca, który był małym dzieckiem... jak przyszedł do kuźni... i zawsze był mi najlepszym przyjacielem...\**

\* Fragment *Wielkich nadziei* Charlesa Dickensa w przekładzie Karoliny Beylin, wyd. Prószyński i S-ka, W-wa 1999.

Przy ostatnich słowach głos odmówił Mel posłuszeństwa. Odłożyła książkę na łóżko.

- Zawsze byliśmy dla siebie najlepszymi przyjaciółkami, prawda, Jo? - szepnęła.

- Najlepszy... mi przyjaciółka... mi. - Głos Joanny brzmiał chrapliwie i słabo, ale słowa wymówiła całkiem wyraźnie.

- Joanno! - W Mel wstąpiła nadzieja.

Chora próbowała odchrząknąć, choć przychodziło jej to z widocznym wysiłkiem. Leżąc, odwróciła głowę i otwartymi oczami wpatrywała się w Mel.

- Joanno, ty przemówiłaś!!! - Mel drżała, z trudem powstrzymywała łzy, które tym razem cisnęły się do oczu pod wpływem wzruszenia tak głębokiego, że nie była w stanie nad nim zapanować. Pomyślała, że urodzenie dziecka musi być podobnym do tego uczuciem triumfu i ulgi. W pewnym sensie to doznanie przypominało jej orgazm. - Odzyskałaś przytomność..! - Delikatnie wzięła ją za rękę, która bezwładnie leżała na kołdrze. Tam, gdzie ciemne zasychające rany zaczynały się goić, skóra była szorstka, obrzeżona bliznowatą tkanką. Ściskając palce przyjaciółki, Mel poczuła lekki uścisk jej dłoni. Po chwili blada twarz Joanny minimalnie się skrzywiła, co można było odczytać jako próbę uśmiechnięcia się. Wolno poruszała językiem po splekanych wargach. Mel wzięła z nocnego stolika tubkę lanoliny i lekko ją rozsmarowała dookoła ust chorej.

- Co się dzieje? - spytała Joanna.

- Jesteś w szpitalu, kochanie.

Pionowe zmarszczki, jakie pojawiły się między brwiami Joanny, wskazywały, że nie rozumiała, co tu robi.

- A moje dzieci?

- Mają się dobrze, Jo, oczywiście bardzo za tobą tęsknią. Lucy pięknie wygląda. Jamie urósł co najmniej trzy centymetry, a Tom ma nową dziewczynę. To wszystko jednak nas nie cieszy, skoro ciebie z nami nie ma.

Dłoń Joanny powoli poruszała się po kołdrze.

- Szpital? - spytała i jej czoło znowu się zmarszczyło.

- Tak.

- Dlaczego?

- Czy pamiętasz, że wybrałaś się ze mną na wycieczkę w góry?

Słabo potaknęła.

- Miałaś na tej wycieczce wypadek, spadłaś z pewnej wysokości. - Mel spojrzała na ciemny prostokąt okna: rozjaśniało się, zbliżał się świt. Widziała już blade zaróżowienie nad dachami miasta, a także kontury białej iglicy na wieży episkopalnego kościoła. Wstały pierwsze ranne zorze. W tej godzinie siły obronne organizmu przeżywają kryzys: słabną. To jest pora, w której ludzie umierają.

Mel przypominała zdarzenia, które poprzedzały upadek Joanny, tak jakby streszczała film. Zaczęła od opisu niebieskiego nieba, potem mówiła o tym, że śpiewały ptaki i szemrały liście na drzewach, i wreszcie doszła do śliskiej trawy na brzegu urwiska i żółtej plamy, jaka się pojawiła na czarnych kamieniach w dole nad rzeką. Wspomniała o pomocy, jakiej Ben Andersen udzielił Joannie, i o helikopterze, który ją unióś w podniebną podróż i przywiózł do szpitala.

- Zawsze byliśmy najlepszymi przyjaciółkami - tym razem wyraźnie wymówiła Joanna.

Mel uśmiechnęła się do niej, z czułością patrząc na bladą twarz leżącą na poduszce.

- Ach, Joanno! Nie mogę ci powiedzieć, jak bardzo... po prostu nie wiem, od czego zacząć... - Pociągała nosem. - Niezła draka, co?

- Niezła draka... - jak echo powtórzyła Joanna. Jej dłoń zacisnęła się na palcach Mel, ale po chwili uścisk się rozluźnił. Podczas gdy Mel w dalszym ciągu się do niej uśmiechała, Joanna niepostrzeżenie odeszła. Odpłynęła łagodnie, jak pływak, który odbija od brzegu, kierując się

na głębsze wody i posuwa się coraz dalej i dalej w stronę ciszy i milczenia. Tak samo Joanna coraz bardziej się oddalała, aż w końcu przestała być widoczna.

Ben zaczął dzień od kawy. Siedział z kubkiem w ręce i dumał. Zeszłej nocy jak zwykle zasnął na kanapie i zbudził się w chłodnym pokoju; węgiel na kominku zamienił się w szary popiół, a światło świtu przenikało przez zasłony. To się ostatnio ciągle zdarza - uświadomił sobie. Nie miało sensu kłaść się do łóżka. Zaparzył kawę i myślał o swoich urodzinach, które wypadały w przyszłym tygodniu. Przypuszczał, że tym razem będzie je spędzać samotnie.

Przed rokiem świętował z Lisą w Nowym Jorku. Żona zaprosiła go na urodzinową kolację do restauracji, a kiedy wrócili do domu i zaświecili światło, w salonie powitało ich trzydzieści albo czterdzieści osób głośnym wrzaskiem: Niespodzianka!!! Większości z nich Ben nigdy nie widział na oczy...

Usłyszał, że jakiś samochód skręcił z szosy i ze zgrzytem wjechał na podjazd; potem okrążył jabłoń i zatrzymał się przed drzwiami wejściowymi. Bena zirytowała zbyt wczesna wizyta. Wstał, uniósł zasłony i zobaczył, że na ganku stoi Mel i przytrzymuje ręką kołnierz granatowego żakietu.

Podbiegł do drzwi i od razu spytał, czy Joanna odzyskała przytomność.

- Ben! - Schyliła głowę, ale zdołał jeszcze dostrzec, że ma usta wykrzywione bólem. Opuściła ramiona i próbowała wziąć się w garść. - Tobie pierwszemu chciałam to powiedzieć, ponieważ bez ciebie... ponieważ byłeś tam wtedy...

- Wejdz! - powiedział cicho.

- Ach, Ben... - mówiła obolałym głosem. - Ona nie żyje! Joanna umarła.

- Kiedy?

- Dwie godziny temu. Dwie godziny - powtórzyła, jakby się dziwiła. A Ben nie wiedział, co powiedzieć: czy to, że to tak niedawno, czy przeciwnie, że dawno temu. Nie potrafił tej kwestii rozstrzygnąć.

- Tak mi przykro, Mel.

- Joanna. - Mel przycisnęła grzbiety dłoni do oczu; robiła wrażenie całkowicie zagubionej. - Joanna nie powinna była umrzeć! - Potrząsnęła głową. - Była moją najlepszą przyjaciółką - oznajmiła podniesionym, cienkim, niemal dziecięcym głosem - a teraz nie żyje...

- Wejdz do środka - poprosił, a kiedy nie ruszała się z miejsca, objął ją ramieniem i wprowadził do domu.

- Przyszłam tylko po to, by ci o niej powiedzieć. - Niepewnie rozglądała się dookoła. -

Przepraszam, że wpadłam tak wcześnie. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

- Oczywiście, że nie. I tak już nie spałem. - Wziął ją za rękę i zaprowadził do salonu. -  
Opowiedz dokładnie, jak to się stało. Myślałem, że Joannie jest już lepiej.

Mel usiadła i nerwowo skubała róg żakietu.

- Wiesz, jak było? Siedziałam przy niej i rozmawialiśmy, i w jednej chwili ona po prostu... odeszła. - Mel zaszlochała, głęboko wciągnęła powietrze i ucichła. Pod żakiem miała niebieską batystową bluzkę. Ben dostrzegł jeszcze złoty łańcuszek i małe wgłębienie u nasady szyi. - Siedziałam przy łóżku Joanny, gdy nagle przemówiła. - Mel wzruszyła ramionami. - A potem spojrzała na mnie... i umarła. Obserwowałam ją, Ben, myślałam, że jeszcze będzie do mnie mówiła, a tymczasem ona umarła na moich oczach!

Położył jej dłonie na ramionach i przytulił do siebie.

- Mel - szeptał - Mel...

- Siedziałam tam, Ben! - Odchyliła się, żeby móc na niego patrzeć. - Uśmiechałam się do niej, a ona umierała.

- A wiesz, że to nawet nie jest zła śmierć - pocieszał ją. Przypomniawszy sobie chińskiego alpinistę, który umarł podczas wspinaczki na Annapurnę. Kiedy zaskoczyła ich śnieżna zadymka i musieli się stłoczyć w namiotach, biedak zaczął mieć halucynacje. Dali mu wszystek tlen, jakim dysponowali, ale choroba wysokościowa, która spowodowała obrzmienie mózgu, była już zbyt zaawansowana. Wszyscy wiedzieli, że Chińczyk ma minimalne szanse na przeżycie nocy, ale nikt nie był w stanie mu pomóc. Ben czuł, że nigdy nie zapomni wyrazu twarzy tego człowieka, gdy czekał na śmierć wśród obcych ludzi. - Pamiętaj, że Joanna, umierając, miała przy sobie ciebie, swoją najlepszą przyjaciółkę, kogoś, kogo kochała. Więc to nie była zła śmierć...

Mel wpatrywała się w niego. Białka jej oczu miały kolor papieru. Robiła wrażenie bardzo zmęczonej; minione dni niekorzystnie wpłynęły na jej wygląd.

- Nie pomyślałam o tym - przyznała.

- Ostatnie spojrzenie Joanny padło na twoją uśmiechniętą twarz. To dobrze.

Zamilkli i pograżyli się we własnym smutku. Po chwili Mel powiedziała po prostu:

- Kochałam ją, Ben. - I uśmiechnąwszy się smętnie, dodała: - Kochałam Joannę o wiele bardziej, niż kiedykolwiek kochałam swego męża... Ona była moją rodziną.

Ben mruknął coś nieartykułowanego, co zabrzmiało uspokajająco.

- Bo to jest tak - mówiła dalej Mel. - Początkowo wszystko wydaje nam się oczywiste. Widząc przed sobą kamienie milowe, myślimy, że trzeba tylko do nich dotrzeć, minąć je i dojść

do następnych... Tymczasem wcale tak nie jest. Ale kiedy jest się młodym, nie bierze się w rachubę... strat.

- Bo one wcale nie są nieuchronne, oczywiście jeśli się ma szczęście...

- Ale ja po tym, co się stało, już nigdy nie wybiorę się nad jezioro. Pomyśl tylko: najpierw Lisa, teraz Joanna...

Położył dłoń na jej niespokojnych palcach.

- A ja czułem potrzebę powrotu do miejsca, w którym Lisa straciła dziecko. Szczególnie że ona potem... - Chwycił swój kubek kawy tak mocno, że widać było przeświecające przez skórę kości knykci. Poniżej serdecznego palca lewej ręki miał poszarpaną, niezupełnie zagojoną ranę po ugodzeniu się dłutem. - Musiałem się tam udać... I ty odczujesz taką potrzebę, zobaczysz.

- Być może.

Chciał ją objąć, pocieszyć, ale ona siedziała sztywna i nieprzystępna. Ostatnio, kiedy jej dotknął, był w stanie - taką przynajmniej miał nadzieję - podtrzymać ją na duchu. Teraz Mel cała się trzęsła. Ciepło jej ciała przenikało do jego ramienia. Pachniała wanilią, solą i prasowaną bawełną.

Głośno przelykała łzy i próbowała zetrzeć je z twarzy, ale Ben pochylił się nad nią i delikatnie dotknął palcem łez zbierających się pod ciemnoniebieskimi oczami.

- Płacz, Mel! Czasem jedynie to nam zostaje.

- Nie płaczę tylko nad sobą - powiedziała niepewnym głosem. - Płaczę nad nami wszystkimi. Nad Joanną, jej dziećmi, Lisą i waszym dzieckiem. - Zamknęła oczy. - Nad wszystkimi utraconymi dziećmi.

Wyglądała tak wzruszająco bezbronne, że Ben poczuł ogromną potrzebę pocieszenia jej. Chciał ją wesprzeć i ukoić. Gdy ją przyciągnął do siebie, poddała się bez słowa. Podniósł jej dłoń do ust.

- Mel - szepnął, przeciskając chłodne palce do warg. - Mel!

Patrzył na nią wtuloną w zagłębienie jego ramienia. Jej usta były lekko otwarte. Czuł ciepło płynące z jej ciała i bicie serca. Ręce miała długie i szczupłe, paznokcie krótko obcięte i niepomalowane. Nie nosiła obrączki, tylko pierścionek z szafirem.

Gdy uniosła twarz i spojrzała na niego, przed oczami przesunęła mu się cała mozaika wspomnień z nią związanych: Mel oparta o skąpaną w słońcu skałę; jej mokre, błyszczące ciało, gdy zabawiała się w jeziorze z Joanną, jej usta przy świetle świec; jej uśmiech i zapach wa-

nili, który ją otaczał. Był na jakimś przyjęciu, nie pamiętał już gdzie. Stał przy półce z książkami i myślał o niedawnej wspinaczce w górach Szwajcarii. Przypomnił sobie, jak mu się wówczas powinęła noga, i z całą ostrością uświadomił sobie, że popełnił błąd, że niewiele brakowało, a zginąłby. Wiele razy w górach stawał oko w oko ze śmiercią. Wiedział, że ryzyko jest nieodłącznie związane ze wspinaczką; że choćby się zachowało jak największą ostrożność, to każdy następny krok może być ostatnim, ale pomimo to wspinaczka nigdy nie przestała być dla niego mniej atrakcyjna czy mniej podniecająca.

Gdy teraz patrzył na Mel, która uśmiechała się do niego, i widział jej ciemnoniebieskie, prawie granatowe oczy i gęste białozłote włosy, przypomnił sobie, że już nieraz w minionych latach spotykał ją nad jeziorem, samotnie stojącą nad brzegiem wody. Wcale nie poczuł się zaskoczony myślą, że na obecną chwilę złożył się splot okoliczności sprzyjających im od dłuższego czasu. Mel potrzebowała pocieszenia, a tylko on - jak się domyślał - może je zaoferować. Ujął ją pod brodę i przechylił głowę ku sobie. Na ułamek sekundy rozchyliła usta i całe ciało skierowała w jego stronę. Mała przestrzeń, jaka ich dzieliła, wydawała się naładowana szaleńczym potencjałem najróżniejszych możliwości.

- Mel - szepnął. - Pragnę cię.

Jęcząc, zwróciła ku niemu głowę.

- Ja też cię pragnę.

Zbliżył jej twarz do swojej i delikatnie ucałował w mokre powieki.

Mel była zdumiona siłą namiętności, która tak nagle ją ogarnęła. Chciała czuć jego usta na swoich, gładzić jego rozjaśnione słońcem włosy. Przez moment spróbowała wyobrazić sobie dotyk jego skóry, sposób, w jaki się będzie poruszał w sypialni, pewność siebie, z jaką zrzuci z siebie ubranie, skrzypnięcie materaca, kiedy wejdzie do łóżka i położy się obok niej. Widziała jego głowę tuż przy swojej i przewidywała, że będzie pachniał świeżo i młodo...

O Boże! Pragnęła przywrzeć do niego, dotykać, smakować, pogrzebać smutek w dokonującym się cudzie dwojga ciał, utopić żal w pożądaniu. Żar namiętności powoli rozpałał jej wnętrze. Twarz płonęła. Jego usta znalazły się na jej ustach, a dłonie na piersiach. Zamknęła oczy i chłonęła siłę, z jaką po nią sięgał; jego policzek przytulony do jej policzka, jego szukające usta... Było jej wszystko jedno, co jej Ben ofiaruje i jak bardzo to będzie krótkotrwałe: pragnęła tego z całej duszy.

Przez moment przyszedł jej na myśl młody chłopiec w białej koszuli; widziała go z okna hotelu w Wenecji w czasie podróży poślubnej. Skinął jej wtedy ręką, przechodząc przez most, i

zniknął w bramie, przez którą być może wiodła droga do nieznanymi ogrodów rozkoszy.

Ben podniósł do ust jej dłoń i całował każdy palec z osobna, a potem ją odwrócił i przycisnął wargi do wnętrza. Objął obiema rękami jej twarz i przyciągnął ku sobie. Pokrywał drobnymi pocałunkami czoło, brwi, uszy, wgłębienie na szyi. Szorował zarostem na brodzie po policzku. Któreś z nich wydało jęk rozkoszy, ale nie umiała powiedzieć które. Wystarczyło jej, że jest tu z Benem, odcięta od reszty świata i jego dławiących smutków.

Trzymając prawą rękę na jej twarzy, lewą włożył pod żakiet. Palce miał chłodne i Mel lekko zadrżała. Dłonią dotknął jej piersi i przez koronkę stanika pieścił sutki; gdy Mel się odwróciła, by spojrzeć mu w oczy, poczuła, że brodawki twardnieją pod jego pieśczością.

- Ben - powiedziała - pragnę cię! - I raz jeszcze powtórzyła: - Pragnę cię!

Ściągnął jej bluzkę, rozpiął stanik i zsunął ramiączka. Przez chwilę przyglądał się jej piersiom, potem ujął je w ręce i trzymał, jakby były czymś niesłychanie rzadkim i cennym, w końcu schylił głowę i muskał je wargami.

Ciepło bijące od kominka ogrzało ją. Błyski migoczących płomieni przebiegły po jej ciele tak lekko jak jego język. Rozpinając guziki koszuli Bena, pomyślała, że nie ma wprawy i niezgrabnie zabiera się do rzeczy. Wszak wiele lat minęło od czasu, gdy rozbierała mężczyznę. A jednak z łatwością wróciła jej pamięć o wszystkim, co się wiąże z kochaniem. Kiedy zdejmowała mu koszulę z ramion, sam wyjął ręce z rękawów i odsłonił nagi tors. Objęła go i sutkami ocierała się o jego pierś.

Ben rozpiął zamek błyskawiczny spódnicy i delikatnie ją ściągnął; Mel uniosła się, by mu to ułatwić. Potem pomogła mu wydostać się z dżinsów i głaskała go po plecach, biodrach i pośladkach. Brzuch miał twardy i płaski. Lekko pchnął ją na łóżko. Gdy leżała na plecach, rozciągnął się obok niej. Oboje byli nadzy, skóra dotykała skóry. Położyła dłoń na jego sercu i pod palcami czuła, jak silnie bije.

Zdawała sobie sprawę, że w pewnym momencie powinna powiedzieć:

- Wiesz, Ben, nie możemy tego robić. Jesteś żonaty. Postępujemy niewłaściwie. - Ale nic takiego nie powiedziała. Przeciwnie: kiedy ją całował, gdy jego usta wędrowały po jej ciele, po piersiach, pod ramionami i po brzuchu, kierując się w dół, ogarnęło ją przemożne pragnienie posiadania tego mężczyzny i oddania się jemu. Wiedziała, że któreś z nich powinno być rozsądne, ale dlaczego to miałyby być ona? I dlaczego ma uznać, że rozsądek jest czymś dobrym i wskazanym... „Pragnę Bena - myślała. - Chcę, by udowodnił, że, choćby na krótko, potrafi mi zapewnić coś innego niż smutek”. Złapała się na tym, że bezwiednie wypowiada tylko: „tak!” i

„ach!”, i „proszę”.

Joanna co prawda umarła, ale ona żyje, i już ten fakt zasługuje na celebrowanie - przekonywała siebie. „Choć raz nie miej poczucia winy!” - ostro sobie nakazała. Ben zapachniał winem wypitym ubiegłej nocy. Włożył dłoń między jej uda, dotknął wilgotnego miejsca i powoli wsunął tam palec. W Mel narastało poczucie, że jeszcze chwila, a rozerwie ją eksplozja. Kiedy w nią wszedł, przepełniła ją ogromna wdzięczność; potem nastąpił wstrząs i potężny orgazm, po którym wciągnęła go w siebie i trzymała tak bez ruchu. Z piersi wydarł jej się głośny szloch. Ben zwiększył szybkość ruchów, zbliżając się do szczytowania, i po chwili Mel poczuła gorący strumień wnikający do jej wnętrza.

Teraz cicho płakała; łzy strużkami ściekały jej po twarzy. Myślała o Joannie, o tym, że ona czuje, że żyje, a jej przyjaciółka umarła i nigdy już nie ucałuje swoich dzieci ani z miłością i pożądaniem nie dotknie żadnego mężczyzny. Joanna, sztywna i zimna, pozostanie sama, teraz i zawsze.

- Nie płacz! - prosił Ben.

- Nic na to nie poradzę. Płacę, bo jestem z tobą, a Joanna... Tylko mrugnięcie oka odziela życie od śmierci. - Przyciągnęła głowę Bena do piersi. Przez całe lata nie odważyła się otworzyć przed kimś serca ani pozwolić sobie na przeżycie miłosnych uniesień. Bała się, że miłość może okazać się niebezpieczna, może nawet zabić. W małżeństwie znalazła skąpo odmierzone uczucie ciepła. Dopiero teraz szczerze stosowana sztuka miłosna Bena i bogactwo zapachów jego ciała sprawiły, że zrozumiała, czym jest prawdziwe spełnienie się kobiety, jaka to przemożna namiętność.

Mel zaprażyła pojechać za miasto, do miejsca, gdzie na rzece zbudowano tamę. Nikogo tam nie było tego zimnego i chmurnego ranka. Woda wydawała się cicha i nieruchoma; drzewa odbijały się na jej powierzchni. Szare skały i szare niebo doskonale ze sobą współgrały. Ona i Joanna przyjeżdżały tu zwykle w czasie wakacji z dwojgiem dzieci. Urządzały pikniki, piekły kiełbaski na rożnie, dzieci pluskały się w wodzie, pływały i grały we *frisbee*\*. Dwie kobiety, dwoje dzieci - jak szczęśliwa rodzina...

\* *Frisbee* - gra polegająca na rzucaniu do siebie i łapaniu plastikowych krążków.

- Ty masz męża, a ja mam dzieci - mawiała Joanna. Mel wtedy myślała: „Już ja wiem, co bym wolała mieć”.



Przypomniała sobie, że zaraz po śmierci Erica z płaczem mówiła:

- Eric i ja wszystko robiliśmy razem... I rzeczowy głos Joanny:

- To nieprawda, kochanie. Ze mną wszystko robisz, a nie z Erikiem... I zawsze tak było.

Nie z Erikiem. Nigdy z Erikiem.

Jej skóra wciąż pachniała kochaniem się z Benem. Nie minęła godzina od czasu, kiedy go opuściła, a już do niego tęskniła, do zapachu włosów, do smukłej sylwetki w łóżku obok niej, do połyskującego złociście zarostu na jego twarzy. „Chcę go dotykać, smakować, wachać, czuć go znowu na sobie. Ciągłe na nowo go pragnę - myślała, wstrzymując oddech i zacierając rękę, by nie czuć chłodu. - Chciałabym w nim zatonać”.

Kiedyś miewała marzenia. W nich świat wydawał jej się miejscem wielkich możliwości i sądziła, że wystarczy po nie sięgnąć, by je mieć.

„Z Joanną byłyśmy do siebie bardziej podobne, niż sobie z tego zdawałam sprawę - snuła rozważania. - Mimo jej śmiałych opinii tak samo jak ja bała się ryzyka i dokonywania wyborów. Była moją przyjaciółką od serca, a teraz leży w domu pogrzebowym, cała w ranach i pobijana. Już nigdy nie zobaczę jej szerokiego uśmiechu, nie usłyszę jej chrypliwego śmiechu ani lekko fałszującego śpiewu. Nie będę widziała, jak tańczy do muzyki z radia, trzymając szklanek wina w ręce, i nie zobaczę, jaka jest czuła dla swoich dzieci. Być może czas złagodzi ból, ale go nigdy do końca nie wyruguje”.

Kilka jesiennych liści wiatr przewiał po zachmurzonym niebie. Jakaś ryba podskoczyła, burząc powierzchnię wody; ta jednak po kilku minutach powróciła do poprzedniego bezruchu.

Jak się ubrać na pogrzeb bliskiej osoby? Szczególnie jeśli była to nasza najlepsza przyjaciółka, która im bardziej zbliżała się do pięćdziesiątki, tym częściej oświadczała, że zamierza żyć sto lat. Mając przy tym świadomość, że będzie jej brakować do końca życia. A czy wypada iść na pogrzeb z jeszcze świeżym wspomnieniem pieszczot kochanka i smakiem jego pocałunków na wargach? W tym przypadku Mel uważała, że to nic nie szkodzi.

Przetrząsając zawartość szafy, Mel przypomniała sobie inny pogrzeb, a mianowicie przedwcześnie zmarłej na raka Cath Delaney Joanna przyszła wtedy na cmentarz wyzywająco ubrana w jaskrawoczerwony, skórzany płaszcz, takie same kozaczki i długi, różowy szalik zamotany wokół szyi.

- Ach, ty jawnogrzesznico! - szepnęła jej do ucha Mel, kiedy żałobnicy wolno opuszczali kościół i otaczali świeżo wykopany, prostokątny dół. - Sarah Mahoney patrzy na ciebie tak, jakby zaraz miała zemdleć.

- To na pewno z zazdrości - odpaliła Joanna. - Ta stara wiedźma wie dobrze, że na jej pogrzeb z pewnością nikt nie ubierze się na czerwono, bo i pies z kulawą nogą nie przyjdzie. Nie znoszę czerni, wolę żywsze kolory.

Mel znalazła właśnie w swojej garderobie jedwabną apaszkę w odcieniach przechodzących od delikatnie liliowego do intensywnie fioletowego. Z nostalgią przesuwiała ją między palcami, gdyż ten łaszek nosiła podczas ostatniej wspólnej wyprawy z Joanną do Bostonu.

- Aleśmy się wtedy cudownie bawiły... - szeptała do siebie, mnąc jedwabną tkaninę.

Rzeczywiście, w towarzystwie Joanny każdy świetnie się bawił. Potrafiła wszystkich rozśmieszyć, stworzyć nastrój wystrzałowej imprezy. Pozostawiła po sobie niezatarte wspomnienia, które trwale wplotły się w życie Mel. A teraz wszystko się skończyło.

Mel ciężko westchnęła, zakładając ręce na piersi. Nie czuła się tak przygnębiona od czasu swojego pierwszego przyjazdu do Butterfield i miała nadzieję, że ta depresja więcej się nie powtórzy. Bezgłośnie powtarzała imię Joanny, z którą połączyła ją tak silna więź, że bez niej nie wyobrażała już sobie dalszego życia.

Z szafy wyjęła wełnianą spódnicę w kolorze lawendy i dobraną do niej koszulową bluzkę. Rzuciła okiem na górną półkę, gdzie leżało pudło na kapelusze, obciążone bladoliliowym jedwabiem i wykończone ciemnoczerwoną skórą. Zdjęła wieczko i gdy wyjmowała kapelusz, z wnętrza buchnęła woń zaszuszonego fiołków, których bukietek leżał na wyściełającej dno bibu-

ce.

Założyła kolię z ametystów odziedziczoną po matce i złoty łańcuszek z medalionem w kształcie serduszka, który dwa lata temu dostała od Joanny. Za oknami nawisły ciężkie, deszczowe chmury; drzewa uginały się pod naporem wiatru. Jeszcze tydzień temu, przed śmiercią Joanny, panowała letnia pogoda, ale szybko ustąpiła miejsca chłodnej, słotnej jesieni, a w powietrzu pachniało już zimą. Na pewno nie była to pogoda odpowiednia na założenie słomianego kapelusza. Mel maznęła twarz podkładem, przeciągnęła szminką po wybladłych wargach. Poszperała w szufladach, by znaleźć okulary przeciwsłoneczne; wołała nie pokazywać oczu.

Wsiadła do samochodu, zapaliła silnik i włączyła ogrzewanie. Płaszcz ułożyła na siedzeniu obok siebie. Już miała tyłem wyjechać z podjazdu, ale się powstrzymała, zaciągnęła hamulec ręczny i przesiedziała chwilę, pograżając się w myślach.

W uszach zabrzmiały jej słowa Joanny: „Mogłabyś włożyć ten kapelusz na mój pogrzeb”. Mel wyskoczyła z wozu, wróciła się do domu i pognęła na piętro do sypialni. Ze łzami w oczach wyjęła z szafy ozdobne pudło na kapelusze i wrzuciła je do samochodu.

Zaparkowała pod kamiennym murem okalającym cmentarz. Ledwo wysiadła, smagnęła ją po twarzy marznąca mżawka. Wiatr zaciął po płytach nagrobnych z czarnego łupku i podnosił tumany uschłych liści. W przenikliwym chłodzie świeży grób otaczały postacie w czarnych płaszczach pod czarnymi parasolami, a czarne samochody stały zaparkowane pod czarnymi, mokrymi gałęziami. Mel wzdrygnęła się, bo pamiętała, że Joanna nienawidziła zimna. Powinno się ją chować pod bezchmurnym niebem, w blasku słońca, wśród śpiewu ptaków.

Mel otuliła się szczelnie płaszczem, jakby chciała w sobie zatrzymać ból. Nie odczuwała nic prócz smutku. Wciąż trudno jej było pojąć, dlaczego zwykła wycieczka do lasu tak się tragicznie skończyła. W dodatku do tej pory nie miała sposobności wyrzucić z siebie dręczącego poczucia winy. Ręka Lucy zdawała się szukać jej dłoni, więc ścisnęła ją mocno, bo dziewczyna zaczęła szlochać. Drugie jej ramię ujął Gordon Mayfield, a Tom obejmował siostrę, o którą z drugiej strony opierał się skurczony z bólu Jamie.

Za murem cmentarza, wzdłuż Main Street, odbywał się normalny ruch uliczny. W momencie opuszczania trumny do grobu kierowcy zwalniali, aby nie stracić tego widoku. Mel się zastanawiała, czy którykolwiek z nich wiedział, czyj to pogrzeb; czy hamowali przez wzgląd na osobę zmarłej, czy z czystej ciekawości. Akurat przejechała tamtędy z piskiem opon czerwona ciężarówka, prowadzona przez młodego chłopaka, który z papierosem w zębach wyjrzał przez

uchylone okno. Ciekawe, co mógł zobaczyć i co w tym momencie poczuł. A przede wszystkim, czy choć w części zdał sobie sprawę, że wraz z tą trumną składano do grobu pięćdziesiąt lat barwnego, pełnego i radosnego życia?

Wiatr smagał Mel po twarzy strugami deszczu, aż zamrugała i cofnęła się o krok. Gordon mocniej ścisnął jej rękę, obawiając się, że może zemdleć. Po drugiej stronie grobu, w dalszych rzędach żałobników, Mel dostrzegła Bena. Ostatnie tygodnie nieustannego napięcia pozostawiły na jego obliczu trwałe ślady w postaci nowych zmarszczek wokół ust i pod oczami. Z twarzy znikł charakterystyczny wyraz chłopięcej naiwności czy może niewinności. Nic dziwnego, przecież jeszcze tego ranka leżeli w łóżku i on uczył się ustami jej kształtów, a ona całowała jego gładką skórę. Ciekawe, czy ktokolwiek by się domyślił, że są kochankami i ani tej nocy, ani poprzedniej żadne z nich nie spało?

Uważała, że choć oboje zostali ciężko doświadczeni przez los, to jednak mieli przynajmniej tyle szczęścia, że się spotkali i mogli sobie pomagać. Posłała Benowi przelotny uśmiech, wspominając, jak niespodziewanie przyszła na nich miłość. Stało się to tak szybko, że sama się nie zorientowała, kiedy wpadła po uszy. Mogła wyliczyć wiele powodów, dla których go pokochała. Przede wszystkim dlatego, że potrafił słuchać, kiedy do niego mówiła. Przekrzywił głowę i wpatrywał się w jej usta, jakby śledził wychodzące z nich słowa, a jego oczy nie były już nieobecne i obce. Jednak najcieplejsze uczucia wzbudzał w niej wtedy, gdy jej dotykał, bo od razu stawała się kimś innym, jakby duchem żywiołów ognia i powietrza. Dzięki niemu mogła znów stać się tą Mel, jaką kiedyś była.

Sama oskarżyła się o niegodziwość. Jak bowiem śmiała dopuszczać do siebie takie myśli w chwili, kiedy do grobu składano trumnę z ciałem jej najdroższej przyjaciółki? Wiedziała jednak, że sama Joanna by jej za to nie potępiła. Najwyżej, z wesołymi iskierkami w oczach, udzieliłaby żartobliwej reprimendy: „Ty bezduszna żmijo, masz czelność być szczęśliwa, kiedy mnie chowają?”.

Przebrzmiały ostatnie słowa ceremonii pogrzebowej i żałobnicy zaczęli się rozchodzić. Mel postąpiła nieco dłużej przy grobie i patrzyła na osypane ziemią deski trumny, co przypominało jej tamten nieszczęsny upadek ze ścieżki, po którym pozostała tylko żółta plama na skałach.

„Żegnaj, Joanno - powiedziała w myśli. - Byłaś mi przyjaciółką i tarczą, dawałaś mi siłę”.

A potem się odwróciła i machinalnie podążyła za innymi.

Chyba połowa miasteczka się zgromadziła, aby pożegnać „Panią z księgarni”. Ustawione w półkole krzesła dla gości ledwo mieściły się w pokoju, w którym krewni Joanny usiedli obok siebie i trzymali się za ręce.

- Joanna by się ucieszyła, gdyby wiedziała, jak ją wszyscy kochali - powiedział Gordon; był szary na twarzy ze zmęczenia i zgryzoty. - Ileż razy mówiła, że chciałaby mieć tłumy na swoim pogrzebie! Szkoda, że nie może was zobaczyć - dodał z ironicznym uśmiechem.

Goście się roześmiali, a Lucy tylko przecierała oczy. Gordon przemawiał jeszcze przez chwilę, starając się ukazać zebranych Joannę z młodych lat, Joannę, jakiej nie znali, choć mogli sobie łatwo wyobrazić. Potem Lucy deklamowała wiersz Emily Dickinson; przy ostatnich strofach łzy dławili ją w gardle. Tom odczytał wypracowanie, które napisał o swojej matce, kiedy był w szkole średniej. Na końcu wstał Jamie, ubrany schludniej niż zazwyczaj, w krawacie, w wypucowanych do połysku butach i za dużej marynarce odziedziczonej po Tomie. Poprawił okulary zsuwające się z nosa i zaczął:

- Ona zawsze pozostanie moją mamusią. - Głos mu się załamał, więc szybko dokończył:  
- I zawsze będę ją kochał. To wszystko, co chciałem powiedzieć.

Usiadł i spuścił oczy. Wtedy Gordon dał znak Mel, która trzymała na kolanach pudło z kapeluszem. Wstała i zdjęła wieczko.

- Kupiliśmy go z Joanną w Bostonie na początku tego roku - zagaiła, wskazując na zawartość pudła. - Joanna zobaczyła go na wystawie i od razu orzekła, że powinnam go kupić. Posłuchałam, bo, jak sami wiecie, Joanna miała nadzwyczajną siłę przekonywania; nie chcę przez to powiedzieć, że stosowała przymus. - Ten i ów życzliwie się uśmiechnął. - Oczywiście wiem, że nie jest to kapelusz żałobny ani odpowiedni na pogrzeb, ale w tej sytuacji chyba to nie ma znaczenia.

Z oczami pełnymi łez nałożyła kapelusz na głowę.

- Wkładam go ze względu na nią - oświadczyła. - Mam nadzieję, że państwo go zaakceptują, gdyż ja sama nigdy nie byłam do końca przekonana, czy mi w nim do twarzy. I nadal nie jestem pewna, cokolwiek byś powiedziała, Joanno... - I popatrzyła na sufit.

Dalszą część wystąpienia ponownie skierowała do gości.

- Przeczytam państwu wiersz Joanny, dobrze oddający jej charakter. Taka by była, gdyby od nas nie odeszła. - Uśmiechnęła się i zamrugała, gdyż czuła, że oczy znów wypełniają się łzami. Odchrząknęła i dodała: - Wiersz ma tytuł *Ostrzeżenie*.

*A kiedy się zestarzeję, będę nosić suknie purpurowe  
I czerwony kapelusz, choć to nie wypada, nałożę na głowę.  
Całą emeryturę wydam na koniak, rękawiczki i sandały,  
Choćby mi na jedzenie nawet nędzne grosze nie zostały.*

Przerwała, jeszcze raz odchrząknęła i czytała dalej:

*Może powinnam zawczasu, dopóki jestem jeszcze młoda,  
Poćwiczyć, jak to będzie, kiedy życie lat mi doda,  
Żeby potem moich bliskich niepotrzebnie nie szokować,  
Gdy mnie na starość zdobić będzie suknia purpurowa.*

Po tych słowach zdjęła kapelusz i trzymając go oburącz przed sobą, dokończyła z półśmiechem:

- Ona rzeczywiście przez całe życie to ćwiczyła. Taka była Joanna Mayfield, moja najlepsza przyjaciółka.

Kiedy Mel usiadła, ponownie zabrał głos Gordon Mayfield.

- Przyszliśmy tu, żeby uczcić Joannę, nie tylko ją opłakiwać - powiedział.. - Była kobietą wyjątkową, jedyną w swoim rodzaju, więc jeśli ktoś z państwa ma jeszcze jakieś wspomnienia o niej, proszę się z nami podzielić.

Obecni usłuchali wezwania. Działacz Komitetu Bibliotecznego rozwoził się o zamiłowaniu Joanny do książek, potem koleżanka szkolna Lucy wspominała życzliwy i bezpośredni stosunek zmarłej do ludzi. Prawie każdy miał coś do powiedzenia, a wszyscy ubarwiali wypowiedzi afektowanym śmiechem, co miało świadczyć o wesołym usposobieniu nieboszczki.

Kiedy zaproszono gości do stołu, porozlewano wino i rozniesiono półmiski, zaczęło robić się coraz głośniej. Tom z kolegami brzdąkali na gitarach i nucili ulubione piosenki matki w wykonaniu Beatlesów, Joan Baez oraz zespołu „Peter, Paul i Mary”. Joanna lubiła dobrze wszystkim znane utwory, które można było śpiewać chóralnie.

Mel podchodziła do grupki osób znajomych, z każdym zamieniając po kilka słów. Uważała, że w takim momencie nie można powiedzieć właściwie nic sensownego, a jednak wszyscy próbują, jakby słowa mogły przywrócić Joannie życie lub złagodzić ból po jej stracie. Sama nie wiedziała, kiedy znalazła się obok Bena, poczuła dotknięcie jego palców i podniosła na niego

wzrok.

- Pan Mayfield miał rację. - Ben przypomniał wypowiedź Gordona. - Musimy zarówno uczcić Joannę, jak i wyrazić żal po niej. Ważna jest nie tylko śmierć, lecz także jej życie.

- Aha - przytaknęła Mel i przeszła dalej. Kiedy znalazła się obok drzwi wejściowych, zauważyła, że przybył jeszcze jeden gość. Nie od razu go rozpoznała, ale gdy się zorientowała, kto to jest - dostała wypieków z przejęcia.

- Lisa! - wykrzyknęła.

- Musiałam tu przyjechać - tłumaczyła się Lisa i objęła Mel uściskiem. - Dopiero wczoraj do mnie dotarło, co się stało. Tak mi przykro i... co tu można jeszcze powiedzieć?

- Chyba już nic - Mel potrząsnęła głową.

- Ona była taką uroczą kobietą! - Na drobnej twarzyczce Lisy malowało się napięcie i zmęczenie. Jednocześnie jednak cechował ją jakiś wewnętrzny spokój, co świadczyło, że doszła już z sobą do ładu.

- Tym trudniej z jej śmiercią się pogodzić.

- Biedna Joanna! I ty, Mel, też. Musiałaś to strasznie przeżyć.

- To były ciężkie chwile.

- Tak mi przykro! Nie powinnam była tak nagle zniknąć bez skontaktowania się z tobą. - Ponownie uścisnęła Mel. - Tylko, widzisz, obawiałam się, że nie dam sobie rady z tym wszystkim.

- A jak ci teraz idzie?

- Całkiem nieźle.

- Gdzie mieszkasz? - Mel próbowała unikać wzroku Lisy. - Jakie masz plany na przyszłość?

- Z planowaniem dawno już dałam sobie spokój - wycedziła Lisa z wymuszonym uśmiechem. - Nigdy nic dobrego z tego nie wychodzi.

- Czym się teraz zajmujesz? - Ponad głową Lisy Mel zauważyła, że Ben uporczywie patrzy w ich stronę.

- Uczę plastyki i wyrobu ceramiki w takiej małej, prywatnej szkole w Montpellier - wyjaśniła. Ściskając Mel za ramię, dodała: - Tylko, proszę, nie mów Benowi, gdzie jestem.

Tymczasem Ben wstał i przedzierał się ku nim, roztrącając krzesła. Znalazł się przy nich, zanim Mel zdążyła cokolwiek odpowiedzieć. Lisa zbladła.

- Cześć, Ben - bąknęła, nie podnosząc oczu.

- Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś. - Posłał Mel przelotne spojrzenie, a kącik jego ust lekko drgnął.

- Przyszłam tu nie ze względu na nas, tylko dla Mel i Joanny - tłumaczyła Lisa.

- Liso... - Wyciągnął do niej rękę, ale się cofnęła. - Może byśmy porozmawiali? - Spojrzał przeproszającym wzrokiem na Mel.

- Nie jestem gotowa do żadnej rozmowy! - wykręciła się Lisa.

- W porządku, a można wiedzieć, kiedy będziesz?

- Może nigdy. - Nadal nie chciała popatrzeć mu w oczy.

- Aha, rozumiem. - Ben przysunął się bliżej do Mel, tak że stykali się ramionami. - Czy mam... To znaczy... przesłać rzeczy do domu twego ojca?

- Możesz je zatrzymać. - Lisa, nie odwracając głowy, kurczowo zaciskała dłonie. - To, co było mi potrzebne, zabrałam.

Benowi policzki płonęły. Zacisnął pięści i przybrał chłodny, nieprzyjazny wyraz twarzy.

- To i lepiej - rzucił i skierował się ku drzwiom, które energicznie otworzył i zamknął za sobą.

- O Boże! - Lisa przygryzła wargę.

Natomiast Mel, trzymając stronę Bena, z oburzeniem zaatakowała Lisę:

- Musiałaś być taka złośliwa i agresywna? Zamiast zapiekać się w złości, pomyśl raczej o przebaczeniu.

- Nie przyszło mi do głowy, że on tu może przyjść - tłumaczyła się Lisa.

- To chyba oczywiste! Gdyby nie on, Joanna umarłaby od razu tam, na miejscu.

- Pani Sherman?

Mel błyskawicznie odwróciła się w stronę głosu. Za nią stali dwaj mężczyźni w sportowych kurtkach narzuconych na koszule. Nosili też krawaty, w których czuli się wyraźnie skrępowani.

- Słucham?

Niższy wyciągnął do Mel rękę i przedstawił się:

- Nazywam się Jim Trotter, a to Bill Faraday. Pani na pewno nas sobie nie przypomina, ale jesteśmy pracownikami pogotowia z tej karetki, która zabrała pani przyjaciółkę po wypadku.

- Bardzo nam przykro, że nie udało się jej uratować - dodał Faraday. - Faktycznie wyglądało to kiepsko, ale nie wolno nigdy tracić nadziei. Ben Andersen odwalił kawał dobrej roboty.



- On zawsze to robi - przejął pałeczkę Trotter.

- Miło mi, że panowie przyszli - podsumowała Mel. - Pani Mayfield na pewno byłaby panom wdzięczna.

- Chcieliśmy tylko powiedzieć to pani... - Obaj równocześnie okrecili się na pięcie i Odmaszerowali. Tymczasem Lisa wróciła do poruszanego uprzednio tematu.

- Byłam niemiła dla Bena, prawda?

Mel odpowiedziała na jej słowa ledwie lekkim uniesieniem brwi.

- Musiałam chyba przez chwilę nie być sobą - Lisa tłumaczyła się dalej, czując, że się zaraz rozplacze. - A Ben patrzył na mnie z taką nienawiścią...

- Dziwisz mu się? - Mel odwróciła się w stronę, gdzie stał Gordon Mayfield pograżony w rozmowie z Karen i Wendy - ekspedientkami z księgarni Joanny. Za nim dojrzała samotnego i opuszczonego Jamiego, któremu łzy ściekały po policzkach.

- Lepiej pójdę - zdecydowała, ale widząc żalowaną, zmalretowaną Lisę, na pożegnanie dotknęła jej ramienia i rzuciła: - Trzymaj się!

Po wyjściu ostatniego żałobnika w pokoju pozostały tylko resztki jedzenia.

- Chyba już pojedę - zaanonsowała Mel, bo po nagłym wtargnięciu Lisy i rejteradzie Bena czuła się wytrącona z równowagi.

- Dziękuję ci, Mel. - Gordon otoczył ją ramieniem. - Nie tylko za dzisiejszy dzień, ale w ogóle za wszystko.

- Proszę, zostań, zjesz z nami kolację - nalegał Jamie, uczepony jej ręki. Oczami szukał u ojca aprobaty.

- Tak, zostań koniecznie! - poparł go Gordon. - Będzie nam bardzo miło.

- Dziękuję, to ładnie z waszej strony. - Mel potrząsnęła głową. - Ale dziś wieczorem chcę być sama.

- Jak myślisz, chyba mama byłaby zadowolona? - dopytywał się Tom. - Ona zawsze lubiła imprezy.

- Myślę, że ładnie ją pożegnaliśmy - zgodziła się Mel.

Gordon uściskał ją i poradził:

- Pamiętaj o tym, co było dobre, a zapomnij, co było złe.

- Oczywiście, że będę pamiętać o dobrych chwilach. Zawsze tak robię - zapewniła Mel, machając im ręką na pożegnanie.

Zmęczona i przygnębiona, dotarła wreszcie do parkingu. W ostatnich tygodniach sta-

nowczo miała za dużo mocnych wrażeń. Zbyt wiele razy musiała robić rachunek sumienia i przywoływać obrazy z przeszłości. Teraz zaś pragnęła jak najszybciej znaleźć się w ramionach Bena i odczuwać tylko to, co czuła, będąc z nim.

Ben czekał na nią na parkingu. Wsparty o jej samochód, szklanym wzrokiem patrzył przed siebie.

- Jedźmy stąd! - zażądał.
- Dokąd mamy jechać?
- A czy to ma jakieś znaczenie?
- Absolutnie żadnego.

## — 25 —

Mel nie od razu się zorientowała, dokąd Ben ma zamiar jechać. A kiedy się domyśliła, niezadowolona położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie, Ben, tylko nie tam! - protestowała. - Jeszcze do tego nie dojrzałam. Z tym miejscem wiąże się za dużo przykrych wspomnień!

- Prędzej czy później będziesz musiała stawić im czoło.

- Przecież dopiero pochowaliśmy Joannę! - Ponownie poraził ją koszmar tego wydarzenia. Z tryskającej życiem przyjaciółki pozostało już tylko ciało powoli rozkładające się w drewnianej skrzyni pod warstwą ziemi!

Żałowała, że pod wpływem impulsu zgodziła się na tak pośpieszny wyjazd z Butterfield. Próbowала sobie wmówić, że nie o to jej chodziło, bo przecież nie miała zwyczaju robić takich rzeczy. Jednak podczas gdy Ben próbował wyprzedzić ciężarówkę, a niebo nad górami przybierało coraz ciemniejszą barwę, wydawało się jej, że słyszy głos Joanny: „Najwyższy czas, żebyś zaczęła takie rzeczy robić!”.

Ben ujął jej rękę.

- Musisz pozbyć się upiorów przeszłości - powiedział stanowczo. - To tak jak z koniem, który cię zrzucił: musisz jak najprędzej na powrót go dosiąść. Im dłużej będziesz zwlekać, tym trudniej ci to przyjdzie.

- Tak, ale...
- Potraktuj ten wypad jako terapię dla nas obojga.
- Terapię?

- Widzisz, dla mnie to nie jest tylko kwestia Lisy.

- A kogo jeszcze?

- Mojego kuzyna. - Zanim zdążyła spytać, kogo ma na myśli, pospieszył z wyjaśnieniami: - Pamiętasz, co mi powiedziałaś, kiedy Lisa po raz pierwszy odeszła? Że jeśli nie mogę czegoś zmienić, muszę się z tym pogodzić.

- Ale ja nie jestem jeszcze gotowa! - powtarzała z uporem.

- To źle, bo już prawie jesteśmy na miejscu.

- No, dobrze - westchnęła, wzruszając ramionami i krzywiąc usta w bezwiednym uśmiechu.

Zrobili zakupy w małym narożnym sklepiku w Hallams Cove, a stamtąd pojechali prosto do domku Mel. Wysiadając z wozu, spojrzała na wygwieżdżone niebo z cienkim sierpem księżyca. Kiedy ostatni raz przebywała w tych lasach, trwała jeszcze ciepła pora roku, a teraz ostre powietrze przeszło jej płuca.

Ben rozniecał ogień w kominku, podczas gdy ona smażyła befsztyki, kroїła chleb, pomidory i cebulę, rozlewała wino do kieliszków z zielonego szkła. Potem Ben zapalił świece; w ich świetle mroczny pokój od razu stał się przytulniejszy. Blask księżyca kładł się srebrną smugą na powierzchni zamarzającej wody jeziora.

Przysunęli kanapę bliżej kominka, aby siedzieć tuż przy ogniu. Mel miała wrażenie, że była tu przed kilkoma dniami, a tymczasem od wypadku Joanny upłynęły już dwa tygodnie. Jeszcze niedawno pluskały się z Joanną w jeziorze niczym delfiny, w świetle księżyca stały nago na pomoście, śmiały się i popijały szampana, jak serdeczne przyjaciółki. Te czasy miały już nigdy nie wrócić.

Mel wzruszyła się i wybuchnęła płaczem. Ben wziął ją za rękę.

- Co się stało, Mel, najdroższa?

- Chciałabym... tak bardzo...

- Czego? Żeby to się nigdy nie zdarzyło?

- Nie tylko o to chodzi, ale także o to, żebym mogła coś wyznać rodzinie Joanny. Chciałam im powiedzieć, lecz nie mogłam, bo tak strasznie cierpieł... Chciałam... prosić ich o przebaczenie.

- Za co?

- Bo to wszystko była moja wina! Gdybym nie namówiła jej na wycieczkę, żyłaby do dziś. Przecież ona nie znosi... to znaczy, nie znosiła... chodzenia po górach!

- Była dorosłą kobietą - tłumaczył Ben. - Na pewno nie byłabyś w stanie jej zmusić do zrobienia czegoś, czego by nie chciała. To, że wybrała się z tobą na wycieczkę, było jej własną decyzją.

- Nie podjęłaby jej, gdybym się przed nią nie wypląkiwała, że jestem samotna i nie mam tak licznej rodziny jak ona!

- Nikt nie może mieć do ciebie o to pretensji.

- Oprócz mnie samej. Czuję się odpowiedzialna za to, co się stało.

- A czy czułabyś się winna, gdyby Joanna miała wypadek samochodowy w drodze do ciebie?

- Nnnn... nie wiem.

- Albo gdyby spadła ze schodów, zanim doszłaby do samochodu?

- W pewnym sensie tak.

- Ależ w ten sposób można oskarżać każdego! Na przykład twojego męża, bo to on kupił tę działkę od mojej matki. A może moja matka jest winna, bo mu ją sprzedała?

- Och, nie bądź śmieszny! - Nerwowo okręcała na palcu pierścionek z szafirem.

- Nie jestem bardziej śmieszny niż ty, kiedy próbujesz wziąć odpowiedzialność za coś, czego nie popełniłaś. - Wziął ją pod brodę i uniósł jej twarz. - Nie jesteś niczemu winna!

- W głębi duszy jestem.

- Nic podobnego! - Pocałował ją w szyję poniżej ucha. - Pamiętasz, co Joanna napisała do ciebie, kiedy zmarł twój mąż?

- „Kurz będzie nadal gromadził się w kątach, księżycyca będzie przybywało i ubywało, kwiaty będą kwitły i więdły, i rzeki będą płynęły do morza” - przypomniała Mel.

- O, właśnie - podchwycił Ben. - Dopiero w ostatnich tygodniach zdałem sobie sprawę, jak prawdziwe są te słowa. Akurat w tym wypadku mam doświadczenie, bo zwykle obwinałem siebie za wszystko, co kiedykolwiek złego zaszło. Dopiero życie mnie nauczyło, żeby nie płakać nad rozlanym mlekiem, tylko starać się, aby ci, których straciliśmy, pozostali nadal z nami.

Zdjął buty i skarpetki; opierając głowę na poduszkach, ułożył się tak, aby ogrzać boscie stopy przy ogniu. Mel zauważyła, że brakuje mu dwóch palców u lewej nogi. Pieszczotliwie dotykając jego stopy, wyczuła nierówną przestrzeń w miejscu, gdzie powinny znajdować się palce. Uprzedzając jej pytanie, Ben wyjaśnił:

- Odmroziłem je.

- Kiedy?

- Trzy lata temu.

- A gdzie?

- W Himalajach.

- Czy to boli?

- Czasami, ale rzadko.

Zacisnęła palce wokół jego kciuka, tak jak robią niemowlęta.

- Czytałam ostatnio książkę o wyprawie na Mount Everest w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym. Tam chyba jest podobnie jak na Alasce: straszne mrozy, porywiste wiatry i można nabawić się wysokościowej choroby.

- Nawet dużo o tym wiesz - przyznał pobłaźliwie. Przysunął się do niej i podniósł kieliszek tak, aby przeświecały przezeń płomień. - Teraz jednak wolę siedzieć tu z tobą.

Roześmiała się.

- A pamiętasz, jak zszedłeś z gór nad przełęczą Fitcha i zastałeś tam mnie?

- No pewnie.

- Ale byłeś wtedy wściekły!

- Nie wściekły, tylko zaskoczony.

- Jak się taka stara baba dostała tak wysoko, prawda?

- Nic podobnego.

- Takie miałam wrażenie.

- A wiesz, jakie ja miałem? - Uśmiechnął się. - Do tamtego spotkania nie zdawałem sobie sprawy, jaka jesteś piękna. Twoje włosy w słońcu błyszczały jak złoto. - Położył rękę na jej głowie. - W bajkach księżniczki zawsze miały włosy jak złota przędza. Dopiero kiedy cię zobaczyłem tamtego dnia, zrozumiałem, co to oznaczało.

Poczuła ucisk w żołądku i ciarki biegnące po skórze niczym prąd elektryczny.

- Tamtego popołudnia widziałem ciebie i Joannę w wodzie - dodał Ben.

- Domyśliłam się, że ktoś był wtedy w domu. - Z bólem serca przywołała wspomnienie chwil beztroskiej radości wśród tęczowo mieniących się kropel.

Położył rękę na jej piersi.

- Kiedy na ciebie patrzyłem, myślałem tylko o tym, jaka jesteś piękna.

- I nadal tak myślisz?

- Nie. Teraz wiem, że jesteś jeszcze piękniejsza.

Jego pocałunek miał smak wina. Mel ścisnęło się gardło i postanowiła na zawsze zacho-

wać w pamięci tę chwilę: ciepło jego dłoni, płomyki świec, światło księżyca i płomienie tańczące w kominku. To było tak, jakby piła szampana z cudzego kieliszka. Tym razem jednak to szampan nie należał do niej, ale kieliszek tak.

Wpiła się w jego usta, trawiona obłądną żądzą. Objęła go tak, że wyczuwała pod palcami wypukłości kręgów i łopatek. Rozpięła mu koszulę, z lubością obserwując grę światła i cieni na nagim torsie. Wodziła palcami po żebrach, nasłuchiwała bicia serca. „Ben... Ben...” - powtarzała w myśli, rozkoszując się jedwabistą gładkością jego skóry. Przyłożyła usta do jego brzucha i z zamkniętymi oczami wchłaniała zapach.

Ben przebierał palcami w jej włosach; Mel wyczuwała każde poruszenie jego ciała, zwłaszcza rozgrzanego miejsca między udami. Wiedziała, że nie może odzyskać ani wskrzesić latami tłumionych pragnień i uczuć, które kiedyś świadomie odrzuciła. Dobrowolnie zrezygnowała z płomiennej miłości kochanka w zamian za obojętne pocałunki męża. Teraz, mając pewność, że zmarnowała tyle lat życia, zażądała podnieconym głosem:

- Kochaj mnie!

- Z przyjemnością! - oświadczył, rozpinając guziki liliowej bluzki i ściągając z niej przez głowę kremową, jedwabną halkę. W blasku ognia płonącego na kominku załśniły jej obnażone piersi. Ben ukląkł między nogami Mel i wodził rękami po jej ciele; dłużej zatrzymał się na biodrach, piersiach i ramionach. Nachylił głowę i pocałował jedwabiste włoski na wzgórku Wener-y - Moja piękna Mel! - mruczał namiętnie.

Mel zanurzyła palce w jego włosach i przyciągnęła go do siebie. Uniosła biodra, aby łatwiej dał upust swemu pożądaniu, a kiedy był już w niej, łązy pociekły jej po twarzy.

- Tak! - dyszała, wyginając się w łuk. - O, tak, tak!

Następnego dnia pozostali dłużej w łóżku, gdyż wciąż nie mogli się sobą nacieszyć. Odrywali nawzajem najpilniej strzeżone skarby swoich ciał z taką pewnością, jakby sami je stworzyli.

- Pójdziemy dziś na wycieczkę - oznajmił Ben przy śniadaniu, robiąc grzanki dla Mel, a ona nałala do szklanek sok pomarańczowy i włączyła maszynkę do kawy.

- Czy to ma być pytanie, czy komunikat? - próbowała się asekurować.

- Dobrze więc, wyrażę to inaczej. - Urwał, rzucając spojrzenie na łagodne zbocza gór po drugiej stronie jeziora. - Wybieram się na wycieczkę. Czy chcesz mi towarzyszyć?

- Tak, ale mówiłam ci, że nigdy się nie zmuszę, aby tam pójść.

- Mel! - Wziął ją w ramiona i trzymał mocno.

- Nie mogę! - Potrząsała głową. - Nie po tym, co się wydarzyło.

- To się wydarzyło nam obojgu. - Nagle posmutniał. - Musisz się przemóc. Oboje musimy!

- W ramach terapii?

- Tak. - Obsypywał ją namiętными pocałunkami raz po raz. - Ale ten nie należy do terapii. Ten też nie. Ani ten...

- No więc co one znaczą?

Wydawała mu się miękka i wilgotna, przesycona pożądaniem.

- Miłość.

To słowo miało swoją wymowę: lekkość bańki mydlanej i równocześnie ciężar betonu. Odczuwała coś podobnego do miłości, ale na wszelki wypadek położyła Benowi palec na ustach.

- Dobrze wiesz, że to jest miłość - powtarzał z uporem. Mel z uśmiechem kręciła przecząco głową.

- Powiedz, że mnie kochasz! - naciskał.

Przypominał jej dziecko domagające się natychmiastowego spełnienia swoich zachcianek. Rzeczywiście w porównaniu z nią wydawał się dzieckiem, bo był od niej szesnaście lat młodszy. Równie dobrze mogłaby być jego matką. Wiedziała, że żadna miłość nie zdoła przekreślić różnicy wieku między nimi, więc taki związek nie miał szans powodzenia.

- Kocham cię! - wymówiła mimo wszystko.

Miała zupełnie inne ciało niż Lisa, mniej jędrne i bardziej zużyte. Mimo to, chociaż przytłaczała ją przeszłość, wydawała się dziwnie świeża. Także na podniety zmysłowe reagowała nie tak, jak Ben oczekiwał. On jednak czuł się zaszczycony, że okazała mu względy. Był młodszy od niej, ale co z tego? Grunt, że Melissa mu się podobała i że ją kochał. Wsparty na ladzie kuchennej zagadnął:

- Jesteś gotowa?

- Na co?

Uwielbiał tę jej precyzję w formułowaniu zdań.

- Na wszystko.

- Oczywiście.

- Ale na razie chodzi tylko o spacer. - Już otwierała usta, pewnie żeby stworzyć kolejną przeszkodę, ale ją ubiegł: - Musisz się przemóc, Mel. Będę przy tobie, a zresztą ja też muszę się

przełamać. Możemy więc wspierać się nawzajem.

- Dobrze, niech będzie!

Ben się obawiał, że ta wyprawa okaże się dla Mel czymś w rodzaju Drogi Krzyżowej, której kolejne stacje wyznaczają miejsca szczególnie mocno tkwiące w jej pamięci. Pierwszym takim krytycznym punktem mogłoby być rozwidlenie ścieżek, w którym szlak turystyczny oddalał się od rzeki i piał się w górę. Następnie musieliby minąć miejsce, z którego zobaczyła Bena i zaczęła wzywać pomocy. Dalej na szlaku znajdował się feralny odcinek, gdzie Joanna zsunęła się z krawędzi urwiska. A gdyby doszli jeszcze wyżej - niechybnie natrafiliby na punkt ponad linią drzew, gdzie poprzednio obie kobiety odpoczywały i podziwiałały krajobraz, zanim wyruszyły w drogę powrotną.

Ben ścisnął mocno rękę Mel.

- Nie bój się! - powtarzał. Dotykając palcami wnętrza jej dłoni, zauważył, że Mel miała cieplejszą i gładszą skórę niż Lisa.

- Spróbuję - obiecała z dziecinną ufnością.

Ruszyli w drogę, prosto w słońce, które opromieniało wierzchołki drzew. Mimo bezchmurnego nieba i słonecznej pogody w lesie panował chłód. Pod drzewami leżały ścięte przymrozkiem liście. Na rozwidleniu dróg, kiedy mieli oddalić się od rzeki i rozpocząć wspinaczkę pod górę, Ben znów mocno ścisnął jej rękę.

- Jestem z tobą - zapewnił.

Doszli do miejsca, z którego uprzednio dojrzała go biegnącego. Zachwiała się i stanęła.

- Nic z tego nie będzie - kręciła głową. - Nie mogę zapomnieć pustki, jaką poczułam po tym okropnym zdarzeniu. Oglądałam się za siebie, jakby Joanna dalej szła za mną, chociaż wiedziałam, że to niemożliwe.

- Idź naprzód! - nakazał Ben. Sam jednak zatrzymał się w miejscu tragicznego upadku Joanny. Młode drzewko, które złamała, obsuwając się ze zbocza, rosło nadal, tylko ślad po pęknięciu zabił się pod wpływem wiatru i deszczu.

- Ostrzegałam ją! - wspominała Mel ze ściągniętą twarzą. - Już w tamtą stronę szła za blisko krawędzi. Uprzedzałam ją, że to może być niebezpieczne, zwłaszcza że poprzedniej nocy padało i ziemia była mokra.

- Rzeczywiście, pamiętam, że padało.

- Próbowałam nawet ją powstrzymać. - Mel przywoływała z pamięci coraz więcej faktów. - Złapałam ją za kurtkę i odciągałam od krawędzi.



- Naprawdę, przestrzegałaś ją?

- Tak.

- Ale w drodze powrotnej i tak zrobiła to samo? - Ben uśmiechnął się, zawadiacko zadzierając głowę. - A widzisz! I gdzie tu twoja wina? Ja jej nie widzę!

- Masz rację - oświadczyła, przygryzając wargę. Ben nagle zmienił temat.

- Popatrz, widziałaś kiedyś coś takiego?

- Co to było?

- Sowa śnieżna. W dzień rzadko je można spotkać. A spójrz tam! - Wskazał ręką ledwo dostrzegalny cień między drzewami. - Jeleń! Pełno ich w tych lasach. A wiesz, co szczególnie mi się w tobie podoba? - Otoczył ją ramieniem. - To, że czujesz się tu szczęśliwa!

Im wyżej się wspinali, tym bardziej robiło im się gorąco, tak że musieli zdjąć kurtki. Przy końcu szlaku, gdzie zbocze łagodniało, a strumień spływający z wyższych partii gór rozlewał się wodospadem wśród głazów - stanęli, z wysiłkiem wchłaniając w płuca czyste i rześkie powietrze.

- Jak tu pięknie! - wykrzyknęła Mel, zrzucając plecak. - Tak pachniał pewnie pierwszy dzień stworzenia.

Ben też uwolnił się od plecaka i porwał ją w ramiona. Pieszczotliwie szturchał ją nosem w szyję, a ręce wsunął pod warstwy odzieży i wędrował po plecach. Majstrując przy bluzce, obnażył jej bark i pocałował.

- No nie! - jęknęła. - I jak mam się teraz tobie oprzeć?

Rozpiął więc wszystko, co miała na sobie, i zamknął w dłoniach jej piersi. Zadrżała z rozkoszy i Ben czuł, jak pod jego dotknięciami miękła, wyzbywała się smutku, rozluźniała się i zachowywała coraz swobodniej. Zanim związał się z Mel, zawsze czuł, jakby stał na uboczu, a z nią stawał się częścią gry.

Przed wyruszeniem w drogę powrotną Mel wzniosła ramiona ku słońcu w dziękczynnym geście na poły pogańskim, na poły pierwotnym. Zauważyła, że Ben się temu przygląda, więc roześmiała się w głos, a potem zarzuciła mu ręce na szyję.

- Tak wiele mi dałeś! - powiedziała z głową opartą na jego ramieniu.

O drugiej nad ranem leżeli w łóżku, trzymając się za ręce i rozmawiając. Ben przyniósł butelkę schłodzonego szampana i dwa kieliszki.

- Dlaczego nie masz dzieci? - zapytał nagle.

- Bo mój mąż nie chciał - rzuciła lekko, tak jak zawsze odpowiadała na to pytanie.

- I on o tym decydował?

Otwierała już usta, żeby przytaknąć i zrzucić całą odpowiedzialność na Erica. Nie chciała jednak oszukiwać Bena, więc wyznała szczerze:

- Nie, to była moja decyzja.

- A dlaczego? - drażył dalej, wyczuwając, że może dowiedzieć się czegoś ważnego.

- Wiesz, wolałabym o tym nie mówić... Ale kiedyś, już dawno, usunęłam ciążę.

- Zrobiłaś coś takiego? - Nie posiadał się ze zdumienia.

- Musisz się nauczyć, że nie każdy jest taki, na jakiego wygląda. - Pieszczotliwie pogładziła go po policzku.

- I to ci przeszkodziło w założeniu rodziny? Chyba że ta skrobanka była spartaczona.

- O ile wiem, nie była. - Sięgnęła pamięcią do czasów, które wydawały się zamierzchłe. - Chodzi o co innego. Skoro nie mogłam dać dzieci człowiekowi, którego kochałam, to nie chciałam ich mieć z nikim, a zwłaszcza z Erikiem.

- Ale gdybyś chciała, ciągle jeszcze mogłabyś urodzić, prawda?

- Myślę, że tak, ale już dawno mi się odechciało.

Trzeba było aż tylu lat, aby ze zdziwieniem stwierdzić, że głęboka rana została zagojona. Zawdzięczała to mężczyźnie tak młodemu, że sam mógłby być dzieckiem, którego nigdy się nie dochowała. Przypomniła sobie podróż poślubną i pobyt na wzgórzach Florencji, gdzie fruwały małe brązowe motylki, a ona podtykała Ericowi pęk jaskrów i przerażona myślała: „Co też najlepszego zrobiłam? Co ja, na Boga, zrobiłam?”.

Teraz zaś, trzymając w dłoni rękę Bena, z satysfakcją stwierdzała, że tamte czasy minęły bezpowrotnie. Udało jej się natomiast wypracować zastępczy model życia, w którym nie ma miejsca na rozpamiętywanie braku potomstwa. I dobrze jej z tym.

Ben dolał szampana i odwrócił się do Mel. Wtedy poprosiła:

- Opowiedz mi o swoim kuzynie.

Łyknął trochę szampana i oszroniony kieliszek umieścił na swoim gołym brzuchu. Chłodne krople rozlewały się na boki i ściekały mu na pierś, wywołując gęsią skórę.

- To był świetny chłopak! - zaczął. - Miewał różne oryginalne pomysły. Potrafił na przykład o północy kąpać się w jeziorze albo urządzić piknik na brzegu i upić się białym winem, które wykradł z barku... - Zamrugał gwałtownie, bo łzy cisnęły mu się do oczu. Otarł je ręką. - Rządził się własnymi prawami, i to właśnie u niego cenilem. A potem...

Mel chwyciła go za rękę.

- Potem zginął - dokończył Ben.

- Co się stało?

- Wydarzył mu się zupełnie idiotyczny wypadek! Wypróbowywaliśmy nowe rowery i chcieliśmy zjechać z górki prosto na główną ulicę. Rory jechał pierwszy i zamiast zwolnić na zakręcie, przyspieszył i wpakował się pod koła nadjeżdżającej ciężarówki. Nie widziałem tego, ale słyszałem i nigdy nie zapomnę okropnego dźwięku. Ani tej ciszy, która po nim nastąpiła.

- Nie było w tym twojej winy, Ben.

- Po śmierci Rory'ego... - Ben mówił dalej, jakby nie słyszał jej komentarza - ...ciotka Evie tak się załamała, że przykro było na nią patrzeć. Skończyło się na tym, że przedawkowała leki.

- Za to też nie możesz się obwiniać. Ben przybrał dziwny wyraz twarzy.

- Wiedziałem, że nie jestem winien śmierci Rory'ego. Natomiast jeśli chodzi o ciotkę...

- Przecież gdy chodziło o Joannę, sam powiedziałeś, że w ten sposób można by oskarżać każdego! Tu jest podobnie: To twój kuzyn wpadł na pomysł, żeby szybko zjechać z górki. Ty nie miałeś z tym nic wspólnego.

Ben nabrał w płuca powietrza.

- Naprawdę próbuję w to uwierzyć. Ze wszystkich sił.

- A więc dlatego wspinasz się na najwyższe szczyty i pracujesz jako ochotnik w Górskim Pogotowiu Ratunkowym? Nie dałeś rady uratować Rory'ego, próbujesz w zamian uratować resztę świata? - Czule ujęła go pod brodę. - Och, ty mój Benjaminie!

Odwrócił głowę i całował delikatne żyłki po wewnętrznej stronie jej nadgarstka, a potem pieścił czule miejsca między palcami.

- Czemuś taka smutna? - zagadnął. Odpowiedziała mu półuśmiechem, więc nie ustępował: - Chyba mnie kochasz, prawda?

- Tak - wyszeptała ledwo słyszalnym głosem. - Zawsze będę cię kochać.

- Ja ciebie też.

- Ale jutro muszę wracać.

- Och, nie rób tego!

- Muszę, bo urządzam wystawę.

- To jedź pojutrze! - błagał. Nie chciał jeszcze wracać do normalności; pragnął choć trochę odwlec porządkowanie swego poplątanego życia.

- Naprawdę nie mogę.

- Zadzwoń do asystentki i wymyśl jakąś bajeczkę, że na przykład złamałaś nogę albo złapałaś grypę; proszę cię, Mel, nie wyjeżdżaj tak prędko!

Skończyło się na tym, że Mel istotnie zatelefonowała do Carli i uprzedziła ją, że wskutek stresu wywołanego śmiercią Joanny nie jest jeszcze w stanie skupić się na pracy; przyjedzie o dzień później.

Mel zdążyła już zapomnieć, że istnieją na świecie tak proste i nieskomplikowane radości. Gdzieś tam, w dole, zostało Butterfield, a wraz z nim zobowiązania i oczekiwania. Na razie upajała się każdą chwilą pobytu w górach, z dala od świata, gdzie toczyło się normalne życie. Postanowiła wszystko odsunąć na bok i żyć dniem dzisiejszym, zapominając o istnieniu Joanny w przeszłości, a Lisy teraz. Wiedziała, że wkrótce czeka ją powrót do pracy i smutek samotnego bytowania. Chciała przynajmniej przez te kilka drogocennych godzin nacieszyć się Benem i uważała, że ma do tego prawo. Już samo przyglądanie się, kiedy spał, przynosiło jej niezwykle doznania. Zachwycała się owalem jego twarzy, zarysem ust, a nawet świeżym zapachem potu czy dotknięciem kosmyka włosów. „Ben jest częścią mnie” - myślała i miała nadzieję, że tak pozostanie na zawsze.

Mimo to następnego poranka, który miał zapoczątkować ich ostatni dzień spędzony razem, leżąc przy boku Bena, nie mogła się opędzić od natrętnej myśli, że nie ma prawa do takiego szczęścia. Deszcz monotonnie bębnił o szyby, a przez okno widać było wierzchołki uginających się drzew.

Ben oparł się na łokciu, nachylił się, aby ucałować jej pierś i ujął ją za rękę.

- Kocham cię - wyznał.

Jakże chętnie odpowiedziałyby mu, że kocha go bardziej, niż byłby w stanie sobie wyobrazić.

- Kamień w twoim pierścionku ma dokładnie taki sam kolor jak twoje oczy.

- To samo powiedział mi mężczyzna, który mi go dał.

- Kto to był? - zapytał Ben, a gdy milczała, dodał: - Chyba nie twój mąż?

- Eric nie uznawał prezentów w postaci biżuterii.

- Cóż on w takim razie uznawał?

- Tylko siebie.

- A ciebie kochał?

- Nie wiem.

- To po co za niego wyszłaś?

- Ponieważ był samotny jak ja i zupełnie inny niż facet, z którym byłam przedtem.

- Ten, od którego dostałaś pierścionek?

- Tak. Eric był przeciętny aż do obrzydliwości, bardzo zwyczajny i stereotypowy.

- Tym bardziej się dziwię, jak mogłaś wyjść za kogoś takiego!

- Bo w tej jego zwyczajności upatrywałam dla siebie bezpieczną przystań. Fascynowało mnie jego przywiązanie do tradycji. Poza tym... - Tu się zawahała.

- Co poza tym?

- Mój ojciec... W ogóle moi rodzice byli już dość starzy, kiedy się urodziłam. Ojciec w ogóle nie chciał dziecka i chyba naprawdę mnie nie kochał. - Mel ubarwiła tę część wypowiedzi wymuszonym śmiechem. - Wiem, że to głupie, ale kiedyś wróciłam ze szkoły z obrazkiem, który namalowałam na zajęciach praktycznych. Przedstawiał zielonego konia, z czego byłam bardzo dumna, i pochwaliłam się ojcu: „Popatrz, tatusiu, jakiego konika namalowałam!”. A on nawet nie podniósł wzroku znad swojej książki, tylko rzucił chłodno: „Konie nie są zielone!”. Byłam kompletnie załamana.

- Co za drań! - Od razu pomyślał o Lisie i o tym, jak ona odnosiła się do swego ojca.

- Myślę, że się spodziewałam, że Eric zastąpi mi ojca. Że ktoś mnie nareszcie pokocha i da mi drugą szansę na miłość.

- Mnie też dałaś taką szansę.

- Naprawdę? - zapytała takim głosem, jakby za chwilę miała się rozplakać.

- To prawda, Mel. - Pocałował ją, nie wypuszczając z rąk jej piersi. Pod jedną z nich namacał bliznę. - A to skąd się wzięło?

- Kiedy byłam mała... mogłam mieć może siedem lat... spadłam ze zjeżdżalni akurat na wózek dziecięcy, który zostawiła jakaś mamusia.

Wciąż pamiętała towarzyszący temu wypadkowi płacz, krew, przerażoną twarz matki i zszywanie rozdartego ciała.

- Ciekawe, że blizna nie znikła do dziś - zauważył Ben.

- Rany się goją, ale blizny zostają.

W świetle wpadającym przez okno włoski na rękach Bena połyskiwały jak płynny miód. Mel je przyglądała i obwodziła palcami jego paznokcie, zatrzymując się dłużej przy bliznie na kciuku. Pieściłaby tak nie tylko jego palce, ale i całe ciało.

- Przez całe życie tłumiłam w sobie wszystkie uczucia - wyznała nagle. - Wydawało mi się, że wypada panować nad sobą, żeby nie sprawiać innym kłopotu.

- Tak samo jak ja.

- Jednak niedobrze jest za bardzo się w sobie zamykać. U Joanny najbardziej podobała mi się jej otwartość: do każdego wychodziła z sercem na dłoni. To dawało jej satysfakcję, pozwalało iść śmiało przez życie.

- Ale pewne sprawy lepiej zachowywać dla siebie.

- Na krótką metę tak, tylko że tajemnice potrafią jątrzyć jak wrzody. Przecięcie wrzodu przyniesie ulgę. A jeśli tego nie zrobimy, potrafi zakazić cały organizm.

Mel nie powiedziała tego, lecz pomyślała, że czasem brzemie tajemnicy bywa za ciężkie, aby je znieść.

- A czy ten człowiek, który dał ci pierścionek, wiedział o twojej ciąży? - indagował Ben.

- Dopóki żyliśmy ze sobą, był dla mnie wszystkim - odpowiedziała wymijająco. - Oddałabym za niego życie, ale on, podobnie jak mój ojciec, nie chciał mieć dzieci. Dlatego nawet nie wspomniałam mu o ciąży, bo nie mogłabym urodzić dziecka, którego nie kochałby własny ojciec. Dlatego wołałam je... zabić!

Ostatnie słowa wymówiła ze łzami w oczach. Nigdy dotąd nie wypowiedziała ich na głos, ale tu, na brzegu jeziora, w szumie deszczu i huku wiatru zabrzmiały melodramatycznie, wręcz histerycznie!

- Czy to był chłopiec, czy dziewczynka? - zapytał cicho Ben. Nie odpowiadała od razu, więc ją ponaglił: - Melisso...

- Nie wiem.

- Nie powiedzieli ci?

- Nie pytałam. - Mel gwałtownym ruchem otarła twarz. - Nie chciałam wiedzieć. Pragnęłam jak najprędzej mieć tę sprawę załatwioną.

- To całkiem zrozumiałe i wybacalne.

- Co? Że zabiłam dziecko, które nosiłam pod sercem, tylko dlatego, że czułam się niešťeśliwa?

Mel doskonale pamiętała, jak pochłaniała odległość dzielącą ją od Nowego Jorku, byleby jak najszybciej znaleźć się w miejscu, gdzie mogłaby zwinąć się w kłębek, jak ranne zwierzę w swej norze. Jeszcze dziś odczucia jej były tak świeże, jakby wszystko stało się przed tygodniem. Pamiętała chwile rozpaczliwego osamotnienia, kiedy chciała wyrwać z piersi serce i odrzucić niczym zgniłą śliwkę.

- A ojciec dziecka nigdy się o tym nie dowiedział?

- Przecież to by nic nie zmieniło!

- Jesteś tego pewna? - Podniósł do ust rękę Mel, a wilgotne włosy zaczesał jej za uszy. Gesty te odebrała jako dowód miłości.

- Tak, absolutnie pewna - stwierdziła, przekonana o słuszności swoich słów. Nie mogła jednak przewidzieć, co by się stało, gdyby została w Nowym Jorku zamiast uciekać w popłochu. Gdyby tamtego feralnego popołudnia dokonała innego wyboru. W gruncie rzeczy chciała powiadomić Galena o dziecku, lecz zbyt mocno utrwalił się w jej pamięci obraz własnego bezdusznego ojca, więc nabrała wody w usta. Ukradkiem spakowała walizkę i ruszyła przed siebie, gdzie ją oczy poniosły, ale zaliczając kolejne kilometry drogi wiodącej na północ, zdawała już sobie sprawę, że popełnia katastrofalny błąd.

- A wiesz, gdzie jest ojciec tego dziecka?

Mel przytaknęła.

- Może poczułabyś się lepiej, gdybyś powiedziała mu o tym jeszcze teraz?

- To nie jest ten rodzaj człowieka - ucięła krótko.

- Skąd ta pewność? Może od tamtej pory się zmienił? Ludzie się zmieniają. Często tak bywa.

- Inni tak, ale nie on.

- Nie możesz tego wiedzieć. Przecież ty też przez ten czas wiele zrozumiałaś, dlaczego nie mógłby on? - Ben ujął jej nadgarstek i ucałował go po wewnętrznej stronie. - Kocham cię - oświadczył.

- Ja ciebie też. - Dotknęła palcem jego warg.

\*

Przy śniadaniu Mel napomknęła:

- Masz może jakieś wiadomości od Lisy?

- Nie, żadnych.

- Ona ciągle nie może przejść do porządku dziennego nad tym, co się stało.

- Jak długo jeszcze to może trwać? - Nalał Mel i sobie kawy. Potrząsając głową, zaczął pić powoli. - Miałem dużo czasu, żeby przemyśleć jej odejście. Wiem, że lżej zniosłaby stratę dziecka, gdybym wtedy był przy niej. No, ale mnie nie było. Wielu mężów znajdowało się w podobnej sytuacji i z tego powodu ich żony nie uciekały! Przecież wróciłem, kiedy tylko mogłem, chciałem jej pomóc, być z nią, ale nie potrafiliśmy dojść do porozumienia. - Przypomniał

sobie twarz Lisy, wykrzywioną złością i rozpaczą. Na samą myśl o tym serce mu się ścisnęło. - Zawsze uważałem nasze małżeństwo za idealne. Okazało się jednak, że nie wytrzymało próby.

- Ludzie różnie reagują na ból.

- Ucieczka nie jest dobrym rozwiązaniem. - Wciąż bolało go wspomnienie agresywnego tonu, jakim Lisa zwracała się do niego na pogrzebie Joanny. „Nie jestem jeszcze gotowa do żadnej rozmowy” - powiedziała, z czego wywnioskował, że przypuszczalnie nigdy do tego nie dojrzeje, a zatem między nimi wszystko skończone. - Lepiej nie mówmy o tym.

## — 26 —

Mel obudziła się z piekielnym bólem głowy i sztywnym karkiem. Mało tego - skończyła jej się kawa i zepsuła terma do podgrzewania wody, więc nie mogła wziąć prysznicy.

Kiedy obolała i wściekła dotarła do galerii, tam także nie było ani odrobiny kawy, nawet rozpuszczalnej. Po dłuższych poszukiwaniach znalazła dwie torebki ekspresowej rumiankowej herbatki, której używała Carla. Ale zaczynać dzień od rumianku, mając w perspektywie mnóstwo roboty? O nie, piękne dzięki!

Ponieważ zdecydowała się włączyć do eksponatów wystawy sprezentowaną jej kiedyś rzeźbę, zatytułowaną „Pierwsza miłość” - zabrała ją do galerii i postawiła na biurku. Zauważyła migające światełko automatycznej sekretarki, przyłożyła więc słuchawkę do ucha, przytrzymując ją ramieniem, i jednocześnie przerzucała leżące na biurku papiery. Nagrane wiadomości miały na ogół charakter służbowy, z wyjątkiem jednej, pozostawionej przez agenta Kosłowskiego: „Zaszły pewne zmiany. Proszę do mnie zadzwonić, pora obojętna”.

Cóż się mogło stać? Pewnie Kosłowski znów zgrywał ważniaka i próbował narzucić jeszcze trudniejsze do przyjęcia warunki. Tylko tego potrzebowała do szczęścia! Ze złością wybrała numer telefonu komórkowego agenta i gdy odebrał, przedstawiła się.

- Na pewno pani nie będzie tym zachwycona - uprzedzał z góry.

- Proszę próbować.

- Lepiej od razu niech się pani weźmie w garść.

- Założmy, że już się wzięłam.

- Hmm... jak by to powiedzieć?

- Najlepiej po angielsku. - Machinalnie sięgnęła po kubek kawy, której wcale nie było.

- No więc, krótko i węzłowato: Galen chce odwołać.



- Co chce odwołać?  
- Wystawę.  
- Pan chyba żartuje?  
- Sam chciałbym, żeby tak było! - westchnął ciężko agent. - Próbowałem mu przetłumaczyć, żeby się nie wygłupiał, ale z równym skutkiem mógłbym gadać do ściany.

Mel ścisnęła słuchawkę tak kurczowo, że mało jej nie zgmiotła.

- A czy podał jakiś konkretny powód?  
- Wczoraj coś mu się uroiło...  
- Na jakiej planecie żyje ten człowiek? - przerwała, rozważając w myśli różne możliwe warianty.

- ...że niby tu, w Vermoncie, dzieje się coś dziwnego!  
- Myślę, że nic się nie stanie, jeśli go zignoruję.  
- Wie pani, jaki on jest!  
- Owszem, wiem. - Wiedziała aż nazbyt dobrze!  
- Może pozwać panią do sądu.  
- Ja jego też. - Mel zastanowiła się nad następnym posunięciem. - Załóżmy, że nie otrzymałam od pana żadnej wiadomości.  
- Przypuszczam, że wtedy nie mógłby wiele zdziałać.  
- Nie chcę nawet wspominać o kosztach, jakie już poniosłam, organizując wystawę. Z pewnością dobrze pan wie, ile trzeba zainwestować, a jeśli pan nie wie - może pan to sobie wyobrazić.

- Proszę mi powiedzieć... - zaczął agent i zakaszłał. - Nie wiem, co mu może jeszcze strzelić do głowy.

- Czyżby brał prochy? - Nigdy dotąd nie ćpał, nawet nie palił trawki!  
- Skąd, tak mi się tylko powiedziało! Przynajmniej o tym nie wiem. Ale na przykład wczoraj wpadł do mnie wieczorem i bredził coś o miłości, sensie życia i innych takich duperek: jak zmarnował swoje życie i nie potrafił znaleźć odpowiedniej kobiety... Takie pleple, aż tu nagle, ni z gruszki, ni z pietruszki, nachylił się do mnie i wypalił, że chce pojechać do Vermontu i osobiście wycofać swoje prace.

- Niech tylko spróbuje! Podpisaliśmy umowę.  
- Wiem, przypomniałem mu o tym. Jestem całkowicie po pani stronie, chciałem tylko panią przestrzec.

- Dziękuję.

- Oj, sądząc po głosie, musi pani być bardzo zmęczona! - Agent nagle zmienił ton.

- Żeby pan wiedział, że jestem zmęczona jak jasna cholera! Napracowałam się jak głupia przy urządzaniu tej wystawy, a na domiar złego zmarła moja najlepsza przyjaciółka. Naprawdę nie jest mi teraz potrzebna taka awantura!

- Bardzo mi przykro z tego powodu - powiedział z autentyczną troską.

- Coś podobnego, agent, który ma serce? - ironizowała Mel. Zastanawiała się chwilę, co ma powiedzieć. - Czy jest możliwe, aby zechciał pan porzucić swoje szczytne zasady dla kobiety, której pan nigdy w życiu nie widział?

- Głowę bym dał, że dzielna z pani kobitka, a także warta grzechu... Oczywiście wszystko zależy od tego, czego pani ode mnie zażąda.

- Na przykład numeru telefonu Galena.

- Przykro mi, ale nie mogę. Wie pani, tajemnica zawodowa...

- A nie mógłby pan ten jeden raz o niej zapomnieć?

- I tak mimochodem rzucić kilka losowo wybranych liczb?

- O, właśnie, coś w tym rodzaju!

- A jeśli przez przypadek utworzą one numer jego telefonu, nie będzie to moją winą?

- Skąd, takie rzeczy się zdarzają...

Mel niecierpliwie naciskała klawisze. Po tamtej stronie telefon dzwonił i dzwonił, ale nikt nie odbierał. Po dwunastu dzwonek włączała się automatyczna sekretarka. Mel nie chciała się nagrywać, tylko odkładała słuchawkę, ponownie wybierała numer i rozłączała się, słysząc głos z taśmy. Powtarzała te czynności przez pięć minut. Wyobrażała sobie, że Galen leży w łóżku i rzucając soczystą wiązanekę, sięga po stojący na podłodze kieliszek. Co prawda ostatnio przeczytała wywiad, w którym deklarował, że już nie pije, więc kto wie... Na zdjęciu w gazecie nie był do siebie podobny. Miał schludną, lnianą marynarkę narzuconą na liliową koszulę, włosy związane w kucyk i nawet był ogolony. Dziennikarka ręczyła, że w stojącej przed nim szklance na pewno jest woda, a nie wódka, bo sama mu nalewała!

„No odbierz wreszcie, do jasnej cholery!” - zaklinała Galena w myślach, kiedy po raz dwudziesty szósty wybierała jego numer. „Rychło w czas, dupku żołądny!” - mruknęła, kiedy w końcu ktoś podniósł słuchawkę.

- Co za dureń...? - warknął po tamtej stronie głos Kosłowskiego.

- Patentowany dureń - odpowiedziała spokojnie, chociaż lekka zadyszka przebijająca w

jego głosie chwyciła ją za serce.

- Kto mówi?! - wrzasnął. - Wypaść się nie można?

- Z tej strony Sherman, z Galerii Sztuki Vernon.

- To po kiego grzyba pani zawraca mi głowę o tej porze?

- Ponieważ pański agent właśnie mnie powiadomił, że zamierza pan odwołać wystawę, nad którą pracowałam półtora roku albo i dłużej. Uprzedzam, że puszczę pana z torbami, jeśli przez najbliższe trzy tygodnie spróbuje pan ruszyć którąś z tych rzeźb.

- Te prace to moje ukochane dzieci! - oświadczył z emfazą.

- Niech pan sobie daruje patetyczny bełkot! - Nowy atak bólu w prawej skroni wyprowadził Mel z równowagi.

- Słucham?

- Jakie znów dzieci? Chyba pan żartuje!

- A niby dlaczego miałbym żartować?

- Przecież te prace są na sprzedaż, prawda? - Inaczej by z nim rozmawiała, gdyby nie ten przenikliwy, pulsujący ból głowy. - Gdyby ktoś chciał dobrze za nie zapłacić, chyba mu pan nie odmówi?

- Oczywiście, że nie.

- No więc, panie Kosłowski, nie wiem, jakie zwyczaje panują w pańskiej Polsce, ale u nas nikt swoich dzieci nie sprzedaje, gdy mu akurat braknie pieniędzy.

Kosłowski nie od razu znalazł odpowiedź, dopiero po dłuższej przerwie odburknął:

- Przecież muszę z czegoś żyć!

- Ja też, a w urządzenie wystawy wpakowałam tyle czasu i pieniędzy, że nie ma mowy o jej odwołaniu.

- Ale ja muszę to zrobić!

W tle, gdzieś poza jego domem, dał się słyszeć odgłos policyjnych syren.

- Wcale pan nie musi - oponowała Mel, ale przycisnęła słuchawkę szczelniej do ucha, bo się jej wydawało, że słyszy także czyjś senny głosik, szepczący jego imię.

- Właśnie że tak, bo pani jest jakaś... dziwna. Nie jestem pewien, czy moje prace będą bezpieczne w pani rękach.

- Bezpieczne czy nie, panie Kosłowski, nie ma pan wyboru. Proszę pamiętać, że podpisał pan umowę.

Znów nastąpiła chwila ciszy, po której Galen zaczął z innej beczki:

- Przepraszam, zapomniałem pani nazwiska...

- Sherman.

- Z Vermontu?

- Zgadza się.

- Czyśmy się już kiedyś nie spotkali? Pani głos wydaje mi się jakiś...

- Nie.

- No więc ostrzegam panią, pani Sherman z Vermontu, że...

Mel już straciła cierpliwość.

- A ja pana ostrzegam, panie Koslowski z Nowego Jorku, żeby pan nie wycinał mi numeru, bo ja panu wytnę lepszy!

Z trzaskiem odłożyła słuchawkę i przypomniała sobie stare porzekadło Joanny: „Nie dajmy się zwariować”. A pewnie, że się nie da! Gdyby Koslowski rzeczywiście spróbował wejść do galerii i zabrać którąkolwiek z rzeźb, do czego naturalnie był zdolny - dałaby mu odpowiednią odprawę. Wyobrażała już sobie tę wrzawę w mediach, gdyby między nią a sławnym rzeźbiarzem doszło do bójki. To byłby temat do fotoreportaży i szokujących nagłówków gazetowych! Zrobiłaby sobie wspaniałą reklamę, chociaż może nie taką, jakiej by sobie życzyła.

Serce biło jej jak młotem, a w skroniach pulsowało. Zbyt dobrze pamiętała ten głos, ze środkowoeuropejskim akcentem, zwłaszcza w wymowie samogłosek, jawnie lekceważący wszystko i wszystkich. Początkowo posądzała go o zwykły egoizm, gdyż nie od razu się domyśliła, że u niego była to raczej obsesja wynikająca z lęku przed odrzuceniem, podobnie jak upodobanie Bena do wysokogórskich wspinaczek.

Tymczasem wróciła Carla, przynosząc kawę, ciasteczka, jabłka i dwie kanapki z baru „U Chrisa”.

- Może zjemy szybki lunch? - zaproponowała.

- Na razie mam ochotę przede wszystkim na kawę. Moja się skończyła i czuję wyraźny niedobór kofeiny.

- Trzymaj! - Carla pchnęła w jej stronę słoiczek. - Nie miałam wczoraj czasu dokupić świeżej.

- Nieważne. - Mel zanurzyła łyżeczkę w słoiku. - Dopiero wpół do dziesiątej, a ja się czuję, jakbym już przepracowała cały dzień. Słuchaj, masz pojęcie, co za sensacja? Koslowski chce storpedować naszą wystawę!

- Żartujesz, prawda? Nie myślisz chyba, że...

- ...Kosłowski mógłby być takim idiotą?! - wykrzyknęły obie równocześnie, a Mel dodała niepewnie: - A może mógłby?

- Zatem od dziś aż do dnia wernisażu, gdy tylko ktoś otworzy drzwi, będę myślała, że to on! - Carla dramatycznie przewróciła oczami i wyrecytowała, parodiując wschodnioeuropejski akcent: - „Oddajcie mi moje rzeźby!” Wiesz, ale byłyby jaja, gdyby on rzeczywiście tu Wpa-rował i zaczął wynosić eksponaty!

- Przez pierwsze pięć sekund mogłoby to nawet być zabawne - zgodziła się Mel. - Ale na dłuższą metę nieco męczące.

- Tylko pomyśl, jaka to byłaby dla nas reklama! - rozważała Carla, sącząc kawę. - Choć się zastanawiam, jakim sposobem taki wariatunio może funkcjonować w normalnym świecie.

- Bo ja wiem, czy wariatunio? Może tylko oryginał...

- Tak czy owak współczuję jego żonie czy żonom, jeśli miał ich więcej. Osobiście wolę przewidywalnych facetów niż oryginałów. - Carla spojrzała na zegarek, zdjęła nogi ze stolika i wsunęła je w pantofle. - Weźmy na przykład mojego poczciwego Waltera. Codziennie zachowuje się tak samo. Mogę dokładnie przewidzieć, co zrobi: pięć po siódmej rano ziewnie, potem wstanie i pójdzie parzyć kawę dla siebie i dla mnie. Przyniesie mi filiżankę i spyta, jakie mam plany na dzień dzisiejszy. Później spojrzy w lustro, zacznie się klepać po głowie i głośno zastanawiać: „Kochanie, czy ja czasem nie zaczynam łysieć?”. Oczywiście zapewniam go, że nic podobnego, a wtedy wyciąga z szafy garnitur i zadaje kolejne pytanie: „Kochanie, jaki krawat mam włożyć?”. Jasne, że mu doradzam, codziennie ten sam. Czasem mam ochotę mu powiedzieć: „Wally, daj sobie spokój, weź dzisiaj wolny dzień, wracaj do łóżka i pokochamy się porządnie!”, albo podsunąć mu krawat ręcznie malowany w gołe baby, który sześć lat temu dostał na gwiazdkę od swego brata Hermana. Nie mówię tego jednak, bo wiem, że dostałby szau.

- Carla...

- Tak?

- Czy cię nigdy nie korciło...

- Żeby co? Żeby uciec z wędrownym cyrkiem? - Carla przechyliła głowę, rozważając ten wariant. - Może raz czy drugi myślałam o czymś takim, ale to było wtedy, kiedy jeszcze mieszczałam się w różowe trykoty nazywane cekinami. Potem na ogół wyrasta się z takich pomysłów.

- To znaczy, że z tego wyrosłaś?

- Tak, inaczej nazywa się to dojrzwaniem, godzeniem się z losem albo akceptacją swoich ograniczeń. - Carla cmoknęła Mel w czubek głowy. - Ty natomiast ciągle jeszcze śmiało mogłabyś nałożyć różowe trykoty! - Oplukala w zlewie kubek po kawie i odłożyła go na osączarkę do naczyń.

- No, to bierzemy się do roboty, bo otwarcie wystawy coraz bliżej!

Mel usiadła przy telefonie, aby odbyć rutynowe rozmowy. Zaproszonym gościom przypominała, że obiecali przybyć; zapewniała, że ich oczekuje, a przed dziennikarzami roztaczała wizję prawdziwej sensacji i podkreślała, że wystawa będzie obsługiwana przez reporterów najpoczytniejszych czasopism. Po każdym telefonie coraz dotkliwiej odczuwała nieuchronność zbliżającego się wernisażu.

Około wpół do ósmej wieczorem była kompletnie wyczerpana. Carla godzinę wcześniej wyszła do domu, gdzie czekał na nią mąż; Mel chciała zostać sama, aby mieć trochę czasu dla siebie i móc delektować się spokojem pustej galerii. Przechadzając się po korytarzach, próbowała spojrzeć na ekspozycję oczami zwiedzających, aby się upewnić, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Zatrzymała się przed rzeźbą zatytułowaną „Zwiastun”, wykonaną w bloku granitu z jednej strony wypolerowanym, a z drugiej celowo niewykończonym. Artysta umieścił tę monumentalną figurę w granitowej misie z wodą. Dzięki stale drgającej tafli uzyskiwał efekt zmiennych refleksów światła na płaszczyznach rzeźby, co znakomicie zwiększało siłę jej oddziaływania.

- Jakie to piękne! - powiedziała na głos Mel. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie dotknąć rzeźby i wyczuć pod palcami różnice między powierzchniami gładkimi a chropowatymi. To, że osobnik pokroju Galena Kosłowskiego mógł być autorem takich dzieł, uważała za prawdziwy cud. Może właśnie jego brak konsekwencji, nieprzewidywalność i ciągle zmiany nastroju pozytywnie wpływały na proces twórczy?

W biurze zadzwonił telefon, więc Mel pobiegła go odebrać.

- Galeria Sztuki Vernon, słucham.

- Nie przypuszczałem, że panią jeszcze o tej porze zastanę - oznajmił bez wstępów znajomy głos. Mel na moment zatkało, ale zaraz odpaliła:

- To po co pan dzwonił, panie Kosłowski?

- Chciałem sprawdzić, czy wyeksponowała pani moje prace tak, jak sobie życzyłem.

- Trzymaliśmy się ściśle pańskich instrukcji - zapewniła. - Przynajmniej raz będzie pan

zadowolony.

- Przynajmniej raz?

- Przecież wiem, że niełatwo pana zadowolić.

- To prawda. - Odczekał chwilę, a potem dodał szorstko: - Przepraszam, że dziś rano zachowałem się tak nieuprzejmie. Przymierzam, że nie zepsuję pani wystawy. - Odkasznął i dookończył: - Mam nadzieję, że wszystko wypadnie bardzo dobrze.

- Moja w tym głowa, żeby wypadło jak najlepiej! - pocieszyła go Mel. - Musi się udać!

Chętnie kontynuowałyby rozmowę, ale Galen się rozłączył, więc odłożyła słuchawkę i wyszła z biura. Idąc do samochodu, poczuła, że nieoczekiwanie zrobiło się wyraźnie chłodniej. Zawsze zaskakiwało ją ostre przejście jesieni w zimę, typowe dla klimatu Nowej Anglii, gdzie w ciągu jednej nocy zamarzały kałuże, a szron okrywał chodniki i krawędzie rynsztoków.

W domu na Maple Street zaparzyła sobie kawy. Gdy podnosiła kubek do ust, przyszedł jej do głowy pewien pomysł. „Do diabła z zapasami!” - powiedziała sobie i zeszła do piwnicy, gdzie na specjalnych stojakach leżakowały rzędy butelek wina. Eric zawsze mawiał, że przechowuje je na wyjątkową okazję. Mel, wyjmując jedną butelkę, pomyślała, że całe jej życie z Erikiem składało się z takiego właśnie wyczekiwania na wyjątkowe okazje, które nigdy nie nadchodziły. Tym razem postanowiła, że nie ma na co czekać i zaniósła wino do kuchni.

Nalała sobie szklanekę, wyszukała w lodówce coś do zjedzenia i wykręciła numer telefonu Bena. Niestety, linia była zajęta; Mel z lubością wspominała zapach ciała Bena, jego uśmiech, płonące namiętnością oczy i pieszczotę jego rąk.

W salonie usiadła wygodnie na kanapie i otuliła się wełnianym szalem przewieszonym przez oparcie. Na kominku płonął ogień, na ścianie zaś nad gzymsem wisiał portret dostojnej babci Sherman, której oczy patrzyły na świat z chłodną pogardą.

To do niej podobny był Eric, zawsze taki chłodny, opanowany i zapatrzony w siebie! Mel wyzywającym gestem dopełniła szklanekę, pociągnęła długi łyk i podniosła się z kanapy. Gwałtownie zerwała ze ściany portret babci, wyniosła go do hallu, otworzyła drzwi frontowe i wyrzuciła obraz na dwór, w ciemność. Dostyc już miała pogardliwego spojrzenia tej starej wiedźmy - niech te jej nienawistne ślepia taksują sobie teraz łuszczącą się farbę na werandzie!

Pobiegła do sypialni, gdzie między dwoma oknami wisiała ikona w błyszczącej sukience. Zdjęła ją ze ściany, wróciła do salonu i powiesiła ikonę na miejscu po portrecie babci. Pasowała idealnie. Mel zaraz poczuła się lepiej. Żałowała tylko, że nie zrobiła tego wcześniej, jak jej Joanna kiedyś radziła. Powinna była zdobyć się na odwagę i przyznać, że bardzo czuła się zubo-

zona w tym nudnym, nieciekawym małżeństwie, choć rzekomo miało ono stanowić dla niej zabezpieczenie.

Teraz, kiedy zrobiła pierwszy krok, dlaczego miała na nim poprzestać? Zmiana obrazów to mało, jutro zaangażuje ekipę remontową, zmieni kolor ścian, może zasłony... Joannie na pewno spodobałoby się takie radykalne przemeblowanie.

Kiedy znów opadła na poduszki kanapy, przyszło jej do głowy, że mogłaby pomyśleć o przeprowadzce. Jeszcze tydzień temu nie brałaby pod uwagę takiego rozwiązania - dziś wydawało się jej nie tylko możliwe, lecz nawet konieczne.

Zadzwoił dzwonek u drzwi, a zaraz za nim rozległo się pukanie kołatką. Czyżby to był Ben? Mel z uśmiechem na ustach wyszła do przedpokoju i otworzyła drzwi.

Na werandzie, a ściślej mówiąc na krawędzi jej najwyższego schodka, jakby zrywała się do lotu, stała Lisa. Trzymała torbę przewieszoną przez ramię, na głowie miała czerwoną, włóczkową czapkę nasuniętą głęboko na uszy, a na szyi taki sam szalik. Wyglądała jak mała dziewczynka, choć przeczyły temu ostre rysy twarzy.

- Wiem, że już jest późno... - zaczęła się usprawiedliwiać. W żółtym świetle lamp ulicznych widać było strugi marznącego deszczu.

- Ależ wejdź! - przerwała jej Mel, dręczona poczuciem winy. Co by się stało, gdyby Lisa poczuła intensywny zapach miłości, emanujący z niej jak aromatyczny olejek? Albo gdyby mogła dostrzec ślady pocałunków okrywających jej całe ciało?

Lisa uprzejmie przepuściła Mel i zamknęła drzwi.

- Wyglądasz na zmęczoną. Może napijemy się kawy? - zaproponowała, co świadczyło, że czuła się w domu Mel jak u siebie. Zachowywała się tak jak dawniej, jak najlepsza przyjaciółka albo nawet córka.

- Świetnie, bo akurat zaparzyłam świeżą - odpowiedziała Mel. - A co ty tu robisz?

- Przyszłam, żeby rozmówić się z Benem.

Mel zauważyła u Lisy nowe zmarszczki i jeszcze bardziej zapadłe policzki. Poczuła wyrzuty sumienia tak silne, że krew uderzyła jej do twarzy.

- Aha, rozumiem - mruknęła.

- Przemyslałam to, co mi powiedziałaś - wyjaśniała Lisa, podsuwając Mel kubek kawy. - Chciałam przeprosić go za moje zachowanie na pogrzebie Joanny.

Mel podniosła kubek do ust. Miała na końcu języka, że też ma prawo do szczęścia, ale zamiast tego zapytała:



- No i co on na to?

- Nie chciał nawet słuchać. - Lisa wzruszyła ramionami. - Był naprawdę wściekły. - Nerwowo obracając łyżeczkę, dodała jeszcze: - Przecież znasz Bena.

- No, tak.

- Wiesz, że on rzadko się gniewa, ale tym razem miał powody. Chciał mi pomóc dojść do siebie po stracie dziecka, tylko nie wiedział, jak się do tego zabrać. Ja zaś zamiast docenić jego wysiłki, robiłam wszystko, aby mu dokuczyć.

- Powiedziałaś mu o tym?

- Próbowałam. - Lisie drżały wargi. - Przechodziłam straszny kryzys, załamanie nerwowe i postępowałam głupio, czasem nawet okrutnie. Na przykład celowo nie zabrałam ze sobą prezentów od niego z czasów narzeczeństwa, żeby zrobić mu przykrość. Nic dziwnego, że przestał mnie kochać. Gdybyś widziała, jak na mnie patrzył! Tak chłodno i obco, jakbym była przezroczysta...

- No więc co zamierzasz robić?

- A co mi zostało? Muszę spojrzeć prawdzie w oczy, a prawda jest taka, że w ogóle nie powinniśmy byli się pobierać!

- Naprawdę w to wierzysz?

Przez chwilę Lisa patrzyła tępo przed siebie. Potem cicho zaprzeczyła:

- Ależ skąd, oczywiście, że nie!

- Jeszcze ciągle go kochasz?

- Tak - wykrztusiła po krótkim milczeniu. Mel odchrząknęła.

- No więc... - zaczęła, choć obawiała się, że dalszy ciąg nie przejdzie jej przez gardło, bo z żalu krajało jej się serce.

- Więc co?

- Powiedz mu o tym.

- Nie będzie chciał słuchać. - Lisa ukryła twarz w dłoniach. - Wiesz, jaki jest zawzięty. Kiedy się przy czymś uprze, żadna siła go nie ruszy. Zajął stanowisko... i będzie go bronił.

- A czy można zająć stanowisko w sprawie miłości?

- Co takiego?

- No, gdy chodzi o miłość... czy w tej sprawie można zajmować nieprzejednane stanowisko? - Mel rozejrzała się za krzesłem i usiadła. - Raz spróbowałam, ale żałowałam tego przez całe życie. To była najgłupsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjęłam, i niektóre jej skutki do

dziś ciągną się za mną.

Lisa patrzyła na nią ze zdziwieniem, aż między jej czarnymi brwiami powstała zmarszczka.

- Radzę ci, nie podejmuj pochopnych decyzji - mówiła Mel. - Jeśli kochasz Bena, to nie odchodź od niego. - Powiedziała to szczerze, chociaż czuła, że każdym słowem wbija gwóźdź do trumny swojej miłości.

- Kiedy on powiedział, że już kogoś ma... Zresztą wyczytałam to z jego oczu - poskarżyła się Lisa. - Wiesz, jaki błysk w oku mają ludzie zakochani!

- Tak, wiem. - Wiedziała także, jak reaguje na dotknięcie kogoś takiego, jaki zapach wydziela jego skóra i jak pięknie wygląda jego twarz, gdy się nad nią pochyla. Czy może z tego zrezygnować?

Lisa uniosła szczupłe ramiona i zaraz je opuściła.

- Nie mogę wrócić do Butterfield, przynajmniej przez jakiś czas. Tym razem jednak nie chciałam odejść bez pożegnania. Nie odezwałam się do ciebie wcześniej, bo obawiałam się, że mnie skrytykujesz, a tego bym nie zniosła. Ale... - Pogrzebała w torbie i wyciągnęła jakiś przedmiot owinięty w bibułę. - Przyniosłam ci jedną z moich najnowszych prac.

Mel ostrożnie ją odpakowała i spod warstw bibuły wyłoniła się owalna, ceramiczna misa pokryta błyszczącą polewą w kolorze miodu. Brzegi naczynia odginały się jak burty łodzi: na zewnątrz, potem do wewnątrz, tworząc podwójne obramowanie. Konstrukcja wyrobu była prosta i mocna, co potęgowało jego piękno.

- Ach! - zachwyciła się Mel.

- Podoba ci się? - spytała Lisa z niepokojem. - Jest w zupełnie innym stylu niż to, co dotąd robiłam.

Mel obracała naczynie w dłoniach, czując, że do oczu cisną się łzy.

- Chcesz wiedzieć, co sędzę o tym jako fachowiec?

- O, tak, proszę...

- Powiedziałabym, że nareszcie odnalazłaś swoje powołanie. To jest po prostu zachwycające! - I Mel, puszczając wodze wyobraźni, organizowała już w myślach przyszłą wystawę, kampanię reklamową, ogłoszenia w prasie i tym podobne... - Masz więcej takich kawałków?

- Trochę... - zawahała się Lisa. - Przyzwyczyłam się do bardziej ozdobnych modeli, ale ostatnio zaczęłam eksperymentować z najprostszymi formami. Doszłam do wniosku, że dodatkowe ozdoby są zbędne, bo surowiec jest piękny sam w sobie.

- A w jaki sposób uzyskujesz ten nadzwyczajny połysk polewy?

- Doszłam do tego metodą prób i błędów. Dopiero po trzykrotnym wypaleniu skorupy nabierają życia.

- Ależ to cudowne! - Mel obracała w rękach kształt prosty, a zarazem funkcjonalny.

- Zrobiłam jedną także dla Bena, ale nie chciałam mu jej dać, kiedy byłam w domu, żeby ze złości nie rozbił misy o ścianę. Może byś ty, Mel, przetrzymała tę ceramikę przez jakiś czas, a potem mu ją zaniósła?

- Lepiej będzie, jeśli sama mu ją zaniesiesz.

Lisa potrząsnęła głową, na której krople deszczu błyszcząły w czarnych włosach jak brylanciki.

- Właściwy moment dawno już minął.

Zadzwonił telefon. Obie kobiety wzdrygnęły się na jego przeraźliwy dźwięk, wreszcie Mel podniosła słuchawkę.

- Melissa? Mel, to ja! - Ben mówił szybko i niespokojnie. - Słuchaj, dziś wieczorem coś się wydarzyło.

- Cześć, co nowego? - zaszczębiotała Mel z udaną wesołością. - Ale wiesz, nie mogę teraz rozmawiać, bo mam gościa.

- Czy to ktoś, kogo znam?

- Nie. - W drugim końcu pokoju Lisa ze spuszczonej oczami oglądała swój prezent dla Mel. Jej zgięty kark wydawał się złożony z tak cieniutkich kostek, jak u ptaszka. - Wiesz co, zadzwonię do ciebie później. Bywaj! - Mel odłożyła słuchawkę.

- Wszystko w porządku? - zainteresowała się Lisa. Nawet się uśmiechnęła, przy czym jakby znikły worki pod oczami, a na policzkach pojawiły się dołeczki. Przez chwilę była dawną Lisą.

- Oczywiście.

- Niedługo otwierasz nową wystawę, prawda?

- W przyszłym tygodniu.

- Czy ten rzeźbiarz, Kosłowski, przyjedzie na wernisaż?

- Mam nadzieję, że nie.

- Czy ty mi czasem nie mówiłaś, że go znałaś?

- Tak, całe wieki temu.

- Wszystko jedno, to musiało być podniecające!

- Rzeczywiście.

- Na pewno potrafił cię rozweselić.

- Częściej doprowadzał do płaczu. - Mel przypomniała sobie, jak ta znajomość stale ubogacała jej życie, nadając mu głębszy sens, jakie stwarzała możliwości, ile otwierała przed nią szans. - I pomyśleć, że to miałam...

- Co takiego?

- Miałam w ręku coś wspaniałego i z tego zrezygnowałam. - W nagłym odruchu uchwyciła dłonie Lisy i mocno ścisnęła. - Liso, błagam cię, nie powtarzaj mojego błędu. Nie pozwól, aby wymknęło ci się to, co najważniejsze!

- Nie zostało mi już nic takiego, co mogłoby się wymknąć. - Lisa pozbierała swoje rzeczy, wyszła do hallu i zaczęła powoli nakładać płaszcz, a potem czapkę. - Niech więc będzie tak, jak jest. Dziękuję ci, że mi tak dzielnie... matkowałaś!

- Matek się z lekkim sercem nie porzuca... - zauważyła Mel.

Dziwiła się sama sobie, że mówi to spokojnie.

- Może się spotkamy, kiedy znów będę w tych stronach.

- Chciałabym zobaczyć więcej twoich najnowszych prac. - Mel spróbowała z innej beczki. - Chętnie pokazałabym je w mojej galerii. W ogóle myślałam o wystawie twoich ceramik, ale nie takiej, o jakiej swego czasu mówiłyśmy. Tylko musisz nazbierać tyle prac, żeby starczyło na całą własną ekspozycję.

- Ja... będę z tobą w kontakcie - wymamrotała Lisa. - Kocham cię i będzie mi cię brakowało, ale najpierw muszę wrócić do równowagi.

Serdecznie objęła Mel, po czym otworzyła drzwi, wyszła na werandę i powoli zeszła na chodnik. Jeszcze raz pomachała Mel ręką i znikła za rogiem domu.

Dopiero wtedy Mel podniosła słuchawkę telefonu.

Na werandzie świeciło się światło, a przez zasłony widać było rzęście oświetlony salon. Ben zaparkował samochód przy krawężniku i w strugach deszczu przebiegł chodnikiem dzielącym go od drzwi Mel. Kiedy mu otworzyła, z radosnym uśmiechem podążył za nią do salonu.

- Bałem się już, że cię dziś nie zobaczę! - wyznał. W tym momencie zauważył ikonę nad kominkiem i dodał: - O, widzę, że zmieniłaś wystrój!

- Powiedzmy, że przeprowadziłam drobne, lecz zasadnicze zmiany - sprostowała jakby nieswoim głosem.

- Aha, rozumiem - skwitował krótko, choć wyczuł, że w powietrzu wisi coś, czego nie mógł zrozumieć.

Mel stała w drugim końcu pokoju z poważną miną i nieodgadnionym wyrazem ciemno-błękitnych oczu; blond włosy miała ściągnięte w ascetyczny węzeł. Zresztą nie był pewien, czy chciałby się dowiedzieć, co naprawdę ma mu do przekazania.

Dreńczył się myślą o Lisie. Robił sobie wyrzuty, że źle się wobec niej zachował. Kiedy kilka godzin temu wrócił do domu, zastał Lisę pod drzwiami. Chciała przeprosić go za słowa niebacznie wypowiedziane na pogrzebie Joanny, ale nie dał jej dokończyć, tylko rzucił w twarz, że kocha inną kobietę; poraził go jednak wyraz udręki w jej oczach. Instynkt podpowiadał mu, żeby wszystko odwołać, porwać ją w ramiona, utulić i szeptać do ucha, że wszystko będzie dobrze, ale opanował się siłą woli.

- Już nigdy więcej tego nie zrobię - oznajmiła tymczasem Mel bez żadnych wstępów.

- Czego nie zrobisz? - Pod jej oczami dostrzegł ciemne cienie.

- No, tego, co z tobą...

- O czym mówisz?

- Ty i Lisa... - zaczęła następne zdanie, lecz nie dokończyła; oparła się o ścianę.

- Co to ma wspólnego z nami? - ostrożnie próbował jej pomóc.

- Wy oboje powinniście zacząć od początku.

- Nie przypuszczam - uciął chłodno, chociaż widział, ile ją kosztowało wypowiedzenie tych słów.

- Wiele o tym myślałam - zwierzała się Mel, przyciskając rękę do gardła, a błękitne oczy pociemniały z bólu. - Wciąż jeszcze o tym myślę... Nie możemy się więcej spotykać.

Gestem podniesionej ręki próbowała go powstrzymać, ale Ben nie zważając, porwał ją w

ramiona.

- Ale ja cię kocham! - przekonywał.

- To nie jest w porządku.

- Jeśli my oboje uważamy, że jest, to znaczy, że jest. - Mel na te słowa zeszywniała. -

Czyżbyś wstydziła się przyznać, że mnie kochasz?

- No wiesz! Uchowaj Boże! Ale wy z Lisą macie szansę, żeby wszystko naprawić.

- Między mną a Lisą wszystko skończone.

- Mimo to my nie możemy się więcej widywać! - powtórzyła, chociaż drżała jej broda.

- Chyba nie mówisz tego poważnie? - wyszeptał w jej włosy.

- Całkiem poważnie - westchnęła.

- Nie widzisz, że łamiesz mi serce?

- Sobie też, ale takie rany się goją. - Spojrzała na niego ślicznymi, przejrzystymi oczyma.

- Nie należymy do siebie. Ty powinieneś być z Lisą, a ja... Sama już nie wiem, do kogo należę, ale w każdym razie nie do ciebie. Jesteś taki piękny i młody, a ja o wiele dla ciebie za stara.

- A nie przeszkadzało ci, że twój mąż był o wiele od ciebie starszy? Nie rozumiem, o co ci chodzi. - Jednak choć sam sobą za to pogardzał, wiedział, że miała rację.

- To co innego. My, kobiety, jesteśmy w gorszej sytuacji.

- Gównu mnie obchodzi, ile masz lat! - warknął gniewnie.

- Teraz cię nie obchodzi, za miesiąc, za rok albo i dwa może też nie, ale później? Któregoś ranka spojrzysz na mnie i pomyślisz: „Co ta stara baba, która mogłaby być moją matką, robi w moim łóżku? Albo dlaczego nie mamy dzieci?”.

Ogarnął go strach, jakby świat się walił.

- Nigdy, nawet przez chwilę tak nie myślałem! - zaklinał się.

- To znaczy, że jesteś porządnym człowiekiem.

Coś podobnego powiedziała mu kiedyś Lisa - że pachnie porządnym człowiekiem - tylko wtedy tuliła w dłoniach jego twarz.

- Nie! - zaprotestował głośno, lecz nie był pewny, czemu zaprzecza: własnej pamięci, możliwościom czy złościwości losu.

- Na pewno chciałbyś mieć dzieci, Ben.

- Nie, jeśli ty byś tego nie chciała.

- Nieprawda! - Mel położyła rękę na oparciu fotela. - Wiesz, Ben, przedtem, kiedy do mnie zadzwoniłeś, skłamałam. Powiedziałam ci, że mam gościa i że nie jest to ktoś, kogo

znasz. A była u mnie Lisa. Powiedziała, że nie może wrócić do Butterfield, i zostawiła to, prosząc, żebym oddała tobie. - Gestem wskazała paczkę na stole za plecami Bena. - To jedna z jej najnowszych prac.

- Nie chcę tego.

- Wszystko jedno, rozpakuj!

- Proszę cię, daj spokój.

- Zrób to, Ben!

Gdy zdjął opakowanie, ukazała mu się owalna miska o zaokrąglonych kształtach przypominających jajo. Żółtko imitowała warstwa polewy innego koloru. Zestawienie dwóch faktur tworzyło całość zarazem mocną i delikatną. Ben troskliwie trzymał w dłoniach naczynie, które przywiodło mu na pamięć Lisę skupioną nad kołem garncarskim. Oczami wyobraźni widział jej rozwiane włosy, wymykające się spod błyszczących klamerek w kształcie motylków i opadające na twarz, kiedy małymi rękami modelowała mokrą glinę. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jaką artystką była jego żona.

- O Boże! - jęknął cicho, przeczuwając zmiany, jakie niósł los.

- Czy to nie jest zachwycające? Ben ważył w dłoni naczynie.

- Wszystko, co wyrabiała, było piękne, ale to jest bardziej... - zabrakło mu właściwego słowa.

- Dojrzałe? - podsunęła Mel. Ben patrzył na ceramiczną misę takim wzrokiem, jakby wmykało mu się z rąk coś wspaniałego, na przykład chmura lodowego pyłu na szczycie Mount Everestu.

- Lisa mi powiedziała, żeście się pokłócili.

- Ładnie to ujęła, bo naprawdę to ja wszcząłem kłótnię, nie ona.

- Chciałaby pogodzić się z tobą i wrócić do domu.

Dom... To znaczyłoby, że musieliby znów próbować dopasować się do siebie.

- Sama nie wiesz, o czym mówisz! - ofuknął ją ostro, ale doznał przy tym bolesnego uczucia pustki w miejscu, gdzie powinno znajdować się serce.

- Ona cię kocha - przekonywała Mel, chociaż te słowa z trudnością przechodziły jej przez gardło.

- Powiedziała ci to?

- Tak.

- Ostatnio sama miłość nam nie wystarczała.

- Daj jej szansę - prosiła Mel blada jak ściana. - A jeśli trzeba będzie - jeszcze jedną. Dotychczas wszystko działało na twoją korzyść.

- Lisa już nie jest tą samą kobietą, z którą się ożeniłem.

- A jaka mogłaby być po tym, co zaszło tego lata? - Spoglądając na pierścionek na swoim palcu, Mel dodała: - Nikt z nas nie jest już taki sam jak przedtem.

- Ale ja pragnę ciebie! - jęknął z rozpaczą Ben.

- Już ci powiedziałam, żebyś jej szukał.

- To było przedtem.

- A teraz jest potem i ty ją wciąż kochasz.

- Ja kocham ciebie!

- No wiesz, Ben!

- Moje małżeństwo z Lisą nie wytrzymało próby czasu.

- Było całkiem udane, dopóki nie straciła dziecka.

- Teraz już jest za późno! - Ben bezradnie rozłożył ręce.

- Na to nigdy nie jest za późno.

Ben podszedł do kominka i w bezsilnej złości kopnął żarzące się polana, rozsypując wokół popiół.

- A niech to!... - mamrotał, chowając twarz w dłoniach. - Niech to szlag trafi!

- Musisz ją odnaleźć, Ben, i poprosić, żeby do ciebie wróciła.

- Ale ja kocham ciebie, Mel!

- Ja ciebie też, ale... - Z trudem wydusiła z siebie te słowa. - Nie jesteśmy sobie przeznaczeni.

- Ile razy mam ci powtarzać, że między Lisą a mną wszystko skończone? Powiedziałem jej nawet, że kocham inną kobietę.

- Ben! - Mel ze złością potarła się po mokrych policzkach i ostro przywołała go do porządku. - Posłuchaj mnie, Ben! To nie żarty.

- Co takiego?

- Musisz mi coś obiecać.

- Wszystko, cokolwiek zechcesz.

- Przysięknij, że nigdy, nawet w kłótni czy gniewie, nawet gdybyś czuł się sprowokowany, nie powiesz Lisie, że mówiąc o innej kobiecie, miałeś na myśli mnie.

Ben, zaskoczony jej gwałtowną reakcją, próbował wziąć ją za rękę.



- Nie będę miał sposobności, ponieważ już nie mieszkamy razem.

- Wiem, gdzie ona jest - rzuciła nieoczekiwanie.

- Co?

- Prosiła, żeby ci nie mówić...

- To chyba dowodzi, że mam rację! - przerwał jej ostro, czując przyśpieszone pulsowanie krwi w skroniach.

- ...niemniej uważam, że powinieneś to wiedzieć - dokończyła spokojnie.

- Może lepiej nie zawodzić jej zaufania? - warknął wściekły i wypadł z pokoju, ściskając pod pachą prezent od Lisy. Nie zamknął za sobą drzwi, więc światło z salonu oświetliło schodki werandy i mokre podwórze. Przyśpieszył kroku, bo wiatr się nasilał, przyginając drzewa, i smagał ulicę strugami deszczu. Przez okno domu z przeciwka widać było wnętrze pokoju o ścianach pomalowanych na zielono i rodzinę zgromadzoną wokół stołu. Właśnie kobieta nalewała komuś kawę ze srebrnego dzbanuszka, a ktoś zanosił się serdecznym śmiechem.

Wsiadając do samochodu, Ben miał wątpliwości, czy Mel rzeczywiście powiedziała, że go kocha. Może tylko krew tak głośno pulsowała mu w skroniach, może serce biło jak młotem, a może tak się objawiało pożądanie, którego nie będzie mógł zaspokoić. Wiedział przecież, że to, co mówiła o beznadziejności ich związku, było prawdą.

Włączył silnik i odjechał od krawężnika, zrzucając tyłem wozu po mokrej jezdni. Uciekał, aby nie słyszeć więcej jej głosu i by uniknąć możliwości pojednania się.

Mel słyszała warkot silnika i widziała kręgi rzucane na drzewa przez światła jego wozu. A potem znowu zapanowała ciemność. Przypomniała sobie, że Ben, trzymając kierownicę, zawsze zabawnie odstawiał jeden palec i postukiwał nim. Przywołała na pamięć obraz jego muskularnego, okrytego bliznami ciała ze śladem jasnych włosów na brzuchu. Miała przed oczami jego twarz, wypłowiałe od słońca brwi, zmysłowe usta i błysk w oczach, gdy był szczęśliwy...

Traktowała te wspomnienia jako karę. Tak jak poprzednio pozwoliła wydrzeć ze swego łona nienarodzone dziecko - tak teraz chciała wyrzucić kochanka ze swego serca. Tylko że wtedy nie uświadamiała sobie, co traci, a teraz doskonale wiedziała, ile dla niej znaczy to, z czego rezygnuje.

Zdawała sobie sprawę, jak niesprawiedliwie urządzony jest świat. Nieraz wzdychała, że chciałaby powrócić do swojego prawdziwego życia, a przecież prawdziwym życiem było właśnie to, które toczyło się wokół niej i które, chcąc nie chcąc, musiała przeżyć. Nie miało sensu czekać na coś, co dopiero się zacznie, bo łatwo można by przeoczyć nadejście tego momentu.

Przed zamknięciem frontowych drzwi oparła się ciężko o framugę. Ben powiedział, że złamała mu serce, a co się działo z jej sercem? Prawie słyszała, jak rozpadało się w drzazgi. Ciekawe dlaczego, przecież spełniła dobry uczynek. Dlaczego przestrzeganie zasad moralnych bywa takie przykre?

Trzydzieści lat temu napisała, że czeka na prawdziwą miłość. Tymczasem od jednej uciekła, a drugą właśnie odtrąciła.

Tej nocy długo nie mogła zasnąć. Leżała z otwartymi oczami i tęskniła za Benem. Przez półotwarte okno przesączało się światło księżyca, a muślinowe firanki poruszane lekkim powiewem falowały rytmicznie jak oddychające płuca lub bijące serce. Mel miała jednak wrażenie, że ona sama jest w stanie śpiączki - niby żyje, ale co to za życie!

Kiedy w końcu zasnęła - śniła, że wyrastają jej skrzydła i niosą ją gdzieś daleko, z dala od Bena.

Ponieważ do uroczystego otwarcia wystawy rzeźb Kosłowskiego pozostało niewiele czasu, Mel była tak zaabsorbowana przygotowaniami, że nie miała głowy do myślenia o Benie. Jednak po dwóch dniach od rozstania, kiedy w słuchawce telefonicznej usłyszała jego głos, serce boleśnie zakołatało w jej piersi.

- Mel, kocham cię...

Starła się patrzeć na deszcz za oknem, w którego strugach kapały się rzeźby eksponowane na trawniku.

- Nie rób tego, Mel - przestrzegął głos w słuchawce.

- Sprowadź Lisę do domu! - zażądała kategorycznie.

Po dłuższej chwili ciszy Ben odpowiedział ostrożnie:

- Wpierw musiałbym ją odnaleźć. A jak mam to zrobić, skoro nie mam zielonego pojęcia, gdzie ona jest?

Taki sam chłód, jaki panował na zewnątrz, Mel poczuła w sercu, bo tym pytaniem Ben właściwie udzielił sobie odpowiedzi.

- Ona pracuje jako nauczycielka w prywatnej szkole w Montpellier - rzuciła szybko i odłożyła słuchawkę. Sobie zaś przykazała jak najsurowiej więcej o nim nie myśleć.

Ben początkowo nie wierzył, że Mel na serio dała mu kosza. Miał nadzieję, że jeszcze zmieni zdanie. Minął jednak z górą tydzień, a wciąż nie udawało mu się doprowadzić do spotkania. Nie odbierała telefonów, a kiedy dzwonił do galerii - asystentka odpowiadała, że szefowej nie ma lub jest zajęta. W domu nie chciała go przyjmować. Kiedyś, siedząc w jeepie zaparkowanym po drugiej stronie ulicy, zobaczył ją: wchodziła do salonu w szlafroku tak niebieskim jak jej oczy. Z lubością obserwował jej ruchy. W którymś momencie podeszła do okna i z uśmiechem przez nie wyjrzała. Jeśli nawet dostrzegła jeepa - nie dała tego poznać po sobie. Ben się zastanawiał, czy choć jedną myśl poświęciła ich krótkotrwałej miłości.

Jednak z każdym dniem coraz bardziej doceniał wagę tego, co zrobiła dla niego i Lisy, poświęcając własne uczucie. Z rozpaczą musiał także przyznać, że miała rację. Sam bowiem w głębi duszy wiedział, że taki związek, jak jego i Mel, nie ma przyszłości. Nie wątpił, że nigdy o tej miłości nie zapomni i że wywrze ona dobry wpływ na jego dalsze życie, ale teraz był już pewny, że nie ma dla niej miejsca w jego teraźniejszości.

„Montpelier” - bazgrał raz po raz w notesie. Na żółtym papierze w niebieskie linie pisał tuszem czarnym jak oczy Lisy, jak dywanik w jej mieszkaniu w Nowym Jorku. Ciekawe, gdzie on jest teraz i gdzie się podziały stół i krzesła w tym samym kolorze. Wtedy, kiedy z nią mieszkał, był dużo młodszy i szedł przez życie z nadzieją.

Montpelier, w którym przebywała teraz Lisa, leżało niedaleko - najwyżej godzinę jazdy samochodem. Dla niego było jak żarzący się ogieniek w ciemności.

Montpelier to najmniejsza spośród stolic stanów. Od czego powinien zacząć, jeśli chciał tam kogoś znaleźć, choćby teoretycznie? Przede wszystkim należało postarać się o listę prywatnych szkół w tym mieście i okolicy, których chyba nie było zbyt wiele. Po zdobyciu tych informacji pozostanie mu już tylko dzwonić od jednej szkoły do drugiej i zadawać to samo pytanie, czy na ich liście płac figuruje nauczycielka nazwiskiem Lisa Tan. Tak powinien by postąpić, gdyby naprawdę chciał ją odszukać.

A jeśli wcale nie chciał? Może wystarczyłoby napisać do niej list z wyjaśnieniami? Ale co chciał wyjaśnić? Czy to, że popełnione uprzednio błędy dadzą się jeszcze naprawić? A może to, że dopiero dzięki jednej kobiecie zdołał w pełni ocenić głębię swoich uczuć do drugiej? Na całą szerokość strony notesu napisał *Montpelier* i odwrócił kartkę.

Na następnej zaczął od nagłówka: *Droga Liso!*, ale zaraz przekreślił słowo *Droga*. Potem

rzucił na papier dwa zdania: *Chciałbym wiedzieć, gdzie jesteś i co robisz. Chciałbym, żebyś tu była ze mną.*

Przerwał pisanie i niepewnie postukiwał długopisem po zębach, nie wiedząc, co dalej robić. Przecież Lisa już raz wróciła do niego i znów odeszła, bo nie chciał wysłuchać, co próbowała mu powiedzieć.

Może właśnie takie postępowanie wpłynęło na rozpad ich małżeństwa? To, że każde z nich mówiło jakby do siebie, nie słuchając, co ma do powiedzenia partner? Dzielili wprawdzie stół i łóżko, ale nie doprowadzili do powstania prawdziwej więzi.

Tamtego wieczoru, kiedy odchodziła, spojrzała jeszcze za siebie przez ramię. Przypomniał sobie wtedy, że kiedyś zarys jej policzka i szczęki wzruszały go do łez. Teraz natomiast nie chciał nawet przyjąć do wiadomości jej zapewnień, że się zmieniła.

- Sama mi radziłaś, żebym znalazł sobie inną kobietę - wypomniał jej. - No więc znalazłem!

Jak mógł postąpić tak okrutnie?

Patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, po czym szybkim krokiem przeszła przez hall. Zamknęła frontowe drzwi i po chwili dał się słyszeć jedynie chrzęst śniegu pod kołami jej samochodu. Jemu zaś w tym momencie nie przyszło do głowy nic innego, jak tylko to, że tak właśnie wygląda koniec małżeństwa. Rozstali się spokojnie, bez pożegnania, każde poszło w swoją stronę, jakby nigdy nie łączyło ich głębsze uczucie albo jakby naprawdę nie istnieli.

Odłożył długopis, wstał od stołu i poszedł zrobić sobie kawy. Zastanawiał się, czy zmieniłoby to cokolwiek, gdyby Lisa pojawiła się w tej chwili w drzwiach. Przeczesał palcami rozwichrzone włosy, wyczuwając ich szorstkość. Przesunął ręką po policzku i namacał bliznę pod okiem. Właściwie odejście Lisy nie powinno go było zdziwić, bo i tak nie rozumiał, co w nim widziała.

Mel jednak utrzymywała, że Lisa nadal go kocha. Namawiała go, aby spróbował ją odzyskać. Usiadł więc znowu nad niedokończonym listem i wziął do ręki długopis.

*Tęsknię za Tobą, Liso,* napisał, co było prawdą. Rzeczywiście brakowało mu jej, ale czy to znaczyło, że nadal ją kocha? Czy stanowiło wystarczający powód do ratowania małżeństwa?

*Brakuje mi także naszej córki, Rosemary.*

Podniósł kubek do ust. W jego głowie od dawna krążyły słowa, które przed chwilą napisał, ale nie umiał ich sformułować. Wzbudziły w nim teraz wspomnienia o zmarłym Rorym, bystrym i energicznym chłopcu, który przed laty zginął pod kołami ciężarówki. Rory poniósł

śmierć z własnej winy, ale długo nie przestawał nawiedzać Bena w pełnych wyrzutu myślach.

*Dopiero niedawno zrozumiałem - pisał - że co się stało, to się nie odstanie. I że pozostaje nam jedynie pogodzić się z losem i nauczyć się jakoś z tym żyć.*

Przerwał, bo uświadomił sobie, że używa słów Mel, nie własnych. Czy naprawdę chciał właśnie to jej napisać? A jeśli nie to, w takim razie co? I czy w ogóle miał zamiar coś jej powiedzieć?

*Chciałbym, żebyśmy mogli zacząć od początku, wątpię jednak, czy się to uda, bo nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki.*

*Wiem, że między nami wszystko skończone i przez resztę mego życia będę musiał jakoś sobie z tym radzić. Ty także przejdziesz nad tym do porządku dziennego. Mam nadzieję, że jesteś teraz szczęśliwsza, gdziekolwiek przebywasz.*

Jeszcze raz przebiegł kartkę wzrokiem i dopisał pod spodem: *Kocham cię, Liso*. Lecz zaraz wyrwał z notesu zapisaną stronicę, zmiażdżył ją i rzucił w stronę zlewu. Potem ukrył głowę w dłoniach i zamyślił się nad ostatnim zdaniem. *Kocham cię, Liso...* Czy to prawda?

Uczucie, jakie łączyło go z Mel, było dla obojga niezwykle cenne, ale na zawsze pozostanie ich tajemnicą, o której nikt się nie dowie. Przywołał w pamięci jej obraz: długie nogi, paznokcie pomalowane różowym lakierem o perłowym połysku, palce stóp odstawiane lekko na zewnątrz, kiedy boso szła po podłodze... kręgi wyczuwalne przez skórę pleców, piersi jak dorodne owoce i rozczulającą wypukłość brzucha. A mimo to...

Jeśli kobieta, którą kochał, była Lisą, i zdołałby ją odnaleźć, powiedziałby jej, że w chwili, gdy pierwszy raz zobaczył ją w świetle świec - poczuł, że tylko ona i nikt inny, i że na zawsze pozostanie w jego życiu. Okazało się, że był w błędzie, niemniej to właśnie pragnął jej przekazać.

Powracały do niego wspomnienia Nowego Jorku zalanego strugami deszczu, rozspanej buzi Lisy przytulonej do poduszki, orlego pióra znalezionego na plaży nad jeziorem, ich ocierających się o siebie ciał i słodkich zapachów towarzyszących grze miłosnej. Z tych drobiazgów składało się szczęście, więc Ben pragnął przekonać Lisę, że było mu z nią dobrze. I choć wahał się, czy może wypowiedzieć głośno tę myśl, bardzo chciał dodać, że znów mogłoby im być dobrze razem...

Gdzieś, kiedyś, któregoś dnia... jeśli mu szczęście dopisze!

Tylko czy można dokładnie określić, jak wielka jest miłość? Czy da się nazwać coś, co w tak wysokim stopniu podlega zmysłom? Słowa powstają przecież w głowie, a miłość w sercu!

Żadne określenia nie są w stanie oddać nawet części targających nim uczuć.

Przyjrzał się jeszcze raz temu, co napisał, i stwierdził, że te słowa są niewłaściwe i nie odniosą skutku. Doszedł do wniosku, że musi istnieć lepszy sposób na wyrażenie tego, co czuje.

Zaparkował po przeciwnej stronie szerokiej, zasypanej suchymi liśćmi ulicy, przy której mieściła się szkoła „Hanson”. Za masywnymi, żelaznymi bramami, wyciętymi w wysokim murze, widać było monumentalny gmach w stylu francuskich rezydencji wiejskich z osiemnastego wieku. Po obu stronach krótkiego podjazdu prowadzącego do schodów i portalu głównego wejścia rosły bezlistne o tej porze roku kasztanowce. Pod nimi w popołudniowym słońcu skrzyły się resztki śniegu i szronu. Przez bramy zaczęły wysypywać się na chodnik grupki rozszczebiotanych dziewcząt; czekały na rodziców lub gramoliły się do zaparkowanych przy krawężniku luksusowych limuzyn. Ben opuścił szybę i przez okno wdarło się do samochodu chłodne, rześkie powietrze i piskliwe ćwierkanie dziewczęcych głosów.

Po jakimś czasie tłum dziewczynek znacznie się przerzedził i przed szkołą pozostały tylko starsze uczennice, które zawzięcie o czymś rozprawiały albo wybuchały kaskadami śmiechu. Za nimi wychodzili pracownicy szkoły, objuczeni książkami, pismami lub ciężkimi torbami. Ben domyślił się, że to pedagodzy, i miał nadzieję, że w tym gronie zobaczy Lisę.

Jeśli się nie pojawi, postanowił powrócić tu nazajutrz, a także dnia następnego. Gdyby jednak nie doszło do spotkania, zamierzał porozmawiać z sekretarką szkoły, tą samą, która przez telefon udzieliła mu informacji, że w tej placówce pracuje pani Lisa Tan jako nauczycielka wychowania plastycznego. Dowiedziałby się wtedy, w której klasie prowadzi zajęcia, i czekałby na nią na korytarzu, aż skończy lekcję. Stosował tę metodę jeszcze jako szesnastolatek, kiedy podkochał się w *cheerleaderce*, Donnie Partridge. Do dziś dech mu zapierało wspomnienie o tamtej szczenięcej miłości.

Na podest schodów przed głównym wejściem wyszedł jakiś pan i przytrzymał drzwi wychodzącej kobiecie. To była Lisa! Podniosła oczy na kolegę i położyła mu rękę na ramieniu.

Ben bez namysłu wyskoczył z jeepa i przebiegł na drugą stronę ulicy, wymijając samochody, których kierowcy ostrzegawczo na niego trąbili.

- Liso! - zawołał.

Odwróciła się i szepnęła słówko towarzyszowi, który z zainteresowaniem spojrzął na Bena, pożegnał ją ukłonem i ruszył przed siebie. Lisa powoli zeszła ze schodów.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? - spytała zdziwiona.

- Mel powiedziała mi, że tu pracujesz.

- A prosiłam ją, żeby ci nie mówiła!

- Mel jest... - przerwał na chwilę i dodał po namyśle - bardzo mądrą kobietą. Uważała, że będzie lepiej dla nas, jeśli się dowiem. Gdzie tu można wstąpić na kawę lub coś w tym rodzaju? Musimy porozmawiać.

- A czy jest coś, o czym powinniśmy mówić?

- Owszem, jest - odpowiedział z niespodziewaną stanowczością i pewnością siebie.

- No więc tu, na przedmieściu, jest taki miły lokalik - zaproponowała. - Możemy tam wdepnąć, zanim wyroją się tłumy wychodzących z urzędów.

Wziął ją pod ramię i podprowadził w stronę jeepa. Przy okazji uświadomił sobie, że po raz pierwszy od wielu miesięcy miał sposobność jej dotknąć. Wyczuł pod żakietem drobne kości, a w prawym uchu zauważył dwa lub trzy srebrne kółeczka. Nie miała ich, kiedy w zeszłym tygodniu odwiedziła go w domu, a może nie zwrócił na nie uwagi.

Lisa wskazała mu mały pasaż handlowy w podmiejskiej dzielnicy. Zaparkował jeepa na zapleczu banku, zabrał ze sobą plastikową reklamówkę i bez słowa przeszli przez szybko zapełniający się parking. Minęli wypożyczalnię filmów wideo, supermarket „A&P”, pralnię chemiczną, księgarnię i sklepik z patchworkowymi kołdrami i poduszkami. Znaleźli wolny stolik w małym barku i usiedli naprzeciw siebie. Kiedy podeszła do nich kelnerka - Ben zamówił kawę z mlekiem dla Lisy i cappuccino dla siebie.

- No dobrze, o czym chciałeś ze mną rozmawiać? - zagała Lisa.

- Chciałem ci powiedzieć... - zaczął. Nie ośmieliła go uśmiechem, co znacznie ułatwiłoby mu zadanie. Miał jednak na świeżo w pamięci nauki Mel, więc dokończył: - Chciałem cię przeprosić za to, że nie dałem ci dojść do słowa, kiedy do mnie ostatnio przysłaś.

- To prawda, nie dałeś...

Wolałby teraz znajdować się z nią gdziekolwiek indziej, a nie w tym dusznym barze, do którego przybywało coraz więcej gości.

- Powinienem był wysłuchać, co masz mi do powiedzenia.

- Teraz to już nieważne.

- Dlaczego? - poczuł się dotknięty jej obojętnością. Z jej czarnych oczu nie był w stanie nic wyczytać, kiedy odpowiedziała:

- Powiedziałeś mi, że kochasz inną kobietę.

Ben uznał, że teraz nadszedł „moment prawdy”. Od tego, co powie, zależała jego przy-

szość. Mel błagała go, aby nie wspominał Lisie o tym, co ich łączyło, ale nie miał zwyczaju przeinaczać faktów. Zazwyczaj bywał szczery.

- Ja... - Podniósł do ust filiżankę kawy, aby zyskać na czasie i odwlec nieuniknioną odpowiedź. Pomyślał o Mel, ile musiało ją kosztować stwierdzenie: „Ty i Lisa należycie do siebie...” - Powiedziałem to w złości. No i trochę za dużo wypilem.

Po jej twarzy przebiegło drżenie.

- To znaczy, że skłamałeś?

- Raczej powiedziałem to celowo, żeby ci zrobić przykrość.

- No wiesz, Ben...

- Wszystko przez to, co stało się tego lata. Wiesz, z naszym dzieckiem. Tego się nie da cofnąć.

Wyciągnął do niej rękę przez stół, przewracając swoją filiżankę kawy. Oczywiście wylała się na blat, a stamtąd na spódnie, ale nie zwrócił na to uwagi.

- Spróbujmy jeszcze raz! - zaproponował, choć nie był do końca o tym przekonany. Siedzące przy sąsiednim stole dwie kobiety z córkami odwróciły się i zmierzyły go podejrzliwym wzrokiem.

Nie od razu odpowiedziała, ale po chwili zdobyła się na krótki uśmiech.

- Sądzisz, że to jeszcze możliwe?

Czuł wzbierający w gardle żal i tęsknotę. Żałował tego, co mógł stracić, a tęsknił do błogiej niewinności początkowego okresu ich małżeństwa. Obawiał się nawet przez chwilę, czy się nie rozplącze. Może lepiej by było, gdyby nie wypowiadał tych słów, jeśli miały tylko wprowadzić niepotrzebne zamieszanie.

- Czy sądzę, że to możliwe? - powtórzył. Zaraz jednak przyznał w duchu rację Mel, bo odpowiedź miał dawno na końcu języka: - Tak, tak sądzę.

- Ależ, Ben...

- Myślałem nawet, żeby kupić działkę, na przykład nad jeziorem. Moglibyśmy zbudować tam nowy dom i zamieszkać razem. - Rozmazywał palcem kałużę kawy na stole, szukając właściwych słów.

- Bo ja wiem? Naprawdę nie wiem...

- Dobrze, mniejsza z tym. - Nie chciał już więcej drażnić tematu. Pulsowanie krwi w skroniach zagłuszało mu gwar panujący w kawiarni. - Jedno, czego naprawdę chciałbym, to żebyś wróciła ze mną do Butterfield.



- Teraz?

- Tak, choćby zaraz.

- Dlaczego?

- Ze względu na to. - Podniósł z podłogi reklamówkę, którą przyniósł ze sobą, i położył na stole.

- Co tam jest?

- Nasza pamiątka. - W jego sercu odżyły nagromadzone pokłady smutku. Wiedział, że prędzej czy później będzie musiał się z nimi uporać. Zastanawiał się, jak mogło między nimi dojść do sytuacji, w jakiej się teraz znaleźli, skoro tyle mieli w sobie miłości. - Chciałbym, żebyśmy to razem zasadzili.

W reklamówce znajdowała się kępka roślin wydzielająca słodkawo-gorzki, ziołowy aromat.

- To krzew rozmarynu - wyjaśnił załamującym się głosem. - Myślałem, żeby w ten sposób upamiętnić naszą Rosie, bo przecież rozmaryn to symbol pamięci.

W obawie, żeby nie skwitowała jego słów jakimś ironicznym komentarzem, dodał szybko:

- Pamiętasz, opowiadałem ci o moim kuzynie Rorym...

- Tak - potwierdziła uprzejmie.

- Zawsze obwiniałem się za jego śmierć, choć później doszedłem do wniosku, że nie miałem z tym nic wspólnego. Mój ojciec wpadł na pomysł, żeby przy naszym domu nad jeziorem posadzić krzak rozmarynu jako pamiątkę po nim i cioci. Dlatego przyszło mi do głowy, że moglibyśmy tak samo upamiętnić naszą córkę. Przecież ona miała się nazywać Rosemary, a to znaczy rozmaryn.

- Posłuchaj, Ben, ja naprawdę... Ponownie jej przerwał.

- Proszę cię, Liso, zanim coś powiesz, pamiętaj, że mnie też jej brak. Cokolwiek stanie się w przyszłości, ona zawsze będzie naszym pierwszym dzieckiem, a więc i moim.

- Wiem - przyznała. - Głupio mi, że nigdy nie brałam tego pod uwagę.

Przymknęła oczy, a spod powiek potoczyły się łzy i ściekały po policzkach.

- Och, nie chciałem sprawić ci przykrości! - zreflektował się Ben, sięgając przez stół po jej rękę. Wydała mu się taka mała, kiedy powiódł palcem po obrączce, którą nadal nosiła.

Lisa pokręciła głową bez słowa, więc dalej zapewniał:

- Nigdy, przenigdy nie chciałem cię zranić!

Dopiero wtedy otworzyła oczy i przygryzając wargę, wyznała:

- Ani ja ciebie.

Tymczasem kelnerka przybiegła ze ścierką, aby wytrzeć rozlaną kawę.

- Pan ma spodnie mokre - zauważyła. - Może przynieść papierowe ręczniki?

Ben strzepał płyn, co nie przyniosło widocznego efektu.

- Dziękuję, to nic takiego.

- My niedługo wychodzimy - dodała Lisa. - Poprosimy o rachunek.

Aby dostać się do kasy i zapłacić, musieli przejść przez cały lokal.

- No więc jak, pojedziesz ze mną? - zagadnął Ben już na parkingu; przemoczone spodnie lepiły mu się do ciała. Doszli akurat do środka placu, kiedy spadły pierwsze krople deszczu.

- Myślisz, że to dobry pomysł? - wahała się Lisa.

- Tak! - potwierdził z przekonaniem.

- Chyba będę mogła zanoćować w... domu, prawda?

- Oczywiście, jutro cię tu przywiozę. - Spojrzał na ciemniejące niebo i dodał: - Rano zdążymy jeszcze posadzić rozmaryn.

- Ewentualnie możemy kupić w sklepie ogrodniczym doniczkę i wsadzić go do niej - zaproponowała Lisa.

- A na wiosnę przenieść do ogródka, prawda? - uzupełnił Ben.

- O, właśnie.

Spojrzeni po sobie bez uśmiechu. Ben otworzył drzwi jeepa i pomógł Lisie wsiąść na przednie siedzenie. Przez całą drogę do Butterfield zamienili najwyżej kilka pustych słów bez większego znaczenia. Lisa siedziała spokojnie z rękami złożonymi na podolku, a Ben obawiał się inicjować rozmowę. Dopóki bowiem milczeli, mógł wmawiać sobie, że nic się między nimi nie zmieniło i są małżeństwem jak dawniej.

„Mel miała rację” - pomyślał i zaczerwienił się, Poczawszy do siebie pogardę, jakiej nigdy przedtem nie żywił. Tak wiele od niej otrzymał i tak mało dał jej w zamian. Jednak na którymś kilometrze doszedł do wniosku, że może zbyt surowo siebie ocenia. Sama mu przecież powiedziała, że wiele mu zawdzięcza. Może więc on i Mel wzajemnie wyświadczyli sobie przysługi?

Gdy dojeżdżali do starego domu Adamsów, Lisa sobie przypomniała:

- Czy mamy w domu coś do jedzenia?

- Niewiele, możemy zamówić pizzę przez telefon. - W przeszłości lubili siadać na dywanie przed kominkiem, oglądać telewizję i pogryzać *margheritę* czy *romano* pod tanie włoskie wino. - Albo przyrządzimy coś z tego, co mam. Znajdzie się kilka jajek, ser, chleb, pomidory i oczywiście spaghetti.

- No, to usmażymy omlet z tartym serem.

- Świetnie! Możemy wstąpić po drodze do jakiegoś sklepu - podsunął, choć bez przekonania, gdyż mogli tam spotkać kogoś znajomego, a nie miał ochoty tłumaczyć każdemu, że się nie zeszli. Byłoby to dla niego zbyt trudne i bolesne.

- Lepiej nigdzie nie wступujmy - uratowała sytuację Lisa.

- W domu jest bałagan - uprzedzał, kiedy skręcili na podjazd.

- Przecież dopiero co byłam u ciebie, nie pamiętasz? Nie wyglądało wcale tak źle.

Wiedziony nagłym impulsem, odwrócił się do niej.

- Tamtego wieczoru zachowałem się jak rozpuszczone dziecko - przyznał.

- Ja też. - Nachyliła się ku niemu, jakby chciała go pocałować. - Od czasu do czasu każdy z nas ma prawo zachować się niepoważnie.

- Jeszcze cztery miesiące temu nie mówiłabyś tak.

- Od tamtej pory zdążyłam trochę dorosnąć.

- Ja też.

Ben zajechał przed dom i zaparkował jeepa w cieniu jabłoni, obciążonej przejrzalymi, gnijącymi już owocami. Ściemniało się coraz bardziej i nad polami ukazał się cienki sierp księżyca, w którego świetle wszystko prócz ciemnozielonych sosen wyglądało mdło i bezbarwnie.

Ben przytknął zapalną do drewna nagromadzonych w palenisku kominka. Jako podpalki użył zmiętej gazety i nadpalonego polana, które zachowało się w wystygłych popiołach. Lisa przyglądała się tym czynnościom, siedząc na kanapie obitej niebieskim materiałem, jakby była gościem.

- Napijesz się czegoś? - spytał nieco skrepowany, jak na pierwszej randce.

- Może być białe wino - zgodziła się, ale nie uczyniła najmniejszego ruchu, by pójść z nim do kuchni choćby po to, aby poszukać kieliszków. Ben posmutniał. Zrozumiał, że ona w ten sposób okazuje, iż nie czuje się tu już u siebie. Z trudnością wyobrażał sobie, jak spędzą resztę wieczoru. Zdecydował, że najlepiej od razu pościeli jej w zapasowej sypialni, bo może Lisie przykro byłoby samej wystąpić z taką propozycją. Splótł ciasno ręce, przycisnął je do piersi i wyszeptał: „proszę...” choć nie miał pojęcia, o co właściwie chciał prosić.

Przyniósł do salonu dwa kieliszki i oszronioną butelkę wyjętą z lodówki. Na kominku płonął wesoło ogień, który Lisa podsycala kostkami podpałki.

- I jak tu nie igrać z ogniem, prawda? - Takim stwierdzeniem go przywitała.

- Ludzie robią to z dwóch powodów. - Zdawał sobie sprawę, że sztucznie podtrzymuje rozmowę. - Po pierwsze dlatego, że ogień jest jednym z czterech podstawowych żywiołów, a po drugie, każdy uważa, że nikt inny nie potrafi rozpałać ognia tak jak on.

- Chyba masz rację! - roześmiała się. Ben odkorkował butelkę, nalał wina do kieliszków i podał jej jeden, trącając go swoim, jakby wznosił toast.

- Masz jakieś plany na Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie? - zapytał niezręcznie.

- Boże Narodzenie? Czy nie za wcześnie o tym mówić? - Okręcała nerwowo obrączkę na palcu. - A co ty planujesz?

- Mama prosiła, żebym przyjechał do niej do Bostonu. Będzie tam Neil z rodziną.

- I chcesz jechać?

- Jeszcze się nie zdecydowałem. - Spojrzał w inną stronę.

Zanim dotknęło ich nieszczęście, planowali spędzić tegoroczne święta w Butterfield, tylko we trójkę: Lisa, on i dziecko. W zeszłym roku Lisa przystroiła dom gałęziami jedliny, które spryskała białą farbą i brokatem, poobwieszała kryształowymi, srebrnymi i czerwonymi bombkami. Schody oświetliła małutkimi, srebrnymi lampkami, a we wszystkie wolne miejsca powtórzyła aromatyzowane świece. Kiedy je pozapalała - w starym domu zrobiło się ciepło i przytulnie. Wigilię i pierwszy dzień świąt spędzili w Bostonie u jego matki, a na drugi dzień wrócili do domu. Ledwie wjechali na przyprószony śniegiem podjazd - Ben poczuł się tak związany z tym miejscem, że serce mało nie wyskoczyło mu z piersi.

- Święto Dziękczynienia i Gwiazdka to takie rodzinne święta, prawda? - powiedziała.

- Przepraszam, nie powinienem był o tym mówić! - zreflektował się, dolewając jej wina.

- Ale widzisz, od tak dawna już nie rozmawialiśmy... Opowiedz mi lepiej, jak ci idzie w nowej pracy.

- Tak sobie. - Zrobiła śmieszoną minę. - Przyjęłam tę posadę pod warunkiem, że będę mogła bez ograniczeń korzystać z koła i pieca garncarskiego w szkolnej pracowni. Na miejscu okazało się, że dyrekcja szkoły i ja co innego rozumiemy przez pojęcie „bez ograniczeń”.

- Udało ci się jednak wykonać parę ładnych rzeczy. - Wskazał na misę, którą przekazała mu Mel. - Co ja mówię, ładnych? Cudownych! To chyba najlepsza twoja praca, jaką widziałem.

Przypomniawszy sobie, z jakim bólem Mel wręczała mu ten upominek. Rysowało się to na jej twarzy. Chciałby jej podziękować za szlachetność i hojność, która wywarła na niego tak ożywczy wpływ. Dziękuję ci, moja dobra i szczodra Mel! Lisa obejrzała misę, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

- Mnie się też ona podoba - potwierdziła.

- Może jesteś głodna? - zmienił temat.

- Nawet bardzo - odstawiała kieliszek. - Wiesz co? Zrobimy zielony sos pesto do spaghetti. Kiedy po raz pierwszy przyszedłeś do mnie, uprzedzałeś, że po tym sosie wszystko się może zdarzyć. Nie wiem, jak na ciebie, ale na mnie to podziałało.

Ucieszył się dołkiem na jej policzku; miał wrażenie, że go całe wieki nie widział. Przypomniawszy sobie, że wtedy, za pierwszym razem, wszystko wydawało się proste, może nawet za proste. Otoczył ją ramionami i uśmiechając się do jej uniesionej buzi, powiedział:

- Zgadza się!

- Pycha sos! - Lisa odsunęła się od stołu razem z krzesłem, trzymając się za brzuch. - Najadłam się, że mało nie pęknę!

Przy świetle świec widać było resztki oliwy na jej czerwonych wargach.

- Ja też - zgodził się Ben, dolewając wina do kieliszków.

- Wiesz, że to zabawne. - Lisa oparła na stole łokcie, a na dłoniach podbródek. - Teraz też mi się wydaje, że wszystko może się zdarzyć.

- A co rozumiesz przez „wszystko”?

- Absolutnie wszystko! - odpowiedziała ze śmiechem.

Obeszła stół dookoła i cmoknęła go w usta. Tylko się prześliznęła po jego wargach, i to wystarczyło, by go podniecić. Lecz gdy chciał ją objąć - wymknęła mu się z rąk.

Kiedy Lisa poszła się położyć do swojej sypialni, Ben zdmuchnął świecę i wsłuchiwał się w szum wody krążącej w przestarzałych instalacjach. Ogień w kominku wygasł już do czerwonego żaru, więc Ben mógł spokojnie pogasić światła, zamknąć drzwi frontowe i udać się na spoczynek. Najważniejsze, że ten wieczór okazał się udany - to nie był sen, Lisa naprawdę znajdowała się w jego domu! Da Bóg, że i dalej wszystko tak pomyślnie się ułoży... a przynajmniej mogłoby się ułożyć. Na krótko w jego wyobraźni zagościła postać Mel, z włosami jasnymi jak światło księżycy i oczami ciemnobłękitnymi jak nocne niebo. Nie odczuwał jednak wyrzutów sumienia z powodu tej starannie ukrywanej miłości. Potrzebowali jej oboje, bo wzbogaciła ich wewnętrznie i dała siłę do dalszego życia oddzielnie.

Leżąc samotnie w łóżku, nasłuchiwał każdego poruszenia Lisy w sąsiedniej sypialni. W którymś momencie zdawało mu się, że szura bosymi stopami po podłodze korytarza. Miał nadzieję, że idzie do niego, ale zaraz doszedł go odgłos otwieranych i po chwili zamykanych drzwi do pokoju dzieciennego.

Uświadomił sobie, że już nie może być pewien swoich mężowskich przywilejów. Nie miał prawa nawet ich oczekiwać. Przypomniały mu się ukochane góry, zawsze owiane aurą tajemniczości, otoczone barierą kryształów lodu, niezdobyte nawet wtedy, kiedy stanąwszy na ich szczycie, znajduje się bliżej nieba niż jakikolwiek inny śmiertelnik.

Nazajutrz rano bez trudu znaleźli w pracowni Lisy jedną z polewanych, glinianych doniczek, jakie chętnie kupowała za grosze w centrach zaopatrzenia ogrodniczego. Napełnili ją mieszanką ziemi do kwiatów doniczkowych z zapasu przechowywanego w szopie.

Posadzili w doniczce krzew rozmarynu, ubili ziemię i podlali roślinkę wodą deszczową z beczki.

- Och, Ben, jak to pięknie wymyśliłeś! - zachwycała się Lisa, ściskając jego rękę.

- To dzięki temu, że wybraliśmy dla naszej córeczki takie imię - tłumaczył. - Rosemary kojarzy się z rozmarynem, symbolem pamięci, jak u Szekspira. Ilekroć spojrzymy na ten krzak, będzie nam o niej przypominał.

- O niej i o tym, kim mogłaby być i czego dokonać.

- To właśnie miałem na myśli. Popatrzyła na niego z błyskiem w oku.

- Ben, wiesz? Myślę, że możemy to kontynuować. Czy ty też tak czujesz?

- Oczywiście. - Odsunął się od niej, wziął głęboki oddech, a potem jeszcze jeden. - Liso...

- Słucham?

- Obiecuję ci, że zrezygnuję ze wspinaczki. Położyła mu palec na ustach.

- Lepiej nie obiecuj czegoś, czego nie będziesz w stanie dotrzymać.

- Kiedy ja mówię poważnie!

- Ciiicho!

Linie horyzontu nad polami wyznaczały monumentalne drzewa, a za nimi rozciągał się łańcuch górski. Białe ptaki wlatywały prosto w słońce i jego blask odbijał się na ich skrzydłach. Z wysokiej trawy po przeciwnej stronie szosy wyrzał lis. Rozejrzył się starannie, zanim truchcikiem przebiegł przez jezdnię. W promieniach słonecznych jego ogon rozjarzył się jak pochodnia, zabłysł wilgotny nos i drapieżne, żółte oczy.

Nagły powiew wiatru zmiótł z drzew chmurę liści zabarwionych na wszystkie odcienie szkarłatu, moreli, szafranu i śliwki. Tańczyły przed samochodem Mel jak egzotyczne motyle. Zapamiętywała takie widoki, bo jeszcze do niedawna stanowiły integralną część jej życia. Znała te pola, wzgórza i niebo nad nimi jak własną kieszeń, a przebywanie wśród nich dawało jej wiele radości.

Ostatnim razem, kiedy skręcała na południe od Butterfield, towarzyszyła jej Joanna. Teraz jechała w odwiedzinach do jej dzieci. Gordon był zachwycony, kiedy w rozmowie telefonicznej zapowiedziała swoją wizytę. Zapewnił, że wszyscy jej oczekują i miał nadzieję, że zostanie dłużej.

- Niestety, nie mogę - rozwiła jego złudzenia. - Za trzy dni mam otwarcie wystawy.

Oczywiście nie wspomniała mu, że tak samo, jak pragnęła zobaczyć się z Tomem, Lucy, a przede wszystkim Jamiem, potrzebowała po prostu zająć się czymkolwiek, aby nie myśleć o Benie.

- Jamie, kochany, jak się masz? - powtarzała, tuląc go w ramionach.

- Dziękuję, wszystko w porządku. - Chłopak wydał jej się wyższy i bardziej powściągliwy niż wtedy, gdy widziała go ostatnio. Zaprowadził ją do kuchni funkcjonalnie zaprojektowanej przez Gordona Mayfielda i demonstrując elegancki, chromowany czajnik elektryczny, zapytał, czy napije się herbaty.

- A może kawy? Mamy tu taki fajny ekspres. Tato strasznie celebrytuje swoją kawę.

- Może być herbata. - Przysunęła krzesło i usiadła. Niestety, sterylne czyste lady kuchenne i wyszorowana do połysku podłoga w niczym nie przypominały ciepłej i przytulnej kuchni, w jakiej te dzieci się wychowały. - A jak się czujesz w nowej szkole?

- Tam jest fajnie.

- Co teraz czytasz? - Pogrzebała w torbie i wyciągnęła paczkę. - Przywiozłam ci coś do czytania, kiedy znowu dojdiesz do litery „B”.

Jamie wziął prezent.

- Chyba książka nie będzie musiała czekać, bo nie czytam już według tego klucza.

- To dobrze czy źle?

- Chyba dobrze, nie? - spytał nieco poważniej. - Zawsze chciałem mieć wszystko ułożone pod sznurek. Tato mówi, że to dobre dla starszych, ale jeśli ktoś ma dopiero dwanaście lat, to raczej śmieszne.

- Wydaje mi się, że tato ma rację - odpowiedziała tym samym tonem. - No, zobacz, co to jest.

Jamie odwinął książkę z papieru i twarz mu się rozpromieniła.

- O, *Buszujący w zbożu*! Świetnie, to moja lektura! - Nachylił się i cmoknął ją w policzek. - Dziękuję ci, Mel.

- A jak się czuje Gargery?

- Trochę tu dla niego za duży ruch, ale poza tym nic mu nie brakuje. Lucy właśnie zabrała go na spacer z tym swoim nowym chłopakiem. Kurczę, to jakiś dziwak! - Nalał wrzątku do czajniczka i postawił na stół dwa kubki, które Mel widziała kiedyś w domu Joanny. - Gargery chyba trochę schudł.

- Przypuszczam, że tego potrzebował.

- Pewnie tak.

- A jak się miewa tato?

- On jest... To znaczy, trudno powiedzieć, że jest szczęśliwy, bo przecież straciliśmy mamę, ale chyba cieszy się, że z nim mieszkamy.

- Też tak myślę. A ty, Jamie, już dobrze się czujesz?

- Chyba tak - bąknął niepewnie.

- To kwestia czasu - pocieszyła go. - Choć nieraz taka strata boli do końca życia.

- Tak i mnie się wydaje.

- A wiesz, jaka była ulubiona książka mamy?

- Jaka?

- *Wielkie nadzieje*.

- Dickensa, prawda?

- Tak. Stąd wzięło się imię Gargery'ego.

- Naprawdę? Może więc przeczytam ją najpierw, a dopiero potem *Buszującego w zbożu*.

Nie masz nic przeciwko temu, prawda? - Poprawił okulary zsuwające się z nosa. - Tatusi mówi,



że niedługo będę na tyle duży, żeby nosić soczewki kontaktowe!

Mel poczuła lzy dławiące ją w gardle, toteż woląla zmienić temat.

- Zaparzyłeś pyszną herbatę.

- Aha, nazywa się Lapsang Souchong. Lubię mieszać różne dziwne rodzaje herbat. Tato ma klienta, który jest importerem herbaty i dwa dni temu zaprosił mnie do swoich magazynów. To było naprawdę ciekawe.

Tymczasem wrócili do domu Gordon, Tom i Lucy.

- Och, Mel, tak nam ciebie brakowało! - wykrzyknęła Lucy, rzucając się Mel na szyję. Wyglądała na rozradowaną, a może nawet szczęśliwą. Tom też, podobnie jak jego młodszy brat, w ostatnich tygodniach nabrał więcej pewności siebie. Mimo dramatu, jakim była dla nich utrata matki, robili swoje, gdyż wiedzieli, że życie musi toczyć się dalej. Mel pomyślała, że i ona musi postępować tak samo.

Lucy i jej chłopak, przystojny student drugiego roku Uniwersytetu Browna, wcale nie wyglądający na dziwaka, zgłosili się na ochotnika do przygotowania kolacji.

- To się nazywa *spanakopeta* - objaśniła Lucy, stawiając na stole w wytwornej jadalni Gordona brytfannę wyjętą z piekarnika. - Spróbujcie, jaka to pycha!

Przyjaciel Lucy podał do tego wymyślną sałatkę przyprawioną sokiem cytrynowym, a zawierającą między innymi fasolkę, środki z karczocha, owoce mango i ryż. Danie uzupełniał chleb czosnkowy, kartofle w łupinach zapiekane z tartym serem i pomidory polane sosem bazyliowym.

- Jak widzicie, posiłek jest wegetariański - oświadczyła Lucy.

- Ale czasem jadamy także befsztyki - dodał Tom.

- Szczególnie kiedy na mnie przypada kolej gotowania - dokończył Gordon. - Befszyk to prawie jedyna potrawa, która mi się udaje.

- Ja zawsze robię pieczone kurczaki z pieczonymi kartoflami, kiedy mam dyżur w kuchni - pochwalił się Jamie. - Mówię ci, coś pysznego!

- Masz jakieś plany na przyszłość, Mel? - zagadnął Gordon, odkorkowując butelkę wina.

- Na razie nie sięgam myślą dalej niż do otwarcia wystawy - powiedziała. - A potem... kto wie?

Nie wspomniała, że czuła się teraz jak latawiec: niby wolna, lecz na uwięzi.

- Wiesz, co powinnaś teraz zrobić, Mel? - podsunął Jamie.

- Co takiego, kochanie?

- Pojechać w to miejsce, o którym mama ciągle mówiła. Do Nowej Zelandii.

- Nie sędzę - uśmiechnęła się.

- Właściwie dlaczego nie? - wtrącił się Gordon. - Co stoi na przeszkodzie?

A przecież właśnie Gordon kiedyś wspominał, że Joanna bała się podróżować sama; ona też się bała.

- Naprawdę powinnaś! - naciskał Jamie. - Dużo czytałem o Nowej Zelandii. Tam jest takie miejsce, które nazywa się Rotorua i jest zupełnie zwariowane - ma masę gorących źródeł i błotnistych sadzawek. Ludzie, którzy tam żyją, nazywają się Maorysi i mieszkali na Nowej Zelandii od samego początku. Umieeli walczyć z łodzi i tkać płaszcze z piór, a z drewna rzeźbili takie fajne figurki z wystającymi językami... Sam chciałbym tam pojechać!

- Kiedyś cię zabiorę - obiecała.

- Mówisz serio?

- Oczywiście! To będzie prezent ode mnie, kiedy skończysz szkołę.

- Super!

- Ale kto wie, może wtedy już nie zechcesz podróżować ze starszą panią... - Obdarzyła przelotnym uśmiechem zarówno jego, jak ojca i rodzeństwo.

- Z tobą, Mel, zawsze pojedę choćby na koniec świata! - zapewnił.

- Nie wygłupiaj się, Mel, przecież wiesz, że jesteś członkiem naszej rodziny! - żartobliwie ofuknęła ją Lucy, wyciągając do niej rękę.

- Dziękuję ci, kochanie.

Następnego dnia Mel wracała do domu uspokojona. Nie musiała już się martwić, czy dzieci Joanny mają należytą opiekę. Gordon przejął po niej „matczyne” obowiązki i wywiązywał się z nich bez zarzutu. To były dobre dzieci i miały takiego ojca, na jakiego zasłużyły.

Grunt, że w rodzinnej maszynie wszystkie koła się kręciły, a życie toczyło się dalej. „Czasem nieszczęście rozumu uczy” - pomyślała.

W dzień, w którym miał się odbyć wernisaż, Mel zastała rano furgon pocztowy czekający przed galerią. Listonosz - tym razem inny niż zwykle - wszedł za nią do środka i postawił na biurku małe, drewniane skrzynki.

- Myślałam, że otrzymaliśmy już wszystkie eksponaty! - zdziwiła się Mel.

- Ja tam nic nie wiem. Kazali mi dostarczyć paczki, i tyle - wrzucił ramionami listonosz. Podczas gdy Mel podpisywała potwierdzenie odbioru, położył przed nią kopertę, dodając:

- Aha, i jeszcze to.

Po jego odejściu Mel usiadła przy stole i najpierw otworzyła kopertę. W środku znajdowała się jeszcze jedna, a w niej - odręczny liścik od Kosłowskiego. Tak jak poprzedni, napisany był na kartce formatu A4, grubym, czarnym flamastrem, z wieloma wyróżnieniami i wykrzyknikami:

PANI SHERMAN!

*To jest „Utracona Miłość”, moja ostatnia praca.*

*Podkreślam, że stanowi MOJĄ OSOBISTĄ WŁASNOŚĆ i nie jest, powtarzam:*

***NIE JEST NA SPRZEDAŻ!!!!***

Galen Kosłowski

Jego najnowsza praca! Drżąc z niecierpliwości, otworzyła ostrożnie skrzynkę i odwinęła z bibułki rzeźbę. Zdmuchnęła z niej trociny i śliniąc palce, usunęła zabłąkany wiórek.

Samo brzmienie wyrazów „Utracona Miłość” wywołało w niej uwięźnięcie oddechu i przyspieszone pulsowanie krwi w skroniach. Spojrzała na podobną rzeźbę stojącą od dawna na jej biurku i porównała z przyslaną. Między wykonaniem jednej a drugiej upłynęło ponad dwadzieścia pięć lat, a jednak prawie się nie różniły. Dopiero przyjrząwszy się bliżej, w tym, co pierwotnie przypominało powyginane kawałki drewna, można było dopatrzeć się zarysów kobiecego torsu, jakby wynurzającego się z pościeli albo z wody. Przy czym pierwsza figurka stanowiła młodzięczy wytwór początkującego artysty, druga zaś odzwierciedlała jego szczytową dojrzałość twórczą. Następna różnica polegała na tym, że starsza rzeźba przedstawiała młodą, szczupłą dziewczynę, ledwie ukształtowaną, natomiast druga - dojrzałą kobietę o pełnym biuście i wydatnym łonie.

Mel wzięła ją do ręki i starannie obmacała. Pod lewą piersią figurki wyczuła ledwo zauważalną szczyrbę. Wyjęła nawet z szuflady lupę, aby przyjrzeć się dokładniej. Była pewna, że to tylko skaza materiału, ale po starannych oględzinach stwierdziła, że cięcie zostało wykonane celowo i stanowi charakterystyczną cechę rzeźby. Może miał z tym związek tytuł: „Utracona Miłość”, i zastrzeżenie autora, że praca nie jest na sprzedaż.

- Och, Galenie! - westchnęła cicho, obracając na palcu pierścioneł z szafirem tak, że odbiło się w nim światło z okna i zapłonął błękitnym ogniem.

Zastanawiała się, czy słusznie postąpiła, próbując rozszyfrować czyjeś zawołowane

przesłanie, sygnalizujące, że rany wprawdzie się goją, ale blizny pozostają na zawsze. Jednocześnie szukała sposobu najwłaściwszego wyeksponowania obu prac Galena. Mogłaby na przykład postawić starszą rzeźbę, należącą do niej, zaraz na początku, jako wizytówkę wystawy, a „Utraconą Miłością” zamknąć ekspozycję. A może lepiej byłoby postawić obydwie obok siebie jako symbol upływu czasu? Tak czy inaczej musiała działać szybko, żeby przed wieczorem zdążyć przearanżować eksponaty.

„Szkoda, że nie ma już Joanny” - pomyślała. Najlepiej byłoby z nią przedyskutować wszelkie za i przeciw! Właśnie tych lekkich, luźnych pogaduszek z przyjaciółką brakowało jej najbardziej.

Nie był to jednak odpowiedni moment na rozmyślania o Joannie ani o samotności - nie czas ani nie miejsce ku temu.

- No, chyba dobrze nam poszło, prawda? - W biurze na zapleczu galerii Carla zrzuciła czólenka i oparła nogi na stole. Przed dziesięcioma minutami wystawę opuścili ostatni zwiedzający, więc organizatorki mogły nareszcie odpocząć.

- To było wspaniale! - orzekła Mel, rozlewając do kieliszków resztkę wina Chardonnay; jeden podała asystentce. - No, to za nasze zdrowie!

- I za dalsze sukcesy!

- Mnie na razie wystarczy ten.

Obie kobiety stuknęły się szkłem i wymieniły uśmiechy.

- Masz rację - przyznała Carla. - Nie przypuszczam, żebym znalazła w sobie dość energii, by jeszcze myśleć o przyszłości.

- I bez tego robisz dużo więcej, niż powinnaś.

- Wiesz przecież, że angażuję się w to tak samo jak ty - wzruszyła ramionami Carla. - W razie gdybyś chciała kiedyś sprzedać tę galerię...

Niedokończone pytanie zawisło w powietrzu.

- Oczywiście, będę o tym pamiętać, ale na razie zasłużyłaś na premię.

- Na pewno nie odmówię.

- W porządku, pogadamy o tym jutro. - Mel przymknęła oczy i cofnęła się z krzesłem, aż zaskrzypiało. - Chryste, jestem kompletnie wypompowana!

- Czy dobrze się czujesz? Nie obraż się, ale ostatnio wyglądałaś jak śmierć.

- Bo nie dosypiałam i piłam mnóstwo kawy, żeby w ogóle funkcjonować.

- Może teraz, kiedy wystawa ruszyła, nareszcie porządnie się wypiszesz. - Carla podniosła

kieliszek do ust. - Ta nowa rzeźba, którą dziś przywieźli, świetnie harmonizuje z twoją. I postawiłaś je w dobrym miejscu, na półpiętrze. Nie wiedziałam, że miałaś w domu jakąś pracę Kosłowskiego.

- W pewnej mierze ona właśnie zainspirowała mnie do urządzenia tej wystawy.

- Gdyby obie były na sprzedaż, można by osiągnąć pięciokrotną przebitkę.

- Wiem, wiem.

- Masz pojęcie, że zjawili się wszyscy dziennikarze, których zaprosiliśmy? To zupełna sensacja!

- Wprost nie mogę się doczekać recenzji... - ziewnęła Mel. - Dzięki Bogu, że nie doszło do żadnego skandalu.

- Mało brakowało, kiedy Helen jak-jej-tam... wiesz, ta właścicielka sklepu z pamiątkami - rozlała czerwone wino na biały kostium Lindy Kellerman.

- Rzeczywiście, myślałam, że ją szlag trafi. Nie dziwię się, bo przypadkiem wiem, ile taki kostium kosztuje. Oglądałam taki sam, tylko bordowy.

- Coś takiego! - Carla skrzywiła nos z niesmakiem. - Nie wiem, jak ciebie, ale mnie zawsze uczono, że prawdziwa dama od połowy września nie ubiera się na biało.

- A kto powiedział, że Linda Kellerman jest prawdziwą damą?

- Co za cięty języczek, pani Sherman!

- Za to Rita Bernhard wyglądała zachwycająco.

- Pewnie, stacją na ciuchy od Donny Karan!

- A wiesz, najgorsza chwila była ta, kiedy sędzia Mahoney omal nie wlaźł tyłem na rzeźbę, która stoi w wodzie! - zaśmiała się Mel.

- Tak, wtedy rzeczywiście zaczęłam się bać, że będziemy mieć kłopoty. Gdyby nie Kim Bernhard... Ten to ma refleks! Pan Kosłowski niechybnie zagroziłby nam sądem, gdyby to zobaczył. - Spojrzała na zegarek. - No, chyba będę już się zbierać.

Mel podniosła się z krzesła i uścisnęła dłoń współpracownicy.

- Carlo, dziękuję ci za wszystko. Byłaś naprawdę wspaniała!

Nasłuchiwała, dopóki kroki Carli na schodach nie ucichły. Po nich nastąpiło jeszcze skrzypienie zawiasów, szcęk klamki i odgłos zatraskiwanych drzwi. Mel powinna była też udać się do domu, ale jeszcze się ociągała.

Czuła się zarówno zmęczona, jak i - pomimo odniesionego sukcesu - opuszczona. Wciąż nie mogła pogodzić się z utratą Joanny. Uczestniczyły razem w wielu podobnych imprezach, po

których, podobnie jak dziś ona i Carla, z ulgą zrzuciły buty, dopijały resztki wina i jeszcze raz przeżywały miniony wieczór. Joanna miała bystre oko, dar obserwacji i wrodzone poczucie humoru; Mel bardzo brakowało jej ciętych komentarzy. Bez Joanny nic już nie było takie samo jak przedtem.

W gruncie rzeczy Joanna odgrywała w jej życiu podobną rolę do tej, jaką pełnią (a przynajmniej powinni) rodzice. W końcu całe życie składa się z pozornie nieistotnych szczegółów, takich jak słońce przeświecające między drzewami, stary pies Rudy'ego Howarda, śpiący na samym środku jezdni, dziecko pokazujące tatusiowi swój obrazek... „Popatrz, tatusiu, to jest koń”... Wciąż jeszcze czuła ten ból...

Już przeszło tydzień nie widziała się z Benem. Nagrała mu się na automatyczną sekretarkę, prosząc, aby nie przychodził na wernisaż. Uczynił temu życzeniu zadość, choć podświadomie liczyła, że może się do niego nie zastosuje. Mimo zmęczenia tryskała bowiem energią i chętnie podzieliłaby się z kimś swoimi wrażeniami, tylko nie miała z kim.

A może jednak miała?

Niezdecydowanie wyciągnęła rękę w stronę aparatu telefonicznego, który, jak na zawołanie, akurat w tym momencie zadzwonił. W ciszy opustoszałej galerii dźwięk wydał się przeźliwy, odbił się echem od rzeźb wykutych w kamieniu i wywołał wibrację powietrza, która zmarszczyła powierzchnię wody w granitowej misie. Mel szybko podniosła słuchawkę.

- Galeria Sztuki Vernon, słucham?

- Pani Sherman?

Od razu poprawił jej się nastrój i ustąpiło zmęczenie.

- Pan Kosłowski? Właśnie chciałam do pana zadzwonić.

- Jak się udał wernisaż?

- Nadzwyczajnie, wprost fantastycznie!

- No, to cudownie.

- W ciągu pierwszej półgodziny sprzedaliśmy trzy prace, czy to nie wspaniały wynik? - informowała z zachwytem. - A następne cztery osoby na pewno kupią coś później.

- Musi pani być mistrzynią w swoim fachu.

- Pan też nie jest zły. Oczywiście trzeba wziąć poprawkę, że z Carłą, moją asystentką, pracowałyśmy nad aranżacją tej wystawy przez ostatnie dwadzieścia miesięcy.

- Ale chyba się opłaciło, prawda?

- Myślę, że tak: trzy transakcje w ciągu pół godziny, tym bardziej że wystawa dopiero od

jutra będzie oficjalnie otwarta!

- No, to jest już coś - przyznał. Wyczuła, że jej informacje zrobiły na nim wrażenie. - A dużo przyszło gości?

- Około dwustu osób.

- Pani Sherman, pani jest genialna!

- Chwała Bogu, że nie wszyscy przyszli jednocześnie - zaśmiała się. - Moja galeria nie jest zbyt wielka.

- Szkoda, że mnie tam nie było.

- Hmm - mruknęła niezobowiązująco.

- Zdaje mi się, że pani jest innego zdania. Pewnie nasłuchiwała się pani plotek, jaki ze mnie dziwak.

Mel nie tylko się nasłuchiwała o jego dziwactwach, ale dostatecznie długo się na nie napatrzyła. Bąknęła więc wymijająco:

- A któż o tym nie słyszał!

- Wszystko to kłamstwo.

- Naprawdę?

- Tak naprawdę, to chciałem przyjechać na otwarcie, żeby zrobić pani niespodziankę. Wynająłem nawet samochód, ale po drodze stuknąłem kogoś w błotnik, a gdy gliny zrobiły swoje, było już po czasie.

- Przypuszczam, że jest pan słabym kierowcą.

- Oj, chyba tak. Za późno zacząłem się tego uczyć.

- Zatem fantastyczny wieczór przeszedł panu koło nosa.

- To nic. Najważniejsze, czy ta dodatkowa rzeźba dotarła bezpiecznie?

- „Utracona Miłość”? Oczywiście, ale mnie pan zaskoczył! Ciekawe, kto posłużył panu za modelkę.

- Nie miałem modelki.

- Ale chyba musiał to być ktoś, kogo pan zna.

- Raczej znałem, ale rzeźbiłem ją z pamięci, to znaczy, oparłem się na wspomnieniach. Ona była wtedy jeszcze młoda... zresztą oboje byliśmy. Często potem się zastanawiałem, jak teraz wygląda, bo przecież musiała się zmienić, dojrzeć... W rezultacie tych przemyśleń powstała właśnie ta druga rzeźba.

- Wspaniale się panu udało.

- Bo przepojona jest nostalgią. Ciekawym, jak pani ją wyeksponowała?

- No, musiałam się dobrze nad tym nagłowić. Miałam pomysł, żeby ustawić rzeźbę jako ostatnią, aby podkreślić, że to najświeższa pańska praca, ale w końcu zdecydowałam się umieścić ją obok jej odpowiednika.

- Jakiego odpowiednika?

- One tak dobrze pasują do siebie, jakby celowo przedstawiały zmiany wywołane upływem czasu, ale przy tym udawadniały, że ciało kobiety w średnim wieku także może być piękne.

Po drugiej stronie drutu zapanowała cisza, przerywana tylko brzękiem szkła i głębokimi oddechami, przypominającymi westchnienia.

- Panie Kosłowski! - ponagliła go.

- Mówiła pani o jakimś „odpowiedniku” tej pracy...

- Tak.

- Pani Sherman!

- Słucham?

- Ta rzeźba nie ma żadnego odpowiednika!

- Ależ ma, tylko wykonał go pan już dawno temu.

- I jak ją zatytułowałem?

- Zaraz, niech sobie przypomnę... chyba „Pierwsza Miłość”.

Nastąpiła znów dłuższa przerwa, po której artysta w końcu wydusił z siebie:

- Ale, rzeczywiście. Zawsze zachodziłem w głowę, gdzie się podziała.

Oboje zamilkli. Wyfroterowany parkiet galerii odbijał światło pojedynczych, punktowych reflektorów, których Mel celowo nie zgasiła.

- Kobieta, która mi pozowała, odeszła ode mnie - przemówił w końcu Kosłowski. - Była bardzo piękna i naprawdę nie wiem, dlaczego mnie opuściła. O mało mi serce nie pękło, bo jak na ironię dopiero w momencie rozstania uświadomiłem sobie, ile dla mnie znaczyła. Bez niej nie byłem w stanie tworzyć, bo to ona dawała mi natchnienie.

- Dlaczego więc nie próbował pan jej odnaleźć?

- A gdzie miałem jej szukać? Od czego zacząć? Ameryka jest wielka. Mogła wyjść za mąż, zmienić nazwisko, wyprowadzić się choćby w takie miejsce jak Vermont.

- To całkiem możliwe. - Mel położyła nogi na biurko. - Jednak pan nadal tworzył piękne dzieła.



- Owszem, tworzyłem, ale bez przekonania. W końcu jednak zdałem sobie sprawę, że nie mogę strawić reszty życia na bezproduktywne czekanie, bo nigdy już nie spłodzę nic wartościowego.

- A więc już pan z nią skończył?

- Co pani ma na myśli, mówiąc, że z nią skończyłem? Przecież pani widziała moją najnowszą pracę!

- Panie Kosłowski, ja...

- Słucham, pani Sherman?

Z miejsca, w którym siedziała, Mel mogła widzieć całą galerię. Skorzystała więc z tej okazji, aby zmienić temat:

- Wspaniała jest pańska praca pod tytułem „Narodziny”.

- Czy pani udało się ją sprzedać?

- Sama ją kupiłam przed rozpoczęciem wystawy. - Mel zachichotała bez wyraźnego powodu.

- Musi pani być szczęśliwa - orzekł Kosłowski.

- Tak mi się przynajmniej wydaje.

- A ma pani dzieci?

- Nie.

- Dlaczego pani nie ma?

- Ja... - W myśli skarciła się za zbytnią wylewność, ale po chwili wahania wyznała: - W młodości usunęłam ciążę.

- No, nie... - Kosłowski ze świstem wciągnął powietrze. - To znaczy, rozumiem.

- Nie mogłam sobie tego darować, więc uznałam, że nie zasłużyłam na to, by mieć dzieci.

- Ja też nie doczekałem się swoich - wypalił nagle Kosłowski.

- A pan dlaczego nie?

- Kiedyś mi się wydawało, że nie powinienem powoływać nikogo do życia na tak parzywy świat jak nasz. Potem zmieniłem zdanie, ale opuściła mnie jedyna kobieta, z którą chciałem mieć potomstwo. Swoją drogą, nieraz się zastanawiałem, jakim byłbym ojcem. Kocham dzieci, ale możliwe, że nie podołałbym takiej odpowiedzialności. Dlatego odmówiłem, kiedy kobieta, którą kochałem, chciała ze mną mieć dziecko.

- Pewnie dlatego odeszła.

- Teraz gorzko tego żałuję.

- Może jeszcze kiedyś pan się z nią spotka.

- Gdyby tak się stało, przede wszystkim zażądałbym zwrotu ikony, którą zabrała z mojego mieszkania!

Westchnął głęboko, a Mel nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Jest pan pewien, że nie dał jej tej ikony w prezencie?

- Tak, ale pod warunkiem, że zostanie ze mną.

- A nie wie pan, że kto daje i odbiera, ten się w piekle poniewiera?

Zaśmiał się głębokim, gardłowym śmiechem, a Mel usłyszała w tle chlupot nalewanego wina.

- Wczoraj musiałem uczestniczyć w przyjęciu - zmienił temat.

- Dobrze się pan bawił?

- Ani trochę. Tylko niepotrzebnie straciłem czas. - Mel przypomniwała sobie inne przyjęcia sprzed lat z jego udziałem. Śmiał się wtedy i gestykulował z kieliszkiem wina w ręku, odrzucając głowę do tyłu, aż rozwiewała się jego bujna czupryna. - Co prawda, poznałem ciekawego człowieka, który właśnie przyjechał z Polski. To bardzo utalentowany artysta, jestem pewien, że zajdzie wysoko. Opowiadał, co się dzieje w świecie artystycznym Warszawy i Krakowa. Kiedy go słuchałem, pomyślałem, że właściwie powinienem pojechać do rodzinnego kraju, choćby tylko z krótką wizytą. Przedtem brakło mi odwagi.

Chętnie by go spytała, czy nadal miewa koszmary senne. Czy budzi się w środku nocy i drżący szuka jej obok siebie, żeby wypłakać się w jej włosy? Czy tęskni za nią tak samo jak ona nawet wtedy, gdy spoczywała w ramionach innego młodego kochanka? Głośno jednak pozwoliła sobie tylko na ogólnikową uwagę:

- Sądząc po głosie, chyba jest pan równie zmęczony jak ja.

- Nie tyle zmęczony, co raczej... stary!

- Pan stary? Niemożliwe!

- Nie śpiam dobrze i czuję się samotny, chociaż... po co ja właściwie to pani mówię?

Czy pani też czuje się samotna, a może przeciwnie - prowadzi bujne życie towarzyskie? Pewnie w tym Butterfield jest pani królową salonów!

- Bez przesady, nie jestem znów taką lwicą salonową.

- Ciekawe, co na to pan Sherman.

- A co on ma do rzeczy?

- Pewnie wyciąga panią na reprezentacyjne przyjęcia, gdzie pani robi furorę.
  - Pan Sherman nie żyje od dłuższego czasu.
  - Och, przepraszam, pewnie pani go bardzo brakuje?
  - Najbardziej brakuje mi mojej przyjaciółki Joanny, która zmarła dwa tygodnie temu i zastępowała mi najbliższą rodzinę.
  - A więc i pani czuje się samotna?
  - Owszem.
  - Czasem przyjaciele więcej znaczą dla człowieka niż najbliżsi krewni.
  - Święta prawda.
  - Pewnie przeze mnie miała pani tylko sporo kłopotów.
  - W życiu tak jest: raz na wozie, raz pod wozem. Trzeba cieszyć się każdą dobrą chwilą i radzić sobie ze złem. Problem tylko w tym, że... - Mel zagryzła wargi.
  - Czyżby pani płakała, pani Sherman?
  - Jeśli pan o to pyta - pewnie tak.
  - Gdybym teraz był przy pani, potrzymałbym panią za rękę. Niby nic wielkiego, ale zawsze dowód, że ma pani przyjaciela, choćby był nim taki stary, zgryźliwy rzeźbiarz jak ja.
- Tym razem musiała się nawet wbrew swej woli uśmiechnąć.
- Pan jest zgryźliwy?
  - Od czasu do czasu, bo w Nowym Jorku za dużo rzeczy mnie złości. Na przykład telefony komórkowe. Czy ludzie muszą do siebie dzwonić, kiedy idą ulicą? Nie mogą poczekać, aż wrócą do domu?
  - I to pana denerwuje?
  - Nie znoszę także idiotycznej maniery w restauracjach, kiedy kelner przedstawia mi się z imienia i od razu, z szybkością karabinu maszynowego, zarzuca mnie litanią specjalności szefa kuchni. Zanim dojedzie do końca, nie pamiętam ani jednej potrawy, a zresztą nie rozumiem, co oznaczają te egzotyczne nazwy. Mówię więc takiemu jednemu z drugim, Damonowi czy Ryanowi, żeby podał mi menu, a ja sam przeczytam, co serwują, bo nie mam życzenia wysłuchiwać komedii w trzech aktach. Na przykład *arugula* - co to takiego?
  - Chyba coś z warzyw.
  - W ostatniej knajpie, w której byłem, nie rozumiałem połowy nazw dań, które chcieli mi wcisnąć. Jakaś *arugula*, *raddicchio*...
  - *Carambolas* - podsunęła Mel.

- Owoce *poha*.

- *Triticale*...

- Albo *pompano*. Co to za lichy i skąd się wzięło? Przedwczoraj podali mi zwiędłą sałatę. Zawołałem tego jakiegoś Damona czy Ryana i zrobiłem dziką awanturę. Jakim prawem wciśkają mi zwiędłe zielsko? Sałata powinna być świeżo zerwana i krucha, a takie świństwo mogą wyrzucić do śmieci!

Mel roześmiała się w głos.

- Ma pani uroczy śmiech - pochwalił. - A pani jaką kuchnię lubi najbardziej?

- Prawie wszystkie.

- Ja też, ale wolę tradycyjne dania, których nazwy znam.

- Słusznie. Ostatnim razem, kiedy byłam w Bostonie, wstąpiłam do rosyjskiej restauracji...

- Jadłem kiedyś w rosyjskiej restauracji w Bostonie. Ciekawe, czy to ta sama?

- A mają ich tam więcej?

- Niech zgadnę, co pani zamówiła. Pewnie barszcz i pierożki, prawda?

- Pewnie, że to najprostsze, ale jadłyśmy wtedy także bliny i jakąś rybę. - Mel zachichotała. - Na pewno nie zamawialiśmy żadnej *aruguli*, za to morze wódki!

- Wie pani co, pani Sherman? - zaproponował znieńacka. - Nie będę pani więcej tak formalnie tytułował. Przecież to śmieszne, odkąd zostaliśmy przyjaciółmi!

- A zostaliśmy?

- Tak mi się wydaje. Myślę, że polubiłbym panią. Chyba nawet już lubię. Odnoszę wrażenie, jakbyśmy się znali od lat. Wiem już, że pani Sherman potrafi być oficjalna albo bardzo nieprzyjemna, a czasem także smutna...

Nawet przez telefon dobiegło ją skrzypienie krzesła, na którym siedział. Słyszała także szum wiatru na dworze, bębnienie deszczu w sufitowe okna galerii i pisk opon samochodu na mokrym asfalcie.

- Ludzie w naszym wieku mają prawo smucić się od czasu do czasu - stwierdziła filozoficznie. - Przeżyliśmy już tyle lat, że zdążyliśmy doświadczyć niejednego.

- Zgadza się. To właśnie utwierdza mnie w przekonaniu, że szczęście czeka tuż za rogiem, jeśli nie za pierwszym, to za następnym.

- A nie wydaje się panu, że nie należy chcieć za wiele? Może czasem lepiej poprzestać na małym.

- O, nie, myli się pani! Trzeba zawsze spodziewać się wszystkiego, co najlepsze.

- Wierzy pan, że los może dać człowiekowi drugą szansę?

- Oczywiście. Nie mam co do tego wątpliwości. Proszę chwileczkę poczekać...

Znów rozległo się skrzypienie jego krzesła, a potem jakieś dziwne trzaski. Nagle, ku swemu najgłębszemu zdziwieniu, Mel usłyszała z drugiej strony drutu Drugą Symfonię Mahlera. Kiedy Galen ponownie podniósł słuchawkę, od razu zidentyfikowała utwór.

- O, symfonia „Zmartwychwstania Pańskiego”, moja ulubiona!

- Tak też myślałem.

Mel się uśmiechnęła, bo wisieli na tym telefonie już ponad czterdzieści pięć minut, a czuła, że mogłaby tak rozmawiać do rana.

- Nad czym pan teraz pracuje? - próbowała zmienić temat.

- Nad niczym konkretnym, ale mam już pewne plany. - Jego głos zabrzmiał raźniej; także ożywienie, dobrze znane Mel, zapowiadające początek pracy nad nową rzeźbą. - Mam wspaniałą bloki marmuru, przywiozłem go z Ameryki Południowej. Zielony, znaczony złotymi żyłkami. Leżał u mnie przez całe lata i czekał na właściwy moment.

- Który już nadszedł, prawda? - Przypomniała sobie zakurzony skład pełen bloków marmuru, granitu, łupku i piaskowca. Galenowi na ten widok błyszczały oczy, podczas gdy dla niej ta kolekcja stanowiła zbieraninę podobnych do siebie kamieni.

- Dopiero nadchodzi - poprawił ją. - Na razie próbuję sobie wyobrazić, co się z tego wyłoni.

- Całkiem jak Michał Anioł.

- Gdzie mnie do niego, ale coś w tym jest. A jakie pani ma plany na przyszłość?

- Najpierw muszę się uporać z teraźniejszością.

- A potem pomyśli pani o dalszych wystawach?

- Mam już pomysł co najmniej na dwie, podobnie jak pan ma wizję dotyczącą tego bloku marmuru.

- A do Nowego Jorku pani się nie wybiera?

- Jeśli już, to raczej do Nowej Zelandii.

Nagle przypomniała sobie propozycję Jamiego, która wprowadziła ją w radosne podniecenie. Tak, tego właśnie potrzebowała i żałowała, że nie pomyślała o tym wcześniej!

- Dlaczego akurat tam?

- Wiem, że to zabrzmiało dziwnie. - Mel zmarszczyła czoło. - Ale moja przyjaciółka Joan-

na...

- Ta, która niedawno zmarła?

- Tak. No więc ona zawsze marzyła, żeby wybrać się do Nowej Zelandii, do takiej magicznej miejscowości Rotorua, ale nigdy jej się to nie udało.

- Dlaczego?

- Jej były mąż powiedział mi, że nie miała odwagi podróżować sama.

W tym momencie Mel sobie uświadomiła, że nie był to jedyny powód, dlaczego się tam nie wybiera. A gdyby prawdziwy obraz Nowej Zelandii okazał się inny, niż sobie wyobrażała? Ponadto taka podróż wiąże się ze znacznymi kosztami i pewnym ryzykiem, więc mogłaby nie opłacić się skórka za wyprawkę, tym bardziej że w końcu to nie ona o tym marzyła! Pomyślała jednak o błękitnym niebie, nieskażonej przyrodzie i ptakach, które krążą, szeroko rozpościerając skrzydła, nad spłowiałą od słońca trawą...

- Ja też boję się sama jechać do dzikiego kraju - wyznała. - Mimo to jednak pojedę.

Carla skakałaby pod sufit na wieść, że zyska szansę samodzielnego prowadzenia galerii, zostanie podwyżkę i prawo swobodnego podejmowania decyzji. Dla niej natomiast oznaczałoby to zamknięcie interesu i podróż w nieznane, czyli start w zupełnie nowe życie; w powietrzu wisiły zmiany.

- Jeśli pani się boi, mógłbym pojechać tam z panią - zaproponował nieśmiało Galen.

- Och, panie Kosłowski... - W jej oczach zalśniły łzy.

- Czyżby pani znowu płakała, pani Sherman?

- Chyba tak, panie Kosłowski, chyba tak.

Przed wyjazdem Mel pojechała nad tamę i stała tam chwilę, wpatrując się w zamarznąta tafle wody. Ręce trzymała głęboko w kieszeniach kurtki, a obłok jej oddechu unosił się w powietrzu jak kłęb dymu. Wiatr smagał twarz drobinami zmrożonego śniegu, które pozostawiały na skórze małe, piekące punkty. Ciemno upierzone ptaki, trzepocząc skrzydłami, przefrunęły nad zbiornikiem wodnym i znikły za koronami strzelistych sosen. Chłód pozbawił drzewa, niebo i wzgórza ich naturalnych kolorów. Mel nieraz spacerowała tędy z Joanną i jej dziećmi podczas ferii zimowych, a teraz oczami wyobraźni zobaczyła, jak przyjaciółka oddala się od niej z szybkością rakiety i dołącza do miriady światełek na wygwieżdżonym niebie.

Ben też zmienił teren działania. Czasem go widywała, jak przechodził na drugą stronę ulicy, kupował kwiaty lub wychodził gdzieś z Lisą. Oznaczało to, że ci dwoje zdecydowali się podjąć na nowo życie razem. Sarah Mahoney poinformowała Mel, że Ben pracuje teraz dla Kima Bernharda.

Powietrze było ostre i przejrzyste jak kryształ. Mel odnosiła wrażenie, że wciąż unoszą się w nim zapachy kwiatów z minionych lat: róż, jaśminów i bzów. Gdyby miała odwagę sięgnąć po nie, na pewno odnalazłaby swoje dawne marzenia, decyzje i możliwości. Doszła do wniosku, że zbyt długo żyła spokojnie, i postanowiła to zmienić. Wierzyła, że przyszłość będzie dla niej szczęśliwsza.

Z lotniska wzięła taksówkę i zamówiła kurs do centrum miasta. W pokoju hotelowym rozwiesiła swoje rzeczy, wypakowała z torby żelazko i położyła je na łóżku. Spojrzała w lustro, ale oprócz swojego odbicia zobaczyła w nim rysy twarzy swojej matki, a także - co zdarzyło się jej po raz pierwszy - ojca. Odrzuciła do tyłu gęste, jasnoblond włosy, z satysfakcją konstatuując ich ciężar. Przy tym ruchu zabłysnął szafir w jej pierścionku i Mel uśmiechnęła się do siebie.

Znajoma ulica prawie się nie zmieniła w ciągu dwudziestu pięciu lat, które upłynęły, odkąd ostatni raz tamtędy szła. W delikatesach na rogu kupiła żytni chleb, kiszony na polski sposób ogórki, jakie Galen uwielbiał, niesolone masło i wędzoną szynkę w plasterkach. Z brązową papierową torbą w ręku wdrapała się na dobrze sobie znane schody. Zawczasu przygotowała klucz, który przechowywała przez te wszystkie lata. Przyspieszyła kroku, bo już przez dwa piętra słyszała odgłos stukania młotkiem w kamień. Im wyżej się wspinała, tym szybciej stopnie umykały jej spod nóg. Korytarz przebyła biegiem, a kiedy sięgnęła do klamki znajomych drzwi - stwierdziła, że jak zwykle nie były zamknięte. Pchnęła je więc i zastała Galena siedzącego

przy oknie: z przechyloną głową wpatrywał się w bryłę zielonego, złoto żyłkowanego marmuru.

Podniósł wzrok znad kamienia, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz zaraz je zamknął. Na jego twarzy pojawił się uśmiech, początkowo nieśmiały, stawał się coraz szerszy, aż w pokoju zrobiło się jaśniej, a chyba i na świecie też.

- Panie Kosłowski... - zaczęła Mel, ale już wyciągnął do niej ramiona.

- Pani Sherman... Melisso, ty moja mała pszczołko!

---

RS